

# *Paulina Simons*

## *Dziewczyna na Times Square*

*Dla mojej siostry Elizabeth jak zawsze poszukującej i dla Melanie Cain,  
która była w pokoju płaczu*

*W Watykanie tuż po wyborze prowadzą nowego papieża do pokoju  
znajdującego się obok Kaplicy Sykstyńskiej, gdzie wkłada papieskie szaty.  
Pokój ten nazywany jest pokojem płaczu. Nazwano go tak, bo właśnie tam  
nowo wybrany papież zdaje sobie w pełni sprawę z ciężaru i  
odpowiedzialności, jakie na nim ciąży. Wielu papieży płakało. Płakali  
najlepsi.*

Co się stało z miłością? - szepnęła do siebie Lily. Czy ktoś zagarnął dla siebie całą miłość przewidzianą dla wszechświata, a może po prostu nie dość mocno się staram?

Co się stało z tą oszłamiającą, przytłaczającą miłością, która porusza niebo i ziemię; miłością, jaką moja „babcia przed ponad pół wiekiem w innym świecie i w innym życiu czuła do swojego Tomasa; miłością, jaką mój ojciec poczuł do mojej matki, kiedy po raz pierwszy spotkali się nad ciepłymi wodami Morza Karaibskiego? Czy taka miłość już nie istnieje? Czy nie ma już na świecie nikogo bez zbroi, bez otaczających go murów, bez bólu? Czy nikt już nie chce umierać z miłości?

Najwyraźniej nie dzisiaj wieczór.

Nazywali ją Lil. Czasami ci, którzy ją kochali, mówili Liliput. Lubiła to. Natomiast ci, którzy jej nie kochali, mówili Liliannę. Tyle że w tej chwili w ogóle się do niej nie zwracano. Głodna i splukana, stała w milczeniu, oparta plecami o ścianę i patrzyła, jak Joshua pakuje swoje rzeczy. Wyglądała jak wielka plama, z oczami koloru kory drzewa, szarymi włosami, ubrana na czarno - bardzo stosownie, pomyślała, mimo że powiedział: „To tylko na jakiś czas, żebyśmy od siebie odpoczęli. Dobrze nam to zrobi”.

Odchodził, nie zamierzał wrócić, a ona była ubrana na czarno. Bardzo chciała odchrząknąć, powiedzieć kilka słów, może przekonać go, by jednak został, ale czuła, że ten czas już minął. Kiedy, nie wiedziała, ale mimo wszystko minął i nie zostało jej nic, jedynie patrzeć jak odchodzi i może przełknąć kilka kawałków nieświeżego precla.

Joshua był szczupły i rudowłosy. Zwracając na nią swoje oczy koloru brudnej kałuży, przesunął dłoń po włosach - och, jakże on kochał swoje włosy! - i spytał, czy nie ma nic lepszego do roboty niż tak stać i patrzeć. Odparła, że w gruncie rzeczy nie ma. Dalej chrupała nieświeże precle.

9Chciała go zapytać, dlaczego odchodzi, ale powody, którymi się kierował, zawisły między nimi niewypowiedziane. Zresztą wiele rzeczy pozostało niewypowiedzianych. Jeszcze rok temu jego odejście byłoby dla niej nie do pomyślenia: przecież sobie z tym nie poradzi?

Odkleiła się od ściany i zrobiła krok w jego stronę, otworzyła usta, lecz on zbył ją machnięciem ręki, ze wzrokiem wbitym w telewizor. „To finał Pucharu Stanleya”, powiedział tylko, trzymając jedną rękę na kupce płyt kompaktowych, a drugą na pilocie. Podgłośnił telewizor, zagłuszając tym samym to, co Lily chciała mu powiedzieć.

I pomyśleć, że w zeszłym tygodniu profesor prowadzący zajęcia z kreatywnego pisania, zupełnie jakby nie wystarczyło zadanie polegające na napisaniu własnego nekrologu, zadał im nowy temat: „Co byś zrobił, wiedząc, że dzisiejszy dzień jest ostatni w twoim życiu?”.

Nienawidziła tych zajęć. Wybrała je tylko dlatego, żeby wypełnić wymagania dotyczące liczby godzin angielskiego, ale gdyby wtedy wiedziała to, co wie teraz, zdecydowałaby się na „Twórczość Johna Donne'a dla zaawansowanych” o ósmej rano w poniedziałki, a nie na kreatywne pisanie w środowe południa. Och, to bezlitosne roztrząsanie swojego wnętrza! Pierwsze wspomnienie, pierwszy zawód miłosny, najbardziej pamiętne doświadczenie, ulubione wakacje letnie, własny nekrolog (!), a teraz to.

Lily miała szczerą nadzieję, że dzisiejszy dzień, dzień rozstania z chłopakiem, nie będzie ostatnim w jej życiu.

Mieszkanie, jakie zajmowała, było zdecydowanie za małe na *Sturm und Drang*.

Przedpokój służył za pokój dzienny. W kuchni kuchenka mikrofalowa zajmowała jedyne wolne miejsce na blacie, a na niej stała suszarka do naczyń. Woda z wypłukanych puszek po coca-coli spływa do zlewu, którego połowa służyła również za miejsce do przechowywania spleśniałego chleba - nie korzystały z talerzy, gdyż rzadko jadały w domu. W mieszkaniu były dwie sypialnie - jej i Amy. Dziś wieczór weszła do sypialni Amy i położyła się na jej łóżku, czując przemożną chęć, by zwinąć się w kłębek.

Podczas przerwy na reklamy Joshua wstał, żeby wziąć sobie coś do picia, obrzucił ją przelotnym spojrzeniem i spytał:

- Mogłabyś spać z Amy? Muszę zabrać moje łóżko. Zostawiłbym je, ale wtedy ja nie będę miał gdzie spać.

Bardzo chciała mu coś odpowiedzieć! Pomyślała, że mogłaby rzucić jakąś dowcipną uwagę. Ale najdowcipniej szał, jak przysła jej do głowy, brzmiała:

10

- To Shona nie ma łóżka?

- Nie zaczynaj od nowa - rzekł i wyszedł do kuchni. Lily zwinęła się w kłębek.

Joshua płacił jedną trzecią czynszu. Mimo to była stale splukana, a jej dieta obejmowała na zmianę stare prele i makaron instant z sosem. Bajgiel z serem był luksusem, na który mogła sobie pozwolić tylko w niedziele. Choć też czasami musiała wybierać między bajgłem a gazetą.

Lily czytywała kiedyś wiadomości w internecie, ale teraz nie było jej stać na dwadzieścia dolarów opłaty za łącze. Nie było więc internetu, bajgla, a niebawem nie będzie także i Joshuy, który odchodził, zabierając ze sobą łóżko i jedną trzecią czynszu.

Gdyby tylko miała na tyle dobre oceny, żeby dostać się na Uniwersytet Nowojorski w centrum, zamiast do miejskiego college'u przy Sto Szesnastej Ulicy. Mogłaby chodzić do szkoły pieszo, tak jak chodziła do pracy, i zaoszczędzić cztery dolary dziennie. To dawało dwadzieścia dolarów tygodniowo, osiemdziesiąt miesięcznie i tysiąc czterdzieści na rok!

Ile bajgli, gazet, kawy mogłaby za to kupić.

Lily płaciła blisko pięćset dolarów czynszu. Pieniądze na mieszkanie przysyłała jej matka, wypominając jej to regularnie co miesiąc. A w maju, w dniu oczekiwanego ukończenia studiów dostanie z banku matki ostatni czek. Bez Joshuy będzie musiała płacić za mieszkanie siedemset pięćdziesiąt dolarów. Jakim cudem uda się jej zdobyć już w czerwcu taką sumę? Pracowała jako kelnerka dwadzieścia pięć godzin tygodniowo, zarabiając najedzenie, książki, przybory malarskie i bilety do kina. Będzie musiała poprosić o jeszcze jedną zmianę, albo nawet dwie. Może pozwolą jej pracować na podwójnych zmianach. Ale nie chciała teraz o tym myśleć. Uznała, że w tym względzie lepiej być jak Scarlett O'Hara i pomyśleć o kłopotach jutro - w innej książce, za jakieś pięćdziesiąt lat.

Zadzwoił telefon.

- Poszedł już sobie? - Dzwoniła Rachel Ortiz, druga bliska, może nawet najlepsza przyjaciółka Amy, z prostymi, ufarbowanymi na blond włosami i szorstkim sposobem bycia. Ktoś musi jej wytłumaczyć, że skoro jest przyjaciółką Amy, nie czyni jej to automatycznie przyjaciółką Lily.

- Nie. - Lily chciała dodać, że zatrzymała go transmisja z rozgrywek Pucharu Stanleya.

- Drań - rzuciła mimo to Rachel.
- Ale już niedługo - powiedziała Lily. - Już niedługo, Rach.
- Jest tam Amy?

11- Nie.

- To gdzie ona się podziewa? Umówiła się gdzieś?
- Chyba pracuje.
- Nie chcę, żebyś jutro wieczorem siedziała sama w domu. Wychodzimy. Mój nowy chłopak chce nas zabrać na Brooklyn, do nocnego klubu na Coney Island.
- Na Coney Island w poniedziałek? - zdziwiła się Lily, po czym dodała: - Nie bardzo mi to pasuje. Mam szkołę.
- Szkoła, sroła. Nie będziesz siedzieć sama. Pójdiesz tam ze mną i z Tonym - zniżyła głos, wymawiając przeciągle „Tonyyym” z włoskim akcentem. - Amy też może się z nami wybrać. Ma dla ciebie faceta z Bed-ford-Stuyvesant, który podobno szczyli się słodkim tyłeczkiem.
- Na miłość boską! - Lily zniżyła głos do szeptu. - Joshua jeszcze tu jest.
- Drań - powtórzyła Rachel i odłożyła słuchawkę.
- Co, już próbuje cię z kimś umówić? - spytał Joshua. - To była Rachel, prawda? Nienawidzi mnie.

Lily nie odpowiedziała.

Tego wieczoru, po zakończeniu transmisji, Joshua biegał tam i z powrotem po wysokich schodach, zabierając pudła, skrzynki i torby na róg Avenue C i Czwartej Ulicy, gdzie odtąd miał mieszkać z ich wspólnym przyjacielem Dennisem, fryzjerem. (Amy zapytała ją: „Lii, nigdy nie zadawałaś sobie pytania, dlaczego Joshua tak szybko wprowadził się do Dennisa? Myślisz, że on też jest gejem?”). Lily odparła: „Tak, ale nie pytaj o to mnie, tylko Shonę, tę nagą dziewczynę gdzieś z południa stanu, do której wydzwaniał z mojego telefonu”.

Kto będzie jej teraz obcinał włosy? W przeszłości zawsze robił to Dennis. Dlaczego Joshua ma także odziedziczyć fryzjera? Może Paul, inny bliski przyjaciel Amy, kolorysta, umie też obcinać włosy. Będzie go musiała o to zapytać. Joshua miał na tyle przyzwoitości, by nie prosić jej o pomoc, a Lily dość godności, by mu jej nie zaoferować.

Około trzeciej nad ranem, trzymając w rękach ostatnie pudło, skinął głową w jej stronę i wyszedł, mijając po drodze *Dziewczynę na Times Square*, jej jedyny obraz olejny, który namalowała, mając dwadzieścia lat, jeszcze przed poznaniem Joshuy.

Są w tobie takie rzeczy, których nigdy nie mógłbym pokochać - powiedział jej dwa dni temu, kiedy to wszystko się zaczęło.

12

Gdybym wiedziała, że dzisiejszy dzień jest ostatnim w moim życiu, chciałabym być dziewczyną z tej słynnej pocztówki, stojącą na środku Times Square. Na wieść o zakończeniu wojny nieznajomy mężczyzna całuje ją namiętnie.

Tyle tylko że to nie jestem ja. Może to ktoś marzy o dziewczynie na Times Square. Być może to Amy. Ale z pewnością nie prawdziwa Lily.

Prawdziwa Lily spałaby do późna, co najmniej do południa i nie miałyby żadnych zajęć. Nie musiałyby też iść do pracy. A potem, ponieważ w ostatnim dniu jej życia pogoda byłaby z pewnością piękna, poszłyby nad jezioro w Central Parku. Kupiłaby kanapkę z tuńczykiem, mrożoną herbatę i paczkę ziemniaczanych

chipsów i wzięła ze sobą książkę, którą czyta po raz kolejny - to *Sula* Toni Morrison - oraz szkicownik i ołówki. Nigdzie by się nie spieszyła, bo ma przecież mnóstwo czasu. Spędziłaby całe popołudnie, siedząc, jedząc, rysując łódzie i Ajaksa Suli, w którym była perwersyjnie zakochana. Czytałaby i zastanawiała się, co jeszcze może narysować. Siedziałaby tam bardzo długo, a po drodze do domu wstąpiłaby na Times Square. Przeciskając się przez tłum ludzi, stanęłaby pod ścianą jednego z budynków i patrzyła na migające kolorowe billboardy, oświetlone drapacze chmur, zmieniające się światła na skrzyżowaniach, pędzące karetki i żółte taksówki. Na kowboja, który gra na ulicy na gitarze, ubrany tylko w bieliznę i kapelusz, na dzieci, pary, na młodych i starych, na zakochanych robiących zdjęcia, roześmianych, mijających ją w powodzi światła. Ta dziewczyna na Times Square stoi pod ścianą, a inni mijają ją w powodzi światła.

Lily odwróciła się od drzwi i leżąc samotnie na łóżku Amy, wyjrzała przez okno w noc.

### **ALLISON QUINN**

Dawno temu była sobie kobieta, która żyła dla miłości. Teraz stała i wyglądała przez okno. Widziała zielone palmy, czerwone rododendrony, błękitne niebo, szmaragdowy ocean, szare klify, czarne wulkany i biały piasek. Nie zajrzała do swojego pokoju. Czekala na męża, który wyszedł, by kupić mango. Trwało to całe wieki. Przesunęła lekko zasłonę i westchnęła, przypominając sobie dawne czasy, kiedy była młoda i marzyła o morzu, niebie i o tym, by niczego jej nie brakowało.

A teraz to miała.

Dawno temu mężczyzna puścił płytę na starym gramofonie Victrola i tańczył z nią w ich małej sypialni. Mężczyzna był przystojny, ona piękna, a w tamtych czasach mówili zupełnie innym językiem. „W twoich oczach widzę odbicie miłości...”.

Teraz ten sam mężczyzna chodził na samotne spacerunki po plaży. Moczył w oceanie stopy i duszę, a potem podchodził do kramu z owocami i kupował soczyste owoce mango. Sprzedająca je wesoła dziewczyna powiedziała, że teraz są najlepsze, a on spojrzał na nią z uśmiechem i wziął torbę.

Kobieta odeszła od okna. On zawsze gdzieś się włóczył. Ale ona wiedziała - nie wychodził z domu, lecz opuszczał ją. Nie mógł znieść myśli, że mógłby z nią spędzić choćby godzinę; albo zrobić coś, na co ona miała ochotę, zamiast tego, czego sam chciał. Kiedy nie godziła się na jego zachcianki, boczył się zupełnie jak dziecko. Tym właśnie był: dzieckiem. Zrób to, co chcę, albo nie będę się do ciebie odzywał. Cały on. Czy mogła coś na to poradzić, że rankami nie czuje się najlepiej? Że nie może zwlec się z łóżka, iść na plażę i pływać w palącym słońcu? Straszliwie przygnębiała ją myśl, że już o ósmej rano woda w oceanie jest tak ciepła, a słońce praży. Gdyby choć raz spadł deszcz! Miała już serdecznie dość tego cholernego oceanu. I tego słońca. Owoców mango, sashimi z tuńczykiem i pyłu wulkanicznego. Serdecznie dość.

Kupiła ciężkie zasłony i zaciągała je, by powstrzymać blask dnia; udawać, że nadal jest noc.

Ostatnimi czasy udawała wiele rzeczy.

Gdzie on się podziewa? Kiedy wreszcie zaszczyci ją swoją obecnością? Czy nie wie, że jest głodna, chora? Czy nie wie, że musi jadać regularne, niewielkie posiłki? No

właśnie, on wcale nie dba o jej potrzeby, myśli tylko o swoich. Nie, nie zje ani kęsa. Jeśli zemdleje z powodu niskiego poziomu cukru i coś sobie złamie, tym lepiej. Ciekawe, jak on się będzie wtedy czuł na myśl, że nie było go w domu cały ranek i nie zrobił swojej chorej żonie śniadania. Zobaczymy, jak wytłumaczy to jej matce, ich dzieciom. Nie weźmie do ust nawet łyżeczki cukru, choćby nie wiem co!

Drzwi sypialni uchylły się lekko.

- Wróciłem. Jadłaś już?

- Oczywiście że nie! - rzuciła ostro. - Jakby cię to w ogóle obchodziło.

14

Mogłabym gnić tutaj jak szczur, kiedy ty spacerujesz sobie po tej swojej pieprzonej plaży, w ogóle o mnie nie myśląc!

„...którego nie zniszczy czas...”

Drzwi zamknęły się cicho, a ona została sama w ciemnym pokoju, do którego nie wpadał słoneczny blask poranka na Maui.

### **KOBIETA I MĘŻCZYZNA**

W piątkowy wieczór są razem w jej mieszkaniu. Wcześniej poszli na kolację, potem ona zaprosiła go na drinka i tańce w barze nieopodal jej mieszkania. Odmówił. Zawsze odmawiał. Picie i tańce w barach nigdy nie były jego mocną stroną, ale trzeba jej to przyznać-jest dzielna. Zawsze pyta. Teraz leżą w jej łóżku. Nie wie, czy to j est j ego mocna strona, czy też ona nie ma bardziej atrakcyjnych propozycji, ale umawia się z nim w każdy piątkowy wieczór, więc chyba musi robić coś dobrze, choć nie ma pojęcia, co to może być. To, co on jej daje, może dostać wszędzie.

A kiedy już jej to dał i wziął trochę dla siebie, ona zasypia zadowolona w zagięciu jego ramienia, podczas gdy on leży z otwartymi oczami i w nie-bieskożółtym świetle wpadającym z ulicy liczy miedziane płytki na wysokim suficie. On też może wyglądać na zadowolonego: dziś wieczór miał okazję cieszyć się dobrym jedzeniem i kobietą. Ktoś, kto obserwowałby to naukowo i empirycznie, całkowicie z zewnątrz, na pewno doszedłby do takiego wniosku. Ale teraz, na mocy perwersyjnego kaprysu natury, kobieta śpi, a mężczyzna wpatruje się w sufit. Co więc widać w nim całkowicie z zewnątrz?

Liczy płytki na suficie. Robił to już wcześniej i fascynuje go, że za każdym razem, gdy liczy je późno w nocy, uzyskuje zupełnie inny wynik.

Kiedy jest pewny, że kobieta mocno zasnęła, wysuwa się z jej objęć, wstaje z łóżka i zabiera ubranie do saloniku.

Kobieta wychodzi z sypialni, gdy on ma już na nogach buty. Musiał chyba zadzwonić kluczami, bo zazwyczaj ona nie słyszy, jak wychodzi. W pokoju jest ciemno. Patrzą na siebie. Oboje stoją.

- Nie rozumiem, dlaczego to robisz - mówi ona.

- Po prostu muszę już iść.

- Wracasz do domu, do żony?

- Przestań.

15- To o co chodzi?

- Wiesz, że wychodzę. Zawsze. Dlaczego mi to utrudniasz?

- Czy nie spędziliśmy razem miłego wieczoru?

- Zawsze spędzamy miły wieczór.

- Dlaczego więc nie zostaniesz? Jest piątek. Zrobię ci na śniadanie gofry.

- Nie jadam gofrów w sobotę.

Cicho zamyka za sobą drzwi. Ona z wielkim hałasem trzaska zamkiem i zakłada łańcuch. On wychodzi w nocy na Amsterdam. Na ulicy jeżdżą tylko taksówki. Chodniki są puste, kilku podchmielonych facetów zatacza się koło wejścia do baru. Zmieniają się światła: zielone, żółte, czerwone. Zanim zatrzyma taksówkę, przechodzi samotnie jakieś dwadzieścia przecznic, mijając otwarte o trzeciej nad ranem knajpy.

*CZĘSCI*

*POCZĄTEK*

*Mienisz się wolnym? Wolny od czego? Co Zaratustrze po tym! Lecz niechaj twoje oko jasno mi obwieści: wolny do czego?*

*FRYDERYK NIETZSCHE<sup>1</sup>*

<sup>1</sup> Fryderyk Nietzsche, *To rzeki Zaratustra*, przekład Sława Lfsiecka i Zdzisław Jaskuła (wszystkie przypisy tłum.).<sup>1</sup>

**POZORY MYŁĄ**

1, 18,24,39,45,49.

I jeszcze raz:

1, 18,24,39,45,49.

Rzeczywistość: coś, co istnieje naprawdę i czym trzeba się zająć w prawdziwym życiu.

Iluzja: coś, co oszukuje nasze zmysły, łudzac nas, że istnieje, gdy wcale tak nie jest lub pozornie wygląda na jedno, choć w rzeczywistości jest czymś zupełnie innym.

Cud: wydarzenie, które zaprzecza prawom natury.

49,45,39,24, 18,1.

Lily wpatrywała się w sześć liczb wydrukowanych w „The Sunday Daily News”. Zamrugła oczami. Potarła powieki. Podrapała się w głowę. Coś się tu nie zgadzało. Amy nie było w domu, nie miała więc kogo zapytać, a przecież wzrok często płał jej figle. Jak choćby w zeszłym roku w sali porodowej, kiedy była przekonana, że jej siostra urodziła chłopca i krzyknęła głośno: „CHŁOPIEC”, bo wszyscy tak bardzo pragnęli, by urodził się chłopiec, a okazało się, że to kolejna dziewczynka, już czwarta? Jak mogła zobaczyć nieistniejący penis? Co się z nią dzieje?

Wyszła z mieszkania i przeszła przez wąski korytarz, by zapukać do drzwi starej Colleen mieszkającej pod 5F. Colleen zawsze była w domu. Niestety, jako mała dziewczynka przeżyła wielki głód i była niemal całkiem ślepa, co Lily odkryła ku swemu wielkiemu rozczarowaniu, gdy staruszka przeczytała 29 zamiast 49 i 89 zamiast 39. Kiedy skończyła odczytywać

19szereg liczb, Lily była jeszcze mniej pewna. „Nie przejmuj się tym, kocha-niutka - powiedziała ze współczuciem w głosie Colleen. — Wszystkim się wydaje, że widzą szczęśliwe liczby”.

Lily chciała krzyknąć, że ona nie. Ja nie widzę szczęśliwych liczb. Może i widzę penisy, ale nie wyobrażam sobie dziur we wszechświecie, które nigdy się dla mnie nie otwierają.

Była Amerykanką w drugim pokoleniu, najmłodszym z czwórki dzieci zajmującej się domem matki, która zawsze chciała być ekonomistką, i ojca, dziennikarza „Washington Post”, który zawsze chciał być powieściopisarzem. Kochał sport i

niewiele pomagał przy dzieciach. Niektórzy uznaliby go może za nieczulego i zajętego własnymi sprawami. Niektórzy, ale z pewnością nie Lily. Jej babcia zdecydowanie zasługuje na coś więcej niż tylko akapit w podsumowaniu dotychczasowego życia Lily, ale na razie tyle musi wystarczyć. Urodzona w Gdańsku, Klavdia Róża Venkiewicz uciekła z okupowanej przez nazistów Polski z maleńkim dzieckiem, matką Lily, i trafiła do zniszczonych wojną Niemiec. Po latach spędzonych w trzech obozach dla dipisów udało się jej dostać wraz z dzieckiem na statek płynący do Nowego Jorku. Swojej córce dała na imię Oleńka, lecz zmieniła je na bardziej amerykańsko brzmiące Allison. Sama też stała się Claudią Rose, a nazwisko Venkiewicz zmieniła na Vail.

Przez całe swoje życie Lily mieszkała w Nowym Jorku albo w jego okolicach: w Astorii, Woodside i Kew Gardens, a kiedy sytuacja rodziny się polepszyła, w Forest Hills. Marzyła o tym, by zamieszkać na Manhattanie. Teraz jej marzenie się spełniło, ale za to nie miała ani grosza.

Kiedy George Quinn, pracujący jako nowojorski korespondent „Post”, został nagle przeniesiony do Waszyngtonu z powodu przeszeręgowań będących wynikiem cięć budżetowych, Lily postawiła na swoim i została u babki na Brooklynie, dojeżdżając do szkoły średniej w Forest Hills, by ukończyć tam ostatnią klasę. Bez nadzoru rodziców był to rok szalony. Kiedy się trochę uspokoiła, rozpoczęła naukę w City College of New York przy Sto Trzydziestej Ósmej Ulicy w Harlemie, głównie dlatego, że nie było jej stać na żadną inną szkołę. Wszystkie oszczędności rodziców przeznaczone na naukę pochłonęły studia jej brata na Uniwersytecie Cornell. Na szczęście matka, ogarnięta wyrzutami sumienia, zgodziła się opłacać czynsz.

Lily, zdecydowanie zbyt cicha i spokojna jak na Nowy Jork, nie wiedziała, co to młodzieńcza miłość, dopóki nie spotkała Joshuy - kelnera, który chciał być aktorem. Przyciągały ją do niego nie jego rude włosy, lecz

## **20**

cierpienia, jakich doznał w przeszłości, i marzenia o przyszłości. W obu tych dziedzinach Lily nie miała się czym pochwalić.

Lubiła spać do późna i malować. Ale najbardziej lubiła długo spać. Rysowała niedokończone twarze i łodzie na papierze, zawijasy na umowach, lilie na ścianach i całe freski przedstawiające łodzie i wodę. Miała nadzieję, że nigdy nie wyprowadzi się ze swojego mieszkania, bo nie zdołałaby tego odtworzyć.

Traktowała Joshuę bardzo poważnie do chwili, gdy przekonała się, że on bynajmniej nie traktuje ich związku w ten sam sposób. Czytała bardzo intensywnie, lecz sporadycznie, uwielbiała słuchać bardzo głośno Natalie Merchant i Sary McLachlan i uwielbiała słodczy: batoniki, galaretki w czekoladzie, ciasteczka oblewane czekoladą, gumy rozpuszczalne, tort czekoladowy oblewany czekoladowym lukrem i ciasto biszkoptowe.

Jedna z jej siostr, Amanda, była modelową matką czterech modelowych córek i modelową żoną modelowego męża z przedmieść. Druga siostra, Annę, była modelową-kobietą robiącą karierę zawodową. Pracowała jako zajmująca się finansami dziennikarka „KnightRidder”, często wiązała się z niewłaściwymi mężczyznami, ale za to zawsze była nieskazitelnie ubrana. Brat Andrew w pełni wykorzystał zdobyte w Cornell wykształcenie i został kongresmanem.

Najbardziej interesujące rzeczy w życiu Lily przydarzały się innym i bardzo jej się



to podobało. Uwielbiała przesiadywać do białego rana z Amy, Paułem, Rachel i Dennisem, słuchając ich opowieści o burzliwych romansach, podróżach autostopem i szalonych imprezach na plażach w Miami. Lubiła, gdy inni ludzie byli młodzi i beztroscy. Dla siebie pragnęła tylko, by upadki nie były zbyt niskie, a wzloty zbyt wysokie. Pławiła się w marzeniach Amy, Joshuy i Andrew, a trzy razy w tygodniu chodziła do kina, co uwielbiała. Wędrowała z radością po ulicach Nowego Jorku, czytała gazetę na St. Mark's Square i żyła dniem dzisiejszym, śpiąc, malując, tańcząc, marząc o przyszłości, której nie potrafiła zgłębić. Uwielbiała swoje pozbawione celu życie aż do wczoraj i dzisiaj.

Dzisiaj - to. Sześć liczb.

A wczoraj - Joshua.

### **Dziesięć korzyści płynących z rozstania z Joshua:**

10. Telewizor jest stale wyłączony.
9. Nie muszę się z nim dzielić bajgłem i kawą.
8. Nie muszę udawać, że lubię hokej, sushi, golfa, ąuiche i aktorów.
217. Nie muszę wysłuchiwać opowieści o tym, jak życie go paskudnie potraktowało.
6. Nie muszę wysłuchiwać opowieści o ojcu, który go zaniedbywał, i matce, która go porzuciła.
5. Nie muszę przekłuwać sobie pępka, bo jemu się to podoba.
4. Nie muszę siedzieć do czwartej nad ranem, udając, że mamy wspólne zainteresowania.
3. Nie znajduję już w łóżku mokrych ręczników.
2. Nie muszę się złościć, że nie zmienił papieru toaletowego.

### **Największa korzyść płynąca z rozstania z Joshua:**

1. Nie muszę mieć kompleksów z powodu małych piersi.

### **Dziesięć złych rzeczy związanych z rozstaniem z Joshua:**

10. Są 9. W 8. Tobie 7. Takie 6. Rzeczy 5. Których 4. Nie 3. Mógłbym 2. Pokochać.

### **Och, i najgorsza rzecz związana z rozstaniem z Joshua:**

1. Bez niego nie stać mnie na czynsz.

1, 18,24,39,45,49.

Wcześniej nosiła włosy do połowy pleców, lecz w zeszłym tygodniu po rozstaniu z Joshua obciąła je tak, że sięgały tylko do szyi. Dziewczeta często to robią po rozstaniu z chłopakiem. Ciach, ciach. Lily cieszyła się, że jest tak bardzo na czasie. Dla niej oznaczało to, że nie pozwala sobie na rozpacz.

Włosy nie wymagały teraz dłuższego kontaktu ze szczotką, więc Lily szybko narzuciła żakiet i wyszła z mieszkania. Zamierzała pójść do sklepu spożywczego, gdzie kilka dni wcześniej kupiła kupon loterii. Gdy zbiegła z piątego piętra na pierwsze, musiała wrócić na górę - żeby włożyć buty.

## **22**

Gdy wreszcie dotarła do sklepu na rogu Alei B i Dziesiątej Ulicy, pogrzebała w kieszeni i uświadomiła sobie, że zostawiła kupon na szafce na buty.

Jęknęła ze złości i skrzywiła się do sprzedawcy, ponurego mężczyzny z Bliskiego Wschodu z posepną czarną brodą, i wróciła do domu. Nawet nie szukała kuponu. W tych małych niepowodzeniach dostrzegła znak, wiedziała, że to nie mogą być te numery, po prostu nie mogą. Nie na jej kuponie! Położyła się na łóżku Amy i czekała na telefon. Wyrzała przez okno, usiłując o niczym nie myśleć. Okna

sypialni wychodziły na wewnętrzne podwórko kilku bloków. Rosło tam wiele drzew, zieleniły się grządki. Większość mieszkańców nigdy nie zaciągała żaluzji w oknach wychodzących na podwórko. Traktowali drzewa i trawę jako tarczę oddzielającą ich od świata. Może nawet i chroniły ich przed światem, ale na pewno nie przed wzrokiem Lily. Jaki zboczeniec może chcieć zaglądać w okna innych ludzi?

Lily zaglądała do okien. Zaglądała w życie innych ludzi.

Pewien mężczyzna rankami czytał gazetę. Siedział tak przez dwie godziny. Lily narysowała go w ramach pracy domowej na zajęcia ze sztuki. Narysowała też młodą kobietę, która najpierw brała prysznic, a potem wychylała się z okna i patrzyła na drzewa. Na zajęcia z improwizacji narysowała swoich ulubieńców - parę, która rankami paradowała nago po mieszkaniu, a nocą uprawiała seks przy podniesionych żaluzjach i zapalonym świetle. Obserwowała ich zza swoich żaluzji, wstydząc się za nich i za siebie. Najwyraźniej byli przekonani, że mogą ich obserwować tylko demony, zważywszy na brzydkie rzeczy, jakie wyprawiali. Lily wiedziała, że nie mają ślubu, bo kiedy mężczyzny nie było w domu, kobieta czytała magazyn „Panna Młoda”, a każdego sobotniego wieczoru po kilku drinkach ostro się z nim klóciła.

Lily wiele razy rysowała też ich kota. Dzisiaj jednak wyjęła szkicownik i bezmyślnie zaczęła wypisywać liczbę, 49,49,49,49,49,49,49. To przecież nie może być prawda. To tylko jakaś kosmiczna pomyłka. Oczywiście! Jasne, liczby mogą się zgadzać, ale dotyczą innej daty. Ileż to razy o czymś takim słyszała. Zerwała się, żeby to sprawdzić.

Nie. Liczby się zgadzały. Data też.

Weszła do pokoju Amy. Wybierały się dziś razem do kina, ale Amy od wczoraj nie wróciła do domu.

Lily czekała. Amy zawsze sprawiała wrażenie, że zaraz wróci.

Lily. Matka zapomniała umieścić w jej imieniu trzecią literę 1. Choć sama nosiła imię Allison, pisane przez dwa 1. Och, na miłość boską, co też jej chodzi po głowie? Czy Liliannę jest zazdrosna o podwójne 1 matki?

**23**Dokąd jato myślenie zaprowadzi? Daleko od sześciu liczb. Daleko od 49, 45,39,24, 18,1.

Wysuszyła włosy, spojrzała na program w „The Daily News” i postanowiła pójść na film *Chłopak rzeźnika*, który grali w kinie Angelica 04.15.

Kiedy mijała sklep spożywczy, coś nagle przyszło jej do głowy. Wzięła głęboki oddech i weszła do środka.

- Przepraszam - powiedziała, kaszląc lekko z zażenowania. - Ile można wygrać w ostatnim losowaniu? - To śmieszne, że w ogóle o to pyta. Jej blada twarz poczerwieniała.

- Za ile liczb? - spytał opryskliwie sprzedawca.

Nie patrząc na niego, Lily pomyślała, że nie odpowie na to pytanie.

- Za wszystkie - rzuciła w końcu w stronę czekoladowych batoników.

- Za sześć? Zobaczmy... tak, osiemnaście milionów dolarów. Ale to zależy, ile osób wygra.

- Oczywiście - zaczęła się wycofywać ze sklepu.

- Zwykle wygrywa kilka osób.

- Uhm.

- Czy wyciągnięto pani liczby?
- Nie, nie. Wybiegła ze sklepu.

Jedna z liczb to było 18.1 jeszcze 1.

To było w kwietniu. Po rozstaniu z Joshuą Lily postanowiła wyrzucić mężczyznę ze swego życia, przekonana, że w promieniu trzech stanów nie znajdzie odpowiedniego kandydata, z wyjątkiem Paula, który był niezaprzeczalnie (jakżeby inaczej) gejem. Rachel raz po raz oferowała jej swoje usługi swatki, a Paul i Amy służyli mile widzianym wsparciem duchowym. Razem chodzili do kina i oglądali wiele różnych filmów poza *Chłopakiem rzeźnika* i *Mrocznym widmem*.

Przesiadawali też całymi godzinami, popijając tequilę i omawiając najróżniejsze wady Joshuy, by tylko Lily poczuła się lepiej. W końcu połączone siły tequili i długich rozmów zdołały tego dokonać.

Lily postanowiła przynajmniej na jakiś czas zrobić z kuponu ozdobę na ścianę i przykleiła go do tablicy korkowej obok zdjęcia z bratem, zdjęć sióstr, babci, czterech siostrzenic i dwóch bratanic, ojca, kota, który zdechł pięć lat temu na kocią białaczkę, Amy, rysunków sąsiadów, świadectw z college'u (nie miała się czym pochwalić), a nawet ze szkoły średniej (nie

## 24

były o wiele lepsze). Na ścianie wisiały też zdjęcia Joshuy, ale zdjęła je, zamalowała twarz tak, że przypominała czarną dziurę, po czym ponownie powiesiła.

Amy, która stawiała sobie za punkt honoru, by czytać tylko „The New York Timesa” i nigdy nie zniżała się do poziomu szmatławca takiego jak „The Daily News”, nie wiedziała tego, co wiedziała babcia Lily i na co natychmiast zwróciła uwagę wnuczki, gdy ta odwiedziła ją w pewien czwartek.

Zanim Lily wyszła z domu, zapukała do pokoju Amy, a kiedy nikt nie odpowiedział, uchyliła je lekko i zapytała „Ames?”. Łóżko była zaścielone, a ręcznie zszyta patchworkowa narzuta starannie wygładzona.

Trzymając dłoń na klamce, Lily rozejrzała się po pokoju. Nic jednak nie zwróciło jej szczególnej uwagi, więc cicho zamknęła drzwi, po czym przykleiła do nich liścik: „Ames, nadal wybieramy się jutro na *Mumię* albo *Matrix*! Zadzwoń do mnie do babci i daj mi znać. Buziaczki, Lii”.

Po drodze wstąpiła do księgarni Barnes & Noble przy Astor Place i kupiła czerwcowe wydania „Ladies Home Journal”, „Redbook”, „Cosmopolitan” (babcia lubiła wiedzieć, co „knują młodzi ludzie”) oraz „National Review”, „American Spectator”, „The Week”, „The Nation” i „The Advocate”. Babcia lubiła wiedzieć, co *wszyscy* knują. W jej domu telewizor był zawsze włączony, na podglądzie migły wiadomości CNN, a na całym ekranie C-Span. Babcia nie lubiła słuchać, co mówią w CNN, lubiła tylko patrzeć, jak prezenterzy poruszają ustami. Kiedy obradował Kongres, babcia siedziała w swoim jedynym wygodnym fotelu, z rozłożonymi dookoła czasopismami, w okularach na nosie i obserwowała uważnie każde głosowanie. „Chcę wiedzieć, co knuje ten twój brat”. Kiedy w obradach Kongresu następowała przerwa, była całkowicie zagubiona i całymi tygodniami kręciła się po kuchni, obsesyjnie sprzątała mieszkanie lub wypijała całe litry bardzo mocnej kawy, czytając czasopisma, i od czasu do czasu oglądała kanał C-Span prezentujący doniesienia z brytyjskiego parlamentu. Na pytanie, co robiła, zanim w telewizji pojawił się kanał C-Span, odpowiadała: „Nie było mnie wtedy na

świecie".

Mieszkała na Brooklynie przy Warren Street, pomiędzy Clinton i Court, w rozpadającym się budynku z kratami na oknach. I to nie tylko na parterze. I nie tylko w oknach salonów. Ani na drugim czy trzecim piętrze. Na wszystkich oknach. Wszystkie okna w budynku na wszystkich czterech piętrach, od frontu i podwórza, były zakratowane. Kamienna fasada budynku zaczynała się kruszyć, lecz kraty były w idealnym stanie. Babcia, 25z nigdy niewyjaśnionych powodów, ani razu w ciągu sześciu lat nie wyszła z domu. Ani razu.

Lily nacisnęła przycisk dzwonka.

- Kto tam? - rozległ się po jakiejś minucie ostry głos.
- To ja.
- Jaka „ja”?
- Twoja wnuczka. Cisza.
- Lily. Lily Quinn - zawiesiła głos. - Kiedyś z tobą mieszkałam. Teraz przychodzę co czwartek.

Kilka minut później rozległ się szcęk odsuwanej zasuwy, trzask otwieranych trzech zamków, brzęk łańcucha, trzask jeszcze jednego zamka, po czym drzwi wreszcie lekko się uchylily i Lily usłyszała naglący głos: „No wchodźże wreszcie, nie ociągaj się”.

Przecisnęła się przez szparę w drzwiach, zastanawiając się, czy babcia otworzyłaby drzwi szerzej, gdyby ona sama była grubsza. Czy otworzyłaby szerzej drzwi na przykład dla Amandy, która miała czworo dzieci?

W środku było chłodno, ciemno i pachniało tak, jakby od tygodni nikt tam nie wietrzył.

- Babciu, dlaczego nie otwierasz okien? Strasznie tu duszno.
- To przecież nie Memoriał Day<sup>2</sup>, prawda? - odparła babcia. Była siwą, niską, korpulentną kobietą. Wzięła siatki z rąk Lily i szybko zaniósła je do kuchni na tyłach mieszkania.

Panował tam idealny porządek, tylko na kuchennym stole piętrzyły się stosy gazet. Na samym wierzchu leżał „The New York Times”, pod nim „The Observer”, „The Wall Street Journal” oraz brukowce: „Newsday”, „Post” i „News”.

- Chcesz herbaty?
- Nie, niedługo muszę lecieć.
- Lecieć! Dopiero co przyszłaś.
- To ostatni tydzień egzaminów końcowych, babciu. Pewnie słyszałaś. - Lily uśmiechnęła się na wypadek, gdyby babcia chciała poczuć się urażona.
- Słyszałam, dużo słyszałam. Jak tam metro dziś rano?
- W porządku...

<sup>2</sup> Memoriał Day - dzień pamięci poległych na polu chwały, zazwyczaj ostatni poniedziałek maja.

26

- No jasne, nawet nie potrafisz udawać, że udzielasz grzecznej odpowiedzi. Stałaś daleko za żółtą linią?

- Nawet lepiej - odparła Lily, wstawiając mleko do lodówki. - Siedziałam na ławce.

Babcia aż się zatrzęsała.

- I ty uważasz, że to lepiej! Ile osób, które siedziało na tej ławce przed tobą, wyprało rano ubranie? A potem inni siedzieli obok ciebie, oddychali na ciebie, zaglądali ci przez ramię, patrzyli, co czytasz, podsłuchiwali, czego słuchasz na walkmanie. Jak możesz pozwalać na taką utratę prywatności? Na tej ławce siadają wszyscy bezdomni.

Lily chciała zauważyć, że wszyscy bezdomni leżą na schodach kościoła przy Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy przy skrzyżowaniu z Piątą Aleją, ale nie odezwała się ani słowem.

- Od tej pory będę ci dawać pieniądze na taksówkę, gdy będziesz do mnie przyjeżdżać.

Lily, gdyby tylko miała na sobie żakiet, z ochotą by go zapięła i zaczęła się zbierać do wyjścia.

- A co tam u ciebie? - spytała babkę.

- Powiem ci, co u mnie - odparła Claudia Vail, siedemdziesięciodzie-więcioletnia kobieta, która przeżyła wojnę, obóz koncentracyjny, przeszła operację usunięcia katarakty, miała wszczepiony rozrusznik serca, cierpiała na artretyzm, nie miała żadnych podejrzanych guzów ani blizn, ale przede wszystkim była wdową. - W niedzielę dziecko wypadło z okna mieszkania na szóstym piętrze i zmarło. Pisali o tym w „Sunday”. Czym się zajmują rodzice, jeśli w niedzielę nie potrafią się zaopiekować własnym dzieckiem? W poniedziałek pięcioletnia dziewczynka została zabita nożem przez swojego brata i jego kolegę, którzy mieli się nią opiekować. Kiedy matka wróciła do domu z pracy, powiedziała: „To takie do niego niepodobne. Zwykle jest bardzo grzecznym, miłym chłopcem”. Potem dowiedzieliśmy się, że ten jedenastoletni chłopiec spędził już trzy lata w poprawczaku za pobicie swojej babci, która straciła potem wzrok. Matka najwyraźniej o tym zapomniała, gdy zostawiła córeczkę pod jego opieką.

- Babciu - szepnęła Lily, unosząc ręce w obronnym geście.

- W zeszły piątek para weganów z Canarsie została aresztowana za karmienie swojej córeczki soją i tofu od dnia narodzin. Matka musiała chyba stracić mleko, bo w wieku szesnastu miesięcy jej dziecko ważyło pięć kilo, czyli tyle, ile waży dwumiesięczne niemowlę.

- Babciu - powtórzyła Lily bezradnie. Babcia osaczyła ją przy lodówce.

**27** Patrząc jej w oczy, Lily wiedziała, że czeka ją jeszcze długa lista podobnych opowieści. - Czy coś się wydarzyło w sobotę?

- W sobotę przyszła do mnie twoja siostra z tym swoim nic niewartym mężczyzną...

- Która siostra?

- I powiedziałam jej - ciągnęła Claudia - iż to prawdziwe szczęście, że nie ma dzieci.

- Ach ta. Babciu, jeśli życie tutaj jest takie okropne, dlaczego się nie przeprowadzisz? Zamieszkać w Bedford z Amandą. Tam nigdy nic się nie dzieje. Stąd nazwa. Miasto łóżek.

- Kto powiedział, że życie tutaj jest nic niewarte? Jest idealne. Czyś ty oszalała? Mam mieszkać z Amandą i czwórką jej dzieciaków? Żeby musiała się zajmować jeszcze mną? Dlaczego chcesz jej to zrobić? Dlaczego ja miałabym zrobić to sobie?

- Czy Jose zrobił ci w tym tygodniu zakupy? - Kuchnia wyglądała na pustą.

- Już nie będzie ich robił. Wyrzuciłam go.

- Wyrzuciłaś? - Lily się zaniepokoiła. I wcale nie ze względu na babkę, ale na siebie. Jeśli Jose nie będzie już robił jej zakupów, to kto? - Dlaczego go wyrzuciłaś?

- Bo w gazecie z zeszłej niedzieli napisali o starej kobiecie, takiej jak ja, którą obrabował chłopak robiący jej zakupy. Obrabował i chyba zgwałcił.

- Czy to był Jose? - spytała Lily, starając się, by nie zabrzmiało to obojętnie. Ze wszystkich sił powstrzymywała się też, by nie potrzebować koniuszka nosa.

- Nie. Ale ostrożności nigdy dość, prawda, Liliput?

- Oczywiście.

- Zamykasz drzwi? Do swojej sypialni? - Babcia pokręciła głową. - Nadal mieszkasz z tymi menelami, którzy nie potrafią nawet domyc zlewu? Tak, twój ojciec opowiadał mi o wizycie w twoim mieszkaniu. Powiedział, że przypomina chlew. Chcę, żebyś znalazła sobie jakieś inne, Lii. Znajdź koniecznie. Zapłacę za usługi agencji nieruchomości.

Lily patrzyła na babkę z wielkim zdumieniem i przez chwilę zastanawiała się, czy na pewno rozmawiała z nią o swojej sytuacji. A może ta sytuacja zmieniała się tak często, że babcia po prostu się pogubiła.

- Babciu - zaczęła powoli - nie mieszkam już z tymi menelami, jak lubisz ich nazywać, od lat. Mieszkam teraz z Amy w zupełnie innym

**28**

mieszkaniu, pamiętasz? Na rogu Dziewiątej Ulicy i Alei C - spojrzała z troską na staruszkę. Claudia się zamyśliła.

- Ulica Dziewiąta... Dziewiąta... - mruknęła. - Dlaczego to brzmi znajomo...?

- Może dlatego, że ja tam mieszkam?

- Nie, nie. - Claudia zapatrzyła się w dal. Nagle w jej oczach pojawił się błysk. -

Już wiem! W zeszłą sobotę, w tę samą, kiedy pisali o napadzie na staruszkę, w „Daily News” wydrukowali niewielki artykuł. Wygrał kupon loterii zakupiony w sklepie spożywczym na rogu Dziesiątej Ulicy i Alei B, ale właściciel jeszcze się nie zgłosił.

Lily zamilkła. Słyszała tylko ogłuszający trzepot własnych rzęs.

- Tak? - spytała i nie mogła już myśleć o niczym innym. Z kurka przy zlewie spadło kilka kropli wody. Przez okna wdierał się oślepiający blask słońca.

- Wyobrażasz sobie? „The News” drukuje te liczby codziennie w nadziei, że właściciel kuponu rozpozna i zgłosi się po wygraną. Osiemnaście milionów dolarów - zacmokała głośno. - Tylko sobie wyobraź. Drukują te liczby tak często, że zdążyłam się ich nauczyć na pamięć. Niektóre mogłabym wybrać sama.

Czterdzieści dziewięć: to rok, w którym przyjechałam do Ameryki, trzydzieści dziewięć: mój Tomasz wyruszył na wojnę. Czterdzieści pięć: mój marsz śmierci - raz jeszcze zacmokała z radości i rozczarowania. - Chodzisz do tego sklepu?

- Już nie.

- Może kupon zginął - powiedziała Claudia. - Może leży gdzieś w rynsztoku, bo wypadł z kieszeni właściciela. Liliput, obejdz wszystkie chodniki wokół swojego domu. Niepodpisany kupon to obligacja na okaziciela.

- Co takiego?

- Obligacja na okaziciela.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że należy do osoby, która go ma. Jeśli go znajdziesz, jest twój.

Dlaczego Lily natychmiast zapragnęła wrócić do domu i podpisać kupon?

- Jakie są szanse na znalezienie zwycięskiego kuponu, babciu?

- Większe niż wygrania na loterii - odparła poważnie Claudia. - Jak się miewa ta Amy? To ta, która spędziła z nami ostatnie Święto Dziękczynienia zamiast tego twojego nic niewartego chłopaka? Jak on się miewa?

29 Czy istnieją jacyś mężczyźni, którzy są cokolwiek warci? - pomyślała Lily, ale bała się zapytać, gdyż wyglądało na to, że akurat w przypadku Joshuy babcia się nie myliła. Najwyższa pora, by jej o wszystkim powiedzieć.

- Amy miewa się dobrze, a z... Joshuą jesteśmy już razem. Wyprowadził się miesiąc temu.

Babcia chwilę milczała, po czym wyrzuciła ręce w górę.

- Więc Bóg jednak istnieje - powiedziała.

Na twarzy Lily najwyraźniej nie malowała się równie wielka radość, gdyż Claudia rzekła:

- Daj spokój. Powinnaś się cieszyć, że się go w końcu pozbyłaś.

- No cóż... nie aż tak bardzo jak ty.

- To wałkoń. Musiałabyś go utrzymywać do końca życia, tak jak twoja siostra utrzymuje tego swojego nic niewartego chłopaka. - I bez przerwy na oddech dodała: - Czy Amy kończy z tobą studia za kilka tygodni?

- Nie ze mną - odparła wymijająco Lily. Nie chciała kłamać, ale nie miała też ochoty wyjawiać, że tak naprawdę tylko Amy skończy studia.

- Którego to dokładnie wypada?

- Chyba dwudziestego ósmego maja.

- Chyba?

- Wszystko jest w porządku, babciu, nie martw się.

- Chodź do salonu - powiedziała Claudia. - Chcę z tobą o czymś porozmawiać. Nie o wojnie. To zostawię sobie na sobotnią partyjkę pokera - uśmiechnęła się. - Przyjdziesz?

- Nie mogę. Muszę pracować. - Usiadły na pokrytej plastikową folią kanapie. - Babciu, mieszkasz tutaj już tak długo. Dlaczego nie zdejmiesz tej folii? Tak postępują ludzie, którzy gdzieś długo mieszkają.

- Nie chcę zabrudzić mebli. W końcu to tyje dostaniesz po mojej śmierci. Tak, tak, nie protestuj. Zostawię ci wszystkie moje meble. Przecież nie masz żadnych. A teraz przestań kręcić głową i spójrz, co mam dla ciebie.

Lily spojrzała. Babcia trzymała w palcach bilet lotniczy.

- Dokąd się wybieram?

- Na Maui.

Lily pokręciła głową.

- Och, nie. Nie ma mowy.

- Tak, Lily. Nie chcesz zobaczyć Hawajów?

- Nie! To znaczy tak, ale nie mogę.

- Kupiłam ci bilet otwarty. Możesz jechać, kiedy chcesz i na jak długo

**30**

zechcesz. Ale najlepiej będzie wybrać się tam zaraz, zanim załatwisz sobie jakąś poważną pracę. Dobrze ci to zrobi.

- Nie.

- Owszem. Ostatnio źle wyglądasz. Zupełnie jakbyś nie dosypiała. Jedź i opal się

trochę.

- Nie chcę spać, nie chcę się opalać, nie chcę nigdzie jechać.
- Twoja matka się ucieszy.
- Nie ucieszy się. A co z moją pracą?
- Czy Noho Star to jedyna knajpa na Manhattanie?
- Nie chcę znów szukać pracy kelnerki. Claudia ścisnęła ją za rękę.
- Musisz dać sobie spokój z tym kelnerowaniem, Liliput. Kończysz przecież college. Nareszcie, po sześciu latach! Ale teraz bardzo się przydasz swojej matce na Hawajach.
- Dlaczego tak sądzisz?
- Ujmę to tak- zaczęła wymijająco babcia. - Odnoszę wrażenie, że czuje się samotna. Amanda ma na głowie swoją rodzinę, Annę jest stale zajęta, ale nie mam pojęcia czym. Wiem, udaje, że pracuje, lecz dlaczego stale jest bez grosza? Twój brat też jest zajęty, ale ponieważ on rządzi naszym krajem, nie będę na niego krzyczeć, że tak rzadko dzwoni do matki. A ona czuje się bardzo samotna.
- Ale przecież jest z nią Papi. Przeszedł na emeryturę, żeby z nią być!
- No cóż, nie wiem, czy cały ten pomysł z emeryturą wyszedł im na dobre. Poza tym, znasz swojego ojca. Nawet jeśli tam jest, to tak jakby go nie było.
- Mówiliśmy im, żeby się nie przenosili na Hawaje. Opowiadaliśmy o infekcjach, o samotności i poczuciu izolacji.
- I co z tego? Mają sześćdziesiąt lat. Ty masz dwadzieścia cztery i nikogo nie słuchasz. Dlaczego oni mieliby to robić?
- Bo mieliśmy rację.
- Och, Liliput, gdyby wszyscy ludzie słuchali tych, którzy mają rację, na świecie nie byłoby smutku, a mimo to... mam ci raz jeszcze powiedzieć, co się wydarzyło w zeszłym tygodniu?
- Nie.
- Czy w tych historiach był smutek?
- Tak, trochę.
- To jedź do matki. Bo inaczej... tam też pojawi się smutek. Zobaczysz.

31 Lily wstała z pokrytej folią żółtej kanapy z lat czterdziestych, która kiedyś będzie do niej należeć.

- Tam już jest mnóstwo smutku, babciu.

Lily roztrząsała sprawę wyjazdu na Hawaje, jak roztrząsała wszystko - bardzo drobiazgowo. Amy przekonywała ją, że powinna koniecznie pojechać. Paul też był tego zdania. Rachel uważała, że raczej powinna pojechać. Rick z Noho Star zgodził się udzielić jej miesięcznego urlopu, pod warunkiem że pojedzie zaraz, zanim wszystkie dzieciaki wrócą z col-lege'ów i zacznie się letni ruch.

W czasie weekendu zadzwoniła do brata, by zapytać, co o tym sądzi. Telefon odebrała jego żona.

- Ach, to ty - powiedziała, po czym zakryła dłonią słuchawkę i zawołała:

-ANDREW! Twoja siostra!

Lily usłyszała, że brat o coś pyta, a Miera odparła:

- Ta, która zawsze potrzebuje pieniędzy.

Andrew wziął od niej słuchawkę i powiedział rozbawiony:

- Miero, postaraj się być bardziej precyzyjna. Lily też wybuchnęła śmiechem.

- Andrew, nie potrzebuję pieniędzy, tylko rady.



- Tego mi nie brakuje. Mogę nawet dorzucić kilka dolców, jeśli ci potrzeba. Sam dźwięk jego głosu wywoływał na jej twarzy uśmiech. Przez całe życie.
- Możemy się umówić na lunch w tym tygodniu?
- Nie mogę, obraduje Kongres. A o co chodzi? Sam miałem do ciebie zadzwonić. Nie uwierzysz, kto do mnie przyjechał.
- Dokąd?
- Do Waszyngtonu.
- Kto?
- Nasz ojciec.
- Co takiego?
- Zgadza się.
- Jest w Waszyngtonie? Dlaczego?
- No, widać, że jesteś córką dziennikarza. Zadajesz mnóstwo pytań. Ale nie mam pojęcia dlaczego. Wyjechał z Maui z dwiema wielkimi walizami. Chyba zastanawia się nad powrotem do pracy. Co dokładnie powiedział?

### 32

„To nic wielkiego, synu. Przyjechałem, żeby pomóc Greenbergerowi, który przejmuje moje obowiązki”.

- To znaczy...
  - To znaczy: Nie mogę wytrzymać już ani dnia dłużej z twoją matką.
  - O Boże. - Lily wbiła paznokcie w dłonie. - Nic dziwnego, że babcia kupiła mi bilet lotniczy na Maui. Ależ ona jest przebiegła. Nigdy nie powie bezpośrednio, o co jej chodzi. Zawsze coś knuje po cichu.
  - Chce, żebyś zrobiła to, co ona chce, ale żeby wyszło to od ciebie.
  - Nic z tych rzeczy. Kiedy Papi wraca? Nie chcę jechać, jeśli jego tam nie będzie.
  - To będziesz musiała czekać do końca życia. Nie sądzę, żeby tam wrócił.
  - Przestań.
  - Gdzie jesteś?
  - W domu. Dlaczego pytasz?
  - Jesteś... sama?
  - Tak - zniżyła głos. - Co chcesz mi powiedzieć?
  - Siedzisz?
  - Tak.
  - Jedź na Maui teraz, Liliput. Nie mogę uwierzyć, że to mówię. Ale powinnaś tam jechać. Naprawdę. Wyjedź na jakiś czas z miasta.
  - Ja też nie mogę uwierzyć, że to mówisz. Ty sam jakoś się nie wybierasz.
  - Pojechałbym, ale mam mnóstwo pracy. Pewnie bym się opierał, ale w końcu bym pojechał.
  - No właśnie.
  - Czy wspominałem, że... chętnie bym się opierał?
- Pośmiali się chwilę, a potem podjęli decyzję - Andrew będzie pracował nad ojcem w Waszyngtonie pomiędzy przewodniczeniem pracom swojej komisji i wspieraniem ustawy 2740 dotyczącej dopłat dla farm, a Lily pojedzie na Hawaje i postara się uspokoić matkę pomiędzy opalaniem się na plaży i wrywaniem włosów z głowy.
- Andrew, czy to prawda, co mówiła mi Amanda? Będziesz startował jesienią w wyborach do Senatu z Nowego Jorku?

- Zastanawiam się nad tym. Na razie rozważam możliwości, organizuję komitet. Nie chcę tego robić, jeśli nie mam żadnych szans.

**33-** Och, Andrew. Jak ci mogę pomóc? Chętnie znów włączę się w kampanię. Razem z Amy.

- Będziecie zbyt zajęte swoim własnym życiem, żeby pomagać mi jesienią. Kończycie przecież studia, musicie się rozejrzeć za jakąś przyzwoitą pracą. Ale mimo to dziękuję. Muszę już kończyć. Zadzwoń do ciebie na Maui. Chcesz, żebym ci przesłał trochę pieniędzy?

- Bardzo proszę. Tysiąc? Oddam na pewno.

- Jasne. Po to kupujesz co tydzień kupony na loterię? Żeby mi oddać dług?

- Wiesz, przestałam je już kupować. Kocham cię.

- Ja też cię kocham, malutka.

**2**

## **ACH, HAWAJE**

Hawaje. Hawaje to nie Polska. Nie przypominają wilgotnych, zimnych, pełnych komarów terenów rozciągających się na północ od Gdańska, gdzie w czasie wojny urodziła się Allison. Hawaje to przeciwieństwo Polski. Dwa lata temu rodzice Lily pojechali na Maui, by rozpoznać teren i po krótkiej wizycie wrócili jako właściciele wartego dwieście tysięcy dolarów apartamentu. Najwyraźniej w ciągu dwóch tygodni dowiedzieli się o Maui wszystkiego - jak bardzo im się tam podoba, jak jest pięknie, jak czysto, cicho, jak świeże są owoce mango sprzedawane na straganach, jak cudownie smakuje surowy tuńczyk, jak ciepła jest woda i jak bardzo będą szczęśliwi, mieszkając tam po przejściu George'a na emeryturę.

Lily wiedziała, jak czuje się ojciec na emeryturze. Cieszy się nią dopiero teraz w stolicy, w wynajmowanym przez Kongres mieszkaniu swojego jedyne syna. Nie miała za to pojęcia, jak czuje się na Hawajach matka, bo ta nie przyjechała na lotnisko Kahului, żeby ją odebrać. Kiedy już odczekała odpowiednią ilość czasu - czyli dokładnie półtorej godziny, ani sekundy więcej - zadzwoniła do matki, której głos w słuchawce brzmiał tak, jakby dopiero się obudziła. Lily wzięła taksówkę. Wąska droga wśród gór prowadząca na część wyspy, na której mieszkali rodzice, była bardzo malownicza, lecz rozczarowanie Lily z powodu nieobecności matki na lotnisku odbierało jej nieco uroku.

**34**

Nacisnęła przycisk dzwonka, po czym czekała przez dobrych kilka minut. Skończyło się na tym, że sama musiała zapłacić taksówkarzowi (trzydzieści pięć dolarów!!! - równowartość napiwków zbieranych podczas czterogodzinnej zmiany). Nacisnęła klamkę. Drzwi były otwarte. Matka leżała na łóżku w sypialni i za nic nie dała się obudzić.

Po kilku godzinach wyszła z pokoju. Lily oglądała telewizję.

- Jesteś tutaj - powiedziała matka, przytrzymując się barierki przy dwóch stopniach prowadzących z holu do zalanego słońcem salonu.

Lily wstała.

- Mamo, miałaś mnie odebrać z lotniska.

- Nie wiedziałam, że przyjeżdżasz dzisiaj - odparła matka. - Myślałam, że dopiero jutro - mówiła bardzo wolno. Miała na sobie szlafrok, a krótkie włosy były siwe.

Przestała je farbować. Twarz była nabrzmiała, a oczy tak spuchnięte, że niemal nie było ich widać.

Lily już zamierzała podnieść głos, rzucić kilka ostrych uwag, ale matka naprawdę wyglądała-okropnie. Nie przywykła do tego. Matka zwykle była idealnie uczesana, idealnie umalowana, idealnie ubrana, po prostu idealna. Lily odwróciła wzrok i znów spojrziała na ekran telewizora. Allison stała przez chwilę, po czym wyprostowała ramiona i wyszła z pokoju. Niedługo potem Lily wstała i poszła się położyć do pokoju ojca. Babcia miała oczywiście rację - trzeba tu było coś naprawić. Ale Lily była dzieckiem, a Allison matką. Zadaniem dziecka nie było naprawianie matki. To matka powinna naprawiać swoje dziecko. Taki był naturalny porządek rzeczy we wszechświecie.

Następnego ranka Allison wyszła ze swego pokoju wykąpana i świeża, z tuszem na rzęsach i szminką na ustach. Wyszczotkowane włosy zaczesła do tyłu i wyskubała brwi. Pomalowała nawet paznokcie. Przeprosiła za wczorajsze nieporozumienie i zrobiła Lily jajka i kawę. Przez chwilę rozmawiały o życiu Lily w Nowym Jorku i wtedy właśnie Lily zdecydowała się przekazać matce złe wieści. Nie skończy studiów w tym roku, bo nie zdobyła wystarczającej liczby zaliczeń.

- Ilu ci brakuje? - spytała Allison.

- Kilku.

- Poczekaj, aż ojciec się dowie.

- Mamo, nie możesz wciąż straszyć mnie ojcem. Mam dwadzieścia cztery lata.

- A tak nawiasem mówiąc, zauważyłaś, że ojca tu nie ma? Lily zakaszła cicho.

**35-** Zauważyłam. Andrew powiedział mi, że jest w Waszyngtonie. Teraz zakaszła Allison.

- Tak, mniej więcej. Powiedział, że chce zacząć działać jako wolny strzelec. Że Andrew poprosił go o pomoc w przygotowaniu jesiennej kampanii. To wszystko kłamstwa. Obaj kłamią i tyle.

Wstała i wyszła do swojego pokoju. Kiedy Lily zapukała do drzwi i spytała, czy wybiera się na plażę, matka odparła, że nie ma ochoty nigdzie iść.

Plaża na Maui po części złagodziła niesmak, jaki Lily czuła w ustach. Wyobrażała sobie, że jest tutaj z Joshua, mają dużo pieniędzy, samochód, nurkują, obserwują wieloryby, o świcie jadana rowerach na szczyt wulkanu, wędrują po lasach tropikalnych, pływają w wodzie, która w jej zachwyconych oczach przypominała płynne złoto. To wystarczyło, by popadła w depresję na myśl o swojej sytuacji i zapomniała na dobre o matce. Czyż można jednak wymagać od rajy czegoś więcej niż zapomnienia o kłopotach matki i przypomnienia sobie własnych?

O dziwo, Hawaje potrafiły uleczyć nawet największe rozczarowania, gdyż wyglądały i pachniały tak, jakby Bóg obserwował je z bardzo bliska. Lily jeszcze nigdy nie widziała wody tak zielonej, nieba tak niebieskiego ani tak czerwonych rododendronów. Nigdy nie widziała osoby szczęśliwszej od faceta, który czytał książkę, leżąc w hamaku, w ogrodzie wychodzącym na ocean. Lily nie miała pojęcia, jak w ogóle może czytać. Przecież trudno było oderwać oczy od tego oceanu. Było jej bardzo gorąco, a kiedy weszła do wody, wcale nie poczuła chłodu. Woda i powietrze miały tę samą temperaturę. Kiedy skończyła pływać i wyszła na brzeg, nie czuła, że jest mokra. Pomyślała, że nie uda się jej opalić w tak łagodnym klimacie. Jednak kiedy odsunęła ramiączko kostiumu, dostrzegła biały pasek, a obok niego skórę, która z pewnością nie była biała. Ucieszona wróciła do domu, gotowa na konfrontację.

Jednak Allison nadal leżała w łóżku w ciemności i chłodzie, więc Lily, nie chcąc jej

przeszkadzać, poszła do swojego pokoju. Była dopiero czwarta po południu. Zdrzemnęła się, a kiedy o szóstej weszła do salonu, umalowana i starannie uczesana matka prasowała spódnice.

- Masz coś ładnego do ubrania? - spytała. - A może chcesz, żebym ci pożyczyła? Zabiorę cię do cudownej kafejki nad oceanem, do której czasami chodzimy z ojcem. Jest jednak elegancka i nie możesz tam iść w tym bikini, które masz na sobie.

- Przywiozłam sukienkę.

36

- No to chodźmy. Podają tam wspaniałe homary.

Poszły elegancko ubrane i wypachnione. Kiedy Lily patrzyła jak matka, szczupła i wysoka, w sandałkach na szpilkach, uśmiecha się do szefa i wsparta na jego ramieniu idzie do stolika na plaży, pomyślała, że ojciec ma rację - kiedy Allison jest w formie, żadna kobieta, bez względu na wiek, nie może się z nią równać. Annę, Amanada i Lily odziedziczyły jej niezwykłą urodę, lecz podzieloną na trzy części, tymczasem matka miała ją całą dla siebie - gęste, falujące, miedziane włosy, szeroko rozstawione, lekko skośne szare oczy, królewski nos, wysokie kości policzkowe, idealnie wykrojone usta i całą elegancką resztę. Amanda dostała włosy i nos, Annę wzrost, kości policzkowe i szczupłą sylwetkę. Annę odziedziczyła więc całkiem sporo. Lily nie miała wzrostu matki, kości policzkowych, włosów i szarych oczu. Jej własne były tylko lekko skośne. Po matce odziedziczyła za to delikatnie wykrojone usta oraz zgrabną, długą szyję i ramiona.

- Nie czuję się dobrze, Lii - powiedziała Allison, zanim nalano im wodę. - Przez to lekarstwo na żołądek czuję się parszywie. Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle je biorę.

- To dlaczego je bierzesz?

- Dlaczego, dlaczego. Bo lekarz mi kazał. Mam wielki problem z żołądkiem.

Wiesz, jaka jestem chora.

Lily patrzyła przed siebie. Dziesięć lat temu Allison przeszła nagłą operację z powodu pękniętego wrzodu. Dziesięć lat temu!

- Nie zapytałaś mnie o Joshuę, mamó.

- Jak się więc miewa ten twój Joshua?

- Zerwaliśmy. A raczej to on zerwał ze mną.

- Tak? Dlaczego? Myślałam, że świetnie się dogadujecie. - Allison starała się bardzo, by jej głos nie brzmiał obojętnie.

- Okazało się, że nie tak znowu świetnie. Chyba nie potrafiłam go słuchać jak należy. A on chciał tylko mówić o sobie.

- No cóż, znajdziesz sobie kogoś innego. Jesteś jeszcze taka młoda - westchnęła dramatycznie. - W przeciwieństwie do mnie. Jestem straszliwie przygnębiona, Lily.

Jasne, że tak.

- Mamó, jak możesz być przygnębiona w takim miejscu? Rozejrzyj się. - Jeśli przygnębienie oznaczało brak kolorów, to na Hawajach zdecydowanie był ich nadmiar.

- Och, co mi tam Hawaje? Jestem taka nieszczęśliwa. Nie wiesz, że smutek zawsze nosi się w sobie, bez względu na miejsce?

**37**Lily wiedziała. Dla Hemingwaya Paryż był ruchomym świętem. Dla jej babki była nią Polska - synonim apokalipsy, niegodziwości i kiełbasy. Ruchomym świętem jej matki było nieszczęście.

Nie, tylko nie to.

- Dlaczego jesteś nieszczęśliwa? - spytała, usiłując zachować spokój. Nie chciała, by w jej głosie zabrzmiało zniecierpliwienie, które zawsze pojawiała się podczas rozmów z matką. - Dlaczego jesteś nieszczęśliwa? Masz takie cudowne życie. Nie musisz pracować. Nie musisz martwić się o pieniądze. Możesz podróżować, czytać, pływać, łowić ryby. Masz wszystko, czego ci potrzeba, i jeszcze kochającego męża.

Allison znów westchnęła ciężko.

- Mamo, Papi cię kocha.

- Och, Lily, jesteś taka naiwna - pokręciła głową i wbiła wzrok w talerz. - Czym jest ta miłość, o której mówisz? Kiedyś, to prawda, kochaliśmy się z twoim ojcem. Ale to było tak dawno temu. - Zasznurowała usta. - Twój ojciec jest bardzo okrutny. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Przyniesiono homary. Lily próbowała sobie przypomnieć pierwsze szesnaście lat życia spędzone z rodzicami.

- Papi wcale nie jest okrutny.

Chciała powiedzieć, że jest zbyt bierny, żeby mógł być okrutny.

- To właśnie miałam na myśli, kiedy mówiłam, że jesteś naiwna! Jak mogę z tobą o tym rozmawiać, jeśli ty mnie w ogóle nie słuchasz.

- Słucham - odparła Lily, żałując jednocześnie, że tak jest. Dziobała homara widelcem. Matka zupełnie przestała jeść.

- Ojciec jest bardzo apodyktyczny i niemiły. Nie rozumie wcale mojego przygnębienia, nie rozumie, jak bardzo jestem nieszczęśliwa, a co gorsza, w ogóle o to nie dba. Zachowuje się zupełnie jak ty. Twierdzi, że nie mam najmniejszego powodu, by popadać w przygnębienie.

- Mamo - zaczęła cicho Lily. - Odpowiedz mi. Odpowiedz jemu. Z jakiego to powodu popadasz w tak wielkie przygnębienie?

W oczach Allison błysnęły łzy.

- Moje całe życie to jedna wielka porażka.

- Dlaczego tak mówisz?

Lily żałowała, że nie wpadła w złość. Bardzo tego pragnęła. Gdyby słyszała to po raz pierwszy, na pewno byłaby wściekła. Za chwilę matka jednym machnięciem ręki odsunie od siebie czwórkę udanych dzieci, które wychowała, sześcioro wnucząt, szczęśliwe życie, jakie wiodą jej dzieci, syna kongresmana! Wspomni za to o pracy, której nie dostała, gdy zaszła

### **38**

w ciąży z Lily, jakby ta praca mogła uleczyć całe zło. Wspomni o ojcu Lily i o tym, jak całe jej życie kręciło się wokół niego.

- Był drzewem, w którego cieniu żyliśmy wszyscy przez całe lata. Powiedziała to Allison, czy też w głowie Lily rozległ się przemawiający stanowczo głos?

Spojrzała na matkę, która skinęła głową.

- Tak, to prawda. Ty też żyłaś w jego cieniu. Jego i Andrew. Nie mam pojęcia, dlaczego wy, dziewczęta, tak bardzo kochacie Andrew. On nigdy nie miał dla was

czasu. A już na pewno dla ciebie. Raz w miesiącu zabierał cię do kina, a ty uważałaś to za dar od samego Boga. Dlaczego? Ja spędzałam z tobą całe dni, chodziłyśmy na spacer do parku, zabierałam cię na rower, na łyżwy, do kina, księgarni, a nigdy nie spojrzałaś na mnie nawet w najmniejszej części tak czule, jak na niego. A teraz pytasz, dlaczego jestem taka rozgoryczona.

- Nie pytałam — odparła Lily.

- Mój syn... a nawiasem mówiąc, wszystko u niego w porządku? Teraz, kiedy ojciec wyjechał, w ogóle do mnie nie dzwoni.

- Nie dzwoni do nikogo.

- A ty jaką masz wymówkę? Albo twoje siostry? Żadna z was do mnie nie dzwoni. Amanda ma całą gromadę dzieciaków, a dzwoni do mnie najczęściej, czyli bardzo rzadko. Tylko poczekaj, aż będziesz w moim wieku. Mam nadzieję, że Bóg ześle ci córki tak niewdzięczne jak ty.

Lily marzyła, by znaleźć się w jakimkolwiek innym miejscu, tylko nie tu. Czyż nie wolimy spać w wygodnym łóżku, a nie na desce nabijanej gwoździami?

- Mamo, mogłaś mieszkać w Nowym Jorku i widywać nas co tydzień. Ale przeniosłaś się na Hawaje. Czego ty tak naprawdę chcesz?

- Umrzeć - powiedziała Allison. - Czasami pragnę tylko tego; wyrwać się z tych przerażających ciemności. - Ujęła Lily za rękę. - Córeczko, czasami myślę o samobójstwie, ale za bardzo boję się Boga. Myślę o samobójstwie co dnia.

Lily cofnęła rękę. Czy można to było potraktować jako molestowanie psychiczne? Chyba tak.

- Nie mogę uwierzyć, że mi to mówisz.

- Córki powinny być przyjaciółkami starych matek i stanowić dla nich oparcie.

- Chyba najpierw powinny być córkami. Nie mogę uwierzyć, że opowiadasz mi o tym, że chcesz umrzeć. Rozumiesz, że to jest z gruntu złe?

39Gdyby tylko słyszała to po raz pierwszy. Pamiętała jednak doskonale, że gdy miała trzynaście lat, matka zabrała ją do sypialni i powiedziała, że ma przed sobą tylko trzy miesiące życia. Mimo to, za każdym razem gdy to słyszała, czuła, że słyszy po raz pierwszy.

- Nie mówię ci tego, by cię zdenerwować, ale po to, żebyś była przygotowana.

Żebyś wiedziała, że to nie wydarzyło się ot tak, bez powodu. Gdyby twój ojciec był inny, może i moje życie wyglądałoby inaczej. Gdyby tylko mnie rozumiał, potrafił mi współczuć.

- Mamo, przez ponad czterdzieści lat ojciec zapewniał nam utrzymanie. Karmił nas, ubierał, płacił za college.

- Ale stać go było tylko na to, żeby posłać cię do City College - powiedziała Allison. - Dla ciebie już nic nie zostało.

- City College jest w porządku.

- A ty odpłacasz mu za jego dobroć, nie kończąc studiów w terminie. Wiesz, że nie stać nas na to, by cię utrzymywać. Płacimy za twoje mieszkanie i za mieszkanie babci. Płacimy podatki i utrzymujemy ten apartament. Jesteśmy zupełnie splukani, bo opłacamy trzy mieszkania.

- Załatwię sobie dodatkową pracę w Noho Star. Poradzę sobie.

- Zgoda, ale co będzie z babcią? Ona nigdzie się nie wybiera, prawda?

- Chyba nie. Nie, twoja matka zdecydowanie nigdzie się nie wybiera. Allison nie powiedziała ani słowa i udawała, że pracowicie obiera

homara.

- Nie mogę uwierzyć, że nie skończyłaś studiów. Sześć lat poszło na marne. Sześć lat college'u, żebyś mogła zmywać gary w jakiejś knajpie. Mam nadzieję, że przynajmniej w tym jesteś dobra. Z pewnością odebrałaś na tyle dobrą edukację, by w tym celować.

Lily nie mogła przełknąć już ani kawałka homara. Co Andrew powiedział? Że powinna pojechać na Hawaje i pocieszyć matkę? Czy kiedykolwiek w historii wszechświata ktoś wpadł na równie głupi pomysł? Ona zupełnie się do tego nie nadawała.

Kiedy następnego popołudnia zapukała do drzwi sypialni matki, żeby zaproponować jej wspólne wyjście na plażę, Allison leżała w łóżku.

- Byłam już na plaży. Nie chcę nigdzie iść.

- Ale nie byłaś tam ze mną. Chodź.

- Zostaw mnie w spokoju, dobrze? - zawołała ostro Allison. - Zachowujesz się zupełnie jak ojciec. Przestań mnie zmuszać do robienia jakichś głupich rzeczy.

#### **40**

Lily poszła sama. Jak zdoła przetrwać jeszcze jeden dzień?

Ale to przecież Hawaje. Hawaje! Lasy tropikalne i wulkany. Co woli: wczorajszą rozmowę przy kolacji czy samotną wyprawę na plażę? Odpowiedź była jasna.

I tak chodziła sama na plażę, na lunch, na spacerów wśród palm, samotnie oglądała zachody słońca i przesiadywała nad basenem.

Dni mijały. Lily miała problemy z koncentracją. Nie mogła nawet szkicować. Raz po raz rysowała te same palmy. Węgiel był dla Hawajów obrazą, akwarele nie oddawały im sprawiedliwości, a nie miała farb olejnych ani płótna. Miała tylko węgiel i szkicownik, a na Maui nie było niczego, co mogłaby rysować węglem, z wyjątkiem wnętrza mieszkania matki i liczb: 1,18,24,39,45,49.

Andrew nie zadzwonił, by powiedzieć, jak się mają sprawy z Papi. Nie dzwoniła Amy. Nie miała też żadnych wiadomości od Joshuy.

Przez całe długie godziny myślała o przekleństwie, jakie niósł ze sobą kupon loterii.

Wierzyła, że wszechświat czasem objawia przed ludźmi tajemnice, czasem otwiera swoją niezmierną otchłań.

Większość ludzi wie o spokojnym życiu, w którym nic się nigdy nie dzieje. Ale w niektórych rodzinach zdarzają się tragedie - wypadki samochodowe, katastrofy lotnicze, wypadki na lotni, bójki na noże, utonięcia, szaliki wplątujące się w koła rolls-royce'ów. Uroczą dziewczyną w wieczorowej sukni podczas balu na zakończenie studiów stoi w udekorowanej sali i nagle z sufitu odrywa się stalowa rurka, która spada i przebija jej czaszkę! Absolwent szkoły średniej w drodze do Cornell stoi na rogu ulicy w Nowym Jorku i nagle znajduje się w samym środku napadu. Zabiła go zabłąkana kula - jedyna, jaką wystrzelono. Lily nie martwiła się starością ani chorobami dziedzicznymi. Martwiła się, że pewnego dnia wszechświat się otworzy i zapanują nad nią demony.

Wierzyła, że otchłań, która wyrzuca z siebie tragedie, potrafi również wyrzucić kupon loterii. Wymykające się spod kontroli samochody podczas świątecznych parad. Na oku pojawia się plamka słońca i nagle - bum! -twoje dziecko nie żyje. Katastrofy lotnicze, karambole z udziałem dziesięciu samochodów, uderzające znieścierpiałe pioruny, śmiertelne infekcje po niewinnym dniu spędzonym na farmie

i 1, 18, 24, 39, 45, 49. Wszystko z tego samego miejsca. I wszystko prowadzi do tego samego - do destrukcji.

Lily Quinn była dumna, że jest dziewczyną, która przez całe życie nigdy niczego nie wygrała. Jej karma zadbała o to, by zajmowała pozycję antywycieczki 41grywacza. Mogła być pewna, że cokolwiek weźmie w ręce, na pewno nie wygra. Nie potrafiła nawet wygrać darmowej paczki papierosów podczas wycieczki do fabryki Philipa Morrisa w Karolinie Północnej. Nie potrafiła też wygrać wolnego od pracy domowej weekendu, mimo że ubiegało się o niego dziesięciu studentów, a profesor wylosował trzy nazwiska. Nigdy nie wyciągnęła długiej zapalki. Pewnego dnia wzięła udział w konkursie zorganizowanym przez Annę pod hasłem: „Jak dobrze znasz swoją siostrę”, i zajęła trzecie miejsce!

49 - rok, w którym jej babcia i matka przyjechały do Ameryki

45 - koniec wojny, która na zawsze odmieniła świat

39-jej początek

24 - wiek Lily. W zeszłym roku skreśliła 23

18 - jej ulubiona liczba 1 - bo to najbardziej samotna cyfra

Od sześciu lat kupowała kupony na loterię i skreślała liczby, które coś dla niej znaczyły. Nie robiła tego powodowana nadzieją wygranej, lecz po to, by podkreślić porządek swojego cichego wszechświata. Bo wierzyła święcie, że Siła, która nie pozwoli nigdy wylosować skreślonych przez nią liczb, nie pozwoli także, by przeszła ją cienka stalowa rurka.

Lily nie mogła rysować ani czytać, skoncentrowała więc wszystkie wysiłki, by się ładnie opalić. W zacisznej, odosobnionej części plaży w pobliżu Wailea, zdejmowała górę od bikini i opalała się topless, osiągając bardzo satysfakcjonujące rezultaty. Po blisko trzech tygodniach miała piersi jak Brazylijka, nawet sutki były ciemnobrązowe.

W pierwszym tygodniu czerwca po powrocie z plaży siedziała na tarasie, zastanawiając się, co robić przez resztę dnia - dzień ciągnął się bowiem w nieskończoność - gdy zadzwonił telefon. Telefon nigdy tu nie dzwonił! Lily była tak podekscytowana, że o mało nie przewróciła krzesła, gdy biegła podnieść słuchawkę.

- Halo? - powiedziała zachęcająco niskim głosem.
- Liliannę Quinn? - zapytał nieznany męski baryton po drugiej stronie.
- Tak- rzekła już ciszej, głosem, który nawet dla niej zabrzmiał obco.
- Mówi detektyw o'Malley z policji nowojorskiej. Dzwonię w sprawie pani współlokatorki, Amy McFadden.

Podniecenie natychmiast ustąpiło miejsca niepokoju.

**42**

- Tak? Co się stało? - Z jego tonu wywnioskowała, że Amy mogła zostać ranna w wypadku samochodowym.
- Czy miała pani od niej jakieś wiadomości?
- Nie - zawiesiła głos. - Jestem na Hawajach.
- Wiem - odparł detektyw. - Przecież właśnie do pani dzwonię.
- Zgadza się.
- Co się stało?
- Wygląda na to, że Amy zniknęła.
- Och - Lily natychmiast się uspokoiła. - Hmm. Sprawdzał już pan u jej matki?



- To właśnie matka zgłosiła zaginięcie i dlatego dzwonię do pani. Zgodnie z relacją Jan McFadden, Amy od trzech tygodni nie pokazała się w domu. Wielokrotnie próbowali skontaktować się z nią w mieszkaniu, ale bez powodzenia. Czy przypomina sobie pani, kiedy widziała ją pani po raz ostatni?
- Nie wiem - odparła Lily. - Będę się musiała zastanowić. Po drugiej stronie zapadła cisza.
- Zastanawia się pani nad tym teraz?
- Detektywie, nie mam pojęcia. Jestem tutaj od trzech tygodni. Widziałam ją chyba tuż przed wyjazdem.
- Kiedy to było?
- Nie... nie pamiętam. - Słońce spod zwrotnika Raka wymazało jej z pamięci wszystkie daty. - Czy mogę się nad tym zastanowić i zadzwonić do pana później?
- Tak, ale proszę zrobić to szybko.
- Albo... - Nagle coś przyszło jej do głowy. - Uważa pan, że powinnam wrócić? Czy chce pan porozmawiać ze mną o czymś osobiście?
- Chyba nie. A powiniennem?
- Tak. Chyba powinnam wrócić. Będę mogła podać panu więcej szczegółów.
- Doceniam to, panno Quinn. Sprawa wydaje się bardzo poważna. Lily nie podzielała jego opinii, ale ten detektyw nie znał przecież Amy.
- Chce pan, żebym wróciła natychmiast? Im szybciej, tym lepiej?
- No cóż...
- Oczywiście. To nagły wypadek. Z chęcią panu pomogę. Wrócę dziś wieczorem. Czy to wystarczy?
- Tak. Przykro mi, że przeze mnie opuści pani Hawaje. Tak naprawdę nie musi pani...

**43-** Muszę. To żaden problem. Bardzo chcę pomóc. Gdzie mam przyjść?

- Na dziewiąty posterunek przy Piątej Ulicy, między Pierwszą i Drugą Aleją. Proszę pytać o mnie.

- Czy może mi pan przypomnieć swoje nazwisko?

- Detektyw O'Malley. Spencer Patrick O'Malley.

Lily zadzwoniła do biura United Airlines, by sprawdzić najbliższe połączenie. Samolot odlatywał za cztery godziny. Spakowała się w czterdzieści pięć minut i wezwała taksówkę.

Z trudem wyniosła walizkę. Matka siedziała na tarasie. Palila papierosa i popijała sok żurawinowy.

- Muszę wracać do Nowego Jorku. Coś... coś się wydarzyło- powiedziała Lily i nie chciała zdradzać więcej szczegółów. - To był telefon z policji.

- Policji? Co się stało? Co zrobiłaś?

- Nic. Ale nie mogą znaleźć Amy. Policja chce ze mną porozmawiać.

- Nie mogą zrobić tego przez telefon?

- Nie. To poważna sprawa. - Choć wypowiedziała te słowa, ani przez chwilę nie wierzyła, że to prawda.

Nie martwiła się o Amy. Pomyślała, że jej zniknięcie to sprawka karmy, która chciała ją wyrwać z Maui.

Z poczuciem wielkiej ulgi wsiadła do taksówki. Kiedy samolot znalazł się w powietrzu, po raz pierwszy od trzech tygodni odetchnęła swobodnie. Była pewna, że kiedy wróci do domu, Amy będzie już tam na nią czekać.

### 3

#### GODZINA NA DZIEWIĄTYM POSTERUNKU

Kiedy Lily wróciła do domu, nie zastała przyjaciółki, ale ich mieszkanie wyglądało tak, jakby policja spodziewała się znaleźć Amy w szafie Lily. Do ściany w holu przyklejono kopię nakazu rewizji. W pokoju Lily panował porządek - choć odniosła wrażenie, że wszystkie jej rzeczy były nie tylko dokładnie oglądane, ale i dotykane - lecz pokój Amy dosłownie przewrócono do góry nogami. Lily nawet się nie rozpakowała i tak jak stała - w białym topie na

#### 44

cieniutkich ramiączkach, króciutkim kremowym sweterku i dżinsowej minispódnicy - ruszyła na posterunek. Podała swoje nazwisko i czekała dziesięć minut, aż pojawił się tęgi, zdyszany mężczyzna.

- Detektyw o'Malley? - spytała, wyciągając rękę.

- Nie. Mój partner zawsze mnie wysyła. Uważa, że przyda mi się trochę ruchu.

Jego dłoń była lepka i wilgotna. Lily szybko cofnęła swoją.

- To miło, że partner tak się o pana troszczy.

Spojrzała na niego uważnie. Poczowała ulgę na myśl, że to nie ten detektyw prowadzi sprawę. Był zaniedbany i sprawiał wrażenie, jakby się cały lepiał; cienkie, długie włosy aż prosiły się o kontakt z wodą albo przynajmniej z grzebieniem; był bardzo wysoki, lecz niezgrabny, lekko pochylony w prawą stronę, przy czym głowa przechylała się na lewo. Jego brzuch był tak wielki, że nie mieścił się pod białą koszulą. Razem z nią przelewał się nad paskiem spodni. Lily miała szczerą ochotę powiedzieć mu, by trochę się ogarnął, a przynajmniej wsunął koszulę w spodnie. Nie sprawiał wrażenia rubasznego ani zadowolonego życia; był po prostu nieszczęśliwym, grubym człowiekiem.

- Detektyw Harkman - powiedział, ciężko dysząc, skinieniem ręki dając znak, by poszła za nim. W tej chwili poczuła przykry zapach, który natychmiast rozpoznała jako kwas moczowy. Detektyw Harkman cierpiał na skazę moczanową - jego ciało nie radziło sobie z metabolizmem odpadów azotowych, stąd wydzielany przez nie kwaśny zapach. Jej dziadek ze strony ojca cierpiał na to pod koniec życia.

Bezwiednie wstrzymywała oddech, wspinając się za nim na trzecie piętro (Co, nie macie tu windy? - spytała. Możemy mieć albo windy, albo pensje - odparł), i sama była mocno zdyszana, kiedy weszli do wysokiego, dużego pokoju, w którym stało dwanaście zarzuconych papierami biurka. Za jednym z nich siedział mężczyzna, który nie był ani tęgi, ani zdyszany.

- Liliannę Quinn? - wstał i wyciągnął rękę. - Jestem detektyw o'Malley. - Nie cierpiał też na skazę moczanową.

Lily podniosła wzrok. Uścisk jej dłoni musiał mu się wydać bardzo oficjalny i niepewny. Jego był zdecydowany. I mimo panującego w pokoju upału dłoń miał suchą.

Lily zazwyczaj potrafiła bez trudu odgadnąć wiek osoby, z którą miała do czynienia, lecz w przypadku detektywa o'Malleya napotkała spore trudności.

Poruszał się jak młody człowiek - szczupły, co mógł zawdzięczać uprawianiu sportu lub kiepskiej diecie - ale jego oczy były stare. Około

45 czterdziestki, na pozór zupełnie pozbawiony poczucia humoru, choć mogła to być tylko poza - w jej obecności chciał zachować daleko idącą powagę. Miał gęste brązowe włosy, lekko siwiejące na skroniach, i nosił okulary w czarnych

metalowych oprawkach; zdjął je, gdy się z nią witał. Szara marynarka wisiała na oparciu krzesła. Nierzucający się w oczy szary krawat był rozluźniony, a dwa górne guziki przy białej koszuli rozpięte. Wszystkie okna w pokoju otwarto na oścież i do środka wpadał gorący wiatr. O'Malley wstał, zapiał koszulę, poprawił krawat i włożył marynarkę. Lily zauważyła wsunięty do kabury pod ramieniem wielki rewolwer.

- Może wejdziemy tam - powiedział, wskazując na drzwi z napisem: Pokój przeszuchań 1.

Był o połowę szczuplejszy od swojego partnera, choć Lily nie wiedziała, czy to nie przez porównanie. Nie, był zdecydowanie szczupły i nie wyglądał na człowieka, który ma czas na uprawianie sportu. Na jego biurku piętrzył się wysoki na pół metra stos papierów. Może od czasu do czasu grał w baseball. Wyglądał na szybkiego. Czy zawodnicy noszą okulary? A może grał w piłkę nożną? Zajmując swój lekko zaniepokojony umysł takimi obserwacjami i myślami, Lily weszła za detektywami do pokoju. Miała nadzieję, że działa tam klimatyzacja, ale przekonała się, że panuje tam jeszcze większy upał, a wszystko przez wielki wiatrak pod sufitem, który tylko mieszał duszne powietrze. Oparła się impulsowi, by wysunąć głowę za okno i zacząć dyszeć jak labrador. Jej sweterek był zdecydowanie za ciepły jak na to małe pomieszczenie, ale nie miała ochoty go zdejmować w obecności dwóch policjantów i pozostać jedynie w skąpym topie. Detektyw O'Malley poprawił okulary, poprosił, żeby usiadła (usiadła) i zapytał, czy podać jej coś do picia (odmówiła, choć miała ochotę). Bębniąc ołówkiem w blat stołu, oparł stopy na stojącym obok krześle i rzekł:

- Proszę mi powiedzieć wszystko, co pani wie.

- Nic nie wiem. - O mało nie zaczęła się jąkać. Co to za pytanie? — Wja-kiej sprawie?

- Miejsca pobytu Amy.

- Tego nie wiem.

- Dlaczego pani się nie martwi? Jej matka odchodzi od zmysłów z niepokoju.

Amy nie poszła na uroczystość rozdania dyplomów. O ile wiem, pani też tam nie było, prawda?

- Nie.

46

Nie zamierzała opowiadać obcemu człowiekowi, dlaczego tak się stało. Ale przecież ten detektyw wiedział, że była na Hawajach, musiał więc też wiedzieć, że nie poszła na uroczystość. Spojrzała na niego, mrużąc oczy. Jego w odpowiedzi się rozszerzyły. Były niesamowicie niebieskie. Wydawały się wiedzieć wszystko i wszystko rozumieć. Nawet nie musiała otwierać ust. To dlaczego wpatrywał się w nią tak uporczywie, oczekując odpowiedzi??

- Dlaczego? - spytał. No, jadą nasi.

- W przeciwieństwie do Amy nie zrobiłam dyplomu - odchrząknęła cicho. -

Muszę jeszcze zdobyć kilka zaliczeń.

- Nie jest pani na ostatnim roku?

- Jestem. - Spuściła wzrok na blat stołu. - Ale go nie skończyłam.

- Rozumiem.

Nie patrzyła na niego, więc nie wiedziała, czy naprawdę rozumie. Och, założy się, że rozumiał wszystko. Chciał tylko patrzeć, jak się wije.

- Ile pani ma lat, panno Quinn?
  - Dwadzieścia cztery.
  - Czy zaczęła pani studiować później? Amy też ma dwadzieścia cztery lata.
  - Nie zaczęłam później. W moim przypadku... trwało to trochę dłużej.
- Obserwował ją uważnie.
- Sześć lat.
  - Tak, sześć.
  - I nadal nie ma pani dyplomu?
  - Nie.
  - Rozumiem - szybko zmienił temat, zupełnie jakby przekładał leżące na biurku teczki. - Nie poszła więc pani na uroczystość, bo nie zrobiła pani dyplomu. I dobrze. Ale Amy też tam nie poszła, a ona dyplom zrobiła.
  - Hmm. - To rzeczywiście było zaskakujące. Lily nie miała na to żadnej odpowiedzi.
  - Czy byliście z Amy blisko zaprzyjaźnione?
  - Tak, byliśmy. To znaczy jesteśmy. Jesteśmy - urwała i postanowiła postawić sprawę jasno. - Peszy mnie pan.
  - Nie jest to moim zamierzeniem, panno Quinn. Co pani robiła na Hawajach?
  - Wygląda na to, że się opalała - rzucił gdzieś zza jej pleców Hark-man.
- 47** Detektyw o'Malley nie odezwał się, ale wyraz jego oczu schowanych za okularami w metalowych oprawkach sprawił, że się zarumieniła... zupełnie jakby mógł dostrzec jej ciemnobrązowe sutki.
- Otulając się ciasno swetrem, Lily spuściła wzrok i przygryzła wargę.
- Chodzi o moich rodziców. Pojechałam odwiedzić matkę.
  - Kiedy pani wyjechała?
  - W czwartek rano, bardzo wcześnie. Samolot odlatywał o ósmej. O szóstej rano pojechałam taksówką na lotnisko JFK.
  - Czy Amy już wstała?
  - Nie.
  - Była w domu?
  - Chyba tak. Nie zaglądałam do niej do pokoju, jeśli o to panu chodzi.
  - Równie dobrze mogło jej więc nie być?
  - Tak, ale...
  - Ostatni raz widziała ją więc pani...
  - We środę wieczorem, dwunastego maja.
  - Czy od czasu naszej rozmowy telefonicznej przypomniała sobie pani jakieś daty?
- Lily podniosła wzrok. Oczy detektywa o'Malleya patrzyły na nią badawczo z gładko ogolonej, spokojnej twarzy i nagle dotarło do niej, że obojętny uścisk dłoni był tylko grą, udawaniem. Powinna bardzo ostrożnie wypowiadać się w obecności tego detektywa, bo on może pamiętać każdą sylabę.
- Tak. - Skrzyżowała ramiona na piersi. - W pierwszej chwili pański telefon bardzo mnie zaskoczył.
  - To zrozumiałe. Czy w tamtą środę odniosła pani wrażenie, że wszystko jest w porządku?
  - Tak. Amy była taka jak zwykle.
  - Czyli jaka?

- Nie wiem. Normalna. - Jak można opisać normalny wieczór z Amy? Zmieszała się. - Była po prostu sobą. Trochę wypiliśmy, pogadałyśmy.

- O czym?

- O niczym. O wszystkim. O filmach. Finałach. Naprawdę... takie zwykłe dziewczynskie pogaduszki.

- O chłopakach?

- Mmmm. - Nie chciała mu opowiadać o swoim żalonym życiu miłosnym, a ponieważ rozmowy o chłopakach dotyczyły tylko tych spraw, nie mogła mu nic powiedzieć. - Rozmawiałyśmy o naszych matkach.

Detektyw Harkman stał za Lily i co jakiś czas o'Malley spoglądał na

48

niego w niemej wymianie poglądów, po czym znów koncentrował się na Lily. To była jedna z takich chwil.

- A potem pani wyjechała...

- I od tamtej pory nie miałam od Amy żadnych wiadomości.

- Nie dzwoniła pani do niej, żeby opowiedzieć jej o Maui?

- Dzwoniłam kilka razy, zostawiłam wiadomość na sekretarce, ale ona nie oddzwoniła.

- Ile razy pani do niej dzwoniła?

- Nie wiem. Może trzy?

- Trzy?

- Mniej więcej.

- Może więc dwa albo cztery?

- Może. - Spuściła głowę. Nie wiedziała, czego on od niej chce.

- Czy Amy ma komórkę?

- Nie.

- A pani?

- Nie. Nie stać mnie. Ale nie wiem, dlaczego Amy nie ma.

- Dzwoniła więc pani kilka razy, ona nie oddzwoniła i w końcu się pani poddała?

- Wcale się nie poddałam. Miałam zamiar znów do niej zadzwonić.

Zastanawiałam się nawet, czy nie zadzwonić do jej matki.

- Ale nie zadzwoniła pani.

- Nie mogłam sobie przypomnieć numeru.

- Czy Amy opowiadała pani o swoich planach odwiedzenia matki w weekend, kiedy pani poleciała na Hawaje?

- Nie pamiętam, żeby o tym wspominała, nie. Czy odwiedziła wtedy matkę?

- Nie - odparł detektyw. - O której pani do niej dzwoniła?

- Chyba wieczorem.

- Jakiego czasu?

- Słucham? Aha. O północy według czasu na Hawajach. Dzwoniłam, zanim poszłam spać.

- Różnica czasu między Hawajami i Nowym Jorkiem wynosi sześć godzin - powiedział po chwili wahania o'Malley.

Lily też się zawahała.

- Tak.

- Więc północ na Hawajach oznacza, że w Nowym Jorku jest szósta rano?

49- Tak. - Lily zakaszła cicho. - Chyba powinnam była pomyśleć.

- Może- rzucił obojętnie O'Malley. - Najbardziej interesuje mnie jednak to, dlaczego Amy nie odbierała telefonu o szóstej rano.
- Mogła wyjść.
- Dokąd?
- Nie wiem. Może spała.
- Mogła też do pani oddzwonić. Chce pani wiedzieć, ile razy pani numer z Hawajów pojawił się na wyświetlaczu telefonu? Dwadzieścia siedem. Dzwoniła pani do Amy rano, w południe i w nocy. Na sekretarce nagrała pani dziewięć wiadomości. Pierwszą w sobotę, szesnastego maja, ostatnią już po naszej rozmowie telefonicznej, trzeciego czerwca.

Lily, zmieszana, siedziała w milczeniu. Czy została przyłapana na kłamstwie? Rzeczywiście, dzwoniła kilka razy. I nagrała kilka wiadomości. Ale żeby aż dziewięć? Przypomniała sobie niektóre z nich. „Ames, Boże święty! Nie wytrzymam tu ani dnia dłużej. Wszystko przez tę moją matkę. Zadzwoń do mnie, zadzwoń, zadzwoń”. „Ames, jak długo już tutaj tkwię? Wydaje mi się, że minęło pięć lat, a ja mam sześćdziesiąt. Zadzwoń do mnie i powiedz, czy nadal jestem młoda”. „Amy, gdzie ty się, do cholery, podziewasz? Potrzebuję cię. Zadzwoń”. „Wracam do domu, do domu, do domu. Nie zniosę już ani jednej minuty. Nie ma tu ojca, tylko ja i moja szalona matka. Jeśli nie porozmawiam z tobą, zwariuję jak ona”. „Amy, na wypadek gdybyś zapomniała, to ja, twoja współlokatorka i najlepsza przyjaciółka, Lily Quinn. L-I-L-Y Q-U-I-N-N”.

Było jej okropnie wstyd. Obcy ludzie, oficerowie policji, detektywi, ci dwaj dorośli mężczyźni słuchali jej głupich gadek, jęków i zaklęć nagranych na automatycznej sekretarce!

Harkman dyszał za nią i kichnął, miała tylko nadzieję, że nie na jej plecy. Nareszcie O'Malley postanowił się odezwać, jakby zwracał się bezpośrednio do jej upokorzenia.

- Idźmy dalej.

Tak, idźmy. Lily nie miała pojęcia, co powiedzieć. Spojrzenie Harkmana paliło ją w kark. Czowała się bardzo nieswojo. O'Malley nie spuszczał z niej wzroku. Złożył dłonie, przyciskając do siebie koniuszki palców. Nie mogła już tego dłużej znieść. Odwróciła wzrok i spojrzała na swoje splecione ręce. Zauważyła, że z niewielkiego rozcięcia koło knykcia płynie krew.

- Panno Quinn, pani krwawi? Chris, przynieś pani chusteczkę. A może lepiej plaster? Kiedy się pani skaleczyła?

**50**

O dziwo, ze starego skaleczenia płynęła spora ilość świeżej krwi. Lily nie chciała unikać odpowiedzi, ale nie miała pojęcia, kiedy to się stało.

- To stara sprawa - mruknęła. - Nic takiego.

Harkman wrócił z opatrunkiem. Lily przycisnęła kawałek waty do palca, czując się przy tym bardzo śmiesznie.

- Może trzeba to będzie komuś pokazać - powiedział O'Malley.

- Nie, to nic takiego.

- Panno Quinn, może dla pani to nic takiego, ale kiedy pani tutaj przyszła, nie widać było śladów krwi, a jej jasny kolor może wskazywać na anemię.

- Zawsze byłam trochę anemiczna - roześmiała się gardłowo. - Nigdy nie mogłam oddawać krwi.

Zapisał coś w notesie, nie zwracając na nią uwagi.

- Mam jeszcze kilka pytań, jeśli czuje się pani na tyle dobrze, by na nie odpowiedzieć.

- Nic mi nie jest.-

- Proszę mi powiedzieć, czy Amy miała wrogów?

- Wrogów? Jesteśmy studentkami college'u!

- Odpowiedź brzmi więc: nie? Mogła pani tak powiedzieć od razu.

- Nie - rzuciła nieco ciszej.

- A chłopaka?

- Nie.

- Czy spotykała się z kimś? Tak bez większych zobowiązań?

- Co to w ogóle za pytanie?

O'Malley przestał wpatrywać się w notatnik i podniósł na nią wzrok.

- Nie zamierzam nikogo osądzać, tylko pytam. Spotykała się czy nie?

- Jest wolna, więc... tak.

- Czy spędzała noce poza domem?

- Od czasu do czasu.

- Jak często?

- Nie jestem pewna.

- Gdzie?

- Tego też nie wiem.

O'Malley wymienił spojrzenia z Harkmanem. Co jest? - miała ochotę krzyknąć.

Dlaczego tak na siebie patrzycie? Czego wam nie mówię? Odwróciła się i spojrzała na Harkmana. Nie mogła znieść jego oczu, które coraz bardziej przypominały dwie wywiercone w ścianie dziury. Ginęły

51zupełnie w jego wielkiej, okrągłej twarzy z podwójnym podbródkiem, ale potrafiły kłuć jak najcieńsze ostrze.

- Jak pani poznała Amy, panno Quinn?

- Spotkałyśmy się w college'u na zajęciach ze sztuki dwa lata temu.

- Zostałyście dobrymi przyjaciółkami?

- Przecież postanowiłyśmy razem zamieszkać, prawda?

- Proszę mnie nie irytować. Wiem, że ma pani za sobą długi dzień. Mogłyście zamieszkać razem z powodów czysto finansowych. Mogła pani nienawidzić odwagi Amy. Nie mam pojęcia. Dlatego panią o to pytam.

- Tak, zostałyśmy przyjaciółkami, a potem znalazłyśmy to mieszkanie i postanowiłyśmy razem się wprowadzić. - Aby upewnić się, że zostało to właściwie odebrane, dodała: - Mój chłopak mieszkał tam z nami przez kilka miesięcy.

- We troje w takim małym mieszkanku? - O'Malley gwizdnął przeciągle. -

Dlaczego Amy zajęła większą sypialnię?

- Dlaczego? Bo kiedy się wprowadzałyśmy, ciągnęłyśmy losy i ja wyciągnęłam krótką zapalkę.

- Rozumiem. Czy podczas waszego wspólnego mieszkania Amy miała wielu chłopaków?

- Nie wiem. Jaka liczba oznacza dla pana „wielu”? O'Malley uniósł brwi.

- Jakie to ma znaczenie, panno Quinn? Dlaczego on ją tak denerwuje!

- Jak już wspomniałam, spotykała się od czasu do czasu z różnymi chłopakami.

Ale nie było to nic poważnego.

- Ani jednego poważnego chłopaka?
- Nie.

Dlaczego to zabrzmiało tak dziwnie? Bo wcale dziwne nie było. Amy zawsze szukała miłości. Nie miała po prostu tyle szczęścia, ile stara poczciwa Lily ze starym poczciwym Joshuą. Nagle pojawiło się jakieś mgliste wspomnienie czegoś - Lily nawet nie wiedziała czego. Poczucie czegoś, czego nie potrafiła ani wtedy, ani teraz umiejscowić. Nie wiedziała, czy wiązało się to z Amy, czy z miłością, ale doszła do wniosku, że raczej to drugie-jak migające we mgle światło. Dziwne, że przypomniała sobie o tym właśnie w tej chwili. Pokręciła głową.

- To ciekawe. Bo kiedy czekaliśmy na pani powrót z Maui, przesłuchaliśmy kilka osób, między innymi dziewczynę o nazwisku Rachel Ortiz. Zna ją pani?

52

- Tak. - Czy odpowiedź nie była za krótka? Sądząc z wyrazu twarzy detektywa, zdecydowanie tak.

- Zeznanie panny Ortiz zostało zaprotokołowane. Amy powiedziała jej, że przez jakiś czas spotykała się z kimś, ale że to już skończone.

Lily potarła oczy.

- Detektywie, przepraszam bardzo, jestem zmęczona po długiej podróży i zmianie czasu, ale nie rozumiem, jaki to ma związek z tym wszystkim.

- Biorąc pod uwagę pani zmęczenie, już pani wyjaśniam. Widzę, że z sobie tylko wiadomych powodów nie jest pani szczególnie zmartwiona zniknięciem przyjaciółki. Ale minęły już trzy tygodnie od chwili, gdy Amy widziano po raz ostatni. Nie jest to więc małe zamieszanie z datami, rozkładem zajęć i uroczystością rozdania dyplomów. To dochodzenie w sprawie zaginięcia. Może jeśli zdołamy odnaleźć osobę, z którą się spotykała, odnajdziemy też Amy.

- Rozumiem, detektywie, ale nie wiem, co panu powiedzieć. Nie mam pojęcia, z kim się spotykała.

Cała rozmowa była nagrywana, lecz sądząc z wyrazu oczu o'Malleya, Lily była przekonana, że nagranie okaże się niepotrzebne. Podpisała protokół dotyczący zaginięcia, wyrzuciła zakrwawiony wacik, wzięła wizytówkę i ruszyła w stronę drzwi. o'Malley nie ruszył się z miejsca. Siedział z nogami opartymi na krześle.

- Atak nawiasem mówiąc, czy to pani trochę nie dziwi, panno Quinn? - powiedział, splatając ręce za głową. - Pani przyjaciółka nie wspominała pani ani słowem o swoim życiu intymnym? Dlaczego trzymała to w tajemnicy?

Nie wiedziała, do czego zmierza, więc nie odpowiedziała. Czy sądził, że Amy nie interesowała się chłopcami? A może pomyślał, że zainteresowała się jej Joshuą? Nie chciała o tym myśleć.

o'Malley nadal siedział. Powiedział jej, żeby zadzwoniła na posterunek albo na podany na wizytówce numer pagera, gdyby czegoś się dowiedziała albo gdyby coś jeszcze przyszło jej do głowy. Wyszła z pokoju, nie patrząc nawet w stronę Harkmana. Wolałaby, żeby to on ją przesłuchiwał. Wolałaby, żeby przesłuchiwał ją sam Robespierre.

Droga do domu była zdecydowanie zbyt krótka, by mogła się uwolnić od poczucia niesmaku, które czaiło się tuż przy koniuszkach nerwów.

534

## LILY OSTRO WRACA DO PRACY

W Noho Star na rogu Bleeker i Lafayette brakowało ludzi do pracy, więc kiedy



Lily zjawiała się tam następnego dnia, musiała pracować na morderczej, trwającej trzynaście godzin zmianie, od jedenastej rano do północy. Właściciel spełnił też jej prośbę i podniósł liczbę godzin pracy w tygodniu do pięćdziesięciu. Miała tylko nadzieję, że wytrzyma.

Kiedy poprzedniego wieczoru wróciła do domu z posterunku, zastała na schodach przed wejściem Rachel, Paula i ku swemu wielkiemu zaskoczeniu Joshuę! Poszli za nią na piąte piętro. Kiedy Lily dotarła na trzecie, była tak zmęczona, że musiała się zatrzymać, by złapać oddech. Jak z tymi schodami radziła sobie Colleen?

Kiedy weszła do mieszkania, opadła na kanapę. Joshua dzwonił przez minione dwa tygodnie, bo chciał odebrać futerał na gitarę.

- Co ci się stało w rękę? - spytał.

Lily nie miała jednak ochoty rozmawiać z nim w obecności Rachel i Paula.

- Wszystko w porządku, Lii? - spytał Paul, drobny, szczupły, idealnie ostrzyżony i ubrany. - Co się stało? Gdzie jest Ames?

Lily otworzyła jedno oko.

- Czy to podchwytliwe pytanie?

Rachel, niegdyś czarnowłosa, a obecnie ufarbowana na blond Portorykanka, która zajęła czwarte miejsce w konkursie piękności dla nastolatek w San Diego, wymiotowała właśnie w kuchni po wypiciu trzytygodniowego soku jabłkowego, który stał w wyłączonej lodówce. Lily nie mogła utrzymać otwartych oczu. Nagle pojawiło się przed nimi drzewo, a za nim kryjące się zwierzę. Wszystko w powodzi czerwieni i kolorowych plam. Usłyszała też fragmenty dialogów, znów pojawiło się to mgliste wspomnienie i Amy, Hawaje, czerwone kwiaty i matka mówiąca:

„Przez wszystko muszę przejść zupełnie sama”. W kuchni Rachel płukała usta wodą. Wszystko to straszliwie ją irytowało. Chciała, żeby sobie poszli, a zwłaszcza Joshua. Zamknęła więc oczy i udawała, że w mieszkaniu nie ma nikogo. Zasnęła, wciąż siedząc na kanapie, lekko przechylona na bok. Wszystko powoli odpływało: Amy, matka, ojciec, może też Amy ze swoim własnym ojcem. Może pojechała na Florydę, żeby go odwiedzić? Musi powiedzieć o tym temu detektywowi. Jak on się nazywa? Joshua też odpłynął

54

razem z innymi; Joshua, który tyle dla niej kiedyś znaczył, a teraz przyszedł po futerał na gitarę. Kiedy obudziła się czternaście godzin później, była zupełnie zeszywniała, dzwonił telefon, a z palca tuż przy knykcium przy bandaż sączyła się krew.

Dzisiaj jeszcze bardziej odczuwała skutki zmiany czasu. Podczas przerwy, zamiast jak zwykle zjeść galaretkę z bitą śmietaną, oparła głowę na stole w kantorku dla pracowników i natychmiast zasnęła. Kiedy się obudziła, po drugiej stronie stołu siedział Spencer o'Malley.

- Widzę, że pani ręka nadal krwawi - powiedział.

Jeszcze mocno zaspana, rozejrzała się dookoła. Był sam, bez partnera.

- Przyszedł pan tutaj, żeby mi o tym powiedzieć? - spytała.

- Dzwoniła pani do mnie rano. Pomyślałem, że przypomniała sobie pani coś ważnego.

- Tak. Tak. - Niewiele pamiętała, a już na pewno nie powód telefonu sprzed dziewięciu godzin.

- To coś związanego z Amy?

- Tak. - Skinęła głową i potarła oczy. Przysunął jej szklanke wody. Wypiła kilka łyków i trochę doszła do siebie. - Jej ojciec mieszka w Isla-morada. Tak mi się wydaje. A może w Cape Canaveral?
  - A może w St. Augustine?
  - Nie, na pewno nie.
  - Właśnie tam mieszka. W St. Augustine.
  - No dobrze. Może pojechała go odwiedzić.
  - I dlatego pani do mnie dzwoniła? - spytał o'Malley po chwili milczenia.
  - Tak.
  - Chyba uważa mnie pani za zupełnego nowicjusza. Będzie się pani musiała bardziej postarać. Był pierwszą osobą, do której zadzwoniliśmy. Nie miał żadnych wiadomości od Amy. Poza tym, panno Quinn, jedno pani umknęło. Amy powiedziała matce, że przyjedzie do domu. Nie przyjechała. Powiedziała, że przyjdzie na uroczystość wręczenia dyplomów. Nie przyszła. Nie zadzwoniła, nie pokazała się i nikt nie miał od niej żadnych wiadomości, nawet jej ojciec w Islamorada.
- Lily poruszyła się niespokojnie.
- Przepraszam. Moja przerwa już się skończyła.
  - Przerwa? - zdziwił się o'Malley. - Myślałem, że skończyła pani pracę.

**55**

**A.**

- V- Ha! - Poszła umyć twarz. Kiedy wróciła, o'Malley nadal siedział w kantorku.
- Detektywie, ja naprawdę muszę... Nie poruszył się.
  - Zajmę pani jeszcze tylko dwie minuty. Wczoraj zapomniałem wspomnieć o kilku rzeczach. Mieliśmy tyle do omówienia. Podczas przeszukiwania pokoju Amy znaleźliśmy na komodzie jej klucze i portfel. Podejrzewamy, że nie mogła się wybrać nigdzie daleko.
  - Jak już panu mówiłam, tak pewnie jest.
  - Czy Amy miała zwyczaj wychodzić z mieszkania bez portfela i kluczy?
  - Chyba tak - odparła Lily. - Nie próbuję wymigiwać się od odpowiedzi - dodała szybko, widząc wyraz jego twarzy. Uśmiechnęła się blado, lecz o'Malley nie odpowiedział jej uśmiechem. Przyglądał się jej uważnie, jakby była słowem w ważnej wiadomości, którą próbował rozszyfrować. - Często biegała i nie chciała się obciążać. Zwykle zabierała tylko trochę pieniędzy. Zwitek banknotów albo garść drobnych.
  - Gdzie biegała?
  - W Central Parku. Nad jeziorem.
  - To trochę daleko z East Village.
  - Daleko, ale warto. Zapisał coś w notesie.
  - A w innych wypadkach? Kiedy znikala na całą noc? Czy wtedy też zostawiała portfel i klucze? Biegała całymi dniami?
  - Była w świetnej formie - wyjaśniła Lily, siląc się na żart. W te dni też zostawiała portfel. Dlaczego tak bardzo nie chciała mu o tym powiedzieć? - Nie zawsze rzucało mi się to w oczy. Staralam się nie wchodzić do jej pokoju podczas jej nieobecności, chyba że czegoś potrzebowałam. Dlatego nie wiem, czy zostawiała portfel. Jestem pewna, że czasami zabierała go ze sobą.
  - Gdzie jest jej prawo jazdy?

- Nie sędzę, żeby je miała - odparła z wahaniem Lily.
- Naprawdę? - spytał wyraźnie zaskoczony.

Lily odwróciła wzrok, zastanawiając się, co ją do tego zmusiło. Jakiś niepokój, niejasność związana z prawem jazdy, ale nie była do końca pewna.

- Nie umiała prowadzić. Mieszkamy przecież w Nowym Jorku. Ja też nie umiem prowadzić.

56

- Ciekawe - powiedział, gładząc się po brodzie. - Fascynujące. - Wstał. - Proszę mi wybaczyć, że nie podzielał pani spokoju i swobodnego podejścia do poczynań pani najlepszej przyjaciółki, ale uważam to za bardzo dziwne, że zniknęła na trzy tygodnie, zostawiając na komodzie kartę płatniczą, kartę Visa, legitymację studencką, kartę do metra i klucze do mieszkania. Na dodatek nie umie prowadzić. Dokąd więc pojechała? Kiedy przeszukiwaliśmy pani pokój, znaleźliśmy pani kartę do metra. Ale nie było kluczy, portfela ani karty płatniczej. Pojechała pani na Hawaje i zabrała wszystko ze sobą. To wydało się nam jak najbardziej normalne.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

- Gdzie jest pani łóżko? - spytał O'Malley, który dostrzegł wszystko.
- Zabrał je mój chłopak.
- Miłe.
- Tak.

Uderzył dłonią w-stół i usiadł.

- Cholera jasna! Już wiem. Już rozumiem, dlaczego tak niefrasobliwie podchodzi pani do zniknięcia Amy.

- Nie rozumiem, o co panu chodzi. Nie jestem wcale niefrasobliwa.
- Jasne, że tak. Nie martwi się pani o nią, bo znikła regularnie. Zostawiała na komodzie całe swoje życie, znikła, a potem wracała, zupełnie jakby poszła pobiegać. Nie widziała pani w tym nic niezwykłego, podobnie jest teraz.
- Błąd, detektywie. Teraz widzę w tym coś niezwykłego. Jeszcze nigdy nie zniknęła na trzy tygodnie.
- Zostawiała na komodzie portfel i klucze, a pani nigdy nie pytała, dlaczego to robi?

Lily nie wiedziała, dlaczego nie pytała.

- Doszłam do wniosku, że powie mi o tym, kiedy będzie gotowa. Zapadła długa chwila milczenia.

- Nadal pani na to czeka, panno Quinn?

Przeprosiła go szybko i poszła dokończyć swojązmianę. Wszyscy w pracy zauważyli, że detektyw ubrany w garnitur i wymachujący odznaką pytał o Lily. Zaczęli jąwypytywać, żartować, wyciągać z niej na siłę informacje. Unikała ich pytań jak ognia, ale nie dawali jej spokoju. Rick, menedżer, przyglądał się jej uważnie, a potem wezwał ją do siebie.

- Wpakowałaś się w coś?
- Nie.

57- Nie chodzi o narkotyki, prawda? Bo jeśli tak...

- Nie chodzi o narkotyki.
- Jest cudny - powiedziała Judi, drobniutka kelnerka, która nie skończyła jeszcze dwudziestu lat. - Wolny?

- Nie mam pojęcia. Poza tym jest dwa razy starszy od ciebie!
- Powiedziałas to tak, jakby było w tym coś złego.

## 5

### **SPENCER PATRICK O'MALLEY**

Wrócił do domu wieczorem i usiadł przy okrągłym stole. Zajmował niewielkie mieszkanie blisko pracy, idealna lokalizacja - przy zbiegu Jedenastej Ulicy i Broadwayu. Z dużych okien swojego mikrokosmosu obejmującego kuchnię i przylegającą do niej jadalnię widział światła uliczne Broadwayu aż po Astor Place. Mokre czerwone światła wybuchały w technikolorze w szarym deszczu; im bardziej padało, tym ostrzejsza była czerwień i zieleń. Z holu wejściowego, który służył za bibliotekę i sypialnię, widział podwórko niewielkiego kościoła. Mieszkał sam, ale z pewnością nie było to spowodowane brakiem inicjatywy ze strony kobiet, z którymi się wiązał. Jakież to dla pana wielki wysiłek, detektywie, mieszkać z innym człowiekiem, powiedziała mu jego ostatnia dziewczyna tuż przed rozstaniem. Był przekonany, że nie mieszkali razem, co tylko pokazuje, jak niewiele wiedział. Spędzał oczywiście sporo czasu u niej, a ona nieraz prosiła, by zostawił tam swoje rzeczy. Teraz spotykał się z Mary, pracownicą opieki społecznej. Lubił ją - byli już razem od roku - ale nie mógł się oprzeć wrażeniu, że stanowi dla niej tylko jeden z bardziej skomplikowanych przypadków. Kiedy już go ustawi, odejdzie. Nie mógł się doczekać tego dnia. Nie był tylko pewny, na co tak czeka: żeby go ustawiła, czy żeby odeszła.

Mieszkanie należało do jego najstarszego brata, Patricka, który okazał się niegrzecznym chłopcem i żona wyrzuciła go z domu. Kupił więc mieszkanie w mieście, gdzie w tygodniu mógł cieszyć się wolnością, a na weekend zapraszać dzieci. Niebawem jednak żona przekonała się, że samotne życie z dziećmi nie jest dokładnie takie, jak sobie wyobrażała, i postanowiła dać Patrickowi jeszcze jedną szansę. I tak Spencer podnajął mieszkanie brata, na które z pensją detektywa ledwo go było stać. Jednak żadnego mieszkańca

58

Nowego Jorku nie było stać na mieszkanie, które zajmował, więc nie było sensu narzekać. Jedyнным powodem do narzekań był stały brak gotówki.

Kiedy po zakończeniu pracy starszego detektywa w Dartmouth College w New Hampshire wrócił do policji w okręgu Suffolk, zamieszkał w pokoju nad garażem w domu innego brata, Seana. Po jakimś czasie miał jednak dość patrolowania ulic na Long Island, nie przepadał też za żoną Seana (jak na jego gust była zbyt pedantyczna), więc przeniósł się do policji nowojorskiej. Pedantyzm jego szwagierki zaprowadził go prosto do Nowego Jorku, kipiącego kotła zbrodni. Praca w Nowym Jorku w niczym nie przypominała zmieniania paniom opon na autostradzie na Long Island i przeprowadzania testów na trzeźwość po raz piętnasty w sobotnią noc. Na początek trafił do Wydziału Specjalnego i pracował jako jeden z czterech detektywów zajmujących się napadami i rabunkami. Na własną prośbę został jednak przeniesiony do Wydziału Osób Zaginionych, kiedy pracujący tam starszy detektyw znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie i został śmiertelnie postrzelony przez rabusia wybiegającego z otwartych przez całą noc delikatesów przy Alei C i Czwartej Ulicy. Spencer doszedł do wniosku, że znów może się zająć poszukiwaniem zaginionych osób. Został przełożonym Chrisa Harkmana, partnera zabitego detektywa; pracował

on w wydziale od dwunastu lat i nie chciał awansować, gdyż wolał się trzymać na uboczu. Przeszedł trzy operacje serca, cierpiał na skazę moczanową i artretyzm i miał spędzić przy wydziałowym biurku jeszcze dwa lata, by w wieku czterdziestu ośmiu lat przejść na emeryturę z pełnym ubezpieczeniem.

Spencer nie był jednak gotowy, by przejść na emeryturę lub umrzeć. Nie miał nic przeciwko spokojnemu siedzeniu za biurkiem i siedziałby za nim tak jak Harkman, ale los lub przypadek zrzucił (a może stało się tak dzięki jego niezwyklej pamięci lub charakterowi, który sprawiał, że zawsze szukał dziury w całym), że znalazł chłopca, który zaginął w 1984 roku i od tamtego czasu mieszkał w melinie narkomanów przy zbiegu Dwunastej Alei i Czterdziestej Trzeciej Ulicy. Aresztowali go policjanci z Wydziału Narkotyków, a Spencer zauważył jego nazwisko w raportach, które sprawdzał sumiennie co dnia i rozpoznał je natychmiast. Mario Gonzalez. Spencer obsesyjnie sprawdzał zdjęcia i nazwiska wszystkich zatrzymanych przez policję osób, właśnie z powodu przypadków takich jak ten. Okazało się, że chłopiec, który zaginął, mając dwanaście lat, nie chciał, by odnaleźli go odchodzący od zmysłów rodzice, ale to nie miało żadnego znaczenia, bo w swoim wydziale Spencer został bohaterem. Awansowano go do

pierwszej 59 grupy i powierzono kierowanie całym wydziałem, podczas gdy Harkman, tylko dzięki temu, że był jego partnerem, został awansowany do grupy drugiej i dostał podwyżkę. Fakt, że kilka tygodni po odnalezieniu chłopiec popełnił samobójstwo, nie zmącił radości z powodu a) odnalezienia osoby zaginionej od tak dawna i b) odnalezienia jej żywej.

Po tym wydarzeniu w wydziale, który notorycznie nie miał się czym poszczycić, oczekiwano od Spencera coraz lepszych rezultatów. Wydział nie przypominał w niczym dochodzeniówki, gdzie stale poklepywano detektywów po plecach za dobrze wykonane zadanie, łapano oszustów i fałszerzy i zakuwano ich w kajdanki, ani tym bardziej Wydziału Zabójstw. Gdyby tylko Spencerowi zależało na pracy w innym wydziale, byłby już kapitanem.

On jednak, z powodów, które nawet dla niego pozostawały tajemnicą, całym sercem poświęcał się odnajdywaniu dawno zaginionych osób. Nie, nawet nie temu. Szukaniu osób, które zginęły dawno temu.

Od czasu Gonzaleza udało mu się odnaleźć sześć czy siedem beznadziejnych przypadków i w wydziale stał się kimś na kształt mitycznego samotnika, ulubieńcem swojego dowódcy Colina Whittakera i pupilkiem policjantów z mieszczącego się obok Wydziału Zabójstw, z którymi luźno współpracował.

„Dajcie to o'Malleyowi - tak brzmiało popularne powiedzenie na posterunku. - On znajdzie wszystko”. Zaprzyjaźnił się też z kilkoma chłopakami z Wydziału Zabójstw, zwłaszcza z Gabe'em McGillem, którego chętnie widziałby w roli swego partnera. Problem polegał na tym, że Spencera nie interesowały zabójstwa, a Gabe'a zaginione osoby.

W mieszkaniu było ciemno, lecz Spencer nie włączał światła. Przez kilka chwil po powrocie do domu lubił siedzieć po ciemku. W pracy panował szum i gwar, a w mieszkaniu błogosławiona cisza; praca to palące swym światłem jarzeniówki, a mieszkanie - kojący mrok. Przez okna wpadał tylko kolorowy blask światła ulicznych. Nalał sobie szklaneczkę whisky i trzymał ją przed sobą w dłoniach, obracając niczym zegar. Liczył sekundy i minuty, nie spuszczać oka ze szklanki.

Zrzucił buty. Zdjął krawat i koszulę. Skorzystał z łazienki i wrócił do stołu. Usiadł w ciemnościach przed otwartym oknem i znów wziął szklanekę do ręki. Przesłuchał spanikowaną matkę, kelnerów i kelnerki, z którymi Amy McFadden pracowała w Copa Cabana, jej przyjaciół. Wszyscy byli zdenerwowani i skonfundowani, lecz bardzo chętni do pomocy. Przeszukał jej mieszkanie, sprawdził wyciągi bankowe, wyciągi z karty kredytowej, odwiedził Wydział Rejestracji Pojazdów.

60

A potem spotkał Lily.

Ta dziewczyna była tak opanowana, tak spokojna - i bardzo opalona. Zero hysterii, zero płaczu, podobało mu się to. W przeciwieństwie do tej drugiej, Rachel Ortiz. Ona była kłębkim nerwów i emocji. Lily panowała nad wszystkim, a przede wszystkim nad sobą. W przeciwieństwie do matki Amy, nie popadała bez powodu w rozpacz. Powinna porozmawiać z panią McFadden, trochę ją uspokoić. Może Lily ma rację. Może jej zaginiona współlokatorka po prostu wróci pewnego dnia, jak gdyby nigdy nic. —

Lily miała gładką, opaloną na czekoladowy brąz skórę, co widać było wyraźnie dzięki kusej bluzce i dżinsowej minispódniczce. Przez chwilę wyobrażał sobie, jak leży na białym piasku Maui, rozgrzana od słońca, z zamkniętymi oczami, bez stanika od bikini.

Musiał wlać whisky z powrotem do butelki. W dni, w które pracował, nigdy nie pił, bo wiedział, że jego umysł płata mu paskudnego figla, podpowiadając, że może to zrobić, może wypić jedną szklaneczkę, przecież nic takiego się nie stanie. Wyobraził sobie, jak przykłada szklanekę do ust i wychyla jej zawartość trzema dużymi łykami. Żadnego tam niewinnego popijania, sączenia trunku drobnymi łyżkami.

Jeśli życie nauczyło czegoś Spencera o'Malleya, to tego, że zaginione osoby nigdy nie pojawiają się ot, tak sobie i nie ma czegoś takiego jak tylko jedna szklaneczka.

6

## ROZMOWY Z MATKAMI

- Detektywie o'Malley. - Jakże żałowała, że nie może go poprosić, by przestał przychodzić do knajpki, w której pracowała. W ciągu dziesięciu dni zjawiał się już trzy razy. - Ludzie zaczynają gadać - powiedziała tylko.

- Naprawdę? A co takiego mówią? Pokręciła głową.

- Co mogę dziś dla pana zrobić? Może podać panu filiżankę kawy? Pączka?

- Jakie to stereotypowe, panno Quinn. Nie, dziękuję za jedno i drugie. Nie jadam pączków. Rozmawiała pani z matką Amy?

- Jeszcze nie.

61- Powinna pani do niej zadzwonić. Na pewno bardzo się ucieszy. Sądzę, że to jej dobrze zrobi. Jest o krok od hysterii. Wydzwania do mnie po cztery razy dziennie. A ja nie mam żadnych śladów oprócz pani.

- Nie jestem żadnym śladem - odparła zaskoczona, lecz po chwili zorientowała się, że żartuje. - Detektywie - powiedziała niemal błagalnym głosem - zadzwonię do niej i powiem jej to, co powiedziałam panu. Myślę, że martwi się zupełnie bez powodu. Sądzę, że Amy wyjechała na jakiś czas, niedługo bezpiecznie wróci do domu i wszystko będzie w porządku. Mam przecucie, że pojechała na wakacje z tą osobą, z którą się spotykała.

- No proszę, jeszcze chwilę temu była pani przekonana, że pani przyjaciółka z nikim się nie spotyka, a teraz jest pani pewna, że z tą osobą uciekła?

Lily zacisnęła ręce. Nie ma na to czasu, musi wracać do pracy, ma innych klientów!

Po chwili milczenia Spencer powiedział:

- Sądzi pani, że pojechałyby na wakacje na cztery tygodnie, nie mówiąc nikomu ani słowa i opuściła uroczystość wręczenia dyplomów, na którą zaprosiła całą rodzinę? Czy jest aż tak bezmyślna, tak niedelikatna? Czy nie dotarło do niej, że rodzice będą odchodzić od zmysłów z niepokoju?

- Nie jest ani bezmyślna, ani niedelikatna, tylko zakochana, detektywie. Wie pan co? Z reguły wybaczymy zakochanym ich chwilową niedelikatność. Odmawianie im tego byłoby przejawem złego wychowania.

- Tak więc minutę temu Amy nie miała żadnego chłopaka, a teraz jest tak szaleńczo zakochana, że gotowa pani wszystko jej wybaczyć? Proszę się zdecydować na jedną wersję, panno Quinn, i trzymać się jej. -Wychodząc, dotknął palcami niewidzialnego runda kapelusza.

- Oooooch - szepnęła Judy, która nagle stanęła za plecami Lily.

- Przestań!

Dlaczego nie mogła się przemóc, by zadzwonić do matki Amy? Dlaczego nie mogła z nią porozmawiać? Pozornie wydawało się to takie proste, tak proste jak rozmowa z detektywem. A nawet łatwiejsze - znała ją przecież i lubiła. Dzień dobry, pani McFadden, jak się pani miewa? A pozostałe dzieci... uff, no właśnie. Pozostałe dzieci. Tak, pani McFadden, wiem, że to straszne, co stało się z Amy, wyjechała i nikt nie wie, gdzie jest, ale ma pani nadal pozostałe dzieci, jak one się miewają? Na tym polegał cały problem. Wyobrażając sobie tę rozmowę, Lily poczuła się tak straszliwie nieswojo, że nie mogła się zmusić, by podnieść słuchawkę.

62

Zamiast tego zadzwoniła do babki.

- Czytałaś gazety? - spytała Claudia. - Dziś rano pociąg zderzył się na przejeździe z ciężarówką przewożącą drewno. Zniszczeniu uległo dziesięć samochodów, lokomotywa, a dziesięć osób jest rannych. W tym dwie ciężko.

- Babciu...

- Statyw do mikrofonu przebił ciężarną kobietę, która przewróciła się we własnym domu, wyprawiając do szkoły dwóch synów. Spadła z piętra i statyw do mikrofonu przebił jej pierś. Była muzykiem.

- Babciu, proszę.

- Pomyśl tylko o tych chłopcach. To straszne zobaczyć matkę ranną w tak okropnym wypadku.

- Tak. Na pewno. Dziękuję za rozmowę. Muszę już kończyć. Andrew nie dzwonił do niej od czasu, gdy wróciła z Hawajów. Ona dzwoniła do niego do domu w zeszłym tygodniu, ale Miera powiedziała, że jest w Waszyngtonie.

- Lily, rozkład jego zajęć można przeczytać w internecie. Wyraźnie napisano tam, że jest w Waszyngtonie. Tam go szukaj.

Zadzwoniła do Waszyngtonu, ale Andrew był nadal na sesji Kongresu. I nie oddzwonił. Jakie to dla niego typowe. Jest tak zajęty, że czasami nie odzywa się

do niej całymi tygodniami. Zadzwoiła do mieszkania Andrew, żeby porozmawiać z ojcem, ale nikt nie podniósł słuchawki. Chodziła po swoim pustym pokoju, oglądała akwarele, zdjęcia, zapiski, swoje zdjęcia z dzieciństwa na rękach siostry Amandy, w ramionach brata - najmłodsze dziecko w rodzinie, Liliannę, taka grzeczna dziewczynka, taka smagła i zdolna, wcześniej zaczęła chodzić, wcześniej się uśmiechała, inteligentna, zabawna, trzyma w rączkach idealny rysunek kwiatu lotosu, który narysowała, mając trzy lata, uśmiecha się do matki, która robi zdjęcie. Nagle zatrzymała się, zmrużyła oczy, potem gwałtownie zamrugowała powiekami. Zamknęła oczy.

Spencer, który dostrzegł wszystko. Czy mógł oglądać jej ściany i nie zauważyć kuponu? Był niewielki, wsunięty za ramię, stanowił część kolażu, z jednej strony zasłonięty zdjęciem, z drugiej starym biletem na przedstawienie American Ballet Company. Czy mógł go zobaczyć? Podeszła bliżej. A jeśli nawet, to co? Nie mógł znać na pamięć wyników losowania z osiemnastego kwietnia 1999 roku.

Kiedy zadzwonił telefon, z roztargnieniem podniosła słuchawkę.

- Lii?

63Dzwoniła matka! Zaskoczyła ją zupełnie. Gdyby Lily cokolwiek podejrzewała, na pewno nie podniosłaby słuchawki. Jakiż to pożyteczny wynalazek - wyświetlanie numeru osoby, która do nas dzwoni. Może gdyby zrealizowała kupon, mogłaby sobie pozwolić na dodatkowe sześć dolarów za tę usługę. Okazałaby się z pewnością wielce użyteczna. Ha! O tym właśnie myślała, próbując rozszyfrować ton głosu matki. Wydawał się zdecydowanie zbyt radosny jak na kobietę, którą nieoczekiwanie porzucił mąż.

Nagle ojciec podniósł drugą słuchawkę.

- Lii?

- TATA?

- Dlaczego tak się dziwisz? Ja też tutaj mieszkam - roześmiał się.

- Nie rozmawiałam nawet pięciu sekund z moim własnym dzieckiem - poskarżyła się matka. - Mogę pomówić z nią pierwsza, a potem ci ją oddam?

- Mamo, pozwól mi najpierw szybko porozmawiać z tatą.

- Tak, kochanie? - spytał George, gdy tylko Allison odłożyła słuchawkę. Jego głos brzmiał radośnie i beztrąsko.

- Nic nie rozumiem. Myślałam, że jesteś u Andrew.

- Och, pojechałem do Waszyngtonu na krótko, w interesach. To nic wielkiego.

- Wróciłeś... więc?

- Wszystko jest w porządku, nawet lepiej. Trochę mnie tylko nosiło. Wiesz, że pracowałem bez przerwy przez czterdzieści pięć lat. No, ty nie możesz jeszcze nic o tym wiedzieć. Ale kiedyś sama zaczniesz pracować.

- Już pracuję. Pięćdziesiąt godzin tygodniowo. Tata, co się dzieje? Porozmawiaj ze mną.

- Nie ma o czym rozmawiać. Czy wiesz, że twoja matka chodzi ze mną codziennie rano na plażę? Uwielbia to. Kiedy tutaj byłeś, nie czuła się najlepiej. Ale teraz jest już dobrze. I znacznie mniej pali. Tak nawiasem mówiąc, wygląda prześlicznie. Allison znów podniosła słuchawkę i teraz rozmawiali we trójkę, chichocząc i żartując.

- Lily, to przypomina drugi miesiąc miodowy - szepnęła matka konspiracyjnie. - Nawet nie potrafisz ci powiedzieć, jak bardzo jesteśmy szczęśliwi.



Musi jak najszybciej odłożyć słuchawkę!

64

Teraz dopiero znajdzie w sobie dość siły, by zadzwonić do matki Amy.

Głos po drugiej stronie był półprzytomny.

- Och, Lily. Gdzie ona jest? Gdzie jest Amy? Dlaczego nie mamy od niej żadnych wiadomości?

Lily chciała powiedzieć kilka pustych słów i zrobiła to, zacinając się i urywając zdania w połowie. Chciała też powiedzieć o wiele więcej: że wcale się nie martwi - co było coraz mniej zgodne z prawdą - bo Amy zawsze bardzo ceniła sobie niezależność i nie znosi się przed nikim opowiadać. („To prawda”, przyznała jej matka). Powiedziała, że zadzwoni natychmiast, gdy Amy wróci, ale powiedziała to bez przekonania, co i tak nie miało znaczenia, bo płacz pani McFadden zagłuszył jej słowa. Tak jak podejrzewała, nie można było do niej dotrzeć w żaden sposób, a ona nie miała w zanadru nic takiego, co by jej w tym pomogło. Może Amanda wiedziałaby, jak to zrobić. Ma w końcu czworo dzieci. Może gdyby jedno z nich zaginęło, wiedziałaby, co powiedzieć pani McFadden. Amy była jej córką z pierwszego małżeństwa, teraz z drugim mężem miała jeszcze dwójkę dzieci. Najwyraźniej była przekonana, że o Amy nie musi się już martwić.

Jan płakała, a Lily siedziała przy telefonie, nie wiedząc, co powiedzieć, poza powtarzaniem raz po raz „Tak bardzo mi przykro”.

Paul i Rachel, którzy byli przyjaciółmi Amy, chcieli rozmawiać tylko o niej, bo to ona stanowiła centrum ich małej grupki. Rozmowy z Paulem bez wyjątku wyglądały następująco:

- Lii, jak myślisz, gdzie ona jest?
- Nie wiem. A ty?
- Nie mam pojęcia. Aleja z nią przecież nie mieszkałem, nie znam jej zwyczajów.
- Paul, może i wiem, ile razy dziennie Amy myje zęby, ale nie mam pojęcia, dokąd pojechała.
- Rozumiem. Nikt cię za nic nie wini, Lii. Dlaczego tak się bronisz?
- Bo wszyscy uważają, że znam odpowiedzi, których naprawdę nie znam. Nawet nie wiesz, jak często ten detektyw pyta mnie, gdzie ona jest.
- A jak sądzisz, gdzie ona jest?
- Nie wiem!
- Myślisz, że coś się jej stało?
- Nie! Co na przykład? I z Rachel:

**65-** Boże święty, Lii, jak myślisz, co stało się z Amy?

- Nie wiem. A ty?
- Nie mam pojęcia. Aleja z nią przecież nie mieszkałam. Lily postanowiła powiedzieć jej o swoich wątpliwościach.
- Rach, ten detektyw powiedział mi, że twoim zdaniem Amy na pewno z kimś się spotykała.
- Tak mi powiedziała. A ty nic o tym nie wiesz? Myślałam, że to potwierdzisz. Kto to był?
- Nie wiem.
- Jak możesz nie wiedzieć?
- Nie powiedziała mi.
- Dlaczego miałyby to przed tobą ukrywać? Myślałam, że byliście sobie bliskie.

- Byłyśmy. Jesteśmy.
- A tak nawiasem mówiąc... czy ten detektyw jest żonaty?
- Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Co cię to obchodzi? A jak tam sprawy z Tonym?
- Rewelacyjnie - odparła Rachel. - Nigdy nie było lepiej.
- To po co się pytasz o tego detektywa?

Lily położyła się na łóżku Amy. Czy znała odpowiedzi? Czy powinna je znać? To było jeszcze gorsze. Może powinna, a nie znała, bo Lily Quinn nie znała odpowiedzi na żadne pytanie? Na pewno nie wiedziała, dlaczego po sześciu latach studiów nie zrobiła jeszcze dyplomu, co chce zrobić ze swoim życiem, co jest nie tak z jej matką, czego nie może w niej pokochać Joshua ani gdzie jest Amy. Nie znała też odpowiedzi na 49, 45, 39, 24, 18, 1.

### **ZAGINIONA: Amy McFadden**

#### **OPIS:**

**Płeć:** Kobieta

**Rasa:** Kaukaska

**Wiek:** 24

**Wzrost:** 168

**Waga:** 63 kg

**Budowa ciała:** Średnia

**Cera:** Jasna

**Włosy:** Rude, długie, kręcone

**Oczy:** Brązowe

**Ubranie / Bizuteria:** Niewiadome

66

**Ostatnio widziana:** W maju 1999 roku, w okolicy Alei C i Dziewiątej Ulicy na Manhattanie w Nowym Jorku, na terenie dziewiątego posterunku.

Lily, Rachel i Paul obeszli najbliższą okolicę i porozwieszali na latarniach duże plakaty ze zdjęciem Amy. Zawiesili je na rogu każdej przecznicy od Dwunastej Ulicy aż po Czwartą i na trzech alejach: A, B i C. Lily nie mogła się uwolnić od myśli, jak przypinała do tablicy korkowej swój kupon i za każdym razem, gdy to do niej powracało, czuła przeszywający ból w piersi. Szła do następnej latarni ze spuszczoną głową, nie chcąc patrzeć na swoich przyjaciół ani na bezdomnych leżących na schodach, którzy obserwowali ich spod swoich szmat. Nad każdym z plakatów Paul zawiązywał żółtą wstążeczkę. Amy zaginęła. 49, 45, 39, 24, 18, 1. Amy zaginęła. 49, 45, 39, 24, 18, 1.

7

### **RAJSKIE PTAKI**

Allison uczestniczyła w rozkoszach drugiego miesiąca miodowego przez trzy dni. Pierwszego z radością poszła z mężem na plażę, drugiego - już mniej chętnie, a trzeciego rana zrobiła to z wrogością, skarżąc się, że woda jest zbyt mokra, piasek zbyt piaszczysty, słońce zbyt mocno grzeje, a wzgórze jest zbyt strome. Narzekała też na jego buty, choć akurat jej nie powinny wcale przeszkadzać. Skarżyła się na omlet, który miał przyrządzić („Mam serdecznie dość twoich omletów”) i na kawę („Zawsze robisz za mało”).

Czwartego rana nie wstała wcale z łóżka, informując męża zduszonym głosem, że późno poszła spać i chce jeszcze poleżeć. Piątego powiedziała, że nie czuje się najlepiej. Po tych spacerach tylko bolająnogi. Ma na stopach odciski i doskwierają

jej haluksy. Tak wcześnie rano woda w oceanie jest dla niej zdecydowanie za zimna (??? 28 stopni!). Jej kostium kąpielowy jest brudny i trzeba go wyprać. Ręczniki jeszcze nie wyschły, a ona bez nich nie pójdzie.

- Allie, chcesz iść na plażę?

- Nie. Na ile plaż możemy jeszcze iść? Widziałam już wszystkie - zawiesiła głos. - To przecież tylko woda i piasek.

67- Nie, kamyki wulkaniczne.

- Chcesz, żebym boso chodziła po kamieniach? Nie pamiętasz już, jak skaleczyłam się w stopę?

- Allie, chodźmy. Tylko na godzinę.

- Nigdzie nie idę. Muszę wrzucić ręczniki do suszarki. Zaczną śmierdzieć, jeśli tego nie zrobię. Dlaczego ty nie pójdiesz?

- Nie chcę iść sam.

- Nie zamierzam nigdzie się ruszać. George poszedł sam.

To może na plażę Hamoa z szarym piaskiem i skałami wznoszącymi się na ponad tysiąc metrów?

- Szary piasek? Tym chcesz mnie skusić? George pojechał sam.

Wielka Plaża, plaża Wailea, Plaża Czarnego Piasku?

- Wielka Plaża? Tylko trochę większa od naszej? Czarny piasek? To naprawdę wielka atrakcja. Plaża Białego Piasku nad Zatoką Meksykańską to jest atrakcja. Piasek się nie nagrzewa i jest taki piękny, zupełnie jak mąka. Dlaczego nie kupiliśmy apartamentu na Florydzie?

- Bo powiedziałaś, że tam jest za dużo sztormów, poza tym za gorąco i wilgotno.

- Nigdy czegoś takiego nie mówiłam. Życie na Florydzie byłoby piękne.

George pojechał sam.

- Lahaina, Droga do Hana, las tropikalny?

- Chcesz, żebym jechała oglądać drzewa? Iść drogą i wejść w las? Lasy były w Polsce. Drogi też. Czy w lesie tropikalnym będzie padać? Chyba nie.

George pojechał sam. Allison wybrała się z nim tylko do Lahaina, bo tam można było zrobić zakupy.

- Maui, cholerny bóg słońca. Przeklął to miejsce, zsyłając niekończące się upalne dni - powiedziała Allison.

George spróbował zmienić taktykę.

- A może wybierzemy się na kontynent, Allie? Polećmy do San Francisco, a stamtąd pojedziemy do Las Vegas. Co ty na to?

- Masz pojęcie, jaki upał panuje w Las Vegas w lipcu? Prawie pięćdziesiąt stopni. I co tam zrobimy? Wynajmiemy samochód? Nie możemy sobie pozwolić na takie wydatki. Jesteś teraz na emeryturze, George.

68

Zaproponował, że mogą wziąć własny samochód na statek płynący do San Francisco.

- Co takiego? Nasz samochód bez klimatyzacji w lipcu? Udusimy się, zanim wyjedziemy z Kalifornii. Wybij to sobie z głowy. Za żadne skarby nie wybiorę się na kontynent w lecie. Wiesz, że źle się czuję. Nie mogę podróżować w takim upale. Postarzęję się o dziesięć lat.

Zaproponował, by wybrali się tam jesienią, kiedy zrobi się chłodniej. Chciał wykorzystać jej zamiłowanie do gry na automatach. Ubrana elegancko jak

cywilizowana osoba z radością będzie wrzucać pieniądze do małej stalowej maszyny.

*Viva Las Vegas!*

Ona jednak nie mogła nawet myśleć o podróży z George'em, o spędzaniu z nim każdej minuty na jawie i we śnie, bo przecież nie mogli wynająć w hotelu dwóch pokoi, prawda? Myśl o braku własnego pokoju, w którym mogłaby się skryć i zamknąć za sobą drzwi, gdzie nikt nie będzie jej oglądał, była nie do przyjęcia. Nie mogła sobie tego nawet wyobrazić, więc jak mogłaby z tym żyć?

- Daj mi spokój! Dlaczego ty stale chcesz gdzieś jeździć? Co cię tak gna? Dlaczego nie możesz nawet przez chwilę usiedzieć na miejscu? A jeśli tak bardzo brakuje ci twojego ukochanego kontynentu, to po co kupiłeś apartament na Maui? Dlaczego mnie do tego zmusiłeś?

Przypomniał jej, że to ona chciała zamieszkać na Maui.

- Świetnie, zrzuć całą winę na mnie. Utknęliśmy tutaj, płacę za ten apartament dzikie pieniądze i nie zostawię go na trzy miesiące, by gdzieś pojechać. Nie będę wyrzucać pieniędzy w błoto. To czysty idiotyzm. TY zawsze wyrzucałeś pieniądze całymi garściami. Dlatego teraz ci ich brakuje.

Powoli, bardzo powoli zaproponował sprzedaż apartamentu i przeprowadzkę na wschód. Może do Karoliny Północnej, gdzie można łowić ryby i uprawiać ogród, gdzie zmieniają się pory roku, są jeziora i mieszka tam jego brat.

- Dopiero tu przyjechaliśmy, a ty już chcesz się przeprowadzać? Jesteś chory i tyle. Potrzebujesz profesjonalnej pomocy, ot co. Dlaczego nigdzie nie potrafisz być szczęśliwy? Tutaj jest tak pięknie, co się z tobą, do cholery, dzieje? Masz za dużo wolnego czasu, na tym polega twój problem.

A potem zaczęła się przewracać.

Kiedy upadła po raz pierwszy, spytał, co się stało.

- To przez ten syrop na kaszel - wyjaśniła. - Nie widzisz, co się ze mną dzieje? Jestem bardzo chora- zakaszlała głośno na potwierdzenie swych słów.

- Może gdybyś choć raz na miesiąc wyszła na pięć minut z mieszkania, poczułabyś się lepiej.

- No proszę! Ulżyj sobie, krzycz na chorą kobietę!

Następnego ranka, kiedy o wpół do dziewiątej wrócił z porannego spaceru i pływania, Allison znów przewróciła się w ciemnym salonie.

- To przez tę moją osteoporozę- po wiedziała później. - Kolana odma-wiajami posłuszeństwa. Nie zginają się już tak jak dawniej.

Znalazł ją na podłodze. Ścisnęła w ręce pocztę.

- To syrop na kaszel - powiedziała. - W połączeniu z lekami antydepresyjnymi. Lekarz powiedział, że to bardzo niebezpieczne połączenie. Mogłam umrzeć.

- To dlaczego zażywasz je razem?

- Och, przypuszczam, że tego właśnie chcesz, żeby twoja pogrążona w depresji żona zakaszlała się na śmierć!

Rankami zawsze była w okropnym nastroju, a popołudniami nie widywał jej wcale, bo spała. Nie znośli gotować tylko dla siebie, jeść w samotności. Ale cóż innego mu pozostało? Jadł sashimi z tuńczykiem z sosem sojowym i wasabi.

Nigdy w życiu nie jadł takiego tuńczyka, jakiego kupował na Maui. Ani ananasów. Zjadł je po południu, planując menu na wieczór. Przeczytał przepisy w książkach

kucharskich, poszedł do komputera i wysłał e-maile do przyjaciół, zadzwonił do jednego ze swoich dzieci i posiedział na tarasie. Pałac papierosa, czekał, aż żona się obudzi. Słońce świeciło mocno, wiał wiatr, drzewa łśniły zielenią. Dwa razy w tygodniu na terenach kompleksu apartamentów koszone trawniki, więc w powietrzu unosił się cudowny, świeży zapach. George wdychał go z przyjemnością, jedząc ociekające sokiem mango.

Allison obudziła się wiele godzin przed George'em, mimo że zawiesiła w oknach czarne koce, które miały powstrzymać światło. Kiedy tylko o piątej rano hawajskie słońce wysłało pierwszy promień znad horyzontu, wstała z łóżka. Bardzo niechętnie. Marzyła o tym, by spać głębokim snem aż do południa. Kiedy dzieci były małe, czyż nie tego właśnie pragnęła? Czy nie o tym marzy jej najstarsza córka, kiedy ma teraz czwórkę własnych dzieci? Żeby spokojnie pospać? Dlaczego ciało Allison nie może przespać początku budzącego się dnia?

Wszystko przez ten hawajski wschód słońca.

**70**

Nocą nie kładła się spać do drugiej, czasem do trzeciej. Oglądała stare filmy, telezakupy, kanał z wróżbami i horoskopami i snuła plany na następny dzień. Wielkie plany. Wstanie wcześniej, pójdzie z nim na ten przeklęty spacer po plaży, posprząta, zrobi pranie, a potem może wyjdą gdzieś po południu, wybiorą się do tego pieprzonego lasu tropikalnego albo na zbocze wulkanu. A może do Lahaina, gdzie będzie mogła zrobić niewielkie zakupy albo pooglądać wystawy. Znajdą restaurację nad brzegiem oceanu i zjedzą kolację, oglądając zachód słońca. Och, i będzie czytać. Ma przecież mnóstwo czasu. Starsze córki stale przysyłały jej powieści. Mały apartament był zarzucony paczkami. Nie chodzi o to, że nie próbowała czytać. Próbowała. Nie mogła tylko doczytać do końca choćby jednego zdania. Ani jednego. Jej umysł zaczynał błędzić, myśli się rozbiegały, zaczynała oglądać swoje dłonie, poznaczone plamami, pociemniałe. Patrzyła na paznokcie, zastanawiając się, na jaki kolor je pomalować.

Nic nie było w stanie zainteresować jej na dłużej, ani jedno słowo z życia innych ludzi. Czy oni nie wiedzą, co się ze mną dzieje? Jestem stara. Moja skóra wiotczeje, a kąciaki oczu opadają. Jestem nalana i mam obwisłą skórę tam, gdzie wcale nie powinno tak być.

*W twoich oczach widzę odbicie miłości...*

Czasami w cichym apartamencie rozlegała się muzyka z przeszłości.

Chcę znów być młoda, krzyczała, stojąc przy oknie. Chcę znów być młoda, pływać w morzu, zakochać się, chcę być piękna i patrzeć, jak on się we mnie zakochuje.

Powiedziała o tym George'owi.

- To pływaj w morzu każdego pieprzonego ranka - powiedział, wymachując gwałtownie rękami.

- Ty nic nie rozumiesz - odparła. - Powiedziałam, że chcę pływać w morzu młoda. Allison nie starzała się z wdziękiem.

Dzień był bardzo długi, zostało jeszcze tyle czasu, a ona nie miała ochoty robić cokolwiek; nic nie musiała robić. Czy Hawaje są piękne? Tak, i co z tego? Panuje tu spokój? I co z tego? Stale marzyła o deszczu. Deszcz! Niech na niebie pojawią się chmury. Niech choć przez chwilę będzie szare!

Każdy dzień był podobny do poprzedniego. Świeży poranek, po południu wiatr, wieczór obłany złotym blaskiem. Potem przychodził następny dzień i jeszcze

jeden, i jeszcze jeden. Po tylu latach w Nowym Jorku i wczesnym dzieciństwie spędzonym w wilgotnej północnej Polsce, Allison przez całe życie powtarzała, że na starość chce odpocząć w miejscu, gdzie stale jest ciepło. Przyjechali na Maui, gdy dowiedzieli się, że to prawdziwy raj na ziemi. I był.

Allison nigdy w życiu nie była bardziej nieszczęśliwa.

Posprzątała mieszkanie, ale zajęło jej to tylko godzinę. Wzięła prysznic. Pościeliła łóżko. Zaparzyła kawę. Wypaliła papierosa. Udawała, że czyta gazetę, że czyta książki, przerzuciła katalogi, bezmyślnie wpatrywała się w ekran telewizora. Nie wiedziała, jak naprawić swoje życie. Gdyby tylko miała przy sobie dzieci. Najpierw wysały z niej całą młodość, a teraz, na starość, nie były żadną pociechą. Nigdy do niej nie dzwoniły, nie pisały. Nawet najmłodsza, której nadal wysyłała pieniądze. Lily odzywała się do niej najrzadziej. Niewdzięczne najmłodsze dziecko. Pętla zawieszona na szyi utraconych ambicji Allison.

Jednak to nie utraconą karierę zawodową oplakiwała najbardziej. I nie dzieci. Nie męża. Największą rozpaczą napępiała ją utrata młodości, urody, gładkiej skóry, świeżości młodych nóg, rąk, płaskiego brzucha. Zmarszczek na szyi nie mogła usunąć nawet największa ilość Creme de la Mer. Młodość. W walce z czasem jej miniaturowe armie ponosiły porażkę za porażką. Nawet trudno to uznać za walkę. Czas wiedział doskonale, że Allison nie jest mitycznym stworzeniem, które po wejściu do morza zrzuca starą skórę i wita swoje córki i wnuczki jako młoda dziewczyna ukryta w ciele starej kobiety. Przez cały dzień czas się z nią bawił, naśmiewał się z niej.

A o piątej rano, kiedy budziła się w słońcu przesyłającym swe obietnice przez zaciemnione kocami okna, czas szydził z niej najbardziej.

**8**

## **MINUSY CHODZENIA DO PRACY PIECHOTĄ**

Spencer stał przed domem Lily. Był koniec czerwca. Lily miała na sobie ubranie, które nosiła do pracy - czarne spodnie i białą koszulę. Krótkie włosy zaczesła do tyłu. Były jeszcze wilgotne.

- Detektywie... nie sądzi pan, że jeśli Amy wróci, będzie pan pierwszą osobą, do której zadzwonię?

- Nie wiem. Naprawdę?

- Czy w tym mieście policja nie ma nic do roboty poza szukaniem zaginionych osób? Nikt nie popełnia tu żadnych zbrodni? Wiem, że projekt

**72**

burmistrza „Oczyścić Nowy Jork” odniósł spory sukces, ale chyba musi pan mieć jeszcze coś do roboty. - Skręcili w Aleję C.

- Nie mam - wyglądał na zniechęconego. - Te sprawy dotyczące zaginionych osób...

- Jest to więc jeden ze standardowych przypadków? - Lily natychmiast pożałowała swoich słów. Zabrzmiały tak lekceważąco. A jeśli powie „tak”? Tak, to tylko jeden z rutynowych przypadków, które niczym szczególnym się nie wyróżniają? Za miesiąc przestanie już być przypadkiem i stanie się statystyką. Mimo upału Lily zadrzała. Dlaczego w ogóle zadała mu to pytanie?

- Amy nie jest standardowym przypadkiem - powiedział Spencer. A kiedy Lily bała się na niego spojrzeć w obawie, że w jego oczach dostrzeże kłamstwo, a on w

jej sceptycyzm, powtórzył: -Naprawdę. Sprawy dotyczące osób zaginionych to bardzo często nieporozumienia. Ktoś się przeprowadza i nie zostawia nowego adresu. Albo wyjeżdża na dwutygodniową wycieczkę do Europy i postanawia tam zostać trzy miesiące. Czasem też nastolatka ucieka z domu ze swoim chłopakiem, z którym matka nie pozwala się jej spotykać. Rodzina wynajmuje prywatnego detektywa i przy odrobinie szczęścia znajduje uciekinierów po dwóch tygodniach.

- Amy nie szuka prywatny detektyw - powiedziała ze smutkiem Lily.
- Ależ szuka.

Zatrzymała się i spojrzała na niego zaskoczona.

- Jego usługi opłaca Jan McFadden. To Lenny, który zawsze lubił paprać się w łajnie. Zwolniony z policji po dwudziestu latach pracy. Wyrzuciliśmy go, a tu się nagle okazuje, że jest nam niezbędny.
- Czy to tajniak, detektywie? Tajniak, jakie to zabawne słowo.
- Można go i tak określić. To jeszcze gorsza wersja mojego partnera, na dodatek okropnie ubrana. Lenny jeszcze nigdy nikogo nie znalazł. A to coś znaczy, bo przerzuca łajno, o którym my nawet boimy się myśleć - zawiesił głos. - Lenny to... jak to powiedzieć... porusza się na samym dnie.

- No to dobrze. Amy na pewno tam nie ma.

- Kto wie? W takich przypadkach najważniejsze jest zidentyfikowanie zaginionej osoby. Amy nie zostawiała dokumentów za każdym razem, gdy wychodziła z domu. Sama pani to mówiła. *Czasami je zostawiała*. Kiedy Amy wyszła z mieszkania bez dokumentów, mogło to oznaczać jedną z dwóch rzeczy: albo próbowała chronić siebie, albo osobę, z którą była.

Lily milczała przez chwilę.

**73-** Nie była aż tak wyrachowana. Może gdzieś pracuje? Może trzeba sprawdzić dokumenty w ubezpieczeniach społecznych?

- Ostatni zapis pochodzi z drugiego tygodnia maja, kiedy potrącono jej podatek od pensji, jaką dostała w Copa Cabana.

Ależ on jest dokładny.

- Co jeszcze można sprawdzić? Nie patrząc na nią, powiedział:
- W stanie Nowy Jork nie znaleziono żadnych zmarłych niezidentyfikowanych młodych kobiet w szpitalach, kostnicach i domach pogrzebowych. Nie zanotowano też żadnych informacji o niezidentyfikowanych młodych kobietach, które zginęły w wypadkach samochodowych, katastrofach kolejowych, nie znaleziono ich też w parkach publicznych. I proszę mi wierzyć, nasi ludzie przeczesują każdy krzak wokół jeziora w Central Parku. Przeszukanie każdego akra powinno nam zająć jeszcze jakieś trzy, cztery lata.

Lily szła szybko, próbując znaleźć jakieś inne rozwiązanie; tak bardzo chciała okazać się pomocna. Lafayette Street jeszcze nigdy nie była tak daleko. Spencer nadal szedł obok niej.

- A może - powiedziała cicho, czując, jak serce bije jej coraz wolniej - Amy nie chce, żeby ją znaleziono.

- A może - odparł - chce, żeby ją znaleziono, ale nie ma na to żadnego wpływu.

**9**

## **IGNORANCJA W ŁÓŻKU AMY**

Lily obudziła się o trzeciej nad ranem. Leżała w łóżku Amy, wpatrując się w sufit. Myślała o Amy i próbowała nakłonić swój mózg, by przestał myśleć o Amy. Coś

straszliwie nie dawało jej spokoju. Zrzuciła kołdrę i rozłożyła ramiona i nogi, jakby udawała, że lata. Kończyny dziwnie ją bolały, a w serce raz po raz wbijały się drobne igły. Z kranu w łazience kapła woda. Słyszała ją wyraźnie przez otwarte drzwi. Chciała wstać i zamknąć, ale nie mogła.

Czuła, że gdzieś w jej wnętrzu coś jest nie tak. Ta dziwna słabość, smutek, wyczerpanie. Może Spencer ma rację, może powinna z kimś porozmawiać. Ale z kim?

74

Nie mogła zasnąć. Gdzieś głęboko szalona bestia zębami rwała jej smutek, wysysała z kości szpik - Boże!

Zerwała się z łóżka. Skąd znalazła na to energię? Była przecież taka zmęczona. Ale zerwała się i przez chwilę stała, ciężko oddychając. Patrzyła na kołdrę Amy, na jej poduszki i prześcieradło.

Weszła najpierw do łazienki, a potem do kuchni, by nalać sobie wody. Następnie usiadła po turecku na podłodze w swoim własnym pustym pokoju i wykręciła numer telefonu. W ciągu piętnastu minut, o czwartej nad ranem kupiła pełnowymiarowy materac z ramą za pięćset dolarów - całą pensję za zeszły tydzień - który zostanie dostarczony kilka godzin później, o jedenastej. Ten kraj jest naprawdę niesamowity.

Kiedy skończyła rozmowę z ludźmi od łóżka, położyła się na kanapie w saloniku i włączyła telewizor. Przez kilka koszmarnych minut przerzucała kanały - idealny krem do twarzy, wróżka czeka pod numerem 900-..., schudnij szybko dzięki naszej cudownej mieszance - a potem znów wzięła słuchawkę do ręki i zadzwoniła na posterunek. Oficer pełniący nocny dyżur spytał, czy to nagły wypadek.

Uważała, że tak, ale nie była pewna.

- Dziś w nocy detektyw o'Malley nie jest pod telefonem. Mogę mu powiedzieć, że pani dzwoniła, kiedy przyjdzie do pracy rano. Czy coś się stało?

Uważała, że tak. Nie powiedziała jednak tego oficerowi i odłożyła słuchawkę.

Wyłączyła dźwięk w telewizorze. Leżąc na kanapie, wpatrywała się w migające obrazki. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zadzwonić na podany na wizytówce numer pagera, ale postanowiła tego nie robić. W głowie słyszała wciąż słowa zapomnianej piosenki Springsteena. *Hey man, didyou see that? /His body hit the street with such a beautiful thud/*

*1 wonder what the dude was sayin' / or was hejust lost in theflood?¹*

Pobawiła się chwilę pilotem i wyłączyła kolor w telewizorze. Teraz oglądała kanał z wróżbami w wersji czarno-białej i kiedy wpatrywała się w ekran, myślała tylko o tych wszystkich nocach, które przespała w łóżku Amy. Nie zawracając sobie głowy, by kupić własne. Jakby gdzieś głęboko, w najciemniejszym zakamarku serca wiedziała, że Amy nie wróci.

Snuły plany, że będą razem pracować. Obie były artystkami, obie malowały. Lily lubiła malować ludzi, miała prawdziwy talent do oddawania na

<sup>3</sup> *Hej, stary, -widziałeś to? I Upadł na ulicę z takim pięknym hukiem / Ciekawe co ten gość mówił I a może tylko zagubił się w powodzi?*

75 płótnie twarzy i ciała. Amy lubiła malować martwe natury - krzesła, dzbanki, drzewa. Szkicowały razem w parku przy placu Waszyngtona i przy Union Square, w Bartery Park, a nawet w parku przy Tompkins Square, w którym roilo się od bezdomnych i narkomanów. Szkicowały nocą Broadway i Piątą Aleję, a potem



malowały widok w kolorach. Jednak w wielu szkicach, szczególnie tych ostatnich, Lily zauważyła, że gdy ona dodawała kolory tam, gdzie były potrzebne, Amy pozostawiała czerń i biel. Jej obrazy były szare, bezbarwne. Nie widać było żółtych i czerwonych świateł ulicznych, migających na niebiesko policyjnych kogutów. Nocne szkice Statuy Wolności, World Trade Center, Empire State Building w wykonaniu Amy pozostawały ciemne i pozbawione koloru. Jeden z nich był utrzymany w czarnej tonacji. Kiedy spytała dlaczego, Amy odparła, że to widok na Times Square z Broadwayu o północy. „Gdzie są billboardy? - spytała Lily. Przecież zawsze się świecą”. „To mglista noc - odparła Amy pozbawionym emocji głosem. Jest ciemno. Nic nie widać”.

Dlaczego przypominała sobie to wszystko właśnie teraz?

Zasnęła na kanapie i we śnie wspominała Amy, a kiedy się obudziła, wspomnienie było tak wyraźne, jakby przyjaciółka spała w pokoju obok.

Lily się rozplakała.

Przywieźli materac i ramę. Wręczyła dwudziestodolarowy napiwek dwóm Latynosom za to, że byli młodzi i próbowali z nią flirtować, wzięła prysznic, ubrała się i poszła do pracy na podwójną zmianę. Kiedy zarobiła już sto siedemdziesiąt dolarów, w drodze powrotnej do domu wzięła taksówkę. Teraz co wieczór płaciła dziesięć dolarów za taksówkę do domu. Dni bez taksówek należały już do przeszłości. Pewnego wieczoru przyszło jej do głowy, że gdyby tylko zrealizowała swój kupon, co wieczór, kiedy kończyła pracę kelnerki, mógł na nią czekać szofer z limuzyną. Roześmiała się i wróciła do domu piechotą.

Na schodach czekał na nią Spencer.

- Ile trwa ta zmiana? - spytał, zamykając policyjny notatnik. Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Detektywie o'Malley, jest wpół do dziesiątej. Czy pan nigdy nie przestaje pracować?

- Nie, kiedy codziennie dzwoni do mnie matka z pytaniem, czy już znalazłem jej dziecko - odparł.

Lily przestała się uśmiechać i zamilkła. Czowała się pokonana. Już chciała go obejść, kiedy ujął ją pod ramię.

76

- Dlaczego dzwoniłaś do mnie w środku nocy, Liliannę?

- Ja... - zająknęła się.

- Chciałaś mi coś powiedzieć?

- Ja tylko... coś mnie zaniepokoiło.

- Co takiego?

- Teraz nie pamiętam. Usiedli na schodach. Otaczała ich lipcowa nowojorska noc, gorąca i duszna.

- Nie jestem już panną Quinn?

- Kiedy panna Quinn dzwoni do mnie w środku nocy, automatycznie staje się Liliannę. To rozporządzenie miejskie numer 517.

A kiedy Liliannę stanie się Lily? Chciała go o to zapytać, ale bała się, że zabrzmie to zbyt kokieteryjnie.

- W Odessa Cafe u zbiegu Alei A i Siódmej Ulicy podają rewelacyjne gołąbki, a ja umieram z głodu. Mogę pracować i jeść?

- Czy jedzenie można potraktować jako pracę?
  - Oczywiście. Będę przecież jadł ze świadkiem. Fachowo nazywa się to zbieranie śladów. Chodź. Przy gołąbkach może przypomnisz sobie, co cię tak zaniepokoiło o czwartej nad ranem. Ale pamiętaj, że jeśli będziesz do mnie dzwonić o tej porze, to pomyślę, że Amy wróciła.
  - Niestety, nie. - Z trudem podniosła się ze schodów i dostrzegła, że on walczy ze sobą, by jej nie pomóc. Chciała zapytać, czy może się do niego zwracać po imieniu. Takie oficjalne formuły były dziwne. - Musi się pan sporo naoglądać na tych okropnych ulicach, prawda?
  - Tak, zwłaszcza w twojej okolicy.
  - Czy dobrze pamiętam, że jeździł pan wozem patrolowym po autostradzie na Long Island, zanim przeniósł się pan do Nowego Jorku?
  - Tak.
  - Awansował więc pan z gliniarza z drogówki na oficera Wydziału Specjalnego?
  - Wcześniej przez wiele lat pracowałem jako detektyw w Dartmouth College.
- Lily się ożywiła.
- To musiała być cudowna praca! W ostatniej klasie szkoły średniej byłam na wycieczce w Dartmouth. Wyobrażam sobie, że studiowanie tam musi być niesamowite.
  - Hmm - odparł. - Trudno mi cokolwiek powiedzieć. Ja tam nie studiowałem.
- 77- Ale co miał tam do roboty detektyw? Aresztować nieletnich chłopców za popijanie w sobotnie wieczory?
- Gdyby tylko to.
- Lily spojrzała na niego z zaciekawiona.
- Coś więcej?
  - Trochę więcej.
- Był bardzo powściągliwy.
- Detektywie... czy Dartmouth należące do Ivy League ma może erotyczne podziemie?
  - Nie wiem, czy „erotyczne” jest tu właściwym słowem. Raczej niegodziwe.
  - Och, proszę mi opowiedzieć. Uwielbiam takie historie!
  - Może innym razem. Choć bardzo podoba mi się twoja wiara w historie, które uważasz za prawdziwe. To bardzo młodzięcza cecha - uśmiechnął się. - Ja nie jestem już taki młody.
- Kiedy usiedli przy stoliku i złożyli zamówienie. Lily powiedziała:
- Przypomniałam sobie, o czym chciałam panu powiedzieć.
  - Czy to dotyczy Amy?
  - Tak. Między szkołą średnią a college'em zrobiła sobie dwa lata wolnego. Tuż po szkole pojechała na wyprawę przez cały kraj z przyjaciółmi z Port Jeffrey. Ale chyba w końcu miała tego dość, bo wróciła do domu.
- Spencer wyraźnie zainteresował się wyprawą Amy. Zapytał o ludzi, z którymi podróżowała. Lily powiedziała mu wszystko, co wiedziała, czyli niewiele. Nie знаła nazwisk innych uczestników wyprawy. Mógł ich znać Paul, który chodził do tej samej szkoły.
- Co się z nimi wszystkimi stało? Czy wszyscy przyjechali na Long Island, tak jak Amy?

Lily nie była pewna. Wiedziała jedynie, że jeden z uczestników wyprawy popełnił

samobójstwo, jeden przedawkował narkotyki, jeden zginął w wypadku samochodowym, kiedy pijany kierowca wjechał w ich furgonetkę, a dwójka gdzieś się zagubiła. Ale nie była do końca pewna.

Spencer przestał jeść gołąbki, a Lily cicho odchrząknęła.

- O tym okresie swojego życia mówiła bardzo wymijająco. Opowiedziała mi kilka anegdot, wspominała o Kansas i Nowym Orleanie, ale było tego niewiele.

Powiedziała co nieco o swoich przyjaciółach, ostrzegła mnie przed narkotykami i tyle. - Spuściła wzrok na talerz. - Mówiła o tym tak jak pan o Dartmouth.

Ostrożnie.

Spencer postukał w blat stolika, żeby zwrócić jej uwagę.

78

- Miejmy nadzieję, że jej wyprawa nie przypominała jednak mojego bytu w Dartmouth. Mówisz, że z grupy sześciu osób, które wyruszyły tą furgonetką, trójka nie żyje?

- Jeśli tak chce pan to określić.

- A jak ty byś to określiła?

- Samo życie, detektywie. Wypadki samochodowe, narkotyki, samobójstwa. Co jeszcze zabija młodych ludzi w dzisiejszych czasach?

Kupony na loterię?

Spencer przyglądał się jej w milczeniu.

- Chcesz wiedzieć? Gina z ręki zabójców. Morderców. Zwyrondniaków, dla których życie ludzkie nie jest żadną wartością. Ale żeby zaginęła jeszcze dwójka? Paul musi coś o tym wiedzieć. Wszyscy chodzili do tej samej szkoły. Jutro pójdę z nim porozmawiać.

- Spencerze... to znaczy detektywie O'Malley... - zarumieniła się. Spojrzał na nią z uśmiechem. - Nie mam pojęcia, czy Paul coś wie. Ale nie sądzę, żeby ta dwójka była ważna.

- Nie sądzisz? Los sprawia, że sześć osób podróżujących jednym samochodem ginie w tragicznych okolicznościach. I dla ciebie to nie jest ważne?

Lily zastanowiła się, czy daty ich urodzin albo ważnych w życiu wydarzeń mogły być takie jak skreślone przez nią cyfry: 49, 45, 39, 24, 18, 1. Dlaczego jednak powinna się nad tym zastanawiać? Co jej sześć liczb mogło mieć wspólnego z sześcioma osobami, których nie знаła?

Znała Amy. Amy miała 24 lata.

Ona też miała 24 lata.

To głupie tak myśleć. Żałowała, że Spencer naprowadził ją na ten tok, wspominając o losie.

Kiedy chciał zapłacić i wyjął zwitek banknotów, z portfela wypadło kilka kuponów na loterię. Lily się roześmiała.

- Ależ z pana optymista. Kolekcjonuje je pan?

- Tak. Kiedy zbieram dwanaście, sprawdzę liczby hurtowo. A ty postanowiłaś przypiąć jeden do ściany?

Serce zabiło jej szybciej.

- Czy jest taka rzecz, której pan nie zauważył, detektywie?

- Oczywiście, panno Quinn. Inaczej nie szukałbym nadal pani współlokatorki.

79 Spotkali się następnego popołudnia w holu posterunku, by razem pójść do salonu fryzjerskiego Paula. Spencer włożył marynarkę. Widać było, że jest mu

straszliwie gorąco. Lily była niemal goła, a mimo to jej ramiona, nogi i szyja lśniły od potu. Nowy Jork w lipcu. Upał.

- Nie jest panu gorąco w tej marynarce?

- Oczywiście. Ale kto potraktuje mnie poważnie, panno Quinn, jeśli będę miał na sobie skąpe szorty i top na ramiączkach?

Spojrzała na niego z ukosa. Czyżby to kolejny żart, bo zauważył jej ubranie? Nie wyglądał na człowieka, który dostrzega takie sprawy. Jako oficer policji zauważał wszystko, ale nie tego typu rzeczy. Mimo to powiedział skąpe szorty. Kiedy przechodząc przez ulicę, wysunęła się przed niego, była ciekawa, czy uważnie się jej przygląda.

- Partner panu nie towarzyszy?

- W takich drobnych sprawach? Nie. Widziała pani detektywa Hark-mana. Woli zachowywać energię na wielkie sprawy. Przez większość dnia zachowuje się jak mysz domowa.

Lily roześmiała się, słysząc to określenie.

W salonie Paul oświadczył, że nie ma o niczym pojęcia. Powiedział Spencerowi, że ten okres w życiu Amy był dwuletnią przepaścią, z której wyłoniła się nietknięta, jakby ta przepaść nigdy nie istniała. Skończyła szkołę średnią, zniknęła, wyruszyła na poszukiwanie swojego, ja", znalazła je, wróciła i rozpoczęła życie na nowo.

Zapisała się do Hunter, zaczęła pracować jako kelnerka w barze, przeniosła się do City College, gdzie poznała Lily, nawiązała kontakt z dawnymi przyjaciółmi i nigdy nie opowiadała o dwóch latach spędzonych w podróży.

- Nie pytam pana o te dwa lata podróży. Pytam o ludzi, z którymi podróżowała.

Paul nic o nich nie wiedział.

- Nie przyjaźniliście się w szkole średniej?

- Byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Spencer czekał.

- Mieszkaliśmy obok siebie, ale nie obracaliśmy się w tych samych kręgach. Amy trzymała się z grupką prawdziwych popaprańców, ja nie. Nie byli muzykami, sportowcami, przygłupami, nie śpiewali w chórze. Nie mam pojęcia, kim byli. Nie wiem, jak się nazywali, nie wiem co się z nimi stało. Jak już mówiłem, w tamtych czasach nie obracaliśmy się w tym samym towarzystwie.

**So**

- Rozumiem. Czy mógłby mi pan pokazać ich zdjęcia w roczniku szkolnym?

- Jezu! Jakże to ma znaczenie? To było sześć lat temu. Kogo może teraz obchodzić szkoła średnia?

- Czy mógłby mi pan pokazać ich zdjęcia w roczniku szkolnym? - powtórzył Spencer.

- Nie, raczej nie.

- Czy należeli do jakiegoś klubu?

- Nie wiem. Raczej nie.

- Może mieli ciągoty polityczne?

- Może. Nic przecież o nich nie wiem. Ciągoty polityczne? Byli przecież po prostu grupką beznadziejnych ćpunów.

- Amy też?

- Nie, ona nie! Trzymała się tylko z niewłaściwymi ludźmi. Wystarczy?

- No cóż - powiedział Spencer - pewnie by wystarczyło, gdyby Amy nie zaginęła przed dwoma miesiącami. A ponieważ zaginęła, nie wystarczy. Pańska

przyjaciółka, która stoi tutaj obok, odniosła wrażenie, że chodziło o coś więcej niż tylko o narkotyki.

Paul rzucił Lily miażdżące spojrzenie.

- Czy Harlequin jest pewna?
- Harlequin niczego nie jest pewna - odparła Lily.
- No właśnie - burknął Paul.

Spencer skierował ją w stronę wyjścia, na moment opierając dłoń między jej nagimi łopatkami.

Rozmowy ze Spencerem o Amy bardzo źle działały na ego Lily. Czuła się zupełnie tak, jakby była z Joshua. Z przerażeniem uświadomiła sobie, o ilu rzeczach powinna była wiedzieć, a nie miała o nich bladego pojęcia.

Czy Amy, pochodząc z białej klasy średniej zamieszkującej spokojne, ciche Port Jefferson, wiodła życie o wiele bardziej burzliwe, niż powinna? Czy miała tajemnice, które tak doskonale skrywała? A może Lily interesowała się tym mniej, niż to sobie uświadamiała? Nie wiedziała i nie chciała wiedzieć.

Od jak dawna nie potrafiła normalnie rozmawiać ze swoją matką? Kiedy matka tak całkowicie i nieodwołalnie wyprowadziła się z jej życia? Nie wiedziała i nie chciała wiedzieć. Dziesięć lat temu po tej nagłej operacji wrzodu? Dziewięć lat temu w Forest Hills, kiedy spadła w mieszkaniu

81z krzesła (!) i złamała rękę, a ojciec powiedział: „Mamusi nic nie jest, tylko upadła, nie bój się, tylko upadła”. Lily myślała, że to nic wielkiego, zresztą, to było tak dawno temu. Ale od tamtej pory prawie nie miała matki. Co matka robiła przez dziewięć lat?

Jeszcze jedna otchłań ignorancji, która nie miała dna.

**10**

## **MYŚLI O NIEWDZIĘCZNYM DZIECKU**

Była piąta rano, słońce przed chwilą wzeszło, a Allison Quinn obudziła się wściekła.

Ona nigdy nie dzwoni, nigdy, myślała, wędrując z sypialni do kuchni, zastanawiając się, czy ma ochotę coś zjeść. Nie zadzwoniła nawet wtedy, gdy Allison wysłała jej pieniądze na opłacenie połowy czynszu i kilka dolarów dodatkowo. Od czasu zaginięcia Amy cały koszt wynajęcia mieszkania spoczywał na barkach Lily, dlatego chciała pomóc córce, która nie zadzwoniła, żeby jej podziękować! Nie przesłała nawet krótkiego liściku z podziękowaniem za dziewięćset dolarów, jakby te pieniądze po prostu się jej należały.

Jakie to dla niej typowe. Lily zawsze uważała wszystko za rzecz oczywistą, jakby najmłodsze dziecko w rodzinie miało prawo, by podawano mu wszystko na talerzu. Allison słyszała, jak George pochrapuje za drzwiami swojego małego pokoju. No proszę! Śpi, jakby nic na świecie go nie martwiło. Nic nigdy go nie smuci. Ani moje słabe zdrowie, ani depresja, nic. I wcale mnie nie potrzebuje. Spojrzała na stosik rachunków leżący na biurku, na nieotwarte przesyłki od Amandy i Annę. Stale mi przysyłają te przekłete książki. Choć raz mogłyby zadzwonić.

Ale nikt nie dzwoni.

Och, Andrew dzwoni co tydzień, żeby szybko się z nią przywitać, a potem przez pół godziny rozmawiać z ojcem. Andrew, który dla nikogo nie ma czasu, co tydzień rozmawia z George'em przez pół godziny! Udają, że rozmawiają polityce,

hokeju, ale tak naprawdę tylko jaignorują. A ostatnio już nawet Andrew dzwoni coraz rzadziej.

Poszła do łazienki i przyjrzała się odbiciu twarzy w lustrze. Była na-

**82**

brzmiała i opuchnięta. Przyjrzała się swoim pożółkłym zębom (od kawy i papierosów) i skórze. Rozejrzała się w poszukiwaniu soku żurawinowego. Nie czuła się dobrze. Sok żurawinowy dobrze jej zrobi. Nalała odrobinę do wysokiego kieliszka i przyjrzała się uważnie. Pragnęła tylko chwili ulgi po tak wczesnym przebudzeniu. Nie mogła spać, nie czuła głodu i nie było na świecie nic, czym miałaby ochotę się zająć. Chciała tylko poczuć ulgę.

Przeszła do garderoby, gdzie na podłodze piętrzyły się całe stosy ubrań.

Zimowych, których już nie nosiła, bo przecież byli na Hawajach. Nie były potrzebne tak samo jak ona. Ona też mogła leżeć na podłodze. Wsunęła rękę w stos swetrów, szukając czegoś schowanego głęboko na dnie. Nietrudno było to znaleźć. Po chwili wyjęła na wpół pustą, trzyipółlitrową butelkę dżinu. Zanim wyciągnęła ją do końca, upewniła się, czy ma tam jeszcze jedną, pełną. Miała.

Zaniosła butelkę na blat, gdzie czekał sok żurawinowy. Przez chwilę wpatrywała się w kieliszek i trzymaną w rękach butelkę. Doszła do wniosku, że pustka, jaką dziś odczuwa, jest zbyt wielka, by mógł ją zapełnić tak mały kieliszek. Jutro spróbuje wziąć się w garść. Jutro będzie mogła spać dłużej niż do piątej i może nawet wybierze się na spacer z George'em... ale po co? Naprawdę, po co?

Dlaczego ma się brać w garść jutro? Tak jakby miała dokąd pójść.

Otworzyła butelkę dżinu i drżącą ręką podniosła ją do ust. Z trudem utrzymywała tak wielki ciężar. Rozchyliła usta i wlała dżin do gardła. Prawie nie musiała przełykać. Butelka stała się o wiele lżejsza, to dobrze. I jej serce stało się o wiele lżejsze. Dobrze. Jak dobrze.

Musi odłożyć butelkę, zanim straci...

### **11 SPENCER PATRICK O'MALLEY I LILIANNE QUINN**

Aby uciec od duchoty panującej w mieszkaniu, w sobotni wieczór o ósmej Lily siedziała w klimatyzowanej knajpce Odessa i jadła kolację, gdy do środka wszedł Spencer. Knajpka była prawie pusta, ale Lily siedziała w boksie oddalonym od wejścia, więc jej nie zauważył. Podeszedł do kasy, gdzie obsłużyła go Jeanette. Miał na sobie dżinsowe spodnie i kurtkę. Lily była prawie naga, tak straszliwie było jej gorąco, a zrobiło się jeszcze bardziej,

83kiedy spojrzała na jego kurtkę. Nie chciała, by ją zauważył, więc zsunęła się lekko z krzesła i ukradkiem obserwowała, jak rozmawia z Jeanette. Zamówił kanapkę z indykiem.

- Na miejscu czy na wynos, detektywie o'Malley?

Jeanette miała dwadzieścia dziewięć lat, a od jedenastu pracowała jako kelnerka. Powiedział, że na wynos.

- Dlaczego choć raz pan nie zostanie? Chętnie się panem zajmę. I zaczęła chichotać!

Podziękował, poprosił tylko o kanapkę bez majonezu, dużą kawę, dużą colę i filiżankę kawy na miejscu.

Jeanette, wypinając pierś i trzepocząc rzęsami, powiedziała, że zaraz wróci, i wyszła do kuchni. Spencer odwrócił się od lady i rozejrzał po sali. Lily zsunęła się jeszcze niżej.

Zauważył ją.

Uśmiechnęła się lekko, pomachała do niego i zamknęła szkicownik, gdy szedł w jej stronę. Szkicowała pustą ladę w sobotni wieczór, tyle tylko że zamiast Jeanette sama za nią stała.

- Witam, panno Quinn - powiedział. Odpowiedziała na jego powitanie.

- Jeanette, wypiję kawę tutaj - powiedział do kelnerki, która przyniosła mu filiżankę i spojrzała na Lily z wielką niechęcią, gdy Spencer siadał naprzeciw niej w boksie.

Lily spytała, czy dziś także jest na służbie.

- Nie, staram się nie pracować w weekendy - odparł.

W takim wypadku powinien wyglądać o wiele lepiej. Bo wyglądał na zmęczonego, zupełnie jakby nie spał od kilku dni. Nie uśmiechnął się, dopóki nie spojrzał na stojący przed Lily stek, sałatkę grecką, kawałek sernika, galaretkę i pudding chlebowy.

- Jest pani dziś głodna? - spytał z lekkim uśmiechem.

Nieśmiało odparła, że nigdy tego nie wie, dopóki jedzenie nie stanie przed nią na stole.

Jeanette przyniosła Spencerowi brązową torbę i postawiła na stoliku.

- Pańskie zamówienie, detektywie. Życzy pan sobie, żebym wszystko podliczyła?

- Nie, dziękuję, zmieniłem zdanie. Zostanę i zjem wszystko na miejscu. Mogłabyś przynieść mi musztardę?

Przez chwilę jedli w milczeniu. Potem się okazało, że tego wieczoru

## 84

Lily jest znacznie bardziej rozmowna od niego. Spytała, dlaczego nawet w takim upale nosi kurtkę, a on odchylił jej poły, ukazując ukrytą pod ramieniem kaburę z bronią.

- Kiedy nie jestem na służbie, wolę nie wymachiwać glockiem. Ludzie zaczynają się denerwować.

Zapytała, dlaczego nosi broń, skoro nie jest na służbie.

- Broń może być mniejsza, ale mam obowiązek zawsze nosić ją przy sobie - odparł. - Tylko udajemy, że nie jesteśmy na służbie. Wszystko wymyślono po to, żeby nas oszukać. Płacą nam za określoną liczbę godzin, ale nigdy nie kończymy służby. Nowy Jork by zbankrutował, gdyby musieli nam płacić za służbę trwającą siedem dni, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Wyjaśnił, że teraz ma przy sobie broń mniejszą od glocka, który zawsze nosi na służbie.

Spytała, czy mieszka w okolicy, czy jada tu regularnie. Wyglądało na to, że Jeanette dobrze go zna, choć oczywiście o tym nie wspomniała.

- Nie, mieszkam u zbiegu Jedenastej Ulicy i Broadwayu.

- Och, to blisko Veniero! Tej niezwyklej cukierni.

- Nie mam pojęcia. Nigdy tam nie byłem. Nie przepadam za słodyczami.

Spojrzał na stojące przed nią desery. Wzruszyła ramionami i wyjaśniła, że ona trochę za nimi przepada.

Kiedy skończyli jeść, każde zapłaciło za siebie. Jeanette wyglądała na bardzo z tego faktu zadowolona. Spencer otworzył Lily drzwi i ona też była z tego bardzo zadowolona.

- Dziwnie pisze pani swoje imię - powiedział z powagą, jakby komentował fakt o

niezwykłej doniosłości.

- Dlaczego?

Wracali piechotą z Odessy. Było już ciemno, lecz nadal bardzo gorąco. Spencer nieco zwolnił, Lily też, więc szli jakby na spacer. Z baru, który mijali przy Alei A, dobiegała głośna muzyka. Bruce Springsteen śpiewał: *He was out in the street / walking the way he wanted to walk*<sup>4</sup>. Spencer przez chwilę nucił fragment piosenki.

- Nie wiem - odparł w końcu. - Lily-Anne. Słyszałem o Lilian pisanej przez jedno i o Lillian przez dwa. Ale Lili-ANNE?

Nie wiedziała, czy z niej żartuje; wahała się, czy odpowiedzieć żartem,

<sup>4</sup> *Wyszedł na ulicę / i szedł tak jak chciał iść.*

85czy też z daleko idącą ostrożnością. W końcu zdecydowała się na ostrożność.

- Przyszłam na świat szesnaście lat po moim bracie. Moja matka zapomniała już, że moja najstarsza siostra nosi imię Annę, chciała mnie nazwać Anya, Anita lub coś w tym stylu. Ojciec oświadczył, że mają już Annę, lecz matce to nie przeszkadzało. Nie mieli przecież Anity. Ojciec spytał, czy są Latynosami. Wtedy matka pomyślała o Anyi. Żadna Anya, zaprotestował ojciec. Żadna Anastasia, nie ma też mowy o Anice! Mają już jedną Annę i wystarczy. Tak więc moja matka postanowiła pójść na odważny kompromis, jak nazywa to po dziś dzień, i postanowiła dać mi na imię *Liliannę*, żeby mimo wszystko mieć Annę. Nie mam pojęcia, jakim cudem ojciec się na to zgodził.

Spencer uśmiechnął się, a kiedy na nią spojrział, zrobił to zupełnie inaczej, z większą poufałością.

- A ja mam pojęcie. Dokładnie tak samo jak mój. Kiedy się urodziłem, matka wpisała na akcie urodzenia Patrick O'Malley i nie wspomniała o tym ojcu ani słowem. Przez pierwsze trzy miesiące mówiła na mnie „Maleństwo”, więc ojciec nie dowiedział się prawdy i nigdy o to nie zapytał, dopóki nie zacząłem się uśmiechać.

- Nie uśmiechał się pan przez trzy miesiące?

- A pani by się uśmiechała, gdyby ktoś mówił na panią „Maleństwo”?

- Słusznie. A co było nie tak z Patrickiem?

- Mieli już jednego.

Teraz to Lily spojrziała na Spencera zupełnie inaczej.

- Nazwali pana Patrick, mimo że jeden już był w rodzinie?

- Tak.

- Ilu was było? Proszę mi tylko powiedzieć, że więcej niż dwóch.

- Jedenaścioro.

Lily otworzyła szeroko oczy.

- To chyba musi pan wybaczyć swojej matce - powiedziała. - Przy jedenaściorgu dzieciach...

- Kto powiedział, że jej nie wybaczyłem?

- Nazwała więc pana Spencer na cześć Spencera Trący?

- Zgadza się. - Znów spojrział na nią łagodnie.

- Spencer to takie ładne irlandzkie imię. - Wbiła wzrok w chodnik.

- Quinn to takie ładne irlandzkie nazwisko. Dlaczego pani przyjaciel Paul mówi na panią Harlequin?



Zmieszała się.

- Zauważył kiedyś u mnie w pokoju taką powieść. Do dziś nie pozwala mi o tym zapomnieć.

- Tak? Moje siostry czytały te romansidła i nie przestawały mnie dręczyć. Ich zdaniem mogłem liczyć na powodzenie tylko wtedy, gdybym stał się podobny do jednego z bohaterów. Z jakiej serii pochodziła pani powieść: Pokusa czy Intryga?

- Płomień - odparła, rumieniąc się, a potem wybuchnęła śmiechem na widok rozbawienia malującego się na jego twarzy. Stali przed jej domem i poczuła ukłucie żalu na myśl, że spacer tak szybko się skończył.

- Dlaczego pani matka tak bardzo lubi imię Annę? Kim jest Annę?

- Nie wiem. Moja matka po prostu lubi.

- Bardzo je lubi - powiedział w zamyśleniu.

Stojąc na ostatnim stopniu, Lily spojrzała na niego uważnie.

- Detektywie o'Malley - zaczęła żartobliwym tonem - przykro mi, że muszę pana o tym poinformować, ale zamięłowanie mojej matki do imienia Annę w żaden sposób nie jest związane z prowadzonym przez pana dochodzeniem.

- Niech pani nie będzie taka pewna. A druga siostra? Ma na imię Amanda.

- To kolejny podstęp mojej matki. AmANNEda. Spencer uśmiechnął się szeroko.

- A brat? Może jemu się udało?

- ANNE-drew.

- No jasne. Pani bratem jest Andrew Quinn, kongresman z pierwszego okręgu?

- Tak. To ten Andrew Quinn.

- Gratulacje. W zeszłym roku został ponownie wybrany, prawda? Coś tam pamiętam. Sporo było pisku i krzyku.

- Po części ponoszę za to odpowiedzialność, bo brałam udział w kampanii. Razem z Amy. I w porównaniu z pierwszymi wyborami, w których walczył z Abramsem, teraz odniósł przytłaczające zwycięstwo.

Otworzyła drzwi. Spencer nadal stał przy pierwszym schodku.

- To bardzo interesujące, Lily Płomienna Harlequin. Dobrej nocy. Wydaje mi się, że mimo wszystko powinna pani zbadać, dlaczego matka tak bardzo lubi imię Annę.

- Dziękuję, detektywie o'Malley. Mam tyle wolnego czasu, że z pewnością to zrobię.

87- Panno Quinn, może się pani zwracać do mnie po imieniu. Kiedy weszła na piąte piętro, nadal uśmiechała się od ucha do ucha.

**12**

## **MAŁA WYNAJĘTA HONDA**

Lily prowadziła właśnie jedną z rzadkich, zdawkowych rozmów z matką.

Wiedziała, że jest zdawkowa dzięki ilości czarnych kółek, które rysowała coraz mniejszym kawałkiem węgla na szkicowniku, brudząc sobie przy tym palce i narzutę na łóżko. Przed chwilą wyszła z wanny - przez ostatnie dni brała kąpiel, gdyż była zbyt zmęczona, by stać pod prysznicem.

Teraz oczy jej się zamykały, a matka trzymała ją przy telefonie. Lily leżała na swoim nowym wygodnym łóżku, a tuż za nią powiewały w gorącym wietrze błękitne, przewiązane wstążką zasłony. Czarne kółka. Ple, ple, ple. Po chwili drugą słuchawkę podniósł ojciec.

- Czy matka powiedziała ci już, że wjechała samochodem do rowu? - spytał.

Zapadła cisza.

- Możesz odłożyć słuchawkę? - rzuciła ostro Allison. - Nie słyszysz, że rozmawiam z córką?

- Do jakiego rowu? - spytała Lily z niedowierzaniem.

- Och, do takiego małego przy domu - odparła Allison.

- Chodzi jej o wąż, Lii. Wjechała do wążu, zostawiła tam samochód, a teraz musi w sądzie wyjaśnić, dlaczego porzuciła mercedesa w idealnym stanie, nie powiadamiając o wypadku ani pomocy drogowej, ani policji.

Allison nie miała na ten temat nic do powiedzenia.

- Czy mama po raz pierwszy wjechała samochodem do rowu? - spytała Lily, której w tym momencie tylko to przyszło do głowy.

- Tak, to taki drobny wypadek.

- Czyżby? - spytał George. - Powiedz to znakowi Stop, który skasowałaś w zeszłym miesiącu przy Wailea Drive.

- To się nie liczy - zaprotestowała Allison. - To był wynajęty samochód. Honda.

- Twoja matka zażywa sporo lekarstw, Lily - wyjaśnił George, do któ-

88

rego chyba dotarło, jak to wszystko mogło zabrzmieć. - Czasami kręci się jej w głowie, a za kierownicą jest zupełnie roztrzęsiona.

Lily zadzwoniła następnego ranka, kiedy mogła mieć pewność, że matka jeszcze śpi.

- Tati - powiedziała - nie możesz pozwalać mamie prowadzić. Za pierwszym razem skosiła znak drogowy, za drugim wjechała do rowu, a za trzecim może potrafić kobietę z wózkiem.

- Myślisz, że nie wiem? Wiem! Kto jej pozwala? Ja na pewno nie. Powtarzam jej przez cały czas, że zawiozę ją, dokąd tylko zechce. Przecież nie mam nic innego do roboty. Ale ona mówi, że chce pojechać tylko na piętnaście minut do drogerii. Czy mam zostać jej policjantem? Czy przeszedłem na emeryturę, żeby pilnować twojej matki? Jest dorosłą kobietą. Wie doskonale, kiedy powinna, a kiedy nie powinna prowadzić.

- Nie wydaje mi się, żeby wiedziała. Chyba w ogóle nie powinna prowadzić. W swoich najlepszych chwilach jest trochę... rozkojarzona.

- Myślisz, że o tym nie wiem? Wiem lepiej od ciebie, córeczko.

- Co się z nią dzieje, tati?

- Znasz swoją matkę. Uwielbia wysoki. Uwielbia, kiedy wszystko kręci się wokół niej. Spójrz na mnie, jestem chora, jestem w depresji, nie czuję się dobrze, jadę do sądu. Co za szopka. Na pewno nic jej nie jest.

Lily czekała.

- Nic? - spytała w końcu.

- Coś jest z nią jednak nie tak. Stale się przewraca. Nie może zejść z jednego stopnia prowadzącego do salonu ani wejść na jeden stopień, żeby wyjąć pocztę ze skrzynki, by nie upaść. Powinnaś zobaczyć jej nogi. Nie uwierzysz, jak wyglądają. I jej ręce. Są całe w siniakach. Trudno sobie wyobrazić, jak straszliwie są poobijane. A wiesz, jakie zgrabne nogi ma twoja matka - zachichotał. - Gdyby ktoś nie wiedział, jak się sprawy mają, mógłby pomyśleć, że ją bije.

- Osoba, która nie potrafi zejść z jednego stopnia, nie powinna prowadzić samochodu - powiedziała Lily, czując, jak ogarnia ją coraz większy smutek.

- Nie mów tego mnie, ale jej - urwał na chwilę. - Teraz śpi. Dlatego dzwonisz? Wiesz, ona bardzo rzadko wychodzi z domu. Bardzo. Może raz w tygodniu. Nagle wypada, jakby coś ją goniło. I to zazwyczaj po dobrym tygodniu.

- Dobrym, czyli...?

89- To znaczy, że nie wrzeszczy, nie wścieka się ani nie jest rozkojarzona. Nawet chodzi ze mną na spacer. Potem nagle wypada z domu i przez kilka dni, może przez tydzień, znów jest źle. Wydaje mi się, że te wszystkie lekarstwa tylko jej szkodzą.

- Tati? - Czy zdoła wypowiedzieć te słowa? Odetchnęła głęboko. - Z mamą jest coś nie tak. Czy ona... może...

- Co takiego?

Lily zamilkła. Ależ z niej tchórz.

- Co? Chodzi ci o picie? - spytał w końcu ojciec. Wypuściła powietrze z ulgą.

- Tak.

Tak! Picie. I nawet nie musiała tego mówić.

- Nie, nie sędzę.

Przez chwilę milczeli oboje.

- Tati, może kończy się jej alkohol i wypada z domu, żeby kupić?

- Raczej nie. Wraca z całymi siatkami: kupuje szampon, mydła, balsamy, farbę do włosów, swoje pigułki. Wnoszę zakupy do domu. Wiem, co jest w torbach. I na pewno nie ma tam alkoholu.

- To dobrze.

W drodze do pracy Lily miała nadzieję, że Spencer jest o wiele lepszym detektywem niż jej ojciec, bo w innym przypadku Amy nie ma żadnych szans.

### 13

#### LILY I MIASTO SNÓW

Pewnego piątkowego wieczoru Lily wędrowała po ulicach East Village, szukając plakatów ze zdjęciem Amy, które porozwieszali przy Alei B, C, A, przy Pierwszej Alei, Drugiej, przy Lafayette i na Broadwayu. Przed Dagostino wpadła na Spencera. Szedł z kobietą po trzydziestce, która trzymała go pod ramię. Spencer miał na sobie bawełniane spodnie i lekką policyjną kurtkę, a kobieta spódnice i bluzkę. Miała długie, brązowe włosy. Była wysoka. I ładna.

Lily już otworzyła usta, by zawołać radośnie „Cześć!” ucieszona widokiem znajomej twarzy, kiedy dostrzegła splecione ramiona i już nie

90

wiedziała, co zrobić ani co powiedzieć. Spencer powiedział „Witaj, Lily” bez uśmiechu i...

Lily poczuła się tak straszliwie zażenowana, że zamarzyła nagle, by jakaś magiczna siła pomogła jej zapaść się pod chodnik prosto w samo piekło. W piątkowy wieczór wpada na Spencera, uśmiecha się jak idiotka, teraz ma ten uśmiech przyklejony do twarzy, nie wie, gdzie podziąć wzrok i jak u diabła on ją przedstawi, przy głupią prostaczkę...

- Mary, to Liliannę - powiedział.

Tylko tyle. Lily wymieniła uścisk dłoni z Mary, która uśmiechnęła się uprzejmie, tak doskonale wychowana, elegancka, zupełnie jak pudel.

- Miło mi cię poznać - powiedziała Lily. - Muszę już lecieć, przepraszam. -

Pomachała im i wpadła do Dagostino, by ukryć się w dziale mrożonek. O Boże!

Po długich chwilach spędzonych wśród frytek i mrożonych dań wyszła ze sklepu i wróciła powoli do domu, tak rozkojarzona, że o mało nie minęła swojego budynku. •

Była załamana. Nie potrafiła trzeźwo myśleć. Wpadła na Spencera, wędrując samotnie po ulicach w piątkową noc! Ależ z niej ofiara losu! Żeby snuć się samotnie po ulicach Nowego Jorku o takiej porze. Była ofiarą numer sześć, Amy знаła sześciu takich nieudaczników, Lily była ostatnią z nich.

Lecz... wędrując samotnie w piątkową noc, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu poczuła radość na widok Spencera, znajomej twarzy, znajomej osoby i znacznie mniejszą na widok, że nie jest sam.

Dopiero kilka dni później uspokoiła się na tyle, by pogodzić się z bólem, który wywoływało w niej wspomnienie kobiecej ręki wsuniętej pod jego męskie ramię. Ale nie dlatego, że... nie, wcale nie dlatego... nic z tych rzeczy, on był za stary i zupełnie nie w jej typie, a ona za młoda i najwyraźniej nie w jego. Znała siebie, wiedziała, że mówi prawdę - w jej bólu nie było nic niestosownego. Poza tym wcale nie chodziło o niego. Ból budził w niej widok kobiecego ciała przytulonego do ciała mężczyzny - to raniło ją najbardziej. Dopiero później uświadomiła sobie, że zewsząd otaczają ją pary - w piątkowe noce spacerowały objęte po Greenwich Village, ciesząc się życiem. Spencer, którego prawie nie traktowała jak mężczyznę, jednak zdecydowanie nim był! Nie detektywem, nie gliną, nie zawodowcem, ale mężczyzną, spacerującym z kobietą, która go dotykała, a jemu najwyraźniej to nie przeszkadzało. To budziło w niej ból. Pragnienie, by coś czuć. Zazdrość i przeszywający smutek wywołany przez świadomość, że osoba, którą uważała za pokrewną duszę, ale nie posądzała o żadne uczucia -jednak czuła.

Rachel, zawsze gotowa służyć jako swatka, szybko umówiła ją na trzy randki. Jeden z kandydatów prawie nie mówił po angielsku. Przyjechał z Maroka na wizę studencką i bardzo chciał zostać zawodowym koszykarzem - mając niespełna metr osiemdziesiąt wzrostu. Nawet Lily miała więcej rozsądku.

Drugi był księgowym w Deloit. Miał trzydzieści jeden lat, był niewysoki i krępy, nosił zdecydowanie zbyt krzykliwe ubrania, jeździł su-persamochodem i odwiedzał bary, próbując poderwać znacznie młodsze od siebie dziewczęta. Przy kolacji przez cały czas radził jej, by zmieniła wybór przyszłego zawodu z „czegoś związanego ze sztuką” na coś bardziej sensownego, i zapisała się na specjalny kurs, by móc potem podjąć pracę menedżera w dużej firmie maklerskiej. („Tam właśnie są pieniądze i bezpieczeństwo”). Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu Lily pomyślała, jak bardzo Spencer różni się od tego mężczyzny, jaki wydaje się silny i młody, nawet jeśli otacza go aura smutku i powagi, jakby chodził po świecie ze świadomością, że życie już go ominęło.

Ostatnim kandydatem był dzieciak z Coney Island, mieszaniec, który był uroczy, ale najwyraźniej od początku do końca randki pozostawał pod wpływem narkotyków. Możliwe nawet, że podczas kolacji, którą jedli przy barze w meksykańskiej knajpce w Clinton Hill, wyszedł do toalety, by wziąć kolejną dawkę kokainy lub heroiny. Był wyraźnie rozkojarzony i nie potrafił się skoncentrować na niczym, co mówiła, a mówiła oczywiście niewiele. Ale był taki słodki.

Poprosiła Rachel, by już więcej z nikim jej nie umawiała. Przyjaciółka doszła do

wniosku, że jest zdecydowanie zbyt wybredna.

- Zbudowałaś wokół siebie mur, otoczyłaś się polem minowym i nikogo do siebie nie dopuszczasz.

- Dzięki, doktorze.

- Nie możesz pozwolić, Lii, by Joshua miał nad tobą taką władzę.

- Nie ma nade mną żadnej władzy.

Paul, który dowiedział się o tej rozmowie, zadzwonił do niej następnego dnia.

- Ma niesamowitą władzę. Dałaś mu ją, gdy byliście razem, i nadal pozwalasz, by ją miał. Umawiaj się z innymi, bądź szczęśliwa.

Umawiała się z chłopcami, ale jak mogła być szczęśliwa?

92

Poczuła, że coś się jej wymyka, ale nie wiedziała, jak to naprawić, bo nie miała pojęcia, co to takiego.

Aby pokazać, jak wielką ma nad nią władzę, zadzwonił Joshua. Kluczył i jąkał się, zadał kilka zdawkowych pytań, a potem poprosił o zwrot telewizora. Najwyraźniej Dennis jest bez grosza. Przyszedł, został przez pięć pełnych milczenia minut, a potem zabrał telewizor. Poprosił Lily, żeby otworzyła i przytrzymała mu drzwi, ale stała tylko ze splecionymi na piersiach rękami.

Paul przestał nazywać ją Harlequin. Brakowało jej tego. Nie dzwonił też tak często jak dawniej. Tego też jej brakowało. Powiedział, że jest zajęty, Rachel też - tak jakby w ogóle jato obchodziło. Ale obchodziło. Nie mogła nic na to poradzić, ale wyczuwała tak bardzo nietypową dla nich i przykrą rezerwę - jakby mieli jej za złe, że zgubiła gdzieś Amy i nie miała pojęcia, gdzie ją zostawiła.

Spencer powiedział jej, że rocznik szkolny do niczego się nie przydał: Paul nie potrafił sobie przypomnieć twarzy żadnego z przyjaciół Amy. Wskazał na trzy, które wydały mu się znajome, lecz kiedy to sprawdzili, okazało się, że cała trójka żyje, miewa się dobrze i albo uczy, albo wychowuje dzieci na Long Island. Matka Amy też w niczym nie pomogła. Nie pamiętała reszty przyjaciół córki poza Paulem.

Chris Harkman nadal przesiadywał za biurkiem, sprawdzając bilingi Lily. Choć bardzo się starał, nie znalazł tam niczego podejrzanego. Lily wykonała dziewięćdziesiąt procent rozmów do rodzeństwa i babki. W kwietniu dzwoniła pod numer w północnej części stanu Nowy Jork. Ta przeklęta Shona nadal odbijała się jej w ustach żółcią. Amy dzwoniła do Paula, Rachel i do Copa Cabany, i tyle. Spencer powiedział Lily, że wykaz rozmów był podejrzanym, bo nie budził żadnych podejrzeń. Amy była ostrożna.

- Coś mi umknęło - oświadczył Spencer. - Jestem tego pewny. Ale jeszcze nie wiem, co to takiego.

Amy nie pozostawiła żadnych śladów, bo nie chciała ich pozostawić. Ale czy chciała wyparować? A może jej zniknięcie nie było wcale zaplanowane? Jedna rzecz była pewna: od czternastego maja aż do czwartego czerwca, czyli do powrotu Lily, z mieszkania dziewcząt nikt nie wykonywał żadnych telefonów. Nie wiadomo, gdzie podziała się Amy, ale na pewno po czternastym maja nie było jej w mieszkaniu.

Od czasu, gdy Lily spotkała go z przytuloną do jego ramienia kobietą, Spencer znów był w kontaktach z nią bardzo profesjonalny, chłodny. Stali

93razem na posterunku albo w Noho Star, rozmawiali przez kilka minut o

szkolnych rocznikach i bilingach, po czym każde ruszało w swoją stronę. Nie dzwonił też i nie wpadał do niej do pracy tak często jak dawniej. Lily miała od niego wieści najwyżej dwa razy w tygodniu. Trochę za nim tęskniła, za jego spokojem, czymś, co podtrzymywało ją na duchu, było rozsądne i prawdziwe. Nowy Jork, miasto marzeń, miasto koszmarów. Nowy Jork biednych, bogatych, bezdomnych, posiadających kilka mieszkań, Nowy Jork ośmiu milionów ludzi, którzy po nim chodzili. Kiedy padało, wszyscy wchodzili do księgarń, a kiedy świeciło słońce, siadali z książkami na trawie w Central Parku. Narzekali, że miasto jest zbyt hałaśliwe, zbyt drogie, zbyt mocno napędza je amfetamina, za wiele miesza się w nim kultur, jest brudne. Kiedy jeszcze byli wolni, mieszkali w wielkim mieście; po ślubie i przyjeździe na świat dzieci wielu wyjeżdżało. Przyjaciele Lily, Erin i Michael, pracocholik zatrudniony jako makler u Shersona Lehmana, wyprowadzili się z Nowego Jorku do New Jersey, gdy urodziły im się dzieci. Kupili mieszkanie na najwyższym piętrze w Palisades, żeby Erin mogła patrzeć na Nowy Jork, kiedy tylko zapragnie. On nie musiał patrzeć, gdyż spędzał tam całe dnie w World Financial Center, zarabiając i tracąc miliony, zapychając sobie żyły stresem i paskudną kawą.

Lily nie była jednak mężatką i nie miała dzieci. Nie miała dokąd się przenieść. Mieszkała w pobliżu Lower East Side, gdzie osiedliły się jej babcia i matka po przyjeździe do Ameryki. Za każdym razem, kiedy chciała porzucić jakąś część swojego życia, wędrowała ulicami Nowego Jorku, dopóki na dobre nie zostawiła jej za sobą.

Nie potrafiła jednak odejść na tyle daleko, by uwolnić się od niepokoju związanego z przedłużającą się nieobecnością Amy.

- To dlatego, że jesteś przygnębiona i bez grosza- powiedziała jej siostra Annę. - Depresja niszczy cię od środka. A bieda boli. Muszę już kończyć, Lii.

- To dlatego, że nie możesz tak po prostu uciec od faktu, iż twoja współlokatorka zaginęła - powiedziała druga siostra Amanda. - Idź potańczyć. To cię rozweseli. Musisz ruszyć dalej, jak dawniej. Wszystko będzie dobrze. Jesteś młoda. Muszę już kończyć, Lii.

Ale Lily nie miała w sobie dość energii, by pójść potańczyć. Kiedyś jej miejsce na ziemi określał Joshua, określała Amy. On nie wróci, a dopóki Amy się nie znajdzie, będę tkwiła zawieszona w próżni.

94

Amy, wróć i powiedz mi, co mam robić w wieku dwudziestu czterech lat, w samym środku mojego życia. Zdefiniuj dla mnie moje życie, Amy.

Jak długo jeszcze będzie wydawać wszystkie zarobione pieniądze na pyszne kalmary w Union Square Cafe i taksówki? Dopóki Amy nie wróci.

Jak długo jeszcze nie będzie realizować kuponu na loterię?

Dopóki się nie dowie, kim jest.

Dopóki Amy nie wróci.

Tak jakby odmowa zrealizowania kuponu była ubezpieczeniem od następstw tego, co było nie do pomyślenia.

Była coraz bardziej zmęczona. Tak bardzo, że musiała obniżyć liczbę godzin pracy z pięćdziesięciu do czterdziestu, trzydziestu pięciu, dwudziestu pięciu. Podczas przerwy siadała przy stoliku i zasypiała. Pewnego dnia nie mogli jej dobudzić.

Przestraszyli się tak bardzo, że o mało nie wezwali pogotowia. Okazało się, że ma

wędrujące zapalenie płuc. Zażywała antybiotyki i codziennie jadła na kolację wątróbkę cielecą, aż straciła apetyt na wszystko, nie tylko na wątróbkę. Bała się wejść na wagę. Nie kusiły jej nawet serki w czekoladzie. Choć raz jaskusiły w supermarkecie. Miała wielkie plany związane z serkami, chipsami, batonikami, delicjami w czekoladzie, strudlem, pączkami z lukrem. Wróciła do domu i położyła zakupy na kuchence mikrofalowej. Kiedy kichnęła, sześć pudełek leżących na samej górze spadło na podłogę. Nie podnosiła ich przez... Nadal leżały na podłodze, nieotwarte.

Było ciepło, ale ona wciąż odczuwała chłód. Owijała się grubym swetrem należącym do Amy i chodziła spać do kina.

Matka przysłała jej pieniądze na czynsz za sierpień, grożąc, że to już ostatni raz. Kiedy Lily musiała ograniczyć ilość godzin w pracy, poprosiła o kilka dolarów ekstra, lecz matka odmówiła. Wrzeszczała do telefonu przez dziesięć minut, a Lily ze słuchawką przy uchu szkicowała wielkie otwarte usta.

- Wiem, że twój ojciec opowiada ci o mnie parszywe kłamstwa. Kiedy śpię, tak bardzo chora, a moje stare, poobijane ciało pełne jest lekarstw, które trzymają mnie przy życiu, on dzwoni do ciebie i skarży się, mówi ci, że piję. A czy opowiada ci o sobie? Czy mówi, że nie chce być mężem swojej żony...

- Muszę - kończyć - mamó. Muszę - kończyć.

W pracy Lily sparzyła się w rękę i po kilku dniach rana zainfekowała się tak bardzo, że musiała pędzić do szpitala i zażywać kolejne antybiotyki-95ki. Była jednym wielkim chodzącym zarodnikiem pleśni. Próbowwała jeść jogurt, żeby podnieść odporność organizmu, ale okazało się, że nie ma już w domu jogurtu. Bandażowała ranę, która nie chciała się zabiżnić. Nie tyle bandażowała, ile ukrywała przed światem.

## 14

### **BABCIA MARTWI SIĘ O LILY**

W czwartek, piątego sierpnia, Claudia posadziła Lily przed sobą i powiedziała:

- Nie będę niczego owijać w bawełnę. Rodzina martwi się o ciebie. Lily zacisnęła dłonie i uświadomiła sobie, że zupełnie zdrętwiały.

- Nie martw się, babciu - odparła. - Jestem po prostu zmęczona, to wszystko.

- To nie wszystko. Nie jesteś chyba zbyt zmęczona, żeby znaleźć pracę, prawda?

Ach, więc o to chodzi.

- Tak, na to też jestem zbyt zmęczona.

- Właśnie o to chodzi. Rodzina chce wiedzieć, czy szukasz pracy. Poważnej pracy.

- Powiedz im wszystkim ode mnie, że nie.

- Przestań wykręcać ręce. Nie jesteś bezradna. Skończyłaś studia.

- Nie całkiem.

- Wiesz, że to twoja wina. Nie wiedziałaś, że do otrzymania dyplomu potrzebne ci jeszcze jedno zaliczenie? Trzy godziny w tygodniu. Nie wiedziałaś o tym?

Nie wiedziała... Czy znajdzie dość energii, by to powiedzieć?

- Nie wiedziałam. Świetnie, Lii.

- Daj spokój.

- Babciu, w zeszłym semestrze uczęszczałam na osiemnaście zajęć. Na więcej już nie można się było zapisać.

- Mogłaś sobie załatwić specjalne pozwolenie.

- Na wypadek, gdybyś nie wiedziała, informuję cię, że pracuję, by zarobić na

czynsz.

96

- Twoja matka przysłała ci połowę potrzebnych pieniędzy. Twój chłopak i Amy płacą resztę.

- Może przez ostatnie trzy miesiące w ogóle mnie nie słuchałaś, a wspominałam ci, że w kwietniu rozstałam się z Joshuą. Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale Amy nie płaci czynszu od maja, od kiedy zaginęła.

Claudia ciągnęła dalej, jakby Lily nie odezwała się ani słowem.

- Wydaje mi się, że zostawiłaś sobie te zaliczenia, świadomie bądź nieświadomie, by tkwić w miejscu, nie ruszać dalej. Chyba chcesz czuć, że nadal masz coś do skończenia.

Chciała powiedzieć babci, że w istocie tak jest. Że ona sama jest nieskończona, nieuformowana, nie zna odpowiedzi na wiele pytań.

- Nie mogę raz jeszcze prowadzić tej rozmowy. Proszę, tu są twoje magazyny - wstała z kanapy i zachwiała się.

- Nie jesteś coraz młodsza. Tylko ci się wydaje, że masz przed sobą Bóg wie ile czasu. Ale w przyszłym miesiącu skończysz dwadzieścia pięć lat. I młodość szybko przeminie. Zapytaj swoją matkę, jak się czuje, gdy nie jest już młoda.

- Wiem dobrze, jak się czuje. Mówiła mi o tym wystarczająco wiele razy. Poza tym, sama wiesz, że matka ma o wiele poważniejsze problemy niż przemijająca młodość.

- Jakie problemy?

- Nieważne.

- Wiesz, co ja miałam za sobą, kiedy skończyłam dwadzieścia cztery lata?

- Wiem, babciu, opowiadałaś mi o tym...

- Byłam w obozie koncentracyjnym w Ravensbriick i w obozie śmierci w Sobiborze. Przeszłam dwieście kilometrów, niosąc na plecach swoją matkę. Mieszkałam w obozach dipisów pod Hamburgiem, przez trzy miesiące spałam na ziemi, a potem w barakach pełnych zarazków tyfusu. I to wszystko zanim skończyłam dwadzieścia cztery lata.

- ...tysiąc razy - dokończyła cicho Lily. Claudia nie ruszała się z miejsca.

- Na co czekasz? Chcesz się stać taka, jak ta młoda kobieta z Iowy? Nie dodała nic więcej, jakby Lily powinna się domyślić reszty. A może już ją знаła?

- Jaka kobieta z Iowy? - spytała w końcu Lily bezbarwnym tonem.

- Ta kobieta, trzydziestoczteroletnia, jechała na fotelu pasażera, gdy z przełęczu oderwał się głaz i wpadł do samochodu przez przednią szybę.

97 Uderzył ją w twarz. Wielki głaz spadł jej prosto na twarz. Czego to cię uczy?

- Że powinnam uważać i zawsze się rozglądać dookoła?

- No właśnie. Lily, nie pozwól, żeby taki głaz spadł ci na twarz. Chciała powiedzieć babci, żeby na moment ucichła, żeby pomyślała

o niej i jej życiu, o tym, że zaginęła Amy, zaginęła matka, zaginął Joshua, kolejna stała rzecz w jej życiu. Że zaginęła nawet ona sama. Ale nie mogła o tym mówić, gdy drętwiały jej ręce i uda. Jaki sens ma ta rozmowa. Wyszła.

W piątkowy wieczór, szóstego sierpnia, Paul zaprosił ją, by przyszła posłuchać, jak gra w kawiarni Fez przy Lafayette Avenue. Ucieszyła się bardzo z tego zaproszenia, więc poszła, ale po krótkim czasie przekonała się, że z trudem



utrzymuje się na nogach. Hałas i dym osłabiały ją w sposób, którego nie potrafiła wyjaśnić. Wyszła, kiedy tylko skończył się występ Paula. W domu okazało się, że automatyczna sekretarka jest pełna wiadomości. Rachel chciała się z nią umówić na jutro do kina. Dzwoniła też Amanda, by zaprosić ją w niedzielę na kolację. Annę chciała się dowiedzieć, jak jej leci. Dzwoniła też matka, pozostawiając niemal zakodowaną wiadomość. „Twój ojciec stanie się moim końcem”, tylko tyle zdołała rozszyfrować. Dzwonił też słodul-narkoman, by zaprosić ją na drinka w Bedford-Stuyvesant. „Nie bywam na Manhattanie, malutka - powiedział - ale w Bed-Stuy owszem. Przyjdź, zabawimy się tak dobrze jak ostatnio... zobaczysz”. Uśmiechnęła się. Całował rewelacyjnie.

Ale nigdzie nie poszła. Nie mogła się nikomu pokazać z siniakami, które pojawiły się na jej nogach, rękach, ramionach. Znalazła je też na udach i goleniach. Jeszcze przed tygodniem nie chciała ich dostrzegać w nadziei, że znikną. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy i o co się uderzyła. Jednak w ciągu ostatniego weekendu o nic się nie uderzyła, a siniaki zostały. Te starsze nie zmieniały też koloru na żółty. Pozostawały czarno-niebieskie, pojawiały się nowe, które rosły we śnie. Czy przewracała się, nie wiedząc o tym? Czy wpadała na kanapy, meble, doniczki, nie mając o tym pojęcia? Czy spacerowała we śnie? Bo w istocie czuła się tak, jakby cały czas poruszała się we śnie.

98

15

### **SPENCER ZBIERA DWANAŚCIE KUPONÓW**

W czwartek dwunastego sierpnia Spencer poprosił Lily, żeby poszła z nim do knajpki. Szli w milczeniu, Lily bardzo wolno. Nogi miała zdrtwiałe i ciężkie, z trudem dotrzymywała mu kroku. Wieczór był upalny, ale miała na sobie dżinsy i koszulę z długimi rękawami, żeby zakryć siniaki. Nie nosiła już skąpych szortów. Spencer szedł obok niej i przez chwilę miała nawet wrażenie, że chce jej podać ramię, ale nie zrobił tego. Czy skorzystałaby, gdyby to jednak zrobił? Tak, i przez jedną ciepłą sekundę udawałaby, że jest Mary spacerującą z nim w piątkowy wieczór.

- Zebrałem dwanaście - powiedział Spencer, gdy tylko usiedli przy stoliku w Odessie i zamówili zupę i gołąbki.

- Słucham?

Wyjął z portfela zwitek kuponów na loterię.

- Dwanaście. Pamiętasz? Mówiłem ci, że kiedy zbiorę dwanaście, sprawdzę je hurtowo?

- Ach tak. I co, wygrałeś?

- Nie.

- Hmm.

Wyjął notes, przerzucił kilka kartek i pokazał jej liczby: 1,18, 24, 39, 45, 49.

- Wiesz co? Kiedy sprawdzałem swoje kupony, znalazłem wyniki losowania z osiemnastego kwietnia i coś mi zaświtało. Widziałem je już wcześniej, ale nie mogłem sobie przypomnieć gdzie. W końcu przypomniałem sobie, że przeszukując twoje mieszkanie, zapisałem je w notesie.

Lily milczała przez długą chwilę, nie patrząc na niego.

- W porządku. I co z tego? To tylko kupon na loterię.

- Co z tego? Lily... - Spencer oparł dłonie na stoliku obok notesu i nie spuszczał z

niej wzroku. - Czy wygrałaś na loterii w kwietniu?

- Nie wiem - odparła. - Nie wiem, czy to właściwa data.

- Jak najbardziej właściwa.

Nie odpowiedziała. To nie było pytanie.

- Co się z tobą dzieje? - spytał w końcu i przez moment, podobnie jak podczas rozmowy z babcią, Lily nie wiedziała, co on ma na myśli. Dla niej pytanie „Co się z tobą dzieje?” wiązało się bezpośrednio z bólem, jaki czuła w całym ciele. - Proszę, przestań tak siedzieć i udawać,

99że nie masz bladego pojęcia, o co mi chodzi, gdy pytam, co się z tobą dzieje!

- Spotkałeś się ze mną, żeby na mnie krzyknąć? Nie mam energii, żeby tego wysłuchiwać.

- Nie masz energii na sporo rzeczy.

- A niby dlaczego miałyby cię to obchodzić? - rzuciła ostro. - Skończyliśmy już?

Chyba nie muszę ci nic wyjaśniać, prawda?

Spencer pokręcił głową.

- Nie musisz, ale mimo to chciałbym usłyszeć jakieś wyjaśnienie.

- Och, Spencer - szepnęła i oparła się impulsowi, by ukryć twarz w dłoniach. - Nie mam żadnego wyjaśnienia.

- Czy wygrałaś na loterii i nie zrealizowałaś kuponu? Rozumiesz, że to może się wydać trochę dziwne splukanemu gliniarzowi, który zarabia siedemdziesiąt tysięcy rocznie i rozmawia z kelnerką zarabiającą może trzydzieści?

Podano im zupę, gołąbki, colę i kawę. Dania stały nietknięte na stole. Lily zacisnęła mocno ręce pod blatem, a Spencer w napięciu splótł palce na stole.

- Nie wiem, co chcesz usłyszeć.

- Posłuchaj - zaczął. - To normalne, że jesteś przygnębiona. Nie można zaprzeczyć, że w twoim życiu wydarzyło się coś strasznego. Zaginęła młoda dziewczyna i mimo wielkich wysiłków policji, zaangażowania FBI i prywatnego detektywa, nikt nie może wpaść na jej ślad. Zupełnie jakby zapadła się pod ziemię albo rozplynęła w powietrzu. Wyjechała z kraju. Umarła. Do nikogo nie dzwoniła, nie podjęła pieniędzy, niczego nie spakowała, nie zostawiła listu. Pewnego dnia po prostu zniknęła. A my cały czas poruszamy się po omacku. Nie mamy nic nowego do powiedzenia, a mimo to stale się tego czepiamy jak niezabliźnionej rany, zupełnie jak tej na twojej ręce.

- Detektywie - zaczęła Lily i głos się jej załamał. Miała nadzieję, że mimo wszystko zdoła nad nim zapanować. - A jeśli... Jak będę mogła dalej żyć, jeśli Amy, niech Bóg ma mnie w swojej opiece, już nie żyje?

- Nie wiem - odparł, nie patrząc na nią. - Nie wiem, jak ja żyłem, gdy moja żona w wieku dwudziestu trzech lat zginęła w wypadku samochodowym. Mogę ci tylko powiedzieć, że nie wygrałem na loterii.

- Bardzo mi przykro z powodu twojej żony.

- Minęło już wiele lat, życie toczy się dalej. Ale dlaczego ty siedzisz

100

w swoim pokoju, zamknięta w czterech ścianach i patrzysz na sześć liczb przypiętych do tablicy korkowej?

- Nie wiem.

- I co dalej? Musisz wziąć się w garść. Maluj. Czy to ty namalowałaś ten obraz, który widziałem w twoim mieszkaniu? Tę dziewczynę na Times Square? Jest

bardzo dobry. Namaluj jeszcze kilka.

- Nie mam ochoty malować.

- Więc wyjdź z przyjaciółmi, idź do klubu, do kina. Na kolację. Zapomnij o tym facecie, który zabrał ci łóżko, nie warto o nim myśleć. Umawiaj się z innymi.

Wzruszyła ramionami.

- Doszłam do wniosku, że jestem sama z jakiegoś powodu i nie ma się czym martwić. Denerwuje mnie to tylko wtedy, gdy muszę sama wyrzucać śmieci w poniedziałek i czwartek wieczorem. Ale w końcu jakaś biedna, zdesperowana dusza na pewno mnie odnajdzie. Trzymam się tej myśli. Tyle że nagle okazuje się, że muszę być miła dla innych, bo tego ode mnie oczekują... Ja?

- Lily - powiedział kojąco i wyciągnął rękę, by dotknąć jej dłoni.

- Przyznaję, że trochę utknęłam. Ale co pan powie o sobie, detektywie?

- O mnie? Tu nie chodzi o mnie. Ja żyję jak dorosły człowiek. Nie mam dwudziestu czterech lat. I nie wygrałem osiemnastu milionów dolarów. Chciała powiedzieć, że ona wcale nie czuje, że ma dwadzieścia cztery lata.

49,45,39,24, 18, 1.

- To z jej powodu nie zrealizowałaś kuponu?

- Nie całkiem. - Nie chciała patrzeć mu w oczy.

- To dlaczego? - spytał. - To wbrew ludzkiej naturze. To wbrew wszystkiemu, co wiem o ludziach, a przecież zarabiam na życie, korzystając z tej wiedzy.

Nie mogła mu powiedzieć, że przeżywa właśnie niewielkie rozterki duchowe i nie chce jeszcze bardziej gmatwać pogmatwanych spraw, wykorzystując cud, jaki niezapowiedziany - i niechciany - spadł z nieba. Nie wiedziała, jakie życie powinna, a nawet chce wieść, a zrealizowanie kuponu pozbawi ją możliwości wyboru. I choć poruszała się po omacku, błędziła, chwiała się, a czasem nawet trochę tonęła, nie chciała, by na jej drodze stawało rzucane przez babcię lub Boga wybawienie. Zniewolone serce nie

101potrafi dokonywać mądrych ani głupich wyborów. I choć ostatnio niemal wyłącznie spała, nadal chciała pozostawić sobie możliwość wyboru. Tak na wszelki wypadek.

O tym właśnie myślała, ale do Spencera powiedziała, wzruszając ramionami:

- Nie wiem, co ci powiedzieć. Po prostu tego nie zrobiłam, to wszystko.

- Dlaczego nie odebrałaś pieniędzy? Milczała.

- Powiedz mi, dlaczego? - powtórzył lekko podniesionym głosem. Lily dotknęła kubka z kawą. Był zimny. Gestem poprosiła kelnerkę o następny. Spencer nadal jednak siedział bez ruchu, czekając na odpowiedź.

- Dlaczego na mnie wrzeszczysz?

- Czekam na wyjaśnienie, które będę w stanie zrozumieć.

- Detektywie O'Malley - odparła sucho - bez względu na to, jak bardzo pan tego pragnie, kuponu na loterię nijak nie da się powiązać ze zniknięciem Amy.

Niewypita kawa, niezjedzona zupa, Odessa, sierpień, zdrętwiałe nogi, wilgotne powietrze, hałas, osłabienie. Spencer pochylił się w stronę Lily.

- Próbuje tylko z tobą rozmawiać, a ty nic nie rozumiesz. Zrób coś poza pracą i zamartwianiem się. Odbierz pieniądze, przenieś się do innego miasta, oddaj je biednym, opłać kampanię brata, zrób cokolwiek... - Urwał nagle i spojrzał na nią uważnie.

Nie miała pojęcia, jakim cudem udaje się jej zwlec rankiem z łóżka. Nie miała

pojęcia, jak wypełni daną Andrew jeszcze wiosną obietnicę, że pomoże mu zorganizować kampanię.

Spencer nadal obserwował ją uważnie.

- Co się stało?

Zamrugnął gwałtownie powiekami, wyrywając się z zamyślenia.

- Nic. Zostawię cię tutaj. Muszę jak najszybciej wrócić na posterunek. - Wstał,

wyjął z portfela dwa banknoty dwudziestodolarowe i położył je na stole. -

Myślałem, że udało nam się trochę zaprzyjaźnić - powiedział zimno. - Że możemy o wielu rzeczach porozmawiać.

Wyszedł, zostawiając ją samą przy stoliku.

Następnego ranka, w piątek trzynastego sierpnia, Lily spała jeszcze, gdy zadzwonił telefon. Nie podniosła słuchawki. Dzwonił detektyw Harkman, który po pięciu minutach zadzwonił jeszcze raz. Lily nie podniosła słuchawki.

102

Pół godziny później rozległ się dzwonek do drzwi. To niesprawiedliwe. W domofonie rozległ się głos Harkmana.

- Panno Quinn, czy możemy z panią chwilę porozmawiać? Niewiarygodne. Lily poprosiła, żeby poczekał na dole. Szybko umyła się i ubrała.

Przed domem czekali Harkman i Spencer, który nawet na nianie spojrział.

Harkman powiedział, że chcą z nią porozmawiać na posterunku. Zawieźli ją tam wozem patrolowym. Siedziała z tyłu jak przestępca.

W pokoju przesłuchań numer 1 znów usiadła przy znajomym stole, jednak tym razem naprzeciw Harkmana. Spencer stanął z tyłu, splatając ramiona na piersi. Nie rozumiała, co się dzieje. Spencer był zimny i milczący.

- Panno Quinn - powiedział ostro Harkman, patrząc na nią świdrującym wzrokiem. - Razem z detektywem o'Malleyem chcemy z panią porozmawiać o pewnej sprawie. Musimy porozmawiać. Chcemy zadać pani kilka pytań na temat sprawy, która wydała nam się niejasna.

Spencer milczał. Lily zastanawiała się, dlaczego pozwala, by ją Harkman przesłuchiwał, jakby świadomie zrywał nić osobistego porozumienia między nimi, jakby chciał jej powiedzieć: traktujesz mnie, jakbym był nikim, więc ja będę cię traktował tak samo. Poczula wyrzuty sumienia. Harkman o coś ją pytał, lecz ona była tak głęboko pogrążona w myślach, że nie usłyszała jego pytania.

- Panno Quinn!

- Przepraszam. O co chodzi?

- Wspominała pani, że w zeszłym roku pracowała pani podczas kampanii wyborczej brata?

- Tak - zmarszczyła brwi.

- Czy powiedziała pani detektywowi o'Malleyowi, że pracowała pani razem ze swoją przyjaciółką Amy?

- Tak, chyba o tym wspominałam. Pomagałyśmy w biurze w Port Jeffrey.

Dostałyśmy za to dodatkowe punkty do zaliczenia zajęć z polityki w college'u.

Dlaczego pan o to pyta?

Harkman i Spencer wymienili spojrzenia.

- W moich notatkach... - Przerzucił kilka kartek. - Pracując nad tą sprawą, dzwoniłem pod numery wymienione w pani bilingach. Jeden z nich to numer do

biura pani brata w Waszyngtonie.

- Tak? Dzwonię tam do niego stale.

- Zgadza się. Ale musiałem długo czekać, żeby do mnie oddzwonił.

103W notatkach mam zapisane, że musiałem zadzwonić trzy lub cztery razy, żeby wreszcie zechciał ze mną porozmawiać.

- Zawsze tak robi. Nie rozmawiałam z nim od paru miesięcy.

- Nasza rozmowa była bardzo krótka. Zapytałem, czy często odbierał telefony z pani mieszkania. Powiedziała pani, że dzwoni pani do niego raz czy dwa razy w miesiącu, co potwierdzają bilingi, jak również jego telefony do pani.

Powiedziałbym, że były w miarę regularne i trwały od dwudziestu do trzydziestu minut.

- Tak.

- Rozmawialiśmy bardzo krótko, ale zdążyłem go zapytać, czy zna Amy McFadden. Wie pani, co na to odpowiedział?

Dlaczego serce zaczęło jej bić tak mocno? Co mógł powiedzieć?

- Powiedział, że sobie nie przypomina.

- Czego sobie nie przypomina? - spytała nieswoim głosem.

- Amy McFadden.

Zapadła długa chwila milczenia. Spencer stał za nią, Harkman ciężko dyszał, a Lily wydało się, że przestała oddychać.

- Nie rozumiem, co pan do mnie mówi - powiedziała w końcu. - Nie rozumiem, o co pan mnie pyta.

- Zapytałem go, czy wie, że Amy była pani współlokatorką, a on odparł, że chyba tak, ale zabrzmiało to bardzo nieprzekonująco. Powiedział, że raczej jej sobie nie przypomina. Powtórzył to dwukrotnie, po czym oświadczył, że musi kończyć i odłożył słuchawkę. Nie zastanawialiśmy się nad tym dłużej, bo nie wydało się nam to istotne aż do wczoraj, kiedy detektyw o'Malley zjawił się w biurze i zwrócił moją uwagę na tę niewielką sprzeczność.

Lily powoli odwróciła głowę, by spojrzeć błagalnie na Spencera. Bez słów prosiła go, by jej wszystko wyjaśnił, pomógł.

- Nie rozumiem, co pan do mnie mówi - powiedziała drżącym głosem.

- Panno Quinn - odezwał się wreszcie Spencer głucho, zupełnie jakby jej nie znał. Podszedł do stołu. - W świetle tego, co mi pani mówiła, wydaje się dziwne, że brat nie może sobie przypomnieć pani współlokatorki, skoro pani twierdzi, że razem pomagałyście przy jego kampanii wyborczej. Albo on jej nie pamięta, albo ona mu nie pomagała. Jedno wyklucza drugie. Oba te stwierdzenia nie mogą być prawdą. Albo pani kłamie - Amy nie pomagała przy kampanii, albo on kłamie - bo w istocie doskonale ją pamięta.

104

- Proszę - szepnęła Lily. - Nie wiem, co pan do mnie mówi. - Oparła dłonie na blacie i zaczęła ciężko oddychać. - Detektywie - powiedziała, starając się zapanować nad oddechem i głosem. Bez powodzenia. - Przepraszam, ale naprawdę nie wiem, co pan sugeruje... Nie wiem, o co pan mnie pyta.

- Czy to może być prawda, panno Quinn - zaczął Harkman - że Andrew Quinn rzeczywiście nie pamięta Amy?

- Chyba tak - powiedziała bez tchu, przykładając dłoń do piersi, by uspokoić oszalałe serce. To niemożliwe! Być może pokój przesłuchań nie przywykł do

wysłuchiwania tak rozpaczliwych okrzyków duszy. Głos coraz bardziej odmawiał jej posłuszeństwa. Mogła już tylko szeptać. - To może być prawda.

Znów zapadła cisza. Obaj detektywi obserwowali ją uważnie, a Lily wbiła wzrok w blat stołu. Nagle poczuła, że jej ciało jest zupełnie puste, że wypełniają je tylko zakończenia nerwów, przesyłające elektryczne wstrząsy do skóry. -

- Panno Quinn...

- Proszę - zerwała się z miejsca. - Jeśli już skończyliśmy, muszę iść. Naprawdę, nie mogę tu zostać ani minuty dłużej -jęknęła głucho i wypadła z pokoju przeschuchań. Spencer wybiegł za nią. Zatrzymali się na ulicy przed posterunkiem.

- Lily - powiedział lekko zdyszany. - Uciekasz ode mnie?

- Tak - rzuciła. - Nie. - Próbowała go ominąć, ale stał tuż przed nią. - Przepuść mnie. Skończyliśmy już, prawda? Puść mnie.

Spencer ujął ją za ramiona. Drżała na całym ciele.

- Proszę cię. Zostaw mnie w spokoju.

- Lily - powiedział łagodnie. Nadal ją trzymał, niemal obejmując, ale była zbyt poruszona, by to zauważyć. - Przepraszam cię. Naprawdę jest mi bardzo przykro. Ale próbujemy znaleźć Amy.

- Wypisując mandaty na autostradzie, zdobyłeś odpowiednie doświadczenie, by szukać zaginionych osób? - wykrzyknęła, próbując się wyrwać z jego uścisku.

Kolana odmawiały jej jednak posłuszeństwa. - Nie - powiedziała, kręcąc gwałtownie głową. - Nie! - krzyknęła jeszcze bardziej zapalczywie. - Bez względu na to, co myślisz, musi istnieć jakieś proste wytłumaczenie.

- Ja nic nie myślę. - Puścił ją. Oparła się o brudną ścianę budynku. - To ty stale myślisz. Bo jesteś jedyną osobą, która wie, czy on mówi prawdę. - Wbił wzrok w chodnik. - A z twojej reakcji wnioskuję, że nie.

105Odwracając głowę w stronę brudnej szyby, w której odbijały się jej zaszklone oczy, Lily podniosła dłoń do twarzy, próbując powstrzymać łzy.

Kiedy Spencer wrócił do biura, usiadł ciężko przy biurku, rozejrzał się dookoła i pomyślał, że chyba czas odejść - może na dobre. Siedzący naprzeciwko niego Harkman był w bardzo radosnym nastroju.

- Nareszcie! Przełom w sprawie. Mamy jakiś ślad.

- Tak - mruknął Spencer. Po kilku minutach dodał:

- Dochodzenie mogą teraz przejąć Sanchez i Smith - odwrócił się do Harkmana. - Przekażę im wszystkie dokumenty. Ja nie mogę już go prowadzić, Chris. Oni się nim zajmą.

- Jaką sprawę? McFadden? Spencer skinął głową.

- O czym ty, do cholery, mówisz? Wreszcie coś drgnęło. Mamy kon-gresmana Stanów Zjednoczonych!

Więzy krwi. Brat i siostry. Spencer marzył o drinku.

- Wiem. Właśnie o to chodzi. Ja nie mogę się dalej tym zajmować.

- o'Malley, co cię opętało?

Spencer wrócił myślami do białych, mokrych budynków w Hanover w New Hampshire, do Dartmouth College, do czarnych żaluzji na swojej duszy; wrócił myślami do Greenwich w stanie Connecticut i do pajęczyny, którą sam kiedyś wysnuł, szukając innej zaginionej dziewczyny, do obłudy i manipulacji najbliższych jej osób. Ich mroczna historia pochłonęła go zupełnie. Nie mógł znów do tego wracać. Musiały minąć całe lata, które przepracował na

autostradzie, by znów mógł się zająć dochodzeniami. Jest kilka rzeczy w życiu, które można przeżyć tylko raz. Niewiele, ale wystarczy. Do niektórych przyjemności można wracać wielokrotnie, na przykład do seksu; można też wracać do nieszczęść, na przykład alkoholu. Ale nie chciał raz jeszcze tonąć w płytkiej wodzie, nawet jeśli miałby się przy tym wspomagać whisky.

- O'Malley, masz mnóstwo pracy i to cię z pewnością przytłacza. Przekaż mi drobniejsze sprawy, a skoncentruj się na tej.  
- Nic mnie nie przytłacza. Przestań się bawić ze mną w psychoanalitikę. Nie chcę prowadzić właśnie tej sprawy. Zatrzymam dla siebie te drobniejsze. Mamy ich całkiem sporo. Wystarczy dla nas dwóch. Sanchez i Smith doskonale sobie z tym poradzą.

106

- Nie chcę, żeby sobie radzili! To wielka sprawa. Kongresman, O'Malley! Może czeka nas kolejny awans. Muszę myśleć o swojej rodzinie. Przeszedłem trzy operacje serca. Co się z tobą, do cholery, dzieje?

- Chris, przepraszam. Po prostu nie chcę się tym zajmować. Co jeszcze mogę ci powiedzieć?

- Ale to ty przyszedłeś z tym do mnie! - wykrzyknął Harkman. - To ty przypomniałeś sobie, co powiedział Andrew Quinn. Co jest, kurwa? Dlaczego to robisz?

Spencer nie miał zamiaru niczego Harkmanowi tłumaczyć.

- Nie zmienię zdania. Nie chcę się w tym paprać. To mnie przerasta. Przekażę dochodzenie Sanchezowi i Smithowi.

- Nie przekażesz.

Harkman wstał, podszedł do biurka Spencera i pochylił się w jego stronę. Spencer się odsunął. Mogło to wyglądać jak rezerwa, lecz było wyłącznie odrazą.

- Ty draniu - rzucił Harkman. - Myślisz, że jesteś jedynym, który wie to i owo. Ale ja też wiem. Wiem o tobie takie rzeczy, O'Malley, które na pewno zainteresują Wydział Kontroli Wewnętrznej. Byłem w stosunku do ciebie lojalny, ale nie spieprz tej sprawy, bo bardzo jej potrzebuję. Jak zawsze myślisz tylko o sobie, parszywy egoisto.

Spencer spojrzał spokojnie w małe, pałające gniewem oczka Harkmana, na jego opuchniętą, wykrzywioną twarz.

- Nie zbliżaj się do mnie - powiedział. Wstał i odsunął krzesło. - Co ty możesz o mnie wiedzieć?

Harkman cofnął się o pół kroku.

- O'Malley, obiecuję ci. Jeśli tylko coś spieprzysz, nie pozostanę ci dłużny. Zniszczę cię, i to na dobre. Masz ochotę na urlop? Postaram się, żeby był bardzo długi. - Wypadł z biura równie gwałtownie, jak wcześniej młoda zrozpaczona kobieta.

Spencer usiadł przy biurku. O czym, do cholery, mówił Harkman? Czy rzeczywiście był egoistą? Możliwe. Nie pomyślał przecież, jak oddanie tej sprawy Sanchezowi wpłynie na Harkmana. Myślał tylko o tym, jak wpłynie na niego - czy zdoła sobie z nią poradzić. Chyba nie. Nie mógł powiedzieć Harkmanowi, że nie chce się w to osobiście angażować, że nie chce zranić Lily. Jeśli ona ma ucierpieć, nie chce, żeby stało się to przez niego. Wycofując się, postąpi słusznie. To będzie najlepsze rozwiązanie dla niego i z pewnością dla niej. Instynktownie wyczuł

bagno, które powoli zaczynało się otwierać nad sprawą Amy.

107 Jego uczucia w stosunku do partnera zmieniły się. Nikt nie lubi, by mu grożono, a Spencer tego nie znośił. Oczywiście, Harkman tylko blefował. Spencer miał kilka sekretów, ale skrywał je głęboko, zwłaszcza przed swoim nowym partnerem, w końcu obcym człowiekiem. Chwycił marynarkę i wyszedł z biura.

**16**

### **FAKTY POZORY**

Lily wpuściła go do mieszkania, lecz zrobiła to bardzo niechętnie, ledwo uchylając drzwi.

- Nie wiem, czego chcesz ode mnie - powiedziała zimno, lecz nie mogła nie dostrzec jego ściągniętej twarzy.
  - Chcę, żebyś ze mną pojechała - powiedział, otwierając szeroko drzwi i wchodząc do środka. - Chcę porozmawiać z twoim bratem.
  - Nigdzie nie pojedę. Spencer wziął głęboki oddech.
  - Chcesz mu pomóc czy nie? - Wszedł do pokoju Amy. Weszła za nim.
  - Jak rozmowa z nim może mu pomóc? - spytała. Spencer rozglądał się po pokoju.
  - Lily, czy ty świadomie nie chcesz zrozumieć, co do ciebie mówię? Możemy pojechać teraz razem i porozmawiać z twoim bratem u niego w domu albo będę musiał złożyć mu oficjalną wizytę z moim partnerem.
  - Detektywie o'Malley- powiedziała, składając ręce w błagalnym geście. - Czy pan nic nie rozumie? Mój brat Andrew Quinn jest kongres-manem - zniżyła głos. - Jest żonaty. Ma dwie córki w wieku szkolnym. Niebawem rozpocznie kampanię do Senatu. Tu nie chodzi tylko o rozmowę, jak pan to ujął, ale o jego karierę i rodzinę. Nie rozumie pan? Jest pan przecież detektywem, nie może pan być aż tak gruboskórny!
  - Żałuję, że nie jestem - odparł Spencer.
- Przyglądał się ścianom, zajrzał do szafy. Otwierał szuflady komody. Uklęknął i zajrzał pod łóżko.
- Czy Amy prowadziła pamiętnik?
  - Tak. Myślałam, że już go czytałeś.

108

- To nie był pamiętnik, ale terminarz. Mnie chodzi o prawdziwy pamiętnik. No wiesz, „Kochany pamiętniczku, nie uwierzysz, co mi się dzisiaj przydarzyło, pocałowałam chłopca...”. Wiesz, o co mi chodzi. Wszystkie dziewczęta prowadzą pamiętniki.
- Ja nie.
- Ależ tak. Nigdzie się nie ruszasz bez tego twojego szkicownika. Tego zapisanego liczbami z loterii. Jak myślisz, co to jest?
- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Skrzyżowała ręce na piersi. - Chcesz jechać czy nie?
- Musiała mieć coś takiego - mruknął. - Musiała gdzieś to trzymać.
- Chcę, żebyś wiedział, że nie chcę z tobą jechać - powiedziała Lily.
- Uwierz mi, że ja jeszcze mniej niż ty - wyprostował się. - Już to kiedyś przechodziłem. - Odwrócił na chwilę wzrok. - To niszczy duszę. Chciałem zrezygnować z tej sprawy, ale nie mogę. Może powinienem wybrać inną pracę, Może zmienię japo zakończeniu tej sprawy. Ale teraz musimy jechać. Może, jak



powiedziałaś, istnieje jakieś proste wytłumaczenie - zawiesił głos. - Może, jak powiedziałaś, Amy lada moment stanie w tych drzwiach i spokojnie wejdzie do mieszkania.

W samochodzie raz jeszcze spytał ją o loterię i tym razem wszystko mu powiedziała. Wysłuchał jej słów z niedowierzaniem.

- Jesteś Irlandczykiem i katolikiem. Nie mów mi, że nic nie rozumiesz. Połowa mojej rodziny jest dokładnie taka jak twoja. Druga połowa żyła po drugiej stronie Morza Północnego, w północnej Polsce, modląc się, by Hitler nie zbliżył się do Gdańska, do korytarza. Musisz to rozumieć. - Lily pokręciła głową.

- Zgoda, jestem Irlandczykiem i katolikiem, ale nie wariatem. Myślisz, że skoro odmawiam *Ojciec nasz*, pozwoliłbym, by kupon wart osiemnaście milionów dolarów spoczywał sobie spokojnie przyklejony do ściany obok zdjęć mojej rodziny? Poza tym, Lily, twoja odmowa skontaktowania się z biurem loterii niczego nie zmieni. Nie zmieni faktu, że wylosowano twoje liczby, a na kuponie jest twoje nazwisko.

Lily odwróciła wzrok i wyjrzała przez okno, za którym migają jadące autostradą samochody. Powieki zaczęły jej ciężać, bolały ją nogi, palce lekko drżały.

- Tego właśnie się boję, detektywie O'Malley - powiedziała.

109 Spencer poprosił Lily, by opowiedziała mu o swoim bracie.

Był żonaty. Dwukrotnie. Pierwsze małżeństwo, zawarte z miłości, przetrwało jedenaście dni. Przed ślubem byli razem siedem lat, lecz samo małżeństwo trwało jedenaście dni. Nie zostało po nim nic oprócz blizny po odbiciu noża wymierzonego w jego serce. Drugie, obecne małżeństwo było... kto to wie?

Zawarte z uczucia? Jego obecna żona kochała go, więc się z nią ożenił. Miała trochę pieniędzy. Układało im się całkiem nieźle. Po czternastu latach nadal byli małżeństwem. Ona nadal go kochała. Kochała też być żoną kongresmana i na pewno pokocha rolę żony senatora. A potem... może i żony prezydenta. Bo każdy, kto znał Andrew od dziecka, wiedział, że jest urodzonym przywódcą i wspieranie się na kolejne szczeble władzy jest jedyną ambicją, do jakiej się przyznaje.

Był prezesem każdego klubu, do którego wstępował, prezesem National Honor Society, prezesem Law Club, szefem Rady Studenckiej. W Cornell był prezesem związku studentów, kapitanem drużyny futbolowej jesienią i drużyny wioślarskiej wiosną.

Andrew zawsze zdobywał to, czego pragnął.

W wieku trzydziestu czterech lat wystartował w wyborach do Kongresu z pierwszego okręgu w Suffolk County i po ostrej walce ze swoim kontrkandydatem, z którym wzajemnie obrzucali się błotem, wygrał z przewagą pięćdziesięciu dwóch głosów. Po sześciu latach został wybrany ponownie, tym razem z przewagą kilku tysięcy głosów. Nazwał to swoim „przytłaczającym zwycięstwem”.

- Powiedz mi, Lily, jak dobrze Andrew znał Amy.

- Przedstawiłam ich sobie. Poznał ją dzięki mnie - odparła, obejmując się ramionami. - Nie tylko pomagałyśmy mu w kampanii, ale też zabierał nas na lunch i kolację. Raz czy dwa odwiedziłyśmy go z Amy w Waszyngtonie. W zeszłym roku przed świętami Bożego Narodzenia robiliśmy tam razem zakupy. Świetnie się bawiliśmy. - Spuściła głowę. - W zeszłym roku Amy też była z nami podczas Święta Dziękczynienia, przyszła na grilla z okazji Czwartego Lipca. Była moją

przyjaciółką. Znał ją tak samo, jak znała ją Annę, Amanda i babcia. Rozumiesz? To, co powiedział Harkma-nowi, to jakieś nieporozumienie.

Rodzina Quinnów mieszkała w dużym domu wzniesionym w stylu kolonialnym przy Old Post Road w Port Jefferson. Wyglądał jak niemal każdy dom w sąsiedztwie, z tą tylko różnicą, że stał jakieś pięćdziesiąt metrów od chodnika, od którego oddzielały go starannie przystrzyżone krzewy, tak że nie można było dostrzec ani okien, ani drzwi. Na sześciometrowym

110

maszcie umieszczonym na środku podjazdu powiewała amerykańska flaga, a obok chodnika nadal tkwił wbity w ziemię plakat wyborczy: „Wybierzcie ponownie kongresmana Quinna - to idealny kandydat dla Long Island i twojej rodziny”. Po drugiej stronie ulicy stał nieoznaczony samochód z dwoma agentami w środku.

Dom rodziny Quinnów był wręcz idealny, pięknie zdobiony marmurem i drewnem, z kotarami, które pasowały do tapicerki mebli, z abażurami, które pasowały do kotar. Wszystko miało tam swoje miejsce, a w zlewozmywaku nigdy nie stała nawet jedna brudna szklanka. Miera zawsze o to dbała. Była idealną żoną polityka. Zajmowała się domem, córkami, pięknie wyglądała na przyjęciach i jeszcze piękniej podczas spotkań z wyborcami. Część swego przytłaczającego zwycięstwa Andrew przypisywał właśnie jej, bo małżonka jego przeciwnika nie była tak piękna i elegancka jak Miera. „Jestem w pełni świadom tego, co dla mnie zrobiła”, powiedział o żonie w swoim przemówieniu inauguracyjnym.

Żaden członek rodziny Lily nie lubił Miery. Niechęć budziło już jej imię. Nikt nie potrafił go wymówić, a ona nie mogła znieść, gdy ktoś wymawiał je błędnie. Wymawiano je jako „Mi-je-ra” albo „Mii-ra”, podczas gdy prawidłowa wymowa brzmiała po prostu „Maj-ra”. Dlaczego nie mogła pisać go inaczej? Lily powiedziała Spencerowi, że dla Miery wymowa jej imienia jest pierwszym testem, jakiemu poddaje ludzi.

Drzwi otworzyła im właśnie ona. Była wysoka, jasnowłosa, elegancka i zadbana.

- Mii-ra Quinn? - powiedział Spencer, wyjmując odznakę. - Detektyw o'Malley.

Zna pani Lily. Przyjechaliśmy porozmawiać z kongresmanem Quinnem.

Lily zacisnęła usta, by powstrzymać uśmiech.

Czekali w holu. Spencer zauważył drzwi wykonane z grubego metalu i przyciemnione szyby w oknach. Był gotów się założyć, że są kuloodporne.

Powiedział cicho do Lily, że dom przypomina fortecę.

- Racja. To normalne dla polityka. Wiesz, kilka lat temu ktoś do nich strzelał, kiedy wracali do domu z kina. Jechali sobie spokojnie drogą 110, aż tu nagle bum! Strzelali w okna, śmiertelnie przestraszyli Mierę i dziewczynki.

- Nie słyszałem o tym. Byli ranni?

- Tak, odłamki szkła trochę ich poraniły. Miera musiała się poddać operacji, odłamek szkła utkwiał jej w oku.

- Kto to był?

111- Jacyś chuligani. Nie wiadomo do końca. Grupka głupich dzieciaków, którym się nudziło. Jednak kiedyś policyjne psy znalazły w jego apartamencie w Waszyngtonie małą bombę. Przeszukiwali cały hotel i znaleźli u niego bombę. Nic dziwnego, że stał się ostrożny.

- Jak więc chodziliście na lunch i kolacje?

- Andrew martwi się tylko o swoją rodzinę. Sam nie chce żyć w więzieniu. Sporo ryzykuje. Ale na razie mu się udaje.

Nadal nie wprowadzono ich do kuchni, gabinetu ani jadalni. Stali w holu. Nikt nie zaproponował im niczego do picia, nie poprosił, żeby usiedli.

- Mówiłam ci - powiedziała Lily, unosząc brwi. - Ona mnie nienawidzi. A po tym, jak źle wymówiłeś jej imię, w jej domu nigdy nie będziesz mógł liczyć nawet na szklankę wody.

Zanim Spencer zdążył odpowiedzieć, w holu pojawił się Andrew, by ich powitać. Miał gładko ogoloną szczerą twarz i mocny uścisk dłoni. Był wysoki i postawny. Wcześniej posiwiiał, co w polityce dawało mu przewagę nad młodymi i mało doświadczonymi przeciwnikami. Uśmiechnął się, ściskając dłoń Spencera, spojrzał mu prosto w oczy, potem położył rękę na jego plecach i wprowadził do środka. Wcześniej zamknął siostrę w niedźwiedzim uścisku. To cały Andrew.

- Lily, wybacz mi, że to mówię, kocham cię, jak na brata przystało, ale musisz się koniecznie wyspać. I coś zjeść. Spójrz tylko na siebie. Jesteś głodna?

Pokręciła głową. Siedzieli na stołkach z kutego żelaza w wykładanej granitem kuchni. Andrew własnoręcznie przyrządził lemoniadę. Kiedy Spencer opróżnił szklankę, wstał ze stołka.

- Czy możemy porozmawiać na osobności? - spytał.

W wysokim, wykładanym wiśniowym drewnem gabinecie, którego okna wychodziły na wypieszczony ogród, Andrew usiadł za biurkiem, a Spencer i Lily na krzesłach stojących przed nim.

Lily była tak zakłopotana, że nie mogła się zdobyć, by podnieść wzrok. Czowała, jak od nóg w stronę żołądka wędruje nieznaną dotąd ból; jednocześnie tępy i ostry. Jego źródłem najprawdopodobniej były siniaki na udach. Gdyby jej żołądek nie był jedną wielką pustą dziurą, z pewnością potrafiłaby jakoś ten ból zidentyfikować i złapać oddech. Na razie miała z tym prawdziwe trudności. Spojrzała na Spencera, który siedział spokojnie. Sprawiał wrażenie zupełnie odprężonego, gdy spytał:

- Kongresmanie, czy wie pan, dlaczego tu jestem? Andrew uśmiechnął się miło i pokręcił głową.

112

Ból w nogach Lily się nasilił.

- Sprowadziła mnie tu sprawa Amy McFadden.

- Ach tak. - Andrew zawiesił głos i spojrzał na Lily. O co chodzi?

- Wie pan, że badamy okoliczności jej zaginięcia.

- Tak, pański partner wspominał o tym. Harkman, prawda? Czy już się odnalazła?

- Nie-odparł Spencer po chwili. -Ale... o to właśnie chodzi. Pan wie, o kim mówię, prawda? Amy McFadden?

- Co pan chce przez to powiedzieć? To przecież współlokatorka mojej siostry. - Andrew nie spuszczał wzroku ze Spencera.

Lily próbowała się uśmiechnąć, lecz serce waliło jej w piersi jak młotem.

- Zgadza się. Dlaczego więc powiedział pan mojemu partnerowi, że nie przypomina pan sobie Amy?

- Słucham? Nic takiego nie powiedziałem.

- Powiedział pan.-

- Nie mogłem czegoś takiego powiedzieć. Na pewno powiedziałem, że znałem ją przelotnie.
  - Nie, kongresmanie. Relacja z tej rozmowy jest bardzo dokładna. Powiedział pan, że pan jej nie pamięta.
- Andrew się roześmiał.
- To musiałem źle zrozumieć jego pytanie. W moim biurze panował hałas. Niezbyt dobrze go słyszałem. Myślałem, że pyta mnie o rozmowy telefoniczne. Nie mogłem powiedzieć, że nie znam Amy. To nie byłoby zgodne z prawdą.
  - Co więc pan powiedział?
  - Być może odpowiedziałem na pytanie, którego nie zadał.
  - Wyrażał się bardzo precyzyjnie. Jego pytanie brzmiało, czy znał pan Amy McFadden.
  - Musiałem więc nie dosłyszeć. Nie było to pytanie, na które odpowiedziałem.
  - Najwyraźniej nie. - Spencer spojrział na Lily. - A na które pan odpowiedział?
  - Nie wiem. Amy była przecież przyjaciółką Lily, przychodziły razem do mnie do domu na imprezy rodzinne, przyjechały do mnie do Waszyngtonu. To przecież absurd. Zwykle nieporozumienie. Albo źle się wyraziłem, albo źle usłyszałem.
  - Nie powiedział pan: Nie przypominam jej sobie?

113- Oczywiście, że nie!

*Czy to pani trochę nie dziwi, panno Quinn? Pani przyjaciółka nie wspominała pani ani słowem o swoim życiu intymnym? Dlaczego trzymała to w tajemnicy?*

O mój Boże!

Lily jęknęła. Obaj mężczyźni spojrzeli na nią zaskoczeni.

- Przepraszam - powiedziała. - Źle się poczułam.

Wypadła z gabinetu i pobiegła do łazienki. Usiadła na toalecie, obejmując rękami bolące nogi. Ból przypominał ukłucia szpilek, które czuje się w nogach po przebudzeniu z męczącego snu. Z tą tylko różnicą, że to nie były szpilki, ale noże. I nie było przebudzenia, gdyż ból nie ustępował. Siedziała, kołyszając się, by choć trochę go uśmierzyć.

Andrew i Spencer pozostali w gabinecie.

- Czy moja siostra dobrze się czuje? Wygląda okropnie.
- Ostatnio była trochę przygnębiona.
- To widać. Detektywie, czy mogę coś jeszcze dla pana zrobić? Chętnie panu pomogę. Nie znałem Amy zbyt dobrze, ale jak już wspominałem, znałem ją głównie dzięki Lily. Były sobie bardzo bliskie. Moja siostra zawsze dużo o niej opowiadała.
- Kongresmanie, czy kiedykolwiek odwiedzał pan siostrę w jej mieszkaniu?
- Tak. Ale bardzo rzadko. Byłem tam raz czy dwa.
- Nie będzie pan więc miał nic przeciwko temu, jeśli wezmę pański włos do badania? Znaleźliśmy w mieszkaniu kilka włosów, które chcielibyśmy zidentyfikować. - Spencer wyjął z kieszeni marynarki plastikowy woreczek i małe nożyczki.
- Bardzo proszę - Andrew pochylił głowę. - Ale niewiele to panu da. Byłem w tamtym mieszkaniu.
- Oczywiście. Chcemy tylko wyeliminować członków rodziny i przyjaciół, żeby sprawdzić, co nam zostanie.

Spencer uznał Andrew za uroczego człowieka. Ale w stosunku do tego typu ludzi

zachowywał się obojętnie. Ich urok po prostu na niego nie działał.

- Czy Amy kiedykolwiek odwiedziła pana sama?
- Słucham? - Andrew cofnął się i zmrużył oczy.
- Kongresmanie, to pytanie jest bardzo proste. Czy Amy kiedykolwiek przyszła do pana sama, bez Lily?

114

- Gdzie miała mnie odwiedzić?
- Gdziekolwiek. Tutaj w Port Jeff. W Waszyngtonie. W Nowym Jorku. Moje pytanie brzmiało, czy kiedykolwiek przyszła do pana sama?
- Nie wiem - odparł Andrew. - Nie przypominam sobie. Musi pan zrozumieć, detektywie, w tygodniu spotykam się z setkami ludzi. Nie mogę pamiętać wszystkich, którzy do mnie przychodzą. Po prostu sobie nie przypominam. Być może wpadła do mnie tutaj, do biura, żeby powiedzieć „Cześć”. Czyjej rodzina mieszka w Port Jefferson?
- Tak.
- No to może wpadła. Nie pamiętam tego, ale to nie znaczy wcale, że tak nie było - uśmiechnął się uprzejmie.
- Kiedy mógł być ten ostatni raz, którego nie może pan sobie przypomnieć?
- Co takiego?
- Nie odpowiedział pan bezpośrednio na żadne moje pytanie. Nawet na to.
- Proszę mi wybaczyć, ale to ostatnie było wyjątkowo zagmatwane.
- Chciałem, by zabrzmiało ironicznie. Kiedy ostatni raz widział pan Amy?
- Nie wiem. Dawno nie widziałem mojej siostry, więc to też musiało być dawno.
- Kiedy ostatni raz widział pan Amy samą, bez siostry?
- Już panu mówiłem, nie przypominam sobie.
- Czy któryś z pracowników pańskiego biura będzie mógł potwierdzić wizytę Amy? Może kierownik? Pańska asystentka? Recepcjonistka?
- Nie zapisuję niezaplanowanych wizyt moich wyborców, detektywie.
- Amy nie była pańskim wyborcą. Mieszkała w Nowym Jorku.
- Wie pan, o co mi chodzi.
- Jak często Amy wpadała do pana z... niezaplanowaną wizytą?
- Nie wpadała wcale. Co jest? Rozległo się pukanie do drzwi.
- Andrew? - to Miera. Drzwi się otworzyły. - Przepraszam, że przeszkadzam, ale coś się dzieje z twoją siostrą. Ona... nie mam pojęcia, co z nią jest. Siedzi w łazience i krzyczy, jakby ktoś rozcinał ją nożem.

W drodze powrotnej, wśród rozciągających się wokół nich połaci Long Island, po przejechaniu wielu kilometrów autostradą, gdzieś w okolicach

115 Westbury, po pięćdziesięciu minutach ciszy, Lily przemówiła. Jak udało się jej powstrzymać jęk, jak tego dokonała? Ból w nogach nie ustępował.

- Widzi pan, detektywie o'Malley - powiedziała najspokojniejszym głosem, na jaki zdołała się zdobyć - mówiłam panu, że istnieje bardzo proste wytłumaczenie. Patrząc, jak Spencer w milczeniu zaciska dłoń na kierownicy, poczuła, że ból przybiera na sile.

Jej brat i Amy unosili się nad nią, przesywając ją swoim życiem, każde z osobna. Przeszywali ją swoją udreką. Miejscem udreki Lily było łóżko, gdzie leżała obolała, wołając Andrew, Amy, Joshuę, Spencera. Krzyczała do pustych ścian, wzywała matkę, błagała o chwilę ulgi. Co się z nią dzieje? Co zakradło się do jej

ciała i szarpie nim raz po raz? Czują się tak, jakby miała w żołądku stalową kulę, która raz po raz uderzała o jego ścianki.

Wreszcie po kilku godzinach zmagania z bólem zadzwoniła do siostry Amandy, która nie oddzwoniła, potem do Anny, która wyjechała. Nikt nie odpowiadał, a ona rozpaczliwie kogoś potrzebowała. Nie było sensu dzwonić do babci, która nie wychodziła z domu, więc nie mogła jej pomóc; ani do matki, która też nie mogła jej pomóc, poza tym nie chciała. Zadzwoniła więc do jedynej osoby, o której wiedziała, że na pewno nie przyjdzie. Zadzwoniła do Joshuy.

- Przykro mi, Lii - powiedział. - Nadal jestem w pracy, a potem wychodzimy w miasto. To nie może poczekać do jutra?

Zadzwoniła więc do jedynej osoby, która na pewno przyjdzie. Do Spencera.

Był środek piątkowej nocy. Zadzwoniła pod numer pagera, Spencer oddzwonił po kilku minutach.

- Co się dzieje? - spytał. Jego głos brzmiał, jakby wyrwała go z głębokiego snu.

- Spencer- szepnęła- czy mógłbyś przyjechać i zabrać mnie do szpitala?

- Zaraz jestem. Co się dzieje?

- Nie wiem. Ale coś jest ze mną nie tak - upuściła słuchawkę. - Proszę, przyjedź zaraz...

Przyjechał natychmiast. Podtrzymując ją ramieniem, sprowadził po schodach. Zatrzymali taksówkę i pojechali do szpitala St. Vincent przy Dwunastej Ulicy.

116

- Co pani dolega? - Pielęgniarka w izbie przyjęć zapinała jej opaskę do mierzenia ciśnienia.

- Boli mnie brzuch - wyszeptała Lily.

- Hmm. Ciśnienie jest bardzo niskie.

- Jak niskie? - spytał Spencer.

- Czy pan jest mężem? - Pielęgniarka popatrzyła sceptycznie na ich pozbawione obrączek palce.

- Proszę odpowiedzieć na proste pytanie - rzucił Spencer. - Jak niskie?

- Osiemdziesiąt na czterdzieści. Wezwę lekarza. Wyszła.

- Jest bardzo niskie, Lii.

- Wiem.

Spencer otarł czoło. Lily miała na sobie niebieski dres.

- Nie jest ci gorąco? Siedziała zgięta w pół.

- Nie wiem. Pielęgniarka wróciła.

- Muszę panią zważyć. Proszę zdjąć buty.

Spencer jej pomógł i weszła na wagę. Pielęgniarka przesunęła ciężarek z sześćdziesięciu na pięćdziesiąt kilo. Lily ważyła czterdzieści sześć.

- Ile ma pani wzrostu?

- Metr sześćdziesiąt.

Po raz pierwszy pielęgniarka spojrzała na nią z wyrazem, który można było odczytać jako troskę.

- Czy bierze pani jakieś niedozwolone substancje?

- Nie.

- Zbadają pani krew, więc wszystko wyjdzie.

- Bardzo chcę, żeby wyszło.

Wreszcie zabrali ją do gabinetu. Spencer czekał, aż przebierze się w koszulę.

Kiedy wrócił, leżała na boku z zamkniętymi oczami, skulona, otaczając rękami brzuch.

- Lily - powiedział drżącym głosem. - Co ci się stało w nogi, na miłość boską? Na jej udach widniały siniaki wielkości grejpfrutów.

- Nie wiem.

- Upadłaś?

- Nie.

- Czy ktoś... cię uderzył?

117- Ależ skąd - szepnęła.

- To co to jest?

- Nie wiem. Siniaki?

- Od czego?

Do gabinetu wszedł lekarz w średnim wieku, szczupły, niski, obojętny.

- Jestem doktor Mladek. Co pani dolega? Lily krzyczała. Ból powrócił.

Położył jej dłoń na ramieniu.

- Proszę przestać krzyczeć i powiedz mi, co się dzieje. Krzyczała i nie mogła przestać. Mladek zapytał ją, czy jest w ciąży. Lily

pokręciła głową. Spencer opadł na krzesło przy zasłonie oddzielającej łóżko Lily od reszty gabinetu.

- Kiedy miała pani ostatnią miesiączkę? - Mladek badał jej puls. Musiała się chwilę zastanowić.

- Chyba w maju. Mladek puścił jej rękę.

- To może być ciąża pozamaciczna. Lily pokręciła głową.

- Kiedy odbyła pani ostatni stosunek?

Rozstała się z Joshuą na początku kwietnia, a teraz był sierpień. Cudem udało się jej uniknąć seksu na pierwszej randce ze słodulkiem z Brooklynu. Czy była w czwartym miesiącu ciąży i nie miała o tym pojęcia? Raczej nie.

- Zbadam pani brzuch. Lily przewróciła się na plecy.

- Od jak dawna panią boli? - Badał ją przez szpitalną koszulę.

- Od popołudnia.

- Czy to może być wyrostek? - spytał Spencer.

- Możliwe. - Mladek przerwał badanie. - Szczerze mówiąc, to całkiem możliwe.

- To byłby cud - powiedziała Lily, kiedy już mogła przemówić. - Bo usunięto mi go dwanaście lat temu.

Lekarz zapytał, czy zdoła pójść do pokoju prześwietleń. Okazało się, że nie.

Posadzili ją na wózku.

Jej kości były w porządku. Ale... zobaczyli coś w płucach i nie chcieli powiedzieć co. Pobrali krew i poprosili o próbkę moczu do badania.

Wreszcie kazali jej wypić kwaterkę paskudnego błękitnego płynu. „Do badania tomografem”. Nie mogła nic przełknąć, stale zwracała płyn.

118

Mladek przeprowadził badanie ultrasonograficzne.

- To dziwne - powiedział zamyślonym głosem. - Wygląda na krwotok wewnętrzny. To by tłumaczyło ból brzucha.

- Skąd ten krwotok?

- Czy ktoś panią uderzył? A może to był wypadek?

- Nie i nie.

Lekarz wyszedł. Lily nadal leżała na stole do badań. Spencer stał obok w milczeniu.

- Nie mam swojego lekarza - powiedziała. - Nie mam nawet polisy ubezpieczeniowej. Jak ja za to wszystko zapłacę? Badania, prześwietlenia, ultrasonografia, honorarium dla lekarza.

- Zapłaci się samo - powiedział Spencer.

- Z czego? - szepnęła.

- Z osiemnastu milionów dolarów.

- Powiedziałam ci, że nie odbiorę pieniędzy, dopóki ona nie wróci.

- W porządku, LUy. Czekali.

- Jak myślisz, co to jest, Spencer?

- Jestem detektywem, nie lekarzem.

Ból brzucha powracał falami. Krwotok wewnętrzny. Ale dlaczego? Mladek wrócił z pielęgniarką.

- Podłączymy pani kroplówkę z morfiną - powiedział. - Musimy pani jakoś ulżyć. Na chwilę przestało ją obchodzić, co się z nią dzieje, usłyszała tylko słowo ulżyć.

- Dziękuję - szepnęła.

- Będziemy musieli przewieźć panią do innego szpitala. Do Mount Sinai.

- Dlaczego?

- Mają tam lepsze wyposażenie.

- Do czego?

- Do biopsji szpiku kostnego. - Jego twarz nie była już obojętna. - Pani białe krwinki zupełnie oszalały. Czy była pani chora?

- Nie czułam się dobrze.

- Zdumiewająca liczba białych krwinek, mała ilość czerwonych i prawie całkowity brak płytek krwi... siniaki na nogach... od jak dawna nie czuje się pani dobrze?

Nie odpowiedziała. Od kilku miesięcy?

119- Dlaczego nie poszła pani do lekarza?

- Sądziłam, że to tylko przeziębienie. - Urwała, by wziąć oddech. Fala bólu znów nadpłynęła. Gdzie ta morfina? - Potem myślałam, że to ma podłoże psychiczne.

Ostatnio... żyłam w dużym stresie.

- Dokuczało pani przeziębienie, które nie chciało minąć?

- W zeszłym miesiącu chorowałam na zapalenie płuc. Czy to właśnie zobaczyliście w płucach?

- Nie robiła pani badań krwi?

- Z powodu zapalenia? Nie. Poszłam do kliniki. Osluchali mnie, zapisali antybiotyki.

- Czy miała pani otarcia lub skaleczenia, które bardzo długo się goiły?

Spojrzała na Spencera, przypominając sobie skaleczenie sprzed kilku miesięcy, zainfekowane oparzenie sprzed kilku tygodni.

- Tak. Myślałam, że to kwestia psychiki - odparła cicho.

- Krwawienie o podłożu psychicznym? - spytał Mladek. - Wyczerpanie, utrata apetytu, utrata wagi, podrażniony pęcherz, bóle głowy, takie rzeczy mogą mieć podłoże psychiczne. Ale krwawienie?

- Miałam ostatnio sporo problemów - powiedziała. - Już kiedyś chorowałam.

Myślałam, że to przejdzie.

Pielęgniarka podłączyła kroplówkę.



Mladek uniósł jej koszulę, by obejrzyć siniaki na udach. Spojrzał na nie w milczeniu, po czym wyszedł zza zasłony. Zostali sami. Spencer nie patrzył na nią.

- Spencer? - spytała. - Co o tym myślisz?

- Nie myślę.

Kropłówka sączyła się powoli. Lily nadal obejmowała brzuch lewą ręką. Spencer siedział pochylony na krześle, wpatrzony w swoje dłonie.

- Dziękuję, że ze mną zostałeś - szepnęła.

- Bardzo proszę.

- Spałeś, kiedy zadzwoniłam?

- Mniej więcej.

- Byłeś z... Mary?

- Tak. Na szczęście dla ciebie byłem.

Nie wiedziała, co ma na myśli. Nagle wokół nich zrobił się ruch i Spencer musiał wyjść. Wyciągnęła do niego rękę, ale nie zauważył.

Nie pamiętała transportu do Mount Sinai. Miała nadzieję, że zabrali ją tam helikopterem; to dopiero byłoby super. Szpitalne sale, ściany, zapachy

120

docierały do niej przez mgłę morfiny. Brzuch przestał boleć. Słyszała, jak ktoś powiedział, że poddaje jej znieczulenie ogólne. „Trochę tlenu”, powiedział z uśmiechem lekarz, a ona znów poczuła noże. Łapiąc gwałtownie oddech, spytała: „Co to jest?”, i odpłynęła...

...W ciemność, z której wyłoniła się cała wieczność później. Budziła się powoli, miała zawroty głowy. Wokół niej krzątały się pielęgniarki, podniosły jej rękę, mierzyły ciśnienie i puls, poprawiały kropłówkę i poduszki. Poczuła ból w biodrze, zupełnie nowy, który opierał się działaniu morfiny.

Jedna z pielęgniarek była czarna i wyglądała, jakby bardzo lubiła jeść. Pachniała lekko hamburgerami, czekoladkami Milky Way i papierosami. Uśmiechnęła się do Lily. Druga była Filipinką, w jej oczach nie czaił się nawet cień współczucia. Lily chciała zapytać o Spencera, ale bała się, że już poszedł. Proszę, bądź tutaj. Nie chciało się jej pić, ale miała spękane wargi i czuła suchość w gardle. Poprosiła o coś do picia i czarna pielęgniarka przyłożyła jej kubek do ust. Nie czuła już bólu poza pewnym dyskomfortem w biodrze. „Ból minął”, szepnęła, a czarna pielęgniarka odparła: „Nie minął, ale przy morfinie wszystko się chowa”. To była prawda. Wszystko się schowało.

Wszystko.

I w tej ukrytej przestrzeni, pomiędzy ciemnością a szpitalnym pokojem, Lily przypomniała sobie pewien dzień - dzień na Times Square. Było zimno, padał deszcz. Nie była sama, lecz z Amy. Czekały na Andrew - wreszcie miała przedstawić bratu swoją nową przyjaciółkę. Dostrzegła go, jak szedł w ich stronę Siódmą Aleją. Tuż za nim billboardy migąły kolorami, a on miał mokry płaszcz. Szedł uśmiechnięty, trzymając nad głową czarny parasol. Kiedy Lily odwróciła się do Amy, na twarzy przyjaciółki też dostrzegła uśmiech.

*Libera me Domine.* Uwolnij mnie od tych myśli. Prowadź mnie moją własną drogą, bez liczb, bez stalowych rur, bez głazów, które mogą na nią spaść. Co za radość. Całe moje życie na metaforycznej morfinie.

*Libera me Domine.* CZĘŚĆ II

ŚRODEK DROGI

*Powiedziałem do Życia, chcę posłuchać Śmierci, Życie podniosło głos i powiedziało, Teraz ją słyszysz.*

Kahlil Gibran<sup>17</sup>

### **NAJDŁUŻSZA RZEKA W EGIPCIE**

- Coś się z tobą dzieje. Nie, nie kłóć się ze mną. Bo się dzieje. Jesteś chora. Wydaje ci się, że wszystko jest w porządku, że potrafisz nad tym panować, ale prawda wygląda tak, że to coś zapanowało nad tobą. Jesteś przekonana, że masz nad tym władzę, ale się mylisz. Zawsze uważałem, że ludzie są silniejsi. Że kiedy tylko zechcemy, możemy przestać robić to, co nas zabija. Ale myliłem się. Ty nie możesz.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - odparła.

- Nie masz pojęcia? O tym, co się dzieje? O krzykach, wrzaskach? Co powiesz na to?

- Nic nie pamiętam.

- Krzyczałaś, jakby ktoś rozcinał cię na pół.

- Nie krzyczałam. Wszystko było w porządku.

- Teraz udajesz. Okłamujesz mnie.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Wykorzystujesz mnie. Wykorzystujesz fakt, że pragnę tylko wieść spokojne życie.

- Wcale cię nie wykorzystuję. To ty mnie wykorzystujesz! Jestem chora, a ty na mnie wrzeszczysz.

- Spójrz tylko na siebie. Spójrz, co ze sobą zrobiłaś. Co sobie pomyślały ludzie, kiedy zobaczą twoje posiniaczone nogi? Nigdy w życiu nie widziałem takich siniaków.

- To lekarstwo na żołądek bardzo mnie osłabia.

- Lekarstwo na żołądek? A co powiesz na alkohol w szklance

125z sokiem żurawinowym? Może właśnie przez niego stale się przewracasz?

- W szklance nie ma wcale alkoholu.

- Wyczułem jego zapach.

- Bzdura. To tylko sfermentowany sok. Dwa dni stał na tym twoim hawajskim upale.

- Myślisz, że nie potrafię odróżnić alkoholu od sfermentowanego soku?

- Wydaje mi się, że nie.

- Uważasz, że żyjesz jak normalny człowiek?

- Kto może żyć jak normalny człowiek w tym piekle? Ja na pewno nie! Jestem w depresji, na granicy samobójstwa. Może jeszcze tego nie zauważyłaś.

- Sprzedajmy apartament i wróćmy do domu.

- Będziesz mnie musiał wynieść stąd nogami do przodu - oświadczyła. - Nie ma sensu nigdzie wyjeżdżać. Nie wiesz, że zabiera się wszystkie swoje udreki ze sobą, bez względu na to, dokąd pojedziesz?

- Tak, tak, mówiłaś mi o tym - powiedział. -*Aleja* będę o wiele szczęśliwszy w Karolinie Północnej.

- Zawsze chodzi tylko o ciebie! Ty, ty, ty! Nigdy nie myślałaś o nikim innym. A co z pieniędzmi, które stracimy na sprzedaży apartamentu? Nie są twoje, więc nic cię to nie obchodzi. Bardzo lekko przychodzi ci wydawanie moich pieniędzy. Świetnie sobie żyjesz za pieniądze, które dostałaś dzięki mnie. Zapłaciłam za ten

apartament moim zdrowiem, żebyś ty mógł żyć na odpowiednim poziomie, a teraz chcesz, żebym traciła pieniądze? Nigdy.

- Musisz przestać pić, nie rozumiesz tego? Możesz wypić szklankę piwa, kieliszek wina, łyk koniaku i na tym koniec. Ja robię tak co dnia. Dlaczego ty nie potrafisz? Przez wszystkie czterdzieści pięć lat pracy nigdy nie piłem przed piątą po południu! Dlaczego ty nie potrafisz wykazać się choć odrobiną samokontroli?

- Bardzo cię przepraszam, nie wszyscy potrafią być tak idealni jak ty. Gdybym przypominała cię choć trochę, nie miałabym żadnych problemów.

- Musisz przestać pić.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Rozbiłaś samochód - powiedział cicho George. - Odebrali ci prawo

126

jazdy, dwa razy w miesiącu sąsiedzi wzywają policję, bo wrzeszczysz tak przeraźliwie, jakby cię ktoś bił. Muszę chować cię w sypialni, bo gdyby zobaczyli twoje nogi, na pewno by mnie aresztowali.

- Może powinni cię aresztować za to, jak mnie traktujesz.

Początkowo próbował jej pomóc, dawkując alkohol, pijąc razem z nią.

Nalał jej trochę wina. Wypiła całą butelkę.

Kupił sześciopak piwa. Zniknął przed wieczorem. Kiedy usiedli, by obejrzeć film, już go nie było.

Kupił opakowanie dwunastu puszek.

Zniknęło przed rozpoczęciem filmu.

Kupił dwadzieścia cztery puszki.

Zniknęły przed końcem filmu.

Przestał kupować piwo, wino, chował koniak w bagażniku i wymyślał się ukradkiem wieczorem, żeby wypić jeden łyk, zupełnie jak kryminalista, alkoholik.

Jakże-jej za to nienawdził! Alkohol - balsam cywilizacji. Smar kultury. Lubił siedzieć, czytać gazetę, oglądać wiadomości, baseball i wypijać przy tym mały kieliszek koniaku. A teraz musiał wymyślać się z domu, żeby się napić! Nigdy nikogo nie skrzywdził, nigdy nie wrzeszczał, nikt nigdy nie wzywał policji z jego powodu.

Czy w butelce remy martin, którą schował obok zapasowej opony w bagażniku, ubywało alkoholu, czy tylko tak mu się zdawało?

18

## DO AKCJI WKRACZA LEKARZ

Lekarzem, który miał się nią opiekować w Mount Sinai, był wysoki biały mężczyzna o nazwisku Lawrence DiAngelo. Lily nie miała pojęcia, jak można być tak białym i nosić nazwisko *DiAngelo*. Czytając jej kartę, nie odezwał się ani słowem. Miał na sobie dres, buty do biegania i granatową, nylonową kurtkę Adidasa. Wyglądał, jakby właśnie skończył albo zamierzał robić coś bardzo nielekarskiego. A może miał wolny dzień?

- Gdzie jest Spencer?

- Kto?

127Westchnęła, gdyż nagle zatęskniła za Spencerem i jego cichym wsparciem. Nigdy nie wiedziała, o czym on myśli, i w takich chwilach jak ta było to wręcz idealne.

- Napisano tu, że masz dwadzieścia cztery lata. To prawda?

- Tak. Dlaczego pan pyta? Zagwizdał i pokręcił głową.
  - Bo wyglądasz na szesnastolatkę.
  - Proszę mi wszystko powiedzieć, panie doktorze. I to bez owijania w bawełnę - powiedziała. - Ale dopiero wtedy, gdy będę mogła usiąść.
- Podniósł łóżko. Patrzyła, jak stoi z jej kartą w ręce.
- Masz białaczkę - powiedział. - Ostrą białaczkę szpikową. A wyrażając się bardziej precyzyjnie, ostrą białaczkę promielocytową.
- Czy to rak? Wypuściła gwałtownie powietrze. Rak!
- Wiesz, czym jest białaczka?
  - Tak... chorowała na to Jenny Cavilleri. - Nie miała pojęcia, czym jest białaczka.
- Poczuła, że drętwieje od środka.

- Kto?

- Jenny Cavilleri. Oliver Barrett. *Love Story*.

- Ach tak, zgadza się.

Siedziała na łóżku i patrzyła na niego. Odpowiedział jej spojrzeniem. Próbowwała się skoncentrować na własnych myślach, ale najważniejszą z nich była:

CHOLERA JASNA, a tuż za nią: Dlaczego przestałam jeść podwójne ciasteczka czekoladowe?

- Musisz mieć mnóstwo pytań.
- Tak... - Nic nie przychodziło jej do głowy.
- Wiem, że to trudne...

To wcale nie było trudne. To nie mogło przytrafić się jej. Mimo to, dlaczego nie była wcale zaskoczona? Wszystkie wizje w jej głowie, niedowierzanie, strach, zredukowały się do obrazu Jenny Cavilleri siedzącej przy lodowisku i oglądającej popisy Olivera Barretta. Nie mogła myśleć o niczym innym. Dlaczego? Czekala, aż przyjdzie jej do głowy jakieś właściwe pytanie. Zauważyła, że lekarz w kurtce Adidasa i czapeczce Nike też czeka. Wyglądał na bardzo przyzwoitego człowieka. Ale ona naprawdę nie miała żadnych pytań.

Lekarz westchnął głośno.

- Chcesz mnie o coś zapytać? Milczała. RAK.
- Komórki białaczkowe w twoim szpiku kostnym nie mogą dojrzewać i zamieniać się w zdrowe komórki krwi. Rosną, ale są puste. Na dodatek są

128

bardzo leniwe i nie chcą pracować. Ale całymi milionami przedostają się do twojego krwiobiegu. Nie walczą jednak z infekcjami ani nie przenoszą tlenu. One nie chcą cię leczyć, ale powoli zabijają.

- A normalne komórki krwi?
- Nie ma dla nich miejsca.
- Ani trochę?
- Nie.
- Naprawdę nic a nic?
- Nic.
- To dlaczego jeszcze żyję?
- Dobrze pytanie. Dzięki trzem transfuzjom czerwonych krwinek. Jednej transfuzji płytek krwi. I jednej białych krwinek. Innymi słowy, dzięki krwi innej osoby.
- A wcześniej?
- Trudno to chyba nazwać życiem, prawda? Nawet nie skinęła głową.

- Z powodu choroby twoje naczynia stały się bardzo cienkie. Wreszcie popękały. Dlatego pojawił się krwotok wewnętrzny. Stąd ból brzucha i siniaki.
- Bardzo bolało.
- Tak.
- A zapalenie płuc?
- O mało co nie doszło do przełomu blastycznego.
- Co to takiego?
- Określamy tym terminem sytuację, kiedy krew chorego składa się niemal wyłącznie z dzielących się gwałtownie komórek białaczkowych. Nie ma w niej ani białych, ani czerwonych krwinek, tylko blasty. Nie masz wyboru, musisz natychmiast rozpocząć chemioterapię. Pacjenci z kryzysem blastycznym nie wychodzą do domu.
- Czyja do nich należą? - spytała cicho.
- Prawie.

Lily nie wiedziała, co powiedzieć. Odetchnęła lekko.

- Muszę wrócić do domu tylko na minutkę, panie doktorze - powiedziała. - Muszę załatwić kilka rzeczy... zająć się... tylko na dzień lub dwa.

Musi zadzwonić do brata. I do babci. Musi... zobaczyć swoje łóżko, choćby tylko na sekundę. Czy białaczka to bardzo zły rak? W 1970 roku Jenny Cavillieri nie miała żadnych szans. O co ma teraz zapytać lekarza? O to, czy mogą ją wyleczyć? Jakie ma szanse? Nie chciała wiedzieć. Chciała zapytać... czy sjaż przerzuty? Nie chce wiedzieć. Chce wiedzieć...

129- Dlaczego?

Ale już wie. 49,45, 39, 24, 18, 1.

- Ludzie po prostu chorują. Widziała, że lekarz chce już wyjść.
- Chcesz, żebym sprowadził Spencera? To twój mąż? Może powinniśmy omówić całą resztę razem z nim.
- Resztę czego?
- Leczenie. Wyniki. Terapię. Rokowania. Twoją przyszłość na najbliższe cztery miesiące i dalej. Problemy związane z płodnością.
- Z płodnością? - zacisnęła dłonie. - Spencer nie jest moim mężem. Nawet nie jest moim chłopakiem. Jest tylko... detektywem, który mnie tu przywiózł. Jakie problemy związane z płodnością?

Zacisnęła dłonie na podkładce z kartą.

- Czy mogę do kogoś zadzwonić, zanim zaczniemy o tym rozmawiać? Czy chcesz, żeby ktoś tu był przy tobie?
- Problemy z płodnością? - powtórzyła pustym głosem.

Przez całe życie ani razu nie pomyślała czegokolwiek na ten temat. Płodność pojawiała się tylko w zestawieniu z pigułkami antykoncepcyjnymi. Myślała, że ma jeszcze mnóstwo czasu, by myśleć o niej bardziej pozytywnie.

- O Boże. Marcie!

Do pokoju weszła czarna pielęgniarka, która tak lubiła batoniki, hamburgery i papierosy.

- Poznałaś już Marcie, pielęgniarkę, która będzie się tobą opiekować. Marcie, to Lily. Spędzicie razem sporo czasu. Liliannę, powiedz nam teraz, do kogo Marcie może zadzwonić?

Pokręciła głową, zaciskając dłonie na poduszkach. Lekarz rozpiął kurtkę. Był

wyraźnie spocony. Spojrzał bezradnie na Marcie.

- Zaraz wrócę, dobrze? - powiedział. - Muszę zaczerpnąć trochę powietrza.
- Ja też! - zawołała za nim Lily.
- Dobiłaś pana doktora, dziecino? Nie wiesz, że on nie może znieść, kiedy chorują tak młodzi ludzie jak ty?
- Skąd miałabym wiedzieć? Czy możesz mi powiedzieć... proszę... - Lily przestraszyła się, że nie zdoła wypowiedzieć tych słów. Nagle poczuła się bardzo mała i straszliwie samotna. - Czy w poczekalni czeka ktoś na mnie?

130

Marcie poszła sprawdzić. Wróciła.

- Nie - powiedziała.
- A co z college'em, malowaniem, pracą? - spytała, gdy lekarz znów pojawił się w pokoju.

Odłożył podkładkę.

- Posłuchaj - zaczął. - Przez następne cztery miesiące musisz zapomnieć o szkole, pracy. Musisz zapomnieć o wszystkim. Trudno mi uwierzyć, że ostatnio sporo pracowałaś, zważywszy na twój stan. Nie słyszałaś, co powiedziałem, Lily? Przełom blastyczny. Twoja krew wygląda jak kawior z biegugi, nie ma w niej nic poza czarnym rakiem.

- I co teraz?

- Teraz będziemy próbowali go zabić. Pozwolę ci wrócić do domu do poniedziałku. Masz półtora dnia, żeby wszystko sobie poukładać. Ale od poniedziałku spędzisz ze mną cały miesiąc. Zaczniemy chemioterapię w szpitalu. Potem przez trzy miesiące będziemy cię leczyć ambulatoryjnie, zobaczymy, jak sobie poradzisz.

- Dlaczego tak długo?

- Cztery miesiące? Wiem, że to musi do ciebie dotrzeć, ale masz raka, rozumiesz?

- Rozumiem. - Mimo wszystko nie rozumiała. Może nie była zaskoczona, ale nie była w stanie do końca tego zrozumieć. - A co z tamtą rzeczą, o której pan wspominał... o problemach z płodnością?

- Przykro mi, Lily - pokręcił głową. - W poniedziałek musimy zacząć chemię, a proces zapładniania jajeczek zabiera sporo czasu. Skoro nie masz chłopaka, nawet dłużej. Musiałabyś udać się do banku spermy, znaleźć dawcę - zawiesił głos. - To nie jest rozwiązanie dla ciebie. Pozostaje więc tylko Lupron.

- Co to takiego?

- To lek, dzięki któremu twojemu ciału wyda się, że zaczął się proces menopauzy. Na jakiś czas blokuje produkcję jajeczek. Jego skuteczność w zapobieganiu bezpłodności wynosi jakieś dwadzieścia procent.

- O Boże, proszę przestać... Przestał.

- Dwadzieścia procent to więcej niż nic - powiedziała w końcu.

- Zanim opowiem ci o Lupronie, muszę ci opowiedzieć o raku. Jego jedynym celem jest cię zabić. To jego jedyna misja. Nie chce zrobić nic

131innego, nie zmienia się, nie słabnie, kiedy ty słabniesz, tylko przybiera na sile.

Jeśli ty się wzmocnisz, on, niestety, też. Dosłownie pożera twoją zdrową krew.

Dlatego też musimy postawić przed jego czołgami całą naszą armię. Musimy więc

zwalczać truciznę trucizną. Wpompujemy do twojego ciała leki, które pomogą

nam zabić to, co ciebie zabija. Czasami się udaje. Czasami. Ale podczas trwania tej

wielkiej bitwy, leki zatniją także ciebie, wszystko, co w twoim ciele jest jeszcze zdrowe. Zaatakują wszystkie twoje narządy. Rak i chemia będą toczyć w twoim ciele bitwę, a to bardzo krwawe starcie, Liliannę. Będziesz się czuła okropnie. A teraz kilka słów o Lupro-nie. Mogę ci go podać, ale będzie on stanowić dywizję w armii raka, nie twojej. Lupron to broń wymierzona przeciwko tobie. Będziesz się pocić tak straszliwie, jakby całe twoje ciało płonęło od środka. Odradzam Lupron wszystkim moim pacjentkom, ale mimo wszystko muszę im przedstawić taką możliwość. Rozumiesz?

- Ale włosy i tak mi wypadną?

- Tak.

Lily milczała przez długą chwilę.

- Kto chciałby żyć z łysą głową? - powiedziała wreszcie.

Lany DiAngelo roześmiał się i zdjął z głowy czapkę, spod której wyłoniła się niemal całkowicie łysa głowa. Lily się uśmiechnęła.

- I po czterech miesiącach wszystko będzie dobrze? - spytała głosem tak cichym, że aż się zawstydziała.

- Masz zaawansowaną ostrą białaczkę promielocytową. Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

- Albo...

- Albo Oliver Barrett będzie siedział na ławce sam.

W szpitalnym pokoju z beżowymi ścianami i zasłonami unosił się lekki zapach alkoholu i środka odkażającego. Przez okno wpadały promienie słońca, na ścianie nad głową lekarza wisiał telewizor. Lily patrzyła na białą pościel, na koszulę w niebieskie groszki, na okno, na telewizor, na wszystko, byle tylko nie patrzeć na DiAngela. Wreszcie zamknęła oczy.

- O to właśnie chodzi, panie doktorze - powiedziała. - Nie rozumie pan? W Central Parku nie ma żadnego OHvera Barretta.

Spencer wyszedł, żeby wykonać kilka służbowych telefonów. Poprosił zarządzającego Harkmana, żeby przyszedł po południu na posterunek.

Kiedy wrócił do pokoju i zobaczył leżącą w łóżku Lily, zebrał wszyst-

132

kie siły i zmusił się do uśmiechu. Po transfuzjach wyglądała trochę lepiej. Usiadł obok łóżka.

- Słyszałeś? - spytała. - Jestem chora.

- Tak, rozmawiałem z DiAngelem. Trafiłaś w dobre ręce. Wszystko będzie w porządku. - Starał się, by zabrzmiało to radośnie.

- Potrafisz w to uwierzyć?

- Nie. - Starał się nie odwracać wzroku. Była bardzo blada.

- Wygląda na to, że miał pan rację, detektywie O'Malley. Chyba będę musiała odebrać wygraną.

- Zgadza się. Ale przychodzi mi do głowy sporo o wiele gorszych rzeczy niż odebranie osiemnastu milionów dolarów.

- Tak, właśnie patrzysz na jedną z nich - nieświadomym ruchem sięgnęła po jego dłoń. Trzymając go za rękę, czuła się jak mała dziewczynka. - Proszę cię, Spencer - szepnęła. - Potrzebuję mojego brata. Teraz.

Cofnął dłoń.

- Lily, matka Amy dzwoni do mnie codziennie z pytaniem, czy znalazłem jej

córkę. Moim zadaniem jest ją znaleźć. Nie chciałabyś, żeby ktoś znalazł cię dla twojej matki?

- Chciałabym, żeby ktoś znalazł moją matkę dla mnie.

- Och, Lily.

Zamknęła oczy. Po godzinie została warunkowo wypisana ze szpitala do poniedziałku.

Zawiózł ją swoim nieoznaczonym buickiem do domu, gdzie zdjęła ze ściany kupon.

- To co teraz zrobimy? Pojedziemy tam tak po prostu i odbierzemy pieniądze?

- Skąd mam to wiedzieć? Nigdy w życiu niczego nie wygrałem.

- Szczęściarz z ciebie.

Zawiózł ją do World Trade Center, gdzie na parterze jednej z wież mieściło się biuro Loterii Nowojorskiej. Lily czuła, że zaraz zemdleje.

- Czy zapytają mnie, w jaki sposób majami wypłacić tę sumę? - spytała.

- Na pewno. Powiedz, że chcesz siedemnaście milionów w banknotach jednodolarowych, a resztę w dwudziestkach.

Zastanawiała się przez chwilę, czy potem będą mogli kupić sobie hot doga i usiąść koło fontanny na placu pomiędzy wieżami. Zawsze lubiła 133tam siedzieć. Było tak spokojnie. Ale dziś nie miała ochoty na hot doga. Z trudem utrzymywała się na nogach. Usiadła na krześle, opierając głowę o ścianę i czekała na swoją kolejkę.

Kiedy podeszła do kasy, by zrealizować kupon, siedząca za szybą kobieta sprawdziła jej dowód tożsamości, podpis, wstukała numer losu do komputera, a potem spojrzała uważnie na Lily.

- Czekamy na panią od trzech miesięcy.

W jej głosie nie było ciekawości, powody kierujące postępowaniem Lily zupełnie jej nie interesowały.

Za los wart osiemnaście milionów dolarów Lily dostała w gotówce jedenaście milionów trzysta czterdzieści tysięcy. Po opłaceniu podatku federalnego i stanowego zostało jej siedem milionów trzysta tysięcy. W ciągu pięciu sekund zesła więc z sumy osiemnastu milionów do siedmiu i trzystu tysięcy. Czuła się tak, jakby uszło z niej całe powietrze. Nawet niewzruszony Spencer wyglądał na zdumionego. Wzruszył ramionami.

- Możesz spokojnie odebrać wszystko w jednodolarówkach. Niewiele tego zostało. Wyprali je.

Lily dowiedziała się, że dostanie czek za trzy tygodnie podczas konferencji prasowej w hotelu Waldorf Astoria. Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Czy mogę dostać część sumy teraz? - spytała.

- To nie jest bank, panno Quinn. Nie może pani podjąć pieniędzy z konta - odparła znudzona kobieta w okienku.

Lily nie miała pojęcia, gdzie będzie za trzy tygodnie, ale wiedziała na pewno, że nie znajdzie dość siły, by snuć się po luksusowych hotelach. Zapytała, czy nie mogłaby dostać czeku pocztą.

- Zorganizujemy konferencję prasową. W przypadku każdej wygranej powyżej miliona dolarów organizujemy konferencję w Waldorf. To polityka firmy.

Spencer poprosił Lily, żeby usiadła na krześle, a sam zaczął cicho rozmawiać z kasjerką.



Kiedy Lily wróciła do okienka, w oczach kobiety pojawił się wyraz, który mówił: Tak, tak, los jedną ręką daje, drugą odbiera. Nagle stała się bardzo uprzejma.

- Zajmę się tym osobiście. Proszę się niczym nie martwić. Zrobimy wyjątek i wyślemy czek pocztą. Czy ma pani beneficjenta? Musi pani wpisać jego nazwisko do formularza. Męża, dziecko, brata, siostrę?
- Jaki jest twój numer ubezpieczenia, Spencer? Chciałabym, żebyś podpisał formularz jako świadek. Tutaj.

134

Kiedy wychodzili z brudnego, źle oświetlonego biura loterii, podał jej **ramię**. Przyjęła je z wdzięcznością.

- Czy mogę wydać całą sumę przed poniedziałkiem? - spytała.
- Jestem pewny, że ci się to uda. Co chcesz kupić?
- Następne sześćdziesiąt lat - odparła, czując ukłucie żalu za zmarnowanym latem.

**19**

### **NIĆ PODEJRZENIA**

Spencer odwiózł Lily do domu, następnie przez kwadrans siedział w samochodzie, wpatrując się w swoje ręce, po czym pojechał na posterunek po Harkmana, który zrzędził, że musi pracować w sobotę. Nie zrobiło to na Spencerze żadnego wrażenia, bo sam był w jeszcze bardziej paskudnym nastroju. Pojechali do Port Jefferson, by porozmawiać oficjalnie z Andrew Quinnem. Na miejscu okazało się, że z całej trójki to on ma najbardziej paskudny nastrój. Spencer czuł, że pozostało jeszcze kilka spraw, których szacowny kongresman nie miał okazji wyjaśnić, gdyż rozmowę przerwał im incydent z Lily. Postanowił, że stworzy mu taką okazję właśnie teraz.

- Dajcie spokój, panowie! W sobotę? Cała moja rodzina jest w domu.
- Przykro mi - odparł Spencer. - Procedura. Nie zajmujemy panu zbyt wiele czasu.
- W porządku, ale będę z wami rozmawiał tylko w obecności mojego adwokata - powiedział Andrew.

Miera, która wyszła do holu i stanęła obok męża, powtórzyła:

- Będzie z wami rozmawiał tylko w obecności swojego adwokata. Harkman spojrzął na Spencera i wzruszył ramionami. W odpowiedzi Spencer odpiął od paska kajdanki.
- Jeśli tego pan sobie życzy, nie ma sprawy. W takim wypadku będę musiał pana aresztować i zabrać na posterunek na oficjalne przesłuchanie. Ma pan prawo do adwokata. Ma pan prawo milczeć, gdyż każde pana słowo może zostać wykorzystane przeciwko panu.

Andrew uniósł ręce.

- Dość. Zrezygnuję z prawa do adwokata, jeśli będziemy mogli wszystko załatwić tutaj.

135- Andrew! Nie możesz z nimi rozmawiać bez adwokata.

- Uspokój się, Miera! Wracaj do rodziny. Uspokój się. Panowie, tędy proszę.
- Nie, Andrew.
- Powiedziałem, żebyś była cicho.

W gabinecie Andrew usiadł spokojnie za biurkiem. Spencer stanął naprzeciwko niego, bo był zbyt podniecony, żeby usiąść. Harkman nie dał mu jednak dojść do słowa.

- Kongresmanie, teraz może pan mówić, co się panu żywnie podoba i z pewnością pan to powie, ale wie pan równie dobrze jak ja, co powiedział pan podczas naszej rozmowy telefonicznej. Zapytałem, czy pan ją znał, a pan zaprzeczył.
- Nie, powiedziałem, że sobie nie przypominam i najwyraźniej odpowiadałem na inne pytanie.
- Zapytałem, czy pan ją znał!
- Nie dosłyszałem pańskiego pytania. I proszę nie podnosić głosu, bo tego nie będę tolerował.
- Kongresmanie, czy miał pan romans z Amy McFadden? Czy dobrze usłyszał pan *to* pytanie?
- Tak, słyszałem i nie, nie miałem.
- Nie łączył pana z Amy żaden związek wykraczający poza granice jej przyjaźni z pańską siostrą?
- Jak już mówiłem detektywowi o'Malleyowi, mogła zajrzeć do mojego biura tutaj w Port Jeff. Nie wiem, nie pamiętam. Być może. Czy to wykracza poza granice przyjaźni z moją siostrą?
- A co z biurem w Waszyngtonie?
- Nie, tam nigdy nie była.
- Jest pan tego pewny? Dobrze pan to pamięta?
- Ona nie mieszkała w Waszyngtonie. Oczywiście łatwiej jest mi sobie wyobrazić, nawet jeśli tego nie pamiętam, że mogła przyjść tutaj.
- Kiedy pan ją poznał? - spytał Harkman.
- To Lily poznała nas ze sobą.
- Kiedy?
- Nie wiem. Nie przypominam sobie. Spencer obserwował go bardzo uważnie.
- Jest sporo rzeczy, których pan sobie nie przypominam.
- Związanych z tą dziewczyną? Tak. Mam fotograficzną pamięć do ważnych rzeczy. Bardzo mi przykro, że zaginęła i życzę wam powodzenia

136

w śledztwie. Bardzo chcę wam pomóc, ale nie przyjaźniłem się z nią i, co ważniejsze, nie mam pojęcia, gdzie jest.

- Czy zgodziłby się pan na test na wykrywaczu kłamstw?
  - Dotyczący znajomości z nią? Oczywiście.
  - Nie znajomości. Pozostawiania z nią w niewłaściwym związku. I miejsca jej pobytu.
  - Też, ponieważ nie łączył nas niewłaściwy związek.
  - Zgodzi się pan na test?
  - Oczywiście, ale w tej sprawie będę się musiał skontaktować z moim adwokatem. Ja sam nie widzę jednak problemu.
- Przez cały czas Spencer czekał i się zastanawiał. Skoczyć na głęboką wodę czy nie? Andrew postukał niecierpliwie palcami w blat biurka.
- Czy to już wszystko? Bo mam dom pełen...
  - Kongresmanie, był pan w mieszkaniu dziewcząt.
  - Już panu mówiłem.
  - Tak. Ale nie powiedział mi pan - zaczął Spencer - że większość czasu spędzał pan w pokoju Amy. Tam właśnie znaleźliśmy włosy odpowiadające pańskim. Andrew przestał bębnić palcami i powiódł spojrzeniem od jednego detektywa do

drugiego.

- Nie wiem, o czym pan mówi - powiedział wreszcie. - Nie mam pojęcia, jak to się stało.

- Nie? Ja też.

Harkman spojrział na Spencera, który nie spuszczał wzroku z Andrew.

- Nie wiem, o czym pan mówi - powtórzył kongresman lekko drżącym głosem. - Nie uda się panu mnie zastraszyć, detektywie. Pójdę prosto do pańskich przełożonych i powiem, jak traktuje pan niewinnego człowieka.

Spencer spojrział na Harkmana.

- Kongresmanie, nie wiem, co pana tak zdenerwowało. Proszę pana tylko, by wytłumaczył pan, jakim sposobem w pokoju Amy znalazły się nie tylko pańskie włosy, ale również i odciski palców.

Andrew usiadł.

- Nie mam pojęcia. Nie wchodziłem do pokoju Amy. Harkman też usiadł.

Spencer nadal stał.

Wreszcie Andrew rozplótł dłonie i potarł mocno twarz, zupełnie jakby chciał zetrzeć coś z oczu. Nie był już tak pewny siebie.

137- Nie jestem aresztowany - powiedział. - Nie jestem nawet podejrzany. Nie chcę zrobić nic, co mogłoby przeszkodzić wam w śledztwie, więc z własnej woli udzielię wam tych informacji.

Zbierał się w sobie przez długą chwilę.

- To prawda... muszę przyznać... że kiedyś łączył mnie z Amy związek, który nie był... tak do końca właściwy. - Raz po raz zaciskał dłonie w pięści, a Spencer czekał, wstrzymując oddech. - Ale to się skończyło już dawno temu. Rozstaliśmy się i nie widziałem jej od miesięcy.

Teraz usiadł Spencer. Spojrzeli na siebie z Harkmanem. W gabinecie zapadła cisza.

- Kongresmanie, był pan związany z dziewczyną, która zaginęła - powiedział bardzo wolno Spencer.

- Te dwie sprawy nie mają żadnego związku.

- Kongresmanie! Powtórzę jeszcze raz: powiedział nam pan przed chwilą, że miał pan romans z dziewczyną, która zniknęła.

- Słyszałem! Wiem! Ale jedno w żaden sposób nie wiąże się z drugim. Romans, jak pan to nazwał, skończył się. Nie widziałem jej od miesięcy.

- Wszystko się zgadza, bo ona zniknęła parę miesięcy temu. Kiedy się skończył?

- Kiedy się skończył?

- Dlaczego powtarza pan moje pytania?

- Nie przypominam sobie.

- Dwa tygodnie temu? W lipcu? Czerwcu? Zaczniemy grać w dwadzieścia pytań?

Kiedy się skończył? - Spencer podniósł głos, zupełnie jakby rozmawiał z niegrzecznym dzieckiem.

- Detektywie, pan mnie dręczy.

- Nie ma pan pojęcia, co to znaczy kogoś dręczyć. Proszę poczekać, aż zwęszą to gazety. Kiedy się skończył?

Andrew potarł twarz.

- Chyba w marcu. Nie pamiętam dokładnie.

- Dlaczego się skończył?

- Dlaczego? Cóż mogę panu powiedzieć? Bo się wypalił. Tak się często dzieje z tego typu związkami.
- Skończył się w marcu?
- Chyba tak. Wiosną.
- Więc może w kwietniu albo w maju? Może właśnie wtedy? Może w dniu, w którym zginęła?
- Ta rozmowa staje się absurdalna.

138

- Wie pan, gdzie jest Amy?
- Mówiłem już, że nie.
- Czy w tej sprawie podda się pan testowi na wykrywaczu kłamstw?
- Już panu mówiłem, że nie mam z tym żadnego problemu, ale będę to musiał skonsultować z adwokatem.
- Będzie się pan z nim konsultował z więzienia, kiedy będzie pan mógł wykonać jeden telefon - rzucił Harkman. - Proszę odpowiedzieć na pytanie detektywa. Kiedy się skończył wasz romans?
- Już mówiłem.
- Nie, powiedział pan, że nie pamięta. Ale jest pan na sto procent pewny, że nie było to w maju. Nie jest pan pewny kiedy, ale ma pan absolutną pewność, że nie w czasie, kiedy Amy zginęła. Interesujące — powiedział Spencer. - Nie sądzi pan?
- To było w kwietniu - powiedział głośno Andrew. - Gdzieś w połowie. Kiedy wypełniałem zeznania podatkowe, już nie byliśmy razem.

Wszyscy trzech zamilkli.

- A kiedy się zaczął?
- Nie wiem.

Spencer zdumiał się ilością faktów, których kongresman nie pamiętał.

- Nie wie pan? Widział ją pan tylko raz w jej mieszkaniu? Czy spotykaliście się co tydzień? Spotykaliście się przez miesiąc, trzy tygodnie, czterdzieści siedem dni?
- Nie, przez kilka miesięcy.
- Przed wyborami czy po?
- Mniej więcej w tym czasie.
- Gdzie się spotykaliście? W jej mieszkaniu?
- Ależ skąd!
- Rozgniewał się pan? - spytał Spencer, otwierając szeroko oczy. - Czyżbym pana uraził, kongresmanie? Przepraszam.
- Przychodziłem do tego mieszkania bardzo rzadko i tylko po to, by odwiedzić Lily. - Spuścił wzrok. - To jest okropne. Dla mojej żony, dzieci, dla mojej siostry. W istocie - jego siostra w tym momencie na pewno nie zniosłaby takiej informacji. Współczucie dla Lily zmroziło jakikolwiek cień współczucia, jakie mógł żywić dla jej brata.
- Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Ma pan do tego wybitny talent. Gdzie się spotykaliście?
- Nie wiem. Gdziekolwiek.

139- Na ulicy? W zaułkach? Przyjeżdżała do pana do Waszyngtonu?

- Czasami tak.
- Czy zostawała na noc?
- Czasami.

Spencer skinął powoli głową.

- Dlatego zostawiała w domu wszystkie dokumenty. To pana chciała chronić.
  - Wiem, że to robiła, ale nigdy jej o to nie prosiłem. To był jej pomysł, nie mój. Była bardzo ostrożna. Nie chciała skrzywdzić Lily. Oboje nie chcieliśmy.
  - A co z pańską żoną i dziećmi? Andrew podniósł rękę.
  - Czy może mi pan oszczędzić tych morałów? Jakoś nie mam ochoty tego słuchać.
  - Dlaczego się rozstaliście? Żona się dowiedziała?
  - Nie.
  - Dlaczego więc?
  - Już panu mówiłem. Po prostu się skończyło. - Andrew nie patrzył na Spencera. Nie patrzył albo nie mógł. Za to Spencer nie spuszczał z niego wzroku. - Nic z tego nie wyszło.
  - Nic nie wyszło z pana potajemnego powierzchownego romansu z dziewczyną na tyle młodą, że mogła być pańską córką?
  - Zgadza się - rzucił ze złością Andrew. Spencer szybko zaczął kojarzyć fakty.
  - Czy zerwał pan z nią, kiedy zdecydował się pan startować w wyborach do Senatu i uświadomił sobie, że wyniki mogą nie być pomyślne, jeśli szczegóły pana romansu wyjdą na jaw?
  - Och, proszę przestać nazywać to romansem! Jego słowa zaskoczyły Spencera.
  - A jak by pan to nazwał? - zapytał, marszcząc brwi.
  - To się skończyło. Dawno temu. Nie mam pojęcia, dlaczego pan się tak tego czepia.
  - Proszę przyprowadzić do mnie Amy, a z pewnością przestanę się czepiać. Do tego czasu jednak nadal będziemy prowadzić śledztwo i będziemy się czepiać wszystkich szczegółów.
- Spencer nie miał zbyt wielkiego pojęcia o zawilosciach polityki, ale był pewien, że jeśli Andrew Quinn zdecyduje się na ponowną kampanię, może mieć problemy ze zwycięstwem.

140

Poinstruowali Quinna, że nie wolno mu wyjeżdżać z kraju, rozmawiać z prasą, nie wolno mu też utrudniać śledztwa, a wszystkie jego rozmowy telefoniczne i wyciągi bankowe zostaną sprawdzone. Kiedy wychodzili, dostrzegli, jak Miera wprowadza do pokoju dwie nastoletnie córki, mijając po drodze dwie wyraźnie rozgniewane kobiety - prawdopodobnie siostry Andrew. Można było w nich odnaleźć cień podobieństwa do Lily, ale mimo to bardzo się od niej różniły. Jedna była wysoka i napuszone, druga niższa i trochę matronowata. Spojrzały na policjantów z wyraźną dezaprobatą.

Kiedy dotarli do drzwi frontowych, Andrew uderzył pięścią w ścianę.

- Teraz to do mnie dotarło. W pokoju Amy nie było żadnych włosów. Ani odcisków palców, prawda?
- Spencer nie odpowiedział.

- Dranie. - Andrew zatrasnął za nimi drzwi.

Spencer wzruszył ramionami, lecz był tak spięty, że przypominało to bardziej drżenie mięśni.

- Niezła robota, o'Malley - powiedział Harkman, gdy szli w stronę samochodu. - Lepiej, żeby spece od dowodów znaleźli jakieś włosy Quinna w pokoju Amy, bo inaczej w przyszłym tygodniu zaczniesz patrolować ulice Nowego Jorku.

- Co o nim myślisz? - spytał Spencer, gdy jechali autostradą w stronę miasta.
- Trudno powiedzieć. Już sam ten romans jest dość nieprzyjemny. Młoda dziewczyna, współlokatorka siostry, paskudna sprawa. Nic więcej nie wiem. A ty co o tym myślisz?
- Hmm. - Spencer nie spuszczał wzroku z drogi. - Myślę, że „Tiranie” leży na dnie morza.

**20**

## **SOBOTNI WIECZÓR LILY**

Lily przespała całe popołudnie, a potem wzięła taksówkę i pojechała do babci. Kierowca wysiadł i pomógł jej wejść na schody. Nie miała pojęcia, jak po powrocie do domu zdoła wejść na piąte piętro.

W sobotnie wieczory babcia zapraszała swoje przyjaciółki na szemraną partyjkę pokera. Oczywiście żadnej z pań niezwykle charakter spotkań nie przeszkadzał, bo spotykały się już od dwudziestu pięciu lat. Każda z czterech wdów, która zjawiała się u babci w sobotnie wieczory, przychodziła z mocnym postanowieniem, że okaże się lepszą oszustką od pozostałych pokerzystek. Żadna z nich nie umiała blefować, żadna nie miała pokerowej twarzy, ale zdejmowały słuchawkę z widełek i grały całymi godzinami, popijając przy tym wino, opychając się smakolymi, a nawet paląc cygara. Pewnego wieczoru jedna z nich wypila za dużo wina i przewróciła się w drodze powrotnej do domu. Przyjaciółki zostawiały dla niej zawsze puste krzesło, lecz nie przestawały grać i pić, jakby śmierć i starość nie czaiły się na progu mieszkania babci.

Kiedy więc Lily zjawiała się tamtego wieczoru, panie poprosiły ją - a raczej zażądały - by zajęła miejsce Albanki Zani, która uległa wypadkowi przed sześcioma tygodniami. Podejrzywały, że już do nich nie wróci, bo miała osiemdziesiąt osiem lat i złamane biodro nie bardzo chciało się zrosnąć.

- Boże święty, Lily, wyglądasz jak śmierć - wykrzyknęła na widok wnuczki Claudia. - Chodź, zjedz coś. Dana, spójrz, co dzisiejsze dziewczęta robią ze sobą, by tylko spodobać się chłopakom.
- Nie rozumiem, że mężczyźni lubią mieć przy sobie kawałek ciała - odparła Dana. Rozmawiały, jakby Lily nie było w kuchni. Ona tymczasem siedziała przy stole, udawała, że gra, oszukuje, a nawet pije. Próbowwała coś zjeść, odrobinę śmierdzącego francuskiego sera, importowane krakersy, trochę pasztetu. Ale sam zapach jedzenia przyprawiał ją o mdłości, więc dała sobie spokój. Nikt niczego nie zauważył.

W ciągu pierwszej godziny przegrała dwadzieścia dolarów, a potem patrzyła, jak panie zawzięcie oszukują się nawzajem.

- Lii, jesteś taka ponura, co się z tobą dzieje? - spytała babcia. - Jak ty wyglądasz? Jesteś anorektyczką?

- Zostaw ją w spokoju, Claudio. Nic jej nie jest - powiedziała Hannah z Bułgarii, która zawsze broniła Lily. - Jest młoda i mieszka w Nowym Jorku. Wszystkie dziewczyny tu tak wyglądają. - Odwróciła się w stronę Lily. - Ale faktycznie, kiedyś miałaś ładnie zaokrąglone biodra, Liliput. Co się dzieje?

- No właśnie - wpadła jej w słowo babcia. - Jesteś młoda, wolna, prawie masz dyplom w kieszeni, pracujesz, bawisz się, żyjesz w spokoju. Dlaczego jesteś taka ponura? Nie masz żadnych rozrywek? Może chorujesz na bulimie?

Już niedługo, chciała powiedzieć Lily.

- Żałuję, że nie mogłam być młoda w Nowym Jorku - powiedziała Dana z Polski. - Kiedy miałam tyle lat co Lily, byłam w Treblince i czekałam na swoją kolej do prysznic. Gdyby nie nadeszli Sowieci, byłabym kupką popiołu, na którym naziści sadzili kapustę.

Panie jęknęły współczująco. Wszystkie przyjechały do Ameryki po wojnie, która podzieliła historię na przed i po.

- Och, temoje wnuczki tak strasznie jęczą-powiedziała Soo Min z Korei Południowej. - Urodziły się już tutaj, a wszystko krytykują. Twierdzą, że Amerykanie są tak mało romantyczni. Mówię im, że mój narzeczony został zabity w 1950 roku przez Koreańczyków z Północy. Ileż bym dała, żeby mój Yung żył. Nie musiałyby wcale przynosić mi kwiatów ani pamiętać o urodzinach. Romantyczni, też coś - prychnęła delikatnie. Była tak drobniotka, że nawet cygara paliła delikatnie. - Nie wystarczy, żeby po prostu żył? Mam rację, Claudio? Claudia wyszła za Tomasa w 1939 roku, a kiedy Hitler napadł we wrześniu na Polskę, Tomasz poszedł na wojnę i już nigdy go nie widziała. I do dziś żyje tak, jakby stałe na niego czekała. Ale przynajmniej została jej po nim córka, a teraz ma całą rodzinę. Szczęściara z niej. Yung nic mi nie zostawił.

Lily zauważyła, że babcia nie skomentowała słów przyjaciółki, nawet nie skinęła głową. Klawdia Róża Venkiewicz szybko zmieniła temat.

- Twoje wnuczki nie wspominają o zazdrości ani o chciwości - powiedziała, spoglądając na Lily, która siedziała, wsunawszy dłonie pod uda. Nadal czuła działanie morfiny, a przed wyjściem zażyła dwie tabletki oksykodemu. Kieliszek wina nie był dobrym pomysłem. Zaczęło się jej kręcić w głowie.

W pokoju było duszno, wszystkie panie paliły, zapach alkoholu i nikotyny mieszał się z wonią tanich perfum i francuskiego sera. Proszę, niech ktoś otworzy okno, pomyślała Lily, wreszcie sama wstała, by to zrobić.

- Co ty wyprawiasz? - zawołała Claudia. - Włączyłam klimatyzację.

- Naprawdę? - spytała Lily, opadając z powrotem na krzesło. - Masz rację, babciu. W Ameryce nie powinniśmy niczego pożądać, niczego zazdrościć. Mamy wszystkiego stanowczo za dużo.

- Święta racja- powiedziała Dana. - Ale moja córka wcale nie jest zadowolona. Wyszła za męża po raz piąty, a ma dopiero czterdzieści dziewięć lat. Nadal szuka odpowiedniego kandydata, bo mąż numer pięć nie wyniesie śmieci, dopóki mu o tym nie przypomni. Stale jej mówię, że 143w Polsce miałyśmy szczęście, jeśli udało nam się zatrzymać przy sobie jednego męża. Kogo obchodziły śmieci?

Pozostałe panie pomrukiem wyraziły swoją aprobatę.

- W tamtych czasach większości mężów daleko było do ideału - rzekła Claudia. - Pili, bili swoje żony. Ale żyli. I na tym polegała cała różnica.

- No, Claudio - mruknęła Dana. - Twój Tomasz na pewno wynosiłby śmieci.

- Nie pozwoliłabym mu. Sama bym je wynosiła, tak jak należy. Panie znów mruknęły z aprobatą.

- Dlaczego dziewczęta w czasach pokoju są takie wybredne? Lily, masz chłopaka? - spytała Soo Min.

- Miałam, ale już nie jesteśmy razem.

- Widzisz? - wykrzyknęła Dana. - Właśnie o tym mówię. Są wybredne. Co ci się w

nim nie podobało?

- Nie kochał mnie.

Przy stole zapadła chwila ciszy. Bardzo krótka chwila.

- A niby dlaczego? - prychnęła Hannah, która bardzo kochała Lily. - Śliczna z ciebie dziewczyna, nawet jeśli jesteś trochę za chuda. Nie mogliście się dogadać? Powinnaś się była bardziej starać. Pewnie pomyślałaś sobie, że gdzieś tam czeka na ciebie ktoś o wiele lepszy.

On z pewnością doszedł do takiego wniosku, pomyślała Lily. I nawet wiedział gdzie. W północnej części stanu Nowy Jork.

- Tu nawet nie chodzi o chłopaków - powiedziała Claudia. - Tylko o obfitość wszystkiego. Wiedziemy tu spokojne życie, niczego nam nie brakuje, a co robimy? Stale narzekamy...

Lily przestała słuchać babci. Z pewnością oglądała za dużo CNN.

- Wiesz, dlaczego tak jest? - spytała Claudia, spoglądając na wnuczkę z udanym wyrzutem. - Bo za długo żyjemy w pokoju. Przez pięćdziesiąt lat stale tylko braliśmy i braliśmy, i nie wiemy, kiedy przestać. Nawet nie wiemy, co mamy. Na ten kraj nikt nigdy nie napadł, nie znają tu bombardowań, cierpienia, niedostatku, głodu i masowego zabijania ludzi. Żyjemy, jakbyśmy do końca świata mieli żyć w pokoju, zapominając, za co zginęło trzysta tysięcy naszych mężczyzn, za co zginęło pięćdziesiąt milionów na całym świecie, zapominając, o co wszyscy walczyliśmy...

- O prawo do narzekania, kiedy tylko przyjdzie nam na to ochota. Mam rację, Claudio? - wpadła jej w słowo Soo Min. - Narzekanie to luksus, na który możemy sobie pozwolić. Mamy prawo się skarżyć, sprzeciwiać, wściekać, jęczeć, tyć, popełniać samobójstwo i wychodzić za mąż pięć

144

razy. Mamy prawo kochać nasze spokojne życie i beztrąsko uważać, że wszystko nam się należy. Mamy prawo żyć, jakbyśmy mieli przed sobą nieskończoną ilość czasu. Nie ma w tym nic złego. To o wiele lepsze od mojej młodości. Kiedy byłam w wieku Lily, chorowałam na malarię, pelagrę, dystrofię. Myślałam, że nie dożyję trzydziestki. Nic mnie nie obchodziły programy społeczne ani brutalność policji. Chciałam tylko zjeść duży kawałek mięsa.

- Mnie naziści wytatuowali i spalili mi skórę, kawałek po kawałku.

- Mnie ciągnący przez Bułgarię Rosjanie zgwałcili trzy razy. Już nigdy nie mogłam mieć dzieci.

- Ja straciłam moje dzieci i rodziców w Sobiborze. Tutaj opłakujemy śmierć jednego dziecka. A ja straciłam troje.

- Mój mąż, moje serce, wyruszył na wojnę i już nie wrócił.

- Mam raka - powiedziała Lily. Wszystkie panie zamilkły, tym razem na dobre. Nie mogła uwierzyć, że chodzi samodzielnie, że siada, stoi, schodzi po schodach. Nie mogła uwierzyć, że się porusza. W jakiś cudowny sposób transfuzja i płytki krwi innego człowieka posklejały jej narządy wewnętrzne i naczynia. Z trudem zdołała dotrzeć do kontenera na śmieci na rogu Court i Bergen, zanim zwymiotowała na oczach młodych par wracających do domu z kolacji w sobotni wieczór. Razem z żółcią pojawiła się krew. Wytarła usta i szła dalej do Brooklyńskiej Biblioteki Publicznej, otwartej do późnej nocy, może właśnie dla młodych dziewcząt, które chcą sprawdzić, na co chorują.



Jej dobre życie - mimo problemów z matką i chronicznego braku pieniędzy. Jej dobre dzieciństwo, szczęśliwe, przeżyte w mieście dni. Jazda na rowerze w Forest Hills Park, lata college'u, jej pasje, jeśli można je tak nazwać. Malowanie, drobne radości.

I nagle w tym dobrym, łagodnym życiu pojawia się komórka rakowa.

Dlaczego? Jedna, jedyna komórka, blast, z ziarnistościami w cytopla-zmie wkracza do życia Lily, podczas gdy ona nadal tańczy, maluje, marzy o miłości i przyszłym życiu. Dlaczego? Dlaczego ta pierwsza? Czym są te ziarnistości i skąd się wzięły?

Jednak gdy chodzi o ciało składające się z dziesięciu miliardów komórek, które się dzielą, może nie powinno się pytać, dlaczego zaczynają źle działać, lecz dlaczego tak się nie dzieje?

145W bibliotece nie ma odpowiedzi na to pytanie. Tam można znaleźć tylko informacje i statystyki.

Granulocyt dzieli się i rośnie, ale nie dojrzewa. Pozostaje niedojrzałą komórką blastyczną, dzieląc się raz po raz. Te niedojrzałe, obojętne białe krwinki nie potrafią spełniać swoich zadań - zaklejać dziur w jej organizmie. Lily się zaziębia. I nie może się wyleczyć. Ale nie zaprzęta sobie tym głowy. Lily krwawi. Coraz więcej. A tymczasem blasty dzielą się w szpiku kostnym i przechodzą do układu krwionośnego. Są głupie, wielkie i nie chcą zginąć. Rozpychają się w jej ciele, które przestało wytwarzać czerwone krwinki i ma coraz mniej krwinek białych. Komórki białaczkowe sprawiają, że jej krew zamienia się w gęsty krem, potem w melasę. Jej wnętrze przypomina nadziewany cukierek. Cała jest syropem.

Czarnym syropem.

Mimo to nadal próbuje pracować, biegać, chodzić, stać, kłaść się. I kiedy tak leży na wznak, zadaje sobie pytanie: Co się ze mną, KURWA, dzieje?

Rak nie zna żadnego języka, nie mówi po angielsku. Obojętne na wszystko blasty dzielą się jak szalone i nie giną.

Przełom blastyczny. Zaczął się od jednej komórki. Jednej zmutowanej, śmiertelnej komórki. Nagle w jej ciele są ich już miliony, a Lily staje się jednym z dziesięciu tysięcy sześciuset przypadków rocznie chorujących na OBR. Można powiedzieć, że jest niezwykła. Wyjątkowa. Bo większość nowych przypadków to ludzie powyżej sześćdziesiątki. OBP to choroba starych ludzi. A ona ma dopiero dwadzieścia cztery lata. Dziura we wszechświecie Lily otworzyła się, by ukazać ostrą białaczkę promielocytową.

49,45,39,24, 18, 1.

A teraz jej ulubione statystyki.

Statystyki zgonów.

Dobra wiadomość to ta, że na tę chorobę umiera więcej mężczyzn. A teraz ta gorsza... OBP jest przyczyną jednej trzeciej zgonów na białaczkę. Ostra białaczka promielocytową ma najniższy wskaźnik chorych, którym udało się przeżyć pięć lat. Wykresy są najgorsze. Oferują Lily siedemnaście procent szans przeżycia dłużej niż pięć lat.

Siedemnaście procent.

A to numery, które ona wybrała: 49, 45, 39, 24, 18, 1.

Skreśliła je ołówkiem na kawałku różowego papieru i zapłaciła dolara za przywilej zachorowania na raka. Lily Quinn, za które drzwi pragnie pani wejść? Za drzwi z

numerem jeden, dwa, czy za drzwi z napisem rak?

Nie, to do niczego nie prowadzi. Poszuka ukojenia w statystykach międzynarodowych.

146

No proszę. Ma szczęście, że mieszka w Stanach Zjednoczonych. Najwięcej kobiet wychodzi z białaczki w Australii i Stanach Zjednoczonych. Może powinna się przeprowadzić do Australii. Słońce, zielony ocean, największe szanse przeżycia ataku granulocytów. Dawajcie te wielkie białe rekiny-ludojady, myśli Lily.

Zaryzykuje życie w rojących się od nich australijskich wodach.

Dobrze, że nie mieszka w Islandii. Kobiety mają tam niewielkie szanse. Albo w Wielkiej Brytanii. Nie, nie dla niej zimne wyspy. Okutani w ubrania ludzie nic nie czują, powoli popadają w stan hibernacji i nie zauważają, że coś jest nie tak, dopóki nie jest za późno.

W przeciwieństwie do niej? Do niej, która na pierwszy znak pobiegła do lekarza i powiedziała: Panie doktorze, śpię na okrągło, czy sądzi pan, że to białaczka? Jak długo jej krew zamieniała się w syrop, a ona tego nie dostrzegала?

Kiedy następny raz zobaczy się z babcią, musi jej podziękować, że wybrała Amerykę po\* marszu śmierci (1945) i obozach dla uchodźców w Belgii (1949).

Statystyki w Ameryce, choć złe, są i tak lepsze niż w innych krajach.

Babcia będzie z niej dumna. To dobry sposób na opisanie wielu rzeczy w Stanach Zjednoczonych.

Dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, liście, kwiaty, które urosły, a niebawem zwiędną. Tego lata nie było żadnych pikników, żadnych spotkań rodzinnych. Amy wyjęła z kieszeni dokumenty, karty kredytowe, klucze do mieszkania i położyła je na komodzie. Wyszła z domu i zniknęła, na całe dni, tygodnie i miesiące, a Lily nigdy nie pytała. An-drew nie zadzwonił do niej, nie odezwał się od czasu jej powrotu z Maui i Lily nigdy nie pytała. Nie mogła wstać, nie mogła jeść, drętwiały jej nogi, jątrzyła się rana po oparzeniu, czuła ból i nigdy nie pytała dlaczego. A teraz śni o tym stanie nicości i pragnie, by znów powrócił. Pragnie wieść życie tak skończenie szczęśliwe, tak niezbadane, że mogła umierać, mogła zostać zdradzona, mogła być atakowana ze wszystkich stron i nawet tego nie zauważyła.

14721

### **SOBOTNI WIECZÓR SPENCERA**

Spencer siedział przed swoją sobotnią atrakcją-wspaniałą i rzadką butelką whisky Speyside Malt. Nigdy nie pracował podczas weekendów - choć czasami, jak dzisiaj, nie mógł tego uniknąć - i nie spotykał się z Mary, wymawiając się pracą lub obowiązkami rodzinnymi. Prawda jednak wyglądała tak, że nawet chory ojciec nie mógł go zwabić do siebie na długo. Kiedy zbliżały się jakieś uroczystości rodzinne, musiał się do nich zawczasu przygotować. Brał wolne dni na długo wcześniej lub zaraz potem. Jego ciało odliczało dni od poniedziałku do piątku, jakby było metronomem, wahadłem trzeźwości. Nie mógł jeść, nie potrafił być wesoły, miał zamglony umysł, drżał na całym ciele. W piątki wychodził czasami z kumplami z Wydziału Zabójstw i zaczynał pić z nimi. Pił tani alkohol w małych ilościach, by pokazać im, że jest normalny, wesoły, taki sam jak oni i dzięki temu, piekąc dwie pieczenie przy jednym ogniu, udawał, że jest towarzyski i zaczynał odbieranie swojej weekendowej nagrody. Wolał umawiać się z Mary w czwartki, ale trudno było unikać spotkań ze swoją dziewczyną w oba wolne dni. Mogła

zacząć coś podejrzewać. Trzeba było z nią zerwać albo zatrzymać przy sobie i płacić swoją cenę. Zatrzymał ją więc i czasem umawiał się z nią w piątki, kończąc randki w jej mieszkaniu na Upper West Side. Nigdy jednak nie zostawał na noc, nawet w najintym-niejszej chwili myśląc tylko o jednym - by wyjść.

Był bardzo dobrze zorganizowany, kupował alkohol dużo wcześniej i w różnych sklepach, ponieważ pił, dopóki w domu nie została ani jedna kropla whisky, więc nie był w stanie wyjść, by uzupełnić zapasy.

W najbliższej okolicy znało go zbyt wiele osób. Nie chciał, żeby widziano go w tak wielkiej potrzebie. Był przecież detektywem, porucznikiem nowojorskiej policji. Musiał być zawsze godny zaufania i nad wszystkim panować, kupował więc whisky w Chelsea lub Soho. Z tych samych powodów chodził trzeźwy od poniedziałku do piątku i pił bardzo ostrożnie w obecności przyjaciół. Nie znał sobót. Większość sobót była stracona, te dni tygodnia według wszelkich norm dla niego po prostu nie istniały. Do niedzielnego poranka z mieszkania znikał cały zapas whisky: Macallan, Chivas, Johnny Walker i Glenmorangie, a nawet najlepsza, dwudziestopięcioletnia Highland Park, a on siedział zamknięty w domu, by powoli i boleśnie wytrzeźwieć.

148

Potem znów nadchodził poniedziałek i pięć dobrych dni, pięć dni pokuty. Pięć dni życia tylko do weekendu. Spencer lubił Mary i potrzebował jej, lubił pracę i też jej potrzebował, ale niczego nie potrzebował tak bardzo jak alkoholu w piątkowy wieczór.

Dlaczego jego matka urodziła tyle dzieci? Dlaczego nie mógł być irlandzko-katolickim jedynakiem? Weekendy, podczas których musiał pozostać trzeźwy, uczestnicząc w komuniach, bierzmowaniach, chrztach i ślubach, były dla niego torturą. Najgorszą. Jego ciało, odwodnione i pulsujące, wyrażało na zewnątrz jego wewnętrzne cierpienie. Był przygnębiony, milczący i trząsał się na całym ciele. Podczas tych rodzinnych spotkań nigdy nie pił, bo wiedział, że nie potrafi pić, by nie upić się do nieprzytomności. Nie potrafił wypić jednego łyka, jednej szklanki, kieliszka, jednego koktajlu. Nigdy się nie łudził, nie okłamywał, nie udawał. Znał całą prawdę i w pełni ją akceptował, ale ważniejsze dla niego było, by inni nie wiedzieli, nawet nie podejrzewali, że to on dyktuje warunki, że to on wybiera porę, kiedy ma zacząć pić. Nie pił więc, lecz odbębniał godziny trzeźwości na blacie stołu, na serwetkach, na zębach widelców.

Po powrocie z Port Jeff odwiózł Harkmana, oddał samochód i wszedł do domu. Nie zdejmując nawet butów, przy zlewie wypił siedem dziesiątych litra Glenmorangie, prosto z butelki.

Wziął długi prysznic, by wypłukać alkohol z porów skóry, i teraz, kilka godzin później, w jednej czwartej trzeźwy siedział przed butelką macallan i stojącym przed nią kieliszkiem. Było już po północy i zaczął się zastanawiać, czy stać go na to, by wyrzucić butelkę i nie wypić z niej ani kropli. Próbował oglądać telewizję, rozłożył gazetę. Co można zrobić z uzależnieniami? Próbować żyć dalej, starać się w miarę normalnie funkcjonować w świecie, który nie ma litości dla słabości i drżenia. Gdyby Whittaker wiedział, że nie panuje nad swoim życiem, straciłby pracę w Wydziale Osób Zaginionych, zostałby uznany za niezdolnego do służby, a potem wyleciał na dobre. Gabe McGill nie miał o niczym pojęcia, a nawet gdyby tak było, niewiele by go to obeszło. Gdyby Harkman wiedział, Spencer wyleciałby

już dawno. Może właśnie dlatego mu groził?

Tej soboty, kiedy tak siedział przed butelką i toczył ze sobą wewnętrzną walkę, myślał jednak o czymś innym. Dziś w nocy myślał o Lily. Myślał o dziewczynie z sarnimi oczami i nastroszonymi włosami, o bardzo młodej kobiecie, powalanej przez coś znacznie gorszego od nałogów, które sami sobie wybieramy. W akcie słabej obrony Spencer chciał jednak powiedzieć, że on wcale swojego nałogu nie wybierał.

149 Nie zastanawiał się nad butelką w relacji do choroby Lily. Zastanawiał się nad swoją własną relacją z Lily. Wczoraj potrzebowała go - na szczęście był z inną kobietą i dlatego był trzeźwy. Ale jutro? Za tydzień? Jeśli znów będzie go potrzebowała, nie zdoła jej pomóc. Nie będzie w stanie podnieść słuchawki, odczytać wiadomości przesłanej na pager, nie da rady przyjechać do niej, udzielić pomocy. Będzie do niego dzwonić, a on nie odpowie. Zapyta go, gdzie był, a on nie odpowie.

Nie miał co do tego żadnych wątpliwości — nie potrafił temu zaprzeczyć nawet przed samym sobą, gdy siedział w ciemnym pokoju przed swoją samotnością, przed swoją duszą. Lily rozpaczliwie kogoś potrzebowała. Może tylko w tę sobotę, w tę niedzielę, pomyślał w końcu, podnosząc się z trudem z krzesła. Jakoś przetrwam następne sześć dni. Pomyśl o tym jak o wydłużonym zjeździe rodzinnym. Zanim zdążył sam siebie przekonać, podszedł do zlewu i wylał do niego całą zawartość butelki wartą dziewięćdziesiąt trzy dolary. Pochylił się jeszcze, by powąchać zapach sfermentowanego jęczmienia znikający powoli w odpływie.

## 22

### GLINIARZ W ROLI FRYZJERA

Przez czarną mgłę snu przebija się telefon. Dzwoni i dzwoni, natarczywie, domaga się swoich praw w jej życiu, odbierz mnie, podnieś słuchawkę, teraz, już, chodź, chodź, CHODŹ.

Zwlokła się z łóżka i wyrwała kabel z gniazdka. Jutro idzie do szpitala. Babcia musiała zadzwonić do wszystkich. I dobrze. Przynajmniej ona nie musi tego robić. Nie zamierza marnować czasu, rozmawiając przez telefon. Ale może powinna mimo wszystko z kimś porozmawiać? Kto zabierze ją rano do szpitala, kiedy będzie jechać na pierwszą chemioterapię?

Ciekawe, czy babcia zadzwoniła do matki. Ja nie potrafię do niej zadzwonić. Dużo mówi, narzeka, rani, atakuje, zmierza do konfliktu, w którym nie chcę uczestniczyć, i zaczynam na nią wrzeszczeć. Zamieniam się w tego paskudnego stwora, którego ona chce we mnie widzieć, i zaczynam czuć odrazę do samej siebie. Nie chcę już dłużej obwiniać matki za to, że stałam się taka, jaka jestem. Joshua i jego kompleks matki na szczęście mnie z tego wyleczył. Chcę się zmienić, ale by tego dokonać, nie mogę

150

z nią rozmawiać, nie mogę zamieniać się w osobę, którą nie chcę być. Nie zadzwonię do niej.

Odważne słowa jak na tak młodą dziewczynę. Jednak gdzieś na dnie chorego serca Lily kryła się matka, jaką chciała mieć; matka, która słysząc, że jej córka jest poważnie chora, rzuci wszystko i przeleci ponad dziesięć tysięcy kilometrów, by w poniedziałkowy poranek zabrać ją do szpitala na początek chemioterapii.

Początek nowego życia. Matka, która przyjdzie, posprząta, ugotuje rosół z kury, wypierze ręczniki; matka, która będzie umiała porozmawiać z lekarzami, przeczyta wyniki wszystkich badań, przygotuje dla Lily kąpiel, choć Lily nienawidzi kąpieli, i będzie czekać cierpliwie do dnia, aż jej córka będzie na tyle silna, by wziąć prysznic.

Z powodu tej wymarzonej, dziecinnej wizji matki, za którą tak rozpaczliwie tęskniła, Lily zadzwoniła na Maui. Słuchawkę podniósł ojciec.

- Cześć, tati.

- Witaj, Liliput - powiedział, a Lily o mało nie wybuchnęła płaczem.

- Jak leci?

- Sama wiesz - odparł i w tej chwili drugą słuchawkę podniosła matka.

- Lily? - zapytała niewyraźnym głosem. - Odłóż telefon! - wrzasnęła, a Lily nie była pewna, do kogo mówi, dopóki nie dodała: - Chcę porozmawiać z moją córką.

- Tati, nie odkładaj słuchawki, muszę ci coś powiedzieć.

- Zwariuję przez niego - powiedziała Allison. - Zabiję się. Wskoczę przez okno.

Słyszysz mnie? SŁYSZYSZ?

- Słyszę, słyszę - rzucił przez zaciśnięte zęby George. - Cały świat cię słyszy.

Matka upuściła słuchawkę i zaczęła krzyczeć na ojca. George odpowiedział jej krzykiem. Lily czekała grzecznie przez długą chwilę, po czym odłożyła słuchawkę.

Telefon dzwonił bez przerwy. Wieści o wygranej na loterii zatoneły w powodzi wieści o raku i Andrew. Amanda, Annę, babcia, Rachel, Paul, Dennis, Joshua!

Rick z knajpki, Judi, Jan McFadden. Amanda i Annę nie wiedziały co robić - płakać nad Lily czy nad Andrew, gdy opowiedziały jej, jak ich brat był przesłuchiwany w sobotę we własnym domu przez dwóch natrętnych i nieuprzejmych detektywów z nowojorskiej policji.

- Temu o'Malleyowi przydałby się kurs wrażliwości - powiedziała pouczającym tonem Amanda. - Wsadziłby do więzienia swoją własną babkę.

151 Rozległ się dzwonek do drzwi. Była pierwsza po południu. Musiała przerwać rozmowę z Amandą, powiedzieć Rachel, że oddzwoni do niej później - po raz kolejny - i podeszła do domofonu.

- Kto tam?

- Spencer.

- Amando, muszę kończyć. - Chciała dodać, że właśnie przyszedł detektyw, który wsadza do więzienia staruszkę.

Wpuściła go, przesunęła dłonią po włosach i zmieniła szorty na długie spodnie, by ukryć siniaki na nogach.

Spencer, sam błądy i z zaczerwienionymi oczami, przyniósł ze sobą elektryczną maszynkę do strzyżenia.

- Jak się dziś czujesz?

- Jakbym miała raka - pokazała palcem maszynkę. - Po co to przyniosłeś?

- Zamierzam się ostrzyć.

- Przyszedłeś do mojego mieszkania, żeby ostrzyć sobie włosy?

- Tak. Pomyślałem, że najpierw ostrzyję się sam... - uśmiechnął się blade - a potem ciebie.

- O czym ty mówisz? - powiedziała, cofając się gwałtownie. Dotknęła włosów.

Chyba oszalał. - Nie zamierzam obcinać włosów. - Zadzwonił telefon. Spojrzeli na

siebie. - Nie odbieram. Rozmawiałam cały ranek. Wysłuchiwałam opowieści o twojej wizycie u mojego brata.

Zrobił krok w jej stronę.

- Przepraszam. To bardzo przykre. Nie czytaj gazet.

- Nie zamierzam. To wszystko kłamstwa. Proszę, odłóż tę maszynkę. Przerażasz mnie.

Zbliżył się jeszcze o krok.

- Lii, i tak stracisz włosy.

- Ale nie dzięki tobie.

- Będą wychodzić garściami. Będziesz miała łyse plamy na całej głowie. Ja zrobię to równo i elegancko. A żeby ci pokazać, że potrafię, zacznę od siebie.

- Nie pozwolę obciąć włosów - powiedziała już mniej zapalczywie. Garściami?

- Dobra. Aleja i tak się ostrzygę.

Patrzyła na niego, jak stał w kuchni przed ręcznym lusterkiem opartym o suszarkę do naczyń. Zdjął dżinsową kurtkę i koszulkę polo. Nagle dotarło do niej, że jest nagi do pasa. Włosy na piersi były nadal brązowe,

152

lekką tylko posiwiwały po bokach. Bardzo szczupły, nie widać było na nim ani grama tłuszczu, zupełnie jakby kiedyś grał w piłkę nożną. Choć był dobrze zbudowany, wyglądał tak, jakby źle się odżywił. Widząc w swoim mieszkaniu półnagiego mężczyznę, poczuła się nieswojo. Nie było to jednak przykre uczucie. Tylko pełne napięcia. Oszalał zupełnie. Naprawdę zaczął się strzyć.

Włosy zniknęły. Odwrócił się w jej stronę.

- I co o tym myślisz? Dobrze?

Wyglądał jak rekrut. Zostawił na głowie kilka milimetrów brązowego puszku.

- Przerażająco. I łyso.

Ale jego oczy były ogromne i błękitne, pełne usta wyglądały jak wyrzeźbione z marmuru, z niemal karykaturalnie podkreślonymi zmarszczkami. Miał wyraźnie zarysowaną linię szczęki, kości policzkowe, brwi i uszy. Brak włosów zdawał się wszystko dodatkowo podkreślać.

- Tak. Teraz ty.

- Nie.

- Lily.

- Nie obchodzi mnie, jak mnie nazywasz ani jakim tonem przemawiasz. Nie.

Przechylił głowę i spojrzał na nią z udaną powagą.

- Przestań.

Wyszła z kuchni. Ruszył za nią.

Po piętnastu minutach wymykania się mu w maleńkim mieszkanku w końcu się poddała.

- Ale nie będę się rozbierać.

- Bardzo rozsądnie. Usiadła przed nim na krześle.

- Nie chcę, żebyś to robił.

- Wiem. Ale spójrz na mnie. Myślisz, że ja chciałem to zrobić? A nawet nie jestem chory.

- Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłeś. Chyba jednak zachorowałeś na głowę.

Poza tym jesteś mężczyzną. Co cię obchodzą włosy?

- Dobre sobie. Chyba nigdy nie poznałaś żadnego mężczyzny. Siedziała

niewygodnie, podczas gdy maszynka szumiała gdzieś w okolicy jej ucha, a pasma brązowych włosów opadały na ziemię.

- Spencer, czy lekarz powiedział, że wypadną mi włosy?

- Tak.

153 Nie przerywał strzyżenia, przytrzymując jej głowę ręką. Lily zamknęła oczy. Dotykał jej ktoś inny, nie ona sama.

- Spencer.

- Tak?

- Wszystkie włosy?

Nie otwierała oczu, bo nie chciała się uśmiechnąć ani zaczerwienić. Naprawdę nie powinna tak sobie żartować z oficerem policji.

Pochylił się, by spojrzeć jej prosto w twarz. Otworzyła oczy, zobaczyła wyraz jego twarzy i roześmiała się. W jego oczach czaił się uśmiech.

- Czy chcesz, żebym ci zgolił wszystkie włosy, Lili-Anne?

- Nie, dziękuję - zarumieniła się.

- Tak też myślałem.

Kiedy skończył, przesunął dłonią po jej ostrzyżonej na jeża głowie i ręcznikiem otrzepał kosmyki włosów z ramion. Bez włosów wyglądała znacznie gorzej od niego. Przerazająco. Oczy koloru kory, wysokie czoło, usta, w których kącikach czaiły się resztki snu, i mocno zarysowane kości twarzy nie dodawały jej uroku.

- Wyglądasz o wiele lepiej ode mnie - powiedziała bardzo nieprzyjemnym tonem.

- I gdzie tu sprawiedliwość?

- Moim zdaniem, wyglądasz bardzo modnie. Zupełnie jak Sinead O'Connor.

- Świetnie. No cóż, przynajmniej moja babcia będzie dumna. Wyglądam tak jak ci nieszczęśnicy w obozach, o których stale mi opowiada. Brakuje mi tylko pasiaka.

Zaproponował, że zabierze ją na drugie śniadanie do Plaży. Powiedziała mu kiedyś, że zawsze chciała tam pójść. Ale z przypominającą jeźozwiera głową nie była jednak w nastroju, by pokazywać się w Palm Court. Nie miała nawet peruki ani ładnego kapelusza. Mogła jedynie włożyć jedną z czapek narciarskich Amy.

- Dzięki, ale może przełożymy to na inny dzień? Poza tym nie jestem wcale głodna.

- Jeśli chcesz, kupimy kapelusz u Bergdorffa - powiedział, jakby czytał w jej myślach.

- Jeszcze nie dostałam pieniędzy.

- Ja go kupię.

- Nie, naprawdę. Innym razem, dobrze? Dzisiaj po prostu nie mogę. Rozumiesz, prawda?

Rozumiał. Stał w milczeniu, czyszcząc maszynkę.

154

- No - powiedział po chwili. - Zamykamy salon. Chcesz... żebym sobie poszedł?

Nie chciała. Jej wargi lekko drgnęły i nie patrząc na niego, powiedziała:

- Nie.

Kiedy zapytał, na co miałyby ochotę, odparła, że na krótki spacer w Central Parku. Poszli, ale bardzo się zmęczyła. Nie mogła dojść nawet do wejścia do zoo, choć wysiedli z taksówki przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Był gorący sierpniowy dzień. Usiedli w cieniu na kamiennym murku. Spencer kupił jej wodę i lodowy rożek, a sam zjadł dwa hot dogi i włoskie lody.

Lily była bardzo słaba i czuła, że musi wrócić do domu i się położyć. Czuła, ale nie chciała. Kiedy trochę odpoczęła, ruszyli wolnym krokiem w stronę lodowiska Wollman. W sierpniu nie było lodu, ale wspięli się po schodkach i usiedli na niebieskiej ławeczce.

Siedzieli w milczeniu. Lily czuła ciężar wielu problemów, które ją przygniatały, tyle że nie miała ochoty o żadnym z nich rozmawiać.

- Wiesz, kim jest OHver Barrett? - spytała.

- Nie.

- A Jenny Cavilleri? Pokręcił głową.

- Nie oglądałaś *Love Story*, kiedy byłaś dzieckiem?

- Trzynastoletni chłopcy nie oglądają *Love Story*. Raczej *Noc żywych trupów*.

- W 1970 roku miałaś trzynaście lat! - wykrzyknęła, patrząc na niego badawczo.

Czy Spencer był starszy od jej brata?

- Zgadza się. Nawet w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku można było spotkać trzynastoletnich chłopców.

- A były już wtedy filmy?

- Dopiero co wynaleziono pieniądze.

- Tak też myślałam.

Siedzieli obok siebie, a ich łyse głowy kołysały się łagodnie niczym boje na wodzie.

- Kiedy wstąpiłaś do policji?

- W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku.

- Jesteś więc gliną niemal przez całe moje życie? Jak to możliwe?

- Chyba tak. A od kiedy Amy zostawiała swoje dokumenty na komodzie?

155- Proszę cię. Nie mam pojęcia - westchnęła. - Wiem, że chcesz mi powiedzieć, o czym rozmawiałaś wczoraj z moim bratem...

- Wcale nie chcę.

- To dobrze. Boja nie chcę tego słuchać. Nie mogę, rozumiesz? - jęknęła cicho.

Przycisnęła lekko ramię do jej ramienia.

- Rozumiem.

- Czy powiedział... że wie, gdzie ona jest?

- Powiedział, że nie wie.

- Wierzysz mu? - Nie spojrzała na niego. Patrzył prosto przed siebie.

- Ach, te dziewczyny. Myślałem, że nie chcesz o tym rozmawiać.

- Bo nie chcę. Chodźmy.

Wysiedli z taksówki na rogu Jedenastej Ulicy i Broadwayu.

- Ja tu nie mieszkam.

- Aleja tak.

Stali na Broadwayu w skwarze późnego popołudnia. Delikatnym ruchem położył jej dłoń na policzku.

- Nie musisz się niczego obawiać - powiedział. - Wejdz na górę. Możesz pooglądać telewizję. Dlaczego nie masz w mieszkaniu telewizora?

- Joshua zabrał.

- Niezły z niego numer, co? No, kiedy wyjdiesz ze szpitala i dostaniesz pieniądze, będziesz mogła kupić plazmowy telewizor do każdego pokoju, a nawet do łazienki.

- To się dopiero Joshua zdziwi.

Mieszkanie Spencera było bardzo czyste. Na podłodze leżały gazety, a na stole poczta. Kuchnia, podobnie jak u niej, nie wyglądała na zbyt często odwiedzaną.



Podobały się jej wysokie sufity i widok na Broadway. Po drugiej stronie ulicy widziała delikatesy Dagostino's, przed którymi w zeszłym miesiącu wpadła na Spencera i Mary. Na myśl o Mary skrzywiła się lekko i odeszła od okna. Usiadła na szarobeżowym narożniku i zaczęła przerzucać „Sports Illustrated”, podczas gdy Spencer zajął się czymś w kuchni. Najprawdopodobniej robił jej herbatę. Szelest przewracanych stron, jednostajny szum samochodów za oknem, trzaskanie drzwiczek, rozlegający się od czasu do czasu klakson, gwizd czajnika, szczęk sztućców sprawiły, że Lily szybko zasnęła z magazynem na kolanach, a jej lysa głowa opadła do tyłu.

Kiedy się obudziła, spostrzegła, że jest przykryta niebieskim kocem

156

w kotki, a Spencer siedzi w rogu kanapy i ogląda telewizję. Próbowwała się skoncentrować, ale bezskutecznie. Film i muzyka wydawały się jej znajome i te twarze... kto to był? Zobaczyła na ekranie śnieg, bitwę na śnieżki, szczęście i usłyszała delikatną muzykę. Skuliła się pod kocem i znów zasnęła. Kiedy obudziła się po raz drugi, było ciemno. Spencer nadal siedział w rogu kanapy, tym razem oglądał mecz baseballowy.

- Przepraszam - powiedziała, próbując się podnieść. Wstał, żeby jej pomóc.
- Nie przepraszaj. Ale lepiej odwiezę cię do domu. Jest już późno, a jutro musisz wstać. O której masz się zameldować w szpitalu?
- O szóstej rano na badanie krwi.
- Daj spokój, pielęgniarki nie wstają tak wcześnie. Nabierając tylko. Czy chcesz... żeby cię tam zawiózł?
- Nie, nie. Moje siostry już ciągną losy, która ma się tym zająć. Nie przejmuj się. Nie chciałam, żeby tak wyszło. Marna ze mnie towarzyszka.
- Co oglądałeś? - spytała, gdy znaleźli się w holu. - Kiedy spałam?
- Poszedłem do Blockbuster i wypożyczyłem *Love Story* - odparł, otwierając jej drzwi. - Żeby zobaczyć, o co ten cały krzyk.
- Żaden krzyk - mruknęła, bardzo w duchu zadowolona. - I jak?
- Bardziej podobała mi się *Noc żywych trupów* - uśmiechnął się. Kiedy stanęli przed jej domem, poklepał ją po ramieniu.
- Tak się boję, Spencer - szepnęła. - Tego, co mnie czeka. A jeśli nie dam rady?
- Dasz - odparł. - Wszystko ułoży się doskonale, a ty na pewno wyzdrowiejesz. Wspięła się na palce i pocałowała go w pokryty cieniem zarostu policzek.

**23**

### **CHEMIOTERAPIA 101**

W poniedziałek o wpół do szóstej rano zadzwonił domofon.

- To twoja babcia - rozległ się głos w słuchawce.
- Kto?
- Wpuść mnie.

157- Babcia? - Lily nacisnęła przycisk.

Dziesięć minut później babcia stanęła w drzwiach. Trzymając się ściany, dyszała ciężko.

- Babcia?
- O mój Boże, te schody! Wielkie nieba, co ty ze sobą zrobiłaś? Co zrobiłaś z włosami?
- Obcięłam je. I tak by wypadły. Babciu! - Lily położyła dłoń na sercu.

- Co? Jesteś gotowa?
- Babciu!
- No co?

Babcia patrzyła na nią, jakby nie miała pojęcia, co jest powodem tego zamieszania.

- Wyszłaś z domu!

Z trudem powstrzymywała łzy. Babcia wyszła z domu po raz pierwszy od sześciu lat.

- Wcale nie wyszłam ot, tak sobie - powiedziała siwowłosa staruszka, rozkładając ramiona. - Wyszłam dla ciebie. A teraz się zbieraj. Lecz na miłość boską, nie czytaj przypadkiem gazet. Wypisują dziś okropne i przygnębiające rzeczy.

- Przypomnij sobie, co powiedział Truman Capote. „Nie obchodzi mnie, co o mnie wygadują, dopóki to nie jest prawdą”.

- Módlmy się, żeby twój brat miał podobne zdanie. No, idziemy.

W szpitalu Mount Sinai o szóstej rano Marcie i doktor DiAngelo już na nią czekali. Tym razem lekarz miał na sobie biały fartuch, a nie dres. Lily była pewna, że chciał wyrzeć odpowiednie wrażenie na babci. Nie wyglądał wcale na młodzieniaszka. Ale babcia nie była pod wrażeniem.

- Jest za młody na lekarza - powiedziała scenicznym szeptem.

- Bardzo pani dziękuję - odparł DiAngelo. - Ale w tym roku skończę pięćdziesiąt cztery lata.

- No, mówiłam przecież - szepnęła nieco ciszej Claudia. - To jeszcze dziecko.

Kiedy DiAngelo wyjaśnił Lily, na czym będzie polegać leczenie, wstała z łóżka.

- Chcecie mi zrobić dziurę w piersi? Nie wiem jak wy, ale ja wracam do domu. Bardzo dziękuję za troskę.

- Musimy założyć ci mały cewnik, żeby podawać lekarstwa, pobierać

158

i podawać krew bez konieczności nakłuwania żył na rękach. Nie ma się czego bać. To jest tak zwany cewnik centralny wszczepiany na piersi tuż pod skórą na klatce piersiowej. Połączony jest bezpośrednio z główną żyłą, która biegnie prosto do serca.

Codziennie rano będzie przyjmowała doustnie witaminę A, a po południu do jej żyły popłyną całe worki płynnych lekarstw. I tak przez siedem dni. Potem będzie miała trzy dni na odpoczynek. Następnie zostanie wykonana biopsja i wszystko zacznie się na nowo. I jeszcze raz. Trzy cykle w ciągu trzydziestu dni.

- To bardzo agresywna terapia - powiedział DiAngelo - ale nie mamy wyboru. -

Zakaszlał lekko. - Dla twojej wiadomości: te dawki witaminy A, czy też ATRY, bo tak się nazywa w postaci kapsulek, wiążą się z występowaniem potencjalnie śmiertelnego zespołu leukostazy.

- Co to takiego?

- Białe komórki krwi tworzą w płucach agregaty i utrudniają oddychanie.

- Och.

- ATRA jest bardzo toksyczna.

- A chemia bez ATRY?

- Leczenie przebiegało różnie i zanotowano dużą śmiertelność. Więc nie polecam. ATRA działa bardzo dobrze w połączeniu z innymi lekami.

- Jak nazywają się te inne leki, młody człowieku? - spytała natychmiast Claudia,

zupełnie jakby miała zamiar sprawdzić ich działanie po powrocie do domu. Przez twarz DiAngela przebiegł delikatny uśmiech.

- Cytarabina, która zabija istniejące komórki białaczkowe, cerubidin, który powstrzymuje powstawanie nowych, i vepesid, który działa na obu tych frontach. Cytarabinę będziemy podawać bez przerwy przez siedem dni.

- To ogromne obciążenie dla organizmu. Czy nie ma zbyt wielkich skutków ubocznych? - spytała Claudia.

- Owszem, ale nie tak wielkie jak śmierć - odparł DiAngelo. Claudia wciągnęła gwałtownie powietrze. Lily, która w brzydkiej koszuli leżała na łóżku, poklepała japo bladej dłoni.

- Usiądź, babciu. On tylko żartuje.

- To wcale nie jest zabawne, młody człowieku. W mojej rodzinie nie uznajemy tego typu poczucia humoru. Przeżyliśmy wojnę, obozy śmierci, przeszliśmy zbyt wiele, żeby...

159- Babciu, babciu - uspokajała ją Lily. - On tylko żartuje. Żeby rozładować napięcie. Wszystko jest w porządku. On wie, co robi.

- Lepiej, żeby tak było. - Claudia odwróciła się do DiAngela. - Jak długo Lily będzie w szpitalu? We czwartek przyjdę po nią i zabiorę do domu.

DiAngelo i Marcie wymienili spojrzenia.

- Lily, nie powiedziałaś babci wszystkiego, prawda?

- Jeszcze nie. - Lily zwróciła się do babki. - Zostanę tutaj przez miesiąc.

- Miesiąc!

- Nie mogę jej wypuścić, dopóki nie będzie mogła stać o własnych siłach - powiedział Di Angelo.

- Dlaczego nie może wrócić do domu, żeby tam wypocząć? Jedna z moich przyjaciółek miała białaczkę i w przerwach między leczeniem wracała do domu. Wszyscy wracają do domu, żeby odzyskać siły, zjeść jak człowiek.

- Jak się miewa pani przyjaciółka?

- Umarła.

DiAngelo spojrzał na Lily i babcię z uprzejmym uśmiechem.

- Dajcie jej coś łagodniejszego - powiedziała Claudia.

- Lily, wybór należy do ciebie: łagodna kuracja albo życie.

- Życie.

- Tak też myślałem. Claudia opadła na krzesło.

- A po miesiącu?

- Przejdźmy najpierw przez te trzydzieści dni, a potem porozmawiamy o tym, co dalej. Jeśli będziemy mieli szczęście i zostanie nam dane to „dalej”, Lily przez trzynaście tygodni będzie poddawana chemioterapii jako pacjentka dochodząca do szpitala. Aleja nie zamierzam chwalić dnia przed zachodem słońca. Jesteś gotowa na cewnik, Lily?

- Żadną miarą.

- Moja dziewczynka.

- Liliannę - powiedziała Claudia - czy myślałaś o tym, by zasięgnąć innej porady?

- Liliannę - powiedział DiAngelo - widzę, że nie powiedziałaś babci, jak bardzo jesteś chora. Nie byłaś z nią szczerą.

- Byłam - odparła. - Chodzi o to, że nikt nie może w to uwierzyć. A najbardziej ja.

- Proszę nie traktować wnuczki tak, jakby cierpiała na zwykłe przeziębienie. Proszę ją traktować jak osobę chorą na raka.

Claudia przycisnęła dłonie do piersi i zaczęła ciężko dyszeć. Lily ścisnęła ją za rękę.

- Wszystko będzie dobrze, babciu - powiedziała. - Uspokój się. Na pewno jakoś przez to przejdiesz.

Już sama myśl o wszczępieniu cewnika na piersi bolała, nic więc dziwnego, że zabieg też okazał się bolesny. Zrobili jej dziurę w piersi i wsunęli w nią rurkę! Wcześniej podali znieczulenie, lecz kiedy lekarz zapytał, czy ją boli, odparła, że tak, choć inne części ciała bolały ją o wiele bardziej. Poprosili, by określiła ból w skali od jeden do dziesięciu. Dziewięć, odparła, ale gdy zobaczyła, jak unoszą brwi, zmieniła na cztery. Jednak na widok rurki tkwiącej w dziurze w piersiach zaczęła płakać. Babcia też wybuchnęła płaczem, co sprawiło, że Lily poczuła się jeszcze gorzej.

Marcie próbowała ją uspokoić, tuląc jej ogoloną głowę do swych wielkich czarnych piersi. Lily od razu poczuła się lepiej. Dlaczego babcia nie ma piersi, do których mogłaby się przytulić?

Nie dawała jej spokoju jedna myśl - czy zdoła znieść nieustanne nudności, czy potrafi zwymiotować i jakoś to przeżyć? Nienawidziła nudności od zawsze i nigdy w życiu sama nie sprowokowała wymiotów. Na tym polu była zupełnie do niczego. Czy mogła im o tym powiedzieć? Będą się tylko z niej śmiali. „Ho, ho, Lily, czym są niewielkie wymioty w porównaniu z twoim życiem?”. Ale ona bardzo chciała wiedzieć, ile dokładnie tych wymiotów pociągnie za sobą jej nowe życie?

Zażycie ATRY poszło szybko, zupełnie jakby przełykała tabletkę przeciwbólową, a worki z chemią, które po południu umieszczono na stojakach przy jej łóżku, wyglądały tak niewinnie, że nie mogła uwierzyć, iż są w stanie wywołać krwotok wewnętrzny. Z wielkim optymizmem pomyślała, że znajdzie się z pewnością w gronie chorych, którzy nie mają aż takich mdłości, że nie będzie wymiotować i nie ogłuchnie.

Po południu w szpitalu zjawiły się Amanda i Annę. Obie z przerażeniem spojrzały na jej głowę.

- Kto ci to zrobił? Zapłaciłaś jakiemuś rzeźnikowi za coś takiego? Dlaczego? Nie miała ochoty wyjaśniać, kto był autorem jej nowej fryzury. Nie sądziła, by to zrozumiały. Miała tylko nadzieję, że jeśli Spencer przyjdzie ją odwiedzić, nie natknie się na żadną z nich.

161Amanda trzymała ją za jedną rękę, Annę za drugą. Annę w eleganckim kostiumie, Amanda w spodniach na gumce i obszernym podkoszulku. Godzina ciągnęła się w nieskończoność: Lily leżała i patrzyła, jak cytarabina sączy się do cewnika. Roztwór był przezroczysty; równie dobrze mogła to być woda lub placebo. Co za dziwny pomysł - zrobić jej dziurę w piersiach, by móc w nią wlewać płyny. Teraz przez rurkę sączyła się chemia, ale czy kiedyś mogłaby się sączyć czekolada? Albo syrop truskawkowy? A może nawet rozpuszczone lody waniliowe? Jak się czujesz? - pytała raz po raz Marcie, babcia, Annę, Amanda. Pytali też Paul i Rachel.

Paul i Rachel byli tutaj?

- Mój Boże, Lii, kto ci tak paskudnie obciął włosy? - spytał Paul. - Jestem twoim osobistym stylistą, więc przykro mi na to patrzeć.

DiAngelo powoli wyprosił wszystkich. Została tylko babcia. Lily była senna. A może wsączyliby jej do cewnika cosmopolitan? Albo wódkę, cointreau, sok żurawinowy, limetkowy...

Kiedy opróżnił się pierwszy worek, Marcie zawiesiła vepesid.

- Podoba mi się, jak pachniesz - mruknęła Lily. - Czekoladkami Milky Way i nikotyną.

- Kiedy już przez to przejdiesz, przyniosę ci cały worek Milky Way - odparła Marcie.

- Możesz mi go od razu podłączyć do cewnika.

Druga godzina była jeszcze dłuższa, bo zaczęło się jej robić... czy powinna to powiedzieć... niedobrze. Miało to czysto psychosomatyczne podłoże. Powiedzieli jej, że tak właśnie będzie się czuć, więc nie miała wyjścia. Pokój, pozbawiony wszelkich ozdób, zupełnie jak cela w klasztorze, zaczął zmieniać kolor, najpierw z bardziej ponurego (czy to w ogóle było możliwe) na oliwkowozielony, a potem na pomarańczowy. Obraz na ekranie telewizora zrobił się podwójny. Poprosiła, by go wyłączyli. Teraz zaczęła widzieć podwójnie sam telewizor. Była na środkach halucynogennych! Podawali jej mescalinę, magiczne grzyby, nasiona powoju! Marcie nie była już czarna, lecz zielona, na nosie miała zabawne okulary i mnóstwo piegów.

- Lii, wszystko w porządku? - spytała. - Jesteś trochę błada.

Lily poprosiła, by odłączono ją od kroplówki, czego nie chcieli zrobić, więc pociągnęła za sobą stojak do łazienki i zwymiotowała. Musiała przytrzymać się muszli, by uzyskać potwierdzenie widoku, który roztaczał się przed jej oczami - toaleta też była podwójna. Czy zwymiotowała dwa razy?

162

Jej dwie babcie milczały, ale może zgodnie kiwnęły głową.

Trzecia godzina, worek cerubidinu. Nudności zdecydowanie nie psychosomatyczne. Bardzo sobą rozczarowana, spytała Marcie, czy kiedyś się do tego przyzwyczai, czy wraz z postępowaniem chemioterapii będzie mniej wymiotować.

Marcie milczała przez chwilę.

- Będzie jeszcze gorzej - powiedziała w końcu. - Zobaczysz, co będzie, jak wszystko się nałoży. To jest nic.

Nic? To okropne uczucie, gdy świat dookoła wiruje, to jest nic? Po trzech workach zrobiła się szósta wieczorem. Lily mruknęła do babci, żeby poszła po coś do jedzenia.

- A może, jeśli nie będę nic jadła, będę mniej wymiotować? - spytała szeptem Marcie.

- Więcej - odparła pielęgniarka. - Jedzenie wchłania część kwasu. Masz na coś ochotę?

Zdecydowane nie. >■

- Opowiedz mi coś, babciu - szepnęła.

- Chcesz usłyszeć jakąś historię, Liliput? - spytała Claudia. - No to ci opowiem.

Lily słuchała tylko jednym uchem opowieści o wiosce na południe od Gdańska. Kiedy w grudniu 1939 roku zjawili się tam Niemcy, zabrali dla siebie wszystkie zapasy jedzenia, pozostawiając jedynie niewielką część dla mieszkańców wioski.

- Podczas porannego apelu niektórzy Polacy wypychali do przodu Żydów, by zabrali ich Niemcy, bo wtedy pozostałoby więcej jedzenia dla nich. Nagle po

całych stuleciach wspólnego życia jako Polacy, mieszkańcy wioski zaczęli się dzielić na Polaków i Żydów. I to nie na polskich Żydów, lecz na Żydów. Kiedy zjawili się Niemcy i uznali tę część Polski za swoją, zaczęły się problemy. Głód to potężna broń w rękach wroga. Zjedz więc coś, Lily.

Na stojaku pojawił się nowy worek cytarabiny - tym razem na całe sześć dni.

- Opowiedz mi o sobie i o Tomasie - szepnęła Lily.

- O Tomasie nie. Chcesz, żebym opowiedziała ci o matce? Myślę, że chętnie tego posłuchasz. Mam w zanadrzu kilka bardzo interesujących historii.

- Nie. Ale chciałabym, żeby tu była... Lily nie pamiętała reszty poniedziałku.

16324

## **POZNAJCIE RODZICÓW**

*Kochana Mamo i Tati,*

*Nie bardzo mogłam się do was dodzwonić, a jest coś, co chcę Wam powiedzieć.*

*Dwa dni temu wykryto u mnie raka. Choruję na coś, co nazywa się ostra białaczka promielocytowa. W poniedziałek zaczynam chemioterapię. Teraz trudno cokolwiek powiedzieć, bo wszystko zależy od tego, jak mój organizm zareaguje na leki. Doktor mówi, że jestem bardzo chora.*

*Bardzo potrzebuję teraz Waszej pomocy.*

*Uściski,*

*Lily.*

George Quinn siedział na tarasie, trzymając w ręce list od córki. Siedział tak przez godzinę; zapalił papierosa, a potem się rozplakał. Była jedenasta rano i bardzo chciał opowiedzieć żonie o tym, co spotkało ich najmłodsze dziecko, lecz żona miotała się w kuchni, zrzucając filiżanki na podłogę. Zdenerwował ją brak lub nadmiar czegoś w domu.

Chciał zadzwonić do Lily, ale instynkt mu podpowiadał, że teraz nie on jest jej potrzebny. Poza tym, nie mógł jej dać tego, czego potrzebowała - siły i wsparcia. Nie znając żadnych faktów, nie wiedząc nic o białaczce promielocytowej ani o tym, jak poważny jest stan Lily, rozumiał jednak, że choroba nie przypomina w niczym zmagania z zapaleniem płuc bądź oskrzeli. Siedząc tak na zalanej słońcem werandzie, George Quinn, w wieku sześćdziesięciu pięciu lat, dowiedział się czegoś o sobie. Teraz, po przejściu na emeryturę, pragnął od życia już tylko i wyłącznie spokoju. Był reporterem, potem wydawcą, i całe jego życie związane było ze stresem - napięciem, niepokojem, koniecznością dotrzymywania terminów, codziennie przez blisko pół wieku. Teraz chciał chodzić tylko na długie spacery, popijać kawę i czytać gazetę, robić w spokoju zakupy, przygotowywać kolację, a wieczorem oglądać transmisje sportowe. Chciał palić papierosy, a późnym wieczorem wypić lampkę koniaku. To przecież niewiele, a tego mu odmawiano - najpierw robiła to ta oszalała kobieta w kuchni, a teraz jego najmłodsze dziecko. Poczul, jak na twarz wypływa mu rumieniec wstydu. Chyba nie obwinia Lily, że niszczy mu spokój! Miał wielką ochotę, by włożyć ciemne okulary, odgrodzić się od jej listu, a potem od siebie same-

164

go. Pragnął mieć w tej chwili przy sobie swoją żonę, którą poślubił przed czterdziestoma dwoma laty. Ale ona nie wyszła z domu.

Nadszedł wieczór. I wtedy jej powiedział. Na tarasie, gdzie omawiali wszystkie ważne i błahе sprawy, gdzie podejmowali mniej i bardziej ważne decyzje. Milczał,

kiedy opadła ciężko na kanapę. Na ramionach i szyi miała nowe siniaki i kilka świeżych zadrapań na szczęce. Drżącą ręką podniosła szklanę z wodą. Zjadła trochę ugotowanego przez męża makaronu z tuńczykiem.

Pozwolił jej jeść w spokoju. Napełnił ponownie szklanę wodą, lecz poza tym siedział nieruchomo, paląc papierosa, ze wzrokiem utkwionym w czerń nocy. Słuchał szumu oceanu. Nie zadzwonił jeszcze do Lily. Chciał zapytać Allison, czy pamięta ten wrześnieowy dzień, blisko dwadzieścia pięć lat temu, kiedy pojechała do Booth Memorial Hospital, by urodzić ich najmłodsze dziecko. Allie zjadła na śniadanie stanowczo za dużo naleśników i odeszły jej wody - zupełnie jakby te dwie rzeczy były ze sobą połączone. Spędziła w szpitalu sześć godzin, a potem na świat przyszła Lily. Ważyła jedynie trzy kilogramy i pielęgniarka spytała Allie, jakim cudem udało się jej przytyć trzydzieści kilo, skoro dziecko waży tylko trzy? Pozostała trójka dzieci przyszła zobaczyć siostrzyczkę. Andrew był wtedy w ostatniej klasie szkoły średniej, lecz ze sposobu, w jaki trzymał Lily, można by pomyśleć, że jest jego dzieckiem. George nie mógł jednak otworzyć ust, by wypowiedzieć te słowa do matki swoich dzieci. Bał się, że głos odmówi mu posłuszeństwa.

Kiedy Allison skończyła jeść, powiedział:

- Lily przysłała nam list. Proszę, przeczytaj. - Przesunął kartkę w jej stronę.

Nie wzięła jej do ręki. Zapaliła papierosa i powiedziała:

- Nie mam okularów. Czego chce? Więcej pieniędzy?

- Ma raka.

Allison nie przestała palić.

- Co powiedziałaś?

- Ma raka.

- O czym ty mówisz? - spytała podniesionym głosem. - Jakiego raka?

- Przeczytaj list, Allie. Ona jest chora. Potrzebuje naszej pomocy.

- O Boże! Jakże mam dość tego twojego gadania! Kłap, kłap, kłap. O czym ty mówisz? Jakiego raka?

Wstał gwałtownie i wszedł do domu.

165Allison dopaliła papierosa, wzięła list, ruszyła za mężem i powoli poszła w stronę swojej sypialni, gdzie zostawiła okulary. George siedział przed wyłączonym telewizorem i czekał. Wróciła pięć minut później. Stała obok niego przy kanapie.

- Nie rozumiem, co to takiego ta białaczka.

- Allie, czego ty ode mnie chcesz? Zadzwon do córki. Dowiedz się, co się dzieje.

- A co to jest to „ostra promielocytowa”? Nigdy o tym nie słyszałam.

- Ja też nie. Nie jesteśmy lekarzami. Myślisz, że to poważna sprawa?

- Skąd mam wiedzieć. Ale jeśli musi brać chemię, to pewnie tak.

- Niekoniecznie. Teraz stosują chemię jako środek zapobiegawczy. Nawet się nie zastanawiają, czy jej potrzebujesz, czy nie.

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, by tak rzeczywiście było.

- Teraz oskarżasz mnie o kłamstwo? Stała. George siedział.

- Zadzwon do swojej córki. Potrzebuje cię. - Nie mógł nawet na nią spojrzeć.

Nadal stała obok niego.

- Dlaczego ty do niej nie zadzwonisz? - spytała w końcu.

- Ona nie potrzebuje mnie, ale matki. - Głos uwiązał mu w gardle. Zamilkł.

Allison powoli odwróciła się i wróciła do sypialni.

Usiadła na brzegu łóżka obok telefonu. Włożyła okulary i raz jeszcze przeczytała list. Informacja, na którą zareagowała w pierwszej kolejności, a raczej najmocniej, brzmiała: *Jestem chora i potrzebuję Waszej pomocy*. Całe wnętrze Allison aż zatrzęsło się na widok słów: *Potrzebuję Waszej pomocy*. Ogarnął ją tak wielki gniew, że miała ochotę zadzwonić do Lily i nawrzeszczyć na nią. Potrzebujesz mojej pomocy? Mojej pomocy?! Co chcesz, żebym zrobiła? Dzieli mnie od ciebie ponad dziesięć tysięcy kilometrów, cóż więc mogę dla ciebie zrobić? Nigdy do mnie nie dzwoniś, nigdy nie dzwoniś do swojej matki, żeby zapytać, jak się czuje, a czuję się okropnie, jestem w depresji, biorę lekarstwa, wypadają mi zęby, nie mogę jeść, sama jestem chora i mam wszystkiego dość, a ty prosisz, żebym ci pomogła! Dlaczego ty mi nie pomożesz? Ja też potrzebuję pomocy! A czy wydzwaniam do ciebie i piszę listy z prośbą o pomoc?

Objęła się rękami w pasie.

Próbowała nad sobą zapanować. Rak. Wszyscy mają raka. Lily jak

166

zawsze przesadza. Pewnie zatrąła się po tych wszystkich prochach, które bierze. Wiem, na to idą moje pieniądze, na jej narkotyki. Wiem, że chce ode mnie pieniędzy. Nie ma żadnego ubezpieczenia, jak więc zapłaci za chemię? Najpierw mówi, że jest chora, a potem, że potrzebuje pieniędzy na leczenie. Wiem, jak to jest. Mamo, wyłączyli mi telefon. Mamo, nie mam na czynsz. Nie mam na książki, na przybory malarskie. Potrzebny mi jest nowy płaszcz na zimę, nowa koldra, nowa poduszka. To się nigdy nie kończy. Teraz zabrakło jej wymówek, więc wymyśliła raka. To tylko wybieg, żeby wyciągnąć ode mnie pieniądze. To jasne jak słońce. Moja koleżanka z banku miała kiedyś raka skóry, odchodziliśmy od zmysłów ze zmartwienia, wysłaliśmy jej kwiaty, zabraliśmy na kolację, zrzuciliśmy się na prezent, dałam sto dolarów. Poszła do lekarza, on dał jej niewielkie znieczulenie miejscowe, wyciął jej to z twarzy, zabandażował i w poniedziałek wróciła do pracy. Dałam sto dolarów!

Spojrzała na telefon. Nie słyszała dźwięku telewizora dobiegającego z pokoju obok. On pewnie czyta gazetę, zupełnie obojętny, lecz przede mną odgrywa wielki spektakl z wilgotnymi oczami. Jakże on uwielbia melodramaty.

Telefon stał tuż obok niej, na wyciągnięcie ręki. Na pewno zadzwonię, pomyślała, wstając i ruszając w stronę łazienki. Zadzwonię. Ale najpierw muszę się czegoś napić. Wezmę sobie szklankę soku żurawinowego. Nalała odrobinę soku do wysokiej szklanki i podniosła ją do ust. O tak, tego właśnie mi trzeba, myślała, idąc w stronę garderoby. Pod stertą ubrań znalazła wypełnioną w jednej trzeciej trzyipółlitrową butelkę dżinu. To złagodzi mój gniew. Nie mogę z nią rozmawiać, gdy jestem tak bardzo podenerwowana. Skończy się na tym, że zacznę krzyczeć, a ona odłoży słuchawkę, jak zawsze, bo nie ma za grosz szacunku dla własnej matki. Wlała dżin do szklanki z sokiem, aż szklanka wypełniła się niemal po brzegi, po czym wypila całą zawartość. Oczekała chwilę i zachwiała się na nogach. Chyba muszę się jeszcze trochę napić, pomyślała. Wciąż jestem wściekła. Wypiję jeszcze jedną szklankę i wtedy do niej zadzwonię. Wlała dżin do pustej szklanki i znów jednym haustem opróżniła do dna. Czekala. Tym razem zachwiała się tak mocno, że musiała się przytrzymać blatu. Lepiej. O wiele lepiej. Poczula jak jej gardło, brzuch, głowę zalewa fala gorąca. Ogarnęła całe ciało. To było takie przyjemne i



kojące. Nie była już zła. Teraz wszystko jest w porządku. Teraz mogę zadzwonić. Ale chyba przyda mi się jeszcze odrobina pociechy. Przyłożyła butelkę do ust. Po trzecim drinku pamiętała, że musi wyjść z garderoby i schować pustą już butelkę oraz umyć szklankę.

167 Na czworakach wróciła do sypialni i próbowała wczołgać się na łóżko. Upadła jednak na podłogę i pograżyła się w czarnej otchłani, niecały metr od telefonu stojącego teraz pół metra nad jej głową.

## 25

### CHEMIA 202

Spencer przyszedł do szpitala o ósmej, po pracy. Przy łóżku Lily siedziała babcia. Kiedy wszedł, skinął jej lekko głową na powitanie. Zapytał, jak się czuje Lily. Claudia odparła jedynie, że śpi. Spytał, jak sobie radziła w ciągu dnia. Claudia wymierzyła w niego wskazujący palec.

- O tak.

Spojrzała na niego, mrużąc gniewnie oczy. Usiadł.

- To krzesło pielęgniarki - powiedziała Claudia. Rozejrzał się.

- Czy jest tutaj pielęgniarka?

Claudia zacmokała i nie odezwała się ani słowem. Siedziała sztywno, bębniąc palcami w kolana.

Zastanawiał się, czy Lily się obudzi. Nic na to nie wskazywało, zupełnie jakby nie rozumiała, że wprawdzie chorych można było odwiedzać od szóstej do ósmej, ale przecież on pracował przez cały dzień i nie mógł przyjść wcześniej. Po kilku minutach wstał i powiedział, że musi już iść.

- Przyniosłem jej kilka paczków z kremem. Proszę jej dać i powiedzieć, że tu byłem, dobrze?

- Oczywiście - odparła Claudia.

Nie wspomniała o wizycie ani słowem, a paczki zjadła sama.

We wtorek, po drugim dniu chemii, kiedy Spencer przyszedł o szóstej, Lily znów spała. Tym razem obok Claudii na krześle pielęgniarki siedziała Amanda. Spencer stał przez chwilę, po czym powiedział:

- To krzesło pielęgniarki.

Amanda odwróciła się od niego i nie zaszczyciła go już ani jednym spojrzeniem.

Następnego wieczoru Lily znów była nieprzytomna. Tym razem Claudii towarzyszyły Amanda i Annę. Czując na sobie ich pełne nienawiści spojrzenia, natychmiast wyszedł.

168

Słyszała wokół siebie głosy należące do członków jej rodziny; głęboki głos babci przemawiający ze słowiańskim akcentem, zdecydowany i nie-uznający sprzeciwu głos Annę, łagodniejszy, lecz nie mniej pewny siebie głos Amandy.

- To chyba najbardziej tępy gliniarz w Nowym Jorku. Po co on tutaj przychodzi?

Czy nie ma pojęcia, co czujemy, widząc go tutaj?

- Dałyśmy mu to wyraźnie do zrozumienia. Chyba marny z niego detektyw.

- Nie zamierzam już niczego owijać w bawełnę. Najwyraźniej aluzje do niego nie docierają. Powiem mu jasno, żeby przestał tu przychodzić.

- Chcesz, żebym to ja mu powiedziała?

- Sama to zrobię. Ty zaczniesz się jąkać jak zwykle.

- Daj spokój, Lily może mu powiedzieć.

- Zrobiłaby to na pewno, gdyby była przytomna.
- Jest chora, prawie nie może mówić, więc nie da rady.
- Czy możesz uwierzyć, że wygrała aż tyle pieniędzy? Miała niesamowite szczęście, prawda?
- Spójrz tylko, jak bardzo jest chora. Jak można mówić o szczęściu?
- Wiem. Ale mimo wszystko. Wielki Boże, co ja bym zrobiła z taką sumą!
- Przepuściłabyś ją, jak przepuszczasz każdego zarobionego centa.
- Ale już poważnie, co on sobie w ogóle wyobraża? Chce zniszczyć naszą rodzinę, zniszczyć Andrew. Wiesz, jak Liliput bardzo kocha brata. Gdyby wiedziała, że ten detektyw tu przychodzi, dostałaby szału.

Zapadła cisza.

- Jak myślisz, dlaczego on się tak ogolił? Zupełnie jak ona. Nie sądzisz chyba, że to on ogolił jej głowę?
- Nie! Nie znają się aż tak blisko. Na miłość boską, przecież to chodzi o naszą małą Lii, a on ma pięćdziesiątkę na karku! Mówię ci, że on przychodzi tutaj, żeby zbierać informacje o Andrew. Pewnie przeszukiwał ją z tuzin razy. Wie, że nic na Andrew nie ma, więc przychodzi dręczyć chorą dziewczynę.
- Masz rację. Ale nie możemy nic powiedzieć Lily. Zdenerwuje się jeszcze bardziej.
- Możesz uwierzyć w tę historię o Andrew i współlokatorce Lily?
- Gdyby sam o tym nam nie powiedział, nigdy bym w to nie uwierzyła. Miera chyba nadal jest w szoku.

169 Rozległ się stłumiony chichot.

- Dobrze jej tak, tej zołzie. Ona nas nienawidzi.
- Wiem, ale pomyśl o naszym biednym bracie. Musiał zrezygnować z kampanii do Senatu.
- Nic się nie stało, wystartuje jeszcze raz, kiedy nadejdzie właściwa pora. Zobaczysz, że Andrew wszystko doprowadzi do ładu.
- Nie doprowadzi, jeśli Miera go opuści.
- O tak, to bardzo prawdopodobne. Ale gdzie ona pojedzie? Do tego biednego Podunk, skąd pochodzi?
- Pochodzi z Old Hartford.
- Co za różnica. Andrew to najlepsza rzecz, jaka się jej w życiu przydarzyła. Niech wraca do tego nadętego Hartford. Nie zasługuje na niego.
- Wiem, wiem. Ale nie sądzisz, że on miał coś wspólnego z...
- Ze zniknięciem Amy? Boże święty, nie. Popełnił błąd, jest tylko człowiekiem, przecież nikt nie jest doskonały. Muszę przyznać, że nie mam pojęcia, o czym on myślał. Dlaczego tak ryzykował, gdy w grę wchodziła cała jego kariera. Ale to nic. Przeżył tylko mało istotne zauroczenie. I co z tego? Powiedział, że rozstali się wiele miesięcy przed zniknięciem tej dziewczyny. To nie ma z nim nic wspólnego. Ten detektyw nie ma żadnych poszlak i doskonale o tym wie.
- Kiedy zjawi się tu następny raz, powiem mu zdecydowanie, żeby przestał przychodzić.

Pewnego dnia pojawił się nagle Joshua. To było dla Lily prawdziwym zaskoczeniem. Niestety, nie spała, gdyż zjawił się wczesnym popołudniem. Co robił w szpitalu? Wydawał się tak bardzo wstrząśnięty jej wyglądem. Nie potrafił nawet tego ukryć i nie miał jej nic do powiedzenia. Nie mogła uwierzyć własnym

oczom. Kto mu powiedział, że jestem w szpitalu? Paul? Rachel? Dennis?

Zrobiła to jej siostra Amanda.

- Miło z twojej strony, że przyszedłeś - wycedziła z przyklejonym do twarzy krzywym uśmiechem. A jakiś czas później powiedziała do siostry: - Postanowiłaś działać na moją szkodę?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Amando, czy ty nic nie rozumiesz? On ze mną zerwał, zostawił mnie, żeby zamieszkać z jakąś cycatą dziewczyną z Corning w stanie Nowy Jork, a ty ściągasz go tutaj, kiedy wyglądam i czuję się tak parszywie?

- Przepraszam. Wcale tak o tobie nie myślałam.

170

- Nie żartuj.

Po tej wymianie zdań Amanda przychodziła rzadziej, wymawiając się bólem gardła, początkiem szkoły, zebraniem rodziców i nawałem obowiązków. Za to Annę, podobnie jak babcia, praktycznie zamieszkała w szpitalu.

A Joshua na szczęście więcej się już nie pokazał.

Lily leżała przez siedem dni, słysząc wokół siebie głosy. Podczas pierwszego dnia odpoczynku między chemioterapią, kiedy była względnie przytomna i nie wymiotowała, kiedy mogła już mówić, spytała:

- Czy był tutaj Spencer?

- Nie mam pojęcia, o kim mówisz - odparła Claudia i szybko wyszła z pokoju.

Lily wiedziała już, że rozmowy członków jej rodziny, które słyszała, nie były snem. Mijał już drugi dzień odpoczynku, a Spencer nadal się nie pokazywał, nawet wieczorem. A przy jej łóżku zawsze siedziała babcia.

Za każdym razem, kiedy Lily podnosiła słuchawkę telefonu, babcia pytała:

- Do kogo dzwonisz? Do Paula, babciu.

- Och, do tego miłego młodego człowieka. On chyba bardzo cię lubi.

- Tak. Ale woli chłopców.

- Och.

Podczas trzeciego popołudnia babcia wyszła na chwilę - Bogu niech będą dzięki za potrzeby fizjologiczne! - i Lily szybko chwyciła słuchawkę, by zadzwonić do Spencera, lecz ku swemu przerażeniu nie mogła sobie przypomnieć numeru jego pagera. Nie pamiętała nawet numeru na posterunek policji. Kiedy zadzwoniła na informację i zaczęli dla niej szukać numeru, babcia wróciła.

- Do kogo dzwonisz?

- Do Rachel, babciu. - Odłożyła słuchawkę. Jak mogła zapomnieć numer jego pagera?

Karmili ją przez kroplówkę i cewnik. Kiedy minęły trzy dni przeznaczone na odpoczynek i przyszedł doktor DiAngelo, by znów podłączyć ATRE i cytarabinę, pokręciła głową i powiedziała, że ma już dość.

Przez kolejne dni stale powtarzała: „dość”, raz po raz. Marcie kazała jej wstawać i chodzić, ale Lily się przewracała. Marcie musiała jęności do łazienki. Podłączyli jej cewnik do pęcherza moczowego, żeby nie musiała

171wstawać, jeśli nie miała na to ochoty, lecz codziennie po porannej porcji ATRY i popołudniowej chemii Marcie szeptała: „No, sreberko, nie leż tak, wstań, przejdź się kawałek”.

- Daj mi milky way, Marcie.

- Powiedziałam ci już, że kiedy skończymy, podłączę ci cały worek.
- Daj mi papierosa.
- Nic z tego. To cię zabije.

Lily raz traciła kontakt z rzeczywistością, to znów do niej wracała, była coraz słabsza i niemal przez cały czas było jej niedobrze pomimo środków przeciwwymiotnych, jakie jej podawano, by złagodzić efekty chemioterapii. Pomyślała, że może babcia miała rację, może leżąc w łóżku przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, zupełnie straci rozum. Pokój nie robił się już fioletowy, nawet dla zabawy, a toalety się nie podwajały. Babcia też nie.

- Nawiasem mówiąc - odezwała się Annę - chcę, byś wiedziała, że postanowiłam wziąć urlop w „KnightRidder”, żeby być tu z tobą przez cały czas. Będę robić wszystko, czego ci potrzeba, Lii. Wszystko załatwię, będę przy tobie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Przestań wygadywać bzdury, Annę. Musisz pracować, żeby płacić rachunki. Ja jestem tutaj przez cały czas - odparła babcia. - I nie muszę brać żadnego urlopu.

- Zgoda, ale sama nie czujesz się najlepiej. Nie chcę, żebyś ty też się rozchorowała. Wiesz, ile zarazków fruwa w szpitalu, ile bakterii? To prawdziwy cud, że jeszcze się nie rozchorowałaś. Nie chcę się martwić także o ciebie. Nie, to już postanowione, chcę to zrobić dla Lily.

- Dzięki, Annie - powiedziała Lily - ale lekarz uważa, że powinnam mieć fachową opiekę.

- Och, co on tam może wiedzieć - obruszyła się Annę. - On mi się nie podoba. Jest taki zarozumiały. Najlepszą opiekę zapewni ci rodzina.

- Ona ma absolutną rację, Lily - odparła z nieco zbyt wielkim entuzjazmem Amanda. - Niech Annę się tym zajmie. To cudownie, że przez cały czas będziesz kogoś miała przy sobie. Potrzebujesz jej, Lii. - Wiedziała doskonale, że jeśli Annę będzie w szpitalu, ona będzie zwolniona z pomocy.

- Ale - powiedziała Annę i na tym polegał cały problem - to urlop bezpłatny. I muszę znaleźć jakiś sposób, żeby spłacać kredyt. Myślisz, że mogłabyś się tym zająć, Lii? Masz przecież mnóstwo pieniędzy, to będzie zupełnie jak wynajęcie pielęgniarki, a potrzebuję tylko pięć tysięcy dolarów miesięcznie. No i może coś jeszcze na opłaty, jedzenie i dojazd do

172

szpitala. Wiesz, ile kosztują taksówki. Może dziesięć tysięcy miesięcznie.

Powiedzmy jedenaście. Czy to brzmi rozsądnie?

- Jak najbardziej, Annie. Będę to musiała jednak skonsultować z lekarzem.

Szóstego dnia drugiej serii chemioterapii Lily szła korytarzem, szurając nogami i ciągnąc za sobą stojak do kroplówki. Zgodnie z zaleceniami Marcie postanowiła się trochę ruszyć i teraz liczyła w myślach i oddychała głęboko, by odpędzić fale mdłości. Kiedy się odwróciła, by wrócić do pokoju, zauważyła stojącego przy drzwiach Spencera.

Wpatrywała się w niego uporczywie. Czula się równie okropnie, jak wyglądała. Tymczasem on był gładko ogolony, w wyprasowanym garniturze i okularach w ciemnych oprawkach. W jego oczach czaiła się litość i współczucie. Lily stała jak wmurowana. Kiedy podszedł do niej, zaczęła płakać.

Płakać!

- Lily... - powiedział zaskoczony, rozkładając ramiona. Zrobiła krok i przytuliła

głowę do jego piersi. Poczula na plecach kojący dotyk jego ręki. Godziny spędzone samotnie wydawały się wiecznością, a jego dotyk był tak krótki. Kiedy się cofnęła, dostrzegła stojącą w drzwiach pokoju babcię, która przypatrywała się im z gniewnym wyrazem twarzy.

Otarła łzy.

- Przepraszam. Nie mam pojęcia, co się stało...

- Nie przejmuj się. Przynajmniej wstałaś. Za każdym razem, kiedy przychodziłem, byłaś nieprzytomna. Jak się czujesz?

Stali jakieś sześć metrów od rozgniewanej babci.

- Dobrze. Wszystko w porządku. A co u ciebie? Te prochy są okropne. Amy miała rację, mówiąc, żebym trzymała się od nich z daleka.

- Chyba nie te prochy miała na myśli.

- Próbowалам do ciebie zadzwonić, ale nie mam tu numeru twojego pagera.

Wyjął wizytówkę i wsunął jej do ręki.

- Zapomniałaś mój numer pagera, Lii? - wydawał się taki... zaskoczony.

- To wszystko przez te prochy, zabiły mi mózg. Czy coś się dzieje? - spytała, ściskając mocno wizytówkę.

Chciała podnieść wzrok i spojrzeć na niego, ale nagle zaczęła się znów pograżać w tym parszywym nastroju, który ogarnął ją podczas odwiedzin

173Joshuy. Nastroju spod znaku: Nie-mogę-uwierzyć-że-ktokolwiek-poza--członkami-rodziny-ogłąda-mnie-w-tym-stanie. Wbiła wzrok w podłogę.

- Trochę się dzieje. Ale nie przejmuj się tym. Musisz teraz zadbać o siebie.

- Liliannę! Idziemy, Marcie czeka - zawołała babcia. Lily westchnęła ciężko.

- Muszę już iść. Czekaj na mnie kolejny worek vepesidu. Możesz zostać?

- Gdybym został, twoja babcia chyba by mnie zastrzeliła - zawiesił głos. -

Wieczorami czujesz się znacznie gorzej. Zawsze śpisz.

- Wiem. Rankiem lub w południe jest o wiele lepiej. Spencer pochylił się lekko.

- Tyle tylko, że ona zawsze tu jest, a ja zawsze pracuję.

- Jasne. Wiem. Nie przejmuj się. Stale ktoś ze mną jest.

- Lily! Idziesz wreszcie?

- Jeszcze minutkę, babciu. - Stała zwrócona do Spencera, który zasłaniał ją przed babcią.

- Stale? - zapytał. - A czy twój brat cię odwiedził?

Przełknęła jakoś to pytanie, lecz z jej twarzy zniknął blady uśmiech.

- Nie - odparła. - Teraz naprawdę muszę już iść.

- Dlaczego on boi się spojrzeć ci w oczy?

- Nie wiem, detektywie. Sama boję się spojrzeć sobie w oczy.

- Ukrywa się teraz przed tobą tak, jak się ukrywał od czasu zniknięcia Amy.

- Proszę cię... to nieprawda. - Była bardzo słaba i z trudem utrzymywała się na nogach. - Może moja rodzina jednak nie myli się co do ciebie. Ty coś knujesz.

- Przykro mi, Lily - szepnął, gdy odchodziła, upuszczając na podłogę jego wizytówkę.

- Mnie też, Spencer.

Czula, że łzy płyną teraz prosto z serca i przelewają się przez cewnik na piersiach. Odeszła, nie obdarzając go nawet przelotnym spojrzeniem.

Kiedy Marcie wieszała na stojaku worek z vepesidem, Lily leżała z zamkniętymi oczami, kręcąc głową na przepoconej poduszce. Pragnęła, by lekarstwo zadziało

jak najszybciej i mogła się pogрузić w pustce. Jednak gdy płyn zaczął się sączyć do rurki, wyszła z trudem na korytarz i rozpaczliwie szukała wizytówki, którą upuściła na podłogę. Nigdzie jej nie było.

174

**26**

### **KOŚCIÓŁ PRZY 51. ULICY**

Claudia dogoniła go przy windzie.

- Młody człowieku, chcę z tobą porozmawiać. Podał jej swój ą wi zytówkę.
- Pani Vail, jestem detektyw o'Malley z policji nowojorskiej. Zmarszczyła brwi.
- Skąd pan wie, kim jestem?
- Lily często o pani opowiadała.
- Wie pan, nie życzę sobie, żeby pan często rozmawiał z Lily. Jest pan detektywem, czy nie potrafi pan pojąć, że nie jest pan tutaj mile widziany? Nie jest pan członkiem rodziny ani przyjacielem. Jest pan psem i nachodzi ciężko chorą dziewczynę.

Winda nie nadjeżdżała. W tej chwili miał na swoim biurku ponad dziesięć otwartych spraw. A każda z nich była o wiele prostsza niż ta tutaj. Dziesięć z nich dotyczyło młodych ludzi - uciekinierów z domu, nastolatków wymagających dozoru kuratora. Jedna mieszkającej na melinie matki, która zniknęła po raz czwarty tego roku. Mógł się zająć tyłoma pożytecznymi sprawami.

Kiedy się odsunął, chwyciła go za ramię. Była bardzo energiczna, przecież musiała taka być, by dotrzeć tutaj aż z Europy. Nie bała się go. Ale Spencer, nawet nie mając za sobą tragicznych przeżyć wojennych, też nie czuł strachu.

Jej oczy były ostre jak lodowe sopte.

- Ona nie chce, żebym tu przychodził? - spytał, zapinając marynarkę. - Przecież może mi sama to powiedzieć.
- Myśli pan, że przypomni sobie jakieś szczegóły związane z bratem w stanie, w jakim się teraz znajduje?
- Nie po to tu przychodzę.
- Grubo się pan myli. On nie ma pojęcia, gdzie jest ta dziewczyna.
- Pani musi tak myśleć. Nabralbym podejrzeń, gdyby było inaczej.
- Ale on naprawdę jest niewinny. To mój wnuk. Mieszkałam z nim, prawie go wychowałam, znam go od maleńkiego. Nie sądzi pan, że coś wiem na ten temat? Czy okłamywałabym samą siebie? Jestem na to stanowczo za stara i za słaba.
- Słaba na pewno nie - powiedział Spencer. - A jeśli jest zupełnie niewinny, to dlaczego nie chce się zgodzić na badanie z wykrywaczem kłamstw?

- Bo odradzają mu to jego prawnicy. Powtarzam, jest niewinny. Jestem gotowa przysiąc w tej sprawie w sądzie.

- Nie ma takiej potrzeby, pani wnuk przysięga za wszystkich. Cały czas pozostaje jednak pytanie: gdzie jest Amy?

Stali w bezdusznym, oświetlonym blaskiem jarzeniówek szpitalnym korytarzu. Co chwila mijali ich jacyś nieznajomi, w dyżurce nieopodal siedziały pielęgniarki. Słychać było ich śmiech, dzwoniący telefon. W pewnej chwili przejechał obok nich starszy mężczyzna na wózku, obrzucając ich uważnym spojrzeniem. Spencer nie mógł w to uwierzyć. Lily leżała w pokoju numer 5547, walcząc z wymiotami, a oni rozmawiali o związku jej brata ze zniknięciem współlokatorki.

- Nie wiem - powiedziała Claudia. - Jednak głęboko w sercu czuję, że jest niewinny.

Spencer westchnął.

- Dobrze. Ale nie mogąc się poszczycić pokrewieństwem z pani wnukiem, będę się raczej kierował swoimi uczuciami. - Nareszcie nadjechała winda. - Żegnam panią.

- Dlaczego pan tak się go uczepił? - zawołała ze złością Claudia. - Dlaczego nie przesłucha pan tych lumpów, których Amy co tydzień dokarmiała. Oni na pewno wiedzą więcej o tym, co się jej przytrafiło.

Spencer odwrócił się powoli i wyszedł z windy.

- Co pani powiedziała? - spytał, stając przed Claudią.

- Powiedziałam, żeby porozmawiał pan z bezdomnymi...

- Chwileczkę - pokręcił głową z niedowierzaniem. - Jakimi bezdomnymi?

- Jakimi? Nieży z pana detektyw - prychnęła z pogardą. - Widziałam ją tylko kilka razy, a przecież wiem.

- To kilka razy więcej niż ja, więc proszę oszczędzić mi tego sarkazmu. Jakich bezdomnych?

- W zeszłym roku spędziła z nami Święto Dziękczynienia. Raz przysłała też do mnie razem z Lily i została na kolację.

- I?

- Za każdym razem to był czwartek.

- I?

- Za każdym razem musiała wcześniej wyjść, ponieważ, jak powiedziała, musi rano iść do kuchni dla ubogich, żeby wydać śniadanie.

176

Spytaliśmy: Nawet po Święcie Dziękczynienia? Odpowiedziała, że robi to w każdy piątek.

Spencer stał bez ruchu.

- W jakiej kuchni dla ubogich?

- A skąd mam to wiedzieć? A teraz wybaczy pan, ale muszę wracać do wnuczki.

Pamięta pan, co mówiłam wcześniej: proszę się tu więcej nie pokazywać.

W drodze powrotnej na posterunek musiał siłą zaciskać usta, by powstrzymać się przed wypowiedzeniem na głos szaleńczych myśli, które kłębiły mu się w głowie.

Chciał znaleźć jedno słowo, które skierowałoby go we właściwą stronę, słowo, które sprawi, że przestanie się czuć, jakby ścigał cienie we mgle. I oto je znalazł. A nawet trzy.

Ale kuchnia dla ubogich?

Kto mógł mu pomóc?

Paul miał wolny dzień i Spencer nie mógł go znaleźć. Rachel też nie było w salonie. Lenny nie miał bladego pojęcia o żadnej kuchni dla ubogich. Po co wynajmować prywatnego detektywa, skoro nie potrafi wyłowić takich szczegółów z informacji o życiu Amy? Jan McFadden powinna go zwolnić. Kiedy rozmawiał z nią przez telefon, była tą informacją zaskoczona w równie wielkim stopniu jak on. Nie miała pojęcia, że jej córka odwiedzała kuchnię dla ubogich.

W Copa Cabana, gdzie kiedyś pracowała Amy, zmienił się niemal cały personel.

Wszyscy słyszeli o Amy, ale nikt jej nie znał i nie wiedział o jej pracy dla biednych i porzuconych.

Spencer zadzwonił do Joshuy, który powiedział mu, że coś niecoś o tym słyszał, ale nie mógł sobie przypomnieć żadnych szczegółów. Może nawet ich nie znał. Mieszkał z tymi dziewczynami przez siedem miesięcy i nic o tym nie wiedział? Lily miała szczęście, że zniknął z jej życia.

Spencer nie miał wyboru. Musiał porozmawiać z jedyną osobą, która mogła mu pomóc. Jaki dziś dzień? Na pewno nie piątek. Ręce drżały mu lekko. Od ostatniego drinka minęły już dwa tygodnie. Musiał teraz stałe trzymać coś w palcach: długopisy, ołówki, oparcie krzesła, kierownicę, żeby nikt niczego nie zauważył.

Po pracy wrócił do szpitala Mount Sinai.

Marcie poszła do domu, podobnie jak DiAngelo, a pielęgniarka pełniąca 177nocny dyżur nie chciała go wpuścić, bo godziny odwiedzin dawno minęły. Musiał pomachać jej przed nosem odznaką i powiedzieć, że przyszedł tu służbowo. Dlaczego, mówiąc te słowa, czuł się jak parszywy drań? Bo tak właśnie było?

Nie zastał też babci. Istniały więc pory, kiedy Lily była sama. Problem polegał na tym, że ona sama też była jakby nieobecna. Usiadł przy łóżku. W ciszy słycać było kapiącą wodę w łazience. Telewizor miał wyłączony dźwięk. Nie znosił tego. Podkręcił trochę głośność. Lily wyglądała tak bezbrinnie z rurą wychodzącą z nosa. Leżała pod kołdrą nieco uniesiona na poduszce, na której widać było resztki ciemnych włosów. Do cewnika na piersiach podłączono rurkę, przez którą sączył się roztwór glukozy. Zupełnie jak z kurka w łazience. Kap, kap.

Obserwował ją przez chwilę, po czym szeptał jej imię, dopóki się nie obudziła.

Wyglądała na zupełnie oszołomioną.

- Co się stało? - powiedziała.

- Nic. Wszystko w porządku.

- Śniło mi się, że ktoś szeptem powtarza moje imię, a kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam ciebie.

- Powtarzającego szeptem twoje imię.

Podał jej wodę, spytał, czy jeszcze czegoś potrzebuje. Nieśmiało mruknęła, że przydałaby się jej jeszcze jedna wizytówka. Wyjął z kieszeni tę, którą upuściła na podłogę, i wsunął ją do szuflady przy łóżku.

- Co twoi przyjaciele policjanci powiedzieli o twojej nowej fryzurze?

- Nabijali się ze mnie - odparł. Milczeli przez chwilę.

- Lily - zaczął w końcu Spencer. - Do której kuchni dla ubogich Amy chodziła co piątek?

Zacisnęła powieki. Z pełnym bólu westchnieniem oplotła rękami brzuch.

- Do kościoła na rogu Pięćdziesiątej Pierwszej i Siódmej. Nie potrafił się powstrzymać. I gorzko tego żałował.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Dlaczego trzy miesiące temu nie powiedziałaś mi, że chodziła tam co piątek?

Lily nie odpowiedziała. Po jej skroni policzku się łąza.

Do pokoju weszła pielęgniarka, by zapisać wyniki.

Spencer siedział jeszcze przez chwilę, po czym wstał i wyszedł.

178

27

**LIZ MONROE I 57/57**



Następnego dnia po porannym zebraniu Spencer siedział w pokoju, gdzie przechowywano dowody, przerzucając należące do Amy puste reklamówki, paragony, papiery, notatniki i zeszyty. Przeszukiwał kieszenie żakietów i dzinsów, trzymając w dłoni czwarty już kubek kawy, kiedy do pokoju wsunął głowę Harkman.

- Spence... - szepnął.

Spencer postanowił go zignorować. Nie spodobał mu się ton tego szeptu. Harkman powoli wtoczył do pokoju swoje zalatujące kwaśnym zapachem cielsko. Spencer oparł się pokusie, by spytać go, czy zażył dziś lekarstwo. Jak na dziewiątą rano zapach był niewątpliwie zbyt mocny. Harkman oparł się "o stół i ze zdecydowanie zbyt szybkim biciem swego zaopatrzonego w bypassy serca rzucił, ciężko dysząc:

- Spence, muszę ci coś powiedzieć.

Spencer nie podniósł wzroku znad reklamówek Amy. Zainteresowała go bardzo ich różnorodność i jakość.

- Co takiego?

Przyglądał się właśnie pudełku zapalek, które znalazł w kieszeni jednego z żakietów. Pochodziło z baru o nazwie 57/57 mieszczącego się w holu hotelu Four Seasons. Samo w sobie nie oznaczałoby to nic szczególnego, lecz żakiet znajdował się w reklamówce z napisem Frederic Fekkai. Butik o tej nazwie mieścił się również przy Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Znalazł też oczywiście zapalki z Caviar Bar przy Pięćdziesiątej Ósmej i z Bombay Pałace przy Pięćdziesiątej Drugiej. Próbował jakoś połączyć te informacje, kiedy Harkman powiedział:

- Chcą cię widzieć na górze.

Spencer podniósł wzrok znad zapalek z Four Seasons.

- Oni, czyli kto?

Harkman milczał przez chwilę, po czym schylił głowę.

- Przysięgam na Boga - powiedział cicho - że nie mam pojęcia, o co chodzi. To nie ma ze mną nic wspólnego.

- O czym ty, kurwa, mówisz? - rzucił Spencer, zrywając się z krzesła. Upuścił zapalki na podłogę i zbliżył się do Harkmana. - Nie słuchałem cię, bo próbowałem się skoncentrować na pracy. Kto chce mnie widzieć na górze?

179- Wydział Kontroli Wewnętrznej - zdołał wydusić Harkman.

- Wydział Kontroli Wewnętrznej? Harkman skinął głową.

- I jesteś pewny, że to na pewno nie ma nic wspólnego z tobą? A skąd wiesz?

Może jednak. Może chcą mnie zapytać o tę niewielką łapówkę, którą wzięłaś od handlarzy na Tompkins Park Square, żebyś spojrział w drugą stronę i nie ściągał tam gliniarzy, których bardzo interesuje sprzedawane tam gówno? Może to jednak ma coś wspólnego z tą sprawą?

- Przestań, powtarzam ci, że nie. Pojawiły się plotki, że wydział dostał anonimowy list w... twojej sprawie.

- Jaki list?

- Dotyczący Greenwich w Connecticut - wyszeptał Harkman drżącymi wargami.

-Aleja tego nie zrobiłem. To nie ja go wysłałem.

Spencer chwycił go za klapy marynarki.

- Co ty, kurwa, wiesz o Greenwich w stanie Connecticut?

- Puszczaj, o'Malley- rzekł Harkman słabym głosem. - Chyba nie chcesz mieć

więcej problemów z Wydziałem Kontroli Wewnętrznej?

Spencer odepchnął go mocno. Harkman upadł na rozchwiany stół, po czym osunął się na podłogę.

Na górze Spencer siedział przy długim stole konferencyjnym naprzeciwko osób, których nigdy w życiu nie widział. Jedną z nich była atrakcyjna kobieta po trzydziestce, błyskotliwa i inteligentna, w granatowym kostiumie, z perfekcyjnym makijażem i bez grama poczucia humoru. Od razu to zauważył. Towarzyszyli jej dwaj mężczyźni. Nie zwracał na mężczyzn zbyt wielkiej uwagi, więc nawet nie zauważył, jak wyglądają. Byli z pewnością starsi od kobiety i mieli na sobie garnitury, które w niczym nie dorównywały jej kostiumowi. Włosy obu aż prosiły się o wizytę u fryzjera. Spencer był zły, że właśnie tego dnia postanowił złamać własne zasady i włożył dżinsy zamiast garnituru. Ale bardziej pasowały do wizyty w kuchni dla ubogich, dotąd planował pójść tego dnia.

Ten Harkman to kawał drania.

Elegancka kobieta przedstawiła się jako Liz Monroe.

- To moi koledzy - powiedziała, wskazując na mężczyzn. Spencer był wdzięczny, że nie wymieniła ich nazwisk. - Czy wie pan, detektywie, dlaczego tutaj jesteśmy?

- Nie.

Odchrząknęła lekko. Spencer pomyślał, że może czeka na jego pytanie

180

„Dlaczego?” ale postanowił, że nie będzie spełniał jej oczekiwań. Niech się szykuje na niespodzianki.

- Zjawiliśmy się tutaj, ponieważ zwrócono się do nas z zapytaniem o pana możliwe związki ze śmiercią Nathana Sinclaira.

Milczał. Nie miał nic do powiedzenia.

- Czy wie pan, kim jest Nathan Sinclair?

- Oczywiście.

- Otrzymaliśmy zapytania...

- Jakie?

Monroe zaczęła przerzucać notatki.

- Co panu wiadomo na temat okoliczności jego śmierci?

- Nic.

- Czy wie pan, kim był?

- Oczywiście.

- Kim?

- Jednym ze świadków w sprawie o morderstwo.

- W Hanover w stanie New Hampshire?

- Tak, w Hanover w stanie New Hampshire.

- Był pan tam przez dziesięć lat starszym detektywem?

- Tak.

- Dlaczego pan odszedł? Czy stało się to z powodu... Nathana Sinclaira?

- Nie, nie stało się to z powodu... Nathana Sinclaira. - Bardzo się starał, by

fakt, ~ że naśladuje sposób mówienia kobiety nie rzucał się zbyt w oczy. - Powodem mojego odejścia była różnica zdań, do której doszło pomiędzy mną i moimi zwierzchnikami w sprawie morderstwa, o którym pani wspomniała.

- A potem?

- Wróciłem na Long Island i zostałem zatrudniony w policji w okręgu Suffolk.

- Czym się pan tam zajmował?
- Nie zapisano tego w moich aktach? Byłem oficerem patrolującym drogi.
- A potem?
- Potem przenieśliśmy się do Nowego Jorku. Cztery lata temu.
- Zostańmy przez chwilę w okręgu Suffolk. Będąc wcześniej starszym detektywem w Hanover, zdecydował się pan na pracę w drogówce?

- Zgadza się.

181 Liz Monroe milczała przez chwilę.

- To przecież degradacja. Nie odpowiadał, gdyż żadna odpowiedź nie wydawała się konieczna,

a nawet możliwa.

- Nie od strony finansowej - powiedział w końcu. Znowu zajrzała do notatek.

Prawie nie podnosiła głowy.

- Skierowano naszą uwagę...

- Kto skierował?

- Nie w tym rzecz.

- Przepraszam, ale obawiam się, że jak najbardziej w tym.

- Skoro już musi pan wiedzieć, otrzymaliśmy anonimowy list. Wie pan doskonale, że można go traktować jako dowód. W liście tym napisano, że świadkowie widzieli, jak cztery lata temu jadł pan lunch z Nathanem Sinclairem w Cos Cob w Connecticut.

- Chyba nie potrzeba aż anonimów, żeby się o tym dowiedzieć, prawda? Wszystko znajduje się w moich aktach. Pod „O” jak o'Malley. Mogła pani znaleźć tę informację w każdej chwili. A tak nawiasem mówiąc, omawiałem już tę sprawę w najdrobniejszych szczegółach z pracownikami Wydziału Kontroli Wewnętrznej w okręgu Suffolk. Cztery lata temu.

- Tak, znalazłam tę informację. Mam pańskie akta przed sobą. Czy dlatego odszedł pan z policji stamtąd?

- Nie dlatego. Poza tym wcale nie odszedłem. Zostałem przeniesiony do Nowego Jorku.

- Musi pan zrozumieć...

- Z kim pani rozmawia? Zakaszlała i zarumieniła się.

- Detektywie o'Malley, proszę mi wybaczyć, ale musi pan zrozumieć że wszystkie oskarżenia są traktowane przez nasz wydział bardzo poważnie i zostaną z należytą uwagą rozpatrzone.

- Czy w tym liście oskarża się mnie o to, że zjadłem lunch z Nathanem Sinclairem? W takim razie jestem jak najbardziej winny.

- To spotkanie ważne jest tylko dlatego, że podczas tego lunchu ostatni raz widziano Sinclaire'a żywego. Kilka tygodni później znalazł go jego ogrodnik. Telewizor w jego domu był włączony, a on od dawna nie żył. Ponieważ było lato, ciało znajdowało się w stanie daleko posuniętego rozkładu.

Spojrzał Liz Monroe prosto w oczy, a ona odpowiedziała mu równie poważnym spojrzeniem.

182

- Może powinna pani porozmawiać z ogrodnikiem.

- Tak, dziękuję panu. Dlaczego spotkał się pan z panem Sinclairem? Z powodów służbowych czy prywatnych?

- To było... - zawahał się. - Chyba z obu.
  - Czy był pan na służbie?
  - Nie.
  - I nie prowadził już pan sprawy, gdyż sam pan z niej zrezygnował?
  - Przecież nie było już żadnej sprawy. Zapadł wyrok. Sprawa została zamknięta.
  - Tak więc spotkał się z pan Nathanem Sinclairem bardziej prywatnie niż służbowo, czyż nie?
- Nie od razu odpowiedział.
- Raczej tak.
  - Nie ma o tym wzmianki w pańskich aktach, detektywie - powiedziała Liz Monroe, tym razem podnosząc wzrok.
  - Jest pani najwyraźniej bardzo dociekliwa.
  - Dziękuję. Czy podejrzewał pan, że pan Sinclair był zamieszany w morderstwo, które popełniono w Dartmouth College?
  - Nie. Pozostało mi kilka pytań, na które nie znałem odpowiedzi.
  - Jakie to były pytania?
  - Poruszyliśmy w rozmowie kilka tematów. Mówiliśmy o muzyce. Samochodach. Obaj straciliśmy żony w wypadkach samochodowych.
  - Nie spotkał się pan z nim, żeby rozmawiać o muzyce i żonach - odparła bez cienia współczucia w głosie Monroe.
  - Jak już powiedziałem, chciałem powrócić do dawnych spraw. To była taka zwyczajna pogawędka.
  - Byliście zaprzyjaźnieni?
  - Przelotnie.
  - Co pan zrobił potem?
  - Pojechałem do Hanover w stanie New Hampshire.
  - Po co?
  - Z tego samego powodu, dla którego spotkałem się z Sinclairem. Żeby odwiedzić starych przyjaciół.
  - Ale po przyjeździe do Hanover z nikim się pan nie spotkał. Przynajmniej taka informacja widnieje w aktach sprawy.
  - Zgadza się. Kiedy tam dotarłem, było już późno i nikogo nie zastałem w pracy. Mój dawny partner wyjechał na urlop. Trochę się pokręciłem po mieście, po czym pojechałem do centrum handlowego w Brattleboro, 183zjadłem kolację, kupiłem torbę, gdyż zamierzałem odwiedzić siostrę w Kalifornii. Dowód zakupu torby znajduje się w aktach sprawy.
  - Zgadza się. Zapłacił pan gotówką. Ale gdzie jest ta torba, detektywie?
  - Dawno jej nie mam. Często jej używałem, rączka się urwała i musiałem ją wyrzucić. Czy ta torba bardzo panią interesuje?
  - Trochę. Dlaczego kupił ją pan właśnie wtedy? Czy pracownicy Wydziału Kontroli Wewnętrznej w Suffolk chcieli ją obejrzeć?
  - Nie.
  - Sporo pan podróżuje? W pana aktach zanotowano, że w ciągu ostatnich siedmiu lat wykorzystał pan dwadzieścia siedem dni urlopu. Ale na raty. Ani razu nie był to dłuższy wypad.
  - Do czego pani zmierza?
  - Co pan zrobił po nabyciu tej tak często używanej torby?

- Pojechałem do domu. Wie pani doskonale, że to daleko, jakieś pięć godzin jazdy. Byłem zmęczony, jechałem więc bardzo ostrożnie. Kilka razy zatrzymywałem się po drodze. Do domu dotarłem chyba o drugiej nad ranem. Mieszkałem wtedy w mieszkaniu znajdującym się nad garażem mojego brata. Usłyszeli, jak otwieram drzwi i powiedzieli, że dochodzi druga. To wszystko powinno być w aktach.

Monroe w milczeniu spojrzała do swoich notatek.

- I jest. Wie pan, że do naszych obowiązków należy rozpatrywanie wszystkich skarg na oficerów, którzy pod przysięgą zobowiązali się przestrzegać prawa.

- Wiem. I doskonale wykonuje pani swoją pracę. Przestrzegałem prawa. Poza tym, w tamtym czasie nie byłem oficerem policji nowojorskiej. Byłem oficerem w okręgu Suffolk, nie byłem na służbie, a oni zbadali już tę sprawę dogłębnie i dotarli do zadowolających ich wniosków.

- Postawili panu jakieś zarzuty?

- Nie.

- Nathan Sinclair został postrzelony jeden raz z taniej broni kaliber 22 prosto w tętnicę udową i wykrwawił się na śmierć.

- Wiem.

- Po przybyciu na miejsce zbrodni policja odkryła, że w telewizorze wyłączono dźwięk - zawiesiła głos. - Zupełnie jakby Nathan Sinclair go wyłączył, by porozmawiać z napastnikiem. Może błagał o darowanie życia.

Spencer milczał, gdyż nikt nie oczekiwał od niego odpowiedzi.

- Broni nigdy nie znaleziono - ciągnęła Monroe. - Kulę usunięto z uda ręką w gumowej rękawiczce tak, by nie pozostawić odcisków palców.

184

Poczuł, że teraz powinien zareagować.

- W tamtym czasie nosiłem magnum.

- Czy konfiskował pan tego typu broń podczas aresztowań handlarzy narkotyków?

- Od czasu do czasu.

- W kałuży krwi znaleziono też odcisk buta.

- Nie przypominam sobie, czy były to odciski butów policyjnych?

- Nie. Ale nie był pan na służbie.

- Czy świadek, który widział nas jedzących razem lunch, co tak gorliwie opisał w liście, pamiętał może, że miałem policyjne buty? To było latem, więc coś takiego rzuca się w oczy.

- Nie ma tu żadnej wzmianki o butach.

Spencer zacisnął i rozluźnił pięści na blacie stołu z drewna wiśniowego. Nie mogło to umknąć uwagi Liz Monroe.

- Jaki rozmiar pan nosi, detektywie?

- Jedenaście. Noszę goja i siedemdziesiąt procent mężczyzn w Stanach Zjednoczonych.

- Odcisk pochodził z butów numer dwanaście.

- Naprawdę? - Usiłował zapanować nad głosem, ale chyba nie do końca mu się to udało.

Zapadła chwila ciszy.

- Wiedział pan o tym wcześniej, prawda?

- Zostałem przesłuchany w tej sprawie niezwykle dokładnie.
- Nie ma pan więc pojęcia, kto go zabił?
- Nie mam pojęcia, kto go zabił.
- Morderca nie został postawiony przed sądem. A sprawiedliwości musi stać się zadość.
- Tak sędzę.

Liz Monroe obrzuciła Spencera uważnym spojrzeniem.

- Detektywie o'Malley, sądzi pan, że nie powinniśmy tracić czasu na doprowadzanie morderców przed oblicze sądu, czy też że nie powinniśmy sobie zwracać głowy tylko mordercą Nathana Sinclaira?

- Czy Wydział Kontroli Wewnętrznej odpowiada teraz za śledztwa w sprawie morderstw?

- Nie, ale odpowiada za pana.

Kiedy znalazł się w końcu na korytarzu, oparł się na moment o ścianę, by odzyskać panowanie nad sobą. Potem powoli zszedł po schodach, nie patrząc na poręcz, której bardzo chciał się przytrzymać.

18528

### **KUCHNIA DLA UBOGICH**

Schronisko dla ubogich prowadzone przez Pierwszy Kościół Prezbiteriański zajmowało całapiwnicę starej świątyni. Zamiast organizować imprezy dla świeżo rozwiedzionych protestantów, postanowiono przeznaczyć salę na działalność dobroczynną - stało tam siedemdziesiąt łóżek i wydawano darmowe posiłki.

Spencerowi udało się dotrzeć do schroniska w piątek o świcie. Wcześniej niemal stracił cały zapal do zajmowania się sprawą Amy McFadden. Nie chciał już dłużej walczyć, nie powstrzymało go to jednak od chwycenia Harkmana za koszulę, gdy spotkał się z nim w pustym korytarzu. Popchnął go na ścianę i walcząc z pokusą wymierzenia mu solidnego ciosu, powiedział:

- Jesteś pieprzonym draniem. Lepiej oglądaj się za siebie, bo może cię czekać przykra niespodzianka.

- Grozisz mi? - spytał Harkman. - Zostaw mnie w spokoju. Spencer cofnął się o krok.

- Powiedziałem ci, że to nie ja. Dlaczego mi nie wierzysz? Ale wiesz co, o'Malley? Wszyscy dostajemy to, na co zasługujemy.

- Zgadza się - rzucił Spencer, wymierzając palec prosto w wykrzywioną z wściekłości twarz kolegi. - Uważaj, żebyś ty tego nie dostał. Bo będziesz żałował do końca życia.

Kiedy Whittaker kazał mu przyjść do swojego gabinetu, Spencer był przekonany, że chce go ochrzanić za konflikt z Harkmanem.

- Gównu mnie obchodzą te wasze podchody, załatwcie to między sobą. McGill nie może być twoim partnerem i daj sobie spokój z tym kongres-manem.

Spencer poczuł nagle, że wraca mu chęć do walki.

- Szefie, czy kazał mi pan właśnie dać sobie spokój z najważniejszą sprawą, jaką prowadzę?

- Nie, kazałem ci tylko odpuścić Quinna.

- Dlaczego?

- Bo on nie ma nic wspólnego z tą sprawą. - Whittaker był porządnym irlandzkim gliniarzem, pracował w policji od trzydziestu lat, a jego zdecydowany charakter

odpowiadał Spencerowi tym bardziej, że szef bardzo go lubił. - Pieprzył ją, ale jej nie zabił. Dostrzegasz różnicę?

- Pieprzył ją, a ona zniknęła!

186

- Och, daj spokój! Każdy polityk musi mieć jakiś romans na boku. Można ich łatwo rozpoznać, bo mają spodnie spuszczone do kostek. Co zrobisz, będziesz ich wszystkich ściagał?

- Tak, jeśli ich kochanki będą znikać w moim rejonie.

- Posłuchaj, o'Malley, będę z tobą szczerzy. Kongresman ma wpływowych przyjaciół w Nowym Jorku, a oni naciskają na mnie, żebym przedstawił dowody albo się odpieprzył.

- Nie zgodził się na wykrywacz kłamstw!

- A co powiesz na dzisiejsze poranne spotkanie? Czy gdyby ta Liz Monroe, która uwielbia ścisnąć wszystkim jaja, poprosiła cię o sesję na wykrywaczu kłamstw, zgodziłbyś się?

- Szefie - powiedział powoli i dobitnie. - Odmówiłbym tylko dlatego, żeby ją wkurzyć.

- No właśnie. Ludzie mają różne powody, by nie zgadzać się na wykrywacz kłamstw. I nie należy w nie wnikać. Ich odmowa jest niepodważalna i koniec. Opuść sobie. \*■ Wskazał palcem na sufit. -1 uważaj na tę babę. Ona ma jaja ze stali. Pamiętasz sierżanta Vicario? Jesse Ventura<sup>5</sup> nowojorskiej policji?

Doprowadziła go do płaczu. Do płaczu.

- Dzięki za radę.

Może ten sukinsyn Harkman mimo wszystko mówił prawdę? Możliwe, że to pan kongresman wynajął jakiegoś dupka, żeby znalazł haka na Spencera. Może doszedł do wniosku, że zmusi go to do wycofania się ze sprawy. Ale nie mógł wiedzieć, że Wydział Kontroli Wewnętrznej działa na o'Malleya jak płachta na byka. Dlatego punktualnie o piątej trzydziści w piątek rano Spencer znalazł się w kuchni dla ubogich.

Rozmawiał z niskim, ubranym w garnitur mężczyzną o imieniu Clive. Spencer nie miał pojęcia, że osoby kierujące działalnością kuchni dla ubogich tak dobrze się ubierają. On sam włożył wytarte dżinsy, które uznał za najbardziej odpowiedni strój na tego typu wizytę.

Clive powiedział Spencerowi, że Amy McFadden rzeczywiście przez kilka lat pojawiała się tu w każdy piątek, „aż w końcu przestała się pokazywać”.

Spencer wytłumaczył mu, że Amy nie pokazuje się już nigdzie, gdyż przed kilkoma miesiącami matka zgłosiła jej zaginięcie. Jego pomoc będzie nieoceniona w ustaleniu, co Amy robiła w maju.

<sup>5</sup> Jesse Ventura -komandos legendarnej jednostki SEAL, zawodowy zapaśnik i aktor filmów akcji, w latach 1999-2003 gubernator stanu Minnesota.

**187-** Czy Amy była tutaj w piątek czternastego maja? Clive nie mógł jednak sobie przypomnieć.

- Wszystkie poranki są tak podobne do siebie...

Spencer złożył dłonie, by w ten sposób powstrzymać się od podniesienia głosu.

- To dla nas niezwykle ważne, powtarzam, niezwykle ważne, jeśli dowiemy się, czy Amy przyszła tutaj tamtego dnia.

- Nie mam pojęcia!

- Nie starasz się, Clive.
  - Naprawdę nie pamiętam.
  - Clive, Clive. Chciałbyś może wybrać się ze mną na posterunek? Jestem gotów zrobić wszystko, żebyś sobie przypomniiał, kiedy widziałeś japo raz ostatni.
- Clive milczał.
- Chwileczkę. Pamiętam, kiedy widziałem ją po raz ostatni. Powiedziała, że zdała już wszystkie egzaminy i dostanie dyplom... - zawahał się, usiłując przypomnieć sobie wszystkie szczegóły. - Tak, powiedziała, że ceremonia wręczenia dyplomów odbędzie się dokładnie za dwa tygodnie. Kiedy to było?

- 28 maja.

- Bingo.

Spencer cofnął się o krok.

- Nigdy więcej już jej tu nie widziałem - powiedział Clive. Spencer rozejrzał się po bardzo ciemnej sali zastawionej stolikami i składanymi krzesłami. Wszystkie zajmowali mężczyźni w łachmanach, którzy jedli coś, co kiedyś musiało przypominać jajka.

- Rozmawiała tu z kimś?

- Jasne, ze wszystkimi. To była bardzo miła dziewczyna. Wszyscy ją lubili.

- Ktoś szczególnie?

Clive rozejrzał się po piwnicy, jakby kogoś szukał.

- Hmm. Nie ma go tutaj.

- Rozmawiała z jakimś konkretnym facetem?

- Tak. Stale się koło niej kręcił. Nie chciał usiąść. Przeszkadzał jej w roznoszeniu jedzenia.

- Jak się nazywał?

- Nie ma go tutaj. Przestał przychodzić przed paroma miesiącami. Spencer pokręcił ogoloną głową.

188

- Clive...

- Naprawdę nie wiem. Codziennie przewijają się tutaj setki osób. Nie mogę pamiętać wszystkich.

- Postaraj się.

- Dobra, niech pomyślę. Pracuję tu od pięciu lat, zacząłem przed pojawieniem się Amy. Ten facet przychodził już wtedy. Na niego nie zwracałem uwagi, ale zwracałem na Amy, bo lubiłem na nią patrzeć. Potem on nie pokazywał się przez jakieś dwa lata, aż tu nagle znów się pojawił i nie odstępował Amy na krok. Może zamknęli go w szpitalu psychiatrycznym albo w więzieniu. Pojawił się ponownie wiosną, a kiedy ona przestała tu przychodzić, on też zniknął. Jestem tego pewny.

- Jak się nazywał?

- Nic o nim nie wiem.

- Jak wyglądał?

- Jak bezdomny. Chodził w jakichś starych łachach, w czapeczce na głowie, nogi obwiązywał kartonem. Strasznie cuchnął.

Spencer spojrział na siedzących przy stolikach mężczyzn. Ten opis pasował do każdego z nich.

- Ale był młody - dodał Clive.

- Ile miał lat?



- Nie wiem. Dwadzieścia parę. Może trzydzieści. Nie szurał nogami, poruszał się dość zdecydowanie. Nie snuł się jak ćpun. I nie poruszał się też jak psychicznie chory. Po jakimś czasie można ich wszystkich po tym rozpoznać, i po tym jak szurają nogami i przekrzywiają głowę.

- I?

- Był trochę niesamowity. Coś z nim było nie tak.

- Co?

- Skąd mam wiedzieć? Coś mi nie pasowało. Miał takie dziwne oczy, zupełnie jakby chciał ci przyłożyć, gdyby nie spodobało mu się to, co mówisz. Był odpychający. Nigdy nie chciał wziąć prysznic, nawet kiedy mu proponowaliśmy. Nigdy się nie golił, nie mył twarzy. Powiedziałbym, że był bardziej brudny niż reszta. Może miał na twarzy tatuaż, teraz już nie pamiętam. A może to był tylko brud...

- Wysoki, niski?

- Średniego wzrostu. Niższy od pana. Niech pan spróbuje poszukać go w schronisku w Bowery. Może potem zaczął tam chodzić.

- Dlaczego przestał tu przychodzić? Bo w Bowery podają lepsze jajka?

189- Naprawdę nie wiem. Może dlatego, że ona przestała się pokazywać. Wyglądało na to, że jest do niej bardzo przywiązany. Nigdy z nikim nie rozmawiał, tylko z nią. Nigdy. A to się rzadko zdarza. Większość naszych podopiecznych trzyma się razem. Ale nie on. Rozmawiał tylko z Amy.

- Coś ci się jeszcze przypomniało? Clive się zamyślił.

- Dawała mu różne rzeczy - powiedział w końcu. - Nie wiem co, ale wręczała mu wypchane reklamówki. Przynosiła mu coś ekstra. Spytałem ją kiedyś, co w nich jest, odparła, że to stare, niepotrzebne rzeczy. Ale reklamówki były z dobrych sklepów. Guess, The Gap. Co w nich było? Może ciuchy. Bóg jeden wie, co on z nimi robił.

Spencer wręczył Clive'owi swoją wizytówkę i powiedział, że gdyby ten mężczyzna jeszcze kiedyś się pojawił, ma do niego natychmiast zadzwonić, bez względu na porę dnia lub nocy. Podszedł do najbliższego stołu, by sprawdzić, ilu z ubranych w łańchmany mężczyzn pamiętało Amy i czy któryś z nich pamiętał jej wielbiciela o dziwnych oczach.

- Detektywie o'Malley!

Clive był wyraźnie poruszony i zadowolony z siebie.

- Milo!

- Milo?

- Tak go raz nazwała. Ale to chyba nie jest jego prawdziwe imię.

- Nigdy nic nie wiadomo.

Milo -jedno słowo i promyk światła w posępnym mroku piątkowego ranka. Kiedy przyszedł ją odwiedzić wczesnym popołudniem, siedziała oparta o poduszki. Była właśnie w połowie trzeciego siedmiodniowego cyklu chemioterapii i wszyscy odwiedzający musieli nosić maski ochronne. Nie wolno też było jej dotykać. Patrząc na nią, Spencer nie miał pojęcia, jak ona zdoła to wszystko przetrzymać, nie mówiąc już o trzynastu tygodniach kuracji podtrzymującej. Była chuda jak szkielet, miała zupełnie szarą skórę i nie mógł uwierzyć, jakim cudem jest jeszcze w stanie siedzieć. Kiedy wszedł do pokoju, nie uśmiechnęła się do niego, spojrzała tylko nieufnie, lecz nie tak bardzo jak jej babcia. Claudia, w

masce na twarzy, podniosła się natychmiast z krzesła.

- Chyba postawiłam sprawę jasno, prawda? Nie jest pan tu mile widziany.  
Do pokoju wszedł DiAngelo.

190

- Claudio, chodź ze mną - powiedział. - Znasz zasady - nie więcej niż jedna osoba.

- Czyli ja. Ona nie chce go widzieć. Lily i Spencer patrzyli na siebie.

- Poczekaj, babciu - powiedziała Lily, spoglądając oskarżycielsko na Spencera, który musiał odwrócić wzrok. - Daj nam minutę.

Claudia, bardzo niezadowolona, wyszła z pokoju razem z DiAngelem.

- Dziesięć minut, dobrze? - szepnął lekarz do Spencera. - Na więcej nie ma siły.

Kiedy zostali sami, milczeli przez długą chwilę.

- Znów w sprawach służbowych, detektywie? - spytała w końcu Lily. Co mógł powiedzieć? Stał, milcząc, w masce chirurgicznej na twarzy

i przez moment żałował, że nie może założyć opaski na oczy, by nie widzieć, w jak strasznym stanie znajduje się Lily. Zebrał się jednak w sobie, przywołując całą energię i optymizm, na jaki mógł się zdobyć, odetchnął głęboko i zbliżył się do łóżka.

- Służbowych i osobistych - powiedział. Lily wpatrywała się w koc.

- Jak się czujesz? Jesz coś? - Dwa i pół cyklu chemioterapii i jej twarz nie odcinała się już od bieli łóżka.

Wzruszyła ramionami.

- Do jedzenia przywiązuje się stanowczo zbyt dużą wagę. Gdyby wszystkich można było karmić przez dziurę w piersiach, kto by z tego nie skorzystał? Ale Nowy Jork natychmiast by zbankrutował. Osiemdziesiąt procent gospodarki miasta opiera się na restauracjach.

- Zgoda, ale pomyśl, jak szybko zaczęłyby się rozwijać przemysł produkujący artykuły medyczne.

- Hmm. Szkoda, że nie mogą mi wlać przez ten cewnik koktajlu waniliowego.

Marcie twierdzi, że jest za gęsty. Powiedziała, że może mi przynieść rzadki. Ale to przecież nie byłby koktajl, tylko mleko.

Spencer uśmiechnął się pod maską, spoglądając na jej ściągnięte brwi, blade usta i niemal przezroczyście policzki.

- Przyniosłem ci kuleczki z kremem. Chcesz, żebym następnym razem przyniósł koktajl?

- Nie. I tak bym go wymiotowała. Szkoda pieniędzy. - Oparła się o poduszki.

Siedział jakieś dwa metry od niej na krześle. - Dzięki za pączki. Babcia je uwielbia.

- Zawiesiła głos. - Czego chcesz się dziś dowiedzieć?

191- Niczego - odparł. - Wstąpiłem do ciebie do domu, żeby sprawdzić pocztę.

- Naprawdę? - zmarszczyła brwi. - Przecież nie masz kluczyka do skrzynki.

- Wiem. Ale dzięki odznace udało mi się przekonać dozorcę, że zawartość twojej skrzynki jest niezwykle ważna dla śledztwa, które prowadzę.

Dlaczego te słowa wywołały uśmiech na jej twarzy?

- Nie wierzę, że aż tak się znizasz. Wykorzystujesz odznakę dla własnych celów?

- Oczywiście - powiedział, wyjmując podłużną kopertę. - Pomyślałem, że będziesz chciała to zobaczyć.

List został wysłany przez władze stanu Nowy Jork. Roześmiała się bezgłośnie.

- Przyszedł w końcu! Otworzyłeś?

- Ależ skąd. Otwieranie cudzej poczty jest przestępstwem federalnym. Jej oczy załśniły lekko.
- Ale przeszukiwanie skrzynek nie? Możesz go teraz otworzyć? Rozdarł kopertę i podał Lily. Ogarnęła jędradość, gdy trzymając ją w ręce, przeczytała wydrukowaną sumę.
- Siedem milionów trzysta czterdzieści osiem tysięcy dwieście dolarów! Spójrz tylko na te cyfry, Spencer.
- Widzę je wyraźnie, nawet stąd, ale nie potrafię aż do tyłu policzyć. Rozmawiali jeszcze przez chwilę, po czym Lily położyła czek na kolanach i odchrząknęła.
- Spencer, głupio mi, że muszę cię o to prosić. Nie wiem, czy będziesz mógł mi pomóc...
- Jeśli będę mógł, na pewno pomogę.
- Doktor D. nie wypuści mnie stąd, jeśli nie wynajmę pielęgniarki, która będzie ze mną przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie pozwoli mi wrócić do domu. Możesz w to uwierzyć? Twierdzi, że nie może się mną opiekować ani babcia, ani moja siostra. Wygląda na to, że zupełnie nie ufa Anę, nie wiem dlaczego, ale stale powtarza, że ona się do tego nie nadaje. Jeśli chodzi o babcię, to uważa, że skończyłoby się na tym, że to ja bym się nią opiekowała, zamiast ona mną. Babcia oczywiście przestała się do niego odzywać.
- Jeśli będzie robić tak dalej, nie będzie miała do kogo otworzyć ust.
- Anę wzięła bezpłatny urlop, żeby się mną zająć, a ja mam w zamian spłacać jej kredyt. Jak mogę odmówić?

192

Spencer wciągnął powietrze przez maskę.

- DiAngelo ma rację. Potrzebujesz profesjonalistki, a nie siostry. Z chęć-ciajej o tym powiem.
- Jeśli odezwiesz się do niej choć słowem, załatwi sobie nakaz sądowy zabraniający ci jakichkolwiek z nią kontaktów.
- Zgoda, ale to ja będę odpowiedzialny za wprowadzenie go w życie. Dobra, poproszę DiAngela, żeby poinformował ją, że zgodnie z jego wyraźnym poleceniem już kogoś wynajęłaś.
- Nie sądzisz, że pozna się na kłamstwie? Przecież nawet nie mogę samodzielnie stać.

Zastanawiał się przez chwilę, czego tak naprawdę od niego chce.

- Chcesz, żebym pomógł ci kogoś znaleźć?
- Tak - powiedziała cicho. - Bardzo cię proszę.
- Dlaczego nie powiedziałaś od razu? Jeśli czegoś potrzebujesz, nie każ mi się domyślać, tylko mów. Jeśli tylko będę mógł, na pewno się tym zajmę. Mój ojciec wynajął pielęgniarkę, kiedy był chory. Przeszedł zawał serca, ale teraz już czuje się dobrze. Kosztowało go to siedemset pięćdziesiąt dolarów tygodniowo, ale warto było. Podzwonię po agencjach i kogoś znajdę.
- Świetnie. Czy mógłbyś poprosić o wysokiego, przystojnego, miłego samotnego faceta z Hawajów, który reaguje na imię Keanu? Doświadczenie w opiece nad chorymi mile widziane, lecz nie jest to warunek konieczny.

Roześmiał się.

- Zajmę się tym.

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Kiedy stąd wyjdę, a będziesz miał ochotę, to zaproszę cię na lunch do jakiejś miłej restauracji.
- To będzie niezły lunch, za siedem milionów dolców. Trzymała czek w dłoniach.
- Mary też może przyjść. Nie chciałabym jej pominąć. Możemy się wybrać w niedzielę na brunch do Palm Court i ubrać się tak, jakbyśmy mieszkali na Upper East Side.
- Ależ ty masz pamięć. Zapomniałaś mój numer pagera, za to świetnie pamiętasz, jak ma na imię moja dziewczyna.

Skrzywiła się lekko.

- Posłuchaj - zaczął Spencer. - DiAngelo zaraz mnie stąd wyrzuci i naprawdę wiem, że nie masz na to siły, ale muszę cię zapytać...

W jej oczach natychmiast błysnął chłód.

- Quid pro quo, detektywie?

193 Nie dawał za wygraną.

- Dlaczego nie powiedziałas mi po powrocie z Hawajów, że Amy pracowała w schronisku dla bezdomnych? Nie przyszło ci do głowy, że informacja o jej wizycie w tamten piątek mogła się okazać bardzo pomocna?

- Wyleciało mi to z głowy. Nadal nie rozumiem, o co ten cały szum - zawiesiła głos. - A była tam w tamten piątek?

- Tak.

- Czy wyszła z kuchni?

- Już jej tam nie ma - odparł Spencer.

- Jasne, że nie - powiedziała w zamyśleniu Lily.

Patrzyli na siebie nieufnie, walcząc z myślami, próbując ubrać w słowa to, czego nie potrafili wyrazić ani zrozumieć.

Lily była zbyt słaba, by ją denerwować. Dlatego też nie chciał jej mówić, że na dzień jednej z eleganckich reklamówek, złożonej starannie na dzień szafy Amy, znalazł paragon, choć w pozostałych torbach nie było paragonów. Był to dowód zakupu paska z kolekcji Ferragamo. Pasek kupiono w piątkowe popołudnie pod koniec marca za sto dziewięćdziesiąt pięć dolarów i zapłacono gotówką. Dwieście dolarów za pasek, gotówką. Czy Lily naprawdę była przekonana, że Amy spędzała całe godziny, biegając po parku?

Reklamówki Prądy, Louisa Vuittona i Versacego. Małe torebki Tiffa-ny'ego. A gdzie była biżuteria albo kryształy? Na pewno nie w jej pokoju. Gdzie były paski i torebki? Wszystkie te rzeczy, które, jak podejrzewał, kupował jej Andrew Quinn? Jeśli Andrew Quinn, pobierający rządową pensję, mający na utrzymaniu żonę i dzieci, był tak hojny dla Amy McFadden, czy wyglądało to na przelotne zauroczenie? A jednak Amy zatrzymała tylko puste reklamówki.

- Dlaczego Amy chodziła do kuchni dla ubogich? - zapytał. Zastanawiała się przez chwilę.

- Wydaje mi się, że sama bywała kiedyś głodna.

- Czy słyszałaś kiedykolwiek imię Milo?

- Jakie?

Opowiedział jej o wszystkim, czego dowiedział się od Clive'a. Milczała, bo nie miała nic do powiedzenia.

- Czy Milo mógł być jedną z tych osób, z którymi Amy podróżowała? Jedną z osób, które zaginęły?

- Możliwe - odparła bezbarwnym tonem. -1 co z tego?

194

- Może ten Milo wie, gdzie ona jest. Nie chciałabyś pomóc mi go znaleźć i sprawdzić, czy pomoże oczyścić twojego brata z podejrzeń?

Skinęła głową bez słowa. Do pokoju wszedł DiAngelo.

- Kończymy - powiedział.

Podnosząc się z krzesła, Spencer żałował, że nie może przed wyjściem uściskać jej ręki. Wyglądała tak, jakby rozpaczliwie tego potrzebowała.

Marcie i DiAngelo co drugi dzień pobierali jej krew, by sprawdzić, jak reaguje na chemię. Wyniki analiz wyczytywała z ich twarzy. Nie musieli jej niczego mówić, ale ona i tak pytała, a oni jękali się i krążyli wokół tematu. Potem sprowadzili jeszcze jedną pielęgniarkę, która zrobiła jej transfuzję białych i czerwonych krwinek (i błękitnych!), plazmy i płytek. Przy cewniku pojawiła się infekcja; podali jej antybiotyki i na dwa dni wprowadzili zakaz wizyt, dopóki infekcja nie minie. DiAngelo stwierdził, że jest za słaba na kolejny wlew cytarabiny i postanowili odczekać jeden dzień. Jej stan nie poprawiał się jednak, więc podali jej lek, po czym zrobili kolejną analizę. Liczba płytek w milimetrze sześciennym krwi wynosiła kolejno 48, 45 i 42 tysiące, a powinna się zbliżać do stu.

Nie chciała o nic pytać, bo nie chciała wiedzieć, ale w końcu nie wytrzymała.

- Czy to oznacza, że w całym moim ciele są tylko czterdzieści dwie płytki krwi? Lekarz uśmiechnął się i pokręcił głową.

- To taki skrót. Musisz dodać trzy zera. Tyle jest ich w milimetrze sześciennym twojej krwi.

Uśmiechnęła się, pełna nadziei.

- Czterdzieści dwa tysiące to ogromna liczba!

- Jasne, Lii. Ale w porównaniu z czym? Z normą? Dolna granica normy wynosi dwieście tysięcy.

- Och.

- No właśnie.

Trzeci dzień bez wizyt. Pracownicy szpitala nosili maski, a nocą, kiedy miała dość siły, by się obudzić i wymiotować, widziała latające w pokoju anioły, które też miały na twarzach maski.

- To najgorszy etap - powiedział DiAngelo. -Najsilniejsza dawka. Ale niedługo koniec i ty też się lepiej poczujesz. Wytrzymaj, Lii, radzisz sobie świetnie.

Naprawdę. Jestem z ciebie dumny. Nie daj się.

195Postanowiła wytrzymać.

- Jak długo jeszcze? Lekarz spojrzał na nią uważnie.

- Co masz na myśli? - spytał złowieszczo.

- Kiedy będę mogła zjeść pizzę?

- Jeszcze tylko jeden dzień. Potem odpoczniesz, zrobimy szybką biopsję i wrócisz do domu. Jeszcze tylko jeden dzień, Lii.

Ale ten jeden dzień okazał się najgorszy. Nie mogła już samodzielnie oddychać.

Przerwali więc podawanie leku i podłączyli tlen. Chciała zapytać, czy nie mogą jej podawać tlenu przez cewnik, jak wszystko inne, ale nie miała siły, by wypowiedzieć choć słowo.

Leżała więc i wyobrażała sobie śmierć.

Wpatrywała się w ciemny sufit i wyobrażała sobie, że jest coraz bardziej chora;

wyobrażała sobie czarną masę, która gromadzi się w zakamarkach jej ciała i powoli wędruje przez wszystkie narządy, docierając do serca. Jak to jest, gdy człowiek zasypia i już nigdy się nie budzi, opada w ciemną otchłań i nigdy nie wraca?

Nie chciała być sama w chwili śmierci. Nie, umrze w szpitalu w otoczeniu rodziny; będą ją trzymać za rękę, gładzić po twarzy, po głowie, płakać, a ona zacznie się pogrążyć w mroku. Będzie słyszeć ich głosy, lecz coraz słabiej, z oddali zobaczy, jak płaczą i pochylają się nad nią.

A potem nie będzie już bólu ani raka.

Zaśpiewają dla niej w pięknym kościele, a matka, złamana bólem, stanie przy ołtarzu i zaśpiewa *Panis Angelicus*. Jej piękny głos poniesie się echem po całym kościele, a wszyscy zebrani zaniosą się jeszcze większym płaczem...

Chwileczkę.

Było jej trudno uwierzyć nawet w samo wyobrażenie. Jej matka w kościele? Matka na pewno nie przyjedzie! Zostanie na Hawajach, zadzwoni do babci i powie: „Chciałabym przyjechać, naprawdę, ale nie mogę. Jestem bardzo chora, nie mam siły, by wstać z łóżka. Nie mam siły, żeby pójść do łazienki. George cudownie się mną opiekuje. Dlatego on też nie może przyjechać”.

Uff. Lily odetchnęła samodzielnie i usiadła na łóżku. To niesamowite. Matka zrujnowała nawet jej wyobrażenia o śmierci. Nawet w fantazjach jej śmierć dotyczy jej matki. Nie mogła nawet umrzeć tak, jak chciała.

Następnego ranka poczuła się znacznie lepiej i odłączono tlen. Poprosiła  
196

nne, żeby poszła do sklepu dla plastyków i kupiła jej pudełko pasteli, ;óre po pociągnięciu wilgotnym pędzlem zamieniały się w akwarele.

Rysowała przez całe popołudnie. Kiedy odwiedził ją Spencer, siedziała oparta o poduszki.

- Coś ty na sobie wymalowała?

Wzięła do ręki małe lusterko. Na brodzie, języku i ustach miała lawen-dowo-różowe smugi. Uśmiechnęła się i pokazała mu mały obrazek.

- To wiosna - powiedziała. - Zabrałam się do odnawiania.

- Siebie samej?

- Tak, siebie samej też. Chcesz to sobie powiesić w mieszkaniu? Masz zupełnie puste ściany.

Od tamtego popołudnia nie snuła już więcej fantazji na temat własnej śmierci.

DiAngelo wypisał dokumenty potrzebne do zwolnienia jej ze szpitala. Mogła teraz spędzić tydzień w domu i wrócić w pierwszy poniedziałek października, żeby rozpocząć trwające trzynaście tygodni leczenie konsolidujące. Będzie podłączona do kroplówki w poniedziałek i wtorek, a od środy do niedzieli może odpoczywać w domu. Leczenie zakończy się przed Nowym Rokiem. W samą porę na przywitanie nowego tysiąclecia.

- Czy rak zniknął?

- Nie, ale mówiłem ci, że nie zdołamy pozbyć się go za pierwszym razem.

Spodziewaliśmy się tylko, że uda nam się zabić istniejące komórki nowotworowe.

- I udało się?

- Zabiliśmy prawie wszystkie.

- Prawie wszystkie? Czy słowo prawie ma jakiegokolwiek znaczenie w leczeniu

raka?

DiAngelo wybuchnął śmiechem.

- No i mamy nowe porzekadło. Prawie nie ma znaczenia w przypadku granatów ręcznych, ciąży i raka.

Lily milczała, zastanawiając się nad słowem ciąża. DiAngelo przestał się śmiać i dodał:

- Wygląda na to, że udało się nam spowolnić proces powstawania nowych komórek białaczkowych. A to bardzo ważne.

- Spowolnić?

- Posłuchaj, Lii. To nie jest koniec. To nie jest nawet początek końca. To dopiero koniec początku.

197- Tylko tego mi potrzeba: onkolog cytujący Churchilla. 22 września nadszedł i minął. Lily postanowiła odwołać swoje dwudzieste piąte urodziny.

**29**

### **SPENCER I DWA MARTWE PUNKTY**

Intuicja Spencera została wystawiona na ciężką próbę, gdy uzbrojony w nakaz przeszukał księgi meldunkowe hotelu Four Seasons i nie znalazł tam nazwiska Andrew Cminna. Amy oczywiście też nie. A jednak zapalki z baru 57/57 nie dawały mu spokoju. Może ten luksusowy hotel okazał się dla Andrew za drogi i zabrał swoją młodą kochankę do Sheratona przy Siódmej Ulicy. W centrum Nowego Jorku były trzy tysiące hoteli. Przeszukiwanie ich ksiąg meldunkowych raczej miało się z celem.

Trzymał się jednak uparcie hotelu Four Seasons, gdyż otaczająca go atmosfera doskonale pasowała do pustych reklamówek Amy. Nikt nie przynosi do domu torebek Prądy z Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy i pianki do układania włosów Fredericka Fekkai, również z Pięćdziesiątej Siódmej, nie wspominając już o piórach Mont Blanc, by udać się na róg Siódmej i Pięćdziesiątej Pierwszej i wynająć pokój w Sheratonie.

Trzymał się też daty czternastego maja, gdyż Amy powiedziała matce, że tamtego dnia wieczorem przyjedzie do domu. Powiedziała, że przyjedzie, ale nie przyjechała, nic zadzwoniła, a po czwartku 13 maja nikt z jej mieszkania nie dzwonił. Rankiem 14 maja zjawiała się w kuchni dla ubogich. Było więc bardzo prawdopodobne, że zniknęła właśnie tamtego dnia.

A teraz pojawił się jeszcze Milo.

Policja odwiedziła każde schronisko dla bezdomnych w Nowym Jorku, szukając ubranego w łachmany mężczyzny średniego wzrostu, o dziwnych oczach, być może z tatuażami na twarzy, który reagowałby na imię Milo.

Spencer kazał Harkmanowi zadzwonić do Riker's, Sing-Singu i Attiki, by sprawdzić, czy ostatnio nie zwolniono stamtąd więźnia o imieniu Milo. Niestety. Spencer nie miał pojęcia, co Milo porabiał w piątek czternastego maja, więc skoncentrował swoje wysiłki na poczynaniach Andrew Quinna. O wiele łatwiej było je prześledzić.

198

Dowiedział się, że Andrew spędził czwartek w Waszyngtonie, co mogło potwierdzić ponad pięćset osób, po czym wrócił pociągiem do Nowego Jorku w piątek rano, co z kolei mogły potwierdzić sześćdziesiąt trzy osoby, które jechały razem z nim. Zgodnie z relacją żony do domu wrócił o dwudziestej trzydziści.

Czy nie za późno jak na piątkowy wieczór? Nie, wyjaśniła. Wraca do domu mniej więcej o tej porze.

Czy był zdenerwowany, czymś zaprzątnięty, zachowywał się dziwnie czy normalnie? Miera, z którą rozmawiał przez telefon, lodowatym tonem powiedziała, że nie pamięta.

Przed powrotem do domu Andrew zatrzymał się w banku i w swoim biurze w Port Jeff. O 19.22 pobrał pieniądze z bankomatu w oddziale Chase Bank znajdującym się przy Main Street w Port Jeff i na dowód miał przy sobie pokwitowanie. Czy to nie dziwne? Przez cztery miesiące nosić pokwitowanie mało ważnej transakcji bankomatowej? Spencer nigdy go przy sobie nie miał, nawet tego sprzed godziny. Z wyciągów bankowych dowiedział się, że Andrew rzeczywiście pobrał z bankomatu pięćset dolarów o 19.22, lecz tego samego dnia o 11.00 pobrał dwa tysiące z bankomatu na Penn Station. W sumie dawało to sporą sumę. Dlaczego korzystał z bankomatu aż dwa razy?

Wyciągi bankowe od początku 1999 roku wykazywały, że regularnie w czwartki i piątki spore sumy pieniędzy przepływały z konta Andrew do jego kieszeni, co tłumaczyło być może zakupy u Prądy. Czy zapłacił za Four Seasons gotówką?

Nawet jeśli tak było, to musiał się zarejestrować w księdze meldunkowej.

Pracownicy hotelu nie mogli sobie przypomnieć, czy Andrew Quinn korzystał z usług recepcji lub służby. Być może widzieli kongresmana, ale nie byli tego pewni. Nie byli też pewni, czy widzieli Amy.

Pociąg z Waszyngtonu wjechał na Penn Station w Nowym Jorku o 10.45, a jednak Andrew zjawił się w Port Jeff dopiero o siódmej wieczorem.

Podróż z Penn Station do Port Jeff trwała jakieś osiemdziesiąt minut. Co Andrew porabiał w ciągu pozostałych ponad sześciu godzin?

Kierowniczką biura w Port Jeff potwierdziła, że przyszedł do biura tuż po siódmej, kiedy miała już wychodzić do domu, podpisał kilka dokumentów, podyktował list dotyczący nowych zasad parkowania przy Main Street, który pokazała Spencerowi, i sprawdził swój rozkład zajęć na nadchodzący tydzień.

Jak przy takiej kontroli udało się kongresmanowi w ogóle nawiązać 1999romans? Ajednak nadal pozostawało to tajemnicze sześć godzin. Nie mógł wziąć pieniędzy z bankomatu tak, by nikt nie zauważył godziny wydrukowanej na pokwitowaniu. Czy nikt nie zauważył młodej atrakcyjnej rudowłosej dziewczyny przy jego boku? Jak Amy potrafiła pozostać niezauważalna? Andrew powiedział, że ich znajomość zakończyła się w połowie kwietnia, ajednak w połowie maja w piątkowe popołudnie zniknął na ponad sześć godzin.

Alibi powoli zaczynało topnieć. Przyszła pora, by raz jeszcze porozmawiać z Andrew Quinnem. Jednak pragnąc najwyraźniej ratować swoje małżeństwo, Andrew i Miera Quinowie wyjechali na dwa tygodnie na Oahu na Hawajach. Sesja Kongresu nadal trwała, lecz Andrew poprosił o urlop.

**30**

### **ZAAWANSOWANA CHEMIOTERAPIA**

Dzięki Spencerowi do mieszkania Lily zawitała Joy<sup>6</sup>: szczupła, zrędliva pięćdziesięcioletnia kobieta, która zajrzała do środka i cicho prychnęła.

- Mieszkasz tutaj? Twój... - machnęła ręką w stronę schodów, gdzie w mroku krył się Spencer - ...ten mężczyzna, który mnie wynajął, powiedział, że masz pieniądze.

- Oczywiście, że mam pieniądze - odparła zaskoczona Lily. - Przepraszam bardzo,



ale co to ma wspólnego z powodem pani obecności tutaj?

- Nic. Myślałam tylko, że mieszkasz w lepszych warunkach i tyle -uśmiechnęła się. - Spodziewałam się mieszkania w stylu tych z Park Avenue.

- Przy Alei C?

- Masz rację, nie pomyślałam. - Weszła do środka.

Lily wróciła do domu przed trzema dniami, a za tydzień musiała zjawić się w szpitalu na pierwszy cykl leczenia konsolidującego. Czy Joy będzie traktować ją łagodnie i ze współczuciem? Czy tego właśnie potrzebuje? Problem polegał na tym, że sama nie wiedziała, czego jej potrzeba.

W mieszkaniu czuła się zupełnie obco. Pięć minionych tygodni było niczym pięć stuleci. Lily dziwiła się, że nadal urzęduje ten sam prezydent,

<sup>6</sup> Joy (ang.) - radość.

200

jest ten sam rok, w delikatesach nadal sprzedają brzoskwinie, a w pizzerii za rogiem we wtorkowe wieczory nadal można dostać jedną pizzę gratis. Do domu przywiozły ją babcia i siostry z czterema siostrzenicami. Bardzo szybko w małym mieszkaniu zapanował trudny do opisanego rozgardiasz.

- Namaluj coś, Lii - powiedziała Amanda, zanim wyszły. - Poczujesz się znacznie lepiej.

Lily nie wiedziała, co chciała przez to powiedzieć. Namaluj coś, a poczujesz się znacznie lepiej? Czy chodziło jej o samopoczucie fizyczne? Musi tylko coś namalować, a rak zniknie? To dlaczego w ogóle się pojawił? Czy dlatego, że Lily lubiła spać i zbyt mało czasu poświęcała na malowanie? A może Amandzie chodziło o zdrowie psychiczne? Namaluj coś, a poczujesz się znacznie lepiej w środku. Łatwiej będzie ci żyć ze świadomością, że w wieku dwudziestu czterech lat zachorowałaś na raka. No, teraz już dwudziestu pięciu.

Lily stała przed dużym lustrem w pokoju Amy. Pojawiły się wspomnienia i obrazy pełne ubrań, które wkładały na piątkowe wypady do klubów, ubrań noszonych na zajęcia, nagich ciał z białymi zarysami kostiumów kąpielowych. Wspomnienia pełne Amy, która, stojąc przed lustrem w komplecie eleganckiej bielizny, mówiła: „Muszę trochę schudnąć, siostró, jeśli moje modlitwy o znalezienie faceta mają zostać wysłuchane”. Kiedy przypominała sobie te słowa przyjaciółki, wspomnienia zakłóciła kryjąca się w nich nieszczerłość -Amy spotykała się przecież już wtedy z Andrew, miała już faceta, miała brata Lily.

Nie obyło się bez narzekań, ale Annę spełniła w końcu prośbę Lily i usunęła z mieszkania wszystkie trzy lustra. Lustro w łazience było przymocowane do szafki i nie dało się go wyjąć, więc Lily zalepiła je papierem i taśmą, a potem pomalowała papier na czarno. Brak odbicia i związanych z nim wspomnień był idealny.

Bluza z Myszka Miki, którą kupiła dla niej Amanda, skrywała wychudzone ciało, lecz nie mogła ukryć spustoszeń, jakie na twarzy Lily poczyniło pięć tygodni spędzone w łóżku lub nad toaletą: zapadniętych policzków, kości obciążniętych przezroczywą skórą, szarych, lekko drżących warg i łysej głowy.

Lily wzięła chustkę i zawiązała ją pod brodą jak babina. Wyglądała w niej na sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat, i na tyle się czuła. Nagle okazało się, że wygląda starzej od babci. Na dodatek los sprawił, że zamieniły się rolami. Teraz to babcia wychodziła z domu, jeździła metrem i taksówkami, żeby dotrzeć do szpitala i zaopiekować się Lily. Rak Lily sprawił, że Claudia

2012nów poczuła się młoda! I wolna. Lily jest chora, a babcia - w cudowny sposób wyleczona z agorafobii - porusza się po mieście metrem. Hurra! Tymczasem Lily otrzymała wyraźny zakaz opuszczania domu. Marcie i doktor D. bali się, że jej słabe kości nie wytrzymają, rozedrze się cienka skóra, ktoś na nią kichnie.

Pierwsze trzy dni minęły jak we mgle. Zajmowała się przede wszystkim odbieraniem telefonów. Wiedziała, że jeśli nie podniesie słuchawki, jej mieszkanie zacznie przypominać Penn Station w godzinie szczytu. Podnosiła ją więc dla świętego spokoju. Tak, wszystko w porządku, czuję się całkiem nieźle, tak, jem, tak, dużo piję, tak, biorę prysznic, nawet trochę czytam i, tak, oglądam telewizję, wszystko w porządku, dzięki za telefon.

A potem pojawiła się Joy. Miała proste brązowe włosy, hipisowską torbę przerzuconą przez ramię, długą, szeroką spódnicę z falbanami i obszerną bluzkę, zupełnie jakby chciała się schować. Ale jej twarz była zadbana. Joy troszczyła się o swoją twarz, włosy i ubranie w taki sposób, by nie musiała sobie zaprzętać głowy strojeniem się, makijażem ani modą.

Od razu chciała się dowiedzieć, gdzie będzie spała, i bardzo ucieszyła ją wiadomość o drugiej sypialni. Lily już chciała jej wyjaśnić, że nie musi u niej zostawać na noc, lecz w porę przypomniała sobie, że zatrudniła pielęgniarkę właśnie po to, by opiekowała się nią przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Świadomość, że Joy będzie spać w pokoju Amy, nie dawała jej spokoju, lecz nie potrafiła tego wytłumaczyć, nawet kiedy Joy spytała, gdzie jest jej współlokatorka. „Wyjechała na jakiś czas”, powiedziała, a na pytanie kiedy wróci, odparła: „Nie wiem. Czy możemy zmienić temat?”.

Sypialnia Amy była o wiele większa niż pokój Lily i Joy zaproponowała zamianę, lecz Lily stanowczo odmówiła. Joy oświadczyła wówczas, że zostanie tam do powrotu Amy, a potem będzie spać na kanapie. Lily spytała, jak długo Joy zamierza u niej zostać. Miała ochotę powiedzieć: „Przecież nie będę wiecznie chora”.

- Zostanę, dopóki nie wyzdrowiejesz, co ty na to? Ale jeśli nie będziesz ze mnie zadowolona, powiedz słowo i już mnie nie ma. Chciałabym tylko mieć wolne niedziele. To i tak będzie najspokojniejszy dzień. Możesz to załatwić? I kto będzie mi płacił, ty czy twój... - znów machnęła ręką.

- Ja.

- A kim on w ogóle jest?

- Zajmuje się różnymi rzeczami.

Lily pogodziła się z faktem, że Joy będzie spać w pokoju Amy, gdy

202

zobaczyła, że większość jej rzeczy została skonfiskowana przez Spencera jako dowody. Zdjęcia, ubrania, książki, torby, najróżniejsze drobiazgi znajdowały się teraz w niewielkim pokoju na posterunku.

Lily wręczyła Joy trzysta dolarów i poprosiła, żeby poszła kupić nową pościel i ręczniki. Kiedy tylko została sama, zadzwoniła do Spencera i spytała, czy jego zdaniem Joy to dobry wybór.

- Potrzebujesz właśnie takiej osoby - powiedział. - Zobaczysz. Zaufaj mi.

Dlaczego mam ci ufać? - pomyślała. - Chcesz wsadzić mojego brata do więzienia.

Na szczęście okazało się, że Spencer nie mylił się co do Joy. Ta kobieta nigdy nie przestawała się ruszać: stale sprzątała, gotowała, robiła zakupy. Zadzwoniła do

Amandy, Annę i babci i kazała im zostać w domu w poniedziałek i wtorek, bo zabiera Lily do szpitala na chemię. Świadomość, że Lily znajduje się w opiekuńczych i kompetentnych rękach sprawiła, że wszyscy poczuli się lepiej, nawet sama Lily. A doktor D. był niezwykle zadowolony z takiego wyboru. Okazało się, że wiele o niej słyszał. Jego kolega leczył męża Joy, gdy wykryto u niego chłoniaka. Joy nadal nosiła obręczkę, lecz gdy Lily spytała ją przelotnie, czy mąż nie ma nic przeciwko temu, by pracowała przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, odparła, że zmarł przed rokiem. Po przeszczepie szpiku kostnego wystąpiło u niego ostre zapalenie płuc.

Lily nie wiedziała, co odpowiedzieć. Chciała zapytać, czy nie mają na to żadnych antybiotyków, lecz zanim zdążyła wydusić choć słowo, Joy dodała?

- Nie przejmuj się więc, widziałam mnóstwo osób o wiele bardziej chorych od ciebie.

Jej słowa wywołały ostrą reakcję.

- Nie chcę słyszeć, że inni też cierpieli - powiedziała Lily. -1 nie chcę też słyszeć, że inni czuli się o wiele gorzej ode mnie. Dlatego nie pędzę na spotkania żadnych grup wsparcia. Bardzo mi przykro z powodu twojego męża, ale teraz, kiedy się o nim dowiedziałam, jest mi jeszcze gorzej, bo z trudem mogę sobie wyobrazić, że ktoś mógł się czuć jeszcze paskudniej. Jest mi lepiej, gdy myślę, że jestem wyjątkowa, bo choć straszliwie chora, to jednak niesamowicie silna, zupełnie jak mój brat, potężny Quinn. Nie chcę słyszeć o innych ludziach. I nie chcę o nich czytać. Nie chcę czytać żadnych opowieści o ich zmaganiach z rakiem. Chcę żyć swoim własnym życiem. Potrafisz to zrozumieć?

203- Tak - odparła Joy. - Jak na tak chorą osobę, jesteś zaskakująco wygadana. Wróciły właśnie do domu po pierwszej chemii.

- Prawdę mówiąc, nie czuję się aż tak źle.

Podali jej tylko dwa worki: vepesid i cytarabinę, które sączyły się przez dwie godziny.

Jej radość okazała się jednak przedwczesna, bo po dwóch workach, które zaaplikowali jej we wtorek, poczuła się znacznie gorzej. Mijały dni, a ona nic nie jadła. Nie chciała. Joy nalegała. Nalegała babcia, stojąc nad nią z rosołem z kurczaka. Nalegała Amanda z kawałkami ciasta. Nalegała Annę z tajskim jedzeniem na wynos, za które zapłaciła Lily. Nalegał Spencer, który przyniósł pizzę. Lily zjadła mały kawałek, lecz natychmiast pobiegła do łazienki, by go zwrócić. Joy zagroziła jej drzwi. „Nie możesz zwracać jedyne kęsa, jaki zjadłaś przez cały dzień”. Nie chciała się ruszyć z miejsca. Lily nie miała więc wyjścia; pochyliła się i zwymiotowała na podłogę tuż obok stóp Joy. Spencer odwrócił głowę. Po tym incydencie Joy nie blokowała już więcej łazienki, lecz starała się wynajdywać potrawy, które Lily będzie w stanie zatrzymać w żołądku. A było to trudniejsze, niż mogłoby się wydawać. Po drugim tygodniu chemii Lily zwracała wszystko w poniedziałki i wtorki. Jednak we środę mogła zjeść trochę rosołu z kurczaka. Spencer przynosił go z Odessy.

- Lily, musisz jeść. Sama to rozumiesz. Nie możesz nic nie jeść.

- Nie jestem głodna.

- Nie obchodzi mnie to. To nie jest kwestia głodu, lecz jedzenia. Jedzenie daje siłę.

- Nie jestem głodna.

- To mnie nie obchodzi. Jedz.
- Porozmawiaj ze mną. Wiesz coś nowego?
- Nie powiem ci, dopóki czegoś nie zjesz.

Lily była bardzo ciekawa, więc zdecydowała się wypić trochę rosołu i zjeść kilka krakersów, a potem słuchała Spencera, przez cały czas walcząc z nudnościami. Jeśli leżała nieruchomo na kanapie, nie odzywała się ani słowem i nie kręciła głową, wszystko było w porządku.

Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić? Jak mogę ci pomóc?

Rachel. Paul. Dennis. Rick-jej kierownik, babcia, Amanda, Annę, Spencer.

Wszyscy wołali jednym głosem: JAK MOGĘ CI POMÓC?

Przestańcie mówić o Andrew. Przestańcie. Nie zniosę już ani jednego

204

słowa. Jestem chora, nie widzicie? Ale czasami musi się także zapomnieć o chorobie.

Tylko jak to zrobić?

**31**

### **ZAAWANSOWANE PRZESŁUCHANIE**

Tydzień po powrocie Andrew z Hawajów Spencer pojechał do Port Jefferson, żeby z nim porozmawiać. Zabrał ze sobą Harkmana, który burczał niechętnie coś o innych sprawach, innych śladach, innych dochodzeniach, stosach papierów na biurku i fatalnym samopoczuciu. Spencer zaczął się z nim spierać, lecz szybko dał sobie spokój. To nie miało sensu. Musi coś zrobić z tym Harkmanem.

Potrzebował nowego partnera. Potrzebował swojego przyjaciela Gabe'a McGilla z Wydziału Zabójstw. Jechali do Port Jefferson w kamiennym milczeniu.

Spencer wiedział, że być może będzie musiał sprowadzić Andrew na przesłuchanie na posterunek, lecz aby to zrobić, Andrew należy oficjalnie zatrzymać i oskarżyć.

- Nie ma pan za grosz przyzwoitości? - rzekł Andrew na jego widok. - Nie mogę uwierzyć, że znów pana tu widzę. Powiedziałem panu ostatnim razem, że nie wiem nic o zaginięciu Amy i od tamtej pory nic się nie zmieniło. Czy ma pan pojęcie, co to oznacza dla mojej żony?

- Czy chce pan pojechać z nami i porozmawiać w spokoju na posterunku?

- Po co pan tutaj przyjechał? - Andrew otworzył drzwi.

- Bo mam nowe informacje. Proszę mi wierzyć, gdybym nie miał nic nowego, na pewno by mnie tu nie było.

- Ma pan coś przeciwko mnie - powiedział Andrew. - Ma pan od samego początku. Siedzi pan sobie na stołku barowym i snuje moralizującą gadkę...

Oczy Spencera pociemniały.

- Chwileczkę. Rozmowa na mój temat z kongresmanem Stanów Zjednoczonych bardzo mi pochlebia, ale będziemy rozmawiać o panu. Tutaj czy na posterunku? Wybór należy do pana.

205- Tutaj, ale powtarzam, detektywie, że to ostatni raz. Spencer zrobił krok w kierunku wyższego i tęższego Andrew.

- Proszę posłuchać, kongresmanie - powiedział, niemal przyciskając go do ściany.

- Będę rozmawiał z panem tyle razy, ile będzie potrzeba, a jeśli przestanie pan ze mną rozmawiać, wsadzę pana za kratki za utrudnianie śledztwa, rozumiemy się? I nie obchodzi mnie, ilu wpływowych przyjaciół ma pan w policji.

Andrew nie odpowiedział. Weszli za nim do gabinetu. Zatrzasnął drzwi i usiadł za biurkiem.

- O co chodzi tym razem? - spytał głośno.

Harkman stał obok Spencera z równie gniewnym wyrazem twarzy jak Andrew.

- Czy sześć miesięcy temu kupił pan Amy pasek za sto dziewięćdziesiąt pięć dolarów w butik Ferragamo przy Piątej Alei? - spytał Spencer.

Andrew się roześmiał.

- Naprawdę pyta mnie pan, czy pamiętam zakup paska przed sześcioma miesiącami?

-- Nie. Pytam czy pamięta pan, że sześć miesięcy temu zapłacił pan dwieście dolarów gotówką za pasek.

- Detektywie, naprawdę nie pamiętam.

- Czy to naprawdę ma odróżnić ten zanik pamięci od wcześniejszych?

Twarz Andrew stężała.

- Czy ma pan coś jeszcze poza paskiem?

- Tak. Tiffany, Prada, Guess, Gucci, Versace, Mont Blanc, Louis Vuit-ton. To wszystko prezenty od pana?

- Nie wiem. Niektóre może tak. Ale nie wszystkie. Raczej nie.

- Chodzi mi o to, że bardzo dobrze pan ją traktował, czyż nie?

- Detektywie, a co to ma wspólnego z pańskim dochodzeniem?

- Postaram się panu wytłumaczyć. Nie chcę być niedelikatny i zapytam najuprzejmiej jak umiem - z pewnością nie spędzaliście z Amy czasu wyłącznie na zakupach, prawda?

Andrew nie odpowiedział.

- Pański pociąg z Waszyngtonu wjeżdża na stację, spotykacie się, jecie lunch i co potem? Gdzie chodziliście, kiedy nie popijaliście drinków w barze 57/57 i nie kupowaliście piór Mont Blanc?

- Nie mam pojęcia, o co pan mnie pyta.

- Czy mam pytać bardziej otwarcie? Gdzie chodziliście, kiedy...

206

- Tu i tam. Do hotelu.

- Do Sheratona? Grand Hyatt? Marriotta? Hiltona? Holiday Inn? - rzucił niedbale Spencer.

- Nie pamiętam.

- Nie pamięta pan, gdzie się zatrzymywaliście.

- Nie - odparł wyzywająco Andrew.

Ależ on był twardy. Spencer musiał zaryzykować. Andrew unikał bezpośrednich odpowiedzi, nie pozostawiając mu zbyt wielkiego pola manewru.

- Hmm. Rozumiem. No cóż, Amy ma spory zapas małych buteleczek z szamponem i balsamem z pewnego hotelu. Może będzie chciał pan rzucić na nie okiem i odświeżyć sobie pamięć?

Andrew wciągnął ze świstem powietrze.

- Skoro już pan musi wiedzieć, to spotykaliśmy się w hotelu Four Seasons.

Aha. Kongresman odpowiadał więc zgodnie z prawdą tylko wtedy, gdy został przyparty do muru.

- Four Seasons. - Spencer gwizdnął przeciągle. - Nie miałem pojęcia, że w tym hotelu wynajmują pokoje na godziny.

- Dość już tego!

Wszyscy trzej stali, Andrew z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Harkman pocił się obficie. Nie mógł stać tak długo: puchły mu nogi i tracił w nich czucie. Kwaśny zapach jego potu wypełniał gabinet.

Spencer spojrział ostro na Andrew.

- Wiedział pan doskonale, gdzie się zatrzymywaliście. Dlaczego od razu pan nie powiedział? - spytał cicho. - Pańskie zachowanie wskazuje wyraźnie na utrudnianie śledztwa. Daje mi pan powody, bym wierzył, że ukrywa pan znacznie więcej informacji.

- Detektywie, jak na oficera prowadzącego śledztwo jest pan niezwykle ograniczony. Mam żonę, której nigdy nie zabrałem do Four Seasons! Czuję się bardzo nieswojo, rozmawiając o tym z panem. Może teraz zrozumie pan, dlaczego nie jestem aż tak bezpośredni, jak z pewnością byłbym, gdybyśmy rozmawiali o sporcie lub pogodzie?

- Traktował pan Amy McFadden nadzwyczaj dobrze. - Spencer przyglądał mu się badawczo. Rzeczywiście Andrew miał mnóstwo powodów, by odmawiać odpowiedzi na pytania. Sześćset dolarów za pokój w hotelu, a wszystko ze starej hartfordzkiej fortuny żony. - Pod jakim nazwiskiem meldował się pan w Four Seasons?

207- Odmawiam odpowiedzi na to pytanie - rzucił Andrew. - Kategorycznie.

- Dlaczego?

- Detektywie! - wykrzyknął Andrew. - Nie ma pan pojęcia, jak to będzie wyglądać? Zrezygnowałem już z kandydowania do Senatu. Rozpaczliwie staram się utrzymać pracę i ratować małżeństwo. Pańskie pytania nie pomogą panu odnaleźć Amy, lecz mnie i moją żonę będą bardzo drogo kosztować.

Spencer zauważył brak odpowiedzi na postawione pytanie.

- Pod jakim nazwiskiem? - powtórzył.

- Pod panińskim nazwiskiem żony - rzucił Andrew przez zaciśnięte zęby. -

Zadowolony?

- Nie. Ale teraz nieco lepiej wszystko rozumiem. Kongresmanie, co pan robił w piątek czternastego maja? Jak zwykle przyjechał pan do Nowego Jorku pociągiem, który wjechał na Penn Station o 10.45. Ale w biurze w Port Jeff zjawił się pan dopiero o siódmej wieczorem. Co się z panem działo pomiędzy jedenastą rano, kiedy pobrał pan dwa tysiące dolarów z bankomatu na Penn Station, a siedemnastą trzydzieści, kiedy wyjechał pan do Port Jeff?

- Co się ze mną działo między jedenastą a siedemnastą trzydzieści?

- Dlaczego powtarza pan moje pytania?

- Bo nie rozumiem, o co panu chodzi. Jakie godziny?

- Popołudniowe, w piątek czternastego maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Godziny, które zwykle spędzał pan z Amy w Four Seasons. Sam pan jednak powiedział, że wasz związek skończył się w kwietniu.

- Zgadza się.

- To gdzie pan był czternastego maja? Andrew zaczął się lekko jąkać.

- Naprawdę nie pamiętam. Nie rozumiem, co popołudnie czternastego maja ma wspólnego z całą tą sprawą.

- To sześć godzin w środku ostatniego dnia, kiedy widziano Amy. Oto co ten

dzień ma wspólnego z całą sprawą.

- Chyba mnie pan nie słucha, detektywie.
- Ależ słucham. Jeśli nie był pan z nią, to gdzie pan był?
- Nigdzie. Nie wiem, o czym pan mówi. Myślałem, że nie ma pan pojęcia, kiedy ona zniknęła.
- Wiemy, kiedy widziano ją po raz ostatni. Wsiadł pan z pociągu

208

o jedenastej, pobrał z bankomatu dwa tysiące dolarów, a w Port Jefferson pokazał się dopiero o siódmej wieczorem. Gdzie pan był?

- Powtarzam, że nigdzie. Może poszedłem na zakupy.
- Tam, gdzie chodził pan z Amy?
- Mniej więcej.
- Czy tym razem także wybrał się pan z nią?
- Czy angielski jest dla pana językiem obcym? Mówiłem panu tysiąc razy, że nie widziałem jej w tamten piątek!
- A co pan kupił?
- Co kupiłem? - patrzył na Spencera z niedowierzaniem. - Nie pamiętam.
- Musiał pan coś kupić.
- Zgoda, ale to było cztery miesiące temu. Nie pamiętam.
- Nie ma pan paragonów? Zatrzymał pan pokwitowanie z bankomatu w Port Jeff z tego samego dnia. Czy zatrzymał pan też paragony za piątkowe zakupy? Może są razem z tym pokwitowaniem?
- Nie mam żadnych paragonów, o które pan pyta. Nie pamiętam, w jakich sklepach byłem.

Harkman i Spencer pokręcili głowami. Harkman odezwał się po raz pierwszy.

- Kongresmanie, jeszcze nigdy nie spotkałem człowieka, którego pamięć zawodziłaby tak często. I w tak wielu sprawach. Chyba nie jest pan odpowiednim kandydatem do ustanawiania praw w naszym kraju.
  - Zostawcie mnie, do cholery, w spokoju.
  - Czy aresztowanie pod zarzutem morderstwa pomoże panu odzyskać pamięć?
  - Ile razy mam powtarzać to samo? Nie widziałem jej od kwietnia, kiedy... kiedy skończyliśmy nasz związek. Nie widziałem jej w tamten piątek!
  - To po co pobrał pan dwa tysiące dolarów z bankomatu na Penn Station?
  - Nie mam pojęcia! Pewnie wydałem te pieniądze na zakupy.
  - Zakupy, których pan nie pamięta, w sklepach, których nazwy panu umknęły?
  - Detektywie, zaraz zadzwonię do mojego adwokata i pańskiego przełożonego, gdyż to, co pan tutaj wyprawia, można uznać za molestowanie psychiczne!
  - I wie pan co jeszcze? - spytał Spencer. - Nie wierzę, że mężczyzna, który cztery razy kupuje swojej kochance biżuterię u Tiffany'ego i zabie-
- 209
- grają do Four Seasons, jest tym samym mężczyzną, który nie może sobie przypomnieć, kiedy spotkali się po raz pierwszy, kiedy pierwszy raz się umówili, jak długo trwał ich romans, co jej kupował i jak często ją widywał. Albo jedno jest zgodne z prawdą, albo drugie. Ale nie obie te rzeczy, bo po prostu nie trzymają się kupy. Rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć?
- Nic nie rozumiem. Przestałem słuchać.
  - Spencer, idziemy - powiedział Harkman.
  - Jeszcze jedno.

Spencer spytał Andrew, czy wiedział, że Amy pracowała jako wolontariuszka w schronisku dla ubogich.

- Coś niecoś o tym słyszałem. Ale nie znam żadnych szczegółów. Co z tego? Z pewnością jest jeszcze mnóstwo rzeczy, których o niej nie wiedziałem - odparł Andrew lodowatym głosem.

- Czy wie pan, kim jest Milo? Kongresman zamrużył powiekami.

- Nie.

- Nigdy pan o nim nie słyszał? - Spencer nawet nie poruszył powieką, by nie umknął mu żaden szczegół.

- Nie przypominam sobie. Chyba nie. A kto to taki?

- Właśnie próbujemy się tego dowiedzieć.

Czy Andrew wiedział, kim jest Milo, i nie chciał mu powiedzieć? Spencer już nic nie rozumiał.

- Kongresmanie, jeśli wie pan, kim jest Milo, i uda nam się go odnaleźć, może będzie mógł nam powiedzieć, gdzie jest Amy, a wtedy nie będziemy już panu zawracać głowy. Jestem przekonany, że bardzo by pan tego chciał. Na razie jednak mogę pana zapewnić, że tu wrócę - powiedział Spencer. - Wrócę z nakazem aresztowania.

Wykończony Harkman siedział w samochodzie, zamknąwszy oczy.

- Nie przypominam sobie żadnych buteleczek z szamponem z Four Seasons. Nie widziałem ich w pokoju z dowodami.

- Bo ich tam nie ma - odparł Spencer.

Harkman aż zatrząsł się cały, nie mogąc w to wszystko uwierzyć.

- Staij, ty to masz jaja.

Następnego ranka w nagłówkach gazet aż roilo się od artykułów o kongresmanie i szczegółach całej sprawy.

210

**32**

### **ALIBI ANDREW**

Colin Whittaker wezwał Spencera do swojego gabinetu i kazał mu zamknąć za sobą drzwi.

- O'Malley, czy ci, do cholery, kompletnie odbiło?

Przez szybę Spencer widział spoconego Harkmana, który siedział przy biurku z pełnym zadowolenia uśmiechem na tłustej twarzy.

- Co się dzieje, szefie?

Whittaker był wysoki, szpakowaty, nosił dwa rewolwery i choć nie miał na sobie marynarki, już się poccił, mimo że był dopiero ranek i panował względny chłód.

- Sprawa naszego szanownego kongresmana jest zamknięta.

- Tak jest, a on sam zostanie zamknięty w pudle.

- Powiedział, że przyjechał do niego do domu i absolutnie przekroczył swoje uprawnienia. Że go molestował. Jest gotów pozwać policję do sądu.

- Doprawdy? Wcale go nie molestowałem. Zadałem mu kilka rutynowych pytań, na które, nawiasem mówiąc, odpowiadał z wielkim ociąganiem. Robił uniki, grał na czas, jękał się, wpadał w gniew, powtarzał moje pytania. Jednym słowem, ociągał się. Coś ukrywał. On kłamie, szefie.

- Czy wy dobyłeś od niego informacje, powołując się na dowody, których nie masz?



- Wyciągnąłem z niego prawdę, powołując się na jeden z takich dowodów, zgadza się.

Ależ drań z tego Harkmana. Też mi partner.

Whittaker splótł dłonie, a kiedy się odezwał, zaczął przemawiać spokojnym, dobitnym tonem, jakiego używa się w rozmowach z upośledzonymi dziećmi.

- Spencer, byłem dla ciebie dobry. Nigdy nie wtrącałem się w twoje sprawy, pozwalałem ci robić, co chciałeś, broniłem cię, czasem nawet kryłem. I było warto. Ale obawiam się, że tym razem muszę ukrócić twoje praktyki. Wiesz, kim jest Bill Bryant?

- Nie.

- To emerytowany radny z Nowego Jorku, który stał się biznesmenem i filantropem, przekazującym duże sumy na rzecz instytucji naszego miasta. 211Policja też mu sporo zawdzięcza. Większość nowych kamizelek kuloodpornych, także i twoją, kupiliśmy dzięki jego hojności.

- Wielka mi rzecz! A co on z tym wszystkim ma wspólnego?

- Ma biuro w Carnegie Hall Tower. Przy Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy.

- No i?

- Wczoraj późnym wieczorem Bryant zadzwonił do swojego przyjaciela komisarza policji - komisarza! - i powiedział, że Andrew Quinn odwiedził go w piątek czternastego maja po południu, około pierwszej czy drugiej. Spędzili razem dwie, trzy godziny, poszli na drinka do baru 57/57, po czym Quinn pojechał na Penn Station, żeby złapać pociąg do domu. Nasz radny, który pięćdziesiąt lat pracował na rzecz społeczności nowojorskiej i jest jej bardzo szanowanym członkiem, gotów zeznać to pod przysięgą. Dziś rano przysłał nam potwierdzoną kopię swojego terminarza, w którym własną ręką zapisał nazwisko Andrew Quinna w godzinach od pierwszej do czwartej po południu.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Dlaczego Quinn nie pamiętał o tym wczoraj, kiedy z nim rozmawiałem?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia, co się dzieje w jego obleśnym mózgu. Jeśli jednak ze względu na jakąś szaleńczą teorię, którą wysnułeś, będzie potrzebował alibi na tamten piątek, to je ma.

- Zdobył je akurat dzień po tym, jak go o to spytałem, a wcześniej go nie miał.

- Bo nie pamiętał. Powiedział, że był bardzo zdenerwowany, miał akurat gości i czuł się osaczony.

- Gówno prawda.

- Wiesz co, Spencer? Zawrzyjmy taki mały układ. Póki nie znajdziesz ciała, jego części, zakrwawionych ubrań albo zdjęcia zmarłej w portfelu kongresmana, nie będziesz zakłócał spokoju jemu, radnemu, senatorom, gubernatorowi ani nawet pieprzonemu prezydentowi. Opuścisz sobie po prostu wszystkich polityków, dopóki nie będziesz miał choćby najmniejszego dowodu przestępstwa. Co powiesz na to?

- Szefie! Quinn ma mnóstwo do stracenia. Skąd pan wie, że jej nie zabił, bo chciała rozgłosić wszem wobec prawdę o ich romansie? Może była w ciąży.

Zobaczy pan, on znowu wystartuje do Senatu. Jest zupełnie

212

pozbawiony wstydu. Wie pan, że korzystał z panińskiego nazwiska swojej żony,

żeby przemycić do hotelu kochankę? Z takim właśnie człowiekiem mamy do czynienia.

- Wiem, że parszywie traktuje żonę. Ale od tego są rozwody. Cała reszta to wymysły, spekulacje i podejrzenia. To nie jest sprawa policji. Możemy się tego i owego domyślać, ale nie mamy żadnych dowodów. Nawet poszlakowych! A on ma teraz alibi.

- Może więc nie zabił jej w piątek. Może w sobotę albo w poniedziałek, kiedy wracał do Waszyngtonu.

Whittaker uderzył kilka razy czołem o blat biurka.

- Spencer, ja mówię poważnie. To nie jest Wydział Zabójstw, tylko Osób Zaginionych. Doprowadziłeś do szału połowę Nowego Jorku, a nawet nie wiesz, czy popełniono zbrodnię. Zostaw, kurwa, tego kongresmana w spokoju. Słyszysz?

- Zaaresztujmy go i niech sąd się tym zajmie.

- A za co mamy go aresztować? Za robienie zakupów? On ma niepodważalne alibi! A tak nawiasem mówiąc, jeszcze coś przyszło mi do głowy, bo ty stale o tym zapominasz. Nie mamy cholernego ciała!

- Ale jej też nie mamy! Wiemy, że wybierała się do matki, lecz nigdy tam nie dotarła.

- O tak, zgadza się. - Whittaker zakaszlał i wyprostował się, naśladując występujących w sądzie prawników. - Pani McFadden, proszę nam powiedzieć, jak często rozmawiała pani z córką? Dwa razy w miesiącu? Czasami nawet rzadziej? Czy na Amy można było polegać? Nie, mówi pani? Co takiego? W przeszłości wiele razy obiecywała, że przyjedzie na weekend, a potem się nie zjawiała i nawet nie zadzwoniła, żeby się wytłumaczyć? Nie, to niemożliwe, proszę pani! Całą naszą sprawę zbudowaliśmy na wiarygodności Amy. Nie mogła po prostu nie przyjechać i nawet nie zadzwonić! No nie, to przecież nasz jedyny i niepodważalny dowód na popełnione morderstwo!

Spencer wpatrywał się w swojego przełożonego.

- Skończył już pan, szefie?

- Nie mamy nic, Spencer. Ty nic nie masz. Nie mamy ciała, nie mamy śladów walki w mieszkaniu, nie mamy jej listu, wpisu w pamiętniku wskazującego na Quinna, podejrzanej rozmowy telefonicznej. Nie mamy listu od porywacza, nie mamy krwi na garniturze kongresmana. Nie mamy świadków, płynów ustrojowych, żadnych dowodów! Nie mamy nic! Czas

213ruszyć dalej, przyjacielu. Najwyższy. Masz na biurku osiemnaście spraw dotyczących zaginionych osób i Harkman zaczyna się denerwować.

- Pieprzyć Harkmana.

- Nie chcesz chyba, żebym go awansował przed tobą tylko po to, by go uciszyć? Kiedy Spencer wyszedł z gabinetu, miał ochotę splunąć na podłogę.

Od tamtej rozmowy Colin Whittaker rozpoczynał codzienne zebrania detektywów i policjantów z patroli słowami:

- Dzień dobry państwu. Chciałbym rozpocząć nasze dzisiejsze zebranie od sprawy McFadden prowadzonej przez detektywa O'Malleya. Czy znaleźliśmy ciało?

- Nie — odpowiadali chórem.

- Detektywie O'Malley, słyszał pan? Nie ma ciała. Mamy więc do czynienia z zabójstwem czy z zaginięciem? Detektywie O'Malley, nie słyszałem pańskiej odpowiedzi.

- Z zaginięciem - rzucił przez zaciśnięte zęby Spencer.
- Świetnie. Skoro już to ustaliliśmy, przejdźmy do następnego punktu porządku zebrania.

### 33

#### ŚMIECH

Na początku zaledwie trzeciego tygodnia Lily powiedziała do DiAngela: „Już dłużej nie mogę”. Pomyślała, że nie dosłyszał jej słów, bo zapytał: „Słucham?”.

- Nie mogę już dłużej.
- Przestań. Świetnie sobie radzisz. To nic.
- Mówię poważnie. Ja...

Chciała mu powiedzieć: Jestem stale smutna, nie potrafię się opanować, jest mi źle i nie mogę się otrząsnąć. Smutek nigdy nie chce odejść. A na dodatek atakuje ją ze wszystkich stron.

Na przykład:

Siedzieli razem ze Spencerem na schodach przed jej domem. Dzień był piękny, wokół złościło się babie lato. Obiecując, że wniesie ją na samą górę,

214

jeśli tylko będzie musiał, Spencer jakoś zdołał ją namówić, żeby zeszła na dół i posiedziała przez chwilę w październikowym słońcu. Oboje mieli na sobie dzinsy i dzinsowe kurtki, oboje byli mizerni i bladzi. Głowę Spencerza porastał króciutki język, ona miała niewiele więcej włosów. Siedzieli rozleniwieni, gawędząc o niczym, kiedy nagle zadzwoniła jego komórka. Zanim odebrał, pokazał jej, kto dzwoni. J. McFadden. Lily siedziała w milczeniu, podczas gdy Spencer przez pięć minut rozmawiał z matką Amy. Wyglądało na to, że jest bardzo zdenerwowana.

- Dzwoni do ciebie nawet w niedzielę? - spytała Lily, gdy skończył.
- Dzwoni do mnie codziennie.

Nagle odechciało się jej siedzieć na schodach. Wiedziała, że coś w nim przeskoczyło, kiedy zadzwoniła pani McFadden, i nie myślał już o swoich bratankach ani o jej siostrzenicach, o których wcześniej rozmawiali. Jakby na potwierdzenie, powiedział:

- Jan McFadden zwrócił moją uwagę na stronę jedenastą „New York Post”.

Widziałaś to?

- Nie.
- Ja widziałem. Na Atlantyku znaleziono ciało szesnastoletniej dziewczyny, obciążone łańcuchami, którymi okrzęcono jej stopy.

Lily zamknęła oczy.

- Czy muszę tego słuchać?

Dlaczego Jan McFadden stale czyta gazety? Wydawał się nie słyszeć, co powiedziała.

- Dziewczyna została związana, zakneblowana i uduszona w pokoju motelowym w Delaware, a potem jej ciało obciążone łańcuchami i kamieniami zrzucano z samolotu, który wynajął jeden z zabójców. Zaginęła przed dwoma miesiącami.

Lily milczała, walcząc z nudnościami, starając się odszyfrować ukryte znaczenie.

- Zabiło ją dwóch młodych punków. Wiesz dlaczego?
- Nie chcę wiedzieć.
- Jeden z nich chodził z jej przyrodnią siostrą, która jej nie lubiła. Nie lubiła jej i chciała się jej pozbyć, więc ją zabili.

Lily westchnęła teatralnie.

- A dlaczego to jest takie ważne? Bo większość zbrodni popełniają osoby znane ofiarom? Ludzie im bliscy? A może sądzisz, że powinieneś przeszukać wszystkie motele w Delaware?

- Nie, nie i nie. Ale cieszę się, że spytałaś. Dwaj podejrzani zostali przesłuchani na długo przed znalezieniem ciała. W końcu się przyznali i zostali oskarżeni o morderstwo pierwszego stopnia. To jest bardzo ważne, bo pokazuje, że można prowadzić sprawę o zabójstwo, nie mając ciała. Potrzebne jest tylko przyznanie się do winy.

- Powiedz to swojemu szefowi, nie mnie. - Podniosła się z trudem. - Nie czuję się najlepiej - burknęła, wykorzystując raka jako wymówkę, by nie wracać do sprawy Amy. - Boli mnie gardło. I wiem, co myślisz. A ty wiesz, co ja myślę. Ale nie mogę już więcej o tym słuchać, detektywie o'Malley.

Kiedy indziej próbowała odsunąć od siebie myśli o raku, zastanawiając się nad okropnym położeniem brata, lecz to oznaczało, że musi się odwrócić od Spencera; myśli o bracie oznaczały też, że z konieczności musiała się odwrócić od Amy i ciepłych o niej wspomnień, od jej zniknięcia, od szczęśliwego życia w ich wspólnym mieszkaniu, od dwóch lat bliskiej przyjaźni. Myśli o Andrew oznaczały pojawienie się wrogości w stosunku do Spencera, wrogości tak otwartej, że po rozmowie na schodach Lily poprosiła Joy, by powiedziała mu, żeby nie przychodził przez jakiś czas, dopóki wszystkiego sobie nie poukłada. Była tak żalosna, że nie potrafiła mu sama o tym powiedzieć.

Pojawił się jeszcze jeden niewielki problem. Myśli o ukrywającym się i niewidzialnym Andrew nie potrafiły zastąpić Spencera i jego jakże prawdziwej i poważnej odpowiedzialności za rzeczy, które go przecież nie dotyczyły. A nawet bez Spencera i jego szalonych porównań z Delaware pozostawała jeszcze jedna rzecz: Andrew, jej brat, wiążąc się z Amy, okłamał i zdradził Lily i całą rodzinę. Nic, co powiedział albo zrobił Spencer, nie mogło tego zmienić.

Przy okazji spotkań ze Spencerem-przyjacielem nie można jednak było uniknąć spotkania ze Spencerem-detektywem. Przyprawiał go ze sobą nawet wtedy, gdy przynosił jej rosół i swoje niebieskie oczy.

Nie wiedziała, jak widywać się ze Spencerem, nie myśląc jednocześnie o Andrew i Amy. Przez niego nie mogła zaprzeczyć tak wielu rzeczom w swoim życiu, że często miotała się na poduszce, nie mogąc znaleźć upragnionego spokoju. Była ciężko chora, a osoba, dzięki której czuła się nieco lepiej, była przekonana, że jej brat ma coś wspólnego ze zniknięciem jej najlepszej przyjaciółki. Za nic nie mogła sobie z tym poradzić. Dlatego też zrobiła jedyną rzecz, która pozwoliła jej pozostać przy zdrowych zmysłach. Poprosiła Joy, żeby odseparowała ją od Spencera. Joy odmówiła. Kiedy Lily powiedziała, że to jest nakaz, a nie prośba, Joy odparła:

216

- Chcesz się go pozbyć, a teraz grozisz, że i mnie przepędzisz? I kto ci wtedy zostanie, Lily? Nie chcesz, żeby tu przychodził? Powiedz mu o tym sama.

Z bólem serca nagrała mu wiadomość na pager. Nie próbował dociekać, co się za tym kryje, ale przestał przychodzić i dzwonić. A Lily nie miała sił, by zmierzyć się z życiem.

Nie wyjaśniając nic swojemu lekarzowi, powiedziała:

- Już dłużej nie mogę.

A jakie wyjście z tej tragicznie trudnej sytuacji zaproponował jej dobry pan doktor?

- Powinnaś oglądać wieczorami program Jaya Leno. Oglądaj kanał z komediami. I powtórki starych programów *Saturday Night*.

- Nawiasem mówiąc, zupełnie pozbawione humoru.

- To tylko przykład. Wypożyczaj sobie komedie. Kup odtwarzacz DVD, nowy telewizor, nową kanapę. Wypożyczaj filmy, ale tylko te zabawne. Powiem Joy, żeby pozwoliła ci przeglądać tylko półki z komediami.

- Ona tego nie zrozumie. Nie ma za grosz poczucia humoru.

- Pamiętaj: zabawne. Tylko komedie, Lily.

Postanowiła pójść za radą DiAngela. Z pomocą Joy kupiła absurdalnie drogi, pięćdziesięciocalowy telewizor plazmowy. Powiesiła go na ścianie jak obraz.

Sprawiło jej to wielką przyjemność. Odtwarzacz DVD też był w porządku.

Podobnie jak ciężki pled z szenili za trzysta dolarów. A kanapa z Portery Barn? Cudowna. Miękka, z wielkimi poduszkami. Wszystko z trudertzmieściło się w saloniku.

- Gdybym nie potrzebowała wszystkich pieniędzy na leczenie, kupiłabym sobie mieszkanie przy Park Avenue, o jakim mówiłaś - powiedziała do Joy.

Przed paroma dniami przyszedł rachunek za wrzesień. Z opłatami za szpital, anestezjologa, DiAngela, zdjęcia rentgenowskie, badania krwi, lekarstwa, chemię (nie mogła uwierzyć, że musi jeszcze za to płacić!), kredytem i rachunkami Annę wrzesień kosztował ją czterysta tysięcy dolarów. W tym tempie lepiej, żeby umarła albo wyzdrowiała do wiosny, bo inaczej na pewno pozostanie bez grosza.

- Przeznaczasz pieniądze na dobry cel - powiedziała Joy. - Będziesz spłukana, ale za to przed sobą całe życie.

- Mmmm, co za radość być żywą i spłukaną - odparła Lily.

- Wolisz być martwa i bogata?

217 Lily spędziła resztę trzeciego tygodnia pod ciężkim pledem, oglądając *Tootsie*, *Czy leci z nami pilot?*, *Menażerię*, *Wieczór kawalerski*, *Zemstę Porky 'ego* i *Wielką przygodę Billa i Eda*. Im głupszy film, tym lepiej. Joy raz czy dwa siedziała z nią na kanapie, lecz oglądała film zupełnie tak, jakby to był *Ja*, *Klaudiusz*, a nie *Wieczór kawalerski* - na widok szaleństw wyprawianych na ekranie nie drgnął ani jeden mięsień jej twarzy. Na początku czwartego tygodnia, kiedy podłączyli worek vepesidu, Lily powiedziała DiAngelowi, że filmy wcale nie pomagają.

- Aprobowałaś oglądać program Conana o'Briena? Jest bardzo dobry.

- Doktorze, pan mnie wcale nie słucha. Jej zdaniem, wcale nie o to chodziło.

- Nic nie jesz, Lily. Musisz jeść. O to też nie chodziło.

- Chcesz sobie zrobić tydzień wolnego? Wtedy musimy zacząć wszystko od początku. Znow trzeba by ci podłączyć ciągły wlew z cytara-biny. Tego właśnie chcesz?

- Nie, ale tego też nie.

- Zostało ci jeszcze tylko dziewięć tygodni.

Po czwartym tygodniu wypadły jej wszystkie włosy. Zostały jedynie rzęsy.

- Nie przejmuj się - powiedziała Joy, pomagając jej wyjść z wanny. - Odrosną.

- Mało mnie to obchodzi. Nie będę musiała więcej golić nóg.

W czwartym tygodniu obejrzała *Pół żartem, pół serio*, *Annie Hall*, *Wielkiego dyktatora* i *My Fair Lady*. Ten ostatni film raczej nie był komedią, ale za to jednym z jej ulubionych. Potem przyszedł czas na *Absolwenta*, *Płonące siodła* i *Pogromców duchów*. Odkryła na nowo Billa Murraya i obejrzała *Golfiarzy*, *Szarże*, raz jeszcze *Pogromców duchów*, potem *Pogromców duchów II* i *Dzień świstaka*. Przy tym ostatnim utknęła na dobre. Obejrzała go trzy razy w piątek i trzy w sobotę. W niedzielę, gdy Joy miała wolny dzień, zadzwoniła do Spencera i prawie się jękając, zapytała, czy miałby ochotę przyjść zobaczyć jej nowy telewizor.

Przyszedł, przynosząc colę i piwo korzenne. Włosy trochę mu odrosły. Był jednak tak ponury, że siedząc obok niej na kanapie, wyglądał jak ilustracja piosenki *Posępna niedziela* Sinead O'Connor.

Zaczęli oglądać *Dzień świstaka* i Spencer co chwilę wybuchał śmiechem. Kiedy film się skończył, spytała, czy mogą go obejrzeć jeszcze raz.

218

- Jeśli chcesz - odparł.

W jednej ze scen filmu Bill Murray zwraca się do pewnego gościa w barze kręgielni: „Co byś zrobił, gdybyś utknął w jednym miejscu, każdy dzień był dokładnie taki sam i nic nie mógłbyś zrobić, żeby to zmienić?”. Murray patrzył na swego rozmówcę z kamienną twarzą, a ten odparł: „Tak dokładnie wygląda moje życie”. Spencer spojrział na Lily, wziął z jej kolan pilota i wcisnął guzik STOP ze słowami: „Dobra, chyba na dziś wieczór wystarczy już tego świstaka”.

Siedzieli na kanapie, ona w jednym końcu, on w drugim. W pewnej chwili powiedział, że musi już iść, a ona odparła, że tak będzie najlepiej.

W piątki, kiedy czuła, że może się poruszać, wkładała narciarską czapkę Amy i z pomocą Joy szła do sklepu HMV na Broadwayu lub do Best Buy przy Szóstej Ulicy i kupowała filmy. Nie chciała sobie zawracać głowy ich wypożyczaniem i zwracaniem w Blockbuster. Kupowała je tuzinami. Pewnego dnia w Best Buy zaproponowała Joy, że kupi lodówkę, lecz spotkała się z odmową.

- Na twoim miejscu poczekałabym z takimi zakupami, aż nadejdzie rachunek za szpital za październik.

Październikowy rachunek opiewał tylko na sto tysięcy dolarów. Lily była tym tak podekscytowana, że kupiła Joy lodówkę i piekarnik. Dała dziesięć tysięcy dolarów Annę na kredyt za listopad i dodatkowe wydatki i pięć tysięcy dolarów Amandzie na urodziny dziewczynek. Kupiła drugi pled z szenili za trzysta dolarów, na wypadek gdyby Spencer go potrzebował.

Kupiła wszystkie filmy z działu „Komedia”, nawet *Życie mniej zwyczajne*, który wcale nie wydawał się zabawny. Niekiedy przysypiała na kanapie. Czasami oglądała filmy tylko jednym okiem. Puszczala te same raz po raz, aż obejrzała je w całości. Czasem nawet się śmiała.

W piątym tygodniu usłyszała, jak z ekranu przemawia Steve Martin, zupełnie jakby zwracał się do niej: „Nie oglądasz dość filmów. Znajdziesz tam odpowiedzi na wszystkie życiowe zagadki”. Lily obejrzała więc *Nowych miastowych*, *Umarli nie potrzebują pledów*, *Samoloty*, *pociągi i samochody*, *Człowieka z dwoma mózgami*, *Dwoje we mnie*, *Moje błękitne niebo* i *Samotnego faceta*, by Steve Martin pomógł jej rozwiązać wszystkie zagadki.

- Odpowiedzi należy szukać w *Umarli nie potrzebują pledów* - powiedział

Spencer. - Pamiętasz jak tam jest: „Wszystkie babki są takie same: sięgają ci do gardła, wyrrywają serce, potem rzucają je na podłogę, deptają szpilkami, plują na nie, wrzucają do piekarnika i pieką na miękko. Potem 219krojona małe kawałeczki, kładą na grzance i podają z uśmiechem, oczekując, że powiesz: Dzięki, kochanie. To było pyszne”.

Spencer potrafił być o wiele zabawniejszy od komedii, a już na pewno od *Życia mniej zwyczajnego*.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, że naprawdę w to wierzysz - odparła Lily, śmiejąc się w duchu.

Powiedział, że nie, ale to jednak zabawne.

- Wydaje mi się, że rozwiązania wszystkich zagadek należy szukać w *Wielkiej przygodzie Billa i Teda*, a nie u Steve'a Martina. Bill mówi tam: „Prawdziwa mądrość polega na uświadomieniu sobie, że nic nie wiesz”.

Wcielając się w rolę Teda, Lily odparła:

- Tak jak my, staruszk. Tak jak my.

### 34

#### KOLEJNE STACJE MĘKI

Lily czuje, że jej ciało opuściło duszę, a nie odwrotnie, i na łóżku lub kanapie pozostała tylko dusza. Leży w łóżku i wyobraża sobie przejażdżkę na rowerze w Central Parku lub przedzieranie się na rolkach przez zatłoczone miasto. A także kolejki górskie, diabelskie koła i domy duchów, rwące rzeki i zjeżdżalnie.

Wyobraża sobie pływanie skuterem wodnym, choć nigdy tego nie robiła, nurkowanie, poruszające się nogi i ręce, płuca wypełniające się powietrzem z fajki, wyobraża sobie skakanie z wysokiej skały do morza, do jeziora, jakby nadal była dzieckiem, bujanie się niczym Tarzan na linie nad rzeką, nad jej powolnym nurtem. Grę w softball, w badmintona i tenis stołowy, biegi na czterysta metrów z dwoma zaledwie minutami przerwy na oddech.

Kiedy tylko może utrzymać węgiel w palcach, rysuje, lecz nic się jej nie podoba i natychmiast wyrzuca rysunki. Są takie czarne i smutne. Kiedy tylko może utrzymać długopis, pisze, bawiąc się słowami; pisze krótkie wiersze, próbując swych sił nawet w haiku.

*Śmierć spojrzała na mnie Odpowiedziałam jej spojrzeniem Podszyta fałszem brawura*

220

*Choć życie wzywa mnie skinieniem palca Jestem zajęta spaniem Spaniem nie umieraniem.*

*On stoi w garniturze Podaje mi cukierka i colę Chciałabym żeby usiadł.*

Przewód pokarmowy boli ją przez cały czas. Raz po raz pojawiają się skurcze, zupełnie jakby została otruta.

Spencer przynosi zupę, najbardziej tłusty rosół, jaki potrafi ugotować kucharz w Odessie. Każe jej zjeść do ostatniej łyżki. Wie, że dla niej to trucizna, ale niewiele go to obchodzi. „Jedz”, mówi. Je. Kiedy wychodzi, co jest w końcu nieuniknione, ona idzie do łazienki i - co też jest nieuniknione - wymiotuje. Przy drzwiach stoi Joy i z wyrazem dezaprobaty na twarzy podaje jej wilgotny ręcznik.

Spencer przynosi koktajle waniliowe i truskawkowe. Pije i nic się nie dzieje!

Hurra. Joy musiała mu o tym powiedzieć, bo nagle zjawia się z koktajlami pięć razy dziennie. Przychodzi bardzo często i o różnych porach. Potem jednak psuje

się domofon, dozorca wyjeżdża na wakacje i Joy musi za każdym razem zbiegać z góry, żeby go wpuścić. Szybko staje się to dla wszystkich zbyt męczące i Lily prosi Joy, by dała Spencerowi klucz do mieszkania. Joy zaczęła bowiem pośredniczyć w kontaktach między nimi.

Kiedy, Spencer nie może przyjść, przysyła z dostawą Pedra, chłopca z Odessy, który przynosi jej gołąbki, czerwoną kapustę i sznycle, grecką sałatkę i zupę z małży. Przynosi pudding chlebowy i sernik. Joy siedzi i patrzy, jak Lily nic nie je. Kiedy ona ma następny wolny dzień? Kiedy nareszcie zostawi ją samą?  
- Będiesz sama, kiedy umrzesz - mówi Joy, tak jakby słyszała jej myśli. - Jedz. Spencer miał rację. Bez niej nie dałaby rady.

Amanda dzwoni codziennie. Annę przychodzi raz w tygodniu i zasypuje ją opowieściami o swoich kłopotach finansowych. Lily słucha, po czym wypisuje czek. Czasami się zastanawia, czy nie powinna wysłać siostrze czeku na początku każdego miesiąca, by uniknąć tych narzekań, ale boi się, że jeśli to zrobi, Annę już więcej się nie pokaże.

Babcia odwiedza ją raz w tygodniu - tak jak kiedyś Lily odwiedzała ją.

221Przychodzi, siada przy łóżku, czyta jej gazety lub zasypuje opowieściami o wielkich cierpieniach, o marszach śmierci, o płonących krematoriach, o przerażeniu, głodzie i strachu, o zbrodniach i niegodziwościach, które nie mogą się Lily pomieścić w głowie. Słuchając babci, czuje się nieco lepiej. Dopóki nie mówi się o raku, może słuchać wszystkiego. Babcia pyta, czy chce posłuchać opowieści o Miłości, lecz Lily nie ma ochoty. Nie chce słuchać o Miłości. Sparzyła się.

Nie ja, panowie, nie ja, dziewczęta. Gdybym tylko mogła odzyskać życie, zrezygnowałabym z miłości na zawsze. Albo przynajmniej te minuty, które straciłam na lamentach, żalach, płaczu, minuty, na rozpamiętywaniu chłopaków, którzy mnie zdradzili, przyjaciół, którzy mnie zawiedli, matki, która przestała być moją matką, ojca, który zapominał porozmawiać ze mną przez telefon, mojego ukochanego brata, Boże! Mojego brata, który się przede mną ukrywa. Nie chcę wiedzieć, nie chcę wierzyć. Chcę ŻYĆ!

Chcę być tądziwczynaw czerwonym szaliku z rozwianymi brązowymi włosami, samiotką na Times Square, która patrzy na zakochanych, szczęśliwych, bezdomnych i pragnie choć części tego, co oni mają - ŻYCIE. Z tym wyjątkiem, że teraz dziewczyna stoi i nawet na nich nie patrzy, zamknęła oczy i lekko się uśmiecha, wdzięczna za jej niewielkie, lecz jakże wyraźne ISTNIENIE na Times Square późnym zimowym wieczorem.

Czy Spencer zeszczupłał i zmizerniał, czy tylko ona tak na wszystkich patrzy? Już niczego nie może odróżnić.

Nie, to nieprawda. Nic jej już nie obchodzi. Nie obchodzi jej wiadomości, filmy, polityka. Nie obchodzi jej Amy, Andrew ani matka. Nikt. Myśli tylko o sobie. W szóstym tygodniu wchodzi na wagę - czterdzieści trzy kilo. Na jej twarzy i ciele pojawiają się otarcia i rany. Liście zaczynają opadać z drzew, uwielbia jesień, ale nie może wyjść z domu, nie może pozwolić, by ktokolwiek oglądał ją w tym stanie. W piątek wieczorem wpadają bez zaproszenia Rachel i Paul. Dostrzega przerażenie w ich oczach. Próbują je ukryć, ale bez powodzenia. Kiedy schodzą po schodach, słyszy płacz Rachel.

Nie jest dobrą pacjentką, dobrą ciotką, dobrą siostrą, dobrą przyjaciółką. Z



trudem udaje jej się pozostać Lily.

W niedzielę Amanda zaprasza ją na cały dzień do siebie; Lily żałuje, że nie może zabrać Spencera. Mówi mu przez telefon, żeby nie przychodził po południu i wynajętym samochodem jedzie do Bedford. Sądzi, że ta wizyta dobrze jej zrobi, ale dziewczynki biegają jak szalone, krzyczą, skaczą po niej wbrew głośnym protestom matki i słabym protestom Lily.

222

Po godzinie jest wykończona. Nie ma siły, by iść na plac zabaw, czołgać się po podłodze, grać w gry planszowe ani pomagać przy obiedzie. Nie ma nawet siły rozmawiać. Kładzie się spać w pokoju gościnnym, a potem wraca samochodem do domu i dzwoni do Spencera, który przychodzi wieczorem na kolejny odcinek *Dnia świstaka*.

- Znam już ten głupi film na pamięć - mówi.
- To zabawne, boja mogę go oglądać bez końca.
- Zabawne, Harlequin. Harlequin.
- To dopiero jest zabawne.

Jeszcze tylko osiem wizyt w szpitalu. Jeszcze tylko osiem wizyt, tylko osiem.

A potem ktoś nagle kaszle.

- Kaszel innej osoby jest jak gwóźdź do twojej trumny - powiedział jej kiedyś DiAngelo.

Ciało pozbawione wszelkich przeciwciał zaczyna chorować. Bakterie podróżują od języka do gardła, żołądka, jelit, krwi i płuc.

W płucach zakażenie przeradza się w zapalenie.

Lily, rozpalona gorączką i z krwawiącymi dziąsłami, zostaje przetransportowana helikopterem do Mount Sinai. Przez cewnik zaczynają się sączyć antybiotyki, glukoza, morfina. Ale wszystkie oznaki życia słabną. Ciśnienie krwi jest prawie nieoznaczalne, puls niewyczuwalny.

Nie wie, jak długo leży nieprzytomna, wszystko przypomina jeden długi sen, ale kiedy otwiera oczy, widzi przy swoim łóżku księdza. Patrzy na niego, ojti odpowiada jej spojrzeniem i mówi: „Jesteś teraz bliżej Boga, moje dziecko”, a ona zamyka oczy i myśli: Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, ale nie chciałabym jeszcze być tak blisko - i nie otwiera oczu, dopóki ksiądz nie wychodzi z pokoju.

Trzy, cztery dni później? Trzy, cztery lata później? Dwadzieścia lat później?

Zamiast księdza na krześle przy łóżku siedzi babcia, a obok niej stoją Amanda, Andrew i Annę.

Andrew!

Zatrzymuje na nim spojrzenie, patrzy na niego, chce coś powiedzieć, ale nie może otworzyć ust, w gardle ma rurkę. Znów oddycha za pomocą maszyny. Wyciąga do niego rękę, on podchodzi, chwytając jego dłoń, łzy spływają jej za uszy. On odwraca wzrok nawet w takiej chwili.

Andrew, dlaczego tu przyszedłeś? - ma ochotę krzyknąć. Dlaczego przyszedłeś tutaj, skoro mnie oszukałeś, ukrywałeś się przede mną przez

223tyle miesięcy. Ona zniknęła i ty też zniknąłeś. Zostawiliście mnie oboje, a ja nie wiem dlaczego i jak mam sobie z tym poradzić. Jak sobie poradzić ze wszystkim. *Come all without, come all within...*<sup>1</sup>

W pokoju nie ma Spencera.

Patrząc w oczy babci, w których dostrzega szczególny i niepokojący wyraz - choć

bardzo inny od wyrazu oczu Andrew - prosi o papier i długopis, po czym pisze: „Myślicie, że umrę, prawda?”.

Babcia początkowo nie odpowiada, a potem odwraca wzrok. „Nie, kochanie. Myślę, że wszystko będzie dobrze”.

Lily znów patrzy na Andrew. Dlatego przyszedł! Myśli, że umrę. Moja cała rodzina tak myśli. Ale w oczach Andrew czai się coś jeszcze poza cichym pogodzeniem się z tym faktem. Zupełnie jakby miał nadzieję, że tak się stanie.

Nie wie, co powiedzieć. Chyba już nic nie napisze. Ale nie może.

„Gdzie jest moja matka?” - pisze.

### 35

#### MATKA LILY JEST TUTAJ

George wrócił z plaży o ósmej. Kiedy tylko wszedł do domu, zobaczył Allison na podłodze w kuchni. Z trudem próbowała się podnieść. George przez godzinę spacerował po plaży i pływał. Nie wypalił papierosa, nie wypił kawy, a ona już leżała na podłodze. Choć zasłony w oknach były zaciągnięte, widział ją przez podwójne oszklone drzwi. Zdjął okulary przeciwsłoneczne i podszedł, by jej pomóc. Nie mogła się jednak utrzymać na nogach. Śmierdziała alkoholem.

- Na miłość boską- powiedział i puścił ją.

Nie mogła mówić, tylko mamrotała coś pod nosem. Z ust ciekła jej ślina, a oczy były rozbiegane jak nigdy.

Tego ranka George poczuł wielki gniew do żony i ogromną falę litości dla siebie.

Doszedł do wniosku, że Hawaje wcale nie są dla niego, dla

sześćdziesięciosześcioletniego mężczyzny. Hawaje są dla młodych. Dla

*7 Come all without, come all within / You 7/ not see nothing like the mighty Quinn (Przyjdźcie tu ze wszystkich stron) Quinn the Eskimo (The Mighty Quinn)*  
- fragment piosenki Boba Dylana.

224

tych, którzy lubią nurkować, szaleć na skuterach wodnych, wspinać się na wulkany, jeździć po górach na rowerze. Może dla Lily. To, co sprawiało mu najwięcej przyjemności: wędkowanie z łódki i uprawianie ogródka warzywnego, na Hawajach było niemożliwe. Ajego inna pasja, sport, też straciła zupełnie znaczenie z powodu godzinnego opóźnienia sygnału nadawczego. Na Maui nie było transmisji na żywo, a nie mógł oglądać telewizji satelitarnej, bo nie wolno było instalować anteny na dachu. Postanowił więc poświęcić się gotowaniu. Lecz Allison nie chciała jeść przygotowywanych przez niego potraw. A jeśli już coś zjadła, to zaraz wymiotowała. Gotowanie dla samego siebie nie miało sensu. Zupełnie jak śpiewanie. Lubiał być chwalony.

Allison zwymiotowała na dywan. George nie mógł nawet spokojnie wejść do kuchni, żeby zrobić sobie poranną kawę. Zaklął pod nosem i omijając żonę, poszedł do łazienki. Mył się i golił bardzo długo. Kiedy wyszedł, wymiociny z dywanu były ledwie sprzątnięte i nigdzie nie było widać Allison. Musiała wejść do swojego pokoju. Zajrzał tam, by spytać, czy ma ochotę na kawę. Leżała nieprzytomna na podłodze, a on nie miał dość siły, żeby przenieść ją na łóżko. Niewiele było takich dni, ale czasem zdarzało się, że kładł się na łóżku, zakrywał twarz ramieniem i myślał: Nie mogę uwierzyć, że tak wygląda moje życie.

Dzisiaj musiała wypić więcej niż zwykle, szybciej niż zwykle. Kiedy znów do niej zajrzał, leżała w wymiocinach i jęczała.

- Allison - powiedział. - Pojadę do Nowego Jorku odwiedzić Lily. Dobrze? Pojadę jutro. Słyszysz mnie?

- Umieram -jęknęła. - Nigdy więcej już tego nie zrobię, ale proszę... teraz... umieram. Wezwij pomoc.

Został. Wezwał pomoc. Jakoś udało się jej dojść do siebie.

Allison brała teraz prysznic co trzy dni. Może nawet nie aż tak często. Trudno było powiedzieć, tyle dni spędzała jak we mgle. Nie chciała iść popływać ani na spacer: wstydziła się swoich nieogolonych nóg. Ale dlaczego ich nie ogoliła?

Bo nie mogła się schylić, nie przewracając się przy tym. I nie mogła oprzeć jednej nogi na brzegu wanny, nie tracąc przy tym równowagi. Ostatnimi czasy przewracanie się szło jej najlepiej, więc powstrzymywała się od golenia nóg nie z wyboru, lecz z konieczności, bo pewnego dnia przewróciła się i stłukła zębra. Może nawet któreś z nich złamała. Ale po sześciu tygodniach już tak bardzo nie bolało.

225Drżały jej ręce. Zaczynały się trząść rankiem i nie przestawały przez cały dzień. Drżały, kiedy unosiła szklankę do ust, a papieros trząsnął się w palcach z niepomalowanymi paznokciami. Nie mogła już pisać listów do przyjaciół i nie mogła podpisywać czeków. Robiła to, bo musiała, i nie zważała na to, że podpis był bardzo niewyraźny. Prawie nieczytelny. Ale nie mogła pisać nieczytelnych listów. Z trudem wybierała numer telefonu. Tylko jedna rzecz mogła powstrzymać drżenie rąk. Gdzie ona jest?

## 36

### KOLEJNE STACJE MĘKI LILY

Lily odzyskuje przytomność, znów można wyczuć puls, oddycha samodzielnie, a nawet bierze do ust kęs jedzenia. To jasne! Musieli przecież zrezygnować z chemii, żeby podnieść ciśnienie krwi. Zrobili jej też transfuzję. Kiedy do pokoju wszedł Di Angelo, siedziała oparta o poduszki.

- Świetnie sobie radzisz, Lily. Mówię ci, uporasz się z tym.

- Hmmm - odparła. - Radzę sobie wyjątkowo dobrze, kiedy nie biorę chemii.

Proszę zobaczyć, jem galaretkę. Kiedyś bardzo ją lubiłam. Co pan o tym myśli? Może powinniśmy dać sobie z tym wszystkim spokój? Proszę mi pozwolić wrócić do domu, jeść i kupić tę torebkę Prądy, o której opowiadała mi moja siostra. Powiedziała, że koniecznie muszę ją mieć, jeśli w ogóle mam żyć, nawet bardzo krótko.

Uśmiechnął się.

- Zostało jeszcze osiem tygodni, Lii. Jesteśmy prawie w połowie. Potem będziesz mogła spać w wielkiej torbie Prądy. Jesteś teraz taka chudziutka, że torba wcale nie musi być wielka. Ale przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że ograniczam wizyty. Na jakiś czas.

- Do kiedy?

- Dopóki cię nie wypiszę.

- Ależ doktorze! Przed kim chce mnie pan ochronić? - zniżyła głos. - Poszedł pan w ślady babci i nie chce wpuszczać tu detektywa?

- Tylko on może tu przychodzić - odparł DiAngelo. -1 tylko na dziesięć minut.

Spencer nie przychodzi. Kiedy Lily budzi się następnego dnia, widzi przy swoim łóżku Annę, która przez pięć minut odchrząkuje.

Wreszcie zaczyna mówić.

- Jestem twoją starszą siostrą, Liliput i boli mnie, że muszę ci o tym przypomnieć, ale czuję, że powinnam. Proszę, zrozum mnie. Czy pomyślałaś, choćby nawet przelotnie, o uporządkowaniu swoich spraw? Nawet nie wiesz, jak bardzo byłaś chora.

- Nie wiem? O czym ty mówisz?

- Lily, czy muszę mówić otwarcie?

- Tak, musisz. Jeśli chcesz, żebym zrozumiała.

- Czy myślałaś o testamencie? O pogrzebie? Pomyślałaś choćby o wydaniu odpowiednich dyspozycji?

- O czym?

Annę pyta konspiracyjnym szeptem, czy Lily zastanawiała się nad podpisaniem dokumentu NR dla szpitala.

- Co to jest NR?

- Większość szpitali wymaga, by pacjent podpisał taki dokument, gdyż inaczej będą podtrzymywać go przy życiu za wszelką cenę.

- Bardzo mi się to podoba.

- Przestań się wygłupiać.

- Kto się wygłupia? Naprawdę bardzo mi się to podoba.

- Posłuchaj, kiedy ustaną funkcje życiowe - zaczyna Annę - zapadniesz w śpiączkę i nie ma już żadnych szans, żebyś się obudziła, klauzula NR, nie reanimować, oszczędzi i tobie, i rodzinie mnóstwo bólu. To o wiele bardziej humanitarne. Po tej strasznej chorobie klauzula NR oznacza komfort dla twojej rodziny.

- Annie, jeśli nie robi ci to różnicy, chciałabym, żeby szpital utrzymywał mnie przy życiu za wszelką cenę.

- Nawet jeśli twoje ciało będzie już praktycznie martwe? Będą cię sztucznie utrzymywać przy życiu.

- Jest mi obojętne, jak to będą robić.

- Jak tam chcesz. Chciałam tylko, żebyś wiedziała, jakie masz możliwości.

Niektóre z nich są nieco lepsze dla rodziny.

- Zakładam, że moja rodzina chciałaby, żebym została przy życiu, prawda?

- Oczywiście, ale jeśli nie ma już nadziei...

- Proszę pani! - Do pokoju wpada DiAngelo. - Żadnych wizyt przed osiemnastą. Powiedziałem wyraźnie.

- Ale są właśnie godziny odwiedzin - mówi Annę.

- Raka nie obchodzą godziny odwiedzin - mówi DiAngelo. - On towa-

227rzyszy Lily przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a ona musi odpocząć.

Nie, w ciągu dnia nie mogą przychodzić nawet członkowie rodziny. Nikt. To dla

dobra Lily. I tyle razy już pani mówiłam, że musi pani zakładać maskę. Proszę

wrócić wieczorem, jeśli pani chce. Ale dziś wieczór zabieram ją na tomografię.

Może więc powinna pani przyjść jutro.

Następnego dnia jednak, po zamianie raka na zapalenie płuc, co przedłużyło leczenie do czternastu tygodni, Lily zostaje wypisana ze szpitala i odesłana do domu.

Lily zmusza się do wstania z łóżka. Zmusza się, by je codziennie zaścielać, nawet jeśli potem kładzie się na narzucie i śpi aż do popołudnia. Ale co rano krąży wokół

niego na czworakach i poprawia pościel.

W ósmym tygodniu wstaje tylko po to, by zaścielić łóżko. Poniedziałki i wtorki nie istnieją. Podobnie jak środy. Czwartki mijają we mgle. W piątki ścieli łóżko. W soboty wychodzi na krótki spacer z Joy. Trocheje. W niedziele czyta, bierze kąpiel, śpi, dopóki nie przyjdzie Spencer. Niedziele to jej najlepsze dni, ale potem zawsze nadchodzi poniedziałek.

Amanda wydaje w tym roku obiad z okazji Święta Dziękczynienia i chce, by Lily do niej przyjechała, ale ona nie może. Zepsuje tylko wszystkim zabawę. Daje Joy wolny dzień i mówi Spencerowi, że jedzie do Amandy, ale jest sama. Spencer pojechał na Long Island, by spędzić ten dzień z rodziną. Rachel i Paul też są ze swoimi rodzinami. Wczesnie rano dzwoni Jan McFadden, żeby złożyć Lily życzenia i płacze.

- Ludzie mówią mi takie okropne rzeczy. Powtarzają, że powinnam uważać się za szczęściarę. Bądź wdzięczna, mówią, że masz jeszcze dwoje dzieci.

- Nie wiedzą po prostu, co powiedzieć.

- Pokazują swoje prawdziwe oblicze. Mówią, że nic nie dzieje się bez powodu.

- Wiem. Tego najbardziej nienawidzę.

- Och, Lii, wszystko będzie dobrze, musisz tylko być silna.

Czy to wszystko, co musi zrobić? A może tylko jedna z rzeczy? Pani McFadden też wpada w tę pułapkę i nie wie co powiedzieć.

- Pani także.

Spencer nigdy nic nie mówi z wyjątkiem: „Przykro mi” i „Jedz”. Dlaczego wszyscy inni nie mogą być tacy jak on?

W ciągu tych ostatnich paru miesięcy zupełnie straciła poczucie czasu i teraz, pragnąc pozostać przy zdrowych zmysłach, wiesza zegary na

228

tkazdej ścianie - bijące, z Myszką Miki, cyfrowe, używane, meksykańskie i chińskie, żeby powiedziały jej to, czego nie potrafi powiedzieć umysł. Na przykład, jak długo krew z nosa kapłała do toalety po południu w Święto Dziękczynienia, kiedy nie miała dość siły, by ustać przy umywalce. Chyba sześćdziesiąt pięć minut. Nie potrafi zapamiętać żadnej godziny, o której zaczynają się różne rzeczy. Nic nie pamięta. Musi trzymać numer pagera Spencera przy telefonie.

W dziewiątym tygodniu opadły wszystkie liście z drzew i zrobiło się zimno. Lily nie może jednak włożyć płaszcza i pójść na spacer, bo nie może wyjść z domu, zejść po schodach, nie ma siły, by poruszać nogami. Joy karmi ją domowym rosołem z kury, który przyniosła babcia. Lily walczy, by zatrzymać go w żołądku. Z wizytą wpada Rachel i opowiada, że jak zawsze tyje zimą i że nie ma żadnej dobrej diety, którą mogłaby stale stosować. Lily żartuje, że stała dieta to chyba niewłaściwa nazwa i Rachel też wybucha śmiechem, po czym stwierdza, że chyba jest idiotką, skoro rozmawia z nią o takich rzeczach. Lily pyta, o czym innym mogłyby rozmawiać.

Rachel jest ciekawa, o czym rozmawiają ze Spencerem.

- O niczym - mówi Lily. - Naprawdę - dodaje, kiedy widzi sceptyczny wyraz twarzy Rachel. - O niczym. On siada i oglądamy telewizję. Czasami, kiedy komedia jest zabawna, śmiejemy się, a potem on wraca do domu. Pewnego dnia oglądaliśmy *Sposób na blondynkę*. Wiesz, jaki ten film jest sprośny. Nie mogłam nawet na niego spojrzeć, tak się wstydziłam, ale on śmiał się tak bardzo, że o mało

co się nie popłakał.

- To wszystko?

- Wszystko.

- Nie pyta cię, jak się czujesz?

- Wie.

Lily nie może podejść do telefonu. Nagrywa wiadomość, która ma powiedzieć wszystkim dzwoniącym, jak się czuje, czyli źle. Czasami jednak nawet najbardziej cierpliwi zaczynają się denerwować. „Lily, tu twoja matka. Nie rozumiem. Nigdy nie ma cię w domu... A może jesteś, tylko nie odbierasz. Lily? LILY?”. To z kolei strasznie ją denerwuje. Dlatego też, wbrew jej wyraźnym życzeniom, telefon zaczyna odbierać Joy. Beznamiętnym głosem podaje informacje o stanie zdrowia Lily, po czym informuje rozmówcę, że jej podopieczna śpi. Mówi, że może jej przekazać wiadomość. Zupełnie jak automatyczna sekretarka. Lily bezwiednie czeka na długi sygnał, po którym należy nagrać wiadomość. Otrzymuje więc 229 wiadomości przefiltrowane przez pełną spokoju, oddaną jej osobę, która ma tylko jeden cel - sprawić, by Lily znów poczuła się dobrze. Co by zrobiła bez tej swojej automatycznej pielęgniarki?

Joy nigdy nie mówi, że Lily właśnie wymiotuje w łazience. Albo leży nieprzytomna. Że nie może oglądać telewizji, nie potrafi skoncentrować się nad gazetą. Nie może siedzieć na tyle długo, by rysować. Czasami szkicuje coś węglem, leżąc na boku, i zasypia z twarzą na papierze, a kiedy się budzi, policzki ma czarne od węgla.

Na jej skórze nagle pojawiają się plamy, których nigdy dotąd nie widziała.

Brazowo-czerwone paski są dosłownie wszędzie. Skóra zaczyna schodzić. Doktor DiAngelo mówi, że to skutek uboczny chemii, która spala ją od środka. Lily ma poczucie, że powoli wypala także jej mózg.

Joy znajduje ją zapłakaną w wannie. Leży w różowej wodzie, zabarwionej tak od krwi, która cieknie jej z nosa.

Mówi Joy, jak bardzo jest szczęśliwa, że rozstała się z Joshuą, zanim zobaczył, jak całe jej ciało zaczyna się rozpadać. To coś, za co naprawdę jest wdzięczna - że nie miał okazji porzucić jej, gdy przechodziła przez najtrudniejszy okres w życiu.

Joy wyciera twarz, podaje ręcznik, pomaga jej wstać, wytrzeć się.

- Spencer już czeka - mówi cicho. - Przyniósł ci galaretkę.

Powoli traci mowę. I wzrok. A już na pewno węch, nic już nie czuje. Czy może się aż tak mylić? Czy drzewa rzeczywiście przestały szeleścić na wietrze, czy tylko ona ich już nie słyszy? Nowy Jork powoli cichnie, nie słychać wozów strażackich, samochodów policyjnych, podpite kobiety nie krzyczana swoich chłopaków w niedzielne poranki, zamiast iść w spokoju do kościoła. Nawet one zamilkły. Lily włącza telewizor, siada bliżej.

Blisko cztery miesiące była odcięta od świata. Cztery miesiące.

Niebawem wszystko się skończy.

To jest właśnie światelko na końcu tunelu. Nie życie, lecz śmierć.

**37**

### **MOJA MATKA JEST ZBYT PIĘKNA**

Była niedziela i niebawem miał zjawić się Spencer. Zanim zadzwonił telefon, Lily leżała na łóżku, wyciągnięta jak na krzyżu. Myślała, że śmierć

może wyglądać tak jak ten dzień: chłodny wiatr, złotożółte światło odbijające się od nagich dębów i szarych klonów, przytłumione odgłosy samochodów i niedzielnych spacerowiczów, kot wygrzewający się na oknie po drugiej stronie podwórka, starsza pani w ogródku na dole, popijająca kawę i czytająca gazetę. Po śmierci nie będzie bólu, krwi, wymiotów, słabości. Tylko szczęście i lekkość w sercu...

I wtedy właśnie zadzwonił telefon.

W niebie nie będzie telefonów. Nikt nie będzie przeszkadzał. Nigdy nie będzie się czuło złości ani rozczarowania. Śmierć będzie wieczną niedzielą.

Lily przyznaje, że bez względu na to, jak parszywie się czuła w niedzielę, nigdy nie było aż tak źle, jak myślała.

Może to ojciec. Zawsze istniała taka możliwość.

- Halo? - rzuciła wyczekująco do słuchawki.

- Nareszcie! Odebrała!

To nie był ojciec. Z trudem przyszło jej wydusić następne słowa.

- Cześć, mamó. Jak wyszło?

- Ładnie mnie witasz. Co się stało?

- Nic. Dlaczego pytasz?

Matka nie była pijana, mówiła wyraźnie, bez zacinania się, może tylko jej głos brzmiał zbyt ostro.

- Jak się czujesz?

- Dobrze, dzięki. - Pomyślała przez chwilę, że powinna spytać matkę, jak ona się czuje, ale niewiele ją to obchodziło i nie potrafiła udawać zainteresowania.

- Nie zapytasz, jak ja się czuję? Głęboki oddech.

- Jak się czujesz, mamó?

- Już dobrze. Nie martw się. Guz był łagodny. Lily zamknęła oczy.

- Jaki... guz?

- Ojciec ci nie powiedział? Kłamię na mój temat jak najęty, a nie potrafi podać prawdziwych informacji o stanie mojego zdrowia. A co jest z tobą? Nadal bierzesz tę chemię, czy jak tam się to nazywa?

- Tak. Zostały mi jeszcze cztery cykle.

- I potem wyzdrowiejesz?

- Nie wiem.

231- A co się dzieje teraz? Mówisz, jakbyś połknęła coś paskudnego.

- Nie, nie, wszystko w porządku. Nie powiedziała już nic więcej.

- Chciałam do ciebie zadzwonić - zaczęła powoli Allison - ale byłam naprawdę chora, Lii. Ojciec nic ci nie powiedział... Musiałam iść do szpitala. Zrobili mi prześwietlenie płuc. Myśleli, że mam na jednym jakąś plamę. Boże!

- Ojciec nic mi nie powiedział.

- Wiesz, mogłabyś raz na jakiś czas podnieść słuchawkę i zadzwonić do matki.

Ręka by ci nie odpadła.

- Byłam zajęta, mamó.

- Czym?

- Umieraniem.

- Och, przestań być taka melodramatyczna. Jesteś zupełnie jak ojciec. Powinnaś słyszeć, co on opowiada o Andrew swoim byłym współpracownikom. Stale gada z nimi przez telefon. Udało mu się już prawie umieścić go w Białym Domu, kiedy

ucichło już to całe zamieszanie z zaginioną dziewczyną. Jak się miewa twój brat?

- Nie mam pojęcia.

- Hmm. Do niego też nie dzwonisz. To mi niespodzianka. Wiesz, lekarz powiedział mi, że byłam w depresji. Kliniczna depresja, tak powiedział. Zapisał mi prozac, ale źle się po nim czułam. Stale wymiotowałam.

Lily odsunęła słuchawkę i położyła się na boku, by móc wyglądać przez okno i wachać powietrze. Wdychała je i wydychała, próbując nabrać dystansu. Milczała.

- Mamo, muszę już kończyć.

- Kończyć? Dopiero co zadzwoniłam. Nie rozmawiałyśmy od miesięcy! Dlaczego to robisz? Czy nie dzwonię do ciebie? Nie zostawiam wiadomości?

- Nie wiem. A dzwonisz? - Czy matka naprawdę myślała, że się nagrywa? -

Czasami nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz.

- Nie mam pojęcia dlaczego, przecież mówię po angielsku. No, ale teraz dzwonię. Powiedz mi, jak się czujesz.

- Świetnie.

- Babcia mówi, że się trzymasz. Amanda też. Annie bardzo się o ciebie martwi. Jest bardzo dobrą siostrą.

- Mamo... wiesz, jestem chora od sierpnia, a rozmawiamy dopiero po raz pierwszy?

232

- Nigdy nie odbierasz telefonu! Co się z tobą dzieje? Za każdym razem odnoszę wrażenie, że nie chcesz ze mną rozmawiać. Niezależnie kiedy dzwonię, zawsze przybierasz ten ton.

- Nieprawda.

- Wydaje mi się, że tak jak ja cierpisz na depresję, Lii.

Lily wydała z siebie westchnienie rozpaczy. Gdyby został jej na ciele choć jeden włos, na pewno stanąłby dęba.

- Muszę. Kończyć. Mamo - powiedziała przez zaciśnięte zęby. Idealna niedziela została zniszczona. Nie potrafiła przycisnąć z furią guzika z napisem TALK. Co za rozczarowanie. Cisnęła telefonem prosto w otwierające się drzwi i uderzyła wchodzącego Spencera w goleń.

Podniósł ręce w obronnym geście.

- Au! - powiedział. Odwróciła się do okna.

Oglądali *Historię, z Los'Angeles*, gdyż Lily była przekonana, że właśnie tam znajdzie rozwiązanie zagadki. Nie znalazła. Obejrzeliby więc *Spokojnie, tatuśku*.

Może tam?

- Powiedz mi prawdę. Oglądasz ten film, by znaleźć rozwiązanie zagadki życia, czy tylko dla Keanu? - spytał Spencer.

- Widać to aż tak wyraźnie? - odparła.

Film opowiadał przede wszystkim o ojcach i synach, lecz Lily nie mogła przestać myśleć o matkach i córkach. Kiedy Spencer zapytał, dlaczego się nie śmieje, przycisnęła guzik z napisem PAUZA i odwróciła się do niego.

- Wiesz, na czym polega problem z moją matką? Spojrzał na nią.

- Mówiłaś mi. Ma ich chyba kilka.

- Ona jest zbyt piękna - powiedziała Lily. I co gorsza, zawsze tak uważała. Nie po prostu piękna, lecz piękniejsza od wszystkich. Widziałeś jej zdjęcia z Maui.

- Tak - powiedział obojętnie Spencer.



- I co? Ona nadal jest piękna. Tylko starsza.

- To nie o to chodzi.

Lily doskonale o tym wiedziała.

- Wiem, nie wygląda tak wspaniale jak kiedyś. Ale mówię ci, z pięknymi ludźmi coś się dzieje. Są przekonani, że należy im się coś specjalnego 233od życia, Boga, wszystkich wokół. Uważają, że ich życie musi być lepsze, bardziej burzliwe, szczęśliwsze. W kolorze, nie czarno-białe.

- Wszyscy chcą, by ich życie było szczęśliwsze. Lily pokręciła głową.

- Nie. Nie jak ci piękni. Oni chodzą po ziemi z wysoko uniesioną brodą i myślą, że wielkie szczęście, wielka miłość i wielka radość są ich niezbywalnym prawem. Pasja jest nieodłączną częścią ich życia, podobnie jak władza jest częścią życia ludzi bogatych. - Lily urwała na chwilę. - Zwłaszcza kiedy chodzi o miłość. Piękno i miłość stają się synonimami. Jak zwykli ludzie mogą przeżywać wielką miłość? Nie mogą. Mogą mieć przeciętną, taką sobie, lecz ich serca nie mogą szybować w niebo. Szybować mogą tylko piękne serca.

- Myślę, że trafiłaś w samo sedno - odparł Spencer. - Piękni ludzie nie zawsze mają piękne serca.

- Ale to nie ma najmniejszego znaczenia, nie rozumiesz? Nie zakochujesz się w sercu. Zakochujesz się w twarzy kobiety, w jej ciele, włosach, zapachu. Na to zwracasz uwagę przede wszystkim, cała reszta jest drugorzędna. Moja matka w młodości była tak piękna, że nie rozumiała, dlaczego każdy napotkany mężczyzna nie kocha jej in extremis.

- A twój ojciec?

- Kochał. Ale problem polega na tym, że po blisko czterdziestu trzech latach ona chce, by nadal tak było.

Spencer milczał przez chwilę. Lily myślała, że zastanawia się nad tym, co właśnie powiedziała, lecz jego następne słowa brzmiały:

- Czy Amy była piękna?

- Spencer, na miłość boską! - odwróciła się do telewizora, wcisnęła guzik PLAY i zwiększyła głośność.

Spencer pochylił się, wyjął pilota z jej ręki i wcisnął PAUZĘ.

- Dlaczego zawsze to robisz? - spytała, nie patrząc na niego. - Dlaczego zawsze, ale to zawsze wracasz w rozmowie do tego tematu?

- Bo to robię, a ty mi nie odpowiadasz.

- Tak, była piękna, tak, tak, tak, ale nie chcę o niej teraz rozmawiać. Nie chcę rozmawiać o niej, o nim ani o nich. Nie chcę nawet o nich myśleć, rozumiesz? Zamilkli. Żadne z nich nie włączyło filmu.

- Twój ojciec był przystojny? - zapytał w końcu Spencer. Westchnęła.

- Bardzo. Babcia mówiła mi, że miał ogromne powodzenie u dziew-

234

czyn. Ale mało co się nad tym zastanawiał, wykorzystywał swój wygląd tylko po to, żeby podrywać dziewczęta. O wiele bardziej cenił swój rozum. Był zbyt mądry, by przywiązywać wagę do wyglądu.

- Ale twoja matka...

- Też była mądra, lecz niewiele ją to obchodziło. Kiedy spoglądała w lustro, widziała obraz Botticellego. Widzieli go też wszyscy otaczający ją mężczyźni. Gdy się zakochała w jakimś mężczyźnie przed moim ojcem, była przekonana, że to

będzie trwać wiecznie, ponieważ jej uroda wydawała się wieczna. Kiedy więc on z nią zerwał po kilku zaledwie miesiącach, była wstrząśnięta, nie mogła w to uwierzyć.

- Dlaczego ją rzucił?

- Nie wiem. Nigdy mi o tym nie mówiła. Chyba nikomu o tym nie opowiadała, nawet mojemu ojcu. Ale wiemy jedno, przypaliła sobie nadgarstek dwoma papierosami, żeby jakoś poradzić sobie z tym niezgłębionym odrzuceniem. Spencer uniósł brwi. Lily się uśmiechnęła.

- Mówiłam ci. Jest szurnięta.

- Powiedz mi, do kogo podobny jest Andrew?

- Spencer!

- Dobrze już, dobrze. - Wziął głęboki oddech. - Wiesz, ty im całkiem nieźle wyszłaś.

- Hmm. Nie. Nie sędzę. Milczał przez chwilę.

- A ty uważasz, że miłość przytrafia się tylko pięknym? Zastanawiała się jakiś czas. *Są w tobie takie rzeczy, których nigdy nie mógłbym pokochać.*

- Tak - powiedziała w końcu. - Nie chcę się do tego przyznawać, ale chyba tak uważam. Uwierz mi, nie chcę wcale wierzyć, że Joshua i tak by mnie porzucił, ale nie potrafię odrzucić od siebie myśli, że nie porzuciłby mnie, gdybym była bardziej urodziwa.

- Bardziej nie mogłabyś być - powiedział Spencer. - A czy tamten chłopak nie porzucił twojej matki mimo jej wyjątkowej urody?

- Tak, ale to tylko potwierdziło przypuszczenia mojej matki, że kryje w sobie wielką czarną dziurę, której uroda zakrywa przed światem, ale nie przed jej kochankami. - Urwała. Czy naprawdę powiedział: „Bardziej nie mogłabyś być?”. Patrzyła na niego ze swego końca kanapy, ale on odwrócił się do telewizora. - Andrew w niczym nie przypomina mojej matki - powiedziała, naciskając PLAY. - To odpowiedź na twoje głupie pytanie.

235 Uśmiechnął się.

- Liliput, przestań odmawiać sobie miejsca we wszechświecie, które ci się prawnie należy. Nie chciałabyś mieć niezwyklej urody matki ani jej czarnej dziury. Zobacz, do czego to prowadzi.

Rozległ się dźwięk dzwonka. Ale nie na dole, tylko przy drzwiach wejściowych. Lily nacisnęła PAUZĘ. Była szósta wieczór.

- Czekasz na kogoś? - spytał Spencer.

- Nie. Może to Rachel. Idź zobacz.

Spencer podszedł do drzwi, po czym powoli odwrócił się do Lily.

- Nie wiem, jak to powiedzieć. To twoja rodzina. Zakryła usta dłonią.

- Och, nie! Kto?

- Wszystkie.

- Nie, nie! - Znów rozległ się dzwonek, lecz Lily była tak zakłopotana, że nie mogła nawet wstać.

- Muszę otworzyć, Lily.

- Spencer, one... Wpuścił gości do środka.

O cholera, pomyślała, wiedząc doskonale, jaki wyraz będzie się malował na ich twarzach, jeszcze zanim Amanda, Annę i babcia z półmiskami makaronu, ciastem

i torebkami chipsów ziemniaczanych weszły do środka i zobaczyły Spencera. Rozluźniony, w zniszczonych džinsach, bluzie od dresu i bosi wprowadzał je do mieszkania, w którym poza nim i Lily nie było nikogo.

Nikt, nawet sam Spencer, nie wiedział, co powiedzieć.

Pierwsza odezwała się Lily.

- Babciu, Annie, Mand, pamiętacie detektywa o'Malleya? Milczały nadal, trzymając w rękach półmiski.

Spencer wziął broń, która leżała do tej pory na stoliku, włożył kurtkę i buty.

- Do zobaczenia, Lily.

- Pa.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, niemal się na nią rzuciły. Lily opadła na kanapę. Patrzyły na nią oskarżycielsko, domagając się wyjaśnień, lecz ona nie wiedziała, co powiedzieć. Czy przyszedł tu służbowo, by dręczyć dziewczynę, przechodzącą dziesiąty tydzień chemii? Czy też przyszedł, by chwilę z nią posiedzieć? Co było gorsze?

- Nie wiem, co powiedzieć. Dzięki niemu Joy ma wolne niedziele.

236

- Ze wszystkich ludzi mieszkających w Nowym Jorku, wpuszczasz do swojego domu TEGO mężczyznę?

To była krótka, bardzo sztywna wizyta. Dwadzieścia minut później wyszły i Lily została sama.

**38**

## **RAK SZMAK**

Rodzina Lily przestała się do niej odzywać. Jedynym wyjątkiem była Anne, która nadal do niej dzwoniła, pytając, czy czegoś nie potrzebuje. Lily zmęczonym głosem mówiła:

- Nie. A ty potrzebujesz czegoś?

Amanda przestała dzwonić. Babcia z powrotem zamknęła się w mieszkaniu, podając Joy i swoją agorafobię jako powody, dla których nie musi już odwiedzać Lily. Ojciec nie zadzwonił.

Wszystko wyjaśniła jej matka. Boże, dlaczego w ogóle odebrała ten telefon!

- Wszyscy są na ciebie wściekli - powiedziała pewnego zimnego dnia. - Za to, że związałaś się z tym draniem.

- Jakim draniem?

- Doskonale wiesz, o kim mówię. Czy ty nie masz za grosz wstydu? Nie wspominam już o tym, że mógłby być twoim ojcem. Chce wsadzić twojego brata do więzienia za coś, czego nie zrobił. Twojego brata!

- Wcale się z nim nie związałam. O czym ty mówisz?

- Och, daj spokój. Skończ z tymi gierkami. Dzieli was spora różnica wieku, to prawda, ale ty jesteś dwudziestopięcioletnią kobietą, a nie dzieckiem. On zamierza zniszczyć naszą rodzinę, a ty przyjmujesz go u siebie w domu? To wysłannik diabła. Jest naszym wrogiem. Lily, coś jest z tobą nie tak, jeśli tego nie rozumiesz. Naprawdę, nie masz ani serca, ani sumienia.

- Mamo, o czym ty mówisz? Jestem chora na raka. Spencer przynosi mi jedzenie...

- Och, rak szmak. Nie wykorzystuj raka jako wymówki, Lily, jako broni przeciwko nam. Nadal musisz podejmować mądre decyzje. Dlaczego nie możesz mu

powiedzieć, że twój brat jest niewinny?

- Powiedziałam, ale nie mam siły teraz o tym rozmawiać. Muszę kończyć.

237- Amanda mówiła mi, że żyjesz okropnie. Mówiła, że nie robisz nic, by sobie pomóc, nie wychodzisz z domu, nie ćwiczysz, nie czytasz ani nie malujesz. Nic dziwnego, że się z nim związałaś. Nudzisz się, Lili, ale musisz się zebrać w sobie.

- Zebrałam się, mam. A ty?

- Jak myślisz, dlaczego twój brat nie chce z tobą rozmawiać... Lily odłożyła słuchawkę.

Jak ona mogła to powiedzieć, jak mogła, jak-ona-mogła-to-powie-dzieć.

Położyła się z jękiem na łóżku, próbując zagłuszyć słowa, które wciąż dźwięczały jej w uszach. Matki... znają nas tak dobrze, mają tyle noży... by wbić je prosto w serce.

Po jaką cholere podniosłam tę przeklętą słuchawkę...

Czy odważy się do tego przyznać? Że o wiele bardziej woli matkę pijaną do nieprzytomności i nieosiągalną niż trzeźwą?

Czuła się o wiele gorzej. Cztery miesiące chemii niszczyły ją. Nie cieszyła jej wcale świadomość, że już niedługo wszystko się skończy, gdyż codziennie czuła się tak, jakby wszystko już się kończyło.

Jeszcze tylko dwie chemie. Jedna przypadła tuż przed świętami Bożego Narodzenia.

Lily niechętnie pojechała ze Spencerem - który za nic nie przyjmował odmowy - do domu jego matki w Farmingville. Nie chciała tam jechać i powiedziała, że wybiera się do Andrew, lecz Spencer powiedział:

- Już raz mnie okłamałaś w Święto Dziękczynienia, a potem dowiedziałem się, że siedziałaś sama w domu. Nie będziesz sama w Boże Narodzenie, Lily, koniec dyskusji.

Pojechała.

- Jak im to wytłumaczysz? - spytała w samochodzie.

- Jestem dużym chłopcem. Dlaczego miałbym im cokolwiek tłumaczyć?

Jego rodzina przypominała oddział wojska pozbawiony dyscypliny. Przedstawił ją jako „Lily”. I tyle. Dwie siostry- nie mogła zapamiętać imion - spojrzały przeciągle najpierw na niego, potem na nią i znów na niego. I tyle. Cała rodzina krzyczała, piła, muzyka grała bardzo głośno, dzieci były jeszcze głośniejsze, a dorośli starali się przekrzyczeć i dzieci, i muzykę. Łysa głowa Lily, pozbawiona ochronnej kurtyny włosów, odbijała każdy dźwięk, aż stała się jedną wielką rozpaloną kulą pełną zakończeń

238

nerwowych; jeszcze jeden szept i dojdzie do niebezpiecznego przeciążenia. Dzieci niewiele to jednak obchodziło, koniecznie chciały jej dotknąć, pomimo okrzyków dorosłych, w tym także „wujka Spencera”, by „zostawiły dziewczynę w spokoju!”.

- Wujek Spencer ma już dziewczynę - powiedział ośmioletni Sam, siostrzeniec Spencera, który w przyszłym miesiącu skończy czterdzieści siedem lat. - Jest w Chicago ze swoją rodziną. Mamusia mówi, że przywiózł cię tu tylko dlatego, że masz raka.

- Sammy! -jego matka zrobiła się jeszcze bardziej czerwona niż przeciążona głowa Lily.

Lily się uśmiechnęła. Nie spojrzała na Spencera siedzącego obok niej przy stole.

- Lily, wcale tak nie powiedziałam, wybacz mi, proszę - powiedziała matka, rzucając pełne wściekłości spojrzenia synowi, którego kiedyś najwyraźniej kochała.
- Nie przejmuj się - odparła rozbawiona Lily. - Naprawdę. Sammy, twoja mama ma rację. Twój wujek przywiózł mnie tu tylko dlatego, że mam raka. Przy stole na chwilę zapadła grobowa cisza, po czym wszyscy zabrali się do jedzenia indyka. Lily jadła z radością, poprosiła najpierw o jedną dokładkę, potem o drugą, po czym zwróciła wszystko w białej, czystej łazience należącej do siedemdziesięciosiedmioletniej matki Spencera.
- To tylko dziecko - powiedział Spencer, gdy w milczeniu wracali do domu. - I to nieprawda.
- Och, mało mnie to obchodzi.
- To co jest?
- Nic.
- Daj spokój, mamy Boże Narodzenie.
- Wiem, mówiłeś mi. Dziękuję panu bardzo za dobry świąteczny uczynek, detektywie O'Malley.
- Ach, więc jednak to cię obchodzi.
- W najmniejszym stopniu. Ale to prawda.
- Lii, co się dzieje? Bo coś się dzieje, prawda? Nie odpowiadała.
- Co jest?
- Wiesz, chętnie pojechałabym dziś do Andrew, gdzie zebrała się cała 239moja rodzina. A wiesz dlaczego tego nie zrobiłam? Bo mnie nie zaprosili. Amanda powiedziała: „Lii, w zaistniałych okolicznościach lepiej by było, żebyś nie przyjeżdżała. Rozumiesz, prawda? Niech to wszystko trochę przycichnie”.
- Przepraszam. To moja wina.
- Tak, chciała powiedzieć. To twoja wina. I moja. Kiedy Spencer nie odzywał się przez chwilę, powiedziała:
  - Sana mnie bardzo źli.
  - Wiem.
  - Nie wiesz. Nic nie rozumiesz.
  - Nie?
  - Jasne, że nie! Myślą, że ich sprzedałam.
  - Komu? - Odwrócił się tak gwałtownie, że o mało co nie zjechał z drogi. - Mnie? Chyba żartujesz. Czy powiedziałaś im, że jesteś najgorszym świadkiem, jakiego miałem? Że jako świadek jesteś beznadziejna, masz najgorszą pamięć, nic nie możesz sobie przypomnieć, a to, co pamiętasz, i tak zachowujesz dla siebie. Powiedziałaś im to?
  - Nic ich to nie obchodzi, zresztą i tak mi nie wierzą.
  - Jakim cudem obwiniasz więc siebie?
  - Och, Spencer. Tu wcale nie o nich chodzi.
- Zamilkła na chwilę. Tu chodzi o ciebie. Myślała, że mają rację. Matka też miała rację. W ten świąteczny dzień czuła się źle, przebywając w towarzystwie irlandzkiego katolika, który chciał wsadzić jej brata do więzienia. Jak do tego doszło? Jak to się stało, że jej brat wywrócił całą rodzinę do góry nogami, a wina spadła na Lily?
- Nie wiem, o co się tak wściekają- powiedział Spencer. - Nie rozmawiałem z nim

od miesiąca. Nie dzwoniłem, nic nie zrobiłem. Jestem zajęty innymi sprawami. Boże Narodzenie to najgorszy okres dla mojego wydziału. Zbyt wiele osób przepada jak kamień w wodę, a rodziny chcą je odnaleźć. - Zawiesił głos. - Większość rodzin pragnie być w święta ze swoimi najbliższymi.

- Och, daj spokój. Przestań osądzać moją rodzinę. Chcesz, żebym opowiedziała ci coś o moim bracie? No chcesz?

- Nie! Chcę, żebyś pogodziła się z rodziną. Pogodziła z samą sobą.

- Chcesz posłuchać czy nie? To ci nic nie pomoże, ale posłuchaj mimo wszystko - powiedziała cichym, drżącym głosem. - Wiele lat temu, kiedy Andrew chodził jeszcze do college'u, co drugi weekend przyjeżdżał do domu z Cornell i w niedzielę przed powrotem na uczelnię zabierał mnie

240

do Nowego Jorku. Miał dwadzieścia lat, a ja trzy. Zabierał mnie do Muzeum Historii Naturalnej, do Met i do Muzeum Guggenheima. Zabierał mnie do kina, na lody do Serendipity, do Cloisters, Bartery Park, Empire State Building i do Twin Towers. Uczyłam się kochać Nowy Jork, bo on pokazywał mi go przez cztery lata pełne wspólnych niedziel. W metrze trzymał mnie za rękę i niósł mnie potem do domu. Był na prawie, a ja miałam siedem lat, kiedy wypuściliśmy się razem po raz ostatni. Też przyniósł mnie do domu. Potem ożenił się i był bardzo zajęty, widywałam go coraz rzadziej, ale nadal zabierał mnie na lunch, do kina, na kolację. Dzwonił do mnie, często rozmawialiśmy. Nigdy nie odstawił mnie na boczny tor, tak jak teraz.

Widziała, że Spencer zaciska ręce na kierownicy. Wpatrywał się posepnym wzrokiem w drogę.

- Nie możesz zrozumieć, że go uwielbiałam. Jego związek z Amy uważałam niemal za kazirodztwo. Równie dobrze mogła być moją siostrą i romansować z moim ojcem. Andrew wie, że popełnił straszną zdradę. Nie może spojrzeć mi w twarz. Dlatego mnie nie odwiedził. Wcale nie z powodu tych okropnych rzeczy, które wygaduje moja matka, i nie z powodu twoich głupich i zupełnie błędnych podejrzeń!

Drżała na całym ciele. Z nosa zaczęła jej cieknąć krew. Spencer uniósł dłoń.

- W porządku, Lily.

- Co w porządku? - wrzasnęła. Nadal trzymał uniesioną dłoń.

- Jesteś chora, masz raka, a ja nie zamierzam drążyć z tobą tego tematu. To po prostu niemożliwe. To miałem na myśli, mówiąc w porządku, Lily. Uspokój się. Co powiedziała, gdy już się uspokoiła i wytarła krew z twarzy?

- Och, rak szmak.

Resztę drogi przebyli w milczeniu, a kiedy próbował pomóc jej wejść po schodach, powiedziała, że czuje się świetnie i nie potrzebuje więcej niczyjej pomocy. On jednak położył jej dłonie na ramionach i spojrzał prosto w oczy.

- Wiesz co? Kiedy już wejdziemy razem po schodach, może będziesz czuła się świetnie, ale za nic nie puszcę cię na górę samej, więc daj sobie spokój z tymi bzdurami.

Zamilkła. Nie mogła wejść na samą górę bez jego pomocy. Musiał ją wnieść na ostatnie piętro.

241 Kiedy znaleźli się w mieszkaniu, spytał czy chce, żeby został.

- Nie! - powiedziała.

- Wesołych świąt - rzucił i wyszedł.

Przedostatnia chemia wypadła pięć dni przed Nowym Rokiem. Joy wzięła wolny dzień, by powitać nowe tysiąclecie. Babcia niechętnie zaprosiła Lily do siebie na noc, ale ona odmówiła. Czuła się okropnie, z nosa stale leciała jej krew, a poza tym nie mogła znieść ani jednej wzmianki na temat Spencera, który zniknął w ostatnią sobotę tysiąclecia. Nie miała pojęcia, gdzie jest. Nie zaproponował, że do niej przyjdzie, a ona go o to nie prosiła. W sylwestra zjawiała się Rachel z Paulem. Przynieśli szampana i błagali ją, by poszła z nimi na odlotową imprezę w Palladium, lecz ona nie mogła się podnieść z zaścielonego łóżka. Siedzieli z nią przez godzinę, a o dziesiątej poszli bez niej, zostawiając przy łóżku kieliszek szampana.

Lily przespała północ 2000 roku, lecz zostawiła otwarte okno, by przez sen słyszeć korki od szampana strzelające w innych oknach, w innych pokojach.

**39**

### **LARRY DIANGELO JAKO IMHOTEP**

- Detektywie o'Malley, potrzebuję pańskiej rady- powiedział doktor DiAngelo.

- Co się dzieje? Jakie są wyniki biopsji?

Był pierwszy tydzień nowego roku i Lily skończyła właśnie ostatnią chemię.

- Wyniki są w porządku. Nawet świetne. Jej szpik kostny jest czysty. Krew też. Wyniki morfologii nadal są bardzo słabe, ale to mnie nie martwi. Poradziła sobie z tym doskonale.

Przekazując takie wiadomości, lekarz z pewnością powinien wyglądać na bardziej zadowolonego.

- Skąd więc ta zaszepiona twarz?

- Chodzi o to... - DiAngelo zakaszczał. - Lily ma pozytywne wyniki testu na obecność w komórkach białaczkowych markera białkowego zwanego antygenem CD56.

242

- Co to oznacza? Pozytywny wynik jest dobry czy zły?

- Ten genetyczny marker jest przyczyną oporności na chemioterapię. Jedna czwarta wszystkich pacjentów chorujących na ostrą białaczkę szpikową ma pozytywny wynik badań na obecność tego białka.

- Ono chroni komórki białaczkowe przed chemią?

- Tak. Choć udało nam się usunąć je z organizmu, obecność CD56 sygnalizuje możliwe problemy z remisją.

- Jakie problemy?

- Krótka remisja, przeciągające się nawroty, coraz gorsze rokowania.

Spencer słuchał w milczeniu, patrząc lekarzowi prosto w oczy.

- Dowiedział się pan o tym przed chwilą? - zapytał.

- Wiem to od jakiegoś czasu, mniej więcej od miesiąca. Ale nie było sensu mówić, bo ostatnie tygodnie miała takie trudne.

- Jakiej rady oczekuje pan ode mnie? - spytał Spencer.

- Czy mam jej o tym powiedzieć? Rozmawiałem z nią szczerze o całym przebiegu leczenia. Ona tej szczerości ode mnie oczekuje, ale tak dużo już przeszła.

Spencer przerwał mu gwałtownie.

- Proszę jej nie wspominać o tym ani słowem. Wejdzie pan do niej, uśmiechając się od ucha do ucha, wypisze ją pan do domu i będzie traktował tak, jakby miała

żyć wiecznie.

DiAngelo się uśmiechnął. Rozumiem.

Lily rozmawiała z Marcie, gdy do pokoju wszedł DiAngelo z szerokim uśmiechem na twarzy.

- No, Liliannę Quinn, udało ci się. Spójrz tylko.

Pokazał jej coś na karcie. Starła się zrozumieć, jak bardzo jest to ważne.

Zobaczyła dwie cyfry - dzięki temu życie stawało się o wiele bardziej interesujące.

Na dodatek, kiedy się je podwoiło, robiły jeszcze większe wrażenie. Liczba płytek krwi - 74. Pomnożone przez dwa dawały wynik 148-0 wiele lepszy.

- Co ze mnie zostało?

- Zaskakująco niewiele - powiedział radośnie. - Ale okazuje się, że to wystarczy.

Płytki krwi: 74, a w zeszłym tygodniu było tylko 48. To bardzo dobry wynik.

Jesteś czysta.

- Biopsja jest w porządku?

243- Tak. Spencer już czeka, żeby zabrać cię do domu. Marcie pomoże ci się ubrać.

Marcie pocałowała ją w głowę.

- Widzisz, sreberko? Mówiłam ci, że wszystko pójdzie świetnie.

- Wracam teraz do domu i co dalej?

- Dobrze pytanie. Co wtorek będziesz tu wracać na badanie krwi.

- Jak długo?

- Co jak długo?

- Jak długo będę musiała tu wracać?

- Pięć lat.

Spojrzała na niego przeciągle, by sprawdzić, czy żartuje.

- Raz w tygodniu przez pięć lat?

- Nie, raz w tygodniu przez następne sześć miesięcy. Potem raz na dwa tygodnie.

Po roku raz w miesiącu. Za trzy lata, co trzy miesiące. Rozumiesz?

Nie była pewna.

- Jakieś pytania?

- Dlaczego we wtorek? A nie w poniedziałek? DiAngelo się uśmiechnął.

- To na wypadek, gdybyś zaszalała w czasie weekendu. Chcę, żeby twoje ciało wróciło do równowagi, zanim zrobimy badania.

Marcie uszczypnęła ją lekko.

- Widziałam tę twoją przyjaciółkę, Rachel. Wygląda na to, że wy dwie potraficie nieźle zabalować.

- Kiedy poczuję się lepiej? - dopytywała się Lily.

- Nie takie pytanie powinnaś mi zadać - odparł DiAngelo.

- Nie?

- Nie.

- Dlaczego czuję się jak kupa gówna, przepraszam za określenie?

- Wyczyściliśmy twój organizm ze wszystkich złych komórek, ale przy okazji zniknęły też i te dobre. Nie przejmuj się. Daj sobie kilka tygodni, miesiąc.

Wyrośnie w tobie zupełnie nowa Lily. Ale unikaj miejsc publicznych. Mnóstwo w nich zarazków.

- Czy wyrośnie we mnie także i nowy rak?

- Nie powinnaś sobie zadawać takiego pytania - rzucił szybko DiAngelo.



- Sama już nie wiem, jakie pytania powinnam zadawać.
- Pozwól, że odpowiem na te pytania za ciebie.

244

- Ale nie wiem, jak one brzmią.
- Cierpliwości - powiedział. - Czy mówiłem ci, że w zeszłym roku wszczepiono mi pięć bypassów? Nie? No to wszczepiono. Nikt nie może uwierzyć, że wróciłem do medycyny. Moi lekarze byli przekonani, że już nigdy nie będę chodził.
- Ale pan zawsze wpada do szpitala prosto z bieżni!
- Tak, bardzo chcę im udowodnić, że nie mieli racji.
- Nie wiem...
- Udowodnij, że ja nie miałem racji - powiedział DiAngelo. - Udowodnij, że statystyki się mylą. Dokonaj niemożliwego. Nawet teraz leżysz w łóżku, bo nie możesz się ruszyć. Nie potrafisz sobie tego wyobrazić. Rusz się, Lily. Udowodnij samej sobie, że nie miałaś racji.
- Aleja naprawdę nie mogę się ruszyć.
- No cóż, ja też muszę się teraz ruszać trochę wolniej. Nie mogę przyjmować tylu pacjentów co dawniej. Nie mogę się aż tak bardzo angażować. - Poklepał się po piersi. - Ta stara pikawka już tego nie wytrzyma.
- Lekarz-onkolog z zepsutym sercem? - Lily uznała to za zabawne. Uśmiechnęła się.
- Śmieję się, ile chcesz, ale powiedz mi coś o sobie. Lubisz biegać? Zesztywniała, przypominając sobie Amy.
- Nie. Czy tak brzmi to pytanie?
- Nie.
- Doktorze, wprawia mnie pan w zakłopotanie.
- Chcesz, żebym powiedział ci coś o sobie?
- Jeśli pan chce.
- Na każde wybory robię sobie listę moich własnych kandydatów. Podczas ostatnich głosowałem na George'a Burnsa. Skąd miałem wiedzieć, że nie żyje od dziewięciu miesięcy? Co jeszcze? Moja żona numer pięć uważała, że jestem zbyt wrażliwy. Żona numer cztery ma mnie za nieczułego drania. Zgadza się, Marcie?
- Tak jest, doktorze.
- Żona numer jeden... ach. To dopiero było coś. Miała nogi aż do nieba. Żeniąc się z nią, myślałem, że będę miał prawdziwe szczęście, jeśli uda mi się ją przy sobie zatrzymać na czas miesiąca miodowego. Miałem rację. Poznała kogoś w klubie fitness, gdy byliśmy w St. Croix.
- A żona numer dwa?
- Która?

245- Rozumiem. Ale jeśli jest pan aż tak okropny, to dlaczego obecna żona wyszła za pana?

- Chyba sama tego nie wie. Rozwodzi się ze mną dla pieniędzy.
- Och. Rozwodzi się pan?
- Od dwóch lat. Nawet rozwód mi się nie układa. Lily wybuchnęła śmiechem.
- Mój czas skończył się w zeszłym roku - powiedział. - Teraz żyję na kredyt. Podobnie jak ty. Posłuchaj, jak brzmią twoje dwa pytania. Starożytni Egipcjanie zadawali je sobie, by określić, jakie życie czeka ich po śmierci.
- Po śmierci?

- Pierwsze z nich brzmiało: „Czy dawałeś radość?”. A drugie: „Czy znalazłeś radość w życiu?”.

Lily nie spuszczała z niego wzroku.

- Chyba pan żartuje.

- Zainteresowałem się filozofią dość późno - odparł. - Do niedawna moim jedynym hobby było wędkarstwo. Nawiasem mówiąc, samo w sobie jest transcendentalne, ale to już zupełnie inna sprawa. - Wstając z krzesła, zapiał dres. W ręce oprócz karty Lily trzymał czapeczkę Yankees. - Wstawaj z łóżka, Lily. Wracasz do domu. Nie obchodzi mnie, jak bardzo jesteś chora. Wstawaj i żyj swoim życiem na kredyt. Idź szukać radości. I idź ją rozdawać.

*CZEŚĆ III*

**KONIEC GRY**

*Okazuje się więc, że (wprawdzie rzadko) miłość może znaleźć dostęp nie tylko do serca, które stoi otworem, lecz również do serca, które jest dobrze obwarowane, jeśli nie ma dość czujnej straży.* Francis Bacon (przekład Czesław Znamierowski)

*Dążność każdej rzeczy do zachowania swego bytu nie jest niczym innym, jak treścią czynną tejże rzeczy.* Benedykt Spinoza (przekład Ignacy Halpern-Myślicki) **40**

**LILY JAKO STAROŻYTNA EGIPCJANKA**

Joy odeszła. Lily znalazła radość, ale skoro nie była jej już potrzebna, spakowała rzeczy, wzięła czek, uściśliła swoją wychudzoną podopieczną i poszła. Lily została sama w mieszkaniu, sama z niedużą torbą ze szpitala i małymi węglami do szkicowania. W poniedziałek i we wtorek nie czekała jej już chemia. Pozostałe dni tygodnia też nie będą mijać jak we mgle.

Nie będzie już oglądania komedii ze Spencerem? Po świętach Bożego Narodzenia nadal panowało między nimi napięcie. Nie rozmawiali o rzeczach, które to napięcie jeszcze potęgowały; tak było o wiele lepiej.

Była druga po południu. Czy czuła głód? Może chciało się jej pić? Spać? Czy powinna wziąć prysznic, obejrzeć film, włożyć płaszcz? Był styczeń i ziąb panował okropny.

Co teraz?

Co teraz?

Co teraz?

Położyła się na łóżku, ale nie poczuła zadowolenia. Poszła do drugiego pokoju i położyła się na łóżku Amy, ale ono stało się już łóżkiem Joy. Wróciła więc na swoje, otworzyła okno, by wpuścić do pokoju świeże powietrze, i wyjrzała, żeby rzucić okiem na parę, którą kiedyś szkicowała. Parę, która kochała się przy odsłoniętych żaluzjach.

Żaluzje były spuszczone, kot zniknął.

Zaparzyła herbatę, pierwszą, jaką zrobiła sama od czterech miesięcy, usiadła na kanapie, włączyła telewizor i zaczęła bezmyślnie przerzucać 249kanały. Nie znalazła nic interesującego poza wiadomościami i łzawym melodramatem.

Historia mężatki noszącej dziecko innego mężczyzny bardzo ją wciągnęła. Czy powinna powiedzieć mężowi? Najwyraźniej był najzwyczajniej wyrozumiały, ale czy potrafi zrozumieć coś takiego? Lily zasnęła jednak, zanim zdążyła się

dowiedzieć, jak skończyła się ta historia. Zasnęła, siedząc na kanapie z pustą filiżanką na kolanach.

Kiedy się obudziła, było ciemno, telewizor był nadal włączony, a obok niej siedział Spencer.

- Spencer? - szepnęła. - Joy sobie poszła.

- Wiem. Znalazła już dorywczą pracę u kogoś innego.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Spencer zabrał filiżankę i przykrył Lily kocem.

- Czy twoja rodzina ci pomoże, Lii?

- Już nie potrzebuję ich pomocy. Dam sobie radę sama.

- Nie chcę, żeby się na ciebie gniewali z mojego powodu. Nie jestem tego wart.

- Wiem. Stale im to powtarzam.

- Bardzo śmieszne, Harlequin. Ale powiedz im, że przestałem przychodzić.

Powiedz, że robiłem to tylko dlatego, że byłaś chora, ale teraz już czujesz się lepiej i świetnie sobie radzisz beze mnie.

Jeśli to była prawda, to dlaczego czuła się tak totalnie i rozpaczliwie uzależniona od niego i Joy?

Siedział na kanapie, oglądając Johna Goodmana w powtórce starego programu *Saturday Night Live*, a ona walczyła ze snem.

- Spencer?

- Tak? - przyciszył telewizor. - Co mogę ci podać?

- Nie, niczego nie potrzebuję. Chciałam cię tylko o coś spytać. Myślisz, że znalazłeś w życiu radość?

- Co takiego?

Opowiedziała mu o filozoficznych ciągotach DiAngelo. Zastanawiał się przez chwilę.

- No cóż. Moją odpowiedzią może być pełne wahania tak. W mojej pracy trudno o radość. Podobnie jak u twojego egipskiego lekarza. On zbyt wiele widzi.

- Jak ty?

- Hmm.

- Ale mimo wszystko?

250

- Tak. Mimo wszystko. Na chrztach moich dzieci chrzestnych. Jestem ojcem chrzestnym sześciorga spośród moich trzydziściorga siostrzeńców i bratanków. Świetnie się też bawiłem na ślubach moich braci i sióstr. -Urwał na chwilę. - Kiedy grałem ostro w futbol na trawniku naszego domu w Farmingville ze starszymi braćmi, a oni nieźle mnie objali. Kiedy w każdą niedzielę grałem w piłkę nożną w policyjnej lidze piłkarskiej w Hanover. I jest mi bardzo dobrze, kiedy przyjeżdżam do domu na święta, mama krząta się wokół mnie, ja oglądam z ojcem mecz w telewizji, a dzieciaki pchają mi się na kolana. I panuje straszliwy harmider. Ale taki radosny. W moim mieszkaniu zawsze panuje wielka cisza, dlatego lubię, jak jest głośno. Lubię też lato. Za to nienawidzę zimy. Chciałbym mieszkać gdzieś, gdzie przez cały rok panuje lato. Co jeszcze? No, lubię też wieczory kawalerskie. - Uśmiechnął się szeroko. -A byłem na kilku... Jak to ująć?... Bardzo wesołych. Lubię też nasze policyjne turnieje gry w kręgle. Jest bardzo zabawnie. Chłopaki najpierw zalewają się w pestkę, a potem grają. Trzeba to zobaczyć na własne oczy, żeby uwierzyć.

Lily słuchała uważnie.

- Odpowiedziałem na twoje pytanie?
- Hmm.
- Aty?

Ale ona już zasypiała. Kiedy się obudziła, był już ranek i Spencer zniknął. Czwartek, 6 stycznia 2000 roku. Pierwszy dzień reszty jej życia. Będzie się musiała nauczyć żyć na nowo.

W porządku.

Co teraz?

Co teraz? Słowa te splotły się nierozzerwalnie z „nie jestem splukana”, co stanowiło sporą pociechę dla udreżonego chorobą umysłu i ciała. Nie jestem splukana, więc co teraz? Co teraz, kiedy nie jestem splukana? Żyję i nie jestem splukana, więc co teraz?

żyję-

Zadzwoiła babcia.

- Mamy czwartek. Nie wybierasz się do mnie? Odparła, że może odwiedzi ją w następnym tygodniu.

We wtorek musiała wrócić do szpitala na badanie krwi. Joy, choć pracowała już dla kogoś innego, przyszła, by ją tam zawieźć. Kiedy Lily zaczęła protestować i powiedziała jej, że nie musi już więcej przychodzić, odparła:

251- Ale chcę. Robię to jako twoja przyjaciółka, podobnie jak Spencer. Nie musisz mi płacić.

DiAngelo pobrał jej krew osobiście. Jak on się tym przejmuje, pomyślała Lily. Zwykle to pielęgniarki pobierają pacjentom krew. Gdzie jest Marcie? Ale doktor D. jest taki zaangażowany, taki dokładny.

Potem jednak dostrzegła nową spódnicę Joy, nowy makijaż i lekką zadyszkę DiAngelo, która zdradziła przyspieszone bicie serca. Wyniki badań były dobre - choć czas oczekiwania to najmniej przyjemna rzecz, jakiej doświadczyła Lily w pierwszym tygodniu swojego nowego życia. Joy uśmiechnęła się, zarumieniona, DiAngelo też się uśmiechnął, lecz nie do Lily; do pokoju weszła Marcie i mocno ją uściskała, podczas gdy Lily przyglądała się z niedowierzaniem całej trójce.

Odczuwała nudności i nie miała apetytu, lecz już nie wymiotowała. Nadal jednak bolał ją brzuch.

Wtorki były okropne. Lily wstrzymywała oddech, lecz w pierwszym i drugim tygodniu wyniki były zadowalające. Liczba czerwonych krwinek i płytek krwi powoli rosła, poziom białych utrzymywał się na dolnej granicy, liczba neutrofilów była jeszcze niewielka, lecz stale rosła, spódnice Joy były coraz krótsze, ona sama coraz szczuplejsza, DiAngelo przestał chodzić w dresach, a wyniki były nadal dobre, Joy uśmiechała się, za oknem nadal było bardzo zimno, a we wtorkowe styczeniowe popołudnia na oczach Lily rozgrywał się melodramat.

Spencer zadzwonił we wtorek, by zapytać o wyniki. Spytała, czy mogą umówić się na lunch.

- Spencer, chyba mi nie uwierzysz, ale wydaje mi się, że Joy wpadła w oko doktorowi DiAngelo - powiedziała.

Udawali, że jedzą lunch w Odessie. Spencer jadł go z pewnością, Lily tylko bawiła się zupą.

- Przestań kręcić tą łyżką, Lii. Jedz. Nie mogę tu siedzieć przez cały dzień. Muszę cię jeszcze odprowadzić, a potem wracać na strzelnicę.

- Słyszałeś, co powiedziałam?
  - Tak.
  - I co ty na to? Spojrzał na nią uważnie.
  - Przestań się, z łaski swojej, bawić w detektywa. Gdzieś ty się po-dziewała? Wpadła DiAngelo w oko od czasu, gdy pierwszy raz przyszła z tobą do szpitala.
- 252
- Naprawdę? - spytała stanowczo za głośno. Nawet kucharz wysunął głowę z kuchni.
  - Cii. Tak.
  - Przestań!
  - Czy okłamałbym cię w takiej sprawie?
  - Chyba tak.
  - Od pierwszego dnia, Lily.
  - Nie wierzę! Zazwyczaj od razu coś takiego dostrzegam. Spencer nie spuszczał z niej wzroku. Poczula się nieswojo.
  - Jakoś trudno mi w to uwierzyć, kiedy pomyślę, że nie zauważyłaś, co się dzieje w twoim własnym mieszkaniu.
  - Znowu to samo. - Wstała, naciągając czapkę na uszy. - Skończyłam już nie jeść. Idziemy.
- Szli bardzo wolno. Lily czuła, że z każdym krokiem słabnie. Spencer podał jej ramię.
- Nie, wszystko w porządku - powiedziała szybko, powodowana fałszywą brawurą. Ale miała już dość jego dobroci.
- Tamtego popołudnia w jednym ze starych bloków znalazła stary szkic. Postanowiła go przerysować i pomalować akwarelami. Kiedy tydzień później przyszedł Spencer, by dowiedzieć się o wyniki, przez długą chwilę wpatrywał się w obrazek.
- Lily, co to jest?
  - Podoba ci się? Namalowałam to w zeszłym tygodniu. Widziała, że nie wie, co powiedzieć.
  - Czuję się bardzo speszony - powiedział w końcu. - Kiedy go namalowałaś?
  - Mówiłam, że w zeszłym tygodniu.
- Obrazek przedstawiał Spencera i przytuloną do niego Mary przed delikatesami Dagostino's.
- Pamiętasz, jak spotkałam was zeszłego lata?
  - Pamiętam - odrzekł powoli. - I rozumiem, że udało ci się namalować mnie, ale jakim cudem udało ci się tak wiernie namalować Mary? Widziałaś ją przecież tylko przez kilka sekund, prawda?
  - Tak, widziałam ją tylko przez kilka sekund - odparła z uśmiechem.
  - Przerysowałam tylko stary szkic.
  - Hmm. Może powinnaś robić to częściej. Nie wziął jednak obrazka.
- 253- Nie chcesz go?
- Wiesz, musiałbym bardzo długo to tłumaczyć - powiedział. - A nienawidzę niczego wyjaśniać.

**41**

## **TERAPIA ZAKUPOWA**

Ktoś, kto powiedział, że pieniądze szczęścia nie dają, z pewnością ich nie miał.

Lily czuła się troszkę lepiej, była trochę silniejsza, zaczęła coś jeść. Przez dwa tygodnie wychodziła z domu i wracała obładowana zakupami, co dało jej mnóstwo szczęścia. Wychodziła w nowym kaszmirowym kostiumie, nowym czarnym wełnianym płaszczu, kaszmirowym dresie, nowych butach, z nową torebką, w nowej czerwonej czapce zakrywającej meszek na głowie. Kupowała nowe kolczyki, nowe książki i DVD, gdyż uzależniła się od komedii. Kupiła kaszmirowy płaszcz dla Joy. I nowy samochód dla Amandy, żeby mogła wozić dziewczynki. Podarowała Annę kolejny miesiąc w mieszkaniu. Zapłaciła podatek od mieszkania babci za pięć lat z góry. Po dwóch tygodniach spędzonych w towarzystwie firm Gucci i Guess? i Prada i kupieniu długiego do kolan czerwonego płaszcza od deszczu (najlepsze płaszcze w historii!) była wykończona. Kupiła jeszcze aparat cyfrowy, nowy sprzęt grający i nowy kran do kuchni, bo stary przeciekał. Kupiła iMaca. Nową pluszową narzutę na łóżko, miękkie poduszki, dywan i wazon. Dwa tygodnie zakupów i zupełnie opadła z sił. Co teraz?

Zadzwoiła do niego.

- Spencer, mogę ci coś kupić?
- Już ci mówiłem. Absolutnie nie.
- Daj spokój. Czemu masz takiego bzika na tym punkcie? To nie ma nic wspólnego z detektywem i jego świadkiem.
- A z czym? Dobre pytanie.
- Kiedy masz urodziny?
- Nie mam.
- Mogę ci kupić na urodziny garnitur Armaniego?
- Jeśli chcesz, żebym mnie wylali z pracy, to bardzo proszę.

254

Ależ z niego uparciuch.

- Chyba chciałabym się przeprowadzić - westchnęła.
- Dobry pomysł. A dokąd?
- Nie wiem. Central Park West? Central Park East? Soho? Chelsea? Jak myślisz?
- Wynieś się tylko z tej nory, a już będzie dobrze.

Dla zabawy postanowiła obejrzeć kilka mieszkań. Poprosiła Spencera, żeby się z nią wybrał, bo nie chciała, by wzięto ją za łatwowierną idiotkę, którą była. Jednak choć Spencer się zgodził, nie odezwał się do niej w sobotę, a kiedy zadzwoniła na jego pager, nie oddzwonił. Nie widziała go też w niedzielę, a to już było dziwne. Kiedy zadzwonił we wtorek po badaniach, powiedział, że wybierze się z nią podczas weekendu, ale też nie dał znaku życia.

- Spencer, gdzie byłeś? - spytała płaczącym głosem.

Nie chciała, by wiedział, jak bardzo ją to zmartwiło, owszem, nie miał obowiązku nigdzie z nią\*chodzić, ale skoro obiecał, to dlaczego potem zniknął? Czy nie potrafił dotrzymać słowa? Nie spodziewała się tego po nim.

Nie odpowiedział, a kiedy zaczęła lekko naciskać, cały czas żartując, spojrzał na nią lodowato. Zorientowała się od razu, że posunęła się za daleko, że zaczyna robić z siebie idiotkę. Szybko więc odpuściła i nie prosiła już więcej, by z nią poszedł. On też tego nie zaproponował.

Wybrała się więc z Paulem i Rachel, mimo że Paul miał opory.

- Nie chcę, żebyś wyprowadzała się z tego mieszkania, Lii - powiedział.

- Co się stanie, jeśli Amy wróci i cię tu nie znajdzie?
- To tylko taka zabawa, Paul - powiedziała, ściskając go za rękę. Marilyn Alterbrando, agentka handlu nieruchomościami, spytała ją, czy będzie sprzedawała swoje dotychczasowe mieszkanie. Lily odparła, że nie, bo tylko je wynajmuje. Twarz kobiety stężała.
- Czy będzie pani potrzebny kredyt?
- Nie - powiedziała Lily. - Zapłacę gotówką.
- Mieszkania, które będziemy dziś oglądać, są dość drogie.
- Wiem.
- Och.

Bardzo dobrze jej to zrobiło.

Obejrzeni strych w Greenwich Village, studio w West Side, jednopokojowe mieszkanie w Hell's Kitchen, malutkie dwupokojowe mieszkanie w Upper East Side, wszystkie za milion dolarów.

255- Jeśli ma pani do dyspozycji dwa miliony, mogę pani pokazać naprawdę ładne mieszkania. Może uda się pani załatwić kredyt na ten drugi milion.

- Nie będzie mi potrzebny. To zrobiło jej jeszcze lepiej.

Po dwóch tygodniach wędrowania po Manhattanie Lily znalazła swoje wymarzone lokum: zajmujący całe piętro 450-metrowy apartament przy Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy, wychodzący na Central Park, mogła go nabyć za dziewięć milionów dolarów bez dodatkowego wyposażenia lub za jedenaście z nowymi stiukami.

- Cholernie dużo chcą za te stiuki - oświadczył Spencer, gdy mu o tym powiedziała.

Mieszkanie podobało się jej tak bardzo, że umówiła się drugi raz na oglądanie i zabrała ze sobą niechętnego, lecz bardzo ciekawego Spencera. Potem zaprosiła go na dawno obiecany brunch w Plaża. Siedzieli przy niewielkim stoliku w Palm Court. Lily była ubrana na czerwono: beret, płaszcz przeciwdeszczowy, kalosze. Spencer z kolei na szaro: buty, koszula, krawat. Włosy zaczęły mu odrastać, Lily wciąż zakrywała łysą czaszkę.

- I co o tym myślisz?

- Lily, dlaczego chcesz mieszkać w Upper East Side? To nie jest dzielnica dla takiej dziewczyny jak ty.

- I tu się pan myli, Panie Wszzechwiedzący. Bardzo chcę być dziewczyną z Upper East Side.

Do stolika podszedł kelner i spytał, czy mają ochotę na koktajl Mimoza: szampan z sokiem pomarańczowym. Lily miała. Spencer poprosił o sok pomarańczowy i czarną kawę.

- Potrzebna ci jest jedna sypialnia i pracownia. Na co ci pięć sypialni, salony i biblioteka?

- Muszę gdzieś przechowywać swoje prace.

- Twoje prace bez trudu zmieszczą się w szafie. A przecież nie zamierzasz przechowywać tych, które dopiero namalujesz, prawda? Swoje nieistniejące prace możesz przechowywać za znacznie mniej niż jedenaście milionów dolarów.

- Chcę mieć windę, która będzie jeździć prosto do mojego mieszkania. I widok na park. No i stiuki.

- A po co ci pięć łazienek? Będziesz musiała wszystkie sprzątać.

- Nie będę przecież używać wszystkich. Tylko jedną.
- To po co ci pięć?
- Och, Spencer! Nie podobało ci się?

256

- Nie potrzebujesz czterystapięćdziesięciometrowego mieszkania. -Prowadzili tę rozmowę nad talerzami pełnymi wafli, czekając na zamówione omlety, podczas gdy skrzypek i muzyk grający na fletni Pana grali pas de deux z *Tańca węgierskiego nr 1* Brahmsa.

- Nie powiedziałam wcale, że go potrzebuję. Powiedziałam, że chcę je mieć.
- Nie masz jedenastu milionów dolarów.

To akurat była prawda. Nie miała dość pieniędzy, by mieszkać w Nowym Jorku. Jednak знаła tylko Nowy Jork. I na tym polegał cały problem. W starym mieszkaniu jedno stawało się coraz bardziej oczywiste: nie mogła tam zostać.

Razem z nią mieszkał tam duch Amy. I powoli zaczęło brakować miejsca. Teraz, gdy wracała do zdrowia, duch też z dnia na dzień stawał się silniejszy.

Zaczął się jej wydawać, że ktoś ją obserwuje. Zamykała okna, zaciągała żaluzje, zupełnie jak para po drugiej stronie podwórka. Okazało się jednak, że para nie mieszka już razem. W mieszkaniu pojawiły się dwie kobiety.

Czy ta lekka paranoja to początki obłądzenia? A może tylko rozsądna wymówka, by przenieść się do wartego jedenaście milionów mieszkania nieopodal Piątej Alei?

Zapytała Spencera, czy dowiedział się czegoś o Milo. Kiedy powiedział, że nie, Lily zaczęła oszczędzać. Sprzedała drugą torebkę Prądy na aukcji w eBay, podobnie jak drugą parę butów Stuarta Weitzmana i jedyną bransoletkę od Tiffany'ego.

Zacząła pożyczać filmy i kupować spinacze do torebek z żywnością, żeby się nie psuła. Nagle poczuła, że znów ma przed sobą życie i nie było sensu wyrzucać pieniędzy garściami - pewnego dnia może ich znów potrzebować.

Mimo że sprzedała wszystkie swoje błyskotki, nie zdołała uwolnić się od poczucia, że jest obserwowana, choć przecież te dwie rzeczy nie miały ze sobą nic wspólnego.

„Każdy ma swoją własną karmę. Czy mogę coś na to poradzić, że moją jest umrzeć młodo?” - powiedziała kiedyś Amy. Słowa pozostałyby na zawsze zapomniane, gdyby Amy nie zaginęła przed dziewięcioma miesiącami. Przez dziewięć miesięcy, co wieczór, gdy Lily gasiła światło i przechodziła obok pokoju Amy, słowa te odbijały się echem od każdego jej kroku - ale tylko w ciemnościach, gdy czuła na sobie wzrok niewidzialnych oczu. Bo w słońcu i o poranku, kiedy od czasu do czasu jadła lunch ze Spencerem, kiedy szkicowała i robiła zakupy, nadal tak jak Paul, przyjaciel Amy

257z dzieciństwa, płakała nad szklaneczką z margaritą i miała nadzieję, że Amy gdzieś jest bezpieczna. I żyje.

**42**

## **FINANSOWE ROZTERKI OSOBY, KTÓRA WYGRAŁA NA LOTERII I POKONAŁA RAKA**

Na początku lutego po odebraniu piątych dobrych wyników i uroczystym usunięciu cewnika, kiedy Lily uświadomiła sobie, że nie stać jej na wycenioną na jedenaście milionów dolarów zmianę stylu życia, postanowiła zasięgnąć porady specjalisty od finansów.

Nadal wspomagała finansowo Annę. Zadzwoił też mąż Amandy i stosując całą



game uników, poprosił o „niewielką pożyczkę” na rozkręcenie własnego warsztatu blacharskiego w Bedford. Mógł wynająć bardzo dobry lokal w całkiem niezłym miejscu, ale bank nie chciał mu udzielić kredytu. Czy Lily mogłaby więc pożyczyć mu niewielką sumę dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, by zmienić życie swojej siostry i jej dzieci na lepsze? Lily podarowała mu tę sumę, by Amanda znów zaczęła ją kochać i znów do niej zadzwoniła. Samochód dla dziewczynek jakoś nie zdołał tego dokonać.

Pieniądze zadziałały. Odebrała kilka czułych siostrzanych telefonów. Było warto, ale teraz musiała zacząć myśleć o swojej przyszłości. Miała w końcu rodzinę na utrzymaniu.

Wybrała pierwsze lepsze nazwisko z książki telefonicznej. Skoro numery w loterii też wybrała na ślepo, równie dobrze mogła w ten sam sposób wybrać mężczyznę, który zajmie się jej pieniędzmi.

Mężczyzna okazał się czterdziestoletnią kobietą o imieniu Katherine, wiceprezeską w firmie Smith Barney. Katherine była wysoka i budziła przerażenie, na dodatek miała wspaniałą figurę, której na pewno nie zawdzięczała chemii. Przyjrzała się Lily uważnie, powiedziała: „Mów mi Katie”, ale dzięki temu nie stała się wcale mniej przerażająca. Zmierzyła Lily baczным spojrzeniem od stóp do głów i rzuciła kilka ciepłych słów, jakie powinien rzucić pełen współczucia obcy człowiek. W biurze Katie, którego ściany pokrywały wyłącznie regały z książkami, Lily ani przez moment nie czuła się nieswojo.

258

Razem obliczyły, że jeśli Lily pozostanie w swojej norze przy Dziewiątej Ulicy i będzie wydawać mniej więcej tyle samo najedzenie, opłaty, rozrywki oraz przybory malarskie, jej roczne wydatki zamkną się sumą pięćdziesięciu tysięcy dolarów, co obejmować będzie również prezenty na Gwiazdkę i urodziny oraz od czasu do czasu zakup plecaka lub butów. Bezpieczne ulokowanie pozostałych sześciu milionów na sześć procent przyniesie Lily trzysta sześćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie.

- Możesz za to dostać kredyt na wspaniałe mieszkanie - powiedziała Katie, bębniąc ołówkiem w blat biurka - kupować buty i torebki, pojechać na wakacje, przekazywać pieniądze na cele charytatywne, by zmniejszyć podatek dochodowy, nawiasem mówiąc prezenty dla rodziny nie są traktowane jako darowizny, i nadal mieć sto tysięcy rocznie na drobne wydatki.

Lily przygryzła wargę. Odchrząknęła cicho.

- Kredyt, tak? - spytała. - A ile wyniosą odsetki za... powiedzmy... tylko gwoli wyliczenia... za mieszkanie warte jedenaście milionów dolarów?

Katie przestała bębnić ołówkiem.

- Jakież sto tysięcy dolarów - powiedziała. - Miesięcznie. Ponad milion rocznie - uniosła brwi. - Ale to chyba nie jest cel naszych inwestycji?

- Może powinnyśmy inwestować bardziej agresywnie? - powiedziała Lily. - Może inwestycja powinna być mniej bezpieczna, a przynosić większy procent?

Po kolejnej godzinie, podczas której przeglądały przeróżne fundusze inwestycyjne, a Lily marzyła, by mieć przy sobie węgiel i naszkicować ten pokój, komputer i siedzącą przy nim kobietę, zgodziły się na fundusz, który - założywszy, że na świecie nie wydarzy się żadna katastrofa - przyniesie Lily dochód od piętnastu do dwudziestu sześciu procent rocznie. To była spora gotówka. Skoro

na życie wystarczy jej tylko pięćdziesiąt tysięcy, będzie mogła inwestować dywidendy i jej kapitał co trzy, cztery lata będzie się podwajał. Innymi słowy, po pięciu latach - jeśli dane jej będzie przeżyć - będzie mogła kupić mieszkanie za jedenaście milionów dolarów i jeszcze zostaną jej pieniądze na jedzenie.

Taki plan bardzo się jej podobał. Podpisała odpowiednie dokumenty, wypełniła formularze, dostała nowe książeczki czekowe. Kiedy wyszła z budynku, pozostawiając Katie wszystkie swoje pieniądze, pomyślała, że zapłaciłaby podwójnie, żeby tylko nie siedzieć przez całe popołudnie w dusznym pokoju. Czy tak właśnie wygląda praca? Czy to będę musiała robić, kiedy skończę college, dostanę dyplom i co niedzielę będę

259przerzucać dział z ogłoszeniami w „The New York Times”, by dostać pracę taką jak ta?

Już sama ta myśl wystarczyła, by Lily przez następne trzy dni wydała niemal cały swój roczny dochód na przybory malarskie. Poprosiła Spencera, żeby pomógł jej spakować wszystkie rzeczy Amy i umieścić je w magazynie za opłatą kilku dolarów miesięcznie. Zrobił to z radością. Lily kupiła trzy rolki płótna, blejtramy, tacker, terpentynę, płyn do gruntowania płótna, cztery sztalugi, pędzle i farby! Kupiła farby olejne, pastele, akwarele i farby akrylowe, kredki i markery, węgiel i ołówki tak piękne, że natychmiast usiadła na łóżku i z pamięci narysowała Katie siedzącą przy biurku w otoczeniu książek. W otwartym oknie widać było drzewa i rzekę Hudson. Katie, w kostiumie, spoglądała na następnego klienta, a na blacie biurka leżał *Świat według Garpa*, *Małżeństwo wagi półśredniej* i *Hotel New Hampshire*. Kiedy Lily odwiedziła ją ponownie po dwóch dniach, wzięła ze sobą portret, teraz już w kolorze. Katie patrzyła na niego przez długą chwilę, po czym spytała, ile Lily chce za niego dostać.

- Nic - odparła zaskoczona Lily. - Dlaczego miałabym brać od ciebie pieniądze? To ja ci je daję, nie vice versa. A tak nawiasem mówiąc, ile zarobiłam przez te dwa dni?

- Dwadzieścia jeden centów - odparła Katie, lecz zanim Lily wyszła, dodała, patrząc na swój portret: - Nie martwiłabym się o to mieszkanie przy Piątej Alei, Liliannę. Mam przeczucie, że będzie cię stać na nie wcześniej, niż myślisz. Lily nie była do końca pewna, co Katie chciała przez to powiedzieć, lecz następnego dnia odebrała od niej telefon z pytaniem, czy namaluje dla niej portret dzieci, ale „tylko za pieniądze”. Lily zgodziła się i farbami akrylowymi namalowała dwie małe Katie - jedną w wersji żeńskiej, drugą w męskiej - na ławce w parku. Pomiędzy dziećmi leżała wielka pomarańczowa piłka, która wyglądała jak dynia.

Katie dała jej czek na pięćset dolarów, który Lily oprawiła i powiesiła na ścianie, by uczcić w ten sposób pierwsze pieniądze, jakie zarobiła na swojej sztuce. Przez resztę tygodnia szkicowała coraz to nowe rzeczy - lodówki, lampy, drzewa, koty siedzące na parapetach, śpiące kobiety, które widziała przez okna. Potem pracowała nad szkicami w swojej nowej pracowni, dawnym pokoju Amy, zalanym słońcem, z drewnianą podłogą, na którą tu i ówdzie kapła farba. Niektóre ze szkiców pokrywała akwarelami, inne kolorowała kredkami. Wykorzystywała też farby akrylowe, które schły całymi godzi-

260

nami, namalowała nawet dwa obrazy olejne, co zajęło jej cały czwartek i piątek.

Jeden z nich przedstawiał kota obserwującego drzewa, podczas gdy jego pani spała na łóżku za nim, a drugi Spencera siedzącego na kanapie przed telewizorem, z zamyślonym wyrazem twarzy.

- Ja wcale tak nie wyglądam - powiedział nachmurzony. Roześmiała się.
- Nie?
- Co to za zapach?
- Terpentyna! - odparła. - Potrzebuję jej do farb olejnych. Strasznie śmierdzi?
- Nie jest to zbyt uwodzicielski zapach. Zdecydowanie nie.
- Nie zajmuję się uwodzeniem - oświadczyła weselo. - Tylko malowaniem. - Nie odzyskała jeszcze w pełni węchu. Poza tym malowała przy otwartych oknach. - Zamierzam je sprzedać w sobotę rano na Ósmej Ulicy.

Obszedł pracownię, przyglądając się obrazom.

- I co o tym myślisz?
- Mnie nikt nie weźmie nawet za darmo - oświadczył.

W sobotę rano Lily pojechała taksówką na Ósmą, zabierając ze sobą dwadzieścia obrazków, składany stolik i krzesło. Do dziewiątej udało się jej ustawić wszystko na ulicy, gdzie kwitł handel sztuką.

W południe była już w domu. O pierwszej, ku jej wielkiemu zdziwieniu, zjawił się Spencer.

- Co się stało? - spytał. - Pojechałem na Ósmą, żeby cię znaleźć, a ty zniknęłaś. Trzeba mieć więcej wiary.

- Hmm.
- Dlaczego się poddałaś? Musisz być cierpliwa. To jak łowienie ryb. W końcu kiedyś wezmą. Tylko pogoda musi być dobra.
- Hmm. Pogoda musiała być niezła, bo sprzedałam wszystko.
- Co takiego?

Aż podskoczyła z radości.

- Tak! Sprzedałam wszystko. Do ostatniego obrazka. Nawet pański portret, panie Zrędo. O ostatnie dwa o mało się nie pobili. Czterej klienci walczyli jak podczas aukcji. Zrobiło się gorąco. W końcu sprzedałam je po sto dolarów każdy.
- Sto dolarów? Fiu, fiu. Spojrzała na niego z ukosa.
- Czyżbym wyczuwała nutę sarkazmu?

261- Ramy kosztowały cię więcej! Dlaczego nie zaczniesz rozdawać obrazków za darmo? Ile w sumie zarobiłaś?

- Dość, żeby postawić ci lunch. Idziemy.
- Stać mnie jeszcze na kanapkę. Ile?
- Tysiąc dolców. Gwizdnął przeciągle.
- No proszę, to prawie niezła pensja.
- Tak. Próbuję zaoszczędzić jedenaście milionów dolarów. Spencer wybuchnął śmiechem, Lily mu zawtórowała, a potem przez trzy godziny siedzieli w Odessie.

- W kinie na Union Square grają *Krzyk 3* - powiedział Spencer.

Lily przesiedziała połowę filmu z głową schowaną między kolanami. Nienawidziła horrorów i nie wiedziała, co bardziej bawiło Spencera: film, który okazał się taki sobie, czy ona sama siedząca z zamkniętymi oczami, bo za bardzo się bała, żeby patrzeć na ekran. Przed projekcją kupili po dwa popcorny i napoje.

Jednak kiedy znów zabrała się do malowania, namalowała wielką żółtą torbę

popcornu, do której sięgała jego i jej ręka.

Malowała dłonie, uśmiechy i kępki włosów; malowała zmęczone oczy, łzy i koty. Malowała puste łóżka, kabiny prysznicowe z kroplami wody na ściankach i Tompkins Square Park z nagimi drzewami i ławkami, kamiennymi fontannami i ogrodzeniami z kutego żelaza. Malowała dłonie Spencera. Nie mogła się już doczekać wiosny, by spędzać więcej czasu poza domem. Teraz całe dni przebywała w pokoju Amy, ale była wszędzie - w sklepach, parkach, galeriach i nad wodą. Wszystko mieściło się w jednym pokoju. W sobotnie ranki ustawiała stolik i sztalugi na Ósmej Ulicy i bez względu na to, ile i jakie obrazki namalowała, zawsze przynosiła do domu zwitek banknotów.

Powoli wracał jej apetyt. Czterdzieści kilo, potem czterdzieści jeden, a potem wielki skok - czterdzieści trzy. To chyba zasługa tych wszystkich ciasteczek z podwójną czekoladą. Kiedy powiedziała o tym babci, następnego dnia przyniesiono jej z supermarketu cały karton. Po dwóch tygodniach karton zniknął, a Lily ważyła czterdzieści pięć kilo. Pączki z galaretką z Dunkin' Donuts. Koktajle waniliowe. Koktajle z proteinami rano, w południe i wieczorem. Potem coś bardziej pożywnego niż ciasteczka i boskie eklery z Veniero's - najlepszej cukierni na świecie. Śniadania i kolacje jadła w Odessie i Yeselce, ukraińskiej restauracji przy Drugiej

262

Alei, niedaleko posterunku Spencera. Omlety, kanapki z wołowiną, bekon, kielbaski, frytki, gołąbki, pierogi. W czwartki, kiedy odwiedzała babcię, piekła u niej brownies.

- Ten mężczyzna już do ciebie nie przychodzi, prawda, Lily? Ty czujesz się już lepiej, a twój brat ma to już za sobą.
- Nie chcę o tym rozmawiać, babciu.
- Lily.
- Babciu.

Jeśli mój brat ma to już za sobą, to dlaczego do mnie nie zadzwonił? I dlaczego ja do niego nie zadzwoniłam? I gdzie jest Amy?

Pięćdziesiąt jeden kilo. Wyglądała teraz, jakby była przerażająco szczupła, a nie jak więźniarka obozu w Dachau. Wyniki badań krwi nadal były dobre. Włosy powoli odrastały. Bardzo powoli i nierówno. Rosły w splątanych kępkach i wyglądały okropnie. Prosiła więc Spencera, by nadal je obcinał. Nie chciała, żeby robił to Paul, bo Spencer przytrzymywał jej głowę lewą ręką, trzymając w prawej maszynkę. To były jedyne momenty, gdy jej dotykał.

Rachel powiedziała, że kiedy tylko odrosną włosy, pozna ją z facetem, na widok którego opadną jej majtki. Tak to właśnie określiła: „Opadną ci majtki”.

- A ja tego właśnie chcę? - Lily miała wrażenie, że dzięki chemii pozbyła się nie tylko raka, ale i najbardziej intymnych części ciała.
- Poczekaj, aż odrosną ci włosy, dobra?

**43**

### **DROBNA RZECZ DOTYCZĄCA SPENCERA**

Czasami był taki zamknięty w sobie. Kiedy była chora, prawie tego nie zauważała. Chciała tylko, by ktoś przy niej siedział. Ale po zakończeniu leczenia zaczęła to dostrzegać.

W ciągu tygodnia bardziej dopisywał mu humor. Nie wiedziała, dlaczego tak się

dzieje. W normalne dni tygodnia był znacznie mniej ponury niż w niedziele. Kiedy oglądali *Roxanne*, postanowiła nagle zatrzymać film.

- Dlaczego jesteś taki cichy? To przecież bardzo zabawne.

263- Tak. Uniosła brwi.

- No co? Jest zabawne. Śmieję się od środka.

- Ale dlaczego od środka?

- Bo tak.

- Ale ty nie jesteś tylko cichy, jesteś... ponury.

- Hmm.

- Co się dzieje?

- Nic.

- Chcesz o tym pogadać?

- Nie.

- Czyli jest o czym gadać.

Powoli odwrócił się w jej stronę. Zawsze czuła się bardzo zakłopotana, gdy patrzył na nią jak detektyw.

- Lily-ANNE - powiedział - nie stosuj moich metod w stosunku do mnie. Nic z tego nie wyjdzie.

Zająknęła się, lecz po chwili odzyskała głos.

- Spencer, przecież widzę, że czasami zupełnie nie jesteś sobą.

- I tu się mylisz. To właśnie jestem ja. To tamta wersja jest zupełnie do mnie niepodobna. Ja jestem posepny, cichy i ponury.

- Kiedy byłam chora, wcale tego nie dostrzegałam.

- Bo byłaś chora. Prawie nic nie widziałaś. - Nie patrzył na nią, lecz na swoje zaciśnięte w pięści dłonie.

- Nie wierzę, że jesteś taki naprawdę.

- To uwierz.

- Nie. Wydaje mi się, że coś cię martwi.

- Bynajmniej.

- Masz kłopoty w pracy? Spencer się uśmiechnął.

- Nie, nie mam kłopotów w pracy. - Odwrócił się w jej stronę. - Doceniam, że tak się tym interesujesz. Ale proszę, nie martw się o mnie. Oglądajmy dalej film.

Lily nie zamierzała jednak rezygnować. Jeszcze nie był zły, mogła zrobić jeszcze jeden krok. Łagodne przymilanie się najwyraźniej nie działało. Postanowiła spróbować, jak zadziała odrobina użalania się nad sobą.

- Jeśli nie chcesz, wcale nie musisz tu siedzieć. Czuję się już źle. Mogę zostać sama, potrafię się o siebie zatroszczyć. Nie musisz tu przychodzić, jeśli nie masz ochoty.

264

Spencer przesunął dłonią po twarzy.

- O co ci chodzi? Czyżbym zupełnie bezwiednie wspomniał o twoim bracie?

- Nie, nie. Nie musisz udawać. Jeśli chcesz być gdzieś indziej, nie musisz przesiadywać tu ze mną. Po co miałbyś to robić.

- Lubimy oglądać razem komedie.

- Kiedy się śmiejemy, tak!

- Lily, przez cztery miesiące oglądałaś komedie i wcale się nie śmiałaś. Na pewno zrozumiesz, jeśli choć raz ja nie będę się śmiał.

- To nie o to chodzi. Chodzi o... - ale sama nie bardzo wiedziała o co. -Co cię trapi? No powiedz. Tak bardzo mi pomogłeś. Powiedz, proszę.

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Chcesz być sam?

- To ostatnia rzecz, jakiej pragnę.

Kiedy to się stało? Powtarzała sobie, że to było nieuniknione po tych wszystkich dniach, tygodniach i miesiącach, kiedy do niej dzwonił, przesiadywał w mieszkaniu, robił zakupy z nią i dla niej, jadał z nią; doszła do wniosku, że coś byłoby z nią nie tak, gdyby nie czuła lekkiego drżenia na dźwięk jego głosu i na widok jego twarzy; był teraz dla niej bliskim przyjacielem, jak Paul. A ponieważ bardzo zależało jej na Paulu, jak mogło jej nie zależeć na Spencerze, który spędzał z nią tyle czasu, gdy była chora? To wdzięczność i tyle.

Ale... nie czuła lekkiego drżenia w zniszczonych rakiem żyłach, gdy Paul dzwonił, nie wstrzymywała oddechu, by lepiej go słyszeć, nie wpatrywała się w jego twarz, by wyczytać z nich nowe odczucia. Nigdy też nie próbowała Paula rozśmieszyć i nie czuła się przygnębiona, kiedy jej się to nie udawało.

O mój Boże, pomyślała. Co się ze mną dzieje? Z trudem udało mi się przeżyć. Blizna na piersi jeszcze się nie zagoiła. Na głowie mam kępki włosów. To wszystko przez tę chemię. Vepesid uszkodził mi mózg. Jestem głucha na jedno ucho, źle widzę jednym okiem i niczego nie czuję. Tajemnicze kształty, które tworzą się w mojej głowie, to efekt działania leków. Wizje związane z idiotycznymi i nieodwzajemnionymi uczuciami w stosunku do Spencera są tylko produktem dobroci, jaką mnie otaczał, troski i strachu, że kiedy już poczuję się naprawdę dobrze, on odejdzie i nigdy nie wróci.

Jestem chora na głowę. Może jednak powinna była pójść na spotkanie 265tej grupy terapeutycznej? Gdzie jest Joy? Gdzie jest Marcie? Gdzie jest doktor D.?

Chciała zadzwonić do Spencera, żeby pomógł jej dojść do ładu z samą sobą. Co się ze mną dzieje, chciała go zapytać. Chciała, żeby spojrział na nią spokojnie jak zawsze i powiedział: „Lily-Anne, nie mam bladego pojęcia, o co ci chodzi”.

Wiedziała jednak, że coś jest z nianie tak, skoro nie mogła zadzwonić do niego, powiedzieć „Cześć”, zapytać, czy będzie w okolicy, by mogli zjeść razem lunch albo jaki film ma wypożyczyć. Uświadomiła sobie, że dzieje się bardzo źle w chwili, gdy chciała obejrzeć *Jak ugryźć dziesięć milionów* i nie mogła się zdobyć, by zadzwonić do Spencera i zaproponować wspólne pójście do kina.

Zamiast do niego zadzwoniła do Rachel. Rachel Ortiz, specjalistki od uzależnień. Kiedy odwiedzili ją Paul i Rachel, upili się margaritą, słuchali Tori Amos lub Enyi, lub czegoś równie smętnego i wyplakiwali się przed nią, zamiast ona przed nimi. Paul właśnie zerwał z Rayem, Rachel miała problemy z Tonym. Spoglądając na nią znad oblepionych solą brzegów szklanek, powtarzali raz po raz: Chcemy miłości, chcemy miłości, chcemy miłości. Miłości!

- A ja nie - powiedziała Lily. - Ja nie potrzebuję miłości. Mam Spencera.

Rachel i Paul wybuchnęli śmiechem, szturchnęli ją w ramię, przyrządzili kolejne margarity. Powiedzieli, że jest bardzo zabawna, że w jej mieszkaniu paskudnie śmierdzi terpentyną i że jeśli nie chce dalej z nimi o tym rozmawiać, to nie musi. Spencer był nieprzenikniony. Niczego, co zrobił lub powiedział, nie można było zinterpretować inaczej niż tylko jako życzliwość, czyli -jestem tutaj, żeby z tobą

pogadać, obejrzeć film, coś zjeść. Jeśli masz ochotę na spacer, to chodźmy. Central Park? Jasne. Palm Court? Oczywiście. Jeśli chcesz, żebym poprzestawiał łóżka albo naciągnął płótno, już się robi. Chcesz, żebym do ciebie zadzwonił, kiedy odbierzesz wyniki? Posiedział w niedzielę razem z tobą na kanapie? Bardzo proszę. Przyglądała mu się wzrokiem artysty tak intensywnie, próbując odszyfrować ukryte znaczenia, myśli, uczucia, że pewnego dnia musiała przestać zwracać uwagę na jego słowa, bo nagle ujął ją palcem pod brodę.

266

- O czym myślisz? - spytał.
- Słucham? - Zupełnie jakby wróciła z bardzo daleka.
- Nie odpowiedziałas nawet na moje pytanie.
- O czym myślę?
- Próbujesz zyskać na czasie.
- Nie. O niczym, naprawdę.
- A teraz się wykręcasz. - Uśmiechnął się szeroko. - Musiałaś myśleć o czymś naprawdę brzydkim, Lii. Czy brał w tym udział Keanu?

O to właśnie jej chodziło - w jego niedostępnym świecie była tylko dziewczyną chorą na raka. Czyjaś siostrą. Świadkiem w prowadzonym śledztwie. Równie dobrze mogłaby być mężczyzną dzwoniącym do niego w sprawie konia. Ale nie zawsze był taki nieodgadniony. Czasami udało się przeniknąć przez mur, który ustawiał wokół siebie. Pewnego niedzielnego wieczoru skończyli właśnie oglądać *Rybkę zwaną Wandą* i Spencer wstał, żeby wziąć coś do picia, podczas gdy ona pozostała wyciągnięta na brzuchu na kanapie. Stał w przejściu pomiędzy kuchnią i pokojem, trzymając w ręce colę. Nagle zobaczyła odbicie jego twarzy w pięćdziesięciocalowym ekranie plazmowego telewizora. Patrzył na nią, koncentrując się przede wszystkim na biodrach i nogach w czarnych legginsach. Serce zabiło jej gwałtownie i leżała tak dłużej, niż było trzeba, przyglądając się odbiciu jego twarzy.

- Chcesz coś jeszcze, zanim wyjdę? - spytał po chwili. Usiadła.
- Nie, dziękuję.

Czy się myliła? Czy ciemne odbicie było zbyt niewyraźne, by przekazać intensywność jego spojrzenia?

W następną niedzielę przyszedł, by obejrzeć razem z nią *Ich noc*. Lily była akurat w pracowni. Zapukał do drzwi dawnego pokoju Amy.

- Cześć - powiedziała. - Wejdz, już kończę.

Malowała marznący na parapecie deszcz. Miała na sobie czarne legginsy i bardzo skąpy żółty top, spod którego widać było nagi brzuch. Nie włożyła stanika.

Wszedł do środka.

- Co się tutaj dzieje? Zimno jak diabli.
- Przez tę terpentynę muszę otwierać okna - odparła niewinnie i wypila łyk coli z puszki. - Chcesz łyka?
- Terpentyny?

267Ha. W króciutkim topie było jej naprawdę bardzo zimno. Może i nie miała dużych piersi, ale sutki rysowały się bardzo wyraźnie.

Spencer zauważył.

Wiedziała, że tak było, bo kiedy brał puszkę coli z ręki, którą trzymała tuż przy piersiach, nic nie powiedział, tylko spojrzał na nią. Kiedy dostrzegła wyraz jego

oczu, zabrakło jej tchu w piersiach.

- Chyba powinnaś zamknąć okna. Strasznie zimno.

Podeszła do okna, próbując stłumić ogarniającą ją radość. Kiedy włożyła sweter, usiadła jak zwykle w swoim końcu kanapy, on w swoim, lecz oglądanie zwykłego filmu nie było już takie zwyczajne, stało się znacznie atrakcyjniejsze, dzięki tej nowej utracie zwyczajności. Jego spojrzenie na piersi sprawiło jej rozkoszną przyjemność, którą czuła aż w brzuchu. Do tej pory zawsze był taki obojętny i wydawało się, że nic go nie rusza. A tu proszę! Okazało się, że Spencer może być mężczyzną!

Wiedziała, co się za tym kryje. Wiedziała doskonale. To wszystko przez te nowo nabyte kilogramy. Przez batoniki i ciasteczka z kremem, które odkładały się pomiędzy jej kośćmi i skórą, na ramionach, klatce piersiowej. I lody waniliowe, które zadbały o piersi, lody Chunky Monkey, które zatroszczyły się o biodra i uda, przyjemnie je zaokrąglając.

Soo Min, Hannah i Dana miały rację. Czyżby nawet Spencer nie potrafił się oprzeć rozkołysanym biodrom, zaokrąglonym pośladkom, miękkim udom, zgrabnym łydkom, nabrzmiałym sutkom przebijającym się spod cienkiego materiału? Może kiedy będę straszliwie gruba, nie zdoła oderwać ode mnie wzroku? Jadła więc na potęgę, a kiedy wybierała się na zakupy, nie kupowała już wyłącznie polarowych bluz w Gap jak dawniej, lecz seksowne aksamitne dresy H. Starlet za sto dwadzieścia dolarów, które miały spodnie biodrówki z jedwabnymi lamówkami. Kiedy je wkładała, widać było czarny trójkącik stringów i górę nowo zaokrąglonych pośladków. Tak, robiła zakupy przede wszystkim w butikach Victoria's Secret i LaPerla oraz w dziale bielizny u Saksa. Potrzebowała nowego mieszkania, żeby pomieścić wszystkie swoje stringi i koronkowe biustonosze. Kupiła piankę, by modelować nią odrastające włosy, usta pokrywała balsamem i błyszczkiem, grubą warstwą, zupełnie jakby była trzynastolatką na rolkach, która marzy o tym, by zwrócić na siebie uwagę przystojnego szesnastolatka, stojącego nieopodal z kumplami. Smarowała całe ciało balsamem, by skóra stawała się coraz delikatniejsza i ładnie pachniała. Chciała, by siedzący obok niej na kanapie Spencer poczuł ten zapach. U Bergdorffa znalazła dzinsy, które koniecznie musiała mieć. Kiedy

268

Spencer zjawił się w czwartek o ósmej, ubrany po pracy w dzinsy, bluzę i czapkę Yankees, i zobaczył ją w nowych szpilkach, nowych dzinsach, z najczarwieńszą szminką na ustach i najczarniej szamascarą na rzęsach, z włosami uczesany na żelu, przez chwilę wpatrywał się w nią tak, jakby trafił do niewłaściwego mieszkania.

- Dokąd się wybieramy? - spytał.

- Do Odessy - odparła zmieszana.

- Świetnie. Przez moment wydawało mi się, że o czymś zapomniałem. Wybierasz się do klubu po moim wyjściu, Lii? - spytał z uśmiechem. - Czy dogadałaś się wreszcie ze starą, poczciwą Rachel?

Lily straciła nagle humor, mruknęła coś w odpowiedzi i kolację zjedli w niemal całkowitym milczeniu. Spencer odprowadził ją potem do domu.

- Baw się dobrze - powiedział wesoło. - Zasłużyłaś sobie na to. Świetnie, po prostu świetnie. Cholera.



**OBCOWANIE Z MUZĄ**

Powoli zaczęło się wokół niej gromadzić grono wielbicieli jej talentu. Co sobotę zjawiali się ci sami ludzie, by sprawdzić, czy namalowała coś nowego. Zaczęła myśleć o swoim tygodniu: w niedzielę siedziała w pracowni i malowała do czasu przyjscia Spencera. W poniedziałki i wtorki przemierzała Manhattan, robiąc mnóstwo szkiców do późniejszego wykorzystania. We wtorki po wizycie w szpitalu jadła lunch ze Spencerem, a potem malowała w domu. We czwartki szkicowała Brooklyn, bo w te dni odwiedzała babcię. W piątki i soboty wypełniała szkice farbami akrylowymi, akwarelami lub pastelami olejnymi. Bardzo rzadko malowała farbami olejnymi na płótnie, choć lubiła to najbardziej. Zabierało jej to większość dnia i obrazy strasznie wolno schły, ale zawsze sprzedawała je w pierwszej kolejności. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy nie sprzedaje ich zbyt tanio, ale bez względu na to, jaką cenę podawała, zawsze znajdowały amatorów. Czy mogłaby namalować akt na płótnie? Czy namalowałaby równinę Serengeti do pokoju dziecinnego? A nagą kobietę w bardzo zaawansowanej ciąży? Żonę i męża kochających się w dziesiątą rocznicę ślubu?

269Z pamięci namalowała na płótnie jego twarz. A potem całą sylwetkę. Najpierw dłonie, mocne i zaciśnięte, zwróciła na nie uwagę zaraz po oczach, w których szukała wyrazu, i ustach, w których szukała ruchu. Ze słuchawką przy uchu stał przy biurku. Patrzył na nią bez uśmiechu. Nie należał do osób, które często się uśmiechają. Miał mocne białe zęby. I cudowny uśmiech. Tylko rzadko go prezentował.

Miał szare spodnie, czarny pasek, białą koszulę rozpiętą pod szyją wąski czarny krawat. Był bardzo szczupły, ubranie prawie na nim wisiało. Wyglądał tak, jakby trzy razy w tygodniu okrążał biegiem cały park. Namalowała go z rysującymi się pod koszulą mięśniami, w czarno-białej wersji, z wyjątkiem oczu i ust, które pokryła odpowiednio zmieszaną niebieską i czerwoną farbą. Jako artystka potrafiła docenić ostateczny efekt - jego usta były wręcz idealne, górna warga przypominała ostrą linię z usadowioną w środku tłustą mewą, a wszystko opierało się na pełnej miseczce tworzonej przez dolną wargę. Usta godne Kupidyna. Z lekkim poczuciem wstydu uświadomiła sobie, jak dobrze zna jego usta, jak głęboko wryły się w te miejsca w jej sercu i pamięci, do których wracała, gdy na nianie patrzył. Głęboko osadzone niebieskie oczy z ich nieubłaganym wyrazem, oczy detektywa ukryte za okularami w cienkiej czarnej oprawce. Namalowała mu gęste falujące włosy, bo jego długie włosy były dla niej jednoznaczne z brakiem choroby u niej. Dodała jeszcze lekki zarost, mocno zarysowane kości policzkowe i szczękę oraz szerokie czoło. Była zażenowana troską, z jaką oddawała każdy szczegół.

- To nie ja - powiedział, gdy obejrzał gotowy obraz. - Nigdy tak dobrze nie wyglądam. Gdzie się podziały przekrwione oczy, worki, blada twarz i plamy z kawy na krawacie? No i moja koszula... wyprasowana! Tu już zdecydowanie przesadziłaś. To z całą pewnością sztuka, a nie prawdziwe życie.

- Kto zechce cię kupić, jeśli namaluję prawdę? - zażartowała. - Próbuję zarobić na życie.

Jednak w sobotę nie zgodziła się sprzedać obrazu, mimo że oferowano jej tysiąc (!) dolarów.

Spencer zjawił się na ulicy i spojrzął na swój portret stojący na sztalugach.

- Mówiłem ci, że nikt nie będzie chciał go kupić.
- To dlatego, że nie jesteś na sprzedaż - odparła.

W pewnej chwili obok Lily stanęła kobieta i przyjrzała się uważnie obrazom.

270

- Ile kosztuje ten czaruś? - spytała, wskazując na portret Spencera.
- Przepraszam, ale nie jest na sprzedaż.

Kobieta wzruszyła ramionami, potem spojrziała na Spencera. Przeniosła wzrok na obraz, potem znów na niego.

- Obraz jest o wiele lepszy, prawda? - powiedział.
- Ona z pewnością jest bardzo utalentowana - odparła kobieta i wolno odeszła.
- Miłe z jej strony — mruknął Spencer, odwracając się do Lily.

Jest wręcz odwrotnie, chciała powiedzieć Lily, lecz zajęła się liczeniem pieniędzy.

**45**

### **MAGISTERIUM Z CHEMIOTERAPII**

W połowie marca nadszedł kolejny wtorek, kolejne badanie krwi.

Zwykle czekała około godziny. Tym razem przyszło jej czekać blisko dwie. Kiedy do pokoju wszedł DiAngelo, początkowo nie powiedział ani słowa. Milczał, podobnie jak Joy, która się do niego nie uśmiechała. On też na nią nie patrzył.

- Czy wspominałem ci kiedyś o alkeranie? - spytał w końcu.
- Nie. A co to jest?
- Taka mała pigułka. Będziesz ją żączywać trzy razy w tygodniu. Ważne, żeby nie zapomnieć.
- A na co to jest?
- Dzięki temu będziesz zupełnie czysta.
- O czym pan mówi? - spytała cicho Lily.
- O niczym. Pamiętasz, jak ci mówiłem, że to długi proces? No i czasami robi krok do tyłu. Zrobiliśmy kilka wielkich kroków do przodu. Ale twoje białe ciała znów zaczynają się mnożyć...

Pokręciła głową.

- A liczba czerwonych nie rośnie tak szybko, jak miałem nadzieję. Nadal masz ich bardzo mało. Przyda się więc niewielka kuracja podtrzymująca...

Lily wciąż kręciła głową.

- Nie przejmuj się, dlatego właśnie robimy co tydzień badania.
- To niemożliwe!

271- Wiem, bardzo mi przykro. Ale alkeran jest bardzo skuteczny. Możesz go brać doustnie z odrobiną prednisonu, tylko przez kilka tygodni. To chyba załatwi sprawę.

- Proszę. To niemożliwe.
- W porównaniu z tym, przez co przeszłaś, to pestka.
- Proszę, nie. Nie, nie.
- Lily.

Nie mogła tego pojąć.

DiAngelo i Joy siedzieli w milczeniu przy jej łóżku.

Alkeran znów zaczął wywoływać nudności, a niepożądanym efektem ubocznym jego stosowania było niszczenie tego samego szpiku kostnego, który próbował ratować. Ograniczył także w wielkim stopniu jej zdolność do zwalczania infekcji -

znów stanie się dziewczyną żyjącą w plastikowym namiocie, patrzącą z przerażeniem na chusteczkę higieniczną w ręce drugiej osoby. Cieniotka biała chusteczka będzie dla niej bardziej przerażająca niż *Krzyk 3*. Koniec z wyprawami do miejsc publicznych, koniec z kinami, teatrami, lunchami, paradami. I raczej koniec ze sprzedażą obrazów w sobotnie ranki.

Leczenie podtrzymujące! Zupełnie jakby była starym samochodem, w którym trzeba zmienić olej, trochę go podrasować, być może założyć nowe pasy bezpieczeństwa i rurę wydechową.

Została w szpitalu cały ranek, by mogli zrobić dodatkową biopsję i szybką transfuzję czerwonych ciałek. Biopsja wykazała, że jej szpik znów zaczął wytwarzać blastocyty. W szpitalu zjawiała się Annę w kostiumie od Armaniego, który kupiła za pieniądze z wygranej na loterii, i wyrzuciła w górę ramiona w rękawach z kosztownej wełny.

- Mówiłam panu - syknęła do lekarza w holu, kiedy myślała, że Lily jej nie usłyszy, a było wręcz odwrotnie. - Mówiłam to panu trzy miesiące temu. Jak długo zamierzacie ją dręczyć? Dał jej pan fałszywą nadzieję, utrzymywał ją pan sztucznie w dobrym stanie, a teraz proszę. Czy ma pan pojęcie, jak bardzo się cieszyła, myśląc, że choroba nigdy nie wróci?

- Wiem, że jest rozczarowana, ale to normalna reakcja. Nie ma się jeszcze czym martwić.

- Może nie dla pana.

- Proszę pani, ona ma raka. 1 rak właśnie tak się zachowuje. Więc będziemy go leczyć jeszcze raz. I jeszcze raz, jeśli tylko będzie trzeba. Jej stan trochę się pogorszył, my chcemy to zatrzymać, a ona doskonale to rozumie.

272

- Ona tylko udaje, że rozumie! Ja nie rozumiem.

- Annę!

Annę mówiła nadal.

- Annę! - zawołała Lily jeszcze raz. Wyszła do holu, ciągnąc za sobą stojak do kroplówki. - Annę, czy możesz przy mnie usiąść?

Gdy już znalazły się w pokoju, powiedziała:

- Przestań, to nic nie pomoże.

- Mówił, że pozbędzie się raka.

- I pozbył się. Z wyjątkiem jednej malutkiej komórki, której nie wykazała biopsja w styczniu. A ta mała komórka rozmnożyła się i są ich teraz dwa miliony. Musimy zrobić to, co musimy.

- O mój Boże. - Annę chwyciła się za włosy, zupełnie jakby to ona musiała ponownie przejść przez chemioterapię. - Kiedy to się skończy? Kiedy to wreszcie się skończy? Jak długo jeszcze będziesz musiała tak cierpieć.

Lily odwróciła głowę. Domyślała się, że do samego końca.

Kiedy już wypuścili ją ze szpitala, powiedziała, że sama wróci do domu i ruszyła powoli Piątą Aleją, otulając się mocno czerwonym płaszczem przeciwdeszczowym od Prądy. Naciągnęła beret na głowę i rozłożyła wielki czerwony parasol. Padał deszcz.

Weszła do niemal pustej katedry Świętego Patryka na rogu Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy i Piątej Alei, usiadła w pierwszej ławce, na znak szacunku zdjęła beret i rozplakała się. Myślała, że to wszystko przez zapach palonego kadzidła.

Obok niej usiadł po chwili ksiądz w sutannie. To pewnie jej lzy i kępki odrastających włosów zwróciły jego uwagę; musiał dojrzeć w niej rzeczy, które potrafiła wyrazić tylko za pomocą obrazów.

- Jesteś katoliczką? - spytał.

- Jestem nowojorską katoliczką - odparła Lily. Kiedy uniósł pytająco brwi, wyjaśniła: - To znaczy, że nie byłam w kościele od czasu bierzmowania.

- Ach tak. Większość ludzi, którzy do mnie przychodzą, jest podobna do ciebie.

- W końcu więc przychodzą?

- Tak. Szukają odpowiedzi.

Był to starszy ksiądz, bardzo miły, siwiejący, który przemawiał kojącym głosem.

- Widziałem, jak płaczesz. 1 chciałem ci powiedzieć, że w niektórych naszych kościołach podczas mszy dzieci płakały tak głośno, że nie mog-

273liśmy jej spokojnie odprawiać, więc przygotowaliśmy dla nich pokój. Matki mogły je tam zabierać i tam spędzać mszę. Nazywaliśmy go pokojem płaczu.

- Chciałabym mieć matkę, która zabrałaby mnie do pokoju płaczu - odparła Lily.

Po długiej chwili milczenia dodała: - Problem polega na tym, że moja matka chyba sama weszła tam któregoś dnia i już nigdy z tego pokoju nie wyszła.

- Wiele osób, które do mnie przychodzą, ma podobne problemy - powiedział

ksiądz. - Biskup Rzymu także wchodzi do pokoju płaczu. Wiedziałaś o tym? Tuż

przed włożeniem papieskich szat. Najpotężniejsi ludzie, mistycy, także wiedzą, co to jest.

Lily słuchała, kiwała głową i próbowała zrozumieć.

- Wiesz, co ci poradzę? Jeśli możesz zrobić coś, co by cię pocieszyło, zrób to koniecznie. Cokolwiek. Czy coś sprawia ci radość?

O Boże, dlaczego zawsze oferowano jej długą godzinę pociechy, kiedy najbardziej potrzebowała wiecznej chwili największego niepokoju? No, teraz ją wreszcie dostała.

Spojrzała na księdza zza zasłony targających nią emocji. Dostrzegła w jego oczach coś znajomego, coś, co czaiło się w oczach Claudii Vail: pełne zrozumienia znużenie.

- Czy zna ksiądz moją babcię? Uśmiechnął się.

- Ona też jest z wojennego pokolenia? Tego, które widziało rzeczy, o których nie można zapomnieć, i dzięki temu znajduje pociechę w najdrobniejszych rzeczach?

- Gdyby tylko reszta z nas mogła wiedzieć, co to głód i tortury. Żyłoby nam się o wiele lepiej - powiedziała Lily bez urazy w głosie.

- Jak masz na imię?

- Lily.

- Śliczne imię. Lily, martwisz się tym, czego nie masz? A może pomyślałabyś o tym, co masz? A co powiesz o tych wszystkich rzeczach, których nie masz i wcale nie chcesz ich mieć?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Mam stanowczo za dużo rzeczy, których nie chcę mieć. Między innymi raka.

- Bardzo mi przykro.

- Moja najlepsza przyjaciółka zniknęła bez śladu. Tego też nie chcę. Do tej pory jej nie odnaleziono, nikt nie wie, gdzie jest.

- To musi być straszne dla jej rodziców.

- Tak. Ale proszę mi wytłumaczyć, co się dzieje z moją matką. Bardzo cierpiała i nigdzie nie może znaleźć pociechy.

- Musi znaleźć pociechę w swoim cierpieniu. Lily z trudem podniosła się z ławki.

- Chyba tak. Gdzie jest ten pokój płaczu, proszę księdza? Proszę mnie tam zabrać. Zrobił nad nią znak krzyża.

- Nosisz go ze sobą wszędzie, moje dziecko. Tak jak wszyscy cierpiący. Wszyscy wchodzimy do środka. Pytanie brzmi, czy z niego wychodzimy, czy zostajemy tam na zawsze? I kogo wciągamy ze sobą?

Kiedy wróciła do domu, nie weszła do pracowni ani sypialni. Zdjęła buty i poszła do kuchni, żeby wziąć sobie coś do picia. Nagle przytłoczył ją ogromny ciężar i osunęła się na podłogę przy ścianie. Nie mogła się podnieść.

Zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę, nie patrząc na numer dzwoniącego.

Myślała, że to Spencer.

Dzwoniła jednak Jan McFadden, by zaprosić ją, Paula i Rachel na ósme urodziny bliźniaków.

- Kiedy nie ma z nami Amy, dobrze będzie was wszystkich zobaczyć.

Przyjdziecie na pewno?

Lily chciała jej opowiedzieć o sobie, ale głos pani McFadden brzmiał tak, jakby i ona siedziała na podłodze w kuchni.

- Przyjedziemy - odrzekła. - Obiecuję.

Usłyszała najpierw pukanie do drzwi, a potem dźwięk klucza w zamku. Wreszcie jego głos.

- Lii?

Rzucił klucze na stół, poszukał jej w pracowni, wszedł do kuchni. Siedziała na podłodze i nie podniosła głowy. Przez chwilę stał w przejściu, po czym usiadł obok niej.

- Cześć - odezwał się.

- Na pewno już wiesz - powiedziała bezbarwnym tonem.

- Tak. Kiedy nie miałem od ciebie wiadomości przez cały dzień, zadzwoniłem do DiAngela. Ale dlaczego jesteś taka przygnębiona? Będiesz zażywać małą pigułkę i co z tego? Ja biorę dwadzieścia pastylek advilu dziennie, a widziałas mnie kiedyś na podłodze?

Odwróciła do niego zalaną łzami twarz.

- Wstawaj - powiedział, ujmując ją pod ramiona. - Zabieram cię do 275Odessy i zaszalejmy, nie zważając na koszty. Potem pójdziemy do kina na *Cudownych chłopców* z Michaeliem Douglasem.

Pomógł jej zejść po schodach. Miał na sobie garnitur i ciemny płaszcz. Otworzył wielki czerwony parasol i trzymał go nad ich głowami. Podał jej ramię i tym razem postanowiła skorzystać z pomocy. W Odessie opowiedziała mu o księdzu i pokoju płaczu. W zamyśleniu potarł brodę. Nic nie powiedział, ale wyglądało na to, że się z tym zgadza. W kinie kupił tylko jeden popcorn, ale zjadł większość sam, bo dłonie Lily spoczywały smutno na jej kolanach.

Kiedy wracali do domu, Spencer, który znał się całkiem niezłe na muzyce sprzed ery Lily, zanucił wykorzystaną w filmie piosenkę Boba Dylana, *Things Have Changed*: „Próbowałem uciec od siebie jak najdalej...”.

Lily miała dziesiątki zamówień na portrety dzieci, psów, kotów, rybek, a nawet anakondy. Większość z nich odrzucała. Jak miała im powiedzieć, że zażywa teraz

alkeran co drugi dzień, a lada moment doktor D. powie jej, że musi wrócić do szpitala na kolejną serię vepesidu? Malowała autoportrety, na których była chora, traciła włosy, była łysa, miała w piersi cewnik, a potem tylko bliznę. Na koniec narysowała tylko oczy otoczone wielkim czarnym smutkiem. Spencer wziął ten obrazek dla siebie. I udzielił jej rady. Powiedział, że żąda za swoje prace za mało pieniędzy i dlatego ludzie zasypują ją zamówieniami. Następnej soboty podniosła ceny i liczba ofert nieco spadła.

**46**

### **POTEŻNY QUINN**

Pod koniec marca Lily, Paul i Rachel pojechali pociągiem do Port Jefferson na przyjęcie urodzinowe rodzeństwa Amy. Lily, która znów przestała jeść, a jej włosy przestały rosnać, jakoś się trzymała. Alkeran niszczył jej dobrą krew, ale przy okazji także i złą, więc ogólny bilans nie był beznadziejny. Przyjęcie odbywało się w sobotę. Kiedy dwa dni wcześniej spotkała się ze Spencerem, nie wspomniała o tej wyprawie. I nie wiedziała dlaczego. Może dlatego, że rozważała możliwość złożenia wizyty bratu, który mieszkał kilka kilometrów od domu rodziców Amy. A może dlatego, że od dłuższego

276

czasu nie widziała w jego niebieskich oczach detektywa i nie chciała, by znów się pojawił.

Pani McFadden była w wyjątkowo złym humorze pomimo faktu, że właśnie odbywało się przyjęcie urodzinowe jej młodszych dzieci. Cały dom był udekorowany, w salonie fruwały baloniki, a na blacie w kuchni rozmrażał się tort firmy Carvel. Na stole leżały przygotowane świeczki, prezenty były zapakowane w kolorowy papier, w salonie na stole rozłożono obrus z postaciami z filmów Disneya i ustawiono miseczki z chipsami. Z pozoru wszystko wyglądało więc tak jak w każdym innym w domu, w którym bliźniaki, chłopiec i dziewczynka, obchodziły ósme urodziny, i dorośli postanowili wydać przyjęcie.

Jednak w tym domu ojciec dzieci siedział przed telewizorem i nawet nie podniósł głowy, gdy weszli do domu, a matka siedziała w kuchni. Kiedy Lily, Paul i Rachel weszli tam do niej, postawiła drinka na blacie. Nie miała makijażu i wyglądała, jakby zapomniała zdjąć fartuch.

Przywitali się, a Jafi o dziwo pamiętała, by zapytać, czy mają ochotę na coś do picia. Po chwili stali skrzępowani ze szklankami coli w rękach. Paul nie znosił krępujących sytuacji, więc natychmiast zaczął mówić o dzieciach, szczekających psach, salonie fryzjerskim, w którym pracował razem z Rachel, o wszystkim, byle tylko nie stać w milczeniu.

- Jak się miewasz, Lii? - spytała Jan McFadden. - Wyglądasz... o wiele lepiej. Tak dawno cię nie widziałam. Przepraszam, że dotąd cię nie odwiedziłam.

- Ma pani tyle rzeczy do zrobienia.

- Tak. Ale ty się trzymasz? Lily skinęła głową.

- Trzymam się.

- Nadal bierze chemię - wyjaśniła Rachel. - Kilka tygodni temu czuła się o wiele lepiej.

- Tak, Paul wspominał, że nadal walczysz.

- Trochę - odparła Lily. - Ale z wiosną mam w sobie więcej optymizmu.

Jan odwróciła się w stronę zlewu i puściła zimną wodę, by zrobić poncz owocowy.

- Ale przynajmniej żyjesz, Lily. Moja Amy wcale nie żyła. Ależ tak, chciała zawołać Lily. Amy żyła pełną piersią, tańczyła w każdy weekend, pisała eseje i malowała, choć nie potrafiła malować, śpiewała, choć wcale nie potrafiła śpiewać. Dzięki Paulowi co dwa miesiące zmieniała kolor włosów. Chodziła do eleganckich, drogich restauracji i nosiła eleganckie, drogie ciuchy.

Jeździła na nartach i na rolkach i latała jako pasażer malutkim jednosilnikowym samolotem nad Long Island. Pływała na nartach wodnych i skuterze, przebiegła trasę nowojorskiego maratonu i grała w tenisa. Dużo się uczyła i jeszcze więcej imprezowała. Piła, paliła trawkę. Raz nawet wystąpiła na scenie i opowiadała dowcipy.

Kochała. Kochała, kiedy była jeszcze w szkole średniej i kiedy była starsza. A co ważniejsze, odwzajemniano jej miłość. Amy, odrzucająca rozwiane włosy w Central Parku, poprawiająca buty podczas niedzielnego meczu softballu; Amy obiegająca park trzy razy, w pełnym makijażu i z najbardziej czerwoną szminką na ustach, była kochana. Była kochana! Żyła.

Lily nie odpowiedziała pani McFadden.

Paul, który nie lubił, by takie posępne myśli przyćmiły uroczysty dzień, pociągnął Lily za włosy i klepnął ją w pośladek.

- Nie rozmawiajmy dziś o Amy. To ma być szczęśliwy dzień. A Lily nie ma wyboru, musi wyjść z tego całego zamieszania w idealnym stanie, a wiecie dlaczego?

- Paul, przestań - powiedziała, próbując powstrzymać śmiech.

- Ja wiem - odparła Rachel, łaskocząc ją w żebra. - Bo jest potężną Quinn.

- Zgadza się - powiedział Paul i zaczął śpiewać: - „Nie widzieliście nic takiego jak potężny Quinn”.

Jan McFadden odwróciła się od zlewu z twarzą zalaną łzami.

- Amy śpiewała tę piosenkę - powiedziała, trzymając w ręce drewnianą łyżkę.

- Wiemy - odrzekł Paul, przewracając oczami. - A teraz także ja ją śpiewam.

- Widzę ją wyraźnie, jak stoi tu w kuchni... choć było to trzy lata temu w czasie urodzin dzieci. Nie było jej w domu przez kilka miesięcy i przyjechała specjalnie na przyjęcie. Stała tutaj z kwiatami wiśni we włosach i śpiewała tę piosenkę o potężnym Quinnie... - urwała i, szlochając, ukryła twarz w dłoniach. - Nie mogę - wyszeptala. - Nie mogę już dłużej. Nie mogę dalej żyć, nie mogę codziennie rano wstawać z łóżka.

Tort lodowy topił się na blacie. Bliźniaki siedziały w salonie razem z tatą.

Dmuchały w papierowe trąbki, biły się plastikowymi raketkami, puszczały papierowe samolociki, podbijały balony i wrzeszczały jak najęte. Telewizor

278

ryczał na cały regulator. Jan McFadden płakała. Rachel siedziała ze wzrokiem wbitym w swoje dłonie. Paul stał obok Jan. A Lily próbowała usiąść przy okrągłym stole, wpatrując się tępo w Jan. Próbowała powiedzieć: „O czym pani mówi? Amy nie znała mnie trzy lata temu”.

Ale nie mogła wydusić ani słowa.

Na jej twarzy malował się niepokój, który zauważył nawet stojący po drugiej stronie kuchni Paul.

- Co się dzieje, staruszko? - spytała Rachel. - Nie czujesz się dobrze? Usiądź.

- Lii, co jest?
- Amy nie знаła mnie trzy lata temu. Poznałyśmy się jesienią, dwa i pół roku temu. Pamiętam doskonale.
- Lii?
- Macie tutaj drzewa wiśniowe? - Tylko to z trudem zdołała z siebie wykrztusić.
- Nie, nie. Amy przywiozła je z Waszyngtonu.

Dwa lata temu pod koniec marca pojechały tam, żeby odwiedzić jej brata. Spacerując wokół basenu przy Jefferson Memoriał, zrywały kwiaty wiśni i wsuwały je we włosy. Przeszły przez cały Mail aż do budynku Kapitolu. Kiedy spotkały się z Andrew, zdyszane i zarumienione, jakże się ucieszył na ich widok. O mój Boże.

- Może to było dwa lata temu? - spytała Lily, trzymając się mocno blatu stołu. - Dwa lata, prawda? Rok przed jej zaginięciem?

Jan McFadden płakała.

- Bliźniaki skończyły pięć lat. Dlatego przyjechała. To było wielkie wydarzenie. Przyjechała z Waszyngtonu z kwiatami we włosach na ich piąte urodziny. Nie było jej tutaj dwa lata temu. Ani w zeszłym roku. Wtedy ostatni raz zjawiała się na ich urodzinach.

Lily usiadła. A raczej opadła na krzesło.

- Co się dzieje, Lii? - spytał Paul.
- Co się dzieje, Lii? - spytała Rachel.

Nic tu nie pasowało. Jakim cudem Lily zdołała siedzieć spokojnie, milczeć, rozciągać usta w fałszywym uśmiechu? Dzięki Bogu za chorobę. Mogła nią wszystko wytłumaczyć: nagłą błądź i osłabienie, które nie pozwalało jej wykrztusić ani jednego słowa.

Do kuchni wszedł Jim, mąż Jan. Spojrzał na żonę, potem na Rachel, Paula i Lily. Zaciśnął zęby i złapał mocno brzeg kuchennego blatu.

279- Twoje dzieci czekają w pokoju, żebyś w końcu zaczęła to pieprzone przyjęcie - rzucił. - Zrobisz to, czy będziesz tutaj stała, jak każdego pieprzonego dnia? Przez następne dwie godziny w domu panował ruch. Słyszał się śpiewy, bawiono się w muzyczne krzesła, przypinanie ogona osiołkowi, zjedzono tort. Lily prawie się nie odzywała, ale tuż przed wyjściem spytała panią McFadden, czy może zadzwonić, i poszła na górę do sypialni.

Zadzwoniła do Andrew.

Telefon odebrała Miera.

- Cześć, tu Lily. Czy mogę porozmawiać z Andrew?
- On nie chce z tobą rozmawiać - odparła Miera i natychmiast odłożyła słuchawkę.

Trzęsącymi się rękami Lily raz jeszcze wystukała numer.

- Miera, nie odkładaj słuchawki - powiedziała. - Proszę. Chcę się tylko z nim przywitać.
- On nie chce się z tobą witać. Nie chce w ogóle z tobą rozmawiać.
- Dlaczego?
- Och, daj spokój. Przestań. Możesz tu sobie wydzwaniać, ile chcesz, aleja na pewno nie poproszę go do telefonu.
- Jestem w Port Jeff- powiedziała Lily drżącym głosem. - Chciałam zapytać, czy mogłabym na chwilę wpaść.



Miera wybuchnęła śmiechem.

- Chyba żartujesz? Nie przestąpisz progu tego domu, Lii. Nie po tym wszystkim. Usłyszała, jak ktoś podnosi drugą słuchawkę. Nie odezwał się jednak.

- Andrew? To ty? Słyszała tylko ciężki oddech.

- Andrew, to ja, twoja siostra Lily. Pozwól mi przyjść i zobaczyć się z tobą.

- Nie, Lily - powiedział. - Trzymaj się ode mnie z daleka. Dla swojego własnego dobra.

- Andrew! Miera, czy mogę porozmawiać z moim bratem sama?

- Nie - odparł Andrew. - Moja żona może słyszeć wszystko, co chcesz mi powiedzieć.

- Andrew, czy to prawda? Powiedz mi, czy to prawda? - spytała, nie zadając sobie trudu, by otrzeć łzy z twarzy.

- Co?

- Czy miałeś romans z Amy, zanim spotkałyśmy się w college'u?

280

Jakim cudem udało się jej to powiedzieć? Miera i/lub Andrew rzucili słuchawkę. Lily siedziała w sypialni Jan i płakała, dopóki nie znalazł jej tam Paul.

- Co się tutaj dzieje? - spytał. - Kurczę, w tym Port Jeff wiedzą, jak organizować przyjęcia dla dzieci.

Pożegnali się z McFaddenami, poszli na kolację do matki Paula, po czym ostatnim pociągiem wrócili do Nowego Jorku. Paul i Rachel zostali do czwartej rano, próbując pocieszać ją margaritą.

Poszła spać dopiero o świcie.

Kiedy w niedzielę przyszedł Spencer, jeszcze spała. Zapukał do drzwi sypialni i wszedł do środka. Leżała w łóżku. Może nie całkiem przykryta. Nie pamiętała nawet, czy się rozebrała. Tak. Na wpół rozbudzona naciągnęła kołdrę aż pod brodę.

- Wszystko w porządku?

- Nie wiem - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

- Co się dzieje?

- Która godzina?

- Pierwsza po południu.

- Och.

- Późno poszłaś spać? - uśmiechnął się.

- Nie. Tak. Paul i Rachel byli u mnie. Wpatrywał się w jej zaspaną twarz.

- Dlaczego płakałaś?

- Nie płakałam, spałam - skłamała. Nie lubiła go okłamywać. Źle się z tym czuła.

- Płakałaś. Oczy masz zapuchnięte. I policzki też.

- Nic panu nie umknie, detektywie - powiedziała. - Wezmę szybki prysznic i ubiorę się. Jesteś głodny?

Lily nie potrafiła się bronić przed jego badawczym spojrzeniem, pytaniami, nieustępliwością. Kiedy była tak zrozpaczona jak dziś, nie mogła nic przed nim ukryć. I nic nie mogła mu powiedzieć. To jasne. Natychmiast wykorzystałby to przeciwko jej bratu. Stała pod prysznicem przez całą wieczność, zastanawiając się, jak zdoła przetrwać tę niedzielę. Kiedy wyszła z łazienki, Spencer siedział na kanapie i czytał gazetę, którą natychmiast odłożył. Obrzucił ją uważnym spojrzeniem od stóp do głów.

- Siedziałas tam przez czterdzieści pięć minut. Coś jest bardzo nie tak, skoro bałas się wyjść.
  - Nie, nie. To nie ma nic wspólnego z tobą, naprawdę.
- 281Dlaczego jednak, wypowiadając te słowa, wpatrywała się w czubki jego butów? Wstał i poszedł po kurtkę.
- Lily, przecież wiesz, że to proste. Ułatwiam ci to jak mogę. Jeśli tylko nie chcesz mnie widzieć...
  - Ależ chcę.
  - Jeśli tylko nie chcesz mnie widzieć, zadzwoń i zostaw mi wiadomość. Napisz list, powiedz mi to przez Joy. Ale nie stój i nie udawaj, że nie kłamiesz, skoro nawet nie możesz mi spojrzeć prosto w twarz.
- Próbowała przeproszać, powiedzieć mu, że tylko ma kaca, nie czuje się dobrze, ma mdłości, chce jej się spać. Powtarzała kłamstwo za kłamstwem prosto w jego pierś, bo gdyby tylko na niego spojrzała, wyznałaby natychmiast jedyną rzecz, jakiej nie mogła mu powiedzieć. Jak on mógł nie słyszeć słów, które krzykiem niosły się przez całe jej ciało? Ach tak. Nie słyszał, bo już był na dole.

AMY ZNAŁA ANDREW, ZANIM POZNAŁA LILY!

Jak to się mogło stać?

Karty kredytowe, gotówka, dokumenty leżące na komodzie, oczywiście, od samego początku. Lily nie potrafiła umiejscowić wspomnień w czasie, ale to było jasne! Od chwili, gdy Amy wprowadziła się do tego mieszkania, zostawiała tu swoje życie i znikwała na całe dni albo wyjeżdżała w piątki, od samego początku nucąc pod nosem tę przeklętą piosenkę. Lily, zachwycona przyjaźnią, jaką Amy ją obdarzyła, była przekonana, że śpiewa dla niej. Och, ta jej dziecięca głupota! Potężna Quinn, nie ma dwóch zdań.

Amy знаła Andrew, zanim poznała Lily. Amy już wcześniej była związana z Andrew, nosiła dla niego kwiaty we włosach.

I co potem? Dlaczego? Jak?

Gdzie go spotkała? Skąd go znała?

A jeśli rzeczywiście tak było, jeśli gdzieś go poznała i nawiązali romans, dlaczego przeniosła się z Hunter do City College i zapisała na te same zajęcia co Lily?

„Cześć. To miejsce jest wolne? Nie mam pojęcia, jak sobie poradzę na tych zajęciach, wszyscy są tacy utalentowani, wielkie nieba, spójrz tylko, jak ty rysujesz. Masz prawdziwy dar. A więc to miejsce jest wolne?”.

Tamtego niedzielnego wieczoru raz jeszcze zadzwoniła do Andrew. Miera znów odłożyła słuchawkę, lecz wcześniej zdążyła powiedzieć:

- Jeśli zadzwonisz tu jeszcze raz, załatwię nakaz sądowy zabraniający ci wszelkich kontaktów z nami.

282

**J**

To było jeszcze gorsze niż sprawa z Amy. Andrew. Utrzymywał to wszystko w tajemnicy. Andrew i Amy znali się, zanim ona ich sobie przedstawiła. Oboje oszukiwali ją i radzili sobie z tym świetnie, bo niczego nie podejrzewała. Ale to jeszcze nie było najgorsze. Najgorsze było to, że Andrew nadal okłamywał detektywa Spencera O'Malleya. Jeśli jego związek z Amy nic nie znaczył, jeśli nieważne było to, że znali się, zanim na scenę wkroczyła Lily, dlaczego nadal kłamał?

Lily nie mogła malować przez cały tydzień.

Nie mogła robić nic. Zwymiotowała jeszcze, zanim wzięła alkeran. Wyrzuciła z siebie paskudny smak zdrady i oszustwa, który wciąż czuła w ustach.

**47**

### **HARKMAN**

- o'Malley. Jak ci minął weekend? Mój był bardzo udany, dzięki. To Gabe McGill.

- Dzień dobry. Dlaczego patrzysz na mnie wilkiem?

- Ty draniu, lepiej, żeby to nie był żaden podstęp z twojej strony. Whit-taker chce nas widzieć obu w swoim biurze.

Whittaker stał za biurkiem.

- Co ty zrobiłeś, o'Malley? Wbiłeś szpilki w laleczkę wudu przedstawiającą Harkmana?

- Czy ktoś może mi powiedzieć, o co tu, kurwa, chodzi?

- Harkman jest w szpitalu.

- Och. A co mu się stało?

- Zawał serca.

Whittaker i McGill skrzyżowali ręce na piersiach. Spencer skrzywił usta w uśmiechu.

- Co się z wami dzieje? Czy to moja wina, że trafił do szpitala?

- To już czwarty zawał i jego lekarz powiedział, że powinien dać sobie spokój.

Koniec z pracą. Może w ogóle z tego nie wyjść.

- I co? Myślicie, że to przeze mnie miał zbyt stresującą pracę? Od miesięcy nie wychodził z biura! Wszędzie jeździłem sam. Zostawiałem go za biurkiem, nigdzie się nie ruszał. Dałem mu do pomocy Sancheza. Zapytajcie 283go, co on o tym myśli. Usuwałem mu spod nóg wszystkie przeszkody, ale on stale narzekał. Potem posadziłem go za biurkiem, zza którego się nie ruszał, i to też jest moja wina?

Whittaker i McGill nie wyglądali na przekonanych tyradą Spencera, który za wszelką cenę chciał ich przekonać, że nie przyczynił się do czwartego ataku serca Chrisa Harkmana.

- Nie będziemy sobie z tego żartować. On może nigdy nie dojść do siebie, a pracuje w policji dłużej od ciebie. Okaż więc odrobinę szacunku, o'Malley. Był dobrym gliną. Nigdy nie znalazł ani jednej zaginionej osoby, ale był dobry.

- To nieprawda - zaprotestował Spencer. - Zamknął kilka spraw o opiekę, znalazł kilku uciekinierów.

- Wcale ich nie znalazł! Sami wrócili do domu. - Whittaker machnął niecierpliwie ręką. - No dobra, jego tu nie ma, my za to mamy problem. Uporałeś się z robotą?

- Uporałem się? To się nigdy nie kończy, pracuję codziennie do dziewiątej wieczorem, kończąc to, co rozpaprał Harkman. Nie mam pojęcia, co teraz będzie.

- Potrzebny ci tymczasowy partner, dopóki nie znajdziemy kogoś na stałe.

Spencer spojrział na McGilla, który przewrócił oczami.

Harkman zniknął na dobre! Człowiek, który od lat utrudniał mu pracę swoją apatią, beczynnością i wrogim nastawieniem. Poczul wielką ulgę.

Gabe McGill był młodym Irlandczykiem, świeżo po akademii. Na jego twarzy stale malował się wyraz: „Tylko mnie nie wpięprzaj!”. Zupełnie nie nadawał się na detektywa. O wiele lepiej radziłby sobie jako krawężnik w mundurze, patrolując Tompkins Square Park i resztę East Village. Wyglądał, jakby miał zaraz

wybuchnąć. Jego rudawe kręcone włosy aż prosiły się o bliższe spotkanie z fryzjerem, zarost o kontakt z żyletką, a ubrania z żelazkiem. Nikt nie wyglądał w garniturze gorzej od niego. Koszule były zawsze za małe na jego potężne ramiona i kark, na ogół nie-zapięte i wystawały zza paska spodni. W porównaniu z Gabe'em, Spencer mógł uchodzić za modela Brooks Brothers. I nie miał pojęcia, dlaczego tak bardzo go lubi.

- o'Malley, przydzielam ci McGilla jako tymczasowego partnera - po-wiedział Wittaker.

- o'Malley, zapamiętaj te słowa- odparł McGabe. - To tylko tymczasowy układ, a nie jakieś pieprzone małżeństwo. Tak dla uproszczenia

284

sprawy. Zostaję w Wydziale Zabójstw i będę ci pomagał, kiedy będzie trzeba. Kapujesz? Szefie, proszę mu to wyjaśnić.

- McGill, zostajesz w Wydziale Zabójstw, ale dopóki nie znajdziemy kogoś na stałe, jesteś podwładnym o'Malleya.

- Szefie, nie! Spencer się uśmiechnął.

- McGill, oprócz ciebie i Orkneya mamy w Wydziale Zabójstw ośmiu detektywów, a w Wydziale Osób Zaginionych tylko o'Malleya. Sancheza i Smitha w zeszłym tygodniu przeniesiono do kradzieży i twój przyjaciel bardzo potrzebuje pomocy. Spencer był zachwycony.

- Gabe, teraz to zupełnie inna bajka.

- Tylko dlatego, że ja tutaj jestem? Weszli do wspólnego pokoju.

- Tak. Słyszysz to? Jestem detektyw o'Malley, a to detektyw McGill z Wydziału Zabójstw. - Roześmiał się zadowolony.

- Myślisz, że szastanie tytułami pomoże ci znaleźć tę McFadden?

- Coś musi. Niebawem minie rok i nie będę mógł już trzymać jej akt na biurku bez nowych dowodów. Zostanie przeniesiona do spraw zawieszonych, a wtedy to już na pewno nic z tego nie wyjdzie.

Spencer nie chciał, by akta Amy trafiły do szafki z napisem „NIEROZWIAZANE”, gdzie razem z dziesiątkami innych czekały na następną zmianę, następnego detektywa, następne pokolenie. Co dziesięć lat w wydziale otwierano na nowo wszystkie akta, przeglądano je, a potem -jeśli nie było żadnych nowych informacji

- umieszczano w innej szafce: „NIEROZWIAZANE SPRAWY SPRZED

DZIESIĘCIU LAT I STARSZE”. Tam dogorywały akta dotyczące zaginionych

osób. Nastoletnich dzieci zdesperowanych matek, rozwiedzionych ojców, narkomanów, którzy nie potrafią znaleźć drogi do domu, znikających bez śladu.

Ich rodziny żyły dalej; nadal też pracowała policja. Spencer wiedział jedno - Jan McFadden nie będzie żyła dalej. Dla niej życie skończyło się w piątek,

czternastego maja 1999 roku. Trzymała się szaleńczej nadziei, że jej córka żyje i wróci do domu. A przynajmniej pragnęła otrzymać jakiś strzęp informacji, by nie spędzić reszty życia w czyścicu. I Spencer znajdzie dla niej tę informację.

Gabe i Spencer wyszli z posterunku i ruszyli Drugą Aleją w stronę baru McCluskeya na lunch.

285- Myślisz, że powinniśmy odwiedzić Harkmana w szpitalu? - spytał Gabe.

Spencer zastanawiał się przez chwilę.

- Pieprzyć Harkmana.

Skręcili właśnie za róg, kiedy Spencer usłyszał, że ktoś go woła. „Spencer!”.

Odwrócił się i zobaczył Lily ze szkicownikiem w ręce. Szła w ich stronę z uśmiechem na ustach. Odrastające włosy pospinała w małe kucyki, więc cała głowa aż mieniła się od fioletowych, różowych, niebieskich i żółtych gumek. Był piękny kwietniowy dzień. Lily była ubrana cała na różowo: różowa dżinsowa spódnica, kurtka, buty, przezroczysta bluzka i stanik. Miała gołe nogi. Podeszła do nich, jej uśmiech był tak znajomy, że Spencer musiał się cofnąć o krok.

- Witam, detektywie o'Malley - powiedziała, siląc się na oficjalny ton.  
- Witaj, Lily - odparł z udaną powagą. - To detektyw McGill. Gabe uśmiechnął się szeroko.

- Witam. - Uścisnął jej dłoń i przytrzymał przez długą chwilę. - Lily, mów mi Gabe.

- Ach, więc to pan jest tym słynnym detektywem McGill - odparła Lily. - Spencer dużo mi o panu opowiadał.

- Każda rzecz, jaką ci powiedział, to wredne kłamstwo.

Spencer opowiedział jej, co się stało z Harkmanem i jaką decyzję podjął ich szef.

- Przykro mi z powodu detektywa Harkmana. Z pewnością jest poważnie chory.

Ale detektyw o'Malley musi być zachwycony, mogąc z panem pracować.

- Nie wiem, czy znana jest pani prawda o detektywie o'Malley, panno...

- Quinn.

- ...ale to straszny smutas. Nie wiem, czy cokolwiek jest w stanie go uszczęśliwić i szczerze mówiąc, nie zamierzam zaharować się na śmierć, żeby to zrobić.

- No dobra. - Spencer kiwnął głową w stronę Lily. - Musimy już iść.

- Chciałaby się pani do nas przyłączyć? - spytał Gabe. - Zjeść z nami lunch?

Lily spojrzała na Spencera, który przygryzł wargę.

- Nie, dziękuję, może innym razem. Muszę zrobić kilka szkiców na Astor Square, dopóki pogoda dopisuje. Miło było pana poznać, detek-

286

tywie McGill. Do zobaczenia, detektywie o'Malley. - Uśmiechnęła się, zarumieniona.

Gabe zmarszczył brwi.

- *Ci*y pani nazywa się Lily Quinn? Jest pani może krewną...

- Gabe, idziemy! Nie zamierzam przez cały dzień wystawać na ulicy. Odwrócił się, by jeszcze raz spojrzeć na Lily, ale ona już zniknęła.

- o'Malley, wydaje mi się, że za wszelką cenę starałeś się odciągnąć mnie od tego uroczego, kolorowego stworzenia - powiedział Gabe, gdy siedzieli już w barze.

- Nie mam czasu, by wyliczać ci wszystkie powody.

- Podaj choć jeden, oprócz tego najbardziej oczywistego.

- Jeden? No dobra. Może ten, że masz żonę i dwójkę małych dzieci?

- Jakoś nie widzę, żeby twoja pani powstrzymywała cię od bliższych kontaktów z dziewczynami o połowę młodszymi od ciebie. Co jest z jej włosami?

- Rak.

Gabe spojrział na pokrytą odrastającym meszkiem głowę Spencera.

- Nadal?

- Mniej więcej.

- Czy ona jest spokrewniona z kochankiem Amy McFadden?

- Gabe, nawet nie potrafisz ci powiedzieć, jak bardzo nie chcę o tym rozmawiać.

**ŻÓLTE WSTAŻECZKI<sup>8</sup>**

Żółte wstażeczki, które przywiązali do słupów obok zdjęć Amy, wyblakły i zmarniały.

Razem z Paulem i Rachel Lily wiązała nowe wstażeczki i przyklejała nowe zdjęcia, gdy poczuła, że ktoś się jej przypatruje z drugiej strony

<sup>8</sup> W najnowszej tradycji amerykańskiej żółta wstażeczka stała się symbolem uczuć do nieobecnej drogiej osoby i przekonania, że bezpiecznie wróci do domu. Pomysł zawiązywania wstażeczek pojawił się po raz pierwszy w 1980 r., kiedy irańscy studenci zajęli ambasadę amerykańską w Teheranie (1979) i wzięli 52 zakładników. Inspiracją do tego gestu stała się pośrednio piosenka *Tie A Yellow Ribbon Round the Old Oak Tree* („Zawiąż żółtą wstażeczkę wokół starego dębu”) z 1972 r.

287ulicy. Wydało się jej, że kątem oka dostrzegła po drugiej stronie ulicy jakąś postać obserwującą uważnie trójkę młodych ludzi, która w środowe południe, tuż przed lunchem w Veselce przy Drugiej Alei zawiązuje żółte wstażeczki i...

Ogarnął ją strach. Bała się podnieść oczy. Nadal zawiązywała wstażeczki, lecz dłonie zaczęły jej drżeć. Paul zapytał, co się dzieje. Słyszając jego głos tuż obok siebie, Lily zebrała się na odwagę i podniosła wzrok. Po drugiej stronie ulicy zobaczyła kilka osób i żadna z nich nie patrzyła w ich stronę: mężczyzna kupował kwiaty, inny rozmawiał ze sprzedawcą, para czytała menu restauracji. Dojrzała jeszcze brązowe plecy mężczyzny w łachmanach, który szedł powoli ulicą, ale daleko od niej. Nagle zaczął biec, ale nie jak człowiek w łachmanach, tylko jak ktoś, kto ma bieganie we krwi: szybko poruszał nogami, jego ciało wcale nie wyglądało na wychudzone i wyniszczone. Być może tylko wymyśliła sobie te łachmany, może miał na sobie długie, brązowe płaszcze.

Ciekawe... Drżącymi rękami znów zaczęła wiązać wstażeczki. Pomyślała, że to tylko paranoja, nieuzasadnione niczym podejrzenia, takie jak te, które kazały jej zaciągać żaluzje w mieszkaniu, bo czuła, że ktoś ją obserwuje. Wtedy myślała, że to duch Amy. Ale tutaj, w środowe południe w East Yillage na Drugiej Alei, co to mogło być?

**49****BASEBALL JAKO METAFORA WSZYSTKIEGO**

W sobotnie chłodne popołudnie Spencer znalazł ją na ławce w Tompkins Square Park. Siedziała w rozpiętym płaszczu, z szeroko otwartymi oczami, które zdawały się nie mieć dna. Rankiem sprzedała wszystkie obrazy, a teraz otaczał ją tłumek dziesięciu czy dwunastu mężczyzn, którym rozdawała dwudziestodolarowe banknoty. Wyciągali do niej drżące, brudne dłonie, a ona wkładała w nie pieniądze na prochy.

„Kup sobie za to coś dobrego”, mówiła, a oni odpowiadali: „Jasne, skarbie, na pewno, złotko, dzięki, kochanie, nie martw się i niech cię Bóg błogosławi”.

Spencer ściągnął ją z ławki, kiedy wręczyła mu studolarowy banknot.

- Co ty wyprawiasz?

288

- Zabijam czas - odparła niemal wesoło. - Szukam odpowiedzi na zagadkę życia.

- Na miłość boską! Dlaczego rozdajesz im pieniądze?

- W nadziei, że znajdę Amy.

- Bardzo dobrze. Pytasz ich o nią? Bo nie słyszałem, żebyś pytała o cokolwiek.
- Mam nadzieję, że jeden z nich wyda mi się znajomy.
- Masz wielu znajomych wśród bezdomnych?
- On przyjdzie, zobaczysz. Ten Milo. Jego szukam.
- To jest nas już dwoje.
- Dowie się, że rozdają pieniądze. I przyjdzie, zobaczysz.
- Chcesz go skusić pieniędzmi? To przynęta? Bardzo dobrze, Lily. Ale chyba musisz podnieść stawkę. Dwadzieścia dolców nie wystarczy na działkę.
- On mnie odszuka. Tak jak ona.
- Co takiego?
- Nic - odparła szybko. - Jesteś głodny? Chcesz iść na lunch?
- Nie. - Zawiesił głos i odchrząknął. - Ale Yankees grają dziś z Angels.
- Naprawdę? - Lily wstrzymała oddech. Może poprosi mnie, żebym poszła. I spędzę z nim sobotnie popołudnie, co zdarza się bardzo rzadko. Z dała od raka, Amy, tylko my dwoje i pięćdziesiąt pięć tysięcy obcych kibiców.
- Tak. Kiedy ostatni raz byłaś na meczu?
- Kiedy miałam szesnaście lat. - Wstrzymaj oddech, przygryź wargę, spokój, spokój.
- Jesteś więc weteranką. Chcesz iść ze mną? - spytał po chwili.
- Jasne. - Uśmiechnęła się, lekko wzruszając ramionami. Jasne, pójdę, nie ma sprawy. Miałam właśnie wrócić do pustego mieszkania i naciągnąć kilka płócien, ale pójdę z tobą na mecz. Miała ochotę skakać z radości. Opanowała się jednak. - Pobiegnę szybko do domu i wezmę coś na głowę.

Chciała nałożyć makijaż. Włożyć inną koszulę, ładne dzinsy, skropić się perfumami. I pomalować paznokcie, może nawet u nóg, wziąć prysznic, trochę się ogarnąć.

Chciała pomalować usta, zanim pójdzie z nim na mecz baseballowy.

- Chodźmy od razu. Inaczej nie zobaczymy pierwszego inningu. Kupię ci czapeczkę Yankees.
- Świetnie. - Co mogła zrobić? - Masz bilety?
- Może mam. Czy rozdałaś dziś narkomanom wszystkie zarobione na obrazach pieniądze?

289- Znalezienie Milo nie będzie tanie, Spencer. **Dziesięć dobrych rzeczy związanych z utratą włosów:**

10. Możesz korzystać z damskiej i męskiej toalety.
9. Nie musisz ich dwa razy płukać przy myciu.
8. Nikt nie pyta cię z fałszywym uśmiechem: „U jakiego fryzjera się czeszysz?”.
7. Nie musisz przejmować się kurzem ani wszami.
6. Bierzesz prysznic w dziesięć minut zamiast w czterdzieści pięć.
5. Nie masz problemów z zatykającym się odpływem w wannie.
4. Kiedy słońce odbija się od twojej czaszki, zapewniasz darmowe oświetlenie stałym bywalcom Tompkins Park.
3. Codziennie z tysiąc osób patrzy na ciebie ze współczuciem.
2. Kiedy ludzie mówią: „Och, ostrzygłaś się”, odpowiadasz: „Nie, ogoliłam się”.

**I absolutny numer jeden:**

1. Kiedy Spencer Patrick O'Malley kupuje ci czapeczkę Yankees, nie musisz się martwić o fryzurę.

Lily ubrana w nową czapeczkę poszła ze Spencerem na mecz Yankees z drużyną Angels z Kalifornii. Ależ ten Spencer jest zabawny. Dzięki swoim kontaktom w Związku Policjantów, zdobył świetne miejsca, tuż za pierwszą bazą. Musiał więc załatwić je wcześniej, wiedząc, że poprosi ją, by z nim poszła. Dlaczego nie powiedział jej o tym wczoraj albo przedwczoraj, żeby miała dość czasu, by się przygotować?

Choć był już kwiecień, dzień wypadł zimny i wietrzny. Lily miała na sobie trzy warstwy ubrań, a mimo to drżała na całym ciele. Spencer kupił im dwa hot dogi i dwie cole.

- Bez piwa? - spytała.

- Jeśli masz ochotę, zaraz ci kupię.

Nie miała. Było jej zimno, zauważył to i dał jej swoją kurtkę z napisem NYPD na plecach. Kurtka była tak fantastyczna, że siedzący za nim facet, który stale pluł i przeklinał, poklepał Spencera w ramię: „Hej stary, super-kurtka, skąd ją masz?”. Spencer wyjął odznakę, pokazał ją plującym kibi-cowi i powiedział: „Z policji nowojorskiej”. Lily wybuchnęła śmiechem, Spencer jej zawtórował. Śmiał się! I pokazywał zęby!

Mimo fantastycznej kurtki, Lily nadal drżała.

- Jeszcze ci zimno? - spytał Spencer, a kiedy skinęła głową, objął ją ramieniem.

290

Objął. Ją. Ramieniem.

Przytuliła się do niego. Obie drużyny szły łeb w łeb, ale nie zbliżały się do siebie tak bardzo jak ona do Spencera.

Lily zerwała się z miejsca z głośnym okrzykiem i ramię opadło. Zrobiła meksykańską falę, śpiewała *Take Me Out to the Ballgame* i *We Will Rock You*. Ostry kwietniowy wiatr zapierał jej dech w piersiach. To tylko ten wiatr, prawda? Yankees zremisowali pod koniec dziewiątego inningu i wszyscy zerwali się z miejsc. Lily i Spencer również. Kiedy rozpromieniona odwróciła się do niego, dostrzegła, że intensywnie się w nią wpatruje. „Co jest?” spytała, a on pochylił się i pocałował ją, ot tak sobie, wśród całego tego zamieszania, krzyków i powszechnej radości. Spencer, z najcieplejszymi, najdelikatniejszymi, najpełniejszymi ustami; Spencer Patrick O'Malley, detektyw, oficer, z glockiem 26 w kaburze, czterdziestotrzyletni Spencer pochylił się i pocałował ją z zapalem godnym nastolatka, a Lily, której nikt nie całował od ponad roku, uniosła twarz, przytuliła się do niego mocno, podniosła rękę, by przytrzymać pochyloną ku niej głowę, potem oparła ją na jego piersi, a jeszcze później nie mogła nawet na niego spojrzeć. Nie dbała już wcale o to, czy Yankees wygrali, czy przegrali, ale kiedy zwyciężyli w jedenastym inningu, chciała tylko, by Spencer pocałował ją jeszcze raz - i pocałował. Radość bębniła w jej osłabionym przez raka sercu i pędziła przez wyniszczone chemią żyły. Przez całą drogę powrotną do domu słyszała dudniące w całym ciele *We Will Rock You*.

Nie wiedziała, jak go poprosić, żeby został. Czowała, że nie jest godna pożądanego. Choroba była tak bardzo aseksualna. Choroba to przeciwieństwo młodości, urody, przeciwieństwo seksu. Dawniej była trochę bardziej pewna siebie, ale teraz czuła tylko, że jest stara i brzydka. Może trochę ich poniosło, gdy doszło do tego remisu podczas dziewiątego inningu? Któż nie chciałby się wtedy całować? Albo później, kiedy Yankees wygrali w dogrywce - nawet jeśli ten pocałunek był długi i zupełnie



pozbawiony tchu.

Ku jej wielkiemu zaskoczeniu Spencer wszedł do mieszkania. Nie było żadnych formalności. Dzwonienia do drzwi, które otworzył swoim kluczem. Dziś wieczór nie było żadnych pytań z gatunku: „Masz ochotę wejść?”. Po prostu wszedł jak zawsze.

Usiadł obok niej.

- Musisz być zmęczona. To był długi dzień.

Milczała.

Czekał.

291- Nie chcę iść...

- Nie chcę, żebyś poszedł.

Pocałował ją na kanapie, ujmując twarz w dłonie, a po chwili wziął ją w ramiona i zaniósł do sypialni. Usiadł na brzegu łóżka, postawił ją między nogami i powoli rozpiął guziki bluzki i zdjął z niej dżinsy. Została tylko w czarnym przezroczystym staniku i czarnych stringach. Jedną ręką rozpiął i zdjął stanik, rzucając go na podłogę. Stała przed nim w samych stringach, nabrzmiałe sutki znalazły się tuż przed jego oczami, podczas gdy dłońmi pieścił jej ramiona, żebra, biodra, uda. Oddychał ciężko. Przesunęła się lekko do przodu i z każdym płytkim oddechem myślała: O mój Boże, dotyka mnie ktoś inny, nie ja sama. Dotyka.

- Spencer... - szepnęła, pragnąc poczuć dotknięcie jego ust.

- Poczekaj.

Rozebrał się do bokserek, które uznała - ponieważ od tak dawna nie widziała mężczyzny - za najbardziej seksowne bokserki, jakie kiedykolwiek oglądała, położył ją na łóżku i opierając się na kolanach i łokciach, zaczął całować ją w szyję, pocierając lekko klatką piersiową o jej nabrzmiałe piersi. Wygięła się w łuk i mocno do niego przytuliła, próbując ściągnąć go na siebie. Pocałował ją i szepnął:

- Lily, tak bardzo boję się sprawić ci ból.

- Niczego się nie bój - odszepnęła z jękiem. - Niczego... chcę tylko mieć cukierniczkę pełną cukru<sup>9</sup>, Spencer. Nie bój się, zostaw mi tylko skórę i kości... tylko proszę... spraw, bym poczuła smak cukru.

Śpiewająca rzewnie w radiu Nina Simone nadal prosiła o cukier, Pointer Sisters jechały samochodem, bardzo rozpalone, Bruce Springsteen też był podniecony, Johnny Cash trzymał kurs, pocałunki tria Peter, Paul and Mary były słodsze od wina, a potem nie słyszała już żadnej muzyki. Spencer kochał się z nią tak, jak tylko pozwalał na to jej stan, lecz seks może być delikatny tylko przed - i był - oraz po - i był - lecz rzadko w trakcie, więc przyspieszył, odpędzając od niej myśli o śmierci i o Amy na tę jedną chwilę, a potem obejmował mocno jej nagie ciało pod kołdrą, by znów dać jej jedną cudowną chwilę. Potem znów obejmował jej zmęczone, spocone ciało, lecz już nie pod kołdrą, i zrobił to jeszcze raz, już nie łagodnie i delikatnie, po czym głęboko zasnął. Lily leżała w jego ramionach, nie mogąc zmrużyć oka. Upojona cukrem, prawie bez skóry i kości, myślała, że jeśli ten dzień miałby być ostatnim w jej życiu, niczego nie będzie żałować.

' Aluzja do piosenki / *Want a Little Sugar in My Bowl*.

292

Dzisiaj żyła naprawdę. Zjadła hot doga, piła coca-cole, napój Amerykanów, oddychała świeżym, chłodnym powietrzem, cieszyła się z triumfu innych ludzi, siedziała obok rozradowanych kibiców, prowadziła sympatyczne rozmowy,

zrywała się z miejsca, krzyczała z radości, śmiała się.

Całowano ją. Kochano. Zrobił to Spencer. I ona odpłaciła mu miłością. Powietrze pachniało wiosennymi drzewami i świeżą trawą. Szeptano do niej. „Lily, jesteś taka piękna...”. Jej ciało pieścił mężczyzna. I czuła się piękna, znów poczuła, że jest młodą kobietą. To był idealny dzień.

Spencer, to ty jesteś piękny, chciała powiedzieć, lecz on, zmęczony, zapadł w głęboki sen. Masz idealną twarz, idealne, pokryte bliznami serce. Masz ramiona, które unoszą mnie w górę. Masz siłę na wszystko, masz nogi, które mogą pobiec tak daleko, masz wszystko i nie mogę uwierzyć, że dziś w nocy dałeś to wszystko mnie.

Teraz już mogła napisać tamten esej. W tę chłodną, kwietniową sobotę na jej sercu nie było żadnych plam. W jej duszy nie czaiły się żadne cienie ani rozterki; ten pełen wad, lecz idealny mężczyzna zmienił jej życie na zawsze. Włał siebie do środka jej serca, siłą zburzył obronny mur, nie stosując przy tym żadnych narzędzi prócz siebie. Podarował jej ten jedyny dzień w życiu, który tak bardzo chciała przed śmiercią przeżyć.

**50**

### **KWIETNIOWI GŁUPCY**

Lily nie mogła uwierzyć w przyprawiające o zawrót głowy szczęście, jakie ogarnęło całe jej ciało. Znów uprawiała seks. SEKS. Chciała krzyczeć o tym z dachów domów, opowiadać nieznajomym na ulicy. Chciała go uprawiać przy podniesionych żaluzjach. Chciała to robić w miejscach publicznych, na korytarzach, w autobusie, metrze. Pierwsze, co zakomunikowała Paulowi, do którego pobiegła na farbowanie włosów w poniedziałek, brzmiała:

- Uprawiam seks!

- Naprawdę? Gratulacje! Maria, chodź tutaj - zawołał przez cały salon. -

Słyszałaś? Nasza Lily uprawia seks!

- Lily? A z kim? -1 to przez cały salon!

- Jakby to było ważne - skarcił ją Paul. - Nikogo to nie obchodzi. Uprawia SEKS, nie słyszałaś?

293- Słyszałam, słyszałam. Byli tacy rozkrzyczani, fantastyczni. Kiedy do pracy przyszła Rachel, Lily nie zdążyła nawet otworzyć ust, bo Paul natychmiast przekazał jej radosną wiadomość.

- Seks z mężczyzną po czterdziestce? - spytała sceptycznie Rachel. -Czy to w ogóle możliwe?

- Najwyraźniej tak.

Rachel nadal nie była przekonana.

- Czy on w ogóle jest dobry?

- Wielkie nieba, tak! Jest niesamowity. Dlaczego pytasz?

- Nie wiem. Słyszałam, że mężczyźni po czterdziestce nie są już dobrzy w łóżku.

- Gdzie słyszałaś takie bzdury?

- Czytałam w „Cosmo”. - Rachel odrzuciła włosy najpierw do tyłu, potem na bok.

- Ich popęd seksualny zanika. Czy w tym wieku w ogóle im jeszcze staje?

- Bratu Lily jakoś się udało tego dokonać - powiedział Paul i natychmiast oberwał od Lily w rozjaśnioną głowę.

- Dlaczego musisz wszystko zniszczyć? - spytała.

- Nie ograniczaj się do ogólników, opowiedz nam wszystko ze szczegółami. -

Rachel uśmiechnęła się szeroko. - Co on robi?

- Spytaj lepiej, czego nie robi?

- Nie mam pojęcia, jak tego dokonałaś. Jak ci się udało go złowić?

- Powinnaś się postarać o śmiertelną chorobę, wydaje mi się, że to przeważało - powiedziała Lily i wybiegła z salonu. Miała za sobą pełny manikiur, pedikiur, woskowanie całego ciała, a w kępkach włosów lśniły miedziane pasemka.

Spencer został na noc i obudził się w jej łóżku. Nagi Spencer obudził się w jej łóżku i został przez całą niedzielę. Zamówili sobie chińskie jedzenie, zjedli je w łóżku, potem wyszli, żeby obejrzeć film, ale Lily nie pamiętała potem, co to było. W niedzielę wieczorem wrócił do domu, ponieważ następnego dnia pracował. I właśnie następnego dnia Lily przeszła obok jego posterunku, zastanawiając się, czy powinna wejść do środka, powiedzieć „Cześć”, może przesłać mu wiadomość na pager. Zrezygnowała jednak z tego pomysłu. Zamiast tego popędziła do domu, by sprawdzić, czy nie ma jakichś wiadomości. Od kiedy tak ochoczo sprawdzała wiadomości? Od chwili, gdy znów zaczęła uprawiać SEKS!

I rzeczywiście, czekała na nią wiadomość od Spencera. Nawet jego głos

294

brzmiał inaczej, był głęboki i lekko ochryply, był to głos człowieka, który uprawiał seks - z nią. Była zachwycona jego poufałością. Nie powiedział nawet „To ja”, tylko od razu „Hej”. „Hej, gdzie jesteś? Odbierz. Cały dzień będę w Jersey, potem w Washington Heights. Zadzwoń później. Postaraj się być w domu”.

Resztę dnia spędziła przy telefonie. Nie włączyła nawet muzyki, żeby rytm perkusji nie zagłuszył dzwonka telefonu. Upewniła się, że jest naładowany, włączony i wszystkie światełka migają na zielono.

Kiedy telefon wreszcie zadzwonił, była oczywiście w łazience. Dopadła słuchawki i rzuciła najbardziej pełne oczekiwania „Halo?” w swoim życiu.

- Mówi babcia. Jak się czujesz?

Rozmawiały przez dziesięć minut. Miała tylko nadzieję, że działa funkcja identyfikacji numerów. Czekala na jego telefon do siódmej, lecz nie zadzwonił. Próbowala malować, rysować. Niestety, w wyobraźni widziała tylko nagie męskie ciała, wyrobione mięśnie, szczupłe talie, przestrzeń pomiędzy pępkiem i włosami łonowymi, i... Szerokie dłonie, palce, jego i jej, splecione w chwili największego uniesienia. Dwie wielkie męskie dłonie ściskające łydki kobiety. Męskie usta prosto z nieba, gotowe na więcej, wilgotne, lekko rozchylone. Nie mogła sprzedawać tych rysunków w sobotni poranek na ulicy, gdzie spacerowały rodziny z dziećmi, gdyż ocierały się o pornografię.

Ocierały się?

O siódmej wieczorem kończyła właśnie rysować męskie udo, gdy usłyszała mocne pukanie. Zerwała się i podbiegła do drzwi, spróbowała się opanować, by wyglądać na całkiem spokojną, ale i tak, gdy otworzyła, brakowało jej tchu. Stał w holu, uśmiechając się do niej. Spencer się uśmiechał! Najwyraźniej on też uprawiał SEKS!

- Cześć. - Cofnęła się, by wpuścić go do środka.

- Cześć.

Jak go zapytać?

- Powiedziałaś, że zadzwonisz. - Chyba tak. Odwrócił się i spojrzał na nią z rozbawieniem.

- Przez cały dzień byłem z Gabe'em. Przecież nie mogłem dzwonić do ciebie, mając go u boku.

Stał przed nią w garniturze. Ona miała na sobie domowe ubranie: aksamitne spodnie od dresu i skąpy top bez stanika.

- Zapomniałeś klucza?

295 Pokręcił głową.

- Nigdy nie słyszałaś, że pukam? Zawsze pukam, zanim wejdę do środka.

Och.

- Jesteś głodna?

- Umieram z głodu.

- Ja też.

Uprawiali SEKS na kanapie. Spencer nadal miał na sobie służbowy garnitur, ale starczyło mu na tyle przytomności umysłu, by zsunąć spodnie. Wyszeptał, że drugi garnitur jest w pralni i nie może tego pomiąć. Po chwili już na niej leżał. Jedwabny krawat ocierał się o jej piersi.

- Liliput - szepnęła - to najbardziej seksowna rzecz, jaka mi się przydarzyła. Ty leżysz pode mną całkiem naga, a ja mam na sobie ubranie robocze...

Roześmiała się i mocno go przytuliła.

- Zabrzmiało to zupełnie, jakbyś pracował na budowie albo wyrębie. A przecież masz na sobie garnitur. Mógłbyś być księgowym.

- Zgoda, ale nie jestem. Wiesz, jak możesz to sprawdzić? Przesuń ręką w dół i wycuj mojego glocka.

Śmiała się, aż znów poczuła ogarniającą falę pożądania.

Zamówili do domu jedzenie z Odessy (warto było choćby tylko po to, by zobaczyć wyraz twarzy Pedra, kiedy wręczał pakunek półnagiemu Spencerowi), ale o północy wrócił do domu.

- Muszę być w pracy o siódmej, Lii. Nie mogę tego robić przez całą noc. Jestem starym człowiekiem.

Następnego dnia zadzwonił, gdy brała prysznic, i powiedział, że przez cały dzień będzie w sądzie, a potem do późna w Jersey. Obiecał, że zadzwoni, ale nie zadzwonił. O północy, kiedy leżała już w łóżku, usłyszała zgrzyt klucza w zamku, a potem jego kroki w saloniku, gdy zmierzał do sypialni. Drzwi się otworzyły, wszedł do środka i uklęknął przy jej głowie. Rozpostarła szeroko ramiona.

Wyszedł o trzeciej.

We środę zadzwonił wcześniej rano i zapytał, czy ma ochotę pójść na kolację.

- Spencer, chcesz się ze mną umówić na randkę?

- Nie. Pytam tylko, czy chcesz wyjść, czy zjemy coś w domu. Roześmiała się.

Kiedy zapukał do drzwi, powiedziała: „Wejź”, a on

otworzył drzwi kluczem i wszedł, pytając: „Gdzie jest portier?”. Tekst z *Pogromców duchów!* Portier w osobie Lily siedział nagi na kanapie z lekko rozsuniętymi nogami.

296

- Jestem tutaj - powiedziała. - A gdzie jest klucznik?

Spencer rzucił klucze na podłogę, niemal nie zamykając za sobą drzwi i uklęknął przed Lily. Czy poszli na kolację? Lily nie wiedziała. Nie wiedziała już nic.

Wcześniej umawiała się tylko z chłopcami, niezgrabnymi, pełnymi chęci, ale niemającymi pojęcia, jak ją rozpalic i zadowolic. Spencer był mężczyzną i nie było

w nim nic niezgrabnego. Sprawił to, czego jeszcze nigdy nie zaznała, a przez co całe jej ciało płonęło nawet na samą myśl o tym. Otworzył ją dłońmi i mocno przytrzymał, a potem przytulił usta w to najbardziej czułe miejsce. Czowała, że eksploduje, zanim jeszcze dotknął jej wargami. A potem nie przestawał, nawet kiedy go błagała ochrypłym głosem, by dał jej już spokój.

- Nie jestem pewna - szepnęła, przytulając się mocno do niego w łóżku - ale wydaje mi się, że pomieszałeś mi w głowie. W poniedziałek zapomniałam wziąć pigułkę, wczoraj zapomniałam iść na badania.

- Nie.

- Zorientowałam się dopiero wtedy, gdy do mnie zadzwonili.

- I co teraz zrobisz?

- Pójdę jutro - uśmiechnęła się. Ale nie miała najmniejszego zamiaru tego robić. W tym tygodniu postanowiła dać sobie spokój z rakiem.

- A co takiego robiłaś w poniedziałek, że zapomniałaś? Co robiła w poniedziałek?

- Manikiur.

- Ach tak, to bardzo ważne.

- I pasemka.

- Niezbędne.

- Woskowanie.

- Jasna sprawa. - Leżał na niej.

- Myślałam, że nie zauważyłeś. Nawet o tym nie wspomniałeś.

- Lily, jak mogłem nie zauważyć? Myślałem, że moja obecność tutaj co wieczór, gdy klęczę przed tobą, mówi sama za siebie.

Mówiła!

We czwartek jak zawsze poszła odwiedzić babcię, nie chciała, by się o nią ktokolwiek martwił. Została na kolację, bo babcia wyglądała na samotną i nie chciała jej puścić. Tam znalazł ją Spencer.

- Skąd znasz ten telefon? - spytała zarumieniona z radości, że ją odnalazł.

- Płacami za znajdowanie ludzi. To moja praca.

297- Dlaczego to brzmi tak bardzo seksownie? - spytała szeptem.

- Przyjadę po ciebie - odparł również szeptem.

- Poczekaj.

Czekał. Babka wpadnie w szal, gdy zobaczy, jak wsiada do jego samochodu.

Przecież musi o tym wiedzieć.

- Jestem za godzinę.

- Nie, Spencer, poczekaj.

- Lily, idziesz? - zawołała z drugiego pokoju babcia. Czekał.

- Nie dadzą mi spokoju.

- Ja też nie dam ci spokoju, Lii - powiedział i odłożył słuchawkę.

Matko Przenajświętsza, co się działo następnego dnia!

- Lily! Czyś ty zupełnie zwariowała? Co ty wyprawiasz, na Boga? Kto to był?

Babcia? Anne? Amanda? Matka? Wszyscy naraz? Rankiem

babcia zdążyła o tym opowiedzieć wszystkim, naprawdę wszystkim, bo Lily odebrała nawet telefon od Koreanki Soo Min.

- Jak myślisz, jak poczuje się twój brat, kiedy się dowie, że związałaś się z tym inspektorem Javertem?

- Po pierwsze, jesteś zbyt melodramatyczna - powiedziała Lily. I męcząca, chciała

dodać.

- Nie sądzę.

- A po drugie - ciągnęła spokojnie Lily - mój brat raczej nie powinien nikogo osądzać, nie uważasz?

Babcia poprosiła ją, by jej więcej nie odwiedzała. Powiedziała, że powinna się wstydzić swojego postępowania i jest niemoralna.

- Wiem, wiem. Słyszałam to tysiąc razy. Jestem bezwstydna i niemoralna. A wy wszyscy jesteście święci. Wiesz co, babciu, chyba masz rację. Lepiej będzie, jeśli przez jakiś czas nie będę cię odwiedzać.

- Dzwoniłaś do matki?

- Nie, ale nic się nie stało, bo ona dzwoniła do mnie. Parę dni temu, zanim trzasnęła słuchawką, opowiedziała mi przypowieść o matce, która rzuciła klątwę na swoją córkę i ta umarła.

- Dlaczego mówisz w ten sposób o swojej matce? - spytała cicho babcia. - Nie wiesz, przez co przeszła.

298

Mylili się co do Spencera - on był tego wart. Tego wieczoru, kiedy przyjechał po nią na Brooklyn, zaparkował później samochód przy dokach w Greenpoint, niczym głodne siebie nastolatki, z migającym za East River Manhattanem w tle, uprawiali seks na tylnym siedzeniu jego buicka do wtóru ryczącego w radiu Bruce'a Springsteena.

W piątek wieczorem Spencer był w Pensylwanii: doszło do złamania zasad opieki nad dziećmi i pojechał, by odebrać ojcu dwunastoletnie bliźniaki i oddać je matce. Zadzwonił, że wraca do siebie, by się wyspać, ale w sobotę rano przyszedł odwiedzić jej małe stoisko z obrazami. Kiedy tam dotarł, Lily zdążyła już sprzedać wszystkie erotyczne rysunki (zażenowana musiała przyznać, że poszły w rekordowym czasie) i siedziała przy pustym stoliku, szkicując siebie siedzącą przy pustym stoliku. Przechodząca obok kobieta w minispódniczce kupiła niedokończony rysunek i poprosiła Lily, by ją też naszkicowała. Tym właśnie się zajmowała, kiedy nadszedł Spencer w wytartych dżinsach i znoszonym podkoszulku.

- Czekaając na ciebie,»jestem zmuszona podejmować dodatkowe prace - powiedziała, udając płaczliwy ton, a on podszedł, odrzucił jej głowę do tyłu i pocałował tak namiętnie, że poczuła wielką eksplozję w brzuchu i upuściła ołówek. Dała kobiecie rysunek za darmo. W następnym tygodniu zrobiła dziesięć rysunków przedstawiających mężczyznę w dżinsach pochylającego się, by pocałować dziewczynę w białej bluzce siedzącą z twarzą uniesioną w niebo. Sprzedała je w przeciągu paru minut.

W sobotę wieczór poszli na kolację. Ubrali się elegancko i zasiedli w Union Square Cafe, gdzie zamówili kalmary, pieczeń i szarlotkę na gorąco. Kiedy kelner zapytał, czy mają ochotę na koktajl, Lily skinęła głową. Spencer nie pił, ale zamówił dla niej jeszcze dwa cosmo. Wstawiła się, więc zrezygnowali z kina i popędzili do domu, gdzie uprawiali tak ognisty seks, że Lily na moment straciła wzrok i słuch. W niedzielny wieczór, kiedy jak zwykle oglądali film, zdjął z niej ubranie i kazał oglądać *Wpływ księżycy* nago. On siedział obok niej w dżinsach i bawił się z nią przez pół filmu, zanim wreszcie zaczął się z nią kochać. Nie słyszała ani słowa z tego, co mówili Nicolas Cage i Cher. Słyszała za to Spencera i wszystkie słowa,

jakie szeptał jej do ucha. Postanowiła obejrzeć ten film jeszcze raz, gdy będzie przytomna i przestanie jęczeć na samą myśl o nim.

W niedzielę w nocy Spencer wrócił do domu, a w poniedziałek Lily zwlokła się z łóżka i pojechała do Mount Sinai, gdzie przypomniano jej o tym, o czym starała się zapomnieć przez siedem szalonych dni: jej neutrofile, płytki krwi, czerwone i białe ciała były powoli niszczone przez alkeran, który w zamian za to utrzymywał ją przy życiu. Podali jej w kroplówce Vepesid i leki przeciwwymiotne i powiedzieli, żeby już więcej nie zapominała o alkeranie. Vepesid tak strasznie ją wymęczył, że kiedy wróciła do domu, natychmiast położyła się do łóżka i zasnęła. Obudziła się dopiero we wtorek, czując, że cała gnije od środka. A co gorsza, znów czuła się niegodna pożądania. Bezpłciowa. Jakże krótko to wszystko trwało, pomyślała, wymiotując nad toaletą. A było takie radosne i ulotne. I jak teraz jest smutno i źle, a końca nawet nie widać.

Przestała zażywać alkeran. Na dobre. Nie poprawiał wyników badań, a tylko źle wpływał na jej życie SEKSUALNE. Wybór był jeden: rak albo seks. Lily zdecydowała się na obie ewentualności.

A potem nastąpił cud! W następnym tygodniu liczba płytek krwi wzrosła do 150 bez żadnych leków. Białe krwinki pozostały na tym samym poziomie, a czerwone niemal osiągnęły normę. DiAngelo był pod wielkim wrażeniem, a widząc rumieniec na jej policzkach, stwierdził, że jej krew wygląda na dobrą i czystą. Uścisnął jej dłoń i odesłał do domu.

Lily biegła ze szpitala Piątą Aleją, mijając po drodze katedrę Świętego Patryka, z jej ławkami, księżmi i pokojami płaczu. Nie mogła się doczekać, kiedy wpadnie do domu i zadzwoni do niego, więc zadzwoniła na pager z hałaśliwej ulicy nieopodal Empire State Building.

Kiedy nie oddzwaniał przez pięć minut, zadzwoniła jeszcze raz.

- Wiesz co? - krzyknęła, kiedy się wreszcie odezwał. - Jestem zupełnie czysta!
- Doprawdy?
- Nie... Chodzi o to, że mam dobre wyniki.
- Wspaniale. Bardzo dziękuję za informację.
- Wszystkie się poprawiły. Koniec z chemią, Spencer. Rozumiesz? Koniec z alkeranem, zmęczeniem, wymiotami, paskudnym wyglądem.
- Rozumiem.
- Gdzie jesteś?
- W samochodzie.
- Policyjnym?
- Tak.
- Jesteś sam?
- Nie.
- Hmm. - Nadal brakowało jej tchu, lecz przepelniająca ją radość

300

sprawiła, że nabrała ochoty do żartów. - Ale czasami jesteś w tym samochodzie sam - powiedziała, zniżając uwodzicielsko głos.

- Tak.
- Mmmm. Powiedzmy, że jedziesz nim sam, znajdujesz mnie na ulicy, tak jak teraz, popełniłam wykroczenie, podejrzewasz mnie o... powiedzmy o obnażenie

się w miejscu publicznym... Czy zatrzymałbyś mnie?

- Tak.
- I pewnie byś mnie odwrócił, wykręcił mi ręce na plecy, położył na brzuchu na masce samochodu...
- ...Tak.
- Skułyś mnie kajdankami...
- Świetnie, dziękuję za telefon.
- I zaczął przeszukiwać między nogami...
- Tak, bardzo dziękuję, to mi bardzo pomogło. Proszę do mnie zadzwonić, jeśli pojawią się jakieś nowe informacje.
- Bo wyznaję, detektywie o'Malley, że teraz, pod moją krótką dżinsową spódniczką, mam zupełnie gołą...
- Dzięki, też życzę miłego dnia. - Odłożył słuchawkę, a Lily wybuchnęła radosnym śmiechem.

Gabe prowadził. Spojrzał uważnie na Spencera, który patrzył prosto przed siebie.

- Niezły kamuflaż, o'Malley. Myślisz, że te krótkie, pełne napięcia „tak” i „nie” zwiodą detektywa z Wydziału Zabójstw?
- Nic ci nie umknie, McGill - odparł Spencer, próbując zapanować nad ogniem, który czuł w łędźwiach.

W porze lunchu szli Piątą Ulicą w stronę Drugiej Alei. Gabe wskazał budkę telefoniczną na rogu, w której odwrócona do nich tyłem stała Lily, i spytał, czy to przypadkiem nie jego znajoma. W tej właśnie chwili odezwał się pager Spencera. Gabe uniósł brwi. Spencer spojrział na ekranik. Pojawiła się na nim informacja *Harlequin*.

Gestem nakazał Gabe'owi milczenie, przesunął broń bliżej pleców, by przypadkiem nie urazić Lily, podszedł do niej od tyłu, chwycił tuż nad biodrami i powiedział do ucha: „Bardzo, bardzo niegrzecznie”.

Wiedział, że się przestraszy. Krzyknęła i odwróciła się gwałtownie, czując ręce na biodrach. Potem zobaczyła Gabe'a i Spencera i, już uspokojona, uderzyła go lekko w pierś, a on odsunął się i wybuchnął śmiechem.

301- Detektywie o'Malley, czy straszenie młodych kobiet nie jest przypadkiem niezgodne z prawem? - spytała. - Witam, detektywie McGill.

- Witaj, Lily. Miło cię znów zobaczyć. Stali na ulicy.
- Wybieracie się do McCluskeya na lunch?
- Tak. Chcesz iść z nami? Właśnie przesłałaś wiadomość detektywowi o'Malleyowi. Wszystko w porządku?
- Tak, tak. - Puściła oko do Spencera, on odpowiedział jej tym samym. - Idźcie sami, na pewno macie mało czasu.
- Zgadza się. Idziemy, o'Malley. Spencer widział tylko Lily.
- Gabe, możesz mi dać minutę? Spotkamy się w środku.
- Wiesz co? Może spotkamy się na górze o drugiej. Musimy być w Tren-ton o wpół do trzeciej, więc się nie spóźnij.

Kiedy tylko Gabe się odwrócił, przysunęła się do Spencera, bardzo blisko, i uniosła rozjaśnioną twarz. On objął ją mocno w talii. Kiedy Gabe, stojąc w drzwiach baru spojrział na nich, Lily w dżinsowej spódniczce i pastelowej koszulce, z włosami spiętymi w krótki koński ogon, zniknęła zupełnie w ramionach ubranego w garnitur Spencera, który całował ją tak, jakby przed chwilą



skończyła się wojna.

W soboty wynajmowała furgonetkę, która przyjeżdżała po nią i jej prace. Jechała na Ósmą Ulicę, gdzie czekało już na nią pół tuzina ludzi. Czekają! Cierpliwie, żeby zobaczyć, co namalowała od zeszłej soboty.

Jej obrazy pełne były Spencera i jej samej. Malowała ich, jak w łóżku jedzą wafle, siedzą przy stoliku w Odessie, spacerują w Tompkins Square Park, jedzą lody na rogu Dziewiątej i Alei C, a hot dogi w niecce przed Twin Towers.

Obrazki, na których się całowali, zawsze rozchodziły się jako pierwsze. Lily zaczęła malować ich coraz więcej. Jednak bez względu na to, ile miała - a w jednym tygodniu namalowała aż dwadzieścia siedem - zawsze szły pierwsze, i to do ostatniego.

- Cieszę się, że postanowiłaś mnie unieśmiertelnić - powiedział Spencer - ale czy zostawiłaś choć jeden dla siebie? A może zobaczę kiedyś swój portret w Wal Marcie obok artykułów papierniczych i ozdób na przyjęcia?

- Raczej obok artykułów żelaznych.

Spencer całujący ją w kark, przy samochodzie z włączonym kogutem. Całujący jej dłonie przy stoliku w Odessie, oni oboje całujący się

302

przed kwietniowymi tulipanami na ulicach Nowego Jorku. Lily na jego kolanach na ławce w Central Parku, obejmująca go mocno ramionami za szyję.

- W porządku, ty sprośna dziewczyno, ale chyba nie rysujesz mnie nagiego, co? Tego stanowczo zabraniam.

Mimo to pokazała mu jego akt. Na obrazie siedziała tyłem na łóżku, a on stał przed nią nagi, zwrócony twarzą do patrzącego. Lily pokazała tylko swoje plecy i uniesioną głowę. Obraz był tak przepiękny, że musiała go trzymać pod ośmioma innymi. Na jego widok Spencer gwałtownie wypuścił powietrze.

- Tym się zajmujesz, kiedy ja jestem w pracy? I malujesz coś takiego z pamięci? To bardzo denerwujące. Myślałem, że artyści potrzebują modeli. Sądziłem, że to jedyna ochrona zwykłego śmiertelnika.

- Przede mną się nie uchowasz - uśmiechnęła się. - Widzę cię w całej krasie przez cały czas.

- Czy musisz mnie widzieć goluteńkiego?

Na jego twarzy malował się jednak zachwyt i pożądanie. Był cudowny kwiecień obdarowywania się radością.

Leżeli w jej łóżku. Patrzyła na niego, przesuwając koniuszkami palców po jego ustach, twarzy.

- Spencer?

- Hmm. Mów do mnie, ale nie przestawaj tego robić.

- Opowiedz mi o Mary.

- Och nie. No dobra, przestań. Co chcesz wiedzieć?

- Nie wiem. Nigdy wcześniej o nią nie pytałam, to nie była moja sprawa.

- A teraz jest?

- Nie wiem. A jest?

- Co chcesz wiedzieć, Liliput?

- Nadal... się z nią spotykasz?

Nie uwierzyła, że zdołała wypowiedzieć te słowa. Czy to ona będzie „tą drugą”? Czy już nią była? Sama myśl o tym trochę bolała, a nieuniknione porównania

budziły demony. Nie mogła jednak nie zapytać. Nie wiedziała nawet, co zrobi, kiedy usłyszy nie taką odpowiedź, jakiej pragnęła.

- Nie.

Dopiero kiedy odetchnęła z ulgą, uświadomiła sobie, że wstrzymywała oddech. Spencer roześmiał się i pocałował ją w policzek.

303- Jesteś zabawna. Lily, naprawdę mogę mieć tylko jedną dziewczynę naraz. W moim życiu nie ma miejsca na osobiste kłopoty twojego brata.

- Och, to dobrze. Kiedy przestałeś się z nią spotykać?

- Na początku marca.

- Spotykałeś się z nią do marca? Dlaczego było to tak boleśnie zaskakujące?

- Tak, od czasu do czasu. -Wziął jąw ramiona. - Była polisą ubezpieczeniową chroniącą mnie przed Lily.

- Co to oznacza?

- Nie chciałem dać się ponieść widokowi twoich twardych jak kamień sutków, które tak hojnie mi pokazywałaś, by mnie zwabić do swojego łóżka. - Otoczył rzeczony sutki ustami.

- Spencer!

- Co? Lily, przez długi czas byłaś całkowicie bezbronna, potem chora, potem znów bezbronna. Czasami bolała mnie sama myśl, że chcę przyjść do ciebie, nie wspominając już o siedzeniu na tej tu kanapie. Taka bezbronność dla mężczyzny oznacza tylko jedno: kochaj się ze mną. A ciało jest słabe. Nie chciałem, żeby wielki apetyt, ocierający się o głód, zaciemnił mi osąd. I bez tego jest wystarczająco ciemny.

- Spałeś więc z Mary, żeby twój osąd nie został zaciemniony przez pragnienie pójścia do łóżka ze mną?

- No, wreszcie pojęłaś.

- A co się zmieniło?

- Naprawdę bardzo chciałem się z tobą kochać.

Chciała czerpać z niego siłę. Mieć przy sobie codziennie i uświadomiła sobie, że codziennie nie wystarczy. Chciała czuć na sobie jego dłonie, wykorzystywać jego humor, irlandzką krew, usta, serce, jego duszę. Chciała mu to wszystko powiedzieć, lecz nie mogła znaleźć słów. Przytuliła go bardzo mocno w nadziei, że to będzie bardziej wymowne niż jakiegokolwiek słowa.

Nie planowała tego. Kiedy zakochała się w Spencerze, nie odebrała tego jako zrządenie losu. To było coś, co dosłownie zważyło ją z nóg.

304

**51**

## **WYDZIAŁ KONTROLI WEWNĘTRZNEJ RAZ JESZCZE**

Poprosili go na górę. Nic nie rozumiał. Od miesięcy nie miał żadnych informacji w sprawie McFadden, a Harkman zniknął na dobre. Dlaczego więc znów wzywają go do jaskini lwa?

Kiedy wszedł do pokoju, nie skinął nawet głową, nie powiedział „dzień dobry”.

- Nie jesteśmy pańskimi wrogami, detektywie o'Malley - powiedziała Liz Monroe, widząc malujący się na jego twarzy wyraz.

- Mam dużo pracy - odparł Spencer. - Dwadzieścia pięć spraw dotyczących zaginionych osób, które czekają na rozwiązanie.

- My też mamy swoją pracę - odparła. - Badamy podejrzenia o korupcję i

poważne wykroczenia przeciwko regulaminowi, popełnione przez naszych funkcjonariuszy.-

- Wiem, czym się zajmujecie, proszę pani. Macie jakichś nowych świadków? Zebraliście nowe dowody, które chcielibyście teraz mi przedstawić?

- Tak.

- Proszę strzelać.

- Detektywie, późnym wieczorem na stacji kolejowej Old Greenwich zauważono pontiac firebird, który pasuje do opisu pańskiego samochodu. Zbieg okoliczności? Samochód, który wygląda dokładnie jak pański, stoi zaparkowany trzy kilometry od domu Nathana Sinclaira, a potem znajdujemy Sinclaira martwego?

- Chyba nie mówi pani poważnie. To niemożliwe - pokręcił głową, po czym roześmiał się lekko. - Proszę pojechać ze mną teraz na stację Old Greenwich, a pokażę pani piętnaście firebirdów.

- Wtedy parking był pusty. Był środek nocy.

- Parkingi na Long Island nie są puste nawet w nocy, ale oczywiście nie mogą się wypowiadać w sprawie stacji Old Greenwich. Może nie był pusty. Ale jeśli porozmawia pani z ludźmi, na pewno się pani dowie, że granatowy firebird stał na stacji benzynowej, przed lokalną knajpką, przed Dunkin' Donuts i pustym centrum handlowym. Proszę sobie dać z tym spokój. Mam mnóstwo pracy.

- Osoba, która udzieliła nam tej informacji, nie wiedziała, że ma pan firebirda. To właściciel lokalnego warsztatu samochodowego, więc zna 305 się na rzeczy. Opisał po prostu samochód, który widział tamtej nocy na parkingu.

- W porządku. Ale to nic nie zmienia. Bo widzi pani, obojętne, co ten właściciel warsztatu zauważył na parkingu, mój firebird o północy wracał na Long Island. Może pani świadek widział ciemnego firebirda jadącego autostradą 95, również trzy kilometry od domu Nathana Sinclaira, około północy. To rzeczywiście mogłem być ja. - Niemal z niej szydził, choć nie chciał zrobić sobie z niej jeszcze większego wroga, jeśli to w ogóle było możliwe. - Skąd pani ma te wszystkie informacje?

Nie odpowiedziała, zapisując coś z furią w notesie i wreszcie go puściła. Spencer wiedział jednak, że to jeszcze nie koniec. Teraz, kiedy zabrali się do tego na poważnie, nie spoczną, dopóki czegoś nie znajdą.

**52**

## **OBLANY TEST NUMER JEDEN**

Nadszedł maj. Zbliżał się czternasty. I w końcu nadszedł. To był trudny dzień. Na dodatek Lily nic czuła się dobrze. Nie mogła przestać o tym myśleć. Na szczęście czternasty wypadł w niedzielę i był z nią Spencer. Był z nią też w sobotę, chociaż z niewyjaśnionych przyczyn nie był to najlepszy dla niego dzień. Kiedy wybrali się razem na mecz baseballu, było cudownie, ale inne soboty były już znacznie mniej udane. Spencer bywał z reguły zamyślony. Tej soboty też był jakby nieobecny. Lily spędziła poranek w Village. Przez cały tydzień malowała wyłącznie Amy. Sprzedała jej piękny portret olejny za siedemset dolarów, lecz nawet osoba, która go kupiła, spytała:

- Nie ma dziś miłości?

Ależ jest, chciała powiedzieć. Miłość do Amy.

Poszła potem na lunch z Paulem i Rachel. Nie mogła się zdobyć, by zadzwonić do Jan McFadden.

W sobotę wieczorem leżała w łóżku w ramionach Spencera i płakała.

- Spencer, powiedz mi szczerze...

- Proszę cię, Lily, nie prosz mnie nigdy tym tonem, żebym ci coś szczerze powiedział.

- Powiedz mi, co mówisz pani McFadden, kiedy cię pyta, czy twoim zdaniem Amy jeszcze żyje?

306

- Nigdy mnie o to nie pyta.

- Nigdy?

- Nigdy.

- Aleja cię pytam.

- Proszę, nie.

- Powiedz mi.

- Uważam, że nie żyje. Nie żyje od czternastego maja zeszłego roku.

- Och, Spencer. Przytulił ją i pocałował.

- Myślę, że w głębi serca pani McFadden też się tego boi - powiedziała. - Chyba tak rzeczywiście jest. Jeszcze nigdy nie widziałam osoby, która byłaby tak załamana. W zeszłym miesiącu nie mogła się zdobyć, by wydać przyjęcie urodzinowe dla swoich dzieci, bo nie było z nimi Amy. Stała nad zlewem i płakała. Nie wiedzieliśmy, co robić. Jej mąż był na nią strasznie zły.

Spencer milczał przez kilka minut. Leżała w zagłębieniu jego ramienia, nie widziała jego twarzy i nawet nie chciała, bo nie pragnęła zrozumieć jego reakcji, lecz rozszyfrować swoje. I tak niezauważenie mijały minuty. Jeśli ramię Spencera pod jej głową trochę zeszywniało, to tego też nie zauważyła.

Lily widziała się z Jan McFadden i nic mu o tym nie powiedziała!

Oddychał głęboko. Przypomniał sobie, jak pewnej niedzieli Lily była wyjątkowo rozdrażniona. Nie chciała nawet na niego spojrzeć, co, jak zwykle, musiało się jakoś wiązać z Amy. Wtedy nie wiedział, o co chodzi.

- Ale teraz...

- Tak, Jim jest na nią bardzo zły - powiedział w końcu. - Kiedy dzwoniła do mnie kilka dni temu, była wyraźnie zdenerwowana. Powiedziała, że nie wie, czy zdoła ocalić małżeństwo.

- Tak. Widziałam to.

Pojechała więc do McFaddenów na przyjęcie urodzinowe bliźniaków. To przecież całkiem niewinne. Dlaczego więc nie wspomniała ani słowem?

Co takiego związanego z Andrew wydarzyło się w domu Jan McFadden, że nie mogła o tym powiedzieć, i czym była tak zmartwiona, że nie potrafiła mu spojrzeć prosto w twarz?

Leżał obok niej w milczeniu. Co powinien zrobić? On też miał problemy z mówieniem o sprawach, które go przytłaczały, zwłaszcza takie jak ta - gdzie ustawić granicę, co jest do przyjęcia, a co nie, co może wykorzy-

307stać, a co nie. Powiedziała mu o spotkaniu z Jan McFadden przypadkiem, kiedy leżała naga obok niego w łóżku, tuż po tym, jak się kochali, kiedy czuła się bezpieczna w jego ramionach, kiedy ją całował. Był dla niej tylko Spencerem, gdy zupełnie przypadkiem wyznała mu, że przez sześć miesięcy trzymała swoją wizytę

u Jan McFadden w tajemnicy przed detektywem o'Malleyem.

Wstał z łóżka, poszedł do kuchni po coś do picia i przez kilka minut stał z pochyloną głową przy zlewie, próbując dojść do ładu z tym, co się wszelkiemu łaadowi wymykało.

Lily wstała i przyglądała mu się przez chwilę.

- Co się stało?

- Nic. - Nalał szklankę wody do pełna.

Spojrzał na nią, odwrócił wzrok, a potem - ponieważ wiedział, że tego chce - wrócił do łóżka i położył się obok niej.

- Spence?

- Tak?

Leżała skulona, a on przytulił się do jej pleców. Pomyślała, że leżą tak ogarnięci wielkim ciepłem.

- Co się dzieje z tobą w weekendy, kiedy się nie widzimy? Gdzie się wtedy podziewasz?

Takie wielkie ciepło. Jeszcze przed chwilą. Nagle zapanował chłód. Spencer odsunął się, wciągnął powietrze, czuła, że zacisnął zęby. Dlaczego musiała wszystko zniszczyć?

- Czemu to robisz? Naprawdę, przy tobie nie może być miło nawet przez pięć minut.

Odwróciła się i usiadła, bo nie chciała prowadzić tej rozmowy, leżąc wygodnie.

- Dlaczego masz przede mną tajemnice? Jak, twoim zdaniem, wygląda to z mojego punktu widzenia?

- Nie wiem, Lily. A dlaczego ty masz przede mną tajemnice? Zmieszała się pod jego lodowatym spojrzeniem.

Wstał i zaczął się ubierać. Nie odpowiedział na jej pytanie. Odpowiedzią było to, że zaczął się ubierać. Co powinna teraz zrobić?

- Wychodzisz?

- Wracam do domu.

- Dlaczego? Dlaczego uciekasz, kiedy zapytam cię o cokolwiek?

- Nie o cokolwiek, Lii. O to. Dlaczego nie możesz po prostu przyjąć

308

do wiadomości faktu, że nie chcę o tym rozmawiać? Ty też masz takie rzeczy.

- Jakie na przykład?

- Nie wiem. Sama mi powiedz. Serce waliło jej jak młotem.

- Nie wiem. Jakie?

- Zapomnij o tym.

- Chodzi ci o Andrew? To zupełnie inna sprawa. On nie ma z nami nic wspólnego.

A to ma.

- Nie.

- Powiedz mi, nie będę się złościć. Jesteś żonaty?

- Byłaś u mnie w mieszkaniu. Czy schowałem gdzieś żonę? Ależ ze mnie ogier: ty, Mary i żona. Dziwię się, że mam jeszcze czas na pracę.

- Dlaczego jesteś na mnie zły?

Włożył już dzinsy, bluzę, buty, nawet kurtkę! Usiadł na brzegu łóżka.

- Posłuchaj - powiedział. - Nie mam ochoty o tym z tobą rozmawiać. Tak samo jak ty nie chcesz ze mną rozmawiać o pewnych rzeczach. Ale uwierz mi, to nie ma

absolutnie nic wspólnego z tobą.

- Tego właśnie się boję.
- Nie ma nic wspólnego z tobą! To dlaczego się boisz?
- Skoro to nie ma nic wspólnego ze mną, dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?
- Dlaczego w końcu nie odpuszczisz? Dlaczego leżymy razem w łóżku w niedzielny wieczór, szczęśliwi, jak mi się wydaje, a ty cały czas się zastanawiasz, kiedy nadejdzie odpowiednia pora, by zapytać mnie o rzeczy, o których, jak doskonale wiesz, nie chcę rozmawiać. Podpowiem ci, kiedy: może zaraz po tym, jak się kochaliśmy? Co powiesz na to? A może kiedy indziej?
- W porządku - szepnęła.
- Nie jest w porządku. Wcale nie. Nie jestem gotów, by ci o tym powiedzieć. I nie chcę. To nie twoja sprawa. Nic, co tutaj razem robimy, nie daje ci prawa, by o to pytać. Ani oczekiwać odpowiedzi. Nic.
- A gdy ty pytasz mnie o brata? - wybuchnęła. - Czy coś, co tutaj robimy, daje ci do tego prawo?

Nie powinna była tego mówić. Odsunął się, a ona opadła na poduszki.

- Czy nie pytałem cię o brata, zanim to zaczęliśmy? - powiedział w końcu, lecz cały czas był od niej odwrócony. - Niezły z ciebie numer.

Wyszedł o pierwszej w nocy, zamykając za sobą drzwi.

**30953**

### **GLINIARZ PRZEDE WSZYSTKIM**

Spencer miał trzy możliwości. Mógł wrócić, zacząć nalegać i wyciągnąć od Lily wszystko, co wiedziała. To nie potrwałoby długo. Lily nie była trudnym przeciwnikiem. Ale potem musiałby z tym żyć. Mógł też pojechać do Jan McFadden i udać, że Lily nic mu nie powiedziała. Nadal musiałby z tym żyć, ale nie byłoby to aż tak trudne.

Mógł też nie robić nic. Udawać, że nic nie słyszał, że to go nie obchodzi. Ale mimo to nadal musiałby z tym żyć.

Pojechał do Jan McFadden. Była w fatalnej formie. Powiedziała mu, że Jim jest nieszczęśliwy, grozi jej, że odejdzie i zabierze ze sobą dzieci. Siedzieli przy stole w kuchni, rozmawiając o wszystkim i o niczym. Paul, Rachel, Lily, tak, czyż nie wygląda coraz lepiej, czuje się też nie najgorzej, czy wszystko było w porządku, gdy przyjechała tu z wizytą? Co pani zrobiła? Co się wydarzyło?

Kiedy zaczynasz rozbierać czyjeś życie na czynniki pierwsze, rodzi się lęk, że odkryjesz coś zbyt osobistego, na co za nic nie chciałbyś patrzeć, zupełnie jakbyś przyłapał kogoś na masturbacji. Tak też zachowywał się Spencer. Kiedy wypytywał Jan, jednym okiem stale patrzył na drzwi, a na końcu języka miał słowo: Przepraszam.

Przyjechał do Jan rano i zastał ją jeszcze w szlafroku. Musiała wyczuć w nim coś zupełnie innego, kojącego, niesłużbowego, bo wyjęła z szafki dwie szklanki i postawiła na stole.

- Detektywie - powiedziała - mogłabym zaparzyć kawę. Ale rankiem nie mam już na nią ochoty. Kiedy dzieci są w szkole, a Jim w pracy, snuję się po domu i nic nie mogę robić.

Wyjęła butelkę chivas.

- Mogę panu nalać? Tak dla towarzystwa? Spencer przełknął ślinę.
- Muszę przecież wracać samochodem - odparł. - Ale proszę się nie krępować.

- Może odrobinę? Żeby nie piła sama?
- No, niech będzie. Ale bardzo mało. Żeby nie piła pani sama.

Kiedy już powspominali dziecko, którego tak bardzo w tym domu brakowało, kiedy stuknęli się szklankami i wypili whisky, Jan opowiedziała mu o Amy, kwiatach wiśni i potężnym Quinnie sprzed trzech lat.

310

Gdy wrócił do miasta, natychmiast stanął przy swoim własnym stole, na którym stała jego własna szklanka i butelka, i próbował znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji.

Postronny obserwator mógł odnieść wrażenie, że rzeczywiście ma przed sobą wybór. Zamiast zrobić cokolwiek, mógł nie robić nic; mógł zostawić brata Lily w spokoju, odłożyć akta do szafki, zostawić kobietę, która straciła całe swoje życie, by nadal je traciła i nadal pozostawała w nieświadomości, nie odbyła żałoby i nie potrafiła kochać osób, które wciąż miała przy sobie. Ale Spencer znał siebie lepiej niż ktokolwiek inny, wiedział, że nie ma żadnego wyboru. Musi walczyć.

W nocy nie zmrużył oka, próbując wytrzeźwieć. Gryzł ołówki i gumki, nie odpowiedział, kiedy Lily zadzwoniła na jego pager, a o ósmej rano razem z Gabe'em McGillem znalazł się w Port Jefferson i przecisnął się obok agentów ochrony pilnujących domu szanowanego kongresmana.

- Dzień dobry - powiedział. - Kongresmanie, to detektyw Gabe McGill z Wydziału Zabójstw. Możemy wejść?

Tak jak podejrzewał, jego słowa podziały niczym zakłęcie. Andrew natychmiast otworzył drzwi i nawet uścisnął dłoń Gabe'a.

- Nie widziałem pana od paru miesięcy, detektywie - powiedział do Spencera. - Czym mogę panu służyć?

Spencer wszedł do środka i od razu skierował się do gabinetu, nie zwracając sobie głowy wymianą uprzejmości z Andrew i Mierą, która parzyła w kuchni kawę. Andrew i Gabe ruszyli za nim.

- Czemu zawdzięczam tę wizytę, detektywie? Myślałem, że wszystko już sobie wyjaśniliśmy.

- Proszę mi powiedzieć, gdzie jest Amy. Dopiero wtedy będziemy mogli uznać całą sprawę za wyjaśnioną.

- Gdybym tylko mógł, na pewno bym to zrobił - odparł Andrew. - Czego chce się pan dziś dowiedzieć? W czym mogę pomóc? Czuję, że jest pan zdesperowany. - Uśmiechnął się przyjaźnie do Gabe'a, który stał przed biurkiem z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

- Do wczoraj - zaczął Spencer - nie rozważałem wcale ewentualności, że znałście się z Amy, zanim przeniosła się do City College i zaprzyjaźniła z pańską siostrą. Zeznał pan, że wasz związek trwał zaledwie kilka miesięcy. Wczoraj w rozmowie z Jan McFadden nabrałem podejrzeń, że związek z Amy zaczął się co najmniej przed trzema laty. Wasze pierwsze spotkanie w obecności pańskiej siostry było tylko komedią, bo wasz związek trwał już od dawna. Proszę mi więc powiedzieć, od jak dawna znał pan Amy?

311 Andrew się zawahał.

- Nie wiem...

- Kongresmanie - przerwał mu Gabe. - Proszę odpowiedzieć na to cholerne pytanie. Czy trzy lata temu znał pan Amy?

- Nie rozumiem... nie rozumiem, do czego pan zmierza. Powiedziałem już, że nie pamiętam. Możliwe, że znaleźliśmy się dłużej niż kilka miesięcy. Nie wiem.
- Kongresmanie! - Nie do wiary, Gabe krzyczał. Spencer miał ochotę klepnąć go po plecach. Dziś rano nie było czasu na zabawy w stylu dobry gliniarz - zły gliniarz. Dziś mogło być tylko dwóch złych. - Proszę sobie dać spokój z tym „Nie wiem”. Nie będziemy tego tolerować. Ta dziewczyna zaginęła ponad rok temu. Proszę przestać mydlić nam oczy. Pan wie, tylko nie chce powiedzieć.
- Pomyliłem się niechcący w datach, to wszystko.
- I w samym środku tej pomyłki pańska kochanka zmieniła college i zamieszkała z pańską siostrą!

Andrew zmieszał się i zarumienił.

- Panowie... panowie. - Uniósł ręce, jakby chciał ich uspokoić. - Powodem tej komedii był tylko nasz związek. To jasne, że chcieliśmy zachować go w tajemnicy. Przed Lily. Dlatego udawaliśmy, że się nie znamy. Daty zupełnie mi się pomieszały. Czy może być mowa o złych zamiarach?
- Czy ktoś wspominał o złych zamiarach? - spytał Gabe, mrużąc oczy.
- Nie o to pana pytamy - powiedział Spencer. - Chciałbym zrozumieć, dlaczego namówił pan Amy na zmianę uczelni.
- O czym pan mówi? Nic takiego nie zrobiłem.
- To skąd Amy wiedziała, że pańska siostra studiuje w City College?
- Rozmawialiśmy oczywiście o moim życiu - odparł Andrew ze ściągniętą twarzą.
- Byliśmy przecież razem. Amy sporo o mnie wiedziała, detektywie O'Malley. Tak się właśnie dzieje. Kiedy jest pan z kimś związany, opowiada pan tej osobie różne rzeczy. Czasami dzieje się także i tak, że informacje te są wykorzystywane przeciwko panu lub pana bliskim. Wie pan, jak to jest detektywie, prawda? Spencer zbladł, cofnął się o krok i zamilkł. Przez minutę nie był w stanie wypowiedzieć ani słowa. Przez minutę chciał powiedzieć: „Nie wiem, o czym pan mówi”. Dopiero po chwili się zorientował, że kongresman mówi o sobie - z oczu Andrew nie zniknął gorzki wyraz. Czaił się tam, gdy przemawiał do Spencera, gdy mówił o Amy.

312

- Czy czuł pan, że Amy wykorzystuje przeciwko panu coś z tego, co jej pan opowiada? - spytał powoli Spencer.
  - To trochę zbyt mocne słowa - odparł Andrew. - Byłem zaskoczony, gdy zmieniła uczelnię, zaprzyjaźniła się z moją siostrą. Kiedy się o tym dowiedziałem, powiedziałem jej, że uważam to za niestosowne. Ale w chwili, gdy się dowiedziałem, one nie tylko przyjaźniły się od paru miesięcy, lecz zdążyły również razem zamieszkać.
  - Nigdy nie pytał pan Amy, dlaczego to zrobiła?
  - Oczywiście. Powiedziała, że chce być bliżej mnie. Powiedziała, że dzięki jej przyjaźni z Lily będziemy się częściej spotykać. Że wszystko będzie bardziej naturalne. Przy ilości moich zajęć czasami trudno było nam się spotkać. Dzięki Lily mogliśmy się spotykać częściej i nikt nie widział w tym nic niestosownego. Spotkania rodzinne, lunche we trójkę, pomoc przy prowadzeniu kampanii. Wszystko po to, byśmy mogli częściej być razem. - Przez cały czas Andrew cedził słowa przez zaciśnięte zęby.
- Spencer wymienił spojrzenia z Gabe'em. Nie potrafił odróżnić prawdy od



kłamstwa.

- Zdumiewa mnie skala oszustwa - powiedział w końcu. - Przez kilka lat ukrywaliście przed pańską siostrą łączący was związek.
- To było łatwiejsze, niż pan myśli. Czasami Lily zupełnie nie zwraca uwagi na to, co się wokół niej dzieje. - Spojrzał lodowato na Spencera.
- Wystarczy - odparł cicho Spencer.
- Jeśli nie poznaliście się dzięki Lily, to jak? - spytał Gabe. Andrew spojrział na niego, potem na Spencera i nic nie powiedział. Gabe odciągnął Spencera na bok i teraz sam stał przed kongresmanem.
- Nie pamiętam. Chyba przyszła do mojego biura w Port Jeff po jakieś broszury.
- To ona przyszła do pana? - spytał zdumiony Spencer. Andrew wziął głęboki oddech.
- Tak.
- Amy McFadden przyszła do pańskiego biura?
- Tak. Często tam zaglądała.

Spencer stał wpatrzony w Gabe'a. Chwilowo zabrakło mu pytań. To było sprzeczne z wszystkimi założeniami.

- Kiedy to było?
  - Już mówiłem. Nie wiem i nie mogę sobie przypomnieć. Chyba w czasie przerwy zimowej w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku.
- 313Przez długą chwilę Spencer stał przed Andrew, próbując zrozumieć to, co przed chwilą usłyszał.
- Chce pan powiedzieć - zaczął w końcu - że znał pan Amy przez blisko dwa lata, zanim przedstawiła was sobie pańska siostra?
  - Nie pamiętam dokładnie.
  - A pamięta pan dokładnie, czy Amy pomagała panu podczas kampanii w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku? Pana pierwszej kampanii do Kongresu? Czy pomagała panu wtedy?
  - To akurat pamiętam dokładnie - odparł Andrew. - Amy nie pomagała mi w tej kampanii. - Zawiesił głos. - Wtedy jeszcze jej nie znałem.

To pytanie pojawiło się samo. Spencer nie mógł zadać go wcześniej, bo nie znał jeszcze całej prawdy.

- Kongresmanie, czy był pan w niej zakochany? Andrew zamrugał gwałtownie powiekami.
- Jak to się mówi, to był tylko przelotny romans, zauroczenie. Była bardzo młoda, o połowę młodsza ode mnie. Nasze życie nie mogło bardziej się różnić. Przyznaję, że na pewien czas straciłem głowę. Bywa tak, detektywie? Wie pan, że coś jest złe, a mimo to traci pan głowę?

Teraz Spencer zamrugał powiekami.

Gabe wodził spojrzeniem od jednego do drugiego.

- Szczerze mówiąc, nikt nie zadaje tu pytania, które ciśnie mi się na usta - powiedział. - Tylko ono mnie interesuje, a brzmi następująco: Czy wie pan, gdzie jest Amy?
- Nie.

- A czy przypominał pan sobie coś na temat osobnika o imieniu Milo, którego szukamy, i jego związkach z Amy?

Andrew zamrugał powiekami. Spencer i Gabe zauważyli to od razu i spojrzeli na

siebie.

- Czy mogła być z nim związana?
- Nie wiem.
- Czy Amy opowiadała panu o jakichś niezwykłych wydarzeniach ze szkoły średniej, może z czasu, kiedy podróżowała ze swoimi przyjaciółmi, jeszcze zanim się poznaliście?
- Nie - zawiesił głos. - Mówiła mi jednak, że podczas tej podróży interesowała się innymi religiami, próbowała nawet związać się z jakimś kościołem indiańskim, żeby tam znaleźć odpowiedzi.
- Jakim kościołem?
- Nie wiem...

314

- Może z Kościołem Amerykańskim?
- Chyba tak.

Wszystkie pytania zadawał Gabe Mc Gili. Dopiero po chwili odezwał się Spencer.

- Czy to ona zerwała?
  - Słucham?
  - Och, mam już tego dość. Stale próbuje pan zyskać na czasie. Czy to aż takie trudne pytanie? To ona pana znalazła, potem pańską siostrę, bez pana wiedzy zamieszkała z Lily, postawiła pana przed faktem dokonanym. Wygląda na to, że to ona trzymała ster. A potem zakończyła wasz związek. Czuję, że tak właśnie się stało. Dlaczego?
  - Bo przyszła pora, by go zakończyć. To wszystko. Andrew spuścił wzrok na blat biurka.
  - Osobnik o imieniu Milo pojawił się w życiu Amy mniej więcej w tym czasie, kiedy z panem zerwała. Czy to miało z nim coś wspólnego?
  - Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Boże święty! Nie wiem! Mam już dość. Już raz pytał mnie pan o to. Powiedziałem to panu w paździeniku i powtarzam teraz. Nic nie wiem o tym Milo.
- Spencer podszedł do biurka.

- Jeśli pan wie, kim on jest, czemu nie chce pan nam o tym powiedzieć? A nuż to panu pomoże?
  - A kto twierdzi, że to mi pomoże? - przerwał mu Andrew.
  - Próbuję znaleźć odpowiedzi dla matki Amy - powiedział Spencer - żeby mogła dalej żyć. I dla pańskiej siostry...
  - Jak pan śmie! - rzucił Andrew przez zaciśnięte zęby. - Jak pan śmie mówić o mojej siostrze! Myśli pan, że nie wiem, co pan wyprawia? Że nic nie rozumiem? Wykorzystuje pan jej chorobę. Ona nic nie wie. Nic pan od niej nie wyciągnie.
- Spencer zacisnął pięści.
- Pan mnie chyba nie rozumie, kongresmanie. Tu wcale nie chodzi o mnie. Ani o pańską siostrę. Tu chodzi o pana i o dziewczynę, z którą był pan związany przez ponad trzy lata, a która rok temu zagięła. O to w tym wszystkim chodzi. A pan zdaje się o tym zapominać.
  - Ściga pan niewłaściwego człowieka, detektywie - powiedział Andrew z posępną twarzą. W jego głosie zabrzmiała groźba. - Rozumie pan?
- Spencer ruszył nagle w stronę biurka, lecz Gabe natychmiast go powstrzymał.
- Nie. Nie warto - powiedział cicho.

315- No proszę. Tylko na to czekam - powiedział Andrew. - Spędzisz od pięciu do piętnastu lat w więzieniu za napaść i wyrzucą cię z policji, ty sukinsynu. No, proszę, pokaż mi, jaki jesteś naprawdę.

Spencer wyrwał się Gabe'owi i podszedł do drzwi.

- Nie mam czasu, a pan pracowicie pokazuje mi swoje prawdziwe oblicze. - Z trudem panował nad sobą. - To pan nic nie rozumie. Okłamuje pan niewłaściwego człowieka. Myśli pan, że pan mnie uciszy, grożąc mi Wydziałem Kontroli Wewnętrznej i donosząc moim przełożonym? Nie pozbędzie się mnie pan, dopóki na biurku mojego szefa nie wyląduje pańskie podpisane zeznanie. Zrozumiał pan? W drodze powrotnej Gabe chciał coś powiedzieć, lecz Spencer natychmiast go uciszył.

- Gabe, ani słowa. Nie chcę teraz o niczym rozmawiać. O niczym, słyszysz? Kiedy wrócimy na posterunek, wszystko spisujemy. Na razie muszę sobie to wszystko przemyśleć.

## 54

### WYDZIAŁ SPRAW PIEKIELNYCH

Następnego dnia znów wezwano go na górę. Whittaker spojrzał na niego ze współczuciem.

- Spence, co ty wyprawiasz, że wzywają cię co pięć minut?

- Chyba nie mają nic lepszego do roboty - wzruszył ramionami. Ten pieprzony Andrew. - Szefie, pytałem parę osób, ale nikt nic nie wie. Słyszał pan kiedyś o Kościele Amerykańskim?

- Tak.

- O co im chodzi?

- Nie wiem zbyt wiele. Ale to jedyny kościół w Stanach, który podczas swoich praktyk może legalnie używać peyotlu.

- Peyotlu?

- Mescaliny. Twierdzą, że ten halucynogeny kaktus zbliża ich do Boga. Nic więcej nie wiem. Lepiej już idź. Pani Monroe czeka na ciebie. - Niewidzialnym rękawiczką machnął w kierunku krocza Spencera.

Spencer jeszcze zasiadł naprzeciwko opryskliwej i oficjalnej Liz Monroe oraz jej dwóch współpracowników.

316

- Detektywie, nie będę owijać niczego w bawełnę, mamy nowego świadka.

Nowy świadek pojawia się ot tak, dzień po jego wizycie u kongresmana.

- Pani Edith Stanley mieszka naprzeciwko domu Nathana Sinclaira -ciągnęła Monroe. - Mam tutaj jej zeznanie. Powiedziała, że... - urwała, by założyć okulary. Spencer czekał cierpliwie.- ...tamtej nocy widziała cień...

Szczegóły zeznania pani Stanley były tak niejasne, że Spencer nie mógł się nadziwić, dlaczego w ogóle zadają mu jakiegokolwiek pytania w oparciu o tak słabe podstawy. Przerwał jej.

- Proszę mnie przed nią postawić i zapytać, czy jestem mężczyzną, którego cień widziała o północy na swoim trawniku. Nadal tam mieszka? Zadzwoń do niej sam, jeśli pani woli. Za kilka godzin będziemy ją mieć na posterunku.

- Nie robi pan nic takiego. Po pierwsze, pani Stanley nie mieszka już przy Sound Beach Averfue.

- Tak? A gdzie teraz mieszka?

- W domu opieki w Greenwich.
- W domu opieki? To skąd się pani o niej dowiedziała? Dlaczego postanowiła ją pani odnaleźć?
- Wie pan doskonale, detektywie, że zdobywamy informacje na różne sposoby.
- Wiem. Pytam tylko, jak pani zdobyła akurat tę informację.
- Nasi ludzie... rozmawiali z większością mieszkańców Sound Beach Avenue.
- Wasi ludzie. - Spencer potarł czoło. - Ale przed chwilą powiedziała pani, że pani Stanley już tam nie mieszka.
- Zgadza się.
- Czy przesłuchała ją pani osobiście?
- Nie. Nasi...
- Wasi ludzie. Wiem. Czy ktoś rozmawiał z dyrektorem tego domu?
- Nie mam tego w notatkach. Nie rozumiem, co to wnosi do sprawy.
- Przepraszam, że poruszę tak niedelikatną kwestię, ale chciałbym zapytać, ile lat ma pani Stanley?
- Detektywie O'Malley...
- Ile? Czy ma pani w swoich notatkach jej datę urodzenia?
- Urodziła się w tysiąc dziewięćset siódmym roku - odparła z wyraźnym ociąganiem.

317 Spencer z trudem starał się zapanować nad głosem.

- Chciałbym to wszystko dobrze zrozumieć - zaczął powoli. - Ma pani przed sobą zeznanie dziewięćdziesięcioletniej kobiety, która twierdzi, że pięć lat temu w niesprecyzowaną bliżej noc widziała cień?
- Pani Stanley zeznała, że późno w nocy widziała mężczyznę w ciemnym ubraniu wychodzącego z domu Sinclaira...
- Przepraszam, że raz jeszcze pani przerywam. Ale nadal nic nie rozumiem. Której nocy?

- Nocy, o którą nam chodzi.
- Jaką datę podała?

Niespokojny ruch zadbanych palców powiedział Spencerowi, że pani Monroe nie może znaleźć tej informacji w swoich notatkach.

- Ktoś powinien porozmawiać z dyrektorem tego domu opieki, nie sądzi pani? Trzeba sprawdzić, co spowodowało, że pani Stanley tam trafiła.
- Nie widzę związku ze sprawą. Spencer skinął głową.
- Zaraz pani wskażę. Chwileczkę. - Otworzył komórkę. - Ma pani numer czy mam zadzwonić na informację?

Podawała mu numer z wyraźną niechęcią. Spencer przez dwie minuty rozmawiał z panem Cerone, dyrektorem domu opieki. Zadał mu dwa, trzy pytania i słuchając odpowiedzi, kiwał głową.

Kiedy skończył, powiedział:

- Widzi pani, zawsze trzeba sprawdzić szczegóły. Może zechce pani zadzwonić do pana Cerone osobiście, by uzupełnić swoje akta. Dyrektor potwierdzi, że Edith Stanley przebywa w domu opieki od trzech lat. Trafiła tam tuż po swoich dziewięćdziesiątych urodzinach, kiedy jaskra, z którą walczyła od lat, pozbawiła ją wzroku na dobre i nie mogła już mieszkać sama.

Liz Monroe przypominała kamienny posąg, a siedzący po jej bokach mężczyźni wiercili się niespokojnie.

- Czy to wszystko, detektywie o'Malley? Spencer wstał i rzucił jej chłodny uśmiech.

- To wszystko, proszę pani.

318

**55**

### **OBLANY TEST NUMER DWA**

Przeczytała w gazecie o nowych poszlakach dotyczących Amy i Andrew. Nie dowiedziała się o nich od Spencera. Nie miała od niego wiadomości od dwóch dni. I nie mogła bez niego wytrzymać dwóch minut. Kiedy już nie była w stanie znieść tego dłużej, zadzwoniła na jego pager. Słuchając brzęczącego dzwonka, uświadomiła sobie z przerażającą jasnością, że gdyby coś się jej stało, Spencer żyłby dalej jak dawniej, podczas gdy jej życie bez niego skończyłoby się natychmiast - czego miała już dowody. Nie mogła bez niego żyć. Od rana do północy, codziennie, wypełniał jej wszystkie minuty: myślała o nim, czekała na telefon, rozmawiała z nim, spotykała się, martwiła się o niego, malowała jego portrety. Mogła ułożyć odrastające włosy w seksowną fryzurę, mogła nałożyć dla niego makijaż i kupić koronkową bieliznę, ale prawda zawsze wyglądała tak samo: bez niej Spencer pozostanie taki sam, ona bez niego będzie niczym. To było zbyt żalodne nawet dla chorej na raka dziewczyny. Kiedy więc oddzwonił, nie odebrała telefonu. Kiedy zadzwonił jeszcze raz, próbowała nie odebrać.

- Lii? Jesteś tam? Odbierz. Złamała się w końcu.

- Cześć.

- Cześć.

Nie mogła wydusić z siebie słowa. On też milczał przez długą chwilę.

- Przyjdę dziś wieczór po pracy. Dobrze? - powiedział w końcu ciężkim głosem. Siedziała w pracowni, gdy usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Była zachwycona, że może przychodzić i wychodzić, kiedy tylko zechce. Że może robić w jej życiu na co tylko ma ochotę.

Wyszła z pracowni i stanęła na środku saloniku. Wyglądał świetnie, tak poważnie, dorośle, a jednak widziała, że coś go dręczy.

Chciała mu powiedzieć, ile dla niej znaczy, co do niego czuje, ale kiedy zaczęła płakać, objęła go mocno za szyję, szepnęła Spencer... kiedy znalazł się nad nią, podpierając się na ramionach, kiedy potem znów zaczęła płakać i przygnięciona jego ciężarem drżała na całym ciele, domyśliła się, że on doskonale to wszystko wie.

319Leżeli w łóżku, lecz wszystko było nie tak. Czują to. Kochali się, lecz choć to zawsze rozładowywało napięcie, tym razem tak się nie stało. Napięcie pozostało. Bała się go zapytać, o co chodzi, nie zamierzała raz jeszcze popełnić tego samego błędu. Nie chciała zniszczyć jakimś idiotyzmem zgody, która między nimi zapanowała.

Nagle Spencer przerwał milczenie. Bardzo cicho zaczął jej opowiadać o dochodzeniu prowadzonym od ośmiu miesięcy przez Wydział Kontroli Wewnętrznej. Wzięła go za rękę w niemym geście współczucia, zastanawiając się, co mogłaby powiedzieć. Nie wiedziała, jak przejść do następnego pytania. Jej żołądek wykonał gwałtowne salto.

- Nic nie rozumiem. O co cię oskarżają?

- Są przekonani, że miałem coś wspólnego ze śmiercią Nathana Sinclaira.

Lily zwalczyła pokusę, by puścić jego rękę. Dlaczego pomyślała, że on walczył z taką samą pokusą? Całym swoim wyniszczonym przez chemię ciałem zebrała się na odwagę, by spytać:

- Dlaczego nie powiesz im, że tego nie zrobiłeś?
- Powiedziałem.
- I?
- Najwyraźniej nie uwierzyli, bo inaczej nie wzywali by mnie stale na przesłuchanie.

Uznał temat za wyczerpany, choć odniosła wrażenie, że wcale nie powiedział jej wszystkiego. Czowała, że jest podobnie w wielu innych sprawach - wiedział dużo więcej, niż chciał jej powiedzieć.

Ale o dziwo - nie chciała nic słyszeć. Nagle nie chciała naciskać. Poczowała, jak spięte ciało Spencera przytłacza ją coraz większym ciężarem.

- Byłam tak bardzo zaprzątnięta sobą - powiedziała cicho - a przez cały czas ty też mnie potrzebowałeś. Wiedziałam, że jest ci ciężko.

Pokręcił głową.

- Wcale nie jest mi ciężko. Za to ty naprawdę potrzebujesz pomocy. Mnie nic nie jest. Całe to zamieszanie z wydziałem kiedyś się skończy. Albo i nie. Jakkolwiek będzie, jestem gotów ponieść konsekwencje.

- Jakie konsekwencje?

- Lily, mój świat nie jest pozbawiony znaczenia. Podobnie jak ty wierzę w wszechświat, w którym rzeczy nie dzieją się w próżni. W którym wszystkie przedsięwzięcia, małe i ogromne, mają swój skutek. Wierzę, że

320

Nathan Sinclair zrobił coś, co przyniosło niezamierzony i nieprzewidziany przez niego skutek. Zresztą jak wiele osób.

Nie rozumiała pełnego goryczy tonu, lecz czowała, że ma związek z nią samą.

Poczowała, jak ogarnia ją nagły chłód, który ze skóry przenika do całego ciała.

Bezwiednie odsunęła się lekko i wciągnęła ze świstem powietrze. Nakryła oczy dłońmi. Kiedy Spencer pochylił się nad nią, wiedziała już, że ta sprawa nie dotyczy tylko jego. Pojęła nagle, że dochodzenie Wydziału Kontroli Wewnętrznej dotyczyło także i jej. I Amy. I Andre w.

- Tu nie chodzi tylko o Nathana Sinclaira, prawda? - spytała. Puścił ją i odsunął się na brzeg łóżka.

- Nie, Lily. W takich sprawach nigdy nie chodzi tylko o jedną rzecz.

- No dobra, miejmy to z głowy. Co dochodzenie tego wydziału ma coś wspólnego z moim bratem?

- To samo, co twoja wizyta u Jan McFadden, o której mi nie powiedziałaś.

Zamarła.

- Nie było o czym mówić.

- Jesteśmy w łóżku. Przestań kłamać. Znam już prawdę. A twój brat chce mnie uciszyć, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Wynajął prywatnych detektywów, którzy badają każdy szczegół mojego życia, chce, żeby odebrano mi tę sprawę, chce mi zamknąć usta. Trudno to uznać za zbieg okoliczności, że za każdym razem, kiedy jadę do niego z nowymi dowodami, następnego dnia ludzie z Wydziału Kontroli Wewnętrznej wzywają mnie na przesłuchanie i pokazują nowe wymyślone dowody albo rzucają nowe oskarżenia. Zaangażował ludzi,

którzy ciężko nad tym pracują. Badają, czy wziąłem kiedykolwiek łapówkę, użyłem niepotrzebnie siły, brałem w pracy narkotyki, wystrzeliłem bez jasno określonego powodu, w jakikolwiek sposób przekroczyłem swoje uprawnienia. Ale jedyną rzeczą, jaką znaleźli, jest śmierć Nathana Sinclaira, więc ta sprawa wisi nad moją głową niczym miecz Damoklesa.

Lily się odsunęła.

- Spencer - szepnęła - kim ty jesteś? Dlaczego wpadasz w taką paranoję? Rozmawiamy o moim bracie, a nie o szefie mafii. O moim porządnym, spokojnym bracie. Chyba oszalałeś.

- Lily, twoja przyjaciółka Amy była związana z twoim czystym, żonatym, spokojnym bratem przez trzy lata. Oboje okłamywali cię jak najęci.

Zerwała się z łóżka. Skąd miała tyle siły?

- Możliwe. Tak, masz rację, to kłamca i drań, oszukiwał wszystkich 321dookoła, masz rację, ale nie zabił jej! - wrzasnęła. - Nie zrobił tego. Nie znasz go tak jak ja. To nie jest twój Nathan Sinclair, to inna sprawa, inne życie!

Usiadł na łóżku.

- Uspokój się.

- Ludzi porywają przez cały czas - powiedziała, ciężko dysząc. - Mówią o tym w telewizji. Młode dziewczęta. Porywają je i wywożą gdzieś ludzie zupełnie im obcy albo tacy, których dopiero poznały.

- Lily, rozmawiasz z detektywem z Wydziału Osób Zaginionych. Wiem o tym. Mam setki takich spraw rocznie. Masz rację. Dotyczą młodych ludzi. Ale nie dwudziestoczteroletnich studentek college'u. Amy wyszła z domu pewnego ranka i nigdy nie wróciła. Zostawiła pieniądze i karty kredytowe. Kiedy wyruszyła w podróż z przyjaciółmi, zamknęła życie za sobą, a teraz dosłownie zniknęła z powierzchni ziemi. I nawiasem mówiąc, nie myśl, że nie zauważyłem, że zniknęła tuż po twoim wyjeździe.

- O czym ty mówisz? - spytała przerażona. - A jaki to może mieć z tym związek?

- Żadnego? Zasadniczy? Chodzi mi tylko, że nie umknął naszej uwadze fakt, że zostałaś usunięta z drogi.

- Ale po co? - zachnęła się. A potem przypomniała sobie słowa Amy: „Tak, Lily, musisz koniecznie jechać na Maui, koniecznie powinnaś tam jechać”, i słowa Andrew: „Siedzisz, Liliput? Koniecznie jedź na Maui, kiedy tylko będziesz mogła, musisz pocieszyć matkę”, i spojrzała na Spencera jeszcze bardziej zdumiona.

- Co się z nią stało? - spytał. - Kto walczy o opiekę nad nią? Gdzie jest list w sprawie okupu? Kto chce dostać za nią pieniądze?

- Na pewno nie mój brat - odparła drżącym głosem.

- Co wiesz o swoim bracie?

- Wiem, że nie mógł jej zabić.

- Nie?

- Nie. - Nareszcie zdołała się opanować. - Bo poza tym, że startuje w wyborach do Senatu i chce zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych, to przez całe życie nigdy nie podchodził do niczego z pasją! Nigdy! Nie dla niego jakieś wysoki, o nie. Tylko spokojna jazda w górę na jednym biegu. Taki właśnie jest mój brat.

- Zupełnie jak ty, co? - spytał z ironią, bo stała na środku ciemnego pokoju, wrzeszcząc jak najęta.

- Tacy ludzie - ciągnęła bez tchu - nie są zdolni do zabójstwa. Oni na-

wet nie zrywają z innymi. Pewnego dnia po prostu przestają dzwonić i mają nadzieję, że nikomu nie zależało na nich tak bardzo, by to zauważyć. - Spuściła wzrok. - Mniej więcej tak jak ty traktujesz kobiety, Spencer. On też na krótką chwilę spuścił wzrok.

- Lily, powtarzam raz jeszcze, nic nie wiesz o swoim bracie. Nie wiesz nic o Amy. Nie wiesz nic o Milo. Niewiele wiesz o samej sobie. Amy przeniosła się na twoją uczelnię, wybrała zajęcia, na które chodziłaś, odszukała cię, zamieszkała z tobą, miała romans z twoim bratem pod twoim nosem, w tym maleńkim mieszkaniu, a ty nie miałaś o niczym pojęcia! A Jan McFadden nadal na nią czeka. Chodzi mi o to, czy jesteś po mojej stronie, czy nie?

- Nie! Nie jestem po twojej stronie - szepnęła zapalczywie, wreszcie wypowiadając to, co tak długo usiłowała przemilczeć. - Nie jestem po stronie Amy. - Spuściła głowę na dobre, bo przeraziła ją intensywność własnych odczuć. - Jestem po stronie mojego brata.

Spencer wstał z łóżka. Nagi, spojrzał na nią płonącymi oczami.

- Sporo czasu minęło, zanim to w końcu powiedziałaś.

- Nigdy, przenigdy nie zrobię niczego, co by pomogło go skrzywdzić. Nie zrobię tego ani dla Jan McFadden, ani dla Amy, ani dla ciebie! Nigdy! Rozumiesz?

- Doskonale.

- I co teraz zrobisz, Spencer? - spytała. - Jego też zabijesz? Wciągnął ze świstem powietrze, odrzucając głowę na bok, jakby otrzymał mocny cios.

- Gdybym tylko wiedział wcześniej, że aż tak źle mi życzysz - powiedział. - Że przy pierwszej okazji wykorzystasz przeciwko mnie to, co ci mówię.

- A ty? Nie wykorzystałaś przy pierwszej okazji tego, co ci powiedziałam?

Wiedziałaś, że nie chciałam ci opowiedzieć o wizycie u Jan McFadden, przyłapałeś mnie w chwili słabości, a potem pojechałeś, żeby jeszcze bardziej dręczyć mojego brata. Jak to nazwiesz?

- Okłamałaś mnie, próbowałaś to przede mną ukryć, nawet jeśli sama myślałaś, że coś jest nie tak, skoro postanowił nikomu o tym nie mówić.

- Nie. Wiedziałaś tylko, że wykorzystasz tę informację przeciwko niemu, jak wykorzystywałeś wszystko, co ci mówiłam.

Stał przed nią nagi.

- Nie powinnaś była tak długo ukrywać przede mną swego prawdziwego oblicza, Lily. Nie powinnaś mi pozwolić, bym marnował dla ciebie czas.

323- A mój zmarnowany czas? - krzyknęła. - Mam go znacznie mniej od ciebie!

Usiadł w nogach łóżka i zaczął się ubierać. Ona płakała, siedząc u wezglowia.

- Z każdą minutą zbliżamy się do śmierci - rzekł Spencer, prostując się. - Z każdą kłótnią, ostrym słowem, złym uczynkiem zbliżamy się o krok do wieczności. Nie dotyczy to tylko ciebie.

- Proszę, zostaw mojego brata w spokoju - powiedziała przez łzy. - Dla mnie.

Zapinał paski podtrzymujące kaburę glocka 20. Nie patrzył na nią.

- Proszę. A ja obiecuję, że on też zostawi cię w spokoju.

- Nie zostawię twojego brata w spokoju - oświadczył, zbierając z komody portfel, klucze, pager. - Ale ciebie tak.

Co on wyprawia, co on wyprawia, co on wyprawia? Ta myśl towarzyszyła mu każdego wieczoru podczas powrotu do domu. Nigdy nie pytał dlaczego. Pytanie



zawsze brzmiało tak samo: Co teraz?

Postanowił wstąpić do Michael's Pub. Wiedział, że Gabe może nadal tam być - i rzeczywiście był. Zamówili drinki, stuknęli się szklankami. Spencer zamoczył tylko usta. Jak świetnie potrafił udawać. Jak doskonale mu szło, gdy siedział na wysokim stolku przy barze, popijał whisky i nawet nie oblizywał warg ani nie prosił o następną kolejkę. Siedział spokojnie, odstawił szklankę i rozmawiał dalej, zupełnie jakby to był zwykły późny wieczór w barze. Nie był to piątek ani sobota, lecz Spencer nie wiedział, jak poradzić sobie z własnymi uczuciami bez wsparcia drinkiem.

- Co się dzieje, o'Malley? Jakież ważne informacje w sprawie tej McFadden?

- Ważne, nieważne, sam już nie wiem - westchnął ciężko. - Zaplątałem się,

McGill. I to poważnie. Nie wiem, co robić.

- Nie chodzi o dziewczynę, co?

- Chodzi. Niestety, chodzi.

Skinął na Teda, by napełnił szklanki, a kiedy Gabe nie patrzył, uniósł kciuk i palec wskazujący. Ted podał mu podwójkę. Wypili.

W drodze do domu Spencer wiedział już, że nie może mieć wszystkiego. Musiał podjąć decyzję, co zrobić z Lily Quinn. Dokonać wyboru. Mieć ją albo sprawiedliwość. Ją albo w żyłach whisky zamiast krwi. Dziś w nocy wybrał whisky. Co za ulga. Nie musi myśleć o niej, nie musi rozmawiać, nie musi czuć.

324

Lily nie mogła spać.

Minął weekend, a ona nie miała od niego żadnych wiadomości. We wtorek poszła na badania. Wyniki nie były ani dobre, ani złe. Takie sobie. Widziała jednak, że DiAngelo nie mówi jej wszystkiego. Znów przepisał jej alkeran. Wtorkowy wieczór spędziła, leżąc na łóżku. Kiedy wreszcie mogła usiąść, malowała, szkicowała, naciągała płótno, płakała. Znów malowała otwarte w krzyku czarne usta, czarne domy, drzewa. Nikt nie będzie chciał kupić jej przeklętych obrazów pełnych egzystencjalnej rozpacz.

Chciała, by Spencer wrócił, ale chciała też, by zostawił jej brata w spokoju.

We środę, w najgorszy dzień z możliwych, leżała na kanapie. Nie odbierała telefonu, nie wstawała, nie jadła, nie piła, nie czytała, nie oglądała telewizji ani nie słuchała radia, a już na pewno nie malowała. Utkwiła swój wzrok w przesuwających się wolno wskazówkach zegara, który powoli odmierzał jej życie, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Chciała wstać, lecz nie miała siły. Proszę, niech to będzie on, modliła się, zwlekając się z kanapy. Ale modliła się do niego. Spencer, proszę cię, chcę, żebyś to był ty.

Stał przed jej drzwiami.

Patrzył na nią w milczeniu. Wiedziała, że wygląda okropnie, bo spytał:

- Coś ty, na Boga, ze sobą zrobiła?

- Nic - odparła i zachwiała się. - Dlaczego nie otworzyłeś drzwi kluczem jak zawsze?

Nie odpowiedział, tylko wszedł do środka i mocno ją przytulił. Usiedli na kanapie. Chciała go zapytać, czy pójdą do łóżka, ale się bała. To twoje życie, Lily, krzyczał w niej wewnętrzny głos, jedyne życie, jakie możesz mieć, jedyne, jakiego pragniesz. Nie będziesz o nie walczyć?

Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu, słuchając tylko tykania zegarów.

- Przepraszam, Spencer.
- Nie masz za co przepraszać.
- Mam. Byłeś dla mnie taki dobry, a ja... ja cię zawiodłam.
- Wcale mnie nie zawiodłaś.
- Ależ tak. Zaufałeś mi, opowiedziałeś o swoich kłopotach, a ja tę twoją ufność zacisnęłam w pięść i uderzyłam cię prosto w twarz.
- Nie.
- Wygadywałam takie okropne rzeczy. Bardzo mi przykro. Oblałam sprawdzian.
- 325 Pokręcił głową.
- To nie był żaden sprawdzian.
- Był. I oblałam go na całej linii. Byłam dla ciebie celowo okrutna. Pomimo moich uczuć do ciebie, potraktowałam cię paskudnie. Jakie to mi wystawia świadectwo?
- Nie potraktowałaś mnie okropnie. Po prostu o mnie zapomniałaś.
- Miałaś rację, wychodząc. Powinieneś to zrobić dużo wcześniej. Tym razem nie protestowałam.
- Nie powinienem był wykorzystywać chorej dziewczyny.
- Nie jestem chora. Czuję się o wiele lepiej.
- Ja też nie jestem czysty jak lza. Torturowałam cię rzeczami, które były ponad twoje siły. Nie powinnaś sobie w ogóle zaprzętać nimi głowy. To był błąd.
- Powinnaś. Naprawdę. Proszę, uwierz we mnie. Uwierz, że się poprawię, będę ci pomagać i wspierać cię. Potrafię być osobą, jakiej potrzebujesz.
- Ujął jej dłonie w swoje. Wstała z kanapy i uklękła przed nim, patrząc na niego błagalnie.
- Potrafię, Spencer. Wybacz mi, proszę - szepnęła. Nie wiedziała, jakim cudem udało się jej wydusić te słowa. Tak bardzo były bolesne. - Poprawię się, zobaczysz.
- Proszę, daj mi szansę, żebym mogła ci to udowodnić.

Puścił ją, wstał i odsunął się od kanapy.

- Lily, wiesz, że nie przestanę ci pomagać. Ale...
- Och nie, nie. Proszę, żadnych „ale”.
- Ale nie mogę już dłużej.
- Nie.
- Podniósł ją z podłogi, posadził na kanapie, ale ponownie stanął daleko od niej.
- Nie mogę. W ogóle nie powinniśmy tego zaczynać, choć podejrzewam, że to było nieuniknione. Nie wiem, co wtedy chodziło mi po głowie. Ty dochodziłaś do siebie po wielkiej tragedii, a ja wykorzystałem twoją słabość. To moja wina.
- Nie. Zmienię się, zobaczysz. Obiecuję. Nie chciałam powiedzieć tych wszystkich okropnych rzeczy. Byłam tylko zdenerwowana.
- Lily, nie obchodzi mnie to, co powiedziałaś. Nie chcę, żebyś stała się inną osobą. On jest twoim bratem! Nie może być inaczej. Na twoim miejscu zachowywałbym się dokładnie tak samo. Ale wiesz doskonale, że oboje pozostajemy w strasznym konflikcie.

326

- Nie.
- Strasznym. Wiesz o tym. Ja też. Wie twoja babcia. I brat. Przez pewien czas udawaliśmy, że tak nie jest, ale dłużej się już nie da.
- Chcę mojej matki! - krzyknęła. - Tak bardzo chciałabym mieć matkę. Ale nie

chcę, żebyś ty nią był. Ani matką, ani ojcem. Chcę, żebyśmy byli ze sobą na równych prawach. Ja też chcę ci pomagać.

- Lily...

- Zapomnij o wszystkim. Poprawię się, obiecuję. Chcę być przy tobie. Proszę.

- Lily, ty nic nie rozumiesz - powiedział, nadal jej nie dotykając. - W dzień i w nocy myślę o tym, co się stało z Amy. Muszę rozwiązać tę sprawę. Tylko tego pragnę. Gdybym mógł wyrazić jedno życzenie... - zawiesił głos. - Chcesz porozmawiać o tym, co jest złe? - spytał zimno. - Proszę bardzo. Gdybym mógł wyrazić jedno życzenie, nie chciałbym wcale pieniędzy ani nawet żebyś ty była zupełnie zdrowa. Chciałbym się dowiedzieć, co stało się z Amy. I muszę wyznać, że kiedy jestem z tobą, nie zapominam o tym ani na chwilę. Amy i twój brat zawsze gdzieś się czają, a czasem nawet wybijają się na pierwszy plan. Byli tam od samego początku i będą do końca. - Wziął głęboki oddech. - Kiedy jestem tutaj, nadal zbieram informacje.

- Spencer, nie.

- Tak. Nie jest łatwo mi to przyznać, ale to prawda. Masz prawo zachować milczenie, bo wszystko, co powiesz, może zostać wykorzystane przeciwko tobie. Nie możemy dłużej tego ciągnąć. Ja nie mogę. Przez pewien czas nie wolno nam być nawet przyjaciółmi. Muszę się zebrać do kupy. Powinnaś znów zatrudnić Joy, jeśli będzie ci potrzebna pomoc. Od czasu, gdy jestem z tobą, zupełnie straciłem ostrość widzenia. Stałem się miękki. Te wszystkie komedie, które razem oglądaliśmy, skoncentrowanie się na twojej chorobie.

Nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- To zbyt wiele jak dla mnie - ciągnął. - Przez ciebie mój osąd nie jest już taki czysty, stępiły się zmysły. Spędzam z tobą noc, a następnego ranka nie mogę się pozbierać. W głowie wirują mi szalone myśli, praca leży odłogiem, zaginione nastolatki stają się prostytutkami, ćpunami, porwani nie wracają do domów. Małżeństwo Jan McFadden się rozpada. Na dodatek wisi nade mną ten cholerny Wydział Kontroli i muszę się jakoś ratować, stanąć na nogi. Chcę mieć pewność, że nie wyląduję w więzieniu tylko dlatego, że śniłem na jawie o twoim nagim ciele. 327 Wydało się jej, że powiedział na koniec „Przykro mi”, ale nie była pewna. Przed wyjściem zdjął z breloka jej klucz i położył na stoliku przy drzwiach. Lily nawet nie wstała z kanapy.

*Tak bardzo cię kocham... Umarłbym dla ciebie... a oni mówią tylko... że on nie jest dla ciebie..}°*

I mieli rację.

Po drodze do domu Spencer myślał o kłamstwach, które jej powiedział, o tym, że wcale nie czuł się wolny teraz, gdy się od niej uwolnił i zamierzał skoncentrować się na tych obszarach swojego życia, gdzie mógł egzystować i pozostać w ukryciu. Z nianie było to możliwe. I wiedział doskonale, że gdyby mógł wypowiedzieć jedno życzenie, nie dotyczyłoby ono wcale Amy. Ani nawet wyzdrowienia Lily. Chciałby przestać pić.

Żeby móc dać Lily całego siebie, a nie tylko strzęp człowieka, jakim się stał.

**56**

## **ROZWIĄZYWANIE PROBLEMÓW W DOMU I ZA MORZEM**

Numer z Maui wyświetlający się na ekraniku zawsze oznaczał niepokój. Dzwonił albo będący u kresu wytrzymałości ojciec, albo wściekła, zamroczona alkoholem

matka.

Matka powiedziała, że rozwodzi się z ojcem, bez względu na koszty, bo okazał się kłamcą. Obiecał jej mnóstwo rzeczy i nie dotrzymał słowa.

Tati otworzył sobie konto w banku i przelał na nie trzydzieści tysięcy z ich wspólnych funduszy.

W rozmowie z Lily matka krzyczała o tych pieniądzach tak głośno, że zjawili się jej sąsiedzi (na Maui była jedenasta rano) i zagrozili, że wezwą policję.

Lily odłożyła słuchawkę.

Fragment piosenki *Girl, You'll Be a Woman Soon* Neila Diamonda.

328

Jakiś czas później zadzwonił ojciec i powiedział, że policja jednak przyjechała.

- Twoja matka podniosła spódnicę i powiedziała, że ją biję. Na dowód pokazała siniaki na nogach.

Sytuacja przypominała tonący „Tkanie”, który wystrzelił rakiety w stronę „Carpathii”. Załoga tego statku była przekonana, że na pokładzie „Titanica” odpalają fajerwerki. Lily nie myślała podobnie o sytuacji panującej na Maui.

Wiedziała, że dom na Maui tonie i niebawem się pogrąży, możliwe, że podzielony na pół i wynajęty. Pewnie dostrzegłaby więcej i bardziej się tym przejęła, gdyby nie tragedia, jaką sama przeżywała. Jej własne życie też rozpadło się na pół.

Nie wiedziała, co począć z minutami swojego życia. Nie wiedziała, co robić, jak zapełnić wieczory, co począć z odrastającymi włosami. Co zrobić z niedzielami bez niego. Czowała się tak, jakby chirurgicznie usunięto z jej ciała namiętność, jakby pozbawiono ją kończyn, a dni bez kończyn ciągnęły się jak lata.

- Och, dzięki Bogu, że nie jesteś już z tym okropnym człowiekiem - wykrzyknęła babcia, gdy powiedziała jej, co się stało. - Dobry Bóg ma cię w swojej opiece. To kolejny dowód jego miłości.

Lily nie chciała o tym rozmawiać.

Dziękowała Bogu za Paula i Rachel. Po zniknięciu Amy odziedziczyła ich w spadku, należeli teraz do niej i bardzo ich kochała. Zupełnie jakby Amy wiedziała, że odejdzie i zostawiła swoich przyjaciół, by łatwiej było jej żyć. Lepiej było mieć przyjaciół z drugiej ręki niż żadnych. I siostry, nawet takie jak Annę i Amanda, niż nie mieć żadnej. Lepiej było mieć brata, niż nie mieć go w ogóle. I cierpiącą na agorafobię babcie. I matkę-pijaczkę. Teraz, gdy Lily pogrążała się w otchłani rozpacz, lepiej było mieć ich wszystkich przy sobie.

Spędzała całe dni w pracowni, leżąc na podłodze w miejscu, gdzie kiedyś stało łóżko Amy. Podłoga była poplamiona farbami, którymi kiedyś malowała portret Spencera. Teraz tylko to po nim zostało: resztki farb z jego ust i oczu.

Zupełnie jakby umarł.

Jakby ona umarła.

Zadzwoniła do Jan McFadden, by spytać, jak sobie radzi. Niezbyt dobrze, Lily, usłyszała. Wiem. Ja też nie najlepiej. Płakały obie, bo obie straciły kogoś, kogo nikt nie mógł zastąpić.

A jeśli Amy już nigdy nie wróci?

329A jeśli Spencer już nigdy nie wróci?

Lepiej było go mieć przy sobie na jakichkolwiek warunkach, niż żyć tak dalej - bez niego.

W sobotę ludzie stali wokół jej stołów, podawali pieniądze, zabierali obrazy.

- Nie ma w tym tygodniu miłości, Lily?
- Nie, w tym tygodniu nie.

Namalowała niewiele, same akwarelki. Dwa okna z podwiązanymi błękitnymi zasłonkami, za nimi wiosenne słońce, a przed nimi puste łóżko.

- Jak mógł tak łatwo mnie zostawić? - spytała przyjaciół pewnego piątkowego wieczoru. Szli do sklepu St. Mark's Comics, żeby kupić prezent dla jednego z siostrzeńców Rachel. - Spędzał ze mną niemal każdy dzień. Jak mógł w ogóle po czymś takim nie zadzwonić? Nie zapytać? Po prostu się wyłączyć? Paul milczał, lecz Lily wyczuła, że niewątpliwie ma coś na ten temat do powiedzenia.

- No co? Powiedz?

- Lii, to zupełnie jak z rodzicami. Jak mogą bez nas żyć, kiedy wyjeżdżamy do szkoły? Opiekują się nami przez osiemnaście lat, a potem nagle nie śpimy już pod ich dachem, nie jemy przy ich stole, po prostu nas nie ma. Jakim cudem tak dobrze sobie bez nas radzą? Jak to się dzieje, że zaczynają podróżować, zapisują się na kursy, uczą się obcych języków, a kiedy przyjeżdżamy na weekend, okazuje się, że wyglądają kwitnąco, że nie uschli wcale z tęsknoty. Jak to się dzieje?

- Nie wiem. Mnie pytasz? A może to tylko retoryka? Co to ma wspólnego ze Spencerem?

- Zaraz ci powiem co - odparł. - Ale nie będziesz chciała tego usłyszeć. Trudno jest się opiekować chorą osobą. To wielka odpowiedzialność.

- A bycie ze mną? Tu nie chodzi tylko o raka - powiedziała Lily. - Staralam się, by było zabawnie. Razem obcinaliśmy włosy, razem robiliśmy pranie, zamawialiśmy chińszczyznę. Zapraszałam go w niedzielę na brunch, uczyłam określeń medycznych, których nie poznałby nigdy w życiu.

Robiłam z nim też inne rzeczy i dlatego do dziś nie mogę uwierzyć, że poddał się tak szybko, tak łatwo. Jej rozpacz w postaci wielkich łez zaczęła opadać na nowojorski chodnik, a ramiona zadrżały.

- Nie twierdzę wcale, że to nie było zabawne, skarbie - powiedział Paul, mocno ją przytulając. - No, już, już. - Rachel ujęła ją pod ramię i skinęła

330

głową, jakby wiedziała doskonale, o czym Paul mówi. - Ale mimo to w waszym związku trudno mówić o równości. On musiał się tobą opiekować.

- Już nie. Czuję się o wiele lepiej. Mam to już za sobą.

- Jasne - odparła Rachel i w nagłym przebłysku dodała filozoficznie: - ale on nie zna przyszłości. Zna tylko przeszłość.

Lily zamilkła. Podejrzewała jednak, że kroplą, która przepelniła czarę goryczy, nie była wcale konieczność opieki nad nią, bo Spencer zawsze robił to z ochotą, lecz fakt, że go zawiodła. Szukał u niej czegoś, czego mu nie dała; może w ogóle nie mogła dać.

Uświadomiła sobie nagle, że kiedy odszedł Joshua, prawie tego nie zauważyła. Teraz obecność przyjaciół pomogła jej zabijać te straszne minuty - nic jednak nie mogło się równać z jego obecnością; jego, którego tak bardzo kochała i potrzebowała.

Kiedy kupili już nowe zabawki Batmana, stanęli na rogu Astor i St. Mark's Place, zastanawiając się na wyborem restauracji: ukraińska, hinduska, a może amerykańska?

- Lii? - zawołał nagle męski głos.

Zanim się odwróciła, w tym jednym ułamku sekundy, modliła się, MODLIŁA: Proszę, proszę, proszę, niech to będzie Spencer. Jednak kiedy odwróciła pełną oczekiwania twarz, zobaczyła przed sobą Joshuę.

Musiała wyglądać na mocno rozczarowaną, bo powiedział:

- Nie bardzo się ucieszyłaś na mój widok.

On natomiast wyglądał na bardzo zadowolonego z tego spotkania. Wszyscy, nieco skrępowani, uścisnęli sobie dłonie. Zapytał, jak się czuje.

- Świetnie.

- Naprawdę? - spytał. - Wcale mnie to nie dziwi. Bo wyglądasz rewelacyjnie.

Zadzwoił do niej wieczorem, lecz Lily poszła z Rachel potańczyć. Zostawił wiadomość, ale kiedy wróciła do domu, była zbyt zmęczona, by odsłuchać. Zrobiła to dopiero następnego ranka.

- Lii, mogę przyjść do ciebie? Chciałbym porozmawiać.

Była sobota, jak zwykle tego dnia sprzedawała swoje beznadziejne obrazki.

Zadzwoiła do niego i powiedziała, że jest zajęta. Odparł, że chce wpaść wieczorem tylko na chwilę. Koniecznie musi z nią porozmawiać. Umówili się.

Przyszedł pół godziny za wcześnie i chciał ją gdzieś zabrać.

Nie miała nic do roboty, miała już siebie dość, więc poszła z Joshua na kolację i do kina. Obejrzelili *Wielka heca Bowfingera* ze Steve'em Martinem.

331Joshua miał ochotę na jakiś dramat, lecz Lily powiedziała, że nie ogląda już takich filmów. „To był piękny sen”, powiedziała później w Republic, tajskiej knajpce na Union Square, lecz on nie zareagował. Rozmawiali tylko o nim, o jego przemyśleniach, uczuciach i pracy. Lily nie miała nic przeciwko temu i udawała, że słucha, lecz w końcu rzuciła zmęczonym głosem: „Potraktuj to jak polecenie. Masz biec po autostradzie, dopóki nie krzyknę: Cięcie!”. Wreszcie zaskoczył i zapytał, czy to cytat z *Wielkiej hecy*. Kiedy odparła, że tak, zapytał, czy ona też krzyczy „Cięcie!”. Uśmiechnęła się, jakby chciała mu dać do zrozumienia, że nareszcie pojął, o co chodzi. Spytał, czy chce wrócić do domu.

Kiedy weszli do środka i usiedli na kanapie („ładna kanapa!”), Joshua powiedział:

- Lii, naprawdę, wyglądasz rewelacyjnie. Masz takie krótkie seksowne włosy i niesamowite ciało.

- Dzięki - odparła. - Rak najwyraźniej mi służy. Zakaszłał zmieszany.

- Żartuję przecież.

- Ale tak poważnie: jest już całkiem dobrze?

- A kto to może wiedzieć?

Żałowała, że nie może sprawdzić ukradkiem wiadomości na sekretarce. A jeśli dzwonił Spencer? Z kanapy widziała migające światełko, lecz nie mogła odcyfrować numeru. Przecież mógł dzwonić.

Joshua dotykał jej włosów. Było późno, wypili kilka kieliszków wina, w mieszkaniu panował półmrok, bo światło paliło się tylko w kuchni.

- Gdzie jest dziś wieczór Shona?

- Nie wyszło nam. Ona nie była tobą, Lily.

- Ja też nie jestem sobą- odparła, wstając z kanapy. - Poczekaj, muszę... -

podeszła do migającej sekretarki. - To może moja babcia. Coś się mogło stać - przycisnęła guzik NEW. Proszę, proszę, Spencer.

Ale nie było żadnych wiadomości od niego. Tylko od babci. Nie mogła wrócić i

usiąść na kanapie obok Joshuy.

- Robi się późno, lepiej już idź.
- Mam iść? Dlaczego? Dopiero co przyszliśmy.
- Wiem, ale muszę wyjść.
- Jest już po północy, dokąd wybierasz się o tej porze? Milczeli przez chwilę.
- Josh, był taki czas - powiedziała w końcu - kiedy oddałabym wszystko za to, żebyś tylko mnie czule dotknął, mówił mi miłe rzeczy, żebym mogła

332

cię odzyskać. Odszedłeś, Amy zniknęła, ja zostałam całkiem sama. Ale tamten czas minął. Coś nas łączyło, ale teraz, kiedy wiem, że może być inaczej, nie potrafię nawet powiedzieć, że to był piękny sen. Proszę, idź już.

- Lily, wiem, że było ci ciężko i bardzo przepraszam...
- Nie masz pojęcia, jak mi było. Tamtej Lily, którą znałeś, już nie ma. Odeszła, Joshua. Zniknęła. Tak jak Amy. Nie znasz mnie już. Jestem dla ciebie obcą osobą. Nic nie rozumiał; był przekonany, że chodzi jej o sposób, w jaki się z nią rozstał. Poczula się nagle straszliwie zmęczona. Miała już dość stania, rozmawiania z nim, dość jego obecności w swoim mieszkaniu. Nie chciała mu niczego tłumaczyć i nie zrobiła tego.
- Naprawdę chcesz, żebym sobie poszedł?
- Niczego bardziej nie pragnę.

Wyszedł od razu. Ona wybiegła niedługo po nim. Biegła do mieszkania Spencera, od Alei C aż po Broadway. Nie było go w domu. Nikt nie otwierał, w oknach nie paliło się światło. Czekala, zadzwoniła do niego, wysłała mu wiadomość na pager, czekała pod drzwiami, poszła do Dagostino's po drugiej stronie ulicy i kupiła pół kilo czereśni, a potem stała, wpatrując się w drzwi. O drugiej nad ranem nadal nie zauważyła w środku żadnego ruchu.

Gdzie on się podziewa w sobotę o drugiej nad ranem?

Mogła robić w życiu wiele innych rzeczy, zamiast stać na środku Broadwayu i czekać na Spencera.

Mogła iść na wystawę sztuki w Dumbo na Brooklynie.

Na koncert rockowy na dachu.

Występy komików w Caroline's.

Do Webster Hall na tańce dla pań.

Rachel powiedziała, że może ją umówić z facetem o imieniu Martin. Był młody, świetnie zbudowany i bardzo tą randką zainteresowany. Poznali się zeszłej nocy, trochę ze sobą flirtowali. zaproponował wspólne wyjście do kina w przyszłym tygodniu. Na Union Square zaczęła grać *Ja, Irena i ja*. Tak, to dobry pomysł. Może kiedy będą stali po bilety, spotkają Spencera, który mieszkał tylko kilka przecznic dalej, z dziewczyną uczeponą jego ramienia. Uśmiechną się z zażenowaniem, przedstawią swoich partnerów, a on zapyta: „Jak leci, Lily?”. „Świetnie, a tobie?”. Będą stali przez kilka chwil z wzrokiem wbitym w chodnik. A potem on powie: „No to do zobaczenia”, i pójdzie dalej. Martin spyta: „Kto to był?”, a ona odpowie: „Nikt”.

333 Tylko ktoś, kogo kiedyś znałam. Wysoki mur zaczynał otaczać to, co z niej zostało. Otuliła się ramionami, powoli przeszła przez Broadway i ruszyła w stronę domu.

## SPOTKANIE NA TOMPKINS SQUARE

Spencer i Lily wracali pewnego wieczoru z Odessy, kiedy zaczął ich wychudzony mężczyzna. „Nie będę wciskał wam kitu - powiedział. Był podobny do Michaela Jacksona, wysoki, chudy jak szczapa, z trudem utrzymywał się na nogach. - Potrzebuję dolara na działkę. Możecie mi dać?”.

Spencer wyjął odznakę i podsunął mu pod nos. „Jeśli tego nie rzucisz, resztę życia spędzisz w więzieniu. Spadaj”. „Co ty mi tu pokazujesz, facet? - odparł mężczyzna, zupełnie jakby nagle stracił wzrok. - To nie jest dolar”. „Policja nowojorska. Spieprzaj, powiedziałem”. Spencer obronnym gestem objął Lily i lekko popchnął ją do przodu.

Szli dalej. „Lily, nigdy nie przechodź sama w nocy przez Tompkins Square, dobrze?”.

„A po co miałabym to robić?”.

To było kiedyś. Teraz było inaczej. O drugiej nad ranem przeszła przez Tompkins Square, usiadła na ławce i obserwowała kręcących się po alejkach bezdomnych. Rozmawiali ze sobą lub mruzcili coś pod nosem, przeszukiwali podarte kieszenie, poprawiali łachmany, szukali zgubionego banknotu lub odrobiny starego proszku, który mogli wciągnąć lub zjeść. Otaczał ich niespotykany nigdzie indziej zapach: zapach ludzkich ciał przesiąkniętych potem i fekaliami, niemytych od miesięcy, rozkładających się. Lecz mimo to nadal kręcili się po okolicy i żebrali, pragnąc wyciągnąć dolara nawet od policjanta. Nie siedziała tam długo. Wystarczyło jednak, by nagle zapragnęła znaleźć się w domu, w łóżku i zapomnieć o tym dniu, szesnastym dniu życia bez życia.

Kiedy wychodziła przez żelazną bramę, nagle poczuła, że ktoś popycha ją od tyłu. Odwróciła się i zobaczyła mężczyznę, który też wychodził z parku. Był tak blisko, jakby siedł tuż za nią. Poruszał się bardzo szybko,

334

prawie biegł i wpadł na nią z siłą, jaką z trudem było w stanie znieść jej wymęczone ciało, a potem chwycił za łokieć i już nie puścił. Lily krzyknęła. Nie dlatego, że o mało jej nie przewrócił. Przeraziła ją jego twarz rodem z najgorszego koszmaru, horroru, jakiego jeszcze nigdy nie oglądała. Śmierdział jak najgorszy menel, był okropnie brudny, ale jakoś znalazł pieniądze na normalne ubranie - miał na sobie dżinsy i czarną kurtkę - i na zgolenie włosów - był łysy, a nad brwiami miał wytatuowane słowa. Nie potrafiła ich odczytać, bo przerażenie zupełnie ją oślepiło. Jego podbiegłe krwią oczy były kryształowoniebieskie niczym odłamki wypolerowanego przez ocean szkła. Niemal przezrocyste. Pod nimi widniały duże siniaki. Jedno było zapuchnięte po jakiejś bójce, brakowało mu jednego zęba na przedzie; kształt nosa świadczył o niejednym złamaniu. Wyglądał przerażająco i okrutnie. Lily nie mogła oderwać wzroku od czarnego siniaka na jego szyi, lecz po chwili uświadomiła sobie, że jest to kolejny tatuaż: młot i sierp otaczający jego jabłko Adama. Otworzyła usta i stała sparaliżowana, podczas gdy on wpatrywał się w nią, dysząc ciężko. I nie puszczał jej. Jego usta wykrzywił grymas, ukazując zepsute zęby, a z ust popłynął ochrypły szept. Szepnął - a może tylko się jej zdawało - „Lily”.

Przez opuszczoną ulicę podbiegł do niej młody mężczyzna. „Hej, co się tu dzieje?” - zawołał. Mężczyzna puścił ją i uciekł, a ona, zaślepiona strachem, ruszyła pędem przed siebie. Nie oglądając się, biegła Aleją C przerażona, że tamten ją ściga.



Kiedy znalazła się w holu swojego domu, wbiegła na schody i drżącymi palcami poszukała klucza. Serce waliło jak oszalałe; czuła, że zaraz wybuchnie i rozerwie jej pierś.

Kiedy zamknęła drzwi na zamek i zaciągnęła łańcuch, podparła je jeszcze stolikiem od telefonu i jedynym krzesłem, jakie miała. Zadzwoiła na pager Spencera, poszła do łazienki i zwróciła czereśnie, które niedawno zjadła. O trzeciej nad ranem zadzwonił telefon. Chwyciła słuchawkę.

- Boże święty, Spencer! Nie masz pojęcia, co mi się przed chwilą przydarzyło.
- Lily, tu Tati.
- Wielkie nieba. Tati, wiesz, która jest godzina?

Dyszała ciężko i z trudem wypowiadała słowa. Nie potrafiła uciec przed ogłuszającym szeptem, który nadal dźwięczał jej w uszach.

- Na Maui jest dopiero dziewiąta wieczorem. Ale coś się stało. Przed godziną twoja matka zadzwoniła na policję i powiedziała, że ją pobiłem.

- Och, Tati. Jest pijana?

335- A jak myślisz? Nie słyszysz jej w tle? Lily z trudem słyszała jego słowa.

- A... pobiłeś ją?
- Lily!
- Już dobrze. Kiedy przyjadą, powiedz im to.
- A czy to dobra pora?
- Nigdy nie jest dobra. - Zamknęła oczy, przytrzymując się stolika.
- Chyba poważnie się skaleczyła. W wannie jest krew. Nie wiem, co się stało, ale nie może chodzić. Chyba upadła, wychodząc z wanny.

Lily nie odkładała słuchawki. Słyszała, że ojciec pali papierosa.

- Już tu są. Właśnie zadzwonili do drzwi. Stoję na tarasie tyłem do nich - nadal palił. - Zostań przy telefonie, Lily. Bądź ze mną.

Policjanci weszli na taras.

- Chcecie porozmawiać z moją córką? Ona wszystko wam powie.
- Ona nie jest w to zaangażowana - usłyszała męski głos.
- Jak najbardziej. Wie wszystko.
- Ma pan prawo zachować milczenie. Wszystko, co pan powie, może zostać wykorzystane przeciwko panu. I ma pan prawo do adwokata. Czy rozumie pan swoje prawa?

Ojciec powiedział, że tak. Oficer podszedł do telefonu.

- Nie możecie go aresztować - powiedziała Lily. - Jest niewinny. Przez całe życie tylko próbował jej pomóc.

Policjant nie chciał słuchać.

- Pani matka jest pijana. To widać. Ale ma paskudne rozcięcie z tyłu głowy i nie chce jechać do szpitala. Z trudem chodzi. Twierdzi, że to sprawka pani ojca, więc musimy go zabrać. Jeśli nie ma tysiąca dolarów na kaucję, spędzi noc w areszcie, a jutro stanie przed sędzią, który postawi mu zarzuty. Będzie musiał pojawić się w sądzie.

- Proszę mi pozwolić porozmawiać z matką. Allison podeszła do telefonu.

-Nie mogę teraz z tobą rozmawiać - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Lily dzwoniła jeszcze cztery razy. Allison powtarzała: Jestem teraz zajęta, nie mogę poprosić ojca, jestem zbyt zajęta, żeby go zawołać. A w końcu powiedziała:

- Przestań dzwonić i wyrzucać pieniądze, lepiej daj je swojej starszej siostrze.

Wreszcie usłyszała w słuchawce głos policjanta.

336

- To jasne, że musi pani tu przyjechać. On sobie sam nie poradzi. Czy ma tu jakichś przyjaciół, którzy mogą mu pomóc?

Do telefonu podszedł ojciec.

- Kiedy wyjdę jutro z aresztu, spakuję się i wyjadę stąd. Dłużej tego nie wytrzymam.

- Tati! - krzyknęła. - Powiedz im, że tego nie zrobiłeś. Powiedz im, że nigdy jej nawet nie dotknąłeś.

- Nie mogę. Nie chcą mnie słuchać. Mówią, że jeśli pojawiło się oskarżenie o pobicie współmałżonka, muszą mnie aresztować.

Głos mu drżał. Jeszcze nigdy za nic go nie aresztowano.

- To śmieszne. Przecież ona jest pijana!

- Nic ich to nie obchodzi. Lii, możesz z nimi porozmawiać? Nie wiem, co robić. Proszę, porozmawiaj z nimi. Czy jest tam ten twój znajomy detektyw? Może on z nimi porozmawia. Wiesz, że ja go nie osądzam. On tylko wykonuje swoją pracę.

- Nie ma go tutaj -». odparła łamiącym się głosem - ale ja z nimi porozmawiam. Ojciec oddał słuchawkę bardzo sympatycznemu mężczyźnie, który wysłuchał jej cierpliwie, wszystko rozumiał, ale powiedział, że ma związane ręce.

- Takie mamy prawo na Maui. Jeśli współmałżonek oskarża o pobicie, musimy aresztować oskarżonego. Proszę się nie martwić. Ojciec pojedzie na posterunek, zapłaci kaucję i będzie wolny. Ale nie może wracać do domu przez dwadzieścia cztery godziny. Proszę mu to wytłumaczyć, panno Quinn. On nie rozumie, że takie jest prawo.

- On rozumie - odparła Lily. - Tylko nie może w to uwierzyć.

- Lily, co ja mam zrobić? - usłyszała w słuchawce głos ojca. - Jak mam się z tego wyplątać?

Powiedziała mu, żeby się nie martwił, wszystko będzie dobrze.

- Potrzebuję pomocy - powiedział. - Nie radzę już sobie z twoją matką. To ostatnia kropla. Nie wiesz, przez co przeszedłem od czasu, gdy zaproponowałem, byśmy sprzedali apartament i wrócili na wschód. Nie masz pojęcia, jak wyglądało moje życie.

Mam pojęcie, chciała powiedzieć.

- Tati, nie jestem do tego najlepszą osobą. Ze wszystkich dzieci najmniej nadaję się do pomocy przy matce. Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

- Proszę cię, Lily, oni mnie aresztują. Słyszysz? Twoja matka nie może zostać sama, nie masz pojęcia, w jakim jest stanie. Musisz przyjechać.

337- Tati, jak mam przyjechać?

- Zapłacę za bilet, jeśli tym się martwisz. Mam teraz własne konto. Twoja matka nie do końca pozbawiła mnie męskości.

- Wcale się tym nie martwię...

- No to przyjeźdź. Porozmawiaj z matką, postaraj się jej pomóc, nawet jeśli wiesz, że ona tego nie chce. Daj jej to, czego potrzebuje. Na tym polega miłość. Leć pierwszą klasą, jeśli będziesz musiała. Ja zapłacę. Muszę już iść. Zamkną mnie i pobiorą mi odciski palców jak zwykłemu przestępcy. Teraz rozumiem, czego tak bardzo bał się Andrew.

Lily wyczuła wymówkę, nawet jeśli jej tam nie było.

Mój ojciec wali głową w mur. Jestem jego córką i też to robię.

- Lily, kocham cię - powiedział jeszcze ojciec, zanim zabrała go policja.

W nocy zadzwoniła matka.

- Coś ty zrobiła? Co? - powiedziała Lily. - Tati jest w więzieniu, mammo, w więzieniu! Co ty narobiłaś?

- On mnie bije.

- Mammo, policja odkryje, że kłamałaś i aresztuje ciebie!

- Nie potrzebuję twojej hysterii, zamknij się, zamknij, zamknij! -1 odłożyła słuchawkę.

Lily dzwoniła jeszcze sześć czy siedem razy, lecz Allison za każdym razem odkładała słuchawkę. Wreszcie powiedziała:

- Niedługo umrę i wszyscy będziecie szczęśliwi.

- Nie możesz tak iść do Boga, mammo - powiedziała Lily. - Na twoim miejscu poprosiłabym go o pomoc.

Allison odłożyła słuchawkę.

Lily prawie nie spała tej nocy. Z niespokojnego snu raz po raz budziło ją przerażające wspomnienie twarzy w parku, rąk mężczyzny. Czy on rzeczywiście jej dotknął? A może się myliła? Czy szedł za nią, stał na Broadwayu, obserwował, jak czeka na Spencera? Nie mogła w to uwierzyć. Następnego ranka siedziała w samolocie lecącym na Maui. Wzięła ze sobą tylko kilka letnich sukienek, kostium kąpielowy, szkicowniki i pustą walizkę na wypadek, gdyby ojciec chciał z nią wrócić do domu. Zabrała ją ze sobą, by go ocalić.

Spencer nie odezwał się przed jej wyjazdem.

Nie wiedziała nawet, jakimi liniami polecą. Poprosiła kierowcę taksówki,

338

by zawiózł ją na lotnisko Kennedy'ego i już na miejscu zdecydowała się na Deltę, która leciała najwcześniej. Kupiła bilet pierwszej klasy i po dwóch godzinach była już w powietrzu.

**58**

### **OSIEM DNI NA MAUI**

Lotnisko w Los Angeles jest mało sympatyczne, a w powietrzu unosi się mgła.

Nawet nie widać nieba, ale Lily uważała, że powietrze pachnie pięknie, poza tym jest ciepło.

- Skuli mnie kajdankami - powiedział George, gdy wysiadła z samolotu. - Bolało. Nikt ze mną nie rozmawiał. Nie mogłem zadzwonić wcześniej, bo byłem w areszcie! - Roześmiał się.

Ale wcale tam nie trafił, bo natychmiast wpłacił kaucję. Czyż cała ta historia nie była wystarczająco dramatyczna? Został aresztowany pod fałszywym zarzutem. Ale nie, musiał powiedzieć, że był w areszcie, choć trafił tylko na posterunek, i to na bardzo krótko.

A teraz udawał, że Lily przyjeżdża z wizytą.

- Na co masz ochotę? Zrobię kolację. Może krewetki? Robię pyszne krewetki z selerem.

- Jasne - odpowiada Lily bezmyślnie, choć nie znosiła selerów.

Co on w ogóle robi w domu? Była przekonana, że zakazano mu wracać do domu przed upływem dwudziestu czterech godzin. Ale skoro już tam jest, dlaczego się nie pakuje? Czy nie powiedział, że zaraz po powrocie spakuje się i wyjeżdża?

Ajednak wrócił, szykował kolację, palił, powiedział, że wyjedzie po nią na lotnisko, że pod żadnym pozorem nie wolno jej pożyczać samochodu, bo ma przecież mercedesa, który będzie do jej dyspozycji. Czy nie wiedział, że nigdy nie nauczyła się prowadzić?

Siedziała na fotelu kierowcy w samochodzie Spencera. Silnik był włączony. Ona opierała się plecami o kierownicę, a ramiona i nogi oplótła wokół Spencera.

Czy to można uznać za prowadzenie?

I'm ridin' in your car / you turn on the radio..."

<sup>11</sup> *Jadą twoim samochodem / Ty włączasz radio...* (Fire, Pointer Sisters).

339W samolocie Lily przeczytała niemal całą książkę *Zrozumieć alkoholika*, ale tak naprawdę nie chciała myśleć o matce, co, zważywszy na cel wizyty, zakrawało na ironię. Udało się jej, bo niemal przez cały czas myślała o Spencerze.

Ojciec czekał na nią na lotnisku. Nie widziała go od tak dawna. Posiwiął i utył.

Uścisnęli się mocno.

- Lily, musisz być przygotowana na to, co zastaniesz w domu. Matka jest w okropnym stanie.

- Rozumiem. Pokręcił głową.

- Nie sędzę. Jeszcze nigdy jej takiej nie widziałas. Jest cała posiniaczona i... - zawiesił głos. - Chyba coś się jej stało w palec u nogi. Musisz go obejrzeć i powiedzieć, co to jest.

- A co się stało?

- Nie wiem. Nie jestem lekarzem.

- A ja jestem?

- Nie, ale... byłaś chora. Znasz się na takich rzeczach. A tak nawiasem mówiąc, jak się czujesz?

Nie czekał na jej odpowiedź. Przez całą drogę wijącą się wśród wulkanicznych wzgórz Maui rozmawiali tylko o Allison. Przez całą drogę z...? Choć bardzo się starała, za nic nie mogła sobie przypomnieć nazwy lotniska, na którym przed chwilą wylądowała. Lakuhui? Walakui? Coštamlui?

W mieszkaniu ubrania wisiały dosłownie wszędzie, na podłodze wały się wilgotne ręczniki, umywalki były brudne od pasty do zębów i mydła, wszędzie pełno włosów, w powietrzu unosił się paskudny zapach.

Zanim Lily poszła do pokoju matki, George nalegał, by zjadła kolację. Sashimi z tuńczykiem na tarasie. Powiedział jej, że z posterunku wrócił do domu piechotą. Dwadzieścia kilometrów.

- Wiesz, jak to jest, gdy idziesz taki kawał i zastanawiasz się nad własnym życiem? To bardzo oczyszcza umysł.

- Tati, myślałam, że chcesz odejść. Pokręcił głową.

- Lily, ty nic nie rozumiesz. Nie mogę zostawić matki samej. Musisz ją zobaczyć, żeby w to uwierzyć.

- No to idę ją zobaczyć. Dzięki za sushi.

Matka leżała na swoim wysokim łóżku i poruszyła się, dopiero gdy Lily ją obudziła.

- No co, przyjechałaś pocieszać ojca? - spytała.

340

Z trudem wypowiadała słowa. Pozwoliła jednak Lily obejrzeć palec u nogi. O mój Boże, wykrzyknęła w duchu na jego widok. Złamanie było wieloodłamowe, spod

skóry wystawał kawałek kości, poduszczyk była niemal całkowicie rozcięta, a cały palec wykręcony. Z jakiegoś powodu stopa też nie wyglądała najlepiej, była opuchnięta, ale równie dobrze mogła to być tylko wina słabego oświetlenia. Lily próbowała zapalić światło, by lepiej się wszystkiemu przyjrzeć -przeraził ją widok wystającej kości -ale Allison nie chciała nawet o tym słyszeć.

- Mamo, kiedy to się stało?

- A skąd mam wiedzieć? - odparła powoli. - Gdy upadłam w wannie, a może gdy próbowałam z niej wyjść. Moja głowa jest w o wiele gorszym stanie. Rozciąłam ją. Chcesz zobaczyć?

Odwróciła się na bok i rozgarnęła włosy. Krew zaschła wokół rany, posklejała włosy. Trudno było dostrzec samą ranę.

- Musimy zabrać cię do szpitala.

- Nie! - zaprotestowała stanowczo. - Tylko nie szpital. Zabraniam.

- O czym ty mówisz? Musisz pojechać do szpitala.

- Nie ma mowy. Nie wszyscy kochają szpitale tak jak ty, Lily. Nie czują się tam równie dobrze. Nie potrzebuję szpitala. Głowa już mi nie dokucza, stopa też się zagoi. Ale chyba miałam wstrząs mózgu.

Lily zadzwoniła do jedyne go szpitala na wyspie, Maui Memoriał, i powiedziała, że chodzi o złamanie otwarte. Pielęgniarka skierowała ją do centrum nagłej pomocy przy South Kihei Road. Tam recepcjonistka w ogóle nie miała pojęcia, o co chodzi.

- Palec jest złamany czy nie? - spytała, żując gumę. Lily poprosiła o połączenie z lekarzem i nie ustępowała, mimo wyraźnej niechęci recepcjonistki.

- Jeśli to jest złamanie otwarte - powiedział doktor Tavakoli - to nie wiem, dlaczego skierowano panią tutaj. Musi pani jechać do szpitala. W takie złamanie bardzo szybko może się wdać zakażenie.

Allison powiedziała, że za nic nie pojedzie do szpitala, bo jest już późno. Była dziewiąta wieczorem. George, spędziwszy cały dzień na wypełnianiu dokumentów w biurze obrońcy publicznego, gotowaniu i opiece nad chorą żoną, też nie miał zbytnej ochoty jechać. Powiedział, że pojedą jutro.

Za dnia nie było się już nad czym zastanawiać. Pod skórą pojawiły się pęcherze. Cała stopa była brunatna i zaczęła wydzielać paskudną woń. Lily się skrzywiła.

341- Koniec, jedziemy do szpitala.

- Nigdzie nie jadę - odparła Allison.

- Zostaw ją w spokoju, Lii - powiedział George. - Nic jej nie będzie. Zostaw ją, palec sam się zagoi.

- Stopa jest cała brązowa - powiedziała Lily, kiedy zadzwoniła na pogotowie.

Przyjechali po pięciu minutach. Sanitariusze weszli do środka zupełnie tak, jakby znali to miejsce bardzo dobrze. Po kilkunastu sekundach Allison leżała na noszach w karetce. Odjechali, zanim Tati zdążył krzyknąć:

- Jedziemy tuż za tobą.

Zmęczona, przepracowana i znieczepiwiona pielęgniarka dyżurna spojrzała na Allison z niechęcią. Kiedy jednak zauważyła palec i pokrytą pęcherzami brązową stopę, natychmiast wezwała lekarza. Już w gabinecie Allison zaczęła płakać.

Powiedziała, że jej nieszczęsne życie dobiega końca. Jednak młody, szczupły doktor Aillard skoncentrował się wyłącznie na jej stopie.

- Czy wie pani, co to takiego zgorzel wilgotna? A gazowa? - spytał Lily. Odciągnął ją od łóżka, gdzie Allison wyla się w udawanym delirium.

Pokręciła głową.

- To coś znacznie gorszego od tak zwanej suchej gangreny, kiedy dochodzi do obumarcia tkanek. W tym przypadku z żyjących jeszcze komórek wycieka płyn, który zalewa okolice rany. Rozwijają się bakterie, stąd termin wilgotna gangrena. Przypadek pani matki jest jeszcze gorszy. Bakterie w umierających komórkach zaczęły produkować trujący gaz, który bardzo lubi obszary o niskiej zawartości tlenu, takie jak jej złamany palec. Wypełnione nim pęcherzyki pojawiają się na skórze... - Aillard urwał i spojrzał na Lily. - Ta trucizna rozprzestrzenia się bardzo szybko, wywołując wysoką gorączkę.

- Dlatego właśnie znalazła się w szpitalu! - wykrzyknęła Lily. - Proszę jej pomóc.

- Dobrze, że ją przywieźliście - powiedział spokojnie lekarz. - To ocaliło jej życie, ale... nie możemy uratować stopy.

Lily musiała usiąść.

- Podamy antybiotyki. Ale stopę musimy amputować. Proszę mi powiedzieć, co się dzieje z pani mamą? Czy ona pije?

Lily spojrzała na niego, nie mogąc wydusić ani słowa.

- Czy jest alkoholizką? - nie ustępował. Lily skinęła głową.

342

- Czy jest na tyle trzeźwa, żebym mógł jej to wytłumaczyć?

- Nie wiem, czyja będę kiedykolwiek na tyle trzeźwa, by pan mógł jej to wytłumaczyć - odparła Lily.

Wszystko nie trwało dłużej niż trzydzieści minut. Tati został na zewnątrz i palił papierosa. Kiedy wrócił, było po wszystkim.

- No tak - powiedział. - No tak. - Nie był w stanie wykrztusić nic więcej. - Musimy wracać do domu. Musisz być zmęczona. Powinnaś zadzwonić do brata i siostr. Powiedzieć im, co się stało z matką.

- I do babci.

- I do babci - mruknął, jakby się zastanawiał. - Skąd ty bierzesz tyle energii?

Jesteś na nogach już tak długo.

Przez ostatnie czterdzieści osiem godzin Lily spała trzy. Nie zrobiła badań, nie rozmawiała ze Spencerem. Chciała do niego zadzwonić, ale miała siły tylko na jedną rozmowę. Zadzwoniła do babci. Żadne inne wieści nie rozchodziły się równie szybko jak te przekazane babci.

W domu przeszukali garderobę Allison i znaleźli dużą, niemal pełną butelkę džinu. Tati powiedział początkowo, że powinni ją wyrzucić, ale potem zmienił zdanie. Doszedł bowiem do wniosku, że bez niej Allison nigdy nie złoży oświadczenia u prokuratora, by go uwolnili od zarzutów.

Schowal jednak butelkę w bagażniku mercedesa.

- To grzech wylewać taki dobry alkohol - powiedział.

Lily nie rozpoznawała żadnych porannych zapachów na Maui. George chciał iść na plażę i najwyraźniej już nie pamiętał o smutku, jaki odczuwał nocą, gdy błagał Lily, by przyjechała na Maui.

- Tati, musimy się zająć twoją sprawą, zanim zacniemy opalać się na plaży.

Trzeba też odwiedzić mamę.

Westchnął ciężko.

- W przeciwieństwie do wszystkich innych osób twoja matka nie potrafi cieszyć się z przyjemności, jakie niesie ze sobą starość. Na zderzaku jej samochodu na

pewno nie zobaczysz naklejki z napisem: „Szczęście to mieć wnuki”.

- A ty, Tati? Czy znajdę taką naklejkę na twoim zderzaku? Nie odpowiedział. Funkcjonował według czasu na Maui - był sześć godzin opóźniony w stosunku do reszty świata. Ubranie się i wyjście z domu zabrało mu sporo.

343 Lily zastanawiała się, czy zadzwonić do Spencera. Która jest teraz godzina w Nowym Jorku?

Tortury zaczęły się w supermarkecie.

- Po co to kupujesz? - spytał George, gdy Lily wrzuciła do wózka gotowane krewetki. - Kupiłem jej już wędzonego lososia.

Lily odparła, że wie o tym doskonale, ale matka lubiła czasem zjeść gotowane krewetki.

- Po co kupujesz mrożoną herbatę? Ona jej nie pije.

- Aleja piję. Może i ona będzie miała ochotę.

- Nie potrzebujemy mydła. Mamy mnóstwo w domu.

- Jeśli rzeczywiście tak jest, to dlaczego znalazłam dziś rano w łazience tylko mały kawałek?

- Powinnaś była zapytać. Mamy mnóstwo.

- To tylko dwie kostki. Powiem ci coś: jedną zabiorę ze sobą, a drugą możesz wyrzucić.

- Na tym właśnie polega cały problem - odparł ze złością. - Kupujemy mnóstwo rzeczy, których nie potrzebujemy, a potem musimy wszystko wyrzucać.

Drogi wzdłuż wybrzeża były zatłoczone. Jadąc na północ do szpitala, Lily zauważyła piękne drzewo z jasnoczerwonymi, podobnymi do rododendronów kwiatami. Pomyślała, że przed wyjazdem musi się dowiedzieć, co to za drzewo. Mogłaby je namalować. Oglądała Maui w jego wielkości, młodości, majestatycznym pięknie. Drzewo stało dumnie, zupełnie jak symbol stworzenia. W przeciwieństwie do drzewa, w chorobie Allison nie było ani krzty godności. Mówiła niewyraźnie, przez zaciśnięte zęby, jakby nadal była pijana.

Doktor Aillard, który doskonale porozumiewał się z pacjentami, wszedł do pokoju.

- Musisz przestać pić, panienko - powiedział bez żadnych wstępów. - I to od razu. Najwyższy czas spojrzeć prawdzie w oczy.

Wspaniale, pomyślała Lily. Dlaczego matce nie przyszło to do głowy?

Allison patrzyła z niedowierzaniem na obandażowany kikut. Lily też nie mogła w to uwierzyć, podobnie jak babcia, która poprzedniego wieczoru powtarzała raz po raz: to niemożliwe, niemożliwe, jak to się mogło stać, po co od razu amputować, nie mogli nic innego zrobić?

- Teraz już za późno, babciu, na rozważanie innych możliwości. Gaz ze zgorzeli zatruwał cały organizm.

344

- Wiem wszystko o trującym gazie - powiedziała Claudia. - Twoja matka cudem go w dzieciństwie uniknęła. Dlaczego musiał dopaść ją teraz, gdy jest starsza, w Ameryce? To niesprawiedliwe.

W obecności lekarza nie mogli mówić o stopie. Allison wpatrywała się tępo w miejsce, gdzie do wczoraj miała stopę. Zaczęli więc rozmawiać o picciu. To wcale nie było łatwiejsze.

Nawet nie dotknęła jedzenia, które jej przynieśli.

Do pokoju przyszedł inny lekarz, doktor Matthews, który wyjaśnił, że od tej pory pacjentka będzie pod jego opieką. Jednak ojciec przez cały czas próbował mu opowiedzieć historię swojego życia, rozwodząc się z najdrobniejszymi szczegółami nad pracą w „The Post” w Waszyngtonie, opowiadał, jak matka złamała sobie rękę, kiedy on spał. Ale był bardzo zmęczony i nie potrafił trzymać się tematu. Matthews powiedział, że Allison musi przejść detoksykację i że on się tym zajmie. Dodał, że morfina bardzo w tym pomoże, a to z kolei bardzo uszczęśliwiło Allison. Morfina!

Lekarz poinformował ich, że Allison będzie musiała zostać w szpitalu co najmniej przez dziesięć dni, dopóki nie zagoi się kikut. Na dźwięk tego słowa wzdrygnęli się, lecz on nawet tego nie zauważył. Gotów był potwierdzić opinię, że obrażenia Allison nie mają nic wspólnego z przemocą domową i obiecał, że postara się nakłonić prokuratora, by zrezygnował z postawienia zarzutów George'owi. Lily z trudem zrozumiała, o co mu chodzi, gdyż nadal myślała o kikucie. Potem z wielką ulgą pobiegła do telefonu. Matka musiała teraz tylko wycofać oskarżenie i policja zostawi ojca w spokoju.

W odpowiedzi na telefon Lily do biura prokuratora, w szpitalu pojawił się oficer policji.

- To była wyłącznie moja wina - powiedziała Allison. - Bardzo mi przykro. Lily nie uwierzyła własnym uszom. Musiała wykonać sporo telefonów, by nakłonić policjanta do wizyty w szpitalu i spisania zeznań Allison, i nie mieściło się jej w głowie, że wysiłki zostały tak szybko wynagrodzone. Musiała jednak długo spierać się z policjantem - Spencer byłby z niej dumny. To był teraz główny cel jej życia - sprawić, by Spencer był z niej dumny. Chciała do niego zadzwonić, lecz całe jej życie, nawet choroba, wydały się bardzo odległe, gdy znajdowała się po drugiej stronie świata. Teraz interesowały ją tylko zeznania i policyjne procedury. I zgorzel gazowa. Może gdyby tu została, kupiła dom, malowała mango, sushi i palmy, zapomniałyby o Spencerze, zapomniałyby o chorobie. Miała teraz pieniądze, mogła zamieszkać, gdzie tylko chciała, nawet nad oceanem, z dala od Spencera, z dala od Amy i Andrew leżących w jednym łóżku.

Kiedy policjant wyszedł, powiedziała matce, że wykazała się wielkim hartem ducha, mówiąc takie odważne słowa.

Allison się odwróciła.

- O odważnych słowach zapomina się natychmiast. A ja straciłam stopę - powiedziała. - Straciłam ją na zawsze.

Pomimo odważnych słów Allison, pomimo oferty doktora Matthews, że pomoże oczyścić George'a z wszystkich zarzutów, wieczorem ojciec zachowywał się jak wielki, zmęczony życiem pesymista.

- Lily, nigdy jej nie wyleczymy. Nigdy nie dojdzie do siebie. Teraz widzę to wyraźnie.

- Dlaczego więc tak bardzo się starasz?

Odparł, że robi to, bo najważniejszy jest nie cel, lecz walka. Gdzie już to słyszała? Krzewy rosnące wzdłuż drogi na plażę są czerwone i odcinają się ostro od nieba i wody. Oszalaniający widok. Lily zastanawiała się, dlaczego teraz dostrzega o wiele więcej niż podczas pobytu na Maui przed rokiem.

I te palmy. Pochylone nad wulkanicznym popiołem, składają hołd zachodzącemu



słońcu.

Słońce nie było czerwone, lecz żółte do ostatniej chwili, gdy chowało się w oceanie pomiędzy wyspą Lanai i wulkanem Maui.

Znalazła skałę na plaży, usiadła i obserwowała zachód słońca. Potem weszła do wody. Uzdrowiającej wody. Kłula ją w zmęczone oczy i usta pokryte pęcherzykami, które wywołał stres. W zetknięciu z wodą bolała ją cała twarz. I to było cudowne. Nareszcie coś czuła.

Woda była bardzo ciepła. Lily nie mogła się oprzeć poczuciu, że widzi barwy Maui tak wyraźnie i czuje wokół siebie kojącą wodę, bo jest tutaj ostatni raz w życiu.

Kiedy stąd wyjedzie, już nigdy nie wróci.

Nie spodobało się jej to przecucie. Kiedy wracała o zmierzchu do domu, starała się nie patrzeć na granatowe niebo.

George przygotował na kolację krewetki z grzybami, cebulą, pysznym sosem i ryżem. Lily zjadła dwie porcje, na deser lody, a potem zadzwoniła do matki do szpitala. Chirurg ortopeda jeszcze się nie zjawił i Allison powiedziała, że kikut jest cały przesiąknięty ropą. Trzeba koniecznie

346

zmienić opatrunek. Lily wyjaśniła, że w ten sposób wszystko się goi. Jej organizm sam próbuje sobie z tym poradzić. Allison nawet nie chciała o tym słyszeć.

Do George'a zadzwoniono z biura prokuratora.

- Powiedzieli, że mają raport policji i Kim Fallone, zastępca prokuratora, może nas przyjąć w poniedziałek - powiedział George. - Chcą wiedzieć, czy matka też może przyjść.

- Czy może? Skąd mam to wiedzieć? Będzie już mogła jeździć na wózku? Może wypiszają ze szpitala i odtrują. Nie mam pojęcia - odparła Lily. - Poza tym w sobotę wyjeżdżam.

George poprosił ją, by została do poniedziałku. Zgodziła się bardzo niechętnie.

Nocą niebo nad Maui jest usiane gwiazdami; wygląda to niemal sztucznie: są ich miliony i świecą bardzo jasno. Jednak najbardziej niesamowity jest Jowisz, wiszący tuż pod pomarańczowym księżycem Jowisz - wielki i jasny. Lily jeszcze nigdy w życiu czegoś takiego nie widziała i zastanawiała się, czy Spencer chciałby go kiedyś zobaczyć, bo on na pewno też nigdy tego nie widział.

Czwartek. Jak długo jeszcze zdoła to wszystko wytrzymać? Ojciec nadal był przygnębiony i załamany. Nic z tego nie wyjdzie, będziemy musieli na zawsze zostać na Maui, iść do sądu, będą nas sądzić, ciebie też, a ja nie wiem, co robić. To beznadziejne.

Zatrzymał się dwa metry przed pokojem Allison.

- Liliput - powiedział - zawrzyjmy umowę. Nakarmimy ją, zostaniemy jakąś godzinę, ale potem pójdziemy, dobrze?

Chciał pojechać na North Beach. Jemu też była potrzebna terapia.

Siedzieli i wysłuchiwali jęków i pokrzykiwań Allison. Słuchali, jak opowiada kłamstwa lekarzowi, a potem też ojcu, jakby nie znał prawdy. Sądząc po tępych wyrazie jego twarzy, trudno było poznać, czy rzeczywiście ją zna. W jej obecności staje się zupełnie inną osobą, pomyślała Lily. Chodzi w kółko, nie wie, co powiedzieć, nie wie, co robić, a potem chce jak najszybciej wyjść.

Matka opowiada doktorowi Matthewsowi, że z pićmi tak naprawdę ma problem dopiero od czterech miesięcy, bo jej mąż jest okropny, chce pojechać z tego

cudownego miejsca, a kiedy ona jest zdenerwowana i przygnębiona, alkohol pomaga się jej odprężyć.

- Kieliszek wina doskonale mi robi - mówi z lekkim uśmiechem.

347Doktor kiwa głową.

- Panie doktorze, czy mogę z panem porozmawiać na korytarzu?

Po wyjściu z pokoju Lily opowiada mu, że matka nie może zapanować nad piciem od blisko dziesięciu lat i że na Maui sprawy znacznie się pogorszyły. Ale wszystko nie zaczęło się tutaj i nie tutaj wymknęło się spod kontroli.

- Widział pan siniaki matki, kikut jej nogi? Na miłość boską, straciła stopę, myśli pan, że mogła doprowadzić się do takiego stanu w cztery miesiące?

- Pani córka powiedziała mi, że nie mówi pani prawdy - oświadczył lekarz po powrocie do pokoju. - Powiedziała, że pije pani o wiele dłużej, niż pani mówi.

Widząc spojrzenie matki, Lily przypomina sobie chwilę, gdy czuła, że nie jest człowiekiem: kiedy matka powiedziała jej, że Andrew nie chce z nią rozmawiać, bo związała się ze Spencerem, i kiedy Spencer ją porzucił.

- Moja córka nigdy nie widziała mnie pijanej. To on jej o wszystkim opowiada. - Wskazuje na George'a. - Ona kłamie, on też.

- Dlaczego mieliby mnie okłamywać?

- Proszę ich o to zapytać.

- Panie Quinn, pan jest przy żonie przez cały czas. Czy pije tak dużo, jak twierdzi wasza córka?

Tati zastanawia się przez chwilę, chrząka, by zyskać na czasie.

- Bardzo kocham moją żonę - mówi w końcu. - Chcę zostać i opiekować się nią.

Bez względu na to, jak bardzo jest chora. Ja nie odejdę. Zostawić ją teraz to jak porzucić sparaliżowaną osobę w środku lasu. Nie mogę tego zrobić. Ale nie jest tak źle, jak mówi moja córka. Jest o wiele gorzej. To koszmar, który trudno sobie wyobrazić.

Allison wybucha płaczem i patrzy na Lily, jakby chciała powiedzieć: gdybyś się nie wtrąciła, nie doszłoby do tego. Jej spojrzenie przekonuje Lily, że matka wcale nie tęskni za trzeźwością, nawet mimo utraty prawej stopy.

Teraz woła o morfinę, marudzi, że okropnie ją boli.

~ Wyjdź stąd - krzyczy do Lily. - Wyjdź i nigdy nie wracaj.

- Czego pani chce? - pyta doktor Matthews.

- Chcę zostać sama. To wszystko.

- Chcę pani zostać sama, żeby mogła pani pić?

- Nie.

- Chcę pani, żeby mąż panią opuścił? Chcę pani, żeby się spakował i wyjechał? O co pani chodzi?

348

Allison nie odpowiada. Nie może na niego spojrzeć, bo jest wściekła na Lily.

- A tak nawiasem mówiąc, nie zgadzam się z tym, co powiedział pani mąż - dodaje doktor Matthews. - Różnica między panią a sparaliżowaną osobą porzuconą w lesie polega na tym, że pani może sobie pomóc. Sparaliżowany człowiek nie może wstać.

- Proszę na mnie spojrzeć, ja też nie mogę wstać.

- Może pani. Może pani przyjąć pomoc i wytrzeźwieć. Ale rozumiem, że nie może pani zrobić tego sama. Mamy tu na Maui specjalne kliniki. Jedna z nich jest

bardzo dobra. Aloha House.

Allison kręci głową.

- Nie mogę pojechać do Aloha House.
- Dlaczego?
- Kocham mój dom, chcę tam wrócić.
- Żeby pić?
- Nie.

Przed wyjściem lekarz mówi jeszcze:

- Zalecę, aby po wypisaniu ze szpitala umieszczono panią w Aloha House.
- Dlaczego musiałaś otworzyć gębę? - krzyczy Allison do Lily.

Lily i ojciec siadają przy łóżku i próbują z nią rozmawiać. Ojciec jak zwykle opowiada swoje głupstwa. Uwielbia mówić, lecz Lily widzi teraz wszystko wyraźnie - kiedy dochodzi do rozmów o piciu Allison, on woli iść na plażę. Wie, że nie zrobili niczego, by uciszyć szalejąca w Allison bestię. Matka powie wszystko, żeby tylko wrócić do domu.

Tati, szczęśliwy, że widzi Allison trzeźwą, bo takiej nie miał okazji oglądać już od dłuższego czasu, mówi, że mama ma rację. Nie musi jechać do Aloha House. W domu nie ma alkoholu, a mama obieca, że nie będzie już piła. Allison szybko przytakuje: Tak, tak, nie będę już piła. Dostałam nauczkę i wzięłam ją sobie głęboko do serca.

- Wierzę jej - mówi Papi.
- Czy wy sobie ze mnie żartujecie? - woła Lily.
- Nie - odpowiada ojciec, kręcąc głową. - Lily, ja się na tym znam. Jestem starszy i mądrzejszy od ciebie. Więcej rozumiem.

To właśnie mają na myśli ludzie, gdy mówią, że alkoholizm to choroba całych rodzin.

Ten sam człowiek, który zaledwie przed czterema dniami mówił policji, że nie może sobie dać rady z żoną, który błagał Lily, by przyjechała na Maui, bo Allison zagraża sobie i jemu, który nie mógł nad nią zapanować, nie potrafił jej pomóc, teraz nagle uważa, że powrót żony do domu jest świetnym pomysłem.

- To ta sama kobieta, która dwa dni po amputacji stopy prosiła, żeby wywieźć ją do ogródka, by mogła wypalić cztery papierosy jeden po drugim - mówi Lily. - Kiedy wróci do łóżka, weźmie morfinę. Kobieta, która w przeszłości nigdy nie umiała nad sobą zapanować, nagle z własnej woli powstrzyma się od picia? Nagle w głowie Lily zapala się światełko. Jej matka ma rację! To George jest powodem, dla którego nadal pije. Owszem, tylko ona pozostaje w szponach nałogu, ale za każdym razem, gdy udaje się jej choć na chwilę wytrzeźwieć, nie tylko ona staje się pewna siebie - on też. Teraz mówi, że od tej chwili wszystko już będzie dobrze.

- Mama nigdy nie przyzna, że potrzebuje pomocy, ale to wielki krok. Pomogę jej wytrzeźwieć. Poradzę sobie. Każemy jej podpisać oświadczenie, że nigdy więcej nie tknie alkoholu. Jeśli to zrobi, sam zawiozę ją do szpitala - mówi George stanowczo.

Lily z trudem powstrzymuje słowa, które cisną się jej na usta: „Podpisać oświadczenie, świetne wyjście, to na pewno załatwi sprawę”.

Tak bardzo chciałaby porozmawiać o tym ze Spencerem, zapytać go o radę. Ale wyobraża sobie, co by powiedział. On nie ma cierpliwości do takich bzdur.

Doktor Matthews mówi Lily, że jej matka nie wyjdzie ze szpitala, jeśli nie zostanie przewieziona do Aloha House, a w szpitalu mogą ją trzymać tak długo, dopóki będzie wolne miejsce.

Lily z radością informuje rodziców, że matka nie będzie mogła wyjść ze szpitala.

- Dlatego nie chciałam tu przyjechać! Wiedziałam, że do tego dojdzie. Dlatego nie chciałam, żebyś otwierała gębę i paplała jak najęta. Za dużo gadasz, Lily. Twój ojciec mówi teraz niewiele, za to ty stanowczo za dużo i to przez ciebie wpakowaliśmy się w tę kabałę.

- Mamo, czy to mnie amputowano stopę? Czy to ja pośliznęłam się i uderzyłam głową o wannę? Czy to ja jestem cała posiniaczona, bo nie mogę przestać pić?

- O to właśnie mi chodzi - powiedziała Allison i zaczęła płakać. - Nikt mnie nie potrzebuje. Chcę umrzeć.

350

Ja cię potrzebowałam, mamo, pomyślała Lily, odwracając głowę. Teraz też jesteś mi potrzebna. Gdzie jesteś?

Teraz Lily wie już wszystko.

W drodze powrotnej ojciec jest na nią bardzo zły. Mówi, że niczego nie rozumie. Kiedy docierają do domu, dzwoni Allison. Mówi, że doktor Matthews wyjaśnił jej całą procedurę związaną z wypisaniem jej ze szpitala... nie wypuszczając, dopóki nie zwolni się miejsce w Aloha House... lecz z Aloha House może wyjść, kiedy tylko zechce!

Lily słucha uważnie.

- Gdy tylko zwolni się miejsce w Aloha House, pojedę tam, zaraz się wypiszę i jeszcze tego samego dnia wrócę do domu!

- Poczekaj, chcesz powiedzieć, że pojedziesz do Aloha House tylko po to, żeby wywieść w pole lekarzy?

- Znajdź mi numer Aloha House. Lily milczy.

- Poszukaj na podłodze książki telefonicznej. Znalazłaś w garderobie butelkę dżinu, to i książkę znajdziesz.

- Mamo, nie pozwolimy ci wyjść z Aloha House. Chodzi o to, żebyś sama chciała wyzdrowieć.

- To po co mam wychodzić ze szpitala? Tutaj dają mi morfinę, pigułki na sen.

Lily zrozumiała.

- Chcesz więc zamienić jedno uzależnienie na drugie? Dlaczego bierzesz morfinę, jeśli cię nie boli?

- Boli mnie okropnie. Nie zauważyłaś, że nie mam stopy?

- Siedzieliśmy dziś u ciebie przez pięć godzin. Ani razu nie jęknęłaś, nie poskarżyłaś się.

- Mam narzekać za każdym razem, kiedy mnie zaboli? - spytała Allison ze stoickim spokojem i odłożyła słuchawkę.

Morfina. Chce zastąpić jedno uzależnienie drugim. Morfina tłumi pociąg do alkoholu, lecz nie niszczy pociągu do kłamstw.

Te kłamstwa nigdy się nie skończą. Okłamuje lekarzy, policję, mnie, męża, nawet siebie samą.

Każde wypowiedane przez nią słowo dotyczące picia jest kłamstwem, a kłamstwo jest znakiem. Po tym właśnie można poznać alkoholika: po kłamstwie, ile pije; po alibi - to nie jego wina oraz po zaprzeczaniu: nie jest aż tak źle. Matka Lily jest

królową kłamstw. A co jest jej koroną? Naj-  
351większe z kłamstw: „Mogę przestać, kiedy tylko zechcę. W każdej chwili. Ale nie chcę. Dlaczego mam się poddawać takiej próbie? Po to, żeby was zadowolić?”. Kłamie o swoim picciu wszystkim, którzy chcą jej słuchać, a jeśli jej nie przyłapią, kłamie nadal. Prosi, by kłamać dla niej, a jeśli ktoś ją przejrzy, wścieka się, że zburzył jej domek z kart.

Każde wypowiedane przez nią słowo jest kłamstwem.

Woda, palmy, zupełny brak wiatru, przezroczysta falująca woda, Pacyfik. Przez miliony lat obmywał brzeg plaży Wailea, przynosząc jej faunę i florę, wieści o wojnach i śmierci. Tsunami i rafy koralowe, wszystko ukryte w kropkach słonej wody, która teraz obmywa twarz Lily. Boi się własnego cienia w wodzie, przekonana, że to rekin.

Z wody wyłaniają się wulkany. Łagodny Pacyfik niesie z sobą duchy wszechświata, obmywa twarz Lily duchem ery jurajskiej i duchem drugiej wojny światowej, duchem każdego wieloryba, który zakończył w nim życie. Czuje na twarzy wieczność.

Na brodzie i wargach pojawiła się paskudna wysypka. Nie czuje się najlepiej. Kiedy tylko wróciła z Papi ze spaceru, zemdląca na tarasie. Tati znalazł ją na podłodze.

George nie chce przesiadywać u żony w szpitalu. Kiedy ją odwiedza, wciąż wychodzi na papierosa, potem przysiadła na moment. Wizyty go irytują, chce, by jak najszybciej dobiegły końca. Lily uświadamia sobie, że ojciec jest bardzo dzielny, kiedy rozmawia z nią, paląc papierosa. Ale przy łóżku żony nie ma miejsca na rozmowy o niczym; jest tylko kikut i wywołana morfiną cisza. Chce wrócić do domu, napić się piwa i rozmawiać o niej.

Nie chce myśleć o tym, w jaki sposób Allison będzie sobie radzić po powrocie do domu. Jak będzie wchodzić po schodach? Jak poradzi sobie w łazience, wejdzie do wanny? Kiedy kikut się zablizni, jeśli tylko zechce, będzie mogła zamówić sobie protezę, ale do tego czasu?

Lily chce wrócić do domu. Zrobiła na Maui sporo szkiców, ale teraz chce już znaleźć się w swojej pracowni, poczuć na twarzy nowojorski wiatr, przejść się Drugą Aleją, zjeść kurczaka tikken masala w Baluchfs. Zamiast tego maluje tutaj. Przywiozła ze sobą olejne pastele, kilka akwareli. Pastelami olejnymi maluje niewielki obrazek przedstawiający plażę, wodę i zawieszzonego na niebie Jowisza. George maluje na swój własny sposób - gotuje. Szparagi z sosem

352

musztardowym, papają, mango i ananase i zawozi je do szpitala. Allison próbuje i się krzywi.

- Za dużo soli. Wie, że nie lubię słonych potraw.

- Mamo - protestuje Lily - o czym ty mówisz? Przecież widzi, jak mocno solisz ogórki.

- Ja mam specjalną sól.

- Wiesz co? Gdy ktoś ci coś ugotuje, powinnaś mu podziękować i zjeść wszystko.

Tati gotuje dla ciebie, bo cię kocha.

Allison mówi, że na świecie są ważniejsze sprawy niż napychanie żołądka.

Lily daje jej obrazek, który namalowała. Allison przygląda mu się przez chwilę.

- Rozumiesz już, o co mi chodzi? Codziennie świeci słońce. Czy może być coś

bardziej przygnębiającego?

Obrazek opada na kóldrę. Lily drze go na małe kawałeczki i wyrzuca do kosza.

- Co się z tobą dzieje? - pyta Allison.

Temat Aloha House został zarzucony. Doktor Matthews powiedział, że kiedy Allison za dwa tygodnie wyjdzie ze szpitala, będzie musiała codziennie chodzić na spotkania Anonimowych Alkoholików. Żadnych, jeśli" ani „ale". Allison kiwa głową, lecz Lily dobrze wie, co myśli: Obiecuję wszystko, byle tylko wyjść ze szpitala.

Po powrocie do domu Lily wylewa zawartość butelki schowanej w bagażniku mercedesa i napełnia ją wodą. Może matka uzna to za niezły żart?

Allison powiedziała Lily, że kiedy jeszcze była w domu, spała w ciągu dnia, potem się budziła i znów zasypiała. Budziła się na dobre o piątej rano, kiedy Tati jeszcze spał, nie miała nic do roboty, więc piła.

Piła o piątej rano! Tati nie miał o tym pojęcia i widać było, że jest wstrząśnięty siłą jej nałogu. Mimo że żył obok niej na co dzień, pozwalał jej pić dalej, patrzył, jak się zabija, i nie potrafił jej pomóc. Robił śniadanie i sashimi na lunch, gotował zupę na kolację, przynosił jedzenie pijanej żonie siedzącej na tarasie, podawał sztućce i serwetkę, a ona jadła, ledwo poruszając ustami, mówiła, że jest za słone, a potem krzyczała, że chce, by zdechł jak pies. Na koniec czołgała się do swojego pokoju, gdzie wlewała w siebie dżin.

George jest teraz rozgoryczony nie z powodu Allison, lecz Maui. Kocha 353tę wyspę tak, jak człowiek może kochać coś, co stało się dla niego źródłem bezdennej rozpacz. Dramatyzm, piękno, prymitywny wdzięk wyspy przypominają mu tylko o jego totalnej porażce i o tym, że nic, cokolwiek zrobił, nie mogło zadowolić Allison. Najpiękniejsze miejsce, jakie widział w życiu, zepchnęło jego żonę w otchłań piekła, jakiego jeszcze nie oglądał, i teraz ma już wszystkiego dość; również Maui, z jej kolorowymi ptakami, kwiatami i cudowną rzeźkością poranków.

Mówi, że ze swoich dwugodzinnych porannych spacerów - kiedy wszystko na świecie wydawało się nie tylko możliwe, ale łatwe do zdobycia - zapamięta tylko świadomość, że jego żona była pijana już od piątej rano, leżała na podłodze brudna, prawie nieprzytomna, mamrocząc coś pod nosem. Nie wie, jak sobie z tym poradzić, więc sobie nie radzi. Wychodzi na papierosa i długo nie wraca. Po południu przyszła opiekunka grupy AA, o imieniu Shelly, by porozmawiać z Allison.

- Ależ ja narobiłam bałaganu - powiedziała Allison, szczególnie mocno akcentując słowa „ja".

Może jednak jest jakaś nadzieja? Może dzięki amputacji stopy spojrzęła na wszystko z nowej perspektywy?

Jednak po dwóch godzinach opiekunka wyszła, a Allison powiedziała do Lily:

- Jestem chora! Cierpię na chorobę alkoholową.

Nie, chciała powiedzieć Lily. To ja jestem chora. Ale milczała.

- Jestem chora. Shelly mi powiedziała. Powiedziała mi, że bym nie miała zbyt wielkich wyrzutów, że bym się za bardzo nie obwiniała.

- A często to robisz, mamó? - spytała Lily obojętnie. - Obwiniasz się za cokolwiek?

- Shelly tak uważa. Powiedziała, że opowiadam tylko o swojej winie. Kazała mi

przestać traktować samą siebie tak ostro.

- Mamo, dlaczego opowiadasz Shelly takie rzeczy, skoro wiesz, że to nieprawda?

- To prawda, jestem chora!

- Nie o to mi chodzi. Przez całe życie obwiniałaś Tati za wszystkie swoje problemy. Dlaczego udajesz przed Shelly, że jest inaczej? Jak ci to niby ma pomóc? - Lily była oburzona.

- To przynosi przeciwny efekt - powiedziała filozoficznie matka. - Musimy patrzeć w przyszłość.

354

- Zgadzam się.

- Cierpię na chorobę, Lily! Jestem chora!

- Można ją wyleczyć. - Dlaczego tak trudno było jej wypowiedzieć te słowa? Próbowała nie dokonywać żadnych porównań.

Allison pokręciła gwałtownie głową.

- O to właśnie chodzi. Nikt nie może z tym nic zrobić. Wiesz, co Shelly powiedziała? Alkoholik zawsze pozostanie alkoholikiem. Ma w swojej grupie ludzi, którzy nie piją od pięćdziesięciu lat, a mimo to nadal nazywają siebie alkoholikami. Na to nie ma lekarstwa. Będą chcieli się napić aż do śmierci.

Lily słuchała uważnie.

- Do czego zmierzasz?

- To wszystko jest beznadziejne - powiedziała lekko Allison. - Nigdy nie zdołam się wyleczyć.

- Mamo, ile kończyn musisz jeszcze stracić, zanim w końcu przestaniesz pić?

Zostały ci jeszcze tylko trzy.

- Shelly powiedziała, że alkoholik na zawsze pozostanie alkoholikiem - powtórzyła Allison.

- To ty musisz podjąć decyzję. Shelly nie powiedziała ci, że nie możesz nad tym zapanować, prawda?

- Nie... Ale zawsze już będę chciała się napić. Shelly powiedziała, że często się potykamy, nikt nie może oczekiwać od nas doskonałości.

Dlaczego Lily zaczynała nienawidzić tej Shelly? Nie mogła chyba okazać się mniej pomocna. Zupełnie jakby udzieliła Allison rozgrzeszenia -jestem chora! Cierpię na chorobę alkoholową! To wymknęło mi się spod kontroli! Nie panuję już nad sobą i swoim nałogiem!

Kiedy wreszcie będę mogła wrócić do domu?

- Czy to twój pokój płaczu, mamo? - spytała Lily.

- Słucham?

Opowiedziała matce o miłym księdzu z katedry Świętego Patryka i o biskupie Rzymu.

Allison odwróciła się od Lily i wypowiedziała najbardziej niezrozumiałe słowa, jakie padły z jej ust w tym tygodniu.

- Nie, moje dziecko. To nie jest mój pokój płaczu. To tylko wilk wyjący u jego drzwi.

Plaża. Niedzielnny poranek. Niedzielnny poranek na Maui, powietrza nie mąci ani jeden podmuch wiatru, jest tak spokojnie. Lily szkicowała jak najęta: palmy, hamaki, klify, wulkany, doliny pomiędzy górami.

355Myślała o sobie i swojej matce. Większość z nas nie może znaleźć spokoju, bo

nie wiemy, z czym należy się pogodzić. Większość z nas nie jest szczęśliwa, bo nie żyjemy naszym wymarzonym życiem i nie wiemy, jak sobie z tym radzić. I tak pędzimy do przodu, przepraszając w duchu Ralpa Nadera<sup>12</sup>, przekłeci bez względu na prędkość.

Wszyscy powinniśmy mieć tyle szczęścia, by zachorować na raka. Ta myśl nie pojawiła się ot tak sobie.

Powinniśmy zachorować na raka, a potem cieszyć się, że udało nam się przeżyć. Rak -jakiż to oczyszczające doświadczenie.

Alkoholizm to już zupełnie inna sprawa.

Lecz bez alkoholu co pozostanie jej matce? Nic.

Uważa, że zmarnowała życie, widzi siebie jako starą kobietę. Przeszła już terapię, zażywała leki - zoloft, prozac. Nienawidzi swojego życia, a kiedy jest trzeźwa, odczuwa to szczególnie boleśnie. Nienawidzi siebie pijanej, a jeszcze bardziej trzeźwej. Przynajmniej, kiedy jest pijana, czas szybciej mija.

Mija aż do śmierci.

Każda chwila utraty przytomności przybliży śmierć - a to nie jest takie złe.

Dlaczego nie popełni samobójstwa? Jest tchórzem. Boi się Boga. Dlaczego ma ryzykować wieczne potępienie? Jeśli upije się i wjedzie samochodem do rowu, zawsze może udać przed Bogiem, że jej śmierć była przypadkowa. Myśli, że zdoła oszukać Boga takimi małymi komedyjkami. A ojciec, który przez całe lata próbował nas wystraszyć przez telefon możliwością jej śmierci - czy nie rozumie, że o to jej właśnie chodzi? Odrzuciła wszystkie elementy, które tworzą życie tu, na ziemi; odwróciła się do nich plecami. Wszystkie rzeczy, takie jak zakupy z katalogu, makijaż, podróże, czytanie książek, pisanie, współlistnienie z Bogiem, z przyjaciółmi, z szóstką wnuków! Nie chce wszystkich tych rzeczy, które uprzyjemniają życie, z wyjątkiem palącego gardła dżinu i zapomnienia, jakie zaraz po nim przychodzi. Jest chodzącym trupem. Jest martwa dla nas, martwa dla siebie samej.

„Mogę przestać, kiedy tylko zechcę. Ale nie chcę”.

<sup>12</sup> Ralph Nader - amerykański polityk i aktywista społeczny pochodzenia libańskiego. Zyskał rozgłos w 1965 r. po opublikowaniu książki *Unsafe at Any Speed* (Niebezpieczne przy każdej szybkości), w której obnażył nieodpowiedzialność przemysłu samochodowego w projektowaniu samochodów.

356

Tati przymyka oczy, bo chce wieść spokojne życie, a ona jest z tego bardzo zadowolona.

Mówi, że ojciec świetnie sobie bez niej poradzi. I Lily jest przekonana, że ma rację.

Będzie łowił ryby, surfował po internecie, oglądał transmisje sportowe, gotował. Jego dni nadal będą wypełnione. Z gotowaniem będzie może trochę gorzej, bo przyjemniej jest gotować dla kogoś. Przykro mu będzie oglądać wieczorem filmy, bo lepiej się ogląda w towarzystwie. Lily wie, że to prawda. I nie zamierza płakać na plaży w Maui. Nie, za nic. Rysuje oczy Spencera, gdy ogląda z nią ukochany *Dzień świstaka*, śmieje się. Nie będzie płakać.

Jej matka nie cierpi na alkoholizm. To tylko objaw choroby. Jej chorobą jest wielka czarna dziura w środku, którą alkohol pomaga zamknąć. A musi go wypić sporo, by tak się stało.



W szpitalu Lily siedzi przy łóżku Allison sama. Tati gdzieś wyszedł. Próbuje podejść ją łagodnie.

- Chcesz ze mną porozmawiać?

- Mam dość gadania.

Nie wie, co jeszcze może powiedzieć. Próbuje raz jeszcze.

- Chcesz mi o czymś opowiedzieć? Może o twoim... pokoju płaczu? Allison macha zniecierpliwiona ręką.

- Boże, gdzie ten papieros.

- Nie możesz tu palić, mam. Wszędzie są butle z tlenem.

- Och, wszystkie te przepisy. Nie mogę już tego znieść. Chcę wrócić do domu. I znów panować nad swoim życiem.

- Czy tak rzeczywiście było? - spytała Lily. - Panowałaś nad swoim życiem?

Milczenie. Allison patrzy na Lily uważnie.

- Czy nie pozwalasz sobie na zbyt wiele? Jak mam ci cokolwiek powiedzieć, skoro odnosisz się do mnie w ten sposób?

- Przepraszam. Powiedz mi.

- Zapomnij o tym teraz. Zapytaj o mnie babcię, jeśli chcesz. Wie więcej ode mnie. Dziwię się, że nic ci do tej pory nie powiedziała. Stale przecież kłapie o przeszłości.

- Co ma mi powiedzieć?

- Zapytam cię o coś i nie zaprzeczaj. Czasami chciałabyś, żebyś nie była twoją matką, prawda? Żebyś mogła mieć inną?

357 Lily milczy.

- Wiem, że tak jest. Wiem. Ze sposobu, w jaki mnie traktujesz, jak zawsze opowiadasz się po stronie ojca i brata. Wbrew zdrowemu rozsądkowi.

- Mamo...

- Lepiej bądź dla mnie dobra, Lily - szepcze matka, wymierzając w nią palec wskazujący, a potem poklepując się po piersi. - Bo jestem jedyną matką, jaką masz.

Czy naprawdę wyjeżdżam jutro? Dlaczego nie za minutę?

W poniedziałek rano szpital wyda Allison specjalną przepustkę, by mogła pojechać do biura prokuratora i porozmawiać z Kim Fallone. Jeśli zastępca prokuratora oddali zarzuty, wszystko skończy się dobrze.

W poniedziałek rano Allison na wózku rozmawia z Kim Fallone przez godzinę. Wcześniej próbowała przekonać Lily, że wszystkie obrażenia odniosła podczas tego jednego upadku w wannie. Zraniła się wówczas w palec, w głowę i posiniaczyła nogi i ręce. Allison, kiedy jest trzeźwa, za nic nie może pojąć, że się tak straszliwie poraniła. Prawdopodobnie w ten sam sposób próbowała opisać to pani Fallone.

Lily i George, czekając, chodzą tam i z powrotem po korytarzu. Z książki, którą ze sobą przyniosła, Lily się dowiedziała, że czerwone drzewo, które ją tak bardzo zachwyciło, nazywa się wianowłostka lub płonące drzewo. Bardzo się jej to podoba. Chce je kupić.

Uwielbia to drzewo.

Będę je malować na tysiąc różnych sposobów, gdy wrócę do domu. Będę malować Maui, ocean, wulkany.

- Pamiętasz tę butelkę dżinu, którą schowałem w bagażniku? Wyrzuciłem ją-

powiedział nagle Tati.

- To dobrze - odparła Lily z oczami ukrytymi za okularami przeciwsłonecznymi.
- Tak, ale jednego nie mogę zrozumieć. Wcześniej spróbowałem i z niewyjaśnionych zupełnie powodów dżin smakował jak woda.
- To rzeczywiście zaskakujące.
- To twoja sprawka?

Skinęła głową, powstrzymując uśmiech.

- Oszalałaś? To nie mnie musisz pilnować.
- Bałam się, że kiedy wyjadę, oddasz jej butelkę. Dałbyś jej jedno ze

358

swoich piw, gdyby cię poprosiła? Tylko jedno? Bo mówi, że to nic takiego i świetnie sobie z tym radzi?

Wyszedł, by kupić mrożoną herbatę. Bardzo mu zasmakowała po tym, jak przed sześcioma dniami nawrzeszczał na Lily, że ją kupiła.

Kiedy wrócił, powiedział, że gdyby dziesięć lat temu usłyszał od kogoś, że nie wolno mu będzie trzymać w domu wódki, dżinu ani koniaku, że nie będzie mógł pić piwa przed telewizorem, krzyknąłby, żeby ten ktoś poszedł do diabła i zabrał ze sobą takie życie, bo ono z życiem nie ma nic wspólnego.

- A teraz spójrz na mnie. Przeklinam swoje własne życie, wściekam się, że nie mogę robić rzeczy, jakie kocham, bo twoja matka nie potrafi nad sobą zapanować, a mimo to żyję dalej.

Lily milczała. Cóż mogła powiedzieć?

- A wiesz dlaczego?
- Bo ją kochasz.
- Tak - odparł George. - Ale co ona będzie robić po powrocie do domu? Nie będzie się mogła ruszać jak dawniej, a przecież potrafi tylko pić.
- To chyba tylko jeden z problemów - powiedziała Lily.
- Pyta mnie: Co ja mam teraz robić? Jak mogę odpowiedzieć na takie pytanie zadane przez dorosłą osobę? - George był wyraźnie zły. - Nie ma żadnych zainteresowań i nagle to moja wina? Ja jestem winny, że potrzebuje nieustannej uwagi?
- To nie będzie łatwe. Może zacznie robić na drutach?

Lily myśli jednak o czymś innym. Myśli o matce. O przepełniającym ją smutku, od którego nie może się uwolnić. Skąd ona to wie?

Kim Fallone zaleciła, by sprawę zamknięto bez wysuwania oskarżeń. Oznacza to jednak, że będą mogli otworzyć ponownie, jeśli w ciągu roku dojdzie do podobnego incydentu. Matka ocierała oczy. Wyglądało na to, że przyjęła tę decyzję z ogromną ulgą. Czy Bóg się nią opiekował? Czy pokazał, że jest obecny na Maui? Tak jak pokazał swoją obecność przy okazji loterii: 49,45, 39,24, 18, 1? Allison nie ma stopy, ale żyje. Bo jeżeli nie nią, to kim się opiekował?

- To ja się zbieram - powiedziała Lily. - Nie znaczy wcale, że było mi tu źle. Ale muszę się zbierać. Chcę zdążyć na samolot.

35959

### **A TERAZ - SPRAWA SPENCERA**

Kiedy Lily wróciła do Nowego Jorku, na sekretarce brakowało miejsca na wiadomości. Dziesięć z nich nagrał DiAngelo - dwie dziennie - przypominając, że koniecznie musi przyjść do szpitala. „Lily, miałaś robić badania co dwa tygodnie,

a nie widziałem cię od trzech. Zadzwoń do mnie". Z dwudziestu siedmiu wiadomości jedna, bardzo krótka, pochodziła od Spencera. Od nowego Spencera. „Cześć, tu Spencer". Tak jakby nie wiedziała. Ten oficjalny ton ma na celu stworzenie dystansu. Rozumiała. „Dzwoniłaś późno w zeszłą sobotę. Chciałem się tylko upewnić, że wszystko w porządku. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zadzwoń do mnie na posterunek pod...". Podał swój numer! Kim on jest? A ona? Usłyszała jeszcze jedną. „Cześć, tu... hmm... raz jeszcze Spencer. Zakładam, że wszystko w porządku, skoro nie miałem od ciebie żadnych wiadomości".

Dobra. W porządku. Mogą dalej grać w tę grę.

Czuła się tak bardzo zmęczona. Od czasu przyjazdu na Maui. Przeklęta zmiana czasu. Problemy z matką też nie pomogły. Ale włosy były ciemnorude i coraz gęstsze, miała na sobie kolorową sukienkę na ramiączkach, którą kupiła na lotnisku. Umalowała się, założyła kolczyki i poszła na komisariat.

Poinformowała Carla, który siedział w recepcji, że chce złożyć doniesienie w sprawie mężczyzny, który zaatakował ją na ulicy. Carl znał ją, przywitał się uprzejmie i podnosząc słuchawkę zapytał, czy chce, by przywołał detektywa o'Malleya. Podniosła wzrok, jakby chciała dostrzec przebywającego gdzieś na górze Spencera.

- Nie - odparła z powagą. - Czy skargami na włóczęgów nie zajmuje się detektyw Sanchez?

- Tak... ale....

- Świetnie sobie poradzi. Czy mógłby pan go przywołać? Proszę mu powiedzieć, że Lily Quinn chciałaby złożyć doniesienie.

Na trzecim piętrze sprawy przedstawiały się następująco: Sanchez odebrał telefon, wysłuchał uważnie, spojrzął na Spencera, który w biurze Whittakera pił poranną kawę. Odłożył słuchawkę, zapukał, zapytał, czy mógłby prosić na chwilę Spencera i zniżając głos, powiedział:

360

- Zadzwoił do mnie z dołu Carl i powiedział, że ktoś chce złożyć doniesienie w sprawie włóczęgostwa.

Spencer poklepał go po plecach.

- Detektywie Sanchez, bardzo dziękuję, że zwrócił mi pan uwagę na zakres swoich obowiązków. Dobra robota. Zajmij się tym.

- Ta młoda kobieta mówi, że nazywa się Lily Quinn. Carl powiedział, że prosiła wyraźnie, żebym to ja się tym zajął.

Tym razem Spencer nie poklepał go po plecach. Spojrzął tylko na Sanchez'a i powiedział:

- No dobra, mądralo, wracaj do siebie.

- Tak też myślałem - odparł Sanchez.

Kiedy zszedł po schodach, stała spokojnie, opierając ręce na blacie recepcji. Serce waliło jej jak oszalałe i wiedziała, że gdyby nie oparła rąk, drżałyby. Na zewnątrz udało się jej jednak zachować pozory spokoju. On wyglądał... no cóż, jak Spencer. Ciemny garnitur, biała koszula i niebieski jedwabny krawat. Włosy prawie mu odrosły. Był jednak wymizerowany, ponury i bardzo blady. Cienie pod oczami też były ciemniejsze, niż zapamiętała. Podeszedł do niej.

- Witaj, Lily - powiedział.

- O, cześć - rzuciła nonszalancko. - Myślałam, że sprawami włóczęgów zajmuje

się detektyw Sanchez.

- Mam go tu ściągnąć? - spytał.

- Nie, nie.

- No to w porządku.

Przez chwilę stali w milczeniu.

- No więc co się dzieje? - spytał.

Lily musiała odwrócić wzrok, bo wyczuła drżenie w jego głosie. Nagle pomysł nie wydał się jej już tak dobry, zwłaszcza że Carl nie spuszczał z nich wzroku.

- Lily - powiedział teraz Spencer - nie sprzedawałaś obrazów w sobotę. Moja żona pojechała na Ósmą, żeby zobaczyć, co masz, ale cię nie było. Żałuj, że nie widziałaś, ile ludzi czekało na ciebie.

- W tę sobotę będę na pewno.

- Masz coś ładnego?

- Mam kilka zaskakujących rzeczy.

- Chodź na górę, opowiesz mi, co się stało.

361Weszli na trzecie piętro. Zmęczyła się o wiele bardziej, niż tego pragnęła, i przez cały czas musiała trzymać się poręczy.

Spencer otworzył drzwi do pokoju dochodzeń specjalnych. Nagle zjawił się Gabe McGill.

- Cześć, Lily. - Spojrzał na Spencera, potem znów na nią. - Świetnie wyglądasz.

Jesteś taka opalona.

- Tak, miałam krótkie wakacje.

- Dobrze się bawiłaś?

- Doskonale.

Cała ta wymiana zdań odbyła się w obecności Spencera, który stał z niewzruszoną twarzą. Whittaker patrzył na nich przez szybę oddzielającą jego biuro. Sanchez, Smith, Orkney też przyglądali im się uważnie. Czy ktoś tutaj nie wie, że kiedyś byli razem?

Spencer przysunął dla niej krzesło, a sam usiadł za biurkiem.

- Co się dzieje? - spytał cicho. - Co u ciebie? Jak się czujesz?

- Świetnie - odparła głośno. - Wspaniale. - Miała nadzieję, że zza biurka nie zauważył, jak wykręca palce. - Przyszłam, bo chciałam złożyć doniesienie w sprawie mężczyzny, który zaatakował mnie na Tompkins Square.

Westchnął i otworzył notes.

- Dobra. Kiedy to było?

- W zeszłą sobotę.

- O której? Zakaszłała zmieszana.

- Około drugiej trzydzieści nad ranem.

- Byłaś na Tompkins Square o drugiej trzydzieści nad ranem?

- Może było tuż przed trzecią, nie jestem pewna. Nie patrzyłam na zegarek.

- Trzeba dbać o swoje bezpieczeństwo. To konieczność.

- Wiem.

- Co robiłaś poza domem o drugiej trzydzieści?

Nie mogła mu powiedzieć. Nie mogła nawet na niego spojrzeć.

- Wracałam do domu - powiedziała. Nagle ścisnęło jej gardło wspomnienie nocy, kiedy stała, wpatrując się w jego ciemne okna i zastanawiając się, gdzie też może być o drugiej nad ranem, oraz czereśni, które zalegały jej w żołądku.

Przypomniała sobie, jak bardzo była wtedy żalosa. Zerwała się z krzesła. -  
Przepraszam, ale muszę już iść. Masz dość informacji?  
Spojrzał na notes.

362

- Nic nie mam. Jaki mężczyzna? Co zrobił? Czy możesz go opisać?  
- To chyba mógł być... Mi... - zawahała się. - Wydaje mi się, że mnie śledził.  
Muszę już iść, detektywie - powiedziała. - Coś sobie przypomniałam, muszę  
pędzić. Nie mogę uwierzyć, że jest już tak późno.  
- A która jest godzina?  
- Muszę już iść.

On też wstał, ale Lily już wychodziła, rozpaczliwie próbując zapanować nad sobą,  
by spokojnie wyjść z komisariatu. Nie poszedł za nią. I bardzo dobrze, bo na  
pewno nie chciałby oglądać spokojnej, opanowanej Lily, jaką znał, płaczącej teraz  
jak dziecko, ze smugami tuszu na policzkach. Powstrzymując płacz, wyszła na  
Drugą Aleję, by złapać taksówkę. Pojechała do Paula i Rachel.

Resztę dnia spędziła poza domem - najpierw z przyjaciółmi, potem zjadła lunch,  
wpadła do księgarni, kupiła czasopisma dla babci. Kiedy Paul i Rachel skończyli  
pracę, poszli razem do hinduskiej restauracji, a potem do niej do domu, gdzie jak  
zawsze popijali margaritę, rozmawiali o miłości i niezmiennie o Amy. Lily czuła  
piasek pod powiekami. Była tak zmęczona, że nawet nie miała siły płakać.  
Mieli też nowy temat do rozmów - Milo.

O jedenastej zadzwonił domofon.

Ach. Najpierw wyczuło go jej serce.

- Ciekawe, kto to może być? - spytała Rachel. Lily nacisnęła guzik.  
- Kto tam?  
- Ja.

Lily odwróciła się do przyjaciół, by powiedzieć im, żeby lepiej już sobie poszli, ale  
zobaczyła, że sami zaczynają się zbierać. Otworzyła drzwi. Na schodach stał  
zdyszany Spencer.

- Pamiętasz Paula i Rachel, prawda? - powiedziała idiotycznie. Skinął im głową  
bez słowa.  
- Chcesz wejść?

Spojrzał na nich i nie zrobił kroku.

- My już wychodzimy - powiedział Paul. - Rach, pośpiesz się. Jak długo można  
wkładać buty?

Spencer nie wszedł, dopóki nie pożegnali się z Lily i nie zaczęli schodzić na dół.  
Dopiero potem wszedł i zatrzasnął drzwi. Spojrzał zdziwiony na barykadę ze  
stolika i krzesła, ale jego dłonie już były wplątane w jej włosy, a usta spoczywały  
na jej ustach. Pachniał alkoholem. Lily od razu to za-

363  
Weszli na trzecie piętro. Zmęczyła się o wiele bardziej, niż tego pragnęła, i  
przez cały czas musiała trzymać się poręczy.

Spencer otworzył drzwi do pokoju dochodzeń specjalnych. Nagle zjawił się Gabe  
McGill.

- Cześć, Lily. - Spojrzał na Spencera, potem znów na nią. - Świetnie wyglądasz.  
Jesteś taka opalona.

- Tak, miałam krótkie wakacje.

- Dobrze się bawiłaś?

- Doskonale.

Cała ta wymiana zdań odbyła się w obecności Spencera, który stał z niewzruszoną twarzą. Whittaker patrzył na nich przez szybę oddzielającą jego biuro. Sanchez, Smith, Orkney też przyglądali im się uważnie. Czy ktoś tutaj nie wie, że kiedyś byli razem?

Spencer przysunął dla niej krzesło, a sam usiadł za biurkiem.

- Co się dzieje? - spytał cicho. - Co u ciebie? Jak się czujesz?

- Świetnie - odparła głośno. - Wspaniale. - Miała nadzieję, że zza biurka nie zauważył, jak wykręca palce. - Przyszłam, bo chciałam złożyć doniesienie w sprawie mężczyzny, który zaatakował mnie na Tompkins Square.

Westchnął i otworzył notes.

- Dobra. Kiedy to było?

- W zeszłą sobotę.

- O której? Zakaszła zmieszana.

- Około drugiej trzydzieści nad ranem.

- Byłaś na Tompkins Square o drugiej trzydzieści nad ranem?

- Może było tuż przed trzecią, nie jestem pewna. Nie patrzyłam na zegarek.

- Trzeba dbać o swoje bezpieczeństwo. To konieczność.

- Wiem.

- Co robiłaś poza domem o drugiej trzydzieści?

Nie mogła mu powiedzieć. Nie mogła nawet na niego spojrzeć.

- Wracałam do domu - powiedziała. Nagle ścisnęło jej gardło wspomnienie nocy, kiedy stała, wpatrując się w jego ciemne okna i zastanawiając się, gdzie też może być o drugiej nad ranem, oraz czereśni, które zalegały jej w żołądku.

Przypomniała sobie, jak bardzo była wtedy żalosna. Zerwała się z krzesła. -

Przepraszam, ale muszę już iść. Masz dość informacji?

Spojrzał na notes.

362

- Nic nie mam. Jaki mężczyzna? Co zrobił? Czy możesz go opisać?

- To chyba mógł być... Mi... - zawahała się. - Wydaje mi się, że mnie śledził.

Muszę już iść, detektywie - powiedziała. - Coś sobie przypomniałam, muszę pędzić. Nie mogę uwierzyć, że jest już tak późno.

- A która jest godzina?

- Muszę już iść.

On też wstał, ale Lily już wychodziła, rozpaczliwie próbując zapanować nad sobą, by spokojnie wyjść z komisariatu. Nie poszedł za nią. I bardzo dobrze, bo na pewno nie chciałby oglądać spokojnej, opanowanej Lily, jaką znał, płaczącej teraz jak dziecko, ze smugami tuszu na policzkach. Powstrzymując płacz, wyszła na Drugą Aleję, by złapać taksówkę. Pojechała do Paula i Rachel.

Resztę dnia spędziła poza domem - najpierw z przyjaciółmi, potem zjadła lunch, wpadła do księgarni, kupiła czasopisma dla babci. Kiedy Paul i Rachel skończyli pracę, poszli razem do hinduskiej restauracji, a potem do niej do domu, gdzie jak zawsze popijali margaritę, rozmawiali o miłości i niezmiennie o Amy. Lily czuła piasek pod powiekami. Była tak zmęczona, że nawet nie miała siły płakać.

Mieli też nowy temat do rozmów - Milo.

O jedenastej zadzwonił domofon.

Ach. Najpierw wyczuło go jej serce.

- Ciekawe, kto to może być? - spytała Rachel. Lily nacisnęła guzik.
- Kto tam?
- Ja.

Lily odwróciła się do przyjaciół, by powiedzieć im, żeby lepiej już sobie poszli, ale zobaczyła, że sami zaczynają się zbierać. Otworzyła drzwi. Na schodach stał zdyszany Spencer.

- Pamiętasz Paula i Rachel, prawda? - powiedziała idiotycznie. Skinął im głową bez słowa.

- Chcesz wejść?

Spojrzał na nich i nie zrobił kroku.

- My już wychodzimy - powiedział Paul. - Rach, pospiesz się. Jak długo można wkładać buty?

Spencer nie wszedł, dopóki nie pożegnali się z Lily i nie zaczęli schodzić na dół. Dopiero potem wszedł i zatrzasnął drzwi. Spojrzał zdziwiony na barykadę ze stolika i krzesła, ale jego dłonie już były wplątane w jej włosy, a usta spoczywały na jej ustach. Pachniał alkoholem. Lily od razu to za-  
363uważyła, bo zdarzyło się to po raz pierwszy. Dziś wieczór po raz pierwszy wyczuła alkohol w jego oddechu. Ścisnął ją tak mocno, że nie mogąc nic powiedzieć, podniosła rękę w górę.

Pociągnął ją na kanapę i ukląkł przed nią.

- Gdzie byłaś? - spytał ochryple.
- Ja? Gdzie ty byłeś?
- Tutaj. Przychodziłem codziennie i dzwoniłem do drzwi.
- Spencer...
- Och, Lily, nie płacz...
- Boże, Spencer...

Kochali się na kanapie przed telewizorem. Na ekranie migał bezgłośnie *Samotny facet*.

- Ile jeszcze cukru, Lii...
- Więcej, Spencer, więcej...
- Ile jeszcze...
- Dużo, bardzo dużo... - przyciskała mocno dłonie do jego nagich pleców, czuła jego usta na swojej szyi, całowała go i płakała, wcale tego nie kryjąc.
- Ciii, Lily, ciii.
- Teraz rozumiem - powiedziała. - Dopiero teraz rozumiem, co wtedy chciałeś mi powiedzieć. To wcale nie mówił Steve Martin, lecz ty. Do mnie. „Sięgają ci do gardła, wyrywają serce, potem rzucają je na podłogę, depczą szpilkami, plują na nie, wrzucają do piekarnika i pieką na miękko. Potem kroją na małe kawałeczki, kładą na grzance i podają ci z uśmiechem, oczekując, że powiesz: Dzięki, kochanie. To było pyszne”.
- Lily, daj spokój. Nie.
- Tak, Spencer.

Wziął ją w ramiona i zaniósł do sypialni.

- Schudłaś - powiedział.
- Dobrze, źle czy obojętnie?
- Obojętnie. Podobasz mi się, jaka jesteś.

Poszedł po wodę i przyniósł ją do sypialni. Całował ją i pieścił, teraz nieco

delikatniej, przesuwał po niej pachnącymi whisky ustami, otwierając drżącymi od whisky dłońmi, doprowadzając do szaleństwa, pieszcząc, dopóki prawie nie zemdląca. Potem kochał się z nią, aż niemal zupełnie opadła z sił. Z nim samym jednak coś było nie tak, nie mógł skończyć, wciąż był twardy. Dała mu wszystko, a on nadal nie mógł skończyć.

364

- Spencer? - szepnęła. Jej jęki niosły się przez otwarte okno na podwórko, gdzie koty nasłuchiwały z uwagą. - Spencer, co się z tobą dzieje?

- Nic - odparł. - To tylko whisky. Nie mogę dojść po whisky.

- No cóż, ma pan ostatnią okazję, bo ja już dłużej nie mogę.

- Będziesz musiała - szepnął. Koty zamiauczały na podwórku.

- Spencer... zlituj się nade mną... Nie mam tyle czasu... Wreszcie się zlitował.

Znieruchomiał.

Przytulił ją mocno, a ona zaczęła płakać.

- Przepraszam, Lily.

- Nie przepraszaj. Nie masz za co.

- Mam.

- Nie masz! - powtórzyła. - To ja zachowałam się jak ostatnia egoistka. Zawsze ja byłam najważniejsza. Ja, Andrew, Amy, ja, ja, ja. Dla ciebie nigdy nic nie zostawało. Okazałam się okropną przyjaciółką, okropną dla wszystkich. Odsunęła się lekko, by spojrzeć mu w twarz. Leżeli, drżąc na całym ciele. Pocałowała go lekko.

- Spencer - szepnęła. - Przepraszam. Patrzył na nią, jakby nic nie słyszał.

- Słyszałeś, co powiedziałam?

- Tak. - Nie uśmiechał się. - Gdzie byłaś? Tęskniłem za tobą.

- Poleciałam na Maui. Chciałam odetchnąć. Nic nie powiedział.

Zacisnęła dłoń w pięść, uderzyła go w plecy i wybuchnęła płaczem.

- Jak mogłeś nie dzwonić do mnie tak długo? Jak mogłeś o mnie zapomnieć? Nic cię już nie obchodzi?

- Bóg jeden wie, że bardzo.

- Jak mogłeś nie zadzwonić? - szlochała. - Nie masz pojęcia, co do ciebie czuję?

- Mam. - Wachlował dłońią jej plecy. - Dlatego właśnie nie dzwoniłem. Nie zasługuję na ciebie.

Obejmowała go mocno. Zapytał, czy chce pogadać. Powiedziała najpierw, że nie, potem, że tak, co tylko chcesz. Jeśli chcesz pogadać, to dobrze. Mnie jest obojętne. Chcę tylko, żebyś był blisko.

365- Lily, proszę... - powiedział, odwracając się.

Milczeli przez kilka minut, godzin? A potem zaczęła mówić.

Opowiadała mu o Maui, aż w końcu nie mógł już tego dłużej znieść. Zamknął oczy, zakrył twarz ręką. Odsunął się i powiedział, żeby już nic więcej nie mówiła. Nie miała pojęcia, co się stało.

- Nie opowiadaj mi więcej o swojej matce - powiedział w końcu. - Nie mogę tego słuchać. Wiem o niej wszystko.

- O czym ty mówisz?

Powiedział coś bardzo cicho. Chyba się przesłyszała?

- Pijesz? - usiadła gwałtownie. - O czym ty mówisz? Przecież ty nie pijesz?

- Piję-



- Spencer, nigdy nie widziałam, żebyś pił.
- A jednak. Pokręciła głową.
- Przestań.

Nie powiedział ani słowa, tylko usiadł na łóżku i podciągnął kolana pod brodę.

- Spencer - roześmiała się nerwowo. - O czym ty mówisz? Zaciśnięła usta.
- Ty nie pijesz. Na pewno nie. Moja matka pije. I wiem, jak to jest. Właśnie od niej wróciłam. Nie widziałeś jej z kością wystającą z nogi przez kilka dni, z odpadającą stopą, bo była zbyt pijana, by zauważyć różnicę pomiędzy raną a zakażeniem. Nie chciała jechać do szpitala, bo nie chciała wytrzeźwieć, nawet jeśli oznaczało to utratę stopy. Ty masz pracę, swoje życie i wszystkie kończyny... Przerwał jej, kręcąc głową.

- Nie mam życia. Mam pracę, zgadza się. Od poniedziałku od piątku, a potem mam alkohol. Tak wygląda moje życie. A przynajmniej tak wyglądało, dopóki się nie zjawiłaś.

- Pijesz w czasie weekendów?
- Nic innego nie robię. Milczeli oboje.
- To nie może być prawda.

Przez otwarte okno wpadł czerwcowy wiatr i miauczenie kotów.

- O mój Boże - powiedziała w końcu. Próbowała jakoś to wszystko poukładać. - Nic nie rozumiem. To w niczym nie przypomina picia mojej

366

matki. Pracujesz, masz odpowiedzialne stanowisko. Funkcjonujesz normalnie, to brzmi zupełnie jak...

- Masz rację. Nic nie rozumiesz.

Wróciła myślami do wszystkich weekendów, jakie z nią spędzał. O jego milczeniu, pozornej nieobecności, paskudnych nastrojach, o wszystkim, co widziała, lecz tak naprawdę nie dostrzegając.

- Ale przez pięć dni w tygodniu nie pijesz.
- Nie.
- A kiedy jesteś tutaj, nawet dłużej.
- Tak.

- Nigdy wcześniej nie poczułam alkoholu w twoim oddechu - powiedziała, czując nagle ukłucie pożądania w okolicy krocza. Zawstydzona się. Opowiadał jej o swoich najgorszych demonach, a ona tylko jedno ma w głowie. To właśnie miała na myśli, mówiąc, że go zawiodła. Czy mężczyźni też tak robią? Ty odsłaniaasz przed nimi duszę, a oni myślą tylko o tym, by ściągnąć ci majtki? -

- Nigdy wcześniej nie piłem przed spotkaniem z tobą.
- Dlaczego napiłeś się dzisiaj, we wtorek? Dla kurażu? Uśmiechnął się lekko.
- Wcale się ciebie nie boję, Liliput. Odkąd przestałem cię widywać... alkohol wziął nade mną górę.

Naprawdę? Patrzyła na niego tak, jakby chciała go namalować.

- Spencer, czy to picie to coś poważnego?
- Co masz na myśli?
- Czy możesz przestać? - Wcale nie chciała tego powiedzieć. Słowa same spłynęły jej z ust.
- Nie mogę.
- Nie wierzę ci.

- Uwierz.  
- Ale przestajesz pić za każdym razem, kiedy idziesz do pracy, kiedy spotykasz się ze mną!

- Przestaję, bo wiem, że czeka na mnie nagroda. Przestaję, a potem w nagrodę piję do nieprzytomności. Piję, dopóki nie skończy się whisky albo ja nie stracę przytomności.

Oniemiała.

- Tak właśnie pijesz?

- Tak właśnie.

Pokręciła gwałtownie głową.

367- Nie. To nie może być prawda. Tak pije moja matka. Pije, dopóki nie straci przytomności.

- Tak.

- Spencer, moja matka jest alkoholiczką.

Przez chwilę słychać było tylko koty szalejące na podwórku.

- Lily, ja też jestem alkoholikiem. Jestem książkowym przykładem alkoholika.

Nie potrafię nie pić. A kiedy piję, nie potrafię przestać. Ukrywam to przed innymi, bo byliby wstrząśnięci, wiedząc, ile piję. Mówisz, że nie wyobrażasz sobie życia beze mnie. A ja nie wyobrażam sobie życia bez alkoholu. Z tego powodu nie mogę się na dłużej związać z kobietą. Po roku wszystko się kończy. Kiedy tylko dochodzą do wniosku, że potrafią mnie zmienić, znikam.

Lily nie spuszczała z niego wzroku.

- To niemożliwe.

- Zaczynam pić w piątek wieczorem. Piję przez całą sobotę, w dzień i w nocy, a w niedzielę trzeźwieję. Niedziela to najtrudniejszy dzień. Dlatego jest mi o wiele łatwiej, gdy spędzam ją z tobą. - Uśmiechnął się lekko. - Jesteś jak prawdziwy Arlekin, ze swoimi komediami na wideo i rakiem, dzięki tobie zapominam o alkoholu. A w poniedziałek idę do pracy.

- W każdy poniedziałek?

- Każdy.

- Nigdy nie zostałeś w domu?

- Nigdy. - Otworzył dłonie. - Cóż ci mogę powiedzieć? Pozory są wszystkim.

Udawanie normalnego zachowania jest niezbędne, by móc nadal pić. Bo jeśli tylko coś się zmieni, wszyscy każą ci przestać - rodzina, przyjaciele, kobiety, pracodawca. Robisz więc wszystko, by to ukryć.

Lily milczała, wyraźnie spięta. Zauważył to i delikatnie położył jąna sobie. Ujął jej twarz w dłonie i pocałował leciutko w usta, oczy, policzki, czoło.

- Liliput, jesteś cudowna. Chcesz mi pomóc? Chcesz mi pomóc zwalczyć nałóg?

Wcale nie mówię, że to nie jest godne podziwu. Jesteś jak skała. Kiedyś piłem w miarę normalnie, ale teraz sprawa stała się beznadziejna. Piję od czasu, gdy byłem nastolatkiem. Kilka lat temu, kiedy wydawało mi się, że sięgnąłem dna, potrzebowałem jednej butelki na weekend. Teraz potrzebuję dwóch, czasem trzech, a nawet czterech. To zależy, jak mocna jest whisky. Wydaję na alkohol dwieście pięćdziesiąt dolarów na tydzień, dwanaście tysięcy rocznie. Wydaję na alkohol niemal tyle samo, ile na czynsz. Nie stać mnie na życie, nawet gdybym chciał je mieć.

368

- Ale stać cię na mnie - powiedziała. - Nie będę cię kosztować ani grosza.
- W istocie, sama jesteś potężnym narkotykiem - powiedział, przesuając dłonie na jej biodra i przytrzymując mocno.

Nie potrafiła się skoncentrować na tym, co mówił.

- Ale ty zawsze byłeś przy mnie. Nigdy mnie nie zawiodłeś. Pocałował ją.
- Tak. Zawsze przychodziłem. Bo wiedziałem, że to tylko na jakiś czas. Bo zawsze wracałem do siebie. Alkohol będzie mi towarzyszył do końca życia.
- Dlatego z nikim nie mieszkasz?
- Nie mogę pozwolić, by ktoś oglądał mnie w takim stanie. Milczała przez chwilę.
- A próbowałaś metody dwunastu kroków? Moja matka właśnie się na nią zdecydowała.
- Matka cię okłamuje.

Powiedział to tak szybko i brutalnie. Skąd wiedział?

- Nie, nie - zaprotestowała. Chciała dać mu nadzieję, choć wiedziała, że to on ma rację. - Bardzo się tym przejęła. Widziała przed oczami całe swoje życie. Straciła stopę. Chce zrobić wszystko, żeby przestać pić.
- Nie, wcale nie chce.
- Ty nie jesteś moją matką. Jesteś o wiele silniejszy.
- Nie, Lily. Jestem tak samo słaby jak ona. Tylko piję inaczej niż ona, bo mam obowiązki, pracę. Ale powiedz mi, jak długo, twoim zdaniem, trwałaby moja niedziela, gdybym nie miał nic do roboty, tak jak twoja matka? Na ile trzeźwych poniedziałków mógłbym liczyć?
- Spencer, nie mów tak. Nie jesteś moją matką.
- Jestem, Lily. Choć nie chcesz w to uwierzyć.
- Bo to nieprawda.
- Prawda.
- Moja matka chodzi na spotkania AA.
- To jest silniejsza ode mnie.

To była najbardziej absurdalna rzecz, jaką usłyszała tej nocy. Jej matka była taka słaba. Odwróciła się od niego, próbując zapanować nad sobą, ale drżała na całym ciele. Opanuj się, Lily. Opanuj się. To właśnie znaczy go zawieść. To definicja tego słowa. Udajesz, że go kochasz? Na miłość boską, spójrz na niego i przestań wygadywać bzdury. Tu nie chodzi o ciebie. Nie o ciebie.

369- A może spróbowałbyś pójść na spotkanie AA? - spytała z trudem.

- Myślisz, że inaczej mógłbym tu leżeć i opowiadać ci, ile piję? Próbowałem. Ale nie mogę chodzić do AA. Oni wymagają całkowitej abstynencji, a ja przestaję pić tylko na cztery dni. Po kilku miesiącach przejrzeliby mnie na wylot. Wiedzieliby, że jestem oszustem.

Wciąż leżała na nim, drżąca.

- Nie płacz nade mną, Lily.

Chciała mu powiedzieć: „Nie płaczę tylko nad tobą, nad moją matką też”. Milczeli przez chwilę, a potem poczuła, że on twardnieje i nagle wszystko zostało zapomniane, powietrze znów wypełniła podszyta smutkiem radość i złączyła ich serca, ciała i usta.

- Spencerze Patricku o'Malley, nie jesteś żadnym oszustem. Jesteś w moim życiu najbardziej prawdziwą prawdą - szepnęła.
- Jestem wykrzywiony - odszepnął. - Nie widzisz tego?

- Widzę. Potrafię cię przejrzeć na wylot. Znam twój pokój płaczu. Leżeli z twarzą tuż przy twarzy, dysząc w upale nocy.
- Co więc zamierzasz zrobić? Kto to powiedział? On? Ona?
- Czy to idealna sytuacja? - powiedziała Lily. - Nie. Wolałabym, żeby było inaczej? Tak. Czy wolałabym, żeby moja najlepsza przyjaciółka nie związała się z moim bratem? Czy wolałabym nie być chora? Ale mimo to nie mogę tego zmienić. Nie wiem, jak żyć moim życiem, ale nagle się w nim znalazłam i nie mam wyboru. Spojrzał na nią uważnie.
- Widziałaś się z DiAngelem? - spytał cicho.
- Nie. Muszę do niego iść, wiem - odparła równie cicho. Wpadamy z krzykiem w życie i nie mamy wyboru, musimy je przeżyć do cholernego końca.

**60**

### **JOHN DOE**

Środa, późny ranek, a on - cudownie! - nadal leży z nią w łóżku. Zadzwoił do pracy, powiedział, że pracuje w terenie i przyjedzie na posterunek późno.

- Pracujesz w terenie? Tak się to teraz nazywa?

370

- Tak - powiedział i przyciągnął ją do siebie. - Przecież opowiesz mi o tym włóczędzie, który cię zaatakował. A może wymyśliłaś go tylko po to, by przyjść na komisariat w tej skąpej sukience i doprowadzić mnie do szaleństwa?

- No nie, choć to wielce pożądanym efektem ubocznym - odparła rozradowana. - Ale nie wymyśliłam go.

Opowiedziała mu, co się wydarzyło. O swoim niepokoju, że jest obserwowana, o dziwnym odczuciu, jakie ją ogarnęło, gdy wiązała wstążeczki na słupach.

- Tamtej nocy on chwycił mnie za łokieć. Nie pomógł mi wstać. Nie chciał puścić. Wiem, na czym polega różnica. I szepnęła: „Lily”. Czy tylko to sobie wyobraziłam? Gdyby nie nadszedł tamten mężczyzna, nie wiem, co by się stało.

- Jesteś niesamowita - powiedział. - Włóczysz się tam po nocy, choć tyle razy cię ostrzegałem.

- Może gdybyś otworzył drzwi, nie musiałabym iść nocą przez Tomp-kins Square.

- Tak. Może gdybym był innym człowiekiem, nic by się w ogóle nie wydarzyło. Ale zajmijmy się faktami, dobrze? Czy pamiętasz, jak wyglądał?

- Tak. Niestety, mocno wrył mi się w pamięć. Mogę go narysować, jeśli chcesz.

Zajęło jej to godzinę. Musiała wstać z łóżka, bo widok jego twarzy, nawet ze Spencerem u boku, przerażał ją, a nie chciała, by jej białe, wygodne łóżko kojarzyło się z tak strasznymi obrazami. Narysowała go w pracowni, Spencer w tym czasie brał prysznic i zbierał się do pracy.

Spojrzał krótko na rysunek.

- O, kurwa.

- Co? Widziałeś go?

- Gdzieś tak.

- Myślisz, że to może być Milo?

- Sprawdzę u Clive'a. - Wziął od niej rysunek. - Gdy go widziałem, niezupełnie tak wyglądał. Pamiętam go jak przez mgłę, ale nigdy niczego nie zapominam.

Zobaczę, czego zdołam się dowiedzieć. Idź do babci i do DiAngela, a ja się tym zajmę.

- Ale... co ta osoba mogła mieć wspólnego z Amy? Wiesz, co mam na myśli?
- Dowiemy się, prawda?

371- Och! - wykrzyknęła. - Jak to będzie dobrze - wreszcie coś wiedzieć.

Niewypowiedziane słowa pozostały niewypowiedziane: nareszcie będą mogli dowiedzieć się czegoś, co odsunie zaginioną Amy od jej brata.

- Tak. A tymczasem wyświadczyć mi i sobie przysługę. Obiecuj mi, że pod żadnym pozorem nie wyjdiesz dziś wieczór z domu.

- Obiecuję. Ale co powiesz o tym poranku na Drugiej Alei?

- To mógł być tylko przejaw twojego niepokoju. To są fakty. Mógł być. Ale z jakiegoś powodu wcale tak nie uważała.

Kiedy zapinał broń, zapytała go nieśmiało, co zrobią z tą drugą rzeczą, która ich od siebie oddalała - z jej bratem, jego pracą i wynikającymi z tego konfliktami.

Spencer wziął ją w ramiona.

- Poradzę ci to, co radzę osobom, które znajdują się w podobnej sytuacji. Masz prawo zachować milczenie. - Pocałował ją. - Sugeruję, żebyś skorzystała z tej rady. Boja na pewno zamierzam z niej skorzystać.

Spencer spędził resztę poranka, oglądając zdjęcia zatrzymanych z lat 2000, 1999 i 1998. Zaniknął się w pokoju z dowodami i oglądał fotografie twarzy wszystkich zatrzymanych przez policję nowojorską. Nic jednak nie znalazł. Ale jeszcze się nie zniechęcał. Bo znał twarz, którą narysowała Lily. Znał na pewno. Oglądał zdjęcia zatrzymanych codziennie od pięciu lat. Co powiedział mu Clive w schronisku dla bezdomnych? Powiedział, że kiedy zaczął je prowadzić, Amy tam jeszcze nie było. Milo też nie. Zjawili się dopiero po nim, a potem Milo zniknął na dwa lata. Musi więc szukać w 1997 roku.

Znalazł go w zdjęciach z lutego 1997 roku. Zdjęcie zrobiono w jednym z komisariatów na Bronksie. Na jego twarzy nie było jeszcze blizn, tatuaży ani bródki, tylko zarost, głowa też nie była ogolona gładko jak na rysunku Lily. Oczy były jednak takie same. Oczy i ich martwy wyraz. Zanim zadzwonił na komisariat, na którym go zatrzymano, pozwolił sobie na chwilę zdumienia, że ta dziewczyna ma taki talent - przelewa na papier to, co jest istotą rzeczy. Jednak ten talent drzemał w niej głęboko, dopóki nie obudził go nowotwór.

Zaciągnął Gabe'a na południowy Bronks.

Spencer poprosił o dokumenty dotyczące zatrzymanego i dowiedział się, że mężczyzna został aresztowany podczas rewizji w melinie nieopodal Cor-tland Avenue w lutym 1997 roku. Dom, w którym znajdowała się melina, zajmowali głównie narkomani. Podczas aresztowania mężczyzna stawiał

372

gwałtowny opór i trzeba było użyć siły. Kiedy go aresztowano i pobrano odciski palców, nie chciał nic mówić. Naćpany czy nie, nie otworzył ust ani razu, nie powiedział, jak się nazywa ani kim jest, nawet podczas bardzo ostrego przesłuchania. Nie wypowiedział ani słowa, zupełnie jakby nie mówił po angielsku. Ściągnęli tłumaczy z hiszpańskiego, niemieckiego i greckiego, ale nic to nie dało.

Spencer czytał dalej. Czy skorzystał z możliwości wykonania jednego telefonu? Nie. Wpłacił kaucję? Nie. Postawiony w stan oskarżenia nie podał nazwiska ani nie powiedział, że jest niewinny. Zrobiło to za niego biuro obrońcy publicznego. Oskarżono go za opór przy aresztowaniu, napaść na policjanta, posiadanie

narkotyków.

Odmówił rozmowy nawet ze swoim obrońcą. Przetrzymano go przez kilka miesięcy, sprowadzono psychiatrę, ale też nic nie pomógł. Nie pomogła nawet groźba, że trafi do więzienia na dziesięć lat, jeśli nie powie, kim jest. Osadzono go w areszcie na Bronksie, podczas gdy biuro prokuratora i sąd próbowały wymyślić, co z nim zrobić. Sędzia zgodził się w końcu, by osadzono go w szpitalu psychiatrycznym do czasu, aż sprawa zostanie wyjaśniona. Biuro obrońcy publicznego wyraziło gwałtowny sprzeciw, gdyż zawsze słynęło z tego, że broni zażarcie tych, którzy sami nie mogą się bronić. Przymusowe osadzanie w szpitalu było niezgodne z prawem. Został więc zwolniony i odesłany z powrotem do aresztu na Bronksie, gdzie trzymał się z dala od wszystkich, jadł niewiele, nikomu nie przysparzał kłopotów i wołał przebywać w pojedynczej celi.

Próbowali grozić mu utratą tych kilku przywilejów, jakie posiadał: książki, praca w kafeterii, jeśli nie zgodzi się podać żądanych informacji. Nie tylko odmówił, ale przestał jeść. Trwało to przez jakiś czas, w końcu musieli mu podłączyć kroplówkę. Obrońca publiczny sprzeciwił się jednak jakimkolwiek leczeniu lub badaniu, twierdząc, że stanowi to naruszenie jego prywatności i pogwałcenie jego praw człowieka. Nie wolno go badać, podawać żadnych lekarstw. Pracowali nad jego uwolnieniem na mocy Siódmej Poprawki do Konstytucji sprzeciwiającej się zbyt surowym karom, i Czternastej gwarantującej każdemu obywatelowi jednakową ochronę prawną. Zastępca prokuratora na Bronksie twierdził, że zagwarantowanie ochrony prawnej człowiekowi, który nie chce podać swojego nazwiska, jest niemożliwe. Ludzie muszą uczestniczyć przynajmniej częściowo w egzekwowaniu swoich własnych praw. „Małpy nie podają swojego nazwiska, delfiny nie podają swojego nazwiska, ludzie podają!”. W marcu 1999 roku, kiedy przewożono go z aresztu na Bronksie do

373Vernon Bain Center, więzienia o nieco surowszym rygorze, uciekł, rzucając się do East River. Wcześniej jednak zaatakował jednego z przewożących go strażników metalową rurką. Strażnik cudem przeżył. Mężczyzna nazywał się John Doe<sup>13</sup>.

**61**

### **HISTORIA OLEŃKI PEVNY**

Zgodnie z obietnicą Lily pojechała na Brooklyn, by odwiedzić babcię. Na Hawajach kupiła dla niej orzechy macadamia i kawę Kona; zabrała też zdjęcia pozbawionej stopy Allison.

- Jak mogłaś wrócić z Maui taka blada? - To pierwsze słowa, jakie na jej widok wypowiedziała babcia.

- Nie jestem wcale blada. Opaliłam się.

- Jesteś blada. Ale uśmiechasz się. Och, nie. Chyba nie związałaś się znów z tym człowiekiem?

- Tak, babciu. Claudia prychnęła głośno.

- To nie wiem, dlaczego nie wyglądasz lepiej. Dobrze się czujesz?

- Dobrze - odparła Lily. Ale skłamała. Wcale nie czuła się dobrze.

- Siadaj.

Claudia zrobiła herbatę i usiadły na kanapie. Rozmawiały o Maui, Andrew, o babci i Allison. Lily chciała ją spytać tylko o jedno: o pokój płaczu Allison.

Wytłumaczyła jej, co to takiego, i dostrzegła, że dłonie, w których babcia trzymała

filiżankę, zadrżały. Widząc to, poczuła, że i jej zaczynają drżeć.

Nie ustępowała jednak.

- Och, daj spokój - powiedziała Claudia. - Nie jesteś dziś z kimś umówiona?

- Dlaczego trzęsą ci się ręce? Powiedz.

- Lily, dlaczego zawracasz sobie głowę takimi głupstwami? Nie masz dość własnych problemów?

<sup>13</sup> John Doe - nazwisko nadawane w Stanach Zjednoczonych osobom, których tożsamość nie jest znana lub pragnącym zachować anonimowość.

374

- Tak. Nie. Chcę wiedzieć. Powiedz mi. Opowiedz mi o mojej matce. Claudia milczała.

- Babciu, proszę!

- Nie krzycz na mnie, jestem twoją babką - westchnęła głęboko. - Na pewno jesteś gotowa, by tego wysłuchać?

- Szczerze mówiąc, po tym, czego słuchałam przez ostatnie siedem dni, gorzej już chyba być nie może. Słucham.

Claudia zaczęła swoją opowieść dopiero po kilku długich minutach.

- Wiesz, że pobraliśmy się z Tomaszem w czerwcu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku i zaraz po ślubie zaszłam w ciążę. Moje dziecko miało urodzić się w marcu, dokładnie dziewięć miesięcy i jeden dzień po naszym ślubie. Ale we wrześniu wybuchła wojna i Tomasz oraz jego trzech bracia poszli walczyć. Ich rodzice codziennie czekali na jakieś wiadomości z frontu. Ja mieszkałam obok z moją rodziną i czekałam na wieści o Tomaszem. Byłam młoda, pracowałam w gospodarstwie, nosiłam ciężary, zajmowałam się kozami, krowami i kurami. I bardzo się o niego martwiłam. Nie dostawałam od niego żadnych listów. W październiku straciłam dziecko. Od pięciu tygodni nie miałam żadnych wiadomości.

- Straciłaś dziecko w październiku? - spytała Lily, nic z tego nie rozumiejąc.

- Lily, chcesz, żebym ci to wszystko opowiedziała, czy nie?

- Chyba zaczynam się zastanawiać.

- Dziecko, które straciłam, było Tomasa, kochanie. Twojej matki nie było jeszcze na świecie.

- Babciu... - szepnęła Lily. - Nic już nie rozumiem.

- Matka Tomasa była bardzo piękną kobietą tuż po czterdziestce. Razem wystawałyśmy przy bramie, czekając na listonosza. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, gdy pewnego dnia zauważyłam, że choć jest przeraźliwie chuda, rośnie jej brzuch. Jej synowie mieli osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia i dwadzieścia dwa lata, a ona znowu była w ciąży! Ależ to był skandal. Żadna kobieta nie zachodziła w ciążę po trzydziestce, a co dopiero po czterdziestce.

- Niemcy dotarli do Skalki w grudniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Nasi żołnierze walczyli bardzo dzielnie, ale my mieliśmy konie, a Niemcy czołgi. Wyobraź sobie, jaką głupotą było ruszać konno do ataku na czołgi.

Walczyliśmy jednak, za nic nie chcieliśmy się poddać bez walki, ale Gdańsk padł, a z nim nasza Skalka. Niemcy wdarli się do domów, zabrali nam wszystko i żądali jedzenia. Kilka rodzin wyrzucili

375z domów i tam zrobili sobie kwatery. Ale nas nie. Bo nie byliśmy Żydami.

Wyrzucili jednak rodziców Tomasa, bo oni byli.

- Twój Tomasz był Żydem?
- Tak. Wszyscy Żydzi poszli walczyć za Polskę. Ojciec Tomasa powiedział, że nie porzuci swojego domu. Niemcy zakatowali go tam na śmierć.
- O Boże -jeszcze nigdy nie słyszała tej części historii babci.
- Ciężarna matka Tomasa nie miała dokąd pójść, zamieszkała więc z nami. Niemcy kazali jej nosić żółtą opaskę na ramieniu, by odróżniała się od nie-Żydów.
- Claudia zakaszła. - Była Żydówką, więc nie dostawała kartek na żywność, mimo że była w ciąży. Dzieliliśmy się z nią naszym jedzeniem.
- Babciu, dlaczego nigdy mi o tym nie opowiadałaś? Mam dwadzieścia pięć lat.
- Jesteś bardzo niedojrzała jak na swój wiek.
- Moje siostry wiedzą o tym? Brat?
- Tak.

Lily nie mogła w to uwierzyć.

- Cóż ci mogę powiedzieć, Liliput. Czasami bardzo bliscy ludzie, nawet ci, których kochasz, mają przed tobą sekrety.
- Żartujesz chyba.
- Niektóre rzeczy są zbyt bolesne, by o nich opowiadać.
- Opowiesz mi wszystko? Bo niedługo muszę jechać do szpitala.
- Dlaczego nie pojedziesz teraz?
- Nie, nie. Mów dalej. Mieszkała u was przez całą wojnę?
- Została u nas tak długo, jak tylko było to możliwe. Była bardzo chorą, samotną i przygnębianą kobietą, a na dodatek piła na umór.

Lily jęknęła.

- Nie sądziliśmy, że dożyje narodzin dziecka. Znikała na całe dni, jeździła do Gdańska. Na ulicach żebrała o wódkę. Oferowała za wódkę samą siebie. Jednak jakimś cudem w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego roku urodziła dziecko.
- Lily, tym dzieckiem jest twoja matka.

Lily upuściła filiżankę. Nawet się nie schyliła, by posprzątać.

- Co powiedziałaś?

Nie mogła już bardziej wbić się w kanapę, skulić, pogрузić.

- Moja matka jest najmłodszą siostrą twojego męża?
- Tak.
- Babciu... - Lily zakryła usta dłonią. Jej babcia, która ją wychowała,

376

uwielbiała, opiekowała się nią, była ostoją całej rodziny, nie była matką jej matki! Po pięciu minutach ciężkiego milczenia babcia ciągnęła opowieść ściszym głosem, zupełnie jakby nie chciała, by podsłuchały ją anioły.

- Bardzo bym chciała ci powiedzieć, że ojciec Tomasa był ojcem twojej matki, ale, niestety, nikt tak nie uważał, nawet on sam. Stąd wszystkie te plotki na temat jego żony. Wszyscy podejrzewali, że zaszła w ciążę podczas jednego ze swoich wypadów do Gdańska, kiedy żebrała o wódkę.
- Dziecko urodziło się w środku zimy, w Gdańsku. Kiedy znaleźli ich moi rodzice, byli przemarznięci na kość. Nagi noworodek był owinięty w płaszcz i spódnice swojej matki.

- To był prawdziwy cud, bo po narodzinach dziecka jego matka wytrzeźwiała. Już dawno zjedliśmy wszystkie krowy i kozy, nie było mleka i nikt nie rodził dzieci. Nawet ja. Nie było mowy o mamkach. Ktoś musiał karmić dziecko, inaczej by



umarło.

Oniemiała Lily wpatrywała się w babkę.

- Babciu... czy jej matka miała na imię... Ania czy jakoś podobnie? Anna?

Anika?... Annę?

- Tak - odparła babcia, marszcząc brwi. - Skąd wiesz?

- Nie wiem - szepnęła Lily. Ten niesamowity Spencer. Zorientował się od razu.

Dostrzegł to, nic nie wiedząc, swoim własnym zranionym sercem zauważył czający się w tle cień Annę.

- Twoja matka musiała poznać smak wódki jeszcze w łonie matki, a potem w czasie karmienia. Myślisz, że nic nie wiem, ale ja wiem wszystko, Lily. Z sutka Ani na pewno nie sączyło się czyste mleko.

- Babciu, proszę.

- Okres trzeźwości trwał do czasu, gdy odstawiła dziecko od piersi. Potem Ania zabierała Oleńkę i jeździła z nią do Gdańska. Mała pomagała jej zebrać. Potem wracała do Skalki, zostawiała Oleńkę ze mną i znikwała z butelką w lesie, jak niedźwiedź. - Babcia zawiesiła głos, by zebrać myśli. Lily skuliła się na kanapie. - Raz czy dwa jeździłam z matką do Gdańska, żeby je zabrać do domu.

Znajdowałyśmy przemarznąętą Anię leżącą na ziemi. Oleńka siedziała obok niej bez ruchu. Od czasu do czasu powtarzała żałośnie: „Mama, mama”.

- Babciu, nie mogę. Nie mogę. - Lily zakryła uszy dłońmi. Babcia miała rację. W wieku dwudziestu pięciu lat była jeszcze dzieckiem.

- Przepraszam. Dlatego tak długo ci o tym nie opowiadałam.

- Dożyłabym szczęśliwie końca moich dni, nic nie wiedząc - szepnęła

377Lily. - Gdybym знаła prawdę, nigdy bym cię o to nie spytała. Moja matka jest więc Żydówką? Ja też?

- Nie.

- Nie?

- Wiesz, że zostałam ochrzczona w kościele katolickim. Twoja matka też.

Musieliśmy ją ochrzcić.

- Dlaczego?

- Bo pod koniec tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku wszyscy Żydzi z wioski zostali przewiezieni do getta w Warszawie.

- Więc moja matka razem ze swoją trafiły do getta?

- Nie. Och, Lily.

- Daj teraz spokój z tym „Och, Lily”, babciu. Opowiedziałas mi już tyle, że nie możesz się teraz wycofać.

- W grudniu tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku do naszego domu przyszli Niemcy i powiedzieli, że wszyscy Żydzi muszą natychmiast wyjść, bo czeka pociąg do Warszawy. Kobieta z żółtą opaską i jej dziecko muszą jechać. W tym momencie Ania wybuchnęła śmiechem, odsunęła Oleńkę od siebie i powiedziała: „Moje dziecko? To nie jest moje dziecko. Jakim cudem mogłoby być moje? Mam czterdzieści pięć lat, czterech dorosłych synów, czy wyglądam jak kobieta, która może urodzić dziecko?”. Chwyciła malutką i wcisnęła mi ją w ramiona. „Nie mogę się już nią dłużej za ciebie zajmować, Klaudio. Słyszysz? Nie mogę!”. Odwróciła się do Niemców i powiedziała: „To jej dziecko. Spójrzcie tylko! Jest do niej podobne. Pomagałam jej trochę, bo jest młoda i nic nie wie o dzieciach. Pożyczałam je sobie, żeby zebrać. Jestem pijaczką, kradłam im dziecko,

żeby zdobywać wódkę. To prawda. Powiedz im, Klaudio". Nie wiedziałam co robić. „To prawda”, powiedziałam w końcu. Niemcy spojrzeli na mnie i spytali: „To twoje dziecko?”.

- Miałam wtedy jasne włosy, twoja matka też. Ania miała ciemne włosy i oczy. Włosy ocaliły Oleńkę, bo poza nimi była wierną kopią matki. Miały takie same rysy. Niemcy uwierzyli jednak i zabrali Anię ze sobą. Oleńka została z nami. Babcia zaczęła płakać. Lily nigdy nie widziała jej płaczącej. Przestraszyła się.

- Kiedy zabrali jej matkę, malutka wyrwała mi się z ramion i krzyknęła: „Mama!”. Niemcy odwrócili się, a ja chwyciłam ją mocno i zakryłam buzię. „Cii - powiedziałam. - Wszystko będzie dobrze. Mama jest przy tobie”. Wiesz, nie sądzę, żeby nam uwierzyli, pamiętam dokładnie, jak na mnie

378

patrzyli, kiedy trzymałam małą. Ale zostawili ją ze mną. Przez następne trzy dni Oleńka siedziała przy zamrożonym oknie i czekała na powrót matki. Siedziały na kanapie bez słowa. Nawet się nie dotykały. W pokoju słychać było tylko płacz Lily.

- Czy dowiedzieliście się kiedykolwiek, co się stało z Anią?

- Nie. Ale podejrzewam, że to, co z wszystkimi Żydami w warszawskim getcie. Minęło sporo czasu, zanim Lily zdołała cokolwiek z siebie wydusić. Wstała z kanapy. Podziękowała babci za herbatę, sprzątnęła filiżankę z podłogi i powiedziała, że musi iść. Obiecała, że zadzwoni jutro, kiedy będzie miała wyniki. Zanim wyszła, stanęła jeszcze w otwartych drzwiach i powiedziała łamiącym się głosem:

- Babciu, wydaje mi się, że mama nadal siedzi przy tym oknie w swoim pokoju płaczu.

Nie poszła na stację metra, lecz ruszyła w kierunku portu. Przez długi czas siedziała na ławcena promenadzie przy East River, spoglądając na ujście rzeki Hudson i Manhattan. Jest już chyba bardzo późno, pomyślała. Czy DiAngelo jest jeszcze w szpitalu? Już czwarta. Lepiej wrócę do domu. Poczekam na Spencera i wszystko mu opowiem. Nie wiem, co robić. Moja biedna matka.

**62**

## **LINDSEY**

Tamtego wieczoru Lily zrobiła coś, czego nie robiła od bardzo dawna. Sama nie pamiętała od kiedy. Zadzwoniła do matki.

Telefon odebrał ojciec. Matka wróciła już do domu, nie czuła się w tej chwili najlepiej, spała. Nie, nie, wszystko w porządku, tylko śpi, nic więcej. Wszystko układa się jak najlepiej. Siedem razy w tygodniu chodzi na godzinne spotkania AA. Odbywają się na trawniku z widokiem na błękitny ocean.

- Twoja matka świetnie sobie radzi. Shelly jest z niej bardzo dumna. Z tą Shelly będą jeszcze kłopoty.

- Powiedz jej, że dzwoniłam, dobrze?

- Powiem. Bardzo się ucieszy, Liliput.

379 Spencer patrzył na nią, kiedy odkładała słuchawkę.

- Chodzi tam codziennie - powiedziała. - Widzisz? Nic nie odpowiedział, tylko rozłożył ramiona.

Lily próbowała namalować pokryte szronem okno w Skałce, lecz skończyło się na tym, że rozplakała się nad leżącym na podłodze płótnem. Błękitny szron zamienił się w szare grudy, a kiedy wysechł, bardziej przypominał morze.

W ciepłym łóżku Spencer wysłuchał historii Oleńki Pevny. A Lily opowieści o Johnie Doe.

Zasnęli, lecz obudzili się w środku nocy i próbowali sobie to wszystko jakoś poukładać.

- Spencer, czy ten mężczyzna to na pewno Milo?

- Tak. Rozmawiałem z Clive'em i pokazałem mu twój rysunek. Rozpoznał oczy. Powiedział, że nowy Milo jest znacznie czystszy od tego menela, który pojawiał się w zeszłym roku. Nie można jednak ukryć takich oczu. Pokazałem też rysunek Paulowi. Nie znał go.

- To jak go znajdziemy?

- My? Ty nie będziesz robić nic poza pójściem rano do szpitala. Ja pojedę jutro do Jan McFadden, ale sam. Nie wezmę Gabe'a, żeby jej nie wystraszyć. Może ona zidentyfikuje człowieka z przeszłości Amy, choć mam co do tego poważne wątpliwości. Rozmawiałem z nią całymi godzinami. Nie ma pojęcia, czym zajmowała się córka.

- Porozmawiaj z nią jeszcze raz, Spence. Skorzystaj ze swoich wspaniałych zdolności w przesłuchiowaniu.

- Zaraz ci pokażę wspaniałe zdolności. - Pocałował ją w wystający obojczyk.

Lily próbowała jednak trzymać się tematu.

- Jestem przekonana, że Amy zaginęła właśnie z powodu tego Milo - powiedziała. Zamknęła oczy i jęknęła cicho, czując dotyk jego ust na szyi.

Jan McFadden, jeszcze nieumyta i w szlafroku, nie była zachwycona wizytą Spencera.

- Dlaczego pan tu wciąż przyjeżdża, skoro nie ma pan żadnych informacji o mojej córce?

- Jan, mam tu rysunek bezdomnego, z którym Amy się przyjaźniła. Może go pani rozpozna? A nuż zna pani jego nazwisko.

Jan spojrzała na szkic.

380

- Na pewno nie znam jego nazwiska. Jego też nie. Czy aresztowaliście go?

- Nie. Rozesłaliśmy za nim list gończy. Znany jest jako Milo. Jeśli go znajdziemy, może uda nam się dowiedzieć, gdzie jest Amy.

- Ja nie znam żadnych bezdomnych! Amy też nie, na pewno nie moja Amy.

- Jej przyjaciel Paul powiedział, że Amy przyjaźniła się z wieloma dziwnymi ludźmi, których nie znał.

- Już mnie pan o to pytał! Ja też ich nie znałam!

- W porządku. Ale może mimo wszystko kogoś pani pamięta?

- Może mnie pan pytać i sto razy, ale ja nadal nie będę mogła udzielić odpowiedzi.

Zgasła papierosa.

- Czy szukajecie w Central Parku? - spytała.

Nie odpowiedział. Nie szukali. Policja robiła to przez rok, przeczesując osiemset czterdzieści trzy akry zarośli. Nie znaleźli jednak nic podejrzanego, więc przed miesiącem zaprzestali poszukiwań.

Zapytała, czy ma ochotę na drinka.

- Chętnie napiję się kawy.

- Bardzo proszę. Ale chodziło mi...

- Nie, dziękuję.
- Żeby nie piła sama.
- Nie.

Gdyby tylko ktoś poza jego własnymi demonami wiedział, ile wysiłku kosztowało go wypowiedzenie tego słowa. Tak naprawdę nawet go nie wypowiedział. Pokręcił tylko głową, poruszając zaschniętymi wargami.

Zastanawiał się nad następnym pytaniem, gdy Jan wpatrywała się posepnie w swoją szklanekę wypełnioną whisky. On też nie mógł oderwać od niej ponurego wzroku.

Zapytał, czy Amy należała do jakichś klubów sportowych. Kółek artystycznych? Może do chóru?

Jan odparła, że śpiewała w chórze.

- A kluby polityczne? Czy startowała w wyborach do rady studenckiej? W wyborach skarbnika? Przewodniczącego? Czy należała do Klubu Młodych Konserwatystów?

- Powiedziałam już panu, że śpiewała w chórze. To nie miało nic wspólnego z polityką.

- Głosowała?

381- Nie wiem.

- Wiesz, kochanie - powiedział Jim. Wszedł do kuchni przed chwilą, spocony po joggingu i słuchając ich rozmowy, nalewał wodę do szklanki. - Głosowała w wyborach w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku, kiedy była w ostatniej klasie szkoły średniej.

Jan McFadden wyglądała na zdumioną.

- Naprawdę? Nic o tym nie wiem. Należała do chóru. Śpiewała. Była artystką. Może i głosowała, ale nie interesowała się polityką.

Mimo wszystko polityka musiała ją przez jakiś czas interesować, skoro przyszła do biura Andrew Quinna, pomyślał Spencer. Chciał o tym powiedzieć Jan, ale się rozmyślił, widząc, że i bez tego jest bardzo zdenerwowana.

- Może gdybyś przestała popijać od rana whisky, przypomniałabyś sobie więcej rzeczy, które pomogłyby temu człowiekowi odnaleźć córkę - powiedział Jim.

- Przestań! Myślisz, że gdybym tylko mogła, nie zrobiłabym tego? Gdybym tylko coś wiedziała!

Spencer postanowił się wtrącić.

- Czy znała wtedy... kongresmana Quinna? - spytał ostrożnie.

- Oczywiście, że nie! Boże, do czego pan zmierza? Chyba nawet na niego nie głosowała, tak mało ją wszystko obchodziło. O co panu chodzi?

- Chcę usłyszeć od pani jedno nazwisko, nazwisko jednej z osób, z którymi podróżowała, przyjaźniła się, spotykała. Nazwisko chłopaka, cokolwiek.

- Mówiłam panu już tysiąc razy, że nic nie wiem. Zapomniałam albo nigdy nie wiedziałam. Kiedy Amy była w ostatniej klasie, miałam w domu dwójkę malutkich dzieci, którymi musiałam się zajmować. A ona miała osiemnaście lat! - Usiadła bliska łez. - Nie pamiętam. To było siedem lat temu. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, dziwię się, że pamiętam, jak sama się nazywam.

- Tylko jedno nazwisko. Albo imię osoby, z którą pozwoliła pani swojej najstarszej córce podróżować furgonetką przez Amerykę.

- Pozwoliłam? A kto jej pozwalał? Ja na pewno nie! Po prostu pojechała. Ja

chciałam, żeby poszła do college'u.

- Jedno nazwisko.

- Prawda wygląda tak - wtrącił się Jim - że nie chciałaś nic wiedzieć. Powiedz detektywowi. Amy była krnąbrna, nieposłuszna, krzyczała na ciebie. A ty umyłaś ręce. Miałaś bliźnięta, nie chciałaś sobie zawracać nią

382

głowy. Kiedy powiedziała, że wyrusza w podróż przez całe Stany, powiedziałaś jej, żeby nigdy nie wracała, zupełnie jakbyś się cieszyła, że możesz się jej pozbyć.

Prawie wyrzuciłaś ją domu, kiedy dowiedziałaś się, że nie idzie do college'u.

- Nie wyrzuciłam jej! - krzyknęła Jan.

- Dlatego nic nie wiesz. Bo nie chciałaś wiedzieć. Nic cię to nie obchodziło!

- Lindsey! - krzyknęła Jan. Spencer oparł się o blat. LINDSEY! Jan dyszała ciężko i zniżyła głos.

- Lindsey była jedną z dziewcząt, z którymi się trzymała. No, proszę.

- Lindsey i co dalej?

- Chciał pan usłyszeć imię, to je panu podałam. Lindsey.

- A ta Lindsey mieszkała w...?

- Gdzieś tutaj w Port Jeff - dodała po dłuższej pauzie. - Detektywie, jeśli to wszystko, to proszę mi wybaczyć... Jestem bardzo zmęczona. Muszę się położyć.

Jim odprowadził Spencera do samochodu.

- Przepraszam za nią.

- Proszę się nie przejmować.

- Ma problemy ze sobą.

- Wiem.

- Ale ja nie wiem, jak długo to jeszcze wytrzymam. Jestem u kresu wytrzymałości.

- Proszę się jeszcze trochę postarać - odparł Spencer. - Ona pana potrzebuje.

W Nowym Jorku, w salonie fryzjerskim przy Dwudziestej Drugiej Ulicy Paul powiedział:

- Lindsey? Jaka Lindsey? Chyba nie Lindsey Kiplinger? Amy raczej się z nią nie przyjaźniła. Była o klasę wyżej. Poza tym słyszałem o niej tylko dlatego, że już nie żyje. Zginęła kilka lat temu w wypadku samochodowym, gdzieś na zachodzie. W Nowym Meksyku? Utah?

Spencer zadzwonił do Kiplingerów w Port Jeff. Z nagrania pozostawionego na automatycznej sekretarce dowiedział się, że sana wakacjach. Kiedy wrócił na komisariat, czekała na niego wiadomość od DiAngela.

- Jest pan zajęty? - spytał lekarz, gdy do niego zadzwonił. - Wiem, że

383to środek dnia. Ale ona potrzebuje, by ktoś przy niej był. Muszę ją przenieść do Sloan Kettering.

- Zaraz jestem. Do Sloan Kettering? Co się dzieje?

- Ona jest bardzo chora, detektywie o'Malley.

- Wiem, ale...

- Umiera.

**63**

### **OSTATNI ETAP LECZENIA RAKA**

- Lily, gdzie się podziewałaś?

- Myślałam, że mam się tu zjawiać co dwa tygodnie.

- Nie widziałem cię od blisko miesiąca.

- Chciałam przyjść, ale pojechałam na Maui, a potem... - Potem byłam zbyt zajęta życiem. - To tylko trzy tygodnie. Proszę mi powiedzieć - zawiesiła głos. - Nie jest dobrze?

- Nie. Odetchnęła głęboko.

- Jak niedobrze?

- Nie było cię tu od czterech tygodni. A wcześniej nie było mowy o poprawie, wszystko utrzymywało się na tym samym poziomie.

- W porządku. A teraz? Milczał.

- Wrócił?

- Wrócił.

- Czy moja krew znów przypomina czarny kawior? Milczał.

Trzy tygodnie chemioterapii indukcyjnej, trzynaście tygodni konsolidacyjnej, tydzień zapalenia płuc, kolejne sześć podtrzymującej, radykalne nowe leczenie, które miało atakować tylko komórki białaczkowe i pozostawić resztę w niezmiennym stanie, dwanaście miesięcy mojego życia, życia Spencera, Amy, mojej rodziny i po wszystkich tych wysiłkach lekarz nie mówi nic.

Przez kilka minut Lily siedziała w milczeniu w gabinecie DiAngela.

- Co teraz? Znów leczenie konsolidacyjne? - spytała w końcu.

- Nie, blastocyty są odporne.

384

- Oporne na chemię?

- Tak. Niewątpliwie okazały się odporne na alkeran.

- Co nam zostało?

- Mamy dwa wyjścia.

Dlaczego nagle poczuła, że nie może go dłużej słuchać? Co się z nią działo? Ręce zaczęły jej drżeć.

- Chcę, żebyś podeszła do tego z otwartym umysłem. Nie będzie to łatwe po wszystkim, przez co przeszłaś. Ale na samym początku mówiłem ci, że to będzie trudna walka.

- Tak, tak, zabezpieczył się pan.

- Wcale się nie zabezpieczałem. Chciałem, żebyś знаła prawdę. Ty też chciałaś.

- Wie pan co, doktorze? - powiedziała. - Powoli dochodzę do wniosku, że im mniej prawdy, tym lepiej. - Wstała z krzesła. Drżały jej kolana.

- Daj spokój, nie mówisz poważnie. - Podniósł się zza biurka, podszedł do niej i objął ramieniem. - Czy nie mówiłem ci, że rak chce, byś poddała się pierwsza? Aleja nie chcę, żebyś rezygnowała z walki.

- Nie.

- Stałaś się moją osobistą kruczatą. On nas nie pokona, Lily. Siadaj. Nie mogła usiąść. Chciała już iść. Nie mogła tego słuchać sama w jego gabinecie. Nie mogła słuchać, że zostały im tylko dwa wyjścia.

- Czy mogę skorzystać... czy mogę tylko...

W łazience stanęła przy ścianie, opierając czoło o zimne białe kafelki. Zamknęła oczy. Dłonie też przycisnęła do ściany. Powoli osunęła się na kolana. Brakowało jej tchu, czoło wciąż przyciskała do kafelków.

Ależ ma wroga. Co za okrutny, przerażający przeciwnik. Kuli się jeszcze bardziej, czołem dotyka podłogi. Nie przypuszczała, że będzie się bała aż tak bardzo.

- Arszenik? - jakimś cudem udało się jej podnieść z podłogi i wyjść z łazienki.

DiAngelo siedział naprzeciwko niej na brzegu biurka. - Arszenik, ta trucizna? — powtórzyła z niedowierzaniem.

- Tak.

Lily próbowała przypomnieć sobie wszystko, czego uczyła się o arszeniku w szkole.

- Czyjego ciągle podawanie nie wywołuje u ludzi raka?

- Tak. Pamiętasz? Potraktujemy truciznę trucizną. Komórki rakowe reagują na truciznę. Więc je zatrujemy.

385- Mieszanka leków nie podziałała, nie podziałał też alkeran, pana cudowny lek.

- Nie przejmuj się. To na pewno zadziała. Nowe badania zakończone właśnie w Sloan Kettering wykazały, że pacjenci, którym nie pomogła żadna standardowa terapia stosowana w ostrej białaczce szpikowej i czuli się gorzej niż ty, osiągnęli niemal całkowitą remisję po podaniu im trójtlenku arszeniku. Uważam, że powinniśmy spróbować.

- A mamy jakiś wybór?

- Raczej nie - powiedział po długiej chwili.

Lily zaczęła oglądać swoje dłonie. Były poplamione ołówkiem po rysowaniu portretu Milo. Nie mogła ich zmyć nawet pod prysznicem.

- Na jaką skalę prowadzono te badania?

- Lily, daj spokój, to terapia eksperymentalna!

- Na jaką?

- Dziesięć osób.

- Dziesięć osób? - powtórzyła, podnosząc na niego wzrok. - Dziesięć?

Skinał głową.

- Ile z nich osiągnęło remisję?

- Sześć, z których cztery nadal miały negatywne wyniki badań na obecność komórek białaczkowych.

- A pozostałe dwie?

- Zmarły.

- Na raka czy zatrute arszenikiem?

- Lily!

- Tylko pytam - odparła spokojnie. - Mówi mi pan, że w badaniach na szeroką skalę, którym poddano dziesięć osób, sześć osób zmarło?

- Co się z tobą dzieje? Nie jesteśmy w sądzie. Czterdzieści procent szans na remisję, kiedy wszystko inne zawiodło, to bardzo obiecujący wynik.

Kiedy wszystko inne zawiodło.

- A ta druga rzecz? Powiedział pan, że mamy dwie możliwości? Jaka jest ta druga?

- Przeszczep szpiku kostnego. Ożywiła się trochę.

- A co jest w tym złego? Czytałam w internecie kilka bardzo dobrych artykułów o przeszczepach szpiku.

- Mówiłem ci, żebyś przestała szukać informacji w internecie.

386

- Wiem, wiem. Ale to brzmiało bardzo zachęcająco. Skąd weźmiemy szpik?

- Od twoich sióstr. I brata. Wyniki na zgodność powinny być w tym przypadku bardzo dobre. Świetnie, że masz tyle osób do wyboru.

- Na co więc czekamy?

Teraz DiAngelo zaczął oglądać swoje dłonie. Lily nie miała wyjścia, spuściła wzrok na swoje.

- Przeszczep szpiku kostnego to bardzo inwazyjna i niebezpieczna metoda - powiedział w końcu DiAngelo. - Pacjenci muszą być w dobrym stanie, nie cierpieć na żadne infekcje. Wątroba, serce i trzustka muszą funkcjonować bez zarzutu. Liczba białych ciałek w twoim organizmie znów jest ogromna. Jeszcze nigdy taka nie była, zupełnie jakby organizm walczył z infekcją od tygodni. Nie masz prawie płytek krwi. Za to rekordową ilość chorych komórek. Co ty z sobą wyprawiałaś? Co wyprawiało twoje ciało od czasu naszego ostatniego spotkania?

- Nic - odparła. Kifn by była bez raka, bez Spencera, bez matki, brata? - To, co pan mówi, wygląda mi na paragraf 22.

- Mamy niezły klops.

Racja. Jedziemy więc z arszenikiem.

- Dobrze.

Wstała i przytrzymała się krzesła.

- Jakie są efekty uboczne, gdy do żył zaczyna się sączyć trucizna? Zaskakująco niewielkie.

- Co za ulga. Kiedy zaczynamy? Jutro?

- Zaraz.

Bardzo się starała być dzielna.

- Przełom blastyczny, doktorze?

- Przełom blastyczny.

W jej życiu znów pojawiła się Joy. Nie zamieszkała tym razem, ale przychodziła się nią opiekować, gdy Spencer wychodził do pracy. Zabierała ją do Sloan Kettering. Paul i Rachel przychodzili, kiedy mieli wolne dni, by posiedzieć z nią, gdy brała kroplówkę z niskimi dawkami arszeniku, który sączył się przez wprowadzony znów pod skórę na piersi cewnik.

Jej rodzina była zrozpaczona. Za każdym razem, kiedy przychodzili ją odwiedzić, pojedynczo bądź w parach, płakali. DiAngelo w końcu zakazał wizyt, dopóki Lily nie poczuje się lepiej. On sam przychodził codziennie, choć nie leżała w jego szpitalu i to nie jego arszenik sączył się w jej żyły.

387 Była z nim mocno związana. Przekazała dwieście tysięcy dolarów na rzecz dziecięcego oddziału onkologicznego w szpitalu Mount Sinai, w którym pracował. Kiedy jednak przemyślała wszystko dokładnie i doszła do wniosku, że marzenie o mieszkaniu za jedenaście milionów dolarów oddala się od niej coraz bardziej, wypisała czek na milion dolarów. DiAngelo nazwał oddział imieniem Lily, a ona przecięła wstęgę w czasie ceremonii nadania imienia.

Arszenik był wolno działającą trucizną? Zaczęła wyczuwać metal w mózgu, w ustach, na ramionach, na poduszce. Język przypominał szary, stalowy lizak. Nie zauważała prawie efektów ubocznych w postaci zmęczenia i zawrotów głowy, nie mogła jednak nie czuć trującego smaku w ustach.

DiAngelo przychodził codziennie. Nie miał wolnych dni. Jeśli Lily musiała brać arszenik przez siedem dni w tygodniu, to on będzie przemierzał te pięć przecnie dzielących go od Sloan Kettering nawet w wolne od pracy dni.

- Nie musi pan przychodzić codziennie - powiedziała. - Czek na milion dolarów został zrealizowany.



Jej ciało przypominało teraz metalową konstrukcję pełną zakończeń nerwowych. Nie było już dla niej miłości, lecz była dla Spencera, i pewnej nocy, gdy mu ją podarowała i leżeli razem w łóżku przykryci kołdrą po szyję, Lily powiedziała nagle:

- Spencer, ty masz wybór, wiesz o tym. Możesz przestać pić. Uśmiechnął się.
- Quid pro quo, co, Lily Quinn? W porządku, pogadajmy o tym. Myślisz, że ja chcę pić?
- Jasne, że tak. Kiedy jesteś trzeźwy i wypijasz pierwszy kieliszek. To twój wybór. Wybieramy, kim chcemy być, jak żyć. To moja babka nie miała wyboru. Matka mojej matki. - Głos się jej załamał. - Ale wtedy była wojna. Rozumiesz różnicę? Nie odwrócił się od niej, nie oparł też na łokciu, by łatwiej się bronić. Leżał nadal z delikatnym uśmiechem błakającym się na ustach. Nie mogła się oprzeć, pochyliła się i pocałowała go.
- Masz szczęście, że jesteś taki słodki - szepnęła. Pocałował ją i odsunął się.
- Wybory, o których mówisz, są czysto teoretyczne. Miło o nich rozmawiać, dyskutować. To jest rzeczywistość, jak twoja choroba, a nie jakaś tam rozmowa prowadzona przy pokerze przez pięć pań po siedemdziesiątce.

388

- Po osiemdziesiątce, gwoli ścisłości, ale to nie ma znaczenia.
- Lily, myślisz, że ja to wybrałem? To mój wybór, że nie mogę się napić ani kropli na weselach, na przyjęciach bożonarodzeniowych? Że nie mogę wypić nawet koktajlu, kiedy idziemy razem na kolację? Że nie może być mowy o zakrapianym alkoholem meczach kręgli, spotkaniach z przyjaciółmi? Myślisz, że świadomie wybrałem picie, żeby leżeć bez przytomności przez jedną szóstą mojego życia?
- Och, Spencer.
- Jestem, kim jestem, Lily. Nie mam żadnych złudzeń. Jestem gliną. Irlandzkim pijakiem. Oto kim jestem. Chcesz wiedzieć, jaki mam wybór? Kiedy do głosu dochodzi moja silna wola? Odzywa się, kiedy walczę codziennie, co tydzień, żeby odpędzić od siebie pragnienie napicia się whisky. W końcu nie mogę już dłużej wytrzymać, a ta walka staje się powodem, by nagrodzić samego siebie butelką Glenfiddich za to, że tak długo byłem grzeszny. Im dłużej powstrzymuję się od picia, tym bardziej czuję, że zasłużyłem na najdroższą whisky, jaką można kupić. Miesiąc bez alkoholu? Nagrodą jest Johnny Walker Blue Label. Żadne spotkania AA, Bóg, rozsądek, strach, groźba nie są w stanie powstrzymać mnie przed tym pragnieniem. To wojna, która trwa od wieków. Ty bardzo chcesz mieć zdrową krew, ciągnąć to dalej, żyć, mimo że nic ci już nie zostało. To właśnie jest wojna. Ja w moim mieszkaniu co niedzielę rozpaczliwe staram się powstrzymać mój szalony mózg przed przekonaniem mnie, że mogę wypić tylko jedną szklaneczkę i nic się nie stanie. Co poniedziałek wstaję i idę do pracy. To też jest wojna. Powiedz mi, że to, przez co przechodzi twoja matka, nie jest wojną- z samą sobą, z tobą, z twoim ojcem.
- Lily zacisnęła powieki.
- Jej nie szło tak dobrze.
- Nie.
- Ty radzisz sobie o wiele lepiej.
- Trochę lepiej. Nie mogę zaprzeczyć, że odkąd spotkałem ciebie, jest o wiele lepiej - uśmiechnął się. - Ale nie radziłbym sobie tak dobrze, gdybym mieszkał na

Maui. Byłbym zupełnie jak ona: siedziałbym na tarasie, zastanawiając się, skąd wezmę następnego drinka. Myślisz, że teraz, kiedy straciła stopę, chce mniej pić? Myślisz, że dostrzegła swój błąd? - Wypuścił głośno powietrze. - Potrzebuje tego bardziej niż dawniej. Jej całe życie koncentruje się na tym jednym pragnieniu i nie spocznie, dopóki nie wymyśli, jak dostać się do sklepu, żeby kupić alkohol. Robi to tak, jak my wszyscy, bo jesteśmy tylko słabymi ludźmi i nic nie możemy na to poradzić.

389 Lily nie spuszczała z niego wzroku. Pogłaskał ją po twarzy.

- Jaki jest podtekst twoich słów? - spytała. - Kiedy wyzdrowieję, a nasza namiętność przeminie, chcesz znów być tylko moim przyjacielem? Chcesz, żebym znalazła sobie kogoś innego?

- Nie. Chcę tylko, żebyś zrozumiała, że bez względu na to, jak sobie poradzimy z naszymi kłopotami, a poradzimy sobie na pewno, ja nie mogę obejść się bez alkoholu. Pokój płaczu? Nie mogę z niego wyjść. A raczej wychodzę, ale nie mogę do niego nie wracać. A to nie jest życie dla ciebie.

- Skąd wiesz, czego ja chcę, czego potrzebuję od życia? Nie masz o tym pojęcia. Chcę zostać z tobą. Mam taki wybór, czy może to też mi zabrano?

- Masz. Nie złość się na mnie. To życie nie jest jedynym, jakie znam, ale jedynym moim. Nie potrafię być bardziej szczery.

- Wolałabym, żebyś był trochę mniej szczery.

Zamilkł w ciemności. To zawsze było najgorsze: jego milczenie w ciemności.

- Powiedz mi, Spencer, czy twoim zdaniem ten arszenik zadziała? Mam czterdzieści procent szans. Uda się?

- Oczywiście, że się uda, Liliput.

Próbowała się odsunąć, lecz nie pozwolił jej, przytrzymując ją od tyłu, pieszcząc piersi, całując w szyję.

Leżeli samotni, badając swoje własne dusze; ona chora na raka, on walczący z rozpaczliwym pragnieniem wypicia choćby kropli alkoholu.

Teraz do głosu dochodzi moja wolna wola, pomyślała, przytulając się mocno do niego. Wybieram ciebie. Zranionego, krwawiącego, umierającego, pijącego, siedzącego w pokoju płaczu z wilkiem wyjąłym nieustannie u drzwi. Wybieram ciebie.

Spencer nie pojawił się ani w piątek, ani w sobotę. Lily nie rozmawiała z nim na ten temat. Nie powiedziała: Spencer, ja biorę zastrzyki z arszeniku, a ty się zajmujesz Bóg wie czym. Zamiast tego zaczęła nieśmiało:

- Spencer, DiAngelo chce, żebym przyszła w piątek na kroplówkę i badania krwi.

- W piątek?

- Tak, arszenik trzeba brać siedem dni w tygodniu. A badania robię teraz trzy razy w tygodniu. Możesz po mnie przyjść do szpitala i odwiedzić do domu? Paul i Rachel pracują.

Przyszedł.

390

A potem jeszcze bardziej nieśmiało:

- Spencer, jestem taka słaba. Nie mogę znieść obrazów w sobotę rano. Popatrz, ile ich mam teraz, kiedy znów jesteśmy razem. Czy możesz mi pomóc? Może zapakujesz je do samochodu? I pomożesz rozstawić stolik?

Przyszedł w sobotę rano spragniony jak pies po długim biegu i pomógł jej

zapakować obrazy, a potem siedział razem z nią na własnym składanym krześle. Kobiety, które kupowały jej obrazy, wykrzykiwały:

- To pan! To pan jest jej mężą!
- Tak, to ja - odpowiadał szeptem.

Namalowała serię siedmiu małych obrazków zatytułowaną *Whisky w dłoniach*, które poszły od razu.

Poniedziałek, wtorek, środa, czwartek, piątek, sobota, niedziela - każdego dnia inne ręce zaciskały się wokół szklaneczki lub butelki whisky, szklaneczka była pełna, pusta, ręce krwawiły. Obrazy kupił świetnie ubrany, poważny mężczyzna, który powiedział tylko:

- Dam pani dziesięć tysięcy dolarów za wszystkie.
- Spencer? - nieśmiało chrząknięcie. - Wiesz, że nigdy nie widziałam Bruce'a na żywo? Występuje na dziesięciu koncertach w Madison Square Garden. Słyszałam, że w soboty bywa najlepszy. Ale oczywiście nie ma już biletów.

Ponieważ ochroną koncertów zajmowała się policja nowojorska, Spencer zdobył bilety w pierwszym rzędzie po prawej stronie sali. Pierwszego lipca w sobotę zabrał Lily, by obejrzała ostatni koncert Bruce'a Springsteena w Madison Square Garden. Przez trzy i pół godziny podskakiwała z radości, śpiewała wszystkie dwadzieścia osiem piosenek, przetańczyła dwa bisy, żyła pełnią życia.

Ale to było nic, NIC w porównaniu z tym, co się wydarzyło później. To było jak magiczne zaklęcie.

- Spencer, tak się boję, gdy jestem sama w mieszkaniu. Na wspomnienie twarzy tego Milo aż ściska mnie w żołądku ze strachu. A jeśli on tu przyjdzie? Wiesz, parę dni temu zabrakło mi mleka i musiałam iść do supermarketu. Tak bardzo się bałam, że o mało nie zadzwoniłam na policję i nie poprosiłam o eskortę.

- Liliput, ja jestem policją. Zadzwoń do mnie.

- Właśnie dzwonię, Spencer - powiedziała po długiej chwili. Kiedy przyszedł następnym razem, przyniósł ze sobą swoje rzeczy.

391Na początku lipca DiAngelo nie przyszedł w niedzielę. Lily boleśnie odczuła jego nieobecność, zupełnie jakby przeżyła cały dzień bez szklanki wody.

W poniedziałek rano zjawił się bez Joy, bez radości, jego usta z trudem rozciągały się w bladym uśmiechu. Jednak w końcu się uśmiechnął.

- Zadzwońmy do twoich sióstr i brata, Lily. Sprawdźmy, czy będą mogli być dawcami szpiku.

Straciłam wiele rzeczy, myśli Lily, patrząc na swojego lekarza, który jest tak przybity. Nie wie, co ma powiedzieć, bo on też nie może znaleźć słów.

Liczba białych ciałek krwi rośnie zatrważająco szybko, odwrotnie proporcjonalnie do malejącej liczby płytek krwi.

Wojna nadal szaleje tam, gdzie wydaje ci się, że jej nie dostrzegasz, w samym środku pachnącego latem Nowego Jorku, w samym środku pięknego, wygodnego życia. Nagle rozlega się warkot werbli i ostrzega przed zbliżającą się krwawą jatką. Zamknęła oczy. Wstrzymała oddech.

- Spencer zaprosił mnie na doroczny piknik Związku Policjantów. Ma się odbyć za kilka tygodni.

- Nie planowałbym zbyt wiele, Lii - powiedział DiAngelo. - Przeszczep szpiku jest teraz najważniejszy.

Przerwał podawanie arszeniku, przeniósł Lily do swojego szpitala i ponownie

rozpoczął łagodną terapię. Podawał jej kombinację leków, by wyniki wreszcie się poprawiły. Łagodną, bo tylko taką mógł wytrzymać jej organizm.

Spencer znów ogolił głowę, najpierw sobie, a potem jej. Różnica pomiędzy poprzednim zabiegiem polegała na tym, że kiedy skończył, ujął jej łysą głowę w obie dłonie i pocałował każdy centymetr pokrytej ostrą szczecina skóry.

Nie wolno jej było chodzić do kina, sprzedawać obrazów, spacerować w tłumie, chodzić do restauracji. Kiedy tylko mogła wstać, malowała, a Spencer przysuwał jej krzesło do sztalug. Kiedy nie mogła wstać, malowała na podłodze. W sobotę rano to Spencer pojechał na Ósmą Ulicę, usiadł przy stoliku i sprzedawał jej obrazy. Niektóre kobiety podchodzące do stolika płakały.

- Niciej nie będzie-powiedział Spencer. - Musi tylko trochę odpocząć. Proszę spojrzeć, nadal maluje.

Miłość Lily - Spencer na kanapie, bardzo duży i Lily siedząca na jego kolanach, przezroczysta i bardzo malutka.

392

Miłość Lily - piękna kobieta o brązowych włosach siedzi na ławce w małej wiosce, latem, z małą blondwłosą dziewczynką, która przytula twarz do jej twarzy.

Lily leżała w łóżku otoczona zegarami odmierzającymi czas. Lipiec. Taki ciepły, lato szeleści w liściach.

Och, życie. Wielka zagadka. Kim jestem? Nie chcę umrzeć, zanim się tego dowiem.

Nie chcę umrzeć.

Amanda wróciła wcześniej z wakacji w Montanie, by oddać szpik do zbadania.

Annę zjawiała się w Mount Sinai, ale wcześniej dopadła DiAngela i zapytała go o rokowania Lily.

DiAngelo nie mógł sobie poradzić z jej wynikami. Wszystko było postawione na głowie - dwucyfrowa liczba płytek, siedmiocyfrowa białych ciałek krwi. Ilość czerwonych utrzymywano na stałym poziomie dzięki ciągłym transfuzjom.

Dlaczego DiAngelo nie chciał wspomnieć o tym Annę ani słowem?

- To bardzo dzielna dziewczyna. Nigdy się nie skarży.

- Jakie są rokowania, doktorze?

- Pani Ramen, potrzebujemy próbki pani szpiku, żeby sprawdzić, czy może pani zostać dawcą. Zajmijmy się najpierw sprawami najważniejszymi, a dopiero potem drobiazgami. - Ruszył szybkim krokiem w stronę laboratorium.

- Rokowania to teraz drobiazg? - spytała Annę. - Od kiedy tak jest? Czy rokowania nie są najważniejsze w planowaniu kuracji?

- Tak. Zostało nam tylko jedno. Jedyna rzecz, która pozwoli jej przeżyć: przeszczep szpiku. Zajmijmy się tym.

- Ale szanse, doktorze, jakie są szanse?

- Sądzę, że mimo sporej różnicy temperamentów, są całkiem spore. Naprawdę.

Lily, wyciszona i zrównoważona, podchodzi do tego wszystkiego ze stoickim spokojem. Zupełnie jak Marek Aureliusz.

*Nie czuj wstrętu ani nie trać odwagi i nie popadaj w zwątpienie. Do rzeczy, z którymi jesteś losem sprzężony, staraj się dostosować. Pamiętaj: i człowiek bardzo stary, i ten, który ma umrzeć we wczesnej*

*393młodości, tracą po równi. Tylko terażniejszości bowiem mają być pozabawieni<sup>14</sup>*

Tak jest, dopóki pewnego popołudnia tuż po weekendzie Czwartego Lipca Spencer zjawia się w ciągu dnia, kiedy leży podłączona do kroplówki, i przynosi jej lilię. Błdziutka jak one Lily ciska bukiet na podłogę.

- Nigdy więcej nie przynosi mi kwiatów - mówi i odwraca się do Marcie. Spencer pyta Marcie, czy może na chwilę zostawić ich samych. Kiedy zamykają się za nią drzwi, podnosi kwiaty z podłogi i wrzuca je do kosza na śmieci. Kiedy odwraca się do Lily, dostrzega w jej oczach łzy.

- Co się stało? - pyta. - Andrew przyjdzie jutro, żeby oddać próbkę szpiku. Wszystko jest w porządku.

- Nic nie jest w porządku. Gdzie się podziewałeś? Nie widzisz, co się ze mną dzieje?

Ogarnia go tak wielki smutek, że zaczynają mu drżeć ramiona.

- Nie będę ci już więcej przynosił kwiatów - mówi.

- Świetnie. I zabierz swoje rzeczy z mojego mieszkania.

- Dobrze.

- I nie przychodź tu więcej. Mam Joy i Marcie.

- W porządku, Lii.

Lily próbuje usiąść na łóżku, lecz nie może tego zrobić bez jego pomocy. Kiedy Spencer pochyla się nad nią, chwyta go za klapę marynarki i słabo potrząsa. Siada obok niej na łóżku i przytula ją, podczas gdy ona uderza go pięścią w pierś.

- Powiedz mi, Spencerze o'Malley - mówi i obejmuje go za szyję, ale po chwili odpycha go i patrzy mu z rozpaczą prosto w twarz: - Siedzisz tutaj i udajesz, że wszystko jest w największym porządku, przeszczep na pewno się uda, jeśli tylko znajdziemy dawcę, i wszystko ułoży się jak najlepiej. Powiedz mi jednak, dlaczego nie chciałeś w sobotę sprzedawać moich obrazów? Ukrywasz się za butelką, zgoda, ale dlaczego nie chciałeś tam pójść?

Spencer mruga gwałtownie powiekami i wstaje z łóżka. Robi krok do tyłu, czuje, że go to przerasta, nie zdoła już tego wytrzymać. Nie mógł sprzedawać jej obrazów. Kiedy dowiedział się, że arsenik nie przyniósł spodziewanych efektów, nie może już sprzedawać obrazów. Chce powiedzieć, że pojedzie na Ósmą w tym tygodniu, ale to kłamstwo. Nigdzie nie

<sup>14</sup> Marek Aureliusz, *Rozmyślania*, przekład Marian Reiter.

394

pojedzie i ona doskonale o tym wie. Nie może tego zrobić, gdyż boi się, że już niedługo obrazy będą jedyną rzeczą, jaka zostanie po Lily.

- Żałuję, że nie potrafił mnie jakiś pieprzony autobus - rzuca Lily przez zaciśnięte zęby. - Nie ma nic gorszego niż to, co teraz. Żałuję, że nie zniknęłam jak Amy. Jedna chwila, niespodziewana i nieodwracalna. Pod wieloma względami czuję, że tak się właśnie stało, tyle tylko, że nadal oddycham. Wszyscy wokół mnie zachowują się, jakbym nie żyła od roku, i tylko czekają, by moje ciało przestało funkcjonować.

- Ja też się tak zachowuję? - pyta Spencer, cofając się jeszcze o krok.

- Kiedy przynosisz mi kwiaty, mimo że nadal żyję, kiedy przynosisz tu moje obrazy, zamiast je sprzedawać, kiedy chodzisz wokół mnie na paluszkach i wcale mnie nie dotykasz, tak. Tak. Myślisz, że to już nie potrwa długo. A potem wszystko wróci do normy. Idź do diabła. Nie jestem twoją pokutą, Spencer.

- Lily... - Z trudem udaje mu się powiedzieć cokolwiek.

- Co? To niesprawiedliwe. Wiem, to prawdziwa tortura. Wypadek samochodowy, katastrofa samolotowa, nagle zniknięcie Amy. Cokolwiek, byle nie to. Cokolwiek, żebyś mógł dalej spokojnie żyć i nie zasypywał mnie białymi liliami.

- Czy matka Amy żyje dalej spokojnie? - Nie wspomina o sobie.

- Jeśli Amy się znajdzie, będzie żyła.

- Śmierć pozostaje śmiercią- mówi Spencer, delikatnie nawiązując do swojej sytuacji.

Ale ona nie słyszy.

- Wiesz, DiAngelo przestanie podawać mi chemię. Mówi, że nic nie pomaga, a przez nią jestem coraz bardziej chora. Ma rację. Czy udzielił mi jednej ze swoich rad? Czy nie mówił mi kiedyś, że gdybym pragnęła utonąć, nie powinnam się męczyć w płytkiej wodzie?

- To nie była żadna rada. Opowiadałem ci o czymś zupełnie innym.

- Ale musiałeś o tym powiedzieć DiAngelowi. Bo on cię posłuchał. Koniec z chemią. I spójrz na mnie: nie żyję i nie umarłam. Czym jestem? Czym jestem bez cewnika? Karmi mnie dożylnie, co pięć minut robią transfuzję. Mój organizm nie potrafi sam wytworzyć ani jednej czerwonej krwinki. Moja wątroba i nerki nie potrafią szybko przestać funkcjonować. Mówisz o płytkiej wodzie. Poddajamnie dializie, aparaty kontrolują pracę mojego serca, ja... Wiem, przez dwadzieścia trzy lata trzymałam się z dala od życia, ale byłam szczęśliwa! Boże, przeżyłabym podobnie sto dwadzieścia trzy. Chcę tylko... - złożyła dłonie w modlitewnym geście- ...chcę

395tylko być głupia i nic nie wiedzieć. Chcę chodzić do kina, spać, malować, siedzieć w niedzielę w Central Parku, czuć zapach deszczu, żyć jak wszyscy, jakbym była nieśmiertelna. Ale nie chcę już dłużej tego. Opada na poduszki. Spencer nie może do niej podejść.

- Czego chcesz, Lily? - pyta.

- Nic. Chcę tylko żyć.

## 64

### AMYIANDREW

Andrew przyszedł do szpitala Mount Sinai, by oddać próbkę szpiku, a potem zapukał do drzwi pokoju Lily. Towarzyszyła mu Miera. U ich boku stało dwóch agentów ochrony. Andrew bardzo zeszczupłał, postarzał się, a kiedy spojrzał na nią, twarz poszarzała mu jeszcze bardziej. Lily musiała wyglądać podobnie jak on. Jeszcze nigdy nie była tak chuda.

Przyprowadził ze sobą Mierę!

To nie do pomyślenia.

Lily i Spencer spojrzeli na siebie. Po chwili Spencer wbił wzrok w swoje dłonie.

Lily wskazała palcem agentów.

- Dlaczego oni zawsze są teraz przy tobie?

- Dla mojej ochrony. Nie czuję się bezpieczny - odparł Andrew.

- To bardzo rozsądne - powiedział Spencer.

Nie patrząc nawet na niego, Andrew spytał, czy mógłby na chwilę ich zostawić samych.

- Andrew, czy Miera też może nas zostawić na chwilę? - spytała Lily.

- Miera jest członkiem rodziny - odparł.

- Skoro tak, to Spencer też zostanie.

- W takim razie ja wyjdę.
- Świetnie, Andrew - rzuciła Lily. - Nie widziałam cię od listopada, a teraz tak po prostu wyjdiesz?

Spencer wstał.

- Wychodzę.

- Nie!

- Lily, poczekam za drzwiami. - Pochylił się nad nią i szepnął: - Jeśli

396

on wie, co jest dla niego dobre, to powiedz mu, żeby cię lepiej nie denerwował.

- Ciii - odszepnęła, lecz widząc spojrzenie, jakie Andrew rzucił wychodzącemu Spencerowi, nie była pewna, czy nie usłyszał.

- Lily - odezwała się Miera, elegancko uczesana, ubrana w kostium Armaniego i szpilki. - Nie wyglądasz wcale najgorzej.

- A spodziewałaś się czegoś gorszego?

- Nie wiem, czego się spodziewałam. Wiedzieliśmy, że jesteś chora. Ale nie wyglądasz... - urwała. - Staram się tylko być miła.

- Dziękuję.

- Jak się czujesz, Lii? - Andrew wziął ją za rękę.

- Świetnie, dziękuję. - Usiłowała powstrzymać drżenie głosu. - Cieszę się, że cię widzę.

Andrew usiadł na brzegu łóżka i objął ją ramionami.

- Liliput - szepnął. - Liliput.

Była spokojna. Dziśpodawali jej cytarabinę. Wymioty. Jutro wróci do domu.

Poklepała go po plecach. Czekwała.

- Miera, możesz nas na chwilę zostawić samych? Proszę.

- Dziękuję ci, Andrew.

- Andrew, ale mówiłeś...

- Wiem. Tylko na chwilę.

Kiedy Miera wyszła, Andrew pochylił głowę i cicho jęknął.

- Strasznie wszystko spaprałem, Lily. To moja wina. Mam nadzieję, że mój szpik pomoże. Spójrz tylko na siebie. Tak mi przykro. Czy możesz mi wybaczyć?

- Co mam ci wybaczyć? Odsunął się.

- To, że tak długo nie przychodziłem.

- Ach, to. Wybaczam.

- Za bardzo się wstydzilem spojrzeć ci w twarz, żeby przyjść. Gdybym tylko mógł, na pewno bym przyszedł. Ale nie mogłem.

- Wiem. Powiedziałaś to Spencerowi.

- Przestań o nim mówić.

- Nie możesz go tak traktować. On tylko wykonuje swoją pracę.

- Nie. On mnie nienawidzi. A to nie należy do jego obowiązków.

- Andrew, to nieprawda.

- Nie chcę rozmawiać o nim. Jesteś chora. Najpierw musisz wyzdrowieć, a potem zajmiemy się całą resztą.

397Odwróciła głowę, pogardzając sobą za tę słabość. Dlaczego nie potrafiła porozmawiać z nim o jedynej rzeczy, o której musieli porozmawiać? Dlaczego sądziła, że Andrew powie jej cokolwiek?

Nie wypuszczał jej z objęć.

- Co to za rurki, do których jesteś podłączona?
- Płynie z nich prosto do mojego serca trucizna z tamtego worka.
- A te inne worki? Podłączone do kroplówki w ramieniu?
- To antybiotyki, glukoza i morfina. Andrew zaczął płakać.
- No już, już - poklepała go po plecach. - Wszystko będzie dobrze. Naprawdę. Nie martw się.
- Czy mogę cię wziąć na ręce?
- Zerwiesz ze mnie łańcuchy.

Podniósł ją bardzo ostrożnie. Usiadł na łóżku i posadził ją sobie na kolanach, tuląc mocno. Oparła mu głowę na ramieniu.

- Liliput, pamiętasz, jak kiedyś nosiłem cię na rękach?
- Andrew, proszę... mam za słabe serce.
- Och, Lily - powiedział. - Jest tyle rzeczy, o których nie mogę ci powiedzieć ze względu na niego. Wiem, że czujesz się zdradzona, ale musisz wiedzieć, że ja też czułem się zdradzony przez ciebie. Nie, nie, nie protestuj, jesteś jeszcze dzieckiem, nie możesz zrozumieć dorosłych. Przyszedłem tutaj z Mierą, by chronić mnie przed tobą, ale kiedy cię zobaczyłem, nie chcę wyjść bez powiedzenia ci jednej bardzo ważnej rzeczy o mnie i o Amy.
- Jakiej? - spytała prawie bezgłośnie.
- Lily, jak mogłaś być tak ślepa? - zapytał ochryple. - Jeszcze do tego nie doszłaś? Byłem w niej rozpaczliwie zakochany! Chciałem dla niej zostawić wszystko! Kochałem ją bardziej niż kogokolwiek czy cokolwiek innego. Moją pracę, karierę, przyszłość, rodzinę. Na całym świecie istniała dla mnie tylko ona. Nadal miała problemy z ostrością widzenia, obraz był zamglony.
- Naprawdę?
- Tak. Weszła w moje życie i wszystko zmieniła. Nic już nie było tak jak dawniej. Nie spodziewałem się tego. Ona z pewnością też nie. Nie wiedziała, że pokocham ją aż tak mocno. Myślała, że to będzie tylko przelotny romans z wpływowym mężczyzną. I nagle się stało.
- Jeśli kochałeś ją tak bardzo, to dlaczego postanowiłeś zerwać? Bo to ty... zerwałeś?

398

- Nie. W kwietniu powiedziała mi, że nie będziemy się już więcej spotykać.
- Naprawdę?
- Tak. Ni stąd, ni zowąd. Powiedziała, że już mnie nie kocha i nie ma sensu ciągnąć tego dłużej.
- Uwierzyłeś jej?
- Początkowo nie. Myślałem, że to jakiś podstęp. Może chciała, żebym szybciej odszedł od żony albo nie startował w wyborach do Senatu. Nie wiem. Ale byłem załamany. W końcu jednak uwierzyłem. Przekonała mnie, że już mnie nie kocha.
- Jak?
- Po prostu to zrobiła. Swoim zachowaniem. Była bardzo chłodna. Odsunęła mnie zupełnie. Swoimi słowami. Powiedziała kilka rzeczy, przez które uwierzyłem.
- Jakich?
- Przestań, Lii. Jesteś moją siostrą, a nie detektywem. Przestań się zachowywać jak glina.
- Dlaczego mu o tym nie powiedziałaś?



- Chyba o tym nie wiesz, ale jakimś cudem udaje mu się wykorzystać przeciwko mnie każdą osobistą rzecz, jaką mu powiedziałem.
- Och, Andrew.
- Lily, uwierz mi. Nasz związek z Amy nie miał nic wspólnego z tobą. Wiem, że trudno ci w to uwierzyć i czujesz się zdradzona. Tak długo cię oszukiwaliśmy. Aleja się po prostu zakochałem i straciłem głowę. Wszystko inne przestało się liczyć. Jeśli chcesz cokolwiek powiedzieć swojemu przyjacielowi, powiedz mu to.
- Wiesz, Andrew, detektyw o'Malley we wszystkich sprawach polega wyłącznie na sobie.

- Szczerze mówiąc, uważam, że w zaistniałych okolicznościach tak chyba jest najlepiej.

- Ja też. Uśmiechnęli się.

- Przykro mi, Lii, że to wszystko tak się poplątało.

- Mnie też, kochany. Mnie też.

- Czy ten policjant jest teraz z tobą przez cały czas?

- Kiedy nie jestem tutaj albo z Joy. Tak. Mniej więcej.

Słyszając to, Andrew powiedział coś, w co długo nie mogła uwierzyć:

- To dobrze, Liliput. To dobrze.

399Po wyjściu Andrew do pokoju wrócił Spencer i usiadł na krześle obok łóżka.

Lily wyciągnęła rękę, zdjęła mu okulary i zasłoniła oczy dłońmi.

- Co robisz? - Nie cofnął się jednak.

- Wyrzucić z oczu to spojrzenie detektywa. Nie cofnę dłoni, dopóki nie wróci Spencer.

Pocałował jej rękę, odsunął się, uśmiechnął i założył okulary.

- Przestań na mnie patrzeć - powiedziała.

- Masz zamknięte oczy. Skąd wiesz, że na ciebie patrzę?

- Bo zawsze tak się gapisz, kiedy chcesz coś wyciągnąć. Przestań. Leżała w milczeniu, oparta o poduszki. On nadal siedział bez ruchu.

- Co teraz robisz? - spytał.

- Nic. - Na jej twarzy pojawił się uśmiech. - Zgodnie z twoją serdeczną radą jak każdy obywatel Stanów Zjednoczonych korzystam z prawa do zachowania milczenia.

Spencer przyniósł kanapkę dla siebie i zupę dla Lily. Jadła pomalutku, łyżka za łyżką, by nie podrażnić umęczonego żołądka.

- No dobra, chcesz wiedzieć, co mi powiedział? - spytała, kiedy skończyła jeść.

Zamknęła oczy, próbując się nie denerwować. W ostatnich dniach stanowczo za szybko się denerwowała.

- Moja kochana Lily. - Podniósł jej dłoń do ust. - Chcesz, żebym ci powiedział, co wyznał Andrew? Powiedział ci, że Amy skoczyła mu do gardła, wyrwała serce, potem rzuciła je na podłogę, podeptała szpilkami, napłuła na nie, wrzuciła do piekarnika i upiekła na miękko. Potem pokroiła na małe kawałeczki, położyła na grzance i podała mu z uśmiechem, czekając, że powie: „Dzięki, kochanie. To było pyszne”.

Otworzyła oczy. Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Spencer w zamyśleniu wbił w nią przenikliwe niebieskie oczy.

- Spencer...

- Lily, ja nigdy nie myślałem, że Amy go kochała. Zawsze podejrzewałem, że jest

na odwrót.

- Dlaczego? Dlaczego tak sądziłeś?
- Z kilku powodów.
- Podaj mi choć jeden.
- Bo oddawała biżuterię, którą kupował.
- Co takiego?
- Tak. Nie oddajesz bezdomnemu menelowi ze schroniska biżuterii,

400

którą ukochany kupił ci u Tiffany'ego, chyba że nie kochasz mężczyzny, który daje ci te cacka, tylko menela.

- Teraz to już zupełnie ci odbiło. Amy kochała Milo? To najbardziej absurdalna rzecz, jaką w życiu słyszałam. Wiesz, co z tobą jest nie tak? W ogóle nie rozumiesz kobiet.
- Wielkie dzięki.
- Na ciebie urok mojego brata może nie działać, ale żadna kobieta nie może mu się oprzeć. Amy może go uwiodła, powiewając rudymi włosami, ale on też ma swoje sztuczki. Nie można go nie pokochać.
- Co chcesz przez to powiedzieć? Że nie potrafię dostrzec miłości?
- Zgadza się.
- Pokaż mi ją Amy. Znajdź ją dla mnie. W jakiegokolwiek formie, a na pewno ci uwierzę.

**65**

### **NATHAN SINCLAIR PO RAZ OSTATNI**

- Nie mogę uwierzyć, że znów tu jestem- powiedział Spencer do Liz Monroe.
  - Mamy kilka nowych spisanych pod przysięgą zeznań, które chcielibyśmy z panem omówić.
- Rozejrzał się po pokoju. Powiedziała „Mamy”, ale tym razem była sama. Siedzieli we dwójkę w dużej klimatyzowanej sali konferencyjnej.
- Dlaczego pan nie siada? - Rozłożyła kartkę papieru. - To zeznanie Constance Tobias.
  - Dobra. - Usiadł.
  - Znają pan?
  - Oczywiście.

Monroe odchrząknęła i skoncentrowała się na liście.

- W złożonym pod przysięgą zeznaniu powiedziała, że kilka tygodni przed śmiercią Nathana Sinclaira przyjechał pan do niej do więzienia o zastrzonym rygorze, z którego właśnie ją zwolniono po odbyciu sześcioletniej kary za zbrodnię, której -jak mówi w tym zeznaniu - nie popełniła.

401 Spencer milczał.

- Czy chce pan coś dodać?
- Nie. A powinienem? Jak na razie nie ma tu niczego, co chciałbym skomentować.
- Za zbrodnię, której nie popełniła.
- Za zbrodnię, której, jak mówi, nie popełniła. To dwie różne rzeczy. W więzieniu aż roi się od niewinnych osób. Proszę tylko zapytać.
- Jest pan przekonany o jej winie?
- Jestem przekonany, że przyznała się do zabójstwa, by uniknąć oskarżenia o

morderstwo i dożywocia. Jestem przekonany, że chciała uniknąć procesu przed ławą przysięgłych złożoną z jej rówieśników, gdyż dowody przemawiały przeciwko niej. Jestem przekonany, że choć w więzieniach aż roi się od niewinnych osób, ona nie należy do ich grona.

- W swoim zeznaniu powiedziała, że był pan wyraźnie poruszony waszą rozmową.  
- Nie bardziej ani mniej niż bywam poruszony wieloma rzeczami podobnej natury. Czy coś jeszcze?

- Zatrzymajmy się tu na moment. W zeznaniu pani Tobias można znaleźć aluzje do tego, że być może nie był pan do końca przekonany o jej winie i mógł odszukać osobę, która pana zdaniem tę zbrodnię popełniła, a której udało się wywinąć sprawiedliwości. Czy to możliwe, detektywie?

- Czy to możliwe? - Spencer uniósł brwi i wzruszył ramionami. - To nie jest niemożliwe.

- Skoro już jesteśmy przy zeznaniach złożonych pod przysięgą, mam tutaj dwa złożone przez pańskich współpracowników. Byłego partnera Chrisa Harkmana i Gabe'a McGilla. Przesłuchaliśmy ich i...

- Czy detektyw Harkman, który zakończył już pracę w policji, nadal zeznaje ze szpitalnego łóżka?

- Nie widzę związku, detektywie o'Malley. Detektyw Harkman powiedział nam, że raz czy dwa razy, kiedy piliście razem po pracy, wyznał pan, cytując: „Ten drań z Greenwich dostał to, na co sobie zasłużył”.

Spencer wybuchnął śmiechem.

- Chwileczkę. Po wypiciu kilku drinków powiedziałem mojemu partnerowi, że drań z Greenwich dostał to, na co zasłużył?

- Tak.

- No dobrze, załóżmy, że powiedziałem coś takiego. Myśli pani, że to dowód na popełnienie morderstwa?

402

Liz Monroe, niewzruszona, ciągnęła dalej.

- Mówię panu tylko, co się znajduje w pańskich aktach, detektywie o'Malley. Gabe McGill, który też z panem popijał i który zna pana od pięciu lat, przysięga jednak, że, pijany czy trzeźwy, jest pan absolutnie niewinny. Podobnie jak pański kapitan.

- To miłe - rzucił obojętnie Spencer. - Ale wróćmy do moich uwag po pijanemu. Raz jeszcze pytam: Czy te słowa można uznać za przyznanie się do winy?

- Raczej nie.

- Aha, raczej nie.

- Ale jest to jeszcze jeden dowód poszlakowy przeciwko panu.

- To bardzo cieniutka poszlaka, jeśli mogę to tak ująć. W sądzie nie miałyby żadnych szans. Wypiłem kilka drinków i powiedziałem, że jakiś facet w Greenwich dostał to, na co zasłużył.

- Detektywie o'Malley, zostawmy to na chwilę. Czy uważa się pan za człowieka, który umówiłby się za dnia ze swoją przyszłą ofiarą, wiedząc, że na miejscu zbrodni zostaną potem odnalezione pańskie włosy i odciski palców i będzie pan składał zeznania poparte przez świadków, bo od tego rozpoczęła śledztwo policja w Suffolk?

- Nie.

- Nie? Czy uważa się pan za człowieka, który kupiłby ciemne ubrania i buty, celowo za duże, i ciemny worek, do którego by pan potem schował rzeczony ubrania i wyrzucił, oraz przyniósł popularną broń, zaparkował w miejscu publicznym, sprowokował Nathana Sinclaira, by wystrzelił pierwszy?

- Nie.

Liz Monroe patrzyła na Spencera zza stołu konferencyjnego.

- Detektywie, chciałabym pana jeszcze o coś spytać. Czy uważa się pan za człowieka zdolnego do wymierzenia samemu sprawiedliwości, jeśli uważałby pan, że nie stało się jej zadość? Czy nie dawałaby panu spokoju myśl, że sprawca morderstwa niewinnej osoby chodzi bezkarnie po świecie? Czy zaryzykowałby pan swoją pracę, opinię, pozycję w policji, wolność i życie i wziął prawo w swoje ręce?

Dłonie Spencera spoczywały spokojnie na blacie stołu.

- Proszę pani, codziennie patrzę, jak ludziom pewne rzeczy uchodzą na sucho. Ludziom, którzy sprzedają narkotyki dzieciom, rodzicom, którzy zmuszają swoje dzieci do prostytucji, by mieli za co kupić heroinę, 403ojcom, którzy molestują swoje dzieci tak straszliwie, że te dzieci wolą uciec i skazać się na poniewierkę, byle tylko znaleźć się jak najdalej od rodziców. Matkom, które topią swoje małe dzieci w jeziorach, a potem zgłaszają ich zaginięcie. Mężczyznom, którzy zrzucają ciała swoich dziewczyn do oceanu z wynajętych samolotów. Proszę mi powiedzieć: Czy ci ludzie trafiają za kratki? Z pewnością nie. Ja jestem tylko jeden i robię co mogę. - Wstał. - Jednak to, o co mnie pani oskarża, w żaden sposób nie przystaje do moich akt, przebiegu służby, dwudziestu pięciu lat pracy w policji czy też opinii moich przełożonych i współpracowników. - Urwał, by lepiej podkreślić swoje słowa. - Tak więc odpowiedź na pani pytanie, które zadała pani na podstawie wszystkiego, co pani o mnie wie i tego, co mogła pani wyczytać z akt obejmujących ćwierć wieku, brzmi: „Nie”.

On stał, ona nadal siedziała. Nie spuszczała z siebie wzroku. Spojrzenie Liz Monroe było przenikliwe.

- Detektywie, rozmawiałam z pańskim szefem, kapitanem Whittake-rem. Rozmawiałam o panu z jego szefem. Rozmawiałam z szefem pańskiego związku zawodowego. Rozmawiałam z pańskimi współpracownikami. Ma pan rację - wszyscy bardzo wysoko pana cenią. Pański bezpośredni przełożony nie może się pana nachwalić. W ciągu ponad dwudziestu lat nikt nigdy nie mógł nic panu zarzucić - z wyjątkiem tej sprawy. Nie wysunięto pod pana adresem żadnych skarg, nie nadużywał pan siły, nie wziął łapówki, niczego nigdy nie wymusił. Ale te zarzuty nie znikną. Na pewno nie w okręgu Suffolk. Ani nie tutaj. Wiem, że z powodu plotek przeniósł się pan z Suffolk do Nowego Jorku. Nathan Sinclair pozostanie z panem niczym kula u nogi.

- Przyznaję, że taki, a nie inny koniec Nathana Sinclaira nie napawa mnie smutkiem. Nigdy nie płaczę po śmierci złych ludzi. I bardzo rzadko płaczę nad śmiercią tych dobrych. - Głos lekko mu zadrżał. - Czy jeszcze w czymś mogę pani pomóc?

Monroe zaniknęła akta.

- Nie. Ocenę wszystkie zebrane materiały i napiszę raport. Pozostanie pan w czynnej służbie. Jeśli coś się zmieni, zostanie pan powiadomiony.

- Nie mogę się już doczekać chwili, kiedy pani raport znajdzie się na moim biurku.

Podala mu rękę.

- Harkman wspominał, że jego zdaniem za dużo pan pije -powiedziała, nie cofając dłoni. - Proszę uważać.

404

Spencer puścił jej dłoń i pomyślał, że na pewno pożałowała już swych słów, które zabrzmiały jak ostrzeżenie, a nie zarzut.

- Dziękuję, zawsze jestem ostrożny.

- Z pewnością, detektywie o'Malley.

- Po tym wszystkim, przez co dzięki pani przeszedłem, proszę mi mówić Spencer.

66

### **ŁÓDKA NA KEY BISCAYNE**

- Lii, chyba wyrzucą mnie z pracy.

- Co takiego?

Opowiedział jej o ostatnim spotkaniu z Liz Monroe. Słuchała go bardzo uważnie.

- To śmieszne, prawda? Spencer milczał.

Przez chwilę bacznie mu się przyglądała, a potem odwróciła twarz. Kilka godzin później, kiedy zapadła noc, a Lily niemal zasypiała, przyciągnęła go do siebie i szepnęła:

- Spencerze Patricku o'Malley, ja ufam ci bezgranicznie. I bezgranicznie w ciebie wierzę. Aniołowie znajdują prawdę. A ja nie muszę wiedzieć nic więcej.

- To dobrze. Już i tak za dużo wiesz.

- Może teraz, kiedy ta Liz Monroe tak cię ściga, wiesz, jak czuje się mój brat ścigany przez ciebie.

Milczał przez długą chwilę. Pomyślała, że zasnął. Oddychał ciężko, jakby wypił tysiące szklaneczek whisky.

- Ja tak to rozumiem - powiedział w końcu. - Ziemia się burzy. Kłamstwa, sekrety, oszustwa wypływają na powierzchnię, wszechświat pragnie się oczyścić, demony wychodzą z ukrycia, a prawda wychodzi na jaw.

Była pełnia lata. Przez otwarte okno do pokoju wpadał lipcowy upał. W przyrodzie panowało ożywienie i Lily nie chciała myśleć o zimnych rzeczach. Pragnęła ciepła.

Spencer leżał nagi w łóżku, a nad nim wisiał obraz

405 *Dziewczyna na Times Square*, który przeniósł do sypialni, i korkowa tablica pełna jej młodego życia, kiedy nadal była z nią Amy; życia, kiedy jeszcze nie umierała. Przypięty kupon na loterię, który oddali jej na pamiątkę, 49, 45, 39, 24, 18, 1, a obok pasek z głupimi zdjęciami, które zrobili sobie ze Spencerem w automacie.

Poczuła dotyk jego dłoni na plecach, lecz nie odwróciła się, bo łatwiej było z nim rozmawiać, kiedy nie widziała, jak jego twarz tężeje, zamyka się.

- Jeśli stracisz pracę, moglibyśmy stąd wyjechać - powiedziała. - Moglibyśmy wyjechać z Nowego Jorku w jakieś ciepłe miejsce.

Nie zaprotestował, szepnął tylko:

- Jesteś najśłodsza, jesteś piękna. -1 po chwili spytał:

- A o jakim miejscu myślisz?

- Może gdzieś na południe od Miami? Key Biscayne? Słyszałam, że tam jest bardzo pięknie. Moglibyśmy zbudować dom tuż nad wodą. A ty miałbyś łódkę.

- Miałbym - odparł powoli. - A co ty byś robiła?

Byłabym z tobą, chciała powiedzieć. Całowałabym cię. Może nauczyłabym się gotować. Robiłabym ci gulasz, spaghetti i klopsiki, może coś polskiego z przepisów mojej babki, choć wątpię, by w Ravensbriick mogła nauczyć się gotować. Malowałabym cię i dla cię, czyściłabym ryby, gdybyś się nauczył je łowić. Pływalibyśmy codziennie, woda jest tam bardzo ciepła przez cały rok. Całe dnie spędzalibyśmy na świeżym powietrzu. Sami zrobilibyśmy meble, może z wikliny. Bylibyśmy razem. Żylibyśmy. Ja bym żyła.

To był piękny sen.

Nie powiedziała jednak ani słowa. Teraz na świecie panuje pokój. Nie jesteśmy już w stanie wojny. Czy Tomas nie dość walczył? Możemy się przenieść w ciepłe miejsce, znaleźć nową pracę, sprawić, by nasze życie stało się lepsze, wrzucając kartony z rzeczami do bagażnika i korzystając z wolnej woli. Nie musimy walczyć z Niemcami. Tomas już to zrobił. Nie musimy trafić do Ravensbriick. Klavdia Venkiewicz już tam była. Nie musimy odpychać swoich dzieci, gdy do nas biegną ze łzami w oczach. Ania Pevny już to zrobiła. Oni wszyscy już to zrobili, żebyśmy mogli teraz wybierać, gdzie chcemy mieszkać: w Nowym Jorku czy w Miami, pracować w policji czy łowić ryby.

Kochać czy nie kochać?

Pić czy nie pić?

406

Mieć raka czy nie mieć?

Nagle z porażającą jasnością pojęła, że może pokój jest tylko iluzją. Może nadal muszą walczyć i płacić wysoką cenę za zwyczajną radość życia. Może nawet ta zwyczajna radość jest też tylko iluzją. Pozostaje jedynie walka.

- W porządku, nie będzie łodzi - powiedziała, starając się, by zabrzmiało to wesoło. - Możemy otworzyć własną agencję detektywistyczną w Miami: *Spencer i Lily, prywatni detektywi, rozwiążemy każdą, najbardziej błahą sprawę.*

Moglibyśmy żuć tytoń, trzymać węże w zbiorniku z wodą i kończyć każde zdanie splunięciem. Ja bym nosiła takie słodkie kowbojki i minispódniczkę, paradowała na szpilkach i pytała: „Czy to już wszystko, detektywie O'Malley?”.

- To naprawdę piękny sen. - Spencer pocałował ją mocno.

67

## **CABO SAN LUCAS**

DiAngelo postanowił zakończyć chemioterapię. Dał Lily vicodin na ból, antybiotyki przeciwko infekcjom i wysłał ją do domu.

- Jeśli będzie cię bardzo bolało, wróć do szpitala. Damy ci morfinę.

- A jakie są wyniki badań próbek szpiku?

- Potrzebujemy jeszcze trochę czasu.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Na wszelki wypadek szukamy też w Międzynarodowym Rejestrze Dawców. I pobierzemy też próbkę od tego twójego detektywa.

Lily nie spuszczała wzroku z DiAngela.

- Czy wszystko jest w porządku?

- W jak największym - uśmiechnął się blade. - Nie martw się. Na pewno znajdziemy dawcę. Musimy tylko jeszcze trochę poczekać na wyniki.

Po zakończeniu chemii Lily nie czuła już nudności i przestały jej krwawić usta. Za

to na nogach znów pojawiły się siniaki. Wyglądała zupełnie jak matka. Była zmęczona. Powoli znikala; każdego dnia było jej mniej. Wiedziała, że znika, bo przestała malować.

Mimo to poszła ze Spencerem na doroczny piknik Związku Policjantów, zorganizowany i sfinansowany przez Billa Bryanta.

407Piknik odbył się w niedzielę na Wielkim Trawniku w Central Parku. Spencer dał jej do potrzymania okulary, koszulę i wybiegł na boisko, by rozegrać mecz piłki nożnej z policjantami z Brooklynu oraz mecz baseballu przeciwko detektywom z Wydziału Kradzieży w Queens. Wszyscy oficerowie zjawili się z rodzinami, był popcorn i wata cukrowa, batut i frisbee, piwo i orzechy. A muzyka grała naprawdę GŁOŚNO.

Na pikniku pojawił się nawet burmistrz Nowego Jorku. Zajrzał też komendant policji. Bill Bryant, członek rady miasta i wielki przyjaciel policjantów - dzięki któremu Spencer nosił nową kamizelkę kuloodporną- nie czuł się dobrze i nie mógł przyjść. Przesłał jednak w zastępstwie swoją uroczą żonę Cameron.

Lily siedziała w cieniu pod rozłożystym dębem. Trzymała w ręce szklanekę soku pomarańczowego i okulary Spencera. Choć było bardzo ciepło, miała na sobie długie białe spodnie, by ukryć siniaki, i białą bluzkę z długimi rękawami, by ukryć chudość rąk. Włożyła też słomkowy kapelusz z dużym rondem. Unikała tłumu i rozmów, gdyż trochę kręciło się jej w głowie, jednak bacznie obserwowała wyczyny Spencera na boisku. Myślała o tym, jak kiedyś był małym chłopcem i prawdopodobnie grał w piłkę przez cały czas. Spytała go przed wyjściem, kiedy ostatni raz był na takiej imprezie, odparł, że nigdy. A jednak teraz biegał po boisku, kopał piłkę i śmiał się, jakby miał dwadzieścia lat. Jakby miał dwadzieścia lat i całe życie przed sobą.

W pewnej chwili do Lily podeszła kobieta z koktajlem Mimoza w ręce i usiadła obok niej na ławce.

- Jestem Cameron Bryant - przedstawiła się. - Mój mąż sfinansował tę imprezę. Mam nadzieję, że wszyscy dobrze się bawią. Bardzo go to ucieszy. Nie czuję się najlepiej. Tak jak ty.

- Ja bawię się świetnie — odparła Lily.

- Jesteś chora?

- Tak.

- To początek?

Lily odetchnęła głęboko.

- Nie.

Cameron była po siedemdziesiątce, elegancka, zadbana i bardzo miła.

Opowiedziała Lily o swojej walce z rakiem. Lily wysłuchała jej ze współczuciem.

Ludzie lubili opowiadać o sobie, a Lily lubiła słuchać. Cameron powiedziała, że dwadzieścia lat temu zachorowała na raka piersi. Przeszła mastektomię, brała chemię raz, potem jeszcze raz i jeszcze, walczyła z chorobą przez dziesięć lat, a teraz od dziesięciu lat jest czysta.

408

- Bardzo się cieszę, że wszystko jest w porządku - powiedziała Lily.

- Ty też wyzdrowiejesz. Zobaczysz. Czyjajesteś żoną?

- Niczyją. Mam dopiero dwadzieścia pięć lat.

- Kiedy ja byłam w twoim wieku, byłam już mężatką i miałam troje z czworga

dzieci - powiedziała Cameron.

Lily uśmiechnęła się i wypła łyk soku.

- Wie pani, jakie są dziś dziewczęta w Nowym Jorku. Nie wychodzimy już młodo za męża. Ani nie mamy dzieci. Jesteśmy zbyt zajęte szukaniem samych siebie.

- A ty znalazłaś, kochanie?

- Tak - odparła Lily. - Znalazłam siebie z nim - wskazała na boisko i skinęła na Spencera. - Będzie zachwycony, mogąc panią poznać. I osobiście podziękować za kamizelkę. Ale chyba nie widzi mnie bez okularów. Jest krótkowidzem. Spencer! - próbowała go zawołać, lecz ostatecznie się przekonała, że niewiele jej prób się udaje. Spencer dostrzegł ją jednak i usłyszał. Podszedł, spocony, zdyszany i bardzo szczęśliwy. Włożył koszulę, a Lily przedstawiła go pani Bryant.

- Wie pan, gdy nie czułam się dobrze, tak jak ona teraz, lekarze powiedzieli mi, że najlepszą rzeczą jest wyjazd. Czasami trzeba się po prostu wyrwać na parę dni - powiedziała Cameron.

- To dobry pomysł - odparł Spencer. - Powiedziałem Lily, że kiedy tylko poczuje się trochę lepiej, zabiorę ją na Maui - uśmiechnął się, a Lily wybuchnęła śmiechem.

Cameron nie była jednak w stanie docenić żartu.

- Nie, nie. Dlaczego właśnie tam? - spytała z powagą. - Na Maui jest pięknie, byliśmy tam kilka razy, ale jeśli naprawdę chcecie zobaczyć raj na ziemi, musicie pojechać do Cabo San Lucas. To miejsce dla bogów.

Spencer nigdy o nim nie słyszał. Cameron powiedziała im, że znajduje się na południowym cyplu półwyspu Baja, otoczone wodą ze wszystkich stron. Razem z Billem mają tam niewielki domek nad samym oceanem.

- Podróżowaliśmy po całym świecie, ale naszą rocznicę ślubu spędzamy tylko tam. To magiczne miejsce - uśmiechnęła się. - W maju obchodziliśmy pięćdziesiątą pierwszą. Wyobrażacie to sobie? Pięćdziesiąt jeden lat w małżeństwie?

- Z tym samym mężczyzną? - spytała Lily.

Spencer się roześmiał, po czym wziął okulary od Lily i wsunął je na nos.

- Powiedziała pani, że obchodzicie rocznicę w maju? - Nie spuszczał wzroku z Cameron.

409- Tak, piętnastego. To chyba idy majowe, prawda?

- I jeździecie do Meksyku tylko na jeden dzień? To bardzo długa podróż, prawda?

- Och nie, jeździmy na cały tydzień. Przyjeżdżamy dwa, trzy dni przed rocznicą, a potem zostajemy jeszcze na dwa, trzy.

- Brzmi wspaniale - powiedział Spencer, nie patrząc na Lily, która położyła mu rękę na ramieniu i szepnęła cichutko: „Spencer, proszę cię”. - Jeździecie tam co roku? W zeszłym roku też byliście? W okolicach czternastego maja? - Nie spuszczał wzroku z Lily.

- Oczywiście. - Cameron zmarszczyła brwi. - W zeszłym roku świętowaliśmy pięćdziesiątą rocznicę! Pojechaliśmy do Cabo na dziesięć dni. Byliśmy tam chyba od dziesiątego do dwudziestego maja. Odbył się mały zjazd rodzinny - uśmiechnęła się. - Mamy siedmioro prawnuków, byli zachwyceni.

Lily nie puszczała Spencera, wbijając mu paznokcie w ramię.

- Dziękujemy pani bardzo - powiedziała szybko. - Musimy już iść. Było mi miło panią poznać.



- O tak - dodał Spencer. - Dzięki pani dowiedziałem się o Cabo San Lucas mnóstwo rzeczy, o których nie miałem pojęcia.
  - Cała przyjemność po mojej stronie. Potrafi pan słuchać, detektywie o'Malley. Oboje potraficie. Zawsze byłam przekonana, że jeśli ktoś nie potrafi słuchać, niczego się nie nauczy i nie dowie.
  - Ma pani absolutną rację. Zwłaszcza w mojej pracy.
- Pani Bryant odeszła. Spencer stał nieruchomo, a Lily nadal nie wypuszczała jego rąk z mocnego uścisku. „Spencer, proszę cię” - powtarzała raz po raz. Odsunął ją od siebie delikatnie, posadził na ławce i usiadł obok niej. Przez kilka minut siedzieli bez słowa. Potem pożegnali się i wrócili taksówką do domu. Kiedy zamknęli za sobą drzwi, położyli na komodzie broń, klucze i portfele, zaparzyli herbatę, wzięli z lodówki colę i usiedli na kanapie. Spencer spytał ją, co chciałyby obejrzeć. Odparła, że jest jej obojętne, byleby nie musiała za dużo myśleć. Obejrzeli więc komedię *Ace Ventura*, wybuchając nawet od czasu do czasu śmiechem. Kiedy położyli się do łóżka, odwrócili się od siebie, ale tylko na krótką chwilę.
- Spencer...
  - Wiedziałem, że złamiesz się pierwsza.
  - No, odwróć się.
  - Nie. Znam cię.

410

Ale się odwrócił.

- Spencer... - zaczęła błagalnym głosem. - Nie proszę cię, żebyś nie rozmawiał z moim bratem. Nic z tych rzeczy. Proszę tylko, żebyś najpierw odnalazł Milo. Nic więcej. Pojedź do Kiplingerów, na pewno już wrócili z wakacji. Oni na pewno coś ci powiedzą. Znajdź Milo. Może przy okazji odkryjesz jeszcze coś ważnego. Proszę cię, Spencer, to tylko kilka dni. Ten radny musiał się pomylić, kiedy wpisał nazwisko Andrew do terminarza w dniu, kiedy nie było go w Nowym Jorku. Spencer milczał.

- Wiem, o czym myślisz - powiedziała.
- Nawet nie masz pojęcia.
- Wiem. Alibi Andrew to oszustwo. Wiem, że to bardzo źle wygląda. Wiem, ale proszę cię. Proszę. Zrób to dla mnie. Poszukaj mężczyzny, któremu Amy oddawała biżuterię od Andrew.

Spencer milczał.

- Wiesz, kto wie, kim jest Milo? - spytał w końcu. - Twój brat. Wie i aż wije się z bólu za każdym razem, kiedy wypowiadam jego imię. Wie, ale nic nie chce powiedzieć.

Zasnęli.

Następnego ranka Spencer i Gabe byli w drodze do Port Jefferson, by porozmawiać z matką Lindsey Kiplinger.

- Przygotuj się - powiedział Spencer. - Będziemy mieli do czynienia z pogrążoną w smutku matką. Popraw krawat i staraj się wyglądać poważnie i dostojnie. Pani Kiplinger nie była zachwycona ich widokiem. Zaprosiła ich co prawda do kuchni, ale zachowywała się tak, jakby chciała w każdej chwili wezwać policję. Nie ufała im, co od razu znalazło odbicie w jej słowach.
- Nie mam pojęcia, o co chcecie mnie pytać. Moja córka nie żyje od pięciu lat.

- Bardzo nam przykro z tego powodu - powiedział z wielką powagą w głosie Gabe. Najwyraźniej stosował się do instrukcji. Rezultat był jednak oplakany. Zawsze wyglądał i mówił tak, jakby chciał komuś przyłożyć. Kiedy kobieta się odwróciła, Spencer szturchnął go łokciem.

- Zamknij się, do cholery.

- Próbowałem tylko pomóc.

- Najlepiej pomożesz, trzymając gębę na kłódkę.

411 Usiedli przy stole. Pani Kiplinger z ociąganiem zaproponowała kawę. Gabe się ucieszył, lecz Spencer odmówił za nich obu.

- Dziękujemy bardzo, ale musimy już iść. - Jakby na dowód swoich słów wstał i pociągnął za sobą Gabe'a. - Śmierć tak młodej osoby zawsze jest wielką tragedią, zwłaszcza jeśli był to wypadek spowodowany przez pijanego kierowcę. Czy zbiegł z miejsca wypadku?

Pani Kiplinger spojrzała na niego, jakby mówił po rosyjsku.

- O czym pan mówi? - spytała. - Moja córka nie zginęła potrącona przez pijanego kierowcę.

- Nie? Jestem pewny, że w moich notatkach... - Wyjął notes i zaczął przerzucać puste kartki.

- Może pan przerzucić całą *Wojnę i pokój* i nic z tego nie wyniknie. Wiem, jak zginęła moja córka i z pewnością nie ma mowy o alkoholu - zacisnęła dłoń na kubku. - To był jakiś środek halucynogeny. Zrobili jej sekcję i okazało się, że miała we krwi duże ilości mescaliny.

Spencer zamknął powoli notes.

- To straszne - powiedział Gabe. - Jednak mescalina zwykle nie jest przyczyną śmierci ani wypadków samochodowych...

- Jest, jeśli nafaszerowana nią osobą zjeżdża prosto w przepaść w Superstition Mountains.

- Och. Nie miałem pojęcia, że ona...

- To nie ona. Co pan tam ma w tych notatkach? Moja córka nie prowadziła samochodu. Prowadził ten jej przekłety chłopak.

Spencer otworzył notes, tym razem naprawdę. Koniecznie musiał to zapisać.

- To straszne. Zna pani jego nazwisko? Chcielibyśmy złożyć kondolencje jego rodzinie.

- Kondolencje? Ten drań nie zginął. Spencer podniósł wzrok znad notesu.

- Nie?

- Nie. Ten sukinsyn przeżył. Ale nigdy nie wrócił do domu. Wzięli jakieś środki, rozbili się samochodem, moja Lindsey zginęła, a on odniósł poważne obrażenia. Nie sądzę, by jego rodzina posunęła się do kłamstw w sprawie tych obrażeń, więc nie wnieśliśmy sprawy do sądu. Wiem jednak, że nie wrócił do domu. - Spojrzała na nich, mrużąc oczy. - O co tu w ogóle chodzi?

- Czy jechali tym samochodem sami?

- Samochodem tak. Ale sądzę, że w te ich... praktyki była zaangażowana cała grupa.

412

- Proszę mi powiedzieć, czy słyszała pani kiedyś o Kościele Amerykańskim?

- Och, to jakaś głupota, która zawróciła im w głowach. Dowiedziałam się o tym dopiero po wypadku.

- Lindsey też?
  - Dlaczego pan pyta?
  - Bo próbujemy go znaleźć. - Spencer pokazał jej zdjęcie Milo. Wzdrygnęła się, przyjrzała się dokładnie oczom, a potem powiedziała, że na pewno zapamiętałaby taką twarz, gdyby ją kiedykolwiek widziała. Spencer widział jednak, że oczy Milo wydały się jej znajome.
  - Jeśli poda nam pani nazwisko chłopaka córki, natychmiast sobie pójdziemy.
  - Clark. Mieszkają gdzieś przy Old Post Road. Po co panu ta informacja? Spencer nie mógł pojąć, dlaczego ludzie zadają tyle pytań.
  - To nie poważnego. Chcemy go tylko zapytać o parę rzeczy - odparł Gabe, który nagle okazał się o wiele delikatniejszy od partnera. - Bardzo pani dziękujemy. Bardzo nam pani pomogła. Miłego dnia. I powodzenia.
  - Miłego dnia i powodzenia? - spytał Spencer, gdy siedzieli już w samochodzie.
  - W takich sytuacjach jestem beznadziejny. Nie wiem, co powiedzieć. Chcę tylko zadać pytania i zniknąć. Wszystkie te uprzejmości nie chcą mi przejść przez gardło.
  - Żartujesz chyba?
  - O'Malley, co twoim zdaniem Kościół Amerykański ma z tym wszystkim wspólnego?
  - Nie jestem pewny. Jeśli do niego wstąpili, mogli dostawać peyotl albo mescalinę legalnie i za darmo.
  - O ilu dzieciakach mówimy?
  - Lily powiedziała mi, że było ich sześcioro. Lindsey i jej chłopak. Amy i prawdopodobnie Milo. No i jeszcze dwójka. Z tej szóstki zaginęli Clark, Milo i Amy. Amy powiedziała Lily, że pozostała trójka nie żyje.
  - O cholera, to była niezła jazda - powiedział Gabe.
  - Dowiemy się. Porozmawiamy teraz z panią Clark. Ale wyświadczyć mi przysługę. Uśmiechaj się i kiwaj uprzejmie głową, ale w żadnym wypadku nie odzywaj się ani słowem.
- 413Pani Clark przyjęła ich z jeszcze większymi oporami niż pani Kiplinger i nie chciała otworzyć drzwi, dopóki nie zagrozili, że wrócą z nakazem rewizji. Słyszając to, cofnęła się i splatając ręce na piersiach, stanęła na werandzie. Jej dom na Long Island, podobnie jak wszystkie inne w sąsiedztwie, otaczał zadbane trawniki i szeroki podjazd.
- Jego życie legło w gruzach - powiedziała, nie patrząc na nich, lecz na świeżo przystrzyżony trawnik. - Dopiero niedawno wrócił do jakiejś takiej równowagi. Dlaczego nie zostawicie go w spokoju? Spencer próbował wyrzeć odpowiednie wrażenie, mówiąc, że została popełniona zbrodnia. Słowa „Gabe McGill z Wydziału Zabójstw” dodały powagi temu stwierdzeniu.
  - W istocie popełniono zbrodnię - przyznała pani Clark. - Lecz jej ofiarą padł mój syn.
  - Kto ją popełnił?
  - Te dranie, z którymi podróżował. Zatruli jego umysł, wyprali mu mózg.
  - Czy jeden z nich tak wyglądał? - Spencer pokazał jej rysunek Milo wykonany przez Lily, a potem zdjęcie Johna Doe.
  - Nie wiem, kto to jest - odparła spokojnie, jakby twarz Milo nie była najbardziej

przerażająca, jaką widziała w życiu. - Nigdy nie słyszałam o żadnym Milo. - Wyglądało na to, że świetnie nad sobą panuje.

- Jak dobrze pani syn znał Amy McFadden? Uniosła brwi.
- Ach więc o to chodzi? - prychnęła. - O tę zaginioną McFadden? Myślicie, że wybrała się w odwiedziny do mojego syna?
- Nie wiem. Jak dobrze ją znał?
- Niezbyt dobrze, była od niego młodsza. Ale może trzymali się razem.
- Czy wie pani, z kim jeszcze trzymała się Amy?
- Nie. Widziałam ją tylko raz czy dwa, bo przyjaźniła się z tą Lindsey, z którą chodził mój syn.
- Czy dlatego pani syn chciał jechać na tę wyprawę?
- Udawał tylko, że ta Kiplingerówna mu się podoba, ale nic dla niego nie znaczyła. Był dla niej za dobry.
- Dlaczego więc pojechał?
- Powiedziałam już panu, że wyprali mu mózg. Zaprzyjaźnił się z grupką złych ludzi. Powiedziałam mu o tym. Powtarzałam, że źle robi, nie mówiąc rodzicom, co wyprawia w szkole. Myślę, że z tej Amy było niezłe ziółko.

414

Jeny nigdy nie opowiadał o tym, co robili. Zawsze nas zbywał. Co robiłeś synu? Och, nic takiego. - Prychnęła cicho. - A potem wyjechał. Wyjechał i tyleśmy go widzieli. Kiedy przez cały rok nie miałam od niego żadnych wiadomości, wiedziałam, że to się źle skończy. Powiedziałam mężowi, że to tylko kwestia czasu, gdy pewnego dnia w środku nocy zadzwoni telefon. Czekaliśmy na ten telefon przez kolejny rok.

- I czego się pani dowiedziała?
- Nigdy nie pozwoliłabym mu jechać, gdybym wtedy wiedziała to, co wiem teraz. Myślałam, że to tylko grupa dzieciaków, która chce zobaczyć kawałek świata.
- A co wie pani teraz? - Spencer nie mógł z niej wyciągnąć żadnych konkretów.
- Słyszałam, że wszyscy nie żyją.
- No cóż, wie pani, że tak nie jest. Pani syn żyje.
- Jeśli można to uznać za życie. Ale reszta zginęła.
- Amy nie zginęła: Wróciła do Nowego Jorku.
- A gdzie jest teraz? - spytała pani Clark.
- Milo też nie zginął.
- Nic nie wiem o tym Milo.

Zdecydowanie odmawiała udzielenia informacji o miejscu, w którym przebywał jej syn. Nie chciała, by go „niepokojono”. Spencer początkowo był bardzo łagodny, potem zaczął nalegać, a na koniec zagroził, że zdobędzie nakaz sądowy, by przejrzeć wszystkie wyciągi bankowe, bo na pewno znajdzie tam miesięczne wpłaty za pobyt syna. Dopiero ta groźba skłoniła ją do wyznania, że jej syn „przebywa” (to określenie pani Clark, nie Spencera) w klasztorze Świętego Augustyna w Meksyku, na południe od Nogales w stanie Arizona. Na pytanie dlaczego nie przywiozła syna do domu, odparła:

- Czy zna pan jakieś klasztory na Long Island, detektywie o'Malley?
- Czy pani syn... musi przebywać w klasztorze? - spytał Spencer.
- Miał do wyboru albo klasztor, albo szpital psychiatryczny. Nie zabrzmiało to zbyt obiecująco.

- Gabe, wydaje mi się, że musimy się wybrać na małą wycieczkę - powiedział Spencer już w samochodzie.

Gabe się roześmiał.

- Tak, Whittaker na pewno natychmiast wyrazi zgodę. Dzieciak, którego miejsce jest w wariatkowie, pozostaje pod opieką meksykańskich zakonnic, które nie mówią po angielsku, a my przejedziemy cztery tysiące kilome-

415trów, żeby zapytać go o... No właśnie, o co? Gdzie jest Milo? Jak udała się ostatnia jazda z peyotlem? Odpowiem ci od razu i dzięki temu nie będziemy musieli lecieć do żadnego pieprzonego Meksyku. Było fatalnie, stary.

Whittaker oczywiście nie wyraził zgody.

- To nie jest New Jersey, Pensylwania, Delaware czy żadne inne miejsce, w którym ścigasz te swoje cienie, o'Malley.

Oświadczył, że jeśli Spencer chce ścigać cienie w Nogales, będzie to musiał zrobić w wolnym czasie i na własny koszt.

- Co, zmieniłeś zdanie? Kiedy musisz sam za to zapłacić? - uśmiechnął się szeroko. - Nagle cała sprawa wydała się mniej ważna? Muszę jednak przyznać, że jestem pod wrażeniem. Nareszcie postanowiłeś sprawdzić w tej sprawie jakiś inny ślad, a nie tylko dręczyć Quinna.

- Tak... - Spencer nie powiedział nic więcej. Jeszcze przez kilka dni chciał zachować informacje o Billym Bryancie dla siebie.

- Dlaczego nie porozmawiasz z tym Jerryem Clarkiem przez telefon?

- On jest w *klasztorze*.

- A co, w klasztorach nie mają telefonów? - Whittaker wzruszył ramionami. - Zresztą skąd mam wiedzieć. Może powinni. W każdym razie nie wyrażam zgody na ten wyjazd. Ale masz jeszcze zaległy urlop. Może chciałbyś go w ten sposób wykorzystać? Od pięciu lat nie miałeś wolnego całego tygodnia. Najwyższa pora to zmienić. Jedź do Arizony, zabaw się, posiedź na słońcu. Bardzo ci się to przyda, wyglądasz okropnie.

Spencer nie wiedział, co robić. Nawet jeśli mógł tam jechać, pozostawała jeszcze... Lily. Czy mógł ją zostawić, gdy była tak chora? A jeśli znajdą dawcę? Albo jej stan się pogorszy?

Kiedy opowiedział jej o Jerryem Clarku, kazała mu jechać natychmiast.

- Musisz znaleźć odpowiedzi na wszystkie pytania. Od tak dawna nie mieliśmy żadnych odpowiedzi. Jedź. Ja będę twoim Billem Bryantem, twoim osobistym sponsorem.

Zawahał się przez chwilę.

- A co z tobą?

- Ze mną? - uśmiechnęła się. - Na jak długo planuje pan wyjechać, detektywie? Zgadzam się na pańską nieobecność, ale tylko od czwartku do niedzieli. Musisz wrócić na nasz seans komediowy. Nic mi nie będzie. Nie zauważyłeś, że po odłączeniu chemii czuję się znacznie lepiej? Nie rzucam już białych lili na podłogę.

416

- To nie była chyba kwestia chemii - powiedział, obejmując ją mocno. - Gabe musi jechać ze mną.

- Zrobisz to, co musisz.

- Ale tobie nie wolno się oddalać od domu.

- Tak jakbym mogła.
- I nie wolno ci wychodzić w nocy. Poproszę, żeby podczas mojej nieobecności przed domem czuwał patrol, tak na wszelki wypadek, ale ty też musisz na siebie uważać.
- Dobra - siedziała na kanapie z rozpromienioną twarzą.
- Mówię poważnie. Wcześniej przyniosę ci wszystko, czego możesz potrzebować. A gdyby ci czegoś zabrakło, zadzwoń do Joy. Albo do Annę, do starej Coleen z końca korytarza, do kogokolwiek.
- Tak jest.
- I prześlij mi wiadomość na pager, jeśli będziesz mnie potrzebowała. Tym razem postaraj się nie zapomnieć numeru.

**68**

### **DZIEŃ W KLASZTORZE**

Pustynia Sonoran była dwukolorowa: dookoła tylko żółty piasek, a nad nim niebieskie niebo. Mimo wieczoru nadal było gorąco, a wśród kolców wielkich kaktusów powiewały białe kwiatki. W tym surowym krajobrazie Spencer dostrzegł jednak coś więcej niż tylko pustkę, coś bardzo spokojnego i świętego. Może nie było to najgorsze miejsce dla załamane go chłopca takiego jak Jerry. Poluźnił krawat, zdjął marynarkę, podwinął rękawy koszuli i otworzył okno. Gabe spał bez koszuli na tylnym siedzeniu, obojętny na uroki pustyni.

W skład niewielkiego klasztoru o nazwie Asunción wchodził mały kościół, a przez owalny przejazd w murze widać było szesnastowieczne budynki. Klasztor znajdował się na północnym zachodzie Meksyku, sześćdziesiąt kilometrów na południe od granicy Stanów Zjednoczonych i cztery tysiące kilometrów od Lily. Na powitanie wyszła przeorysza, drobna kobieta w czarnym welonie i z ostrym zapaleniem oka oraz dwie surowe zakonnice w czerni. Okazało się, że całkiem dobrze mówią po angielsku.

Fakt, że Spencer był detektywem i katolikiem nie wywarł na nich naj-417mniejszego wrażenia. Zwłaszcza to, że był katolikiem, pomyślał. Czyniąc przed nimi znak krzyża, drobniutka przeorysza odmówiła im udzielenia jakichkolwiek informacji co do stanu zdrowia Jerry'ego Clarka. Powiedziała tylko, że reaguje wyłącznie na imię „Hobbit”.

- Nie udzielimy panu żadnych odpowiedzi, detektywie - powiedziała matka Agnes, najwyraźniej nie bojąc się jego odznaki.

Spencer zamilkł. Zakonnice powiedziały, że jest już późno i Jerry'emu pod żadnym pozorem nie należy przeszkadzać. Rankiem rozważą tę sprawę raz jeszcze. Obu policjantom przydzielono kwatery, do których poprowadzono ich bardzo szybko, zwłaszcza gdy mijali podwójne otwarte drzwi do refektarza, gdzie trzydzieści młodych zakonnice przełamywało się chlebem przy długich stołach. Podniosły wzrok, „niezwykle badawczy”, jak określił to szeptem Gabe, a matka przełożona rzuciła natychmiast:

- Proszę się nie ościagać, panowie.

Kiedy znaleźli się w pokojach, przyniesiono im chorizo z fasolą i ryżem, herbatę oraz tequilę. Zachwyciła ich obfitość chorizo, zmartwiła niewielka ilość tequili.

- Spence, czujesz coś w powietrzu? - spytał Gabe, dopijając herbatę.

- Nie. A co mam czuć?

- Nie wiem. Naelektryzowane erotyzmem powietrze wydychane przez trzy tuziny

młodych dziewcząt, które od lat nie widziały mężczyzny, nie mówiąc już o dwóch?  
- uśmiechnął się Gabe. - Nie wspominam oczywiście o tych, którzy przebywają tu na stałe.

- Wydaje mi się, że dopuszczasz się świętokradztwa w klasztorze - odparł Spencer z uśmiechem. - Idź spać. Jutro czeka nas długi dzień.

- To będzie długa noc - odparł Gabe.

Noc w istocie ciągnęła się w nieskończoność, a przez wszystkie te długie godziny Spencer żałował, że nie ma już ani kropli tequili.

Następnego ranka rozpoczęli naradę z matką przełożoną i pozostałymi zakonniami.

- Co z nim jest nie tak? - wyrwało się Gabe'owi.

- Chcielibyśmy się z nim teraz zobaczyć - powiedział bardziej pojednawczo Spencer.

Zakonnica nie odpowiedziała. Spojrzała tylko z dezaprobatą na detektywa McGilla. Spencer nagle poczuł lęk, który zaszczerpiło w nim surowe katolickie wychowanie. Po chwili złożył ręce jak do modlitwy.

- Matko przełożona, to bardzo poważna sprawa - powiedział. - Wiem, że wasz pacjent jest chory, ale tu chodzi o życie młodej dziewczyny. Sądźmy, że może nam udzielić informacji, które pomogą nam ją znaleźć.

418

Przeorysza była nieporuszona.

- Czy ta dziewczyna zaginęła?

- Tak! - wykrzyknął Spencer przekonany, że zakonnica zda sobie sprawę z powagi sytuacji. Mylił się jednak.

- Chłopak nie wychodził z pokoju przez cztery lata, z wyjątkiem krótkich spacerów na dziedzińcu. On nic nie wie.

Spencer wypuścił powietrze i spróbował jeszcze raz.

- Znał tę dziewczynę pięć lat temu.

- Nie przyjmuje żadnych gości z wyjątkiem rodziców, którzy odwiedzają go podczas świąt Bożego Narodzenia. Nie rozmawiał przez telefon, prawie nie odzywa się do lekarzy. Rzadko opowiada o wypadku, po którym do nas trafił, i o swoim dawnym życiu. Szuka pan w złym miejscu, detektywie. Tutaj nie znajdzie pan żadnych odpowiedzi.

Spencer nalegał, tłumaczył i przekonywał i z każdą chwilą stawał się coraz bardziej sfrustrowany. W końcu musiał zagrozić, że przywiezie nakaz sądowy, na mocy którego Hobbit zostanie przewieziony do szpitala w Nogales, gdzie pozostanie w jurysdykcji policji stanowej w Arizonie. Dopiero wtedy przeorysza ustąpiła, ale wcześniej wydała Spencerowi surowe polecenie, by nie denerwował chłopaka („jego stan uległ znacznej poprawie”). Po drodze na trzecie piętro Gabe szepnął:

- O'Malley, lepiej będzie, jak szybko wydebimy od niego odpowiedzi. Nie mogę tu zostać na kolejną noc, to miejsce mnie zdeprawuje. Jestem zbyt wielkim grzesznikiem, a na dodatek od dziesięciu lat nie byłem w kościele.

- Znalazłeś się w odpowiednim miejscu, by prosić o przebaczenie - od-szepnął Spencer. - Na twoim miejscu zacząłbym od razu. Dziesięć lat to bardzo długo. On sam nie był w kościele od dwudziestu.

Przeorysza zatrzymała się na trzecim piętrze przed czystym płótnem

pokrywającym ścianę.

- Detektywie, to człowiek na krawędzi.

- Czyż wszyscy nie jesteśmy na krawędzi? - Spencer spojrział przelotnie na płótno. Lily dokonałaby z nim cudów. Dlaczego pozostawiono je puste i powieszono na ścianie, jakby było dziełem sztuki? Żeby on mógł wypełnić je treścią?

- On jest zupełnie bezbronny. Nic mu nie zostało. Modlimy się i przemawiamy do niego kojącym głosem, żeby wyciągnąć go z otchłani, w której się znalazł. Ale on tkwi tam przez cały dzień. Nie wie już, kim

419jest. Całe dni spędza albo w stanie katatonii, albo całkowitej paniki. Wyobraża sobie, że go mordują, grzebią żywcem, widzi pełzające po pokoju jadowite żmije, węże w łóżku, skorpiony na ścianach. To wszystko stanowi źródło nieustającego przerażenia. Czasami widok nowych ludzi, lekarzy, pracowników opieki społecznej, nawet zakonnic, wywołuje wspomnienia tragicznych przeżyć. Ze wszystkimi szczegółami. Dlatego nie pozwalamy, by ktokolwiek go odwiedzał. Powrót do punktu wyjścia trwa potem całymi tygodniami i miesiącami. Torturuje sam siebie wspomnieniami. My pocieszamy go modlitwą.

- I jak to wygląda, matko? Minęło już pięć lat. Czy udało się go wyleczyć?

- To skomplikowany proces, detektywie.

- Wyobrażam sobie, że bardzo długi. - Spojrzął na puste płótno.

- On jeszcze nie doszedł do siebie. Może nigdy nie dojdzie. Mówię to panu, bo on nie jest zbyt rozmowny i denerwuje się z najmniejszego powodu. Wejdę tam z panem, bo chcę być pewna, że potraktuje go pan łagodnie. Detektywie, czy pan mnie słucha?

- Zrozumiałem, matko przełożona - odwrócił się do niej. - Słyszałem każde słowo i obiecuję, że będę niezwykle delikatny. Ale musimy porozmawiać z nim sami.

- Jestem mu potrzebna.

- Będzie sobie musiał jakoś poradzić bez matki przez te pięć minut. Jeśli zgodzi się ze mną porozmawiać, nie zabiorę mu więcej niż pięć minut. A tak przy okazji, czy komórki mają tu zasięg?

- Zasięg? - odparła, zupełnie jakby szukał kontaktu z Lucyferem. Spencer westchnął. Nawet jego pager działał tylko chwilami. Nie miał wiadomości od Lily od czasu, gdy wczoraj rano dotarł do Tucson. Miał nadzieję, że wszystko jest w porządku.

Pokój był niewielki i surowy, a jego okna wychodziły na góry, które wcale nie wydawały się majestatyczne. Łóżko z białą pościelą, biała lampa, dywanik, krzesło przy oknie. Siedział na nim drobny, wychudzony mężczyzna, który wydawał się jeszcze mniejszy, gdyż nie miał nóg. Choć miał dopiero dwadzieścia sześć lat, Spencera zaskoczył jego wygląd starca. Z niewyjaśnionych powodów nagle pożałował, że zostawił Lily samą.

420

**69**

## **ANARCHISTA W AKCJI**

Po południu Lily wyszła z domu, żeby kupić czereśnie, bo miała wielką ochotę coś zjeść. Naprawdę. Może jej krew przypominała syrop kukurydziany, ale bez chemii czuła się o wiele lepiej. Pomachała do policjantów siedzących w samochodzie przed jej domem i powoli zaczęła wchodzić na górę, stopień po stopniu.

Pomyślała, że już najwyższa pora, by się przeprowadzić. Na schodach strasznie



cuchnęło. Tysiąc pięćset dolarów miesięcznie, a w całym domu śmierdziało jak jeszcze nigdy dotąd, zupełnie jakby wszyscy bezdomni z okolicy postanowili się tutaj schronić. Z każdym stopniem odór stawał się coraz gorszy, jak gdyby znalazła się w Tompkins Square Park. Kiedy otworzyła drzwi do mieszkania, smród uderzył ją z wielką siłą. Odetchnęła głęboko i próbowała powstrzymać krzyk. Mężczyzna o kryształowych oczach siedział na jej kanapie, brudząc jej koce i poduszki.

W ułamku sekundy odwróciła się, by uciec, lecz on zerwał się z kanapy i w jednej sekundzie był przy niej, zatykając jej usta dłonią. Jego twarz, złamany, opuchnięty nos i szalone oczy znalazły się obok niej. Nad brwiami dostrzegła wytatuowane na niebiesko słowa. Teraz mogła je przeczytać. Na jedną brwią *Aryjski*, nad drugą *Honor*. Na szyi widniał napis *Sierp i młot*, a całą twarz pokrywały dodatkowo napisy *Aryjski honor*. Wciągnął ją do środka i zaryglował drzwi. Smród był porażający - zupełnie jakby otaczał ją tysiąc niemytych mężczyzn i z podświadomą satysfakcją Lily zwymiotowała mu prosto na rękę.

Puścił ją z obrzydzeniem w oczach - on czuł obrzydzenie w stosunku do niej! - i wepchnął do kuchni. Umyła się najlepiej jak mogła. On wytarł się papierowym ręcznikiem i usiadł na kanapie. No to kanapę mamy z głowy. Nie spuszczał z niej wzroku.

- Czego chcesz? - zdołała w końcu wydusić.

Siedział bez ruchu, utkwivszy kryształowe oczy w jej twarzy. Co taka osoba mogła mieć wspólnego z jej uroczą przyjaciółką, która lubiła się bawić, dobrze ubierać, która zawsze wybierała najłżejsze perfumy? On niósł ze sobą swój smród jak kławę.

- Gdzie jest Amy? - spytał gardłowym akcentem. Zrozumiała jego słowa, choć zniekształcał niektóre głoski: „s” brzmiało jak „sz”, a „dzie” jak „się”. Mówił tak, jakby miał coś w ustach.

421- Co? - zabrzmiało to bardziej jak sapnięcie niż pytanie.

- Czego nie zrozumiałaś? Gdzie jest Amy?

- Nie wiem - zająknęła się. - Myśleliśmy, że ty wiesz, gdzie ona jest. Jak możesz mnie o to pytać? Jeśli ty nie wiesz, to kto wie?

Westchnął teatralnie. Pochylił się i spojrzał na nią martwymi oczami.

- Posłuchaj uważnie - mówił bardzo wolno, by Lily mogła zrozumieć każde słowo. - Podoba mi się, że zostawiłaś jej rzeczy na drzwiach - wskazał należąca do Amy małą plakietkę, która nadal wisiała na drzwiach. Spojrzenie Lily nie podążyło jednak za jego palcem. - Ale zrobiłaś sobie pracownię w jej sypialni. Cała ta sztuka - prychnął z pogardą - którą sprzedajesz na ulicy jak włóczęga, powstaje więc tutaj. Teraz już wiem. Korzystasz z jej pokoju. Zupełnie jakby już miała nie wrócić. Musisz więc coś wiedzieć. Gdzie ona jest?

- Kim jesteś?

Jak on się tu dostał? Na ulicy byli policjanci! Musiał wejść od tyłu, przez piwnicę.

- Kiedy zobaczyłaś mnie tamtej nocy w parku, poznałaś mnie. Amy musiała ci o mnie opowiadać. Jestem Milo. Co z nią zrobiłaś?

Stała przyciśnięta plecami do ściany obok drzwi Amy, obok jej plakietki.

- Szukamy jej od ponad roku - powiedziała cicho.

- Nie kłam. Wiem, co robiłaś. Wcale jej nie szukałaś. Zachorowałaś, zajmowałaś się tylko sobą. Dostałaś skądś pieniądze, wydawałaś je, inwestowałaś z firmą

Smith Barney. Odgrywałaś komediijkę z tym swoim detektywem, jakby on mógł coś znaleźć. Ale mam już dość tych gier. To koniec. Powiedz mi, gdzie jest Amy.

- Nie wiem! - krzyknęła piskliwym głosem. Spojrzała na pięćdziesiąt zegarów zawieszonych na ścianie nad jego głową. Która godzina jest teraz w Arizonie? Tutaj było późne popołudnie.

Zaśmiał się ochryple.

- Tak! Bardzo sprytnie to sobie wymyśliłaś: zegary odmierzające twój czas. A kiedy tak na ciebie patrzę, wydaje mi się, że nie zostało ci go już zbyt wiele. Może kupisz sobie jeszcze kilka zegarów i cofniesz wskazówki, żeby sprawdzić, czy możesz dzięki temu zdobyć kilka dodatkowych minut?

Lily spojrzała na dystans dzielący ją od drzwi.

- On nie przyjdzie. W piątki ma od ciebie wolne. Dziś wieczór pije i niesie swoją kochankę w ramionach aż z Soho. - Uśmiechnął się, pokazując zepsute zęby. - Jego też śledzę. Śledzę was oboje. Ale coś ci powiem:

422

wy mnie wcale nie interesujecie. Interesują mnie tylko dwie osoby. Jedną z nich jest Amy. Wiesz, kim jest ta druga?

Lily pokręciła głową i osunęła się na podłogę.

- Drugą jest twój brat, szanowany kongresman Andrew Quinn.

O mój Boże, Spencer, gdzie jesteś? Gdzie jesteś? Lily poczuła, że zaczyna się jej kręcić w głowie.

- Czy twój brat wie, gdzie jest Amy? Bo jeśli on wie, ty też musisz wiedzieć.

- On nie wie. I nic mi nie mówi. - Andrew nic mi nie powiedział, Amy też. Co ja mam robić? Spencer, Spencer.

Lily zrobiła jedyną rzecz, jaką mogła zrobić. Zemdląła. Kiedy się ocknęła, leżała na drewnianej podłodze, a on siedział na kanapie i patrzył na nią obojętnie.

- Chcesz się napić wody? - spytał. - Zaproponowałbym ci narkotyki, ale obawiam się, że to, co mam przy sobie, nie zrobiłoby ci najlepiej, choć w moim przypadku działa cuda - podwinął wystrzępione rękawy.

Lily żałowała, że w pokoju jest tak jasno, bo widziała dokładnie siniaki na wewnętrznej stronie jego ręki. Drugą pokrywała cała mozaika symboli: czarne swastyki mieszały się z niebieskimi gwiazdami Dawida, zielonymi muzułmańskimi półksiężycami oraz czerwonymi sierpami i młotami.

Milo zacisnął gumową opaskę na ramieniu, w drugiej ręce trzymał strzykawkę.

- Nie boisz się igieł, prawda, Lily? Chyba nie, bo dzięki nim odpędzasz śmierć. - Znów pokazał zepsute zęby. - Ale to nie potrwa długo. Już czai się na korytarzu.

Wbił igłę w ciało i kciukiem nacisnął tłoczek strzykawki. Niemal natychmiast jego oczy zaszkliły się, a głowa odskoczyła do tyłu. Z jego gardła zaczęły się wydobywać podobne do gulgotania dźwięki.

Pomyślała, że może przedawkuje. Ogarniała ją coraz większa panika. Kiedy Milo nadal siedział z odrzuconą do tyłu głową, podczołgała się do telefonu, schowała go pod cienką bluzkę i zaczęła przesuwać się w stronę drzwi. On jednak podniósł głowę i spojrzał na nią spod półprzymkniętych powiek. Zamarła, a po chwili nacisnęła guzik TALK i po omacku wybrała numer Spencera. Poczekała chwilę. Zasłoniła palcami mikrofon, w którym rozlegał się jego głos proszący, by zostawić swój numer, a potem zaczęła naciskać cyfry 9-1-1-9-1-1-9-1-1.

Postanowiła zadzwonić pod numer alarmowy. Zdołała go wybrać, ale nie zdążyła

nic powiedzieć, bo Milo spojrział na nią.

423- Co ty robisz?

Nacisnęła guzik OFF i nie ruszała się z podłogi.

- Powiedziałam ci już, że nie wiem, gdzie jest Amy. Myślisz, że gdybym wiedziała, nie starałabym się jej odnaleźć?

Westchnął raz jeszcze, lecz tym razem wyglądał na bardziej zadowolonego. Jego ciało było odprężone, podobnie jak pokryta bliznami i opuchnięta twarz.

- Czego chcesz? - szepnęła.

- Czyżby Amy nigdy nie opowiadała o mnie swojej najlepszej przyjaciółce?

- Kim jesteś?

- Jesteśmy rewolucją. Amy i ja - powiedział triumfalnie. - Przybyliśmy, by zmienić porządek świata.

Rozległ się dźwięk telefonu. Zadzwoił pod bluzką Lily, gdzie go ukrywała.

Spencer!

Milo uniósł brwi. Zmrużył oczy. Wyglądał jak zjawa, był kredowoblady, pokryty bliznami i tatuażami. Wyglądał zupełnie tak, jakby był jeźdźcem apokalipsy i przyszedł po nią z zaświatów. Nie mogła sprawdzić, kto dzwoni. Nacisnęła tylko guzik TALK i krzyknęła:

- Spencer, pomóż mi...

Milo wstał z kanapy, poruszając się jakby w zwolnionym tempie, i uderzył ją w twarz. Straciła przytomność.

**70**

## **MASAKRA**

Przeorysza miała rację - Hobbit nie chciał rozmawiać. Siedział przy oknie i nawet nie próbował ukradkiem spojrzeć na Spencera i Gabe'a. Usiadł na łóżku, by nie poczuł się zagrożony przez ich obecność, ale to najwyraźniej jeszcze bardziej go przestraszyło, bo całe jego ciało zaczęło trząść się spazmatycznie, dopóki nie wstali.

Stali więc, a on już spokojniejszy wyglądał przez okno. Kiedy zapytali go o Amy McFadden, zamrugał powiekami, lecz nie powiedział ani słowa. Na pytanie o Lindsey Kiplinger przewrócił oczami, lecz nadal milczał.

424

Kiedy zapytali o Milo, zaczął się trząść. Kiedy pokazali mu rysunek Milo, zaczął płakać.

Nareszcie! Ktoś rozpoznał Milo! Och, ta Lily.

Płakał jednak w milczeniu. Spencer powiedział mu, że nie wyjdą, dopóki nie zdobędą potrzebnych informacji.

- Jesteśmy tutaj, bo Amy zaginęła, Hobbit. Podejrzewamy, że maczał w tym palce ten człowiek. Wiemy tylko, że ma na imię Milo. Chcemy się dowiedzieć od ciebie, kim jest i co łączyło go z Amy.

Spencer nie mógł ująć tego prościej. To powinno wystarczyć ludzkiemu wrakowi siedzącemu przy oknie. Czekał na odpowiedź, milczenie przedłużało się jednak w nieskończoność. Gabe nie miał cierpliwości i aż kipiał w środku. Chciał groźbą zmusić Hobbita do mówienia i jak najszybciej wyjechać. W Wydziale Zabójstw miał do czynienia ze zbyt wieloma ludźmi, których języki rozwiązywały tylko groźby. Ale Spencer wiedział, że każde przesłuchanie jest inne. Należy utożsamiać się z przesłuchiwanym, nawet jeśli czasem oznaczało to trwanie w ciszy i czekanie,

aż delikwent zdecyduje się przemówić.

Gabe i Spencer zaczęli chodzić po pokoju. Hobbitowi bardzo się to nie podobało. Spencer usiadł więc na podłodze obok jego krzesła i skrzyżował nogi. To spodobało się Hobbitowi trochę bardziej.

- Kim jest Milo, Jeny? - spytał Spencer, składając ręce. Hobbit wypowiedział pierwsze zdanie tego dnia.

- Mam na imię Hobbit.

- Kim jest Milo, Hobbit?

Odpowiedź padła dopiero po pięciu długich minutach.

- Kościół powiedział, że Milo jest antychrystem.

- Kościół Amerykański?

- Wyrzucili Milo.

- Dlaczego Kościół nazwał Milo antychrystem? Cisza.

Hobbit zamknął się zupełnie. Nawet na nich nie patrzył.

- Nie wiedziałem, że Kościół wyznaje wartości chrześcijańskie - powiedział Spencer ze spokojem, składając koniuszki palców.

Minęło siedem minut. Spencer czuł, że coś zaczyna się w nim gotować. W jego gardle zaczęła tworzyć się wielka kula, która zaraz zamieni się w krzyk. WYDUŚ COŚ DO CHOLERY!

Jakby czytając w jego myślach, Hobbit odezwał się cichym głosem:

425- Tak, wyznaje. Dlatego przyjęli mnie tutaj. W kościele czytają Biblię i wierzą w cudowne przemienienie Chrystusa. Przymują też komunię. Ale nie w takiej formie jak katolicy.

Ach tak. Naciskany, okazał się zaskakująco rozmowny. Bez względu na problemy z samym sobą i psychozę, języka, podobnie jak jazdy na rowerze, się nie zapomina.

- A w jakiej?

- Innej - odparł po długiej chwili Hobbit.

- Może w formie peyotlu? - spytał Gabe.

Nie siedział na podłodze i nie złożył dłoni, za to raz po raz zaciskał je w pięści. Spencer skinieniem głowy dał mu znak, żeby się uspokoił.

- Peyotl - zaczął wyniośle Hobbit - jest wcieleniem Boga. Tak jak Chrystus stał się człowiekiem i zmartwychwstał jako Bóg, tak Kościół Amerykański wierzy, że Bóg wcielił się w peyotl. Kiedy zażywamy peyotlu, przyjmujemy Boga. Nie robimy tego dla wizji. Robimy dla oczyszczenia, by połączyć się z Bogiem. Poprzez peyotl przyjmujemy ciało Chrystusa.

- Hobbit, Hobbit - zaczął coraz bardziej zniecierpliwiony Spencer. - Nie chcę wysłuchiwać twoich bluźnierstw i tłumaczeń, jak narkotyki zajęły miejsce eucharystii. Chcę...

- Wyjaśniam ci, dlaczego szaman w Nogales nazwał Milo antychrystem - odparł chłopak. - Powiedział, że jedyną wiarą Milo jest brak wiary. Jej odrzucenie.

Powiedział, że Milo jest nihilistą. - Uśmiechnął się z wyższością. - A nawet nas nie znał.

- Gdzie poznałeś Milo?

- W szkole średniej.

- Jak się nazywał, zanim został Milo?

- Ben Abrams. Ale Ben Abrams umarł, kiedy przyjęliśmy nową tożsamość i

narodził się Milo. Tak jak umarł Jeny Clark i narodził się Hobbit. Spencer i Gabe spojrzeli na siebie. Czy to nazwisko zabrzmiało znajomo? Spencer żałował, że nie ma zasięgu. Mógłby je sprawdzić i potem kontynuować przesłuchanie.

- Myślałem, że Milo... - zaczął Hobbit i urwał. Spencer miał nadzieję, że to tylko krótka pauza, i nie mylił się, bo Hobbit dokończył - ...nie żyje.

- Dlaczego tak myślałeś?

- Z powodu obrażeń.

Obrażenia, pomyślał Spencer. Będą musieli zająć się tym później.

- Milo żyje. Co łączyło go z Amy?

- Byli środkiem wszystkiego.

426

- Czego?

- Naszej małej grupy braci i siostr rewolucjonistów. Postanowiliśmy wyruszyć w drogę i poznać świat, który mieliśmy nadzieję zmienić. - Nie chciał powiedzieć nic więcej.

- Amy w równym stopniu jak Milo.

- O tak. Amy w równym stopniu jak Milo.

- Byli razem?

- Tak.

Spencer raz jeszcze pokazał mu rysunek Milo.

- Chcesz powiedzieć, że ten oszpecony, szalony facet i atrakcyjna dziewczyna z klasy średniej byli razem?

- Był naszym szamanem. Nie zawsze tak wyglądał, detektywie. Kiedyś był świetny.

- A to kryło się gdzieś głęboko.

- Nikt tego nie dostrzegł. A już na pewno nie Amy. Była nim oczarowana. Jej dom i rodzina były w rozsypce, ona też, nic nie wiedziała, była od nas młodsza. Aon wciągnął ją na dobre. Była całkowicie pod jego wpływem.

Hobbit bardzo się ożywił. Spencer domyślił się, że Milo działał tak na wszystkich i Jerry Clark też znalazł się pod jego przemożnym wpływem.

- Hobbit, jak żyliście w czasie tej podróży?

- Kiedy powiedział: „Jedźmy tam”, jechaliśmy. Kiedy powiedział: „Słuchajmy Bane”, słuchaliśmy Bane. Kiedy kazał: „Wstąpcie do ATWA” - Air, Trees, Water, Animals<sup>15</sup> - wstąpiliśmy do ATWA. Wstąpcie do „American Nihilist Underground Society”, wstąpiliśmy. Kiedy kazał nam dowiedzieć się czegoś o rosyjskich nihilistach, dowiedzieliśmy się. Czytajcie o liberalnych komunistach, o Pentii Linkoli<sup>16</sup>, o racjonalnych humanistach, czytaliśmy. Kiedy kazał nam wstąpić do Kościoła Amerykańskiego, wstąpiliśmy. Kiedy kazał nam jechać do Nogales, pojechaliśmy do Nogales. Byliśmy wolni, młodzi, nienawidziliśmy tej burżuazyjnej moralności, którą wpychano nam do gardeł, nie chcieliśmy tak żyć. Wierzyliśmy w inne rzeczy. I szliśmy za Milo.

- ATWA - powtórzył powoli Spencer. - Czy to nie grupka Charlesa Mansona z Doliny Śmierci?

<sup>15</sup> Air, Trees, Water, Animals - Powietrze, Drzewa, Woda, Zwierzęta.

<sup>16</sup> Pentii Linkola - fiński ekolog, zwolennik tezy, że jedynie rozpad współczesnego społeczeństwa może ocalić ziemię.

427- A czy American Nihilist Underground Society - powiedział Gabe - to nie przypadkiem ANUS?

- To nie ma znaczenia. Eksperymentowaliśmy. - Wyczuwając wrogość w ich głosie, zamilkł i nie chciał odpowiadać na dalsze pytania.

Spencer zmarszczył brwi. Wstał z podłogi i usiadł na łóżku. Hobbit wzdrygnął się, lecz Spencer tym razem nie zareagował.

- Jeny - powiedział - wiem, że nie chcesz, żebym cię tak nazywał, i wiem, że nie chcesz, żebym siedział na twoim łóżku. Ale powoli tracę cierpliwość. Nie wyjdę stąd, dopóki wszystkiego się nie dowiem. Czy wstąpiłeś do Kościoła, żeby brać peyotl?

- Nie wymawiaj tego słowa z taką pogardą. Mówiłem ci już, peyotl jest w Kościele najważniejszy. To jego bóg.

- Mmmm. I raczej nie pozostawia zbyt wiele miejsca dla prawdziwego Boga?

- Pozostawia. Zbliżasz się do Chrystusa dzięki...

- Jakiego Chrystusa, Hobbit? W nauce Chrystusa nie było ani cienia nihilizmu, a to chyba jedyna rzecz, jakiej wy zdołaliście się nauczyć.

- Co ty wiesz o nihilizmie?

- Jako niepraktykujący katolik wiem co nieco o Chrystusie. On z pewnością nie nauczał, że życie nie ma sensu, a wszystkie wartości są niczym. Nie był sceptykiem, który zaprzeczał wszystkiemu.

- Wzywał jednak do odrzucenia ówczesnych praktyk religijnych i moralnych - odparował Hobbit.

- Zgadza się, ale dzięki bardziej rygorystycznemu zastosowaniu zasad moralnych. Nie odrzucał ich. - Spencer o mało co nie wybuchnął śmiechem, gdy dotarł do niego cały absurd tej sytuacji.

- Chcieliśmy osiągnąć nowy poziom świadomości - powiedział Hobbit, podrygując nerwowo.

- Przestań wygadywać te bzdury! - Gabe nie wytrzymał. - Nihilizm, ATWA, ANUS, Bane - to gówno. Wszyscy byliście na permanentnym haju. Dwa lata jeździliście po Stanach, knując Bóg jeden wie co. Nie jesteśmy łatwowiernymi zakonnikami. Co się stało podczas ostatniego eksperymentu z peyotlem, kiedy zabiłeś Lindsey?

Ramiona i tors Hobbita zaczęły drgać konwulsyjnie, a oczy się wywróciły.

Spencer rzucił Gabe'owi zaniepokojone spojrzenie.

- Hobbit, czy razem z Milo wyrzucili z Kościoła was wszystkich? - spytał cicho.

428

- Przez długi czas byliśmy u Komanczów w Oklahomie. To była grupa sześćdziesięciu, siedemdziesięciu osób. Siedzieliśmy wokół ogniska, rozdawano nam peyotl, ale w bardzo małych ilościach. Milo chciał więcej. Wpadł wtedy na wspaniały pomysł. Powinniśmy wszyscy pojechać do Nogales w Arizonie i poszukać tam kaktusów. Wtedy mielibyśmy dość peyotlu dla wszystkich.

- Co ty wygadujesz? - spytał Spencer. - Peyotl to nie heroina. Ani nie alkohol. On nie uzależnia.

- Nie... - zawiesił głos. - Ale... każdy człowiek jest inny. Kaktus pomaga dostrzec, co jest w nas ukryte i czego nie można zobaczyć bez jego pomocy. Mara'akame, czyli szaman, powiedział, że wizje, które ukazują się nam po spożyciu peyotlu, są wizjami, które nosimy w sobie. I są naprawdę niezwykle. Wszyscy pokochaliśmy

samych siebie, widzieliśmy piękne rzeczy, cudowne, widzieliśmy siebie jako orły, delfiny, lamparty. Jeśli nigdy nie braliście peyotlu, gorąco polecam. Spencer przewrócił oczami.

- Wielkie dzięki za radę. Ale na razie mam dość swoich wizji. Co było dalej? Pojechaliście do Nogales i...?

- Wtedy wyrzucili Milo z Kościoła. Chciał natychmiast szukać kaktusów i chciał się dowiedzieć, gdzie rosną, ale mara'akame powiedział mu, że nie wszyscy mogą tam jechać, nie wszyscy są tego godni. Szaman, pozostający w kontakcie z Tatewari, Strażnikiem Ognia, który był bardzo mądry i spokojny, powiedział, że musimy poczekać. Ale Milo widział to zupełnie inaczej. Chciał jechać już następnego dnia. Właśnie wtedy szaman oświadczył, że nie jest godny tej misji. I że wizje Milo nie mają nic wspólnego z poszukiwaniem jedności z Bogiem, z „szukaniem własnego życia”. Nie ufał temu, co Milo zobaczył w sobie. Był przekonany, że nie wolno tego wyciągać na powierzchnię. Uznał, że Milo bezczęści peyotl, że nie jest uosobieniem serca Stwórcy. Powiedział, że w Kościele Amerykańskim nie ma miejsca dla pogardy do wszystkich ludzi, jaką Milo odczuwa głęboko w sercu.

Spencer spojrział na niego z powagą.

- A Milo odczuwał pogardę do wszystkich ludzi? Hobbit nie odpowiedział.

- Kazali nam wszystkim wyjechać. Nie było już mowy o szukaniu kaktusów, o tańcach - mówił z wyraźnym niepokojem w głosie. - Milo wpadł w szal i zmusił szamana, żeby zabrał nas o zmroku na pustynię.

- Zmusił szamana?

429- Tak. Wbrew jego woli zabrał go do Meksyku. Jak się to nazywa?

- Wymuszenie i porwanie.

- Tak też myślałem.

- Czy wkroczyła policja?

- Nie wiem. Mówię o tym po raz pierwszy. Nic nie wiem o policji. Nie pamiętam niczego, co wydarzyło się przedtem ani potem. Czy siostry powiedziały wam, jak długo tutaj jestem?

- Pięć lat.

- Tak. To dopiero początek mojej pokuty.

- Pokuty?

- Byliśmy młodzi i głupi i, niestety, popełniliśmy kilka strasznych błędów, których nie można odwrócić. Byliśmy pochłonięci naszą filozofią, anarchistycznymi podróżami, narkotykami, które pomagały nam widzieć wszystko lepiej i wyraźniej. I zmusiliśmy tego szamana, żeby pomógł nam znaleźć peyotl w Meksyku. Myśleliśmy, że Kościół jest nam to winien. I że potrafimy sobie poradzić z peyotlem. Milo nas o tym zapewniał. Był bardzo przekonujący ten nasz Milo. Był naszym mara'akame. Był jak peyotl. Potrafiłby przekonać anioły, żeby sfrunęły z nieba. Zabraliśmy więc szamana i pojechaliśmy na meksykański płaskowyż, niedaleko stąd, i aż do zachodu słońca szukaliśmy peyotlu.

Widzieliście go kiedyś?

- Nie - odparł Spencer. Widział za to inne rzeczy: różne marki whisky.

- Bardzo trudno jest go znaleźć. Kilka kilometrów na południe od Tu-butama przedzieraliśmy się przez nagie drzewa i krzaki, aż w końcu po półgodzinie znaleźliśmy kępę kaktusów. Wyglądają jak malutkie zielone dynie, każdy z białym

kwiatkiem na górze. To piękny widok. Szaman powiedział, że możemy zabrać tylko tyle, ile mieści się w dłoniach, najwyżej kilka. Ale mieliśmy torby i mogliśmy zerwać ich mnóstwo. Zerwaliśmy wszystkie. Szaman powiedział, że sprzeciwiamy się woli Boga. - Jerry spuścił głowę. Nie patrzył już przez okno, lecz na swoje wykręcone dłonie. - Kiedy już zdobyliśmy to, co chcieliśmy, puściliśmy szamana. Milo chciał go zabić, lecz Amy przekonała go, żeby tego nie robił. Zostawiliśmy go w Nogales. Szaman ostrzegł nas, że tylko nam się wydaje, iż możemy zapanować nad tym, co wymyka się spod kontroli, nad siłami, których nie potrafimy pojąć, bo to one zapanują nad nami.

Choć było gorąco, Spencer poczuł dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Zatęsknił za lekkim wiatrem niosącym pył znad pampy.

- Pojechaliśmy na północ do Superstition Mountains. Jechaliśmy cztery godziny...

430

- Dlaczego tak daleko? - przerwał mu Spencer. - Aż za Phoenix? Hobbit się uśmiechnął. Miał zupełnie czarne zęby.

- Superstition<sup>17</sup>, detektywie. Jechaliśmy najpierw autostradą Superstition, a potem nocą wjechaliśmy w góry. Prowadziła tam bita droga o nazwie Massacre Grounds<sup>18</sup>. Tam przygotowaliśmy ceremonię. Rozpaliliśmy ognisko, pokroiliśmy peyotl, wycisnęliśmy jego miąższ i zebraliśmy sok do glinianych naczynek, śpiewaliśmy, tańczyliśmy i modliliśmy się. Graliśmy na bębnach i tykwach, wyznawaliśmy nasze grzechy, oddawaliśmy cześć... ale kiedy teraz wracam do tego myślami, mam wrażenie, że w pewnej chwili pojęliśmy, że nie ma już dla nas odwrotu, a kiedy próbowaliśmy uciec, było już za późno.

71

## **LALECZKA I REWOLUCJONISTA**

Kiedy Lily odzyskała przytomność, znajdowała się w wilgotnym, zimnym pomieszczeniu. Bolały ją wszystkie kończyny. Siedziała przy cementowej ścianie w piwnicy. Milo przycupnął naprzeciwko, niecałe dwa metry od niej. Gdzieś musiała pęknąć rura, bo słychać było kapiącą wodę, a na podłodze zdążyła się już utworzyć śmierdząca kałuża. Podłoga była nierówna, siedzieli w zagłębieniu. Milo mógł wybrać inne miejsce, nieco wyżej, gdzie podłoga była wilgotna, ale nie było kałuży. Nie dostrzegał tego jednak -jego pokryta tatuażami twarz miała nieobecny wyraz.

Lily poczuła, że coś kapie jej z ust. Wytarła krew w miejscu, w którym ją uderzył. Nadal więc była związana z tym światem.

- I co ja mam z tobą zrobić, Lily? Byłaś w swoim własnym mieszkaniu, gawędziliśmy sobie spokojnie, a ty wezwałaś policję. Jest ci niewygodnie, jesteś mokra. I krwawisz.

- Muszę pojechać do szpitala - mruknęła.

- Wiem - odparł i zamilkł na chwilę. Patrzył na nią spod oka. - Wiem już, gdzie cię zabiorę. Do twojego brata. Co o tym myślisz? Masz komórkę? Powinniśmy do niego zadzwonić. Powiedz mu, że jesteś w niebezpieczeństwie. Że porwała cię Amy. Zobaczmy, co na to powie.

<sup>17</sup> Superstition (ang.) - przesąd, zabobon.

<sup>18</sup> Masacre Grounds (ang.) - teren masakry.

431Oblizwała wargi. Krew była gęsta.



Zacmokał kilka razy. Nie zabrzmiało to jednak jak zwykle cmoknięcie.

- Myślisz, że wszyscy wokół ciebie są ślepi. Ale nawet ściany mają oczy. Amy opowiedziała mi o twojej rodzinie. Jedna twoja siostra w kółko pracuje, a druga jest zajęta swoją rodziną. Twoja matka nawet nie wie, kim jesteś. Z babką nie ma się o co targować. Pozostaje więc tylko brat.

Amy, jej Amy rozmawiała o niej z tym typem. Poczuli się zbrukana do reszty.

- Czego chcesz? Pieniędzy? Ja ci zapłacę. Ile chcesz? Roześmiał się bezgłośnie.

- Oboje z Amy jesteśmy rewolucjonistami. A rewolucjonistów nie interesują pieniądze. Czytałeś kiedyś książkę *Katechizm rewolucjonisty* rosyjskiego nihilisty Michaiła Bakunina?

Pokręciła głową. Siedzieli w ścieku! O czym on, do cholery, mówi? To chyba przez tę heroinę. Kiedy przestanie działać? I kiedy przestanie krwawić warga? Obliznęła ją raz jeszcze. Chyba nigdy. Nigdy. Dopóki cała krew, kropla po kropli, nie spłynie na cementową podłogę.

- Bakunin był przeciwnikiem Marksa, Lenina, przeciwnikiem caratu, imperializmu, kolonializmu, islamizmu, fundamentalizmu, wszystkich -izmów. Napawały go odrazą z powodu łańcuchów, którymi skuwają człowieka. W swojej książce Bakunin napisał, że rewolucjonista jest człowiekiem przeklętym. Że nie ma prywatnych interesów, spraw, własności, nawet własnego nazwiska. Dlatego właśnie stałem się Milo, już nie osobą, którą kiedyś byłem.

- A kim byłeś? Milo ciągnął dalej.

- Całe jego życie poświęcone jest jednemu celowi, jednej myśli, jednej pasji - rewolucji. Sercem i duszą, nie tylko słowem, lecz również czynami, zerwał wszystkie więzy z porządkiem społecznym i z całym cywilizowanym światem; z prawami, dobrymi manierami, konwenansami i moralnością tamtego świata. Jest jego bezlitosnym wrogiem i zamieszkuje tamten świat, mając tylko jeden cel - zniszczyć go.

Lily się wyprostowała. W jego głosie, w całym jego zachowaniu pojawiło się coś, co nie wskazywało tylko na narkotyki czy bezdomność. Czyj świat chciał zniszczyć?

- Oto kim jestem - powiedział. - Chcesz wiedzieć? To właśnie ja - zakaszła. - Z jednym zastrzeżeniem.

432

Lily bała się je usłyszeć.

- Zgadza się. Amy. Była moją namiętnością. Mojąmużą, pożądaniem, moją jałmużną i kościołem. Nie mogłem bez niej żyć, nadal nie mogę. Dokąd ona pojechała? Gdzie zniknęła?

- Czyj świat chciałeś zniszczyć, Milo? - szepnęła Lily. - Mój? Roześmiał się.

- Ty jesteś mały pikuś. Chciałem zacząć od czegoś większego. Podniosła na niego wzrok, patrzyła na blizny, udręczone ciało.

- Muszę pojechać do szpitala. Rozciąłeś mi wargę i krew nadal płynie. Nie krzepnie. Jestem chora.

- Uwierz lub nie, ale teraz wcale nie chodzi o ciebie.

- Jeśli nie dostanę się do szpitala - powiedziała - nie będziesz miał nic na wymianę.

- Najpierw pojedziemy do twojego brata. Może on nam powie, gdzie jest Amy.

- On nie wie.

Milo zaśmiał się głucho.

- A nawet gdyby tak było, na pewno nic by ci nie powiedział. Mój brat ją kochał... Musiała urwać, bo Milo wydał z siebie rozdzierający jęk, który zdawał się wydobywać nie z gardła, lecz gdzieś z głębi ciała. Lily, pomimo ogarniającej ją słabości, próbowała przeczłgać się do kałuży, jak najdalej od tego stworzenia, które potrafiło wydawać z siebie tak przerażające dźwięki.

Z oczami wielkimi jak spodeczki wyszeptała słowa pociechy, lecz było już za późno

- Milo powrócił do rzeczywistości i chwycił ją brudnymi rękami za długą, wychudzoną szyję i zaczął potrząsać.

- Nie okłamuj mnie, Lily - syknął. - Dlaczego wygadujesz takie parszywe kłamstwa?

- Już dobrze...

- Oni nie byli zakochani! - wykrzyknął. - *Ona* nie była w nim zakochana! Kochała mnie, rozumiesz? Mnie!

- Dobrze... puść mnie...

- Powiedz, że rozumiesz.

- Rozumiem... puść mnie...

- Nie była w nim zakochana - przybliżył twarz do jej twarzy i otworzył usta.

Dopiero wtedy zorientowała się, że Milo nie ma kawałka języka.

Krzyknęła bezgłośnie.

- Nie kochała go - jęknął. - Miała go zabić.

43372

## TANIEC W OPARACH PEYOTLU

- Co się wydarzyło w czasie tańca, Jerry?

- Milo stale powtarzał, że bierzemy za mało. Nie wiem, ile w końcu wzięliśmy. Normalna dawka w Oklahomie była maleńka. A my zjedliśmy... Nie chcę o tym myśleć, nie teraz, nigdy, ale po tym, co się wydarzyło, muszę wierzyć, że nasze wizje wykrzywiły się, bo zjedliśmy za dużo. Ze straciliśmy kontrolę i zachowywaliśmy się nienormalnie.

- To prawda. Jakie wizje?

- Nagle uwierzyłem, że jestem wysoki i szczupły, a nie niski krępy jak w rzeczywistości. Uwierzyłem, że mam skrzydła i potrafię latać. - Zadrżał na całym ciele. - Nawet teraz słyszę czasami głos, który pyta: „Potrafisz latać, Hobbit? Czy kiedykolwiek chciałeś? Czy kiedykolwiek myślałeś, że potrafisz?”.

- Czyj to głos?

- Milo.

Spencer siedział nieruchomo na łóżku. Nawet Gabe usiadł tuż obok niego.

- Teraz zastanawiam się, czy celowo nafaszerował nas wszystkich mescalina, zatrzał nas...

- Dlaczego miałby to robić? Byliście przyjaciółmi... - powiedział Spencer.

- A jeśli chciał się nas pozbyć? Usunąć z drogi? Może bał się, że powiemy komuś o tym szamanie i o wielu innych rzeczach? Wiem, że razem z Amy chcieli wrócić do Nowego Jorku. Może nie chciał, żebyśmy się snuli po kraju, wiedząc o nim wszystko? Nie mam pojęcia. Co się stało, to się nie odstanie. Petra przecięła sobie nadgarstki i patrzyła, jak się wykrwawia. Wszyscy patrzyliśmy. Patrzyliśmy jak się wykrwawia, przekonani, że tak ma być, a ona tańczyła i się śmiała. My też tańczyliśmy i się śmialiśmy, podczas gdy ona wykrwawiała się na śmierć. Simon

pobił się tykwami i kamieniami, a potem powiesił na uschniętym drzewie mesquite. Kołysał się łagodnie, zupełnie jakby był na placu zabaw na huśtawce. Było tak spokojnie, prawie bez wiatru, a my nadal spożywaliśmy peyotl.

- Kim byli ci ludzie? Simon i Petra?

- Nie wiem. Byli parą. Zabraliśmy ich ze sobą w Kalifornii. On był Anglikiem, ona Niemką.

434

- Co się stało z Amy?

- Nie wiem. Ale o ile pamiętam, nic. Chyba nie zjadła aż tyle co my. Wyglądało na to, że nadal nad wszystkim panuje.

- A Milo?

- Milo... nie mogę, nie... nie mogę. - Jerry osunął się nagle na podłogę i zaczął się na niej wić, zasłaniając rękami twarz. Kikuty nóg podskakiwały złowieszczo. Po chwili całe jego ciało zaczęło konwulsyjnie drżeć. - Nie mogę, nie mogę. Proszę. Nie mogę.

Spencer uklęknął obok niego.

- Powiedz mi, proszę. Porozmawiaj ze mną. Już nigdy więcej nie będziesz musiał o tym mówić, ale teraz powiedz to mnie.

Wciąż zasłaniając sobie twarz rękami, Hobbit zaczął mówić stłumionym głosem. Spencer pomyślał, że chyba się przesłyszał.

- Milo wziął nóż, którym Petra podcięła sobie żyły, i odciął sobie język. Jego ciałem znów wstrząsnęły konwulsje.

- Ale nie poprzestał na tym. Zdjął spodnie i odciął sobie penis. Spencer odwrócił się od chłopaka i zupełnie oszołomiony spojrzał na Gabe'a.

- Po tym przestaliśmy się śmiać. Tak to pamiętam. Śmiech ucichł, a zamiast niego rozległ się krzyk. Krzyk Amy. Milo nie krzyczał, z ust buchała mu czarna fontanna krwi. Pomyślałem, że jego język próbuje się wzbąć w niebo. Amy próbowała... sam już nie wiem... objąć go, pomóc mu, powstrzymać krwotok? Pamiętam, że połała jego krocze resztą soku z peyotlu. Pomyślałem, że to świetna sprawa, zupełnie jak odradzająca się rozgwiazda, peyotl ma przecież uzdrawiać chorych. Amy zdjęła bluzkę i przyciskała ją do jego brzucha, Milo leżał na ziemi, a ona pochylała się nad nim. Zapytaliśmy, czy to już koniec tańca, a ona krzyknęła, że musimy go stąd zabrać. Chyba sama zawiozła nas szlakiem prowadzącym do autostrady. Była bardzo dobrym kierowcą. A potem wysiadła razem z Milo i zostawiła mnie z Lindsey w furgonetce, gdzieś na autostradzie numer 88. Odjechaliśmy. Nadal byliśmy razem z Lindsey pod silnym działaniem narkotyku. Jechaliśmy wijącym się w górę szlakiem Apaczów, bo nadal nie mieliśmy dość. Sam już nie wiem. Chyba się zgubiliśmy. Byłem przekonany, że nie siedzę w furgonetce, lecz w samolocie, wjechaliśmy wysoko w góry, powietrze było rozrzedzone i mój mózg zaczął szaleć. Pomyślałem, że razem z Lindsey gdzieś lecimy. Kiedy zjechałem z krawędzi przepaści, nie czułem strachu, tylko wielką radość. Polecieliśmy. Poleciałem w dół razem z Lindsey.

435Hobbit nie odrywał rąk od twarzy.

- I znalazłem się tutaj.

Spencer nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał.

- Jesteś pewny, że Milo odciął sobie penis? - spytał cicho.

- Pamiętam, jak wrzucił go do ognia, zaczął tańczyć, a potem upadł na ziemię. Pamiętam, jak penis wylądował w płomieniach, jak zaczął się palić. I pamiętam ten zapach... gorzki i gryzący, duszący zapach palonego ciała. Do dziś nie mogę jeść mięsa. Pamiętam, jak potem upadł, a Amy próbowała wyciągnąć penis z płomieni... opadła na kolana i zaczęła krzyczeć: Ben... och, Ben...
  - Byłeś pod silnym działaniem środków halucynogennych. Mogłeś sobie to wszystko wyobrazić.
  - Być może. Ale nigdy przedtem nie czułem zapachu palonego ludzkiego mięsa. I na pewno nie wyobraziłem sobie upadku w przepaść.
- Nagle rozległ się dźwięk pagera. Jeny krzyknął przeraźliwie. Spencer spojrzał na wyświetlacz. Dzwonili z komisariatu. Zobaczył napis: „Pilne”.

73

### LEKCJE ROSYJSKIEGO CARA

*Co ty wygadujesz? Jak to miała go zabić?* Lily nie była jednak w stanie wypowiedzieć tych słów. Zacharczała tylko, zadławiła się strachem i bólem i osunęła się na podłogę. Przeżona zaczęła kaszleć krwią. Wytarła usta rękawem, była coraz słabsza, zupełnie jakby całą krew wysysały z niej pijawki. Andrew! Jej umysł nie działał jak należy. Zabić jej brata? O czym on mówi?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - wydusiła w końcu. - Amy i on byli...
- Niczym nie byli! - rzucił Milo. - Niczym do samego końca. Odnalazła go i zaprzyjaźniła się z nim, mając na celu tylko jedno.

Raz jeszcze całe życie Lily, wszystkie rzeczy, w które wierzyła i przyjmowała jako absolutną prawdę, zostały jej siłą zabrane, oderwane niczym płaty skóry z jej ciała.

- Amy nie interesowała się polityką. Nie rozumiała jej. Co ty wygadujesz?

436

- Lily, wszechświat jest ogromny, a ty taka malutka i nawet nie znasz jego kątków, w którym żyjesz. Amy żyła polityką. Żyła nią w szkole średniej, w Hunter, żyła tym, czym ja, wierzyła w to, w co ja wierzyłem. Była niezwykle lojalna. W stosunku do mnie. Sztuka była tylko przykrywką, Lily. Bardzo dobrą przykrywką - dodał szyderczo. - Czy nigdy nie zauważyłaś, że Amy nie umie rysować?

O mój Boże.

Świat zamknięty w wilgotnej piwnicy stracił nagle cały sens. Życie przestało stanowić logiczną całość i Lily nie miała pojęcia, jak to naprawić. Wytarła usta i zamilkła na długą chwilę.

W zeszłym roku życie objawiło jej wiele rzeczy, których za nic nie mogła ogarnąć ani zrozumieć. Żyjesz sobie wesoło, wierząc w jedno, a może nawet nie tyle wierząc, ile po prostu żyjąc, i nagle wszystkie rzeczy, które utrzymywały cię w pionie, znikają. Nagle wygrywasz na loterii. Nagle wykrywają u ciebie nowotwór. Nagle Spencer mówi ci, że najważniejszą rzeczą w jego życiu jest coś, o co nigdy nawet byś go nie podejrzewała. Nagle dusza twojej matki ukrywa się za oszronionymi oknami. Nagle Amy znika, a ziemia wznosi się coraz bardziej, burzy i Lily nie widzi już nic zza tych nagłych erupcji, gdy tak siedzi oparta plecami o ścianę piwnicy.

O mój Boże.

- Ale co ja miałam z tym wszystkim wspólnego? Dlaczego zamieszkała ze mną? Dlaczego wybrała właśnie mnie?

Milo się skrzywił.

- Byłaś jej polisą ubezpieczeniową, tak na wszelki wypadek. Nigdy nie wiedziała, jak wszystko się ułoży, i chciała cię mieć po swojej stronie.

1 popatrz, jak się przydałaś. Jesteś moją ostatnią nadzieją, dzięki tobie dopadnę twojego brata.

- Dlaczego wcześniej tego nie zrobiłeś? - spytała posepnie. - Dlaczego go nie dopadłeś? Na co czekaliście?

- Kto powiedział, że czekaliśmy? Próbowaliśmy. Naprawdę. Próbowaliśmy mu pokazać, jak to jest, gdy inny człowiek niszczy ci życie, tak jak on zniszczył nasze. Ale nie udało się nam. Jedna próba spaliła na panewce. Potem druga. A potem ja musiałem zniknąć na parę lat. Ale znów wróciliśmy do gry i zaplanowaliśmy wszystko na nowo. Ale Amy zniknęła.

- Jesteś chory.

- Nie, to ty jesteś chora.

- Przez dwa lata siedziałeś w więzieniu. Dlaczego Amy nie wsypała 437mu trucizny do kawy, skoro chciała go zabić? Dlaczego tego nie zrobiła, kiedy ty zniknąłeś?

Lily nie rozumiała wszystkiego, ale była przekonana, że Milo też ma z tym kłopoty.

- Czekala na mnie. To była nasza wspólna sprawa.

- Dlaczego więc zerwała z nim, jeśli chciała go zabić?

- To była głupota - rzucił. - Och, przejrzałem tę twoją grę, Lily. Chcesz mi zasiać niepokój. Ale to była tylko głupota z jej strony, nic więcej.

- To nie było głupie, Milo - odparła Lily. Nie czuła już przerażenia. Nie miała na nie czasu, pochłonięta ocieraniem krwi, rozmową i nierozumieniem. Teraz pokręciła głową. - Nie. To nie było głupie, lecz zamierzone. Dlaczego to zrobiła?

- Nie mam pojęcia, co insynuujesz.

- Milo, byłeś w więzieniu. Zniknąłeś. Czy nie jest możliwe, że w tym czasie Amy i mój brat zakochali się w sobie? Może dawno temu, kiedy była jeszcze z tobą, wierzyła w to, co ty, ale gdzieś po drodze przestała. Nie chciała go wcale zabić. Nie zabiła go. Kiedy znów się pojawiłeś, zerwała z nim, by go chronić. Czy nie tak mogło być?

- Nie! To kłamstwo! KŁAMSTWO!

Lily przypomniała sobie coś, co powiedział jej Spencer.

- Nie tylko z nim zerwała, ale zmusiła mnie, żebym pojechała na Maui.

- Tak, chciała się ciebie pozbyć.

- Zgadza się, Milo. Żadnego alibi. Nic. Chciała się mnie pozbyć. Wiedziała, że tam będę bezpieczna.

- Nie chciała, żebyś była bezpieczna! Gównu ją obchodziłaś.

- To nieprawda - szepnęła Lily. - Nieprawda.

Czas mijał tylko teoretycznie. Tak naprawdę zatrzymał się w wilgotnej piwnicy budynku przy Dziewiątej Ulicy, gdzie Lily siedziała na podłodze oparta plecami o ścianę, starając się nie zemdleć, a Milo przykucnął naprzeciw niej, bębniąc palcami po kolanach, wystukując na łachmanach resztki życia Lily.

- Muszę pojechać do szpitala, Milo - powiedziała. - Nie jestem współniczką, nie jestem alibi ani zakładniczką. Jestem chora i za pięć minut nie będziesz miał ze mnie żadnego pożytku. Muszę natychmiast znaleźć się w szpitalu.

- Nigdzie nie pojedziesz.

438

Coś z nim było nie tak. I nie chodziło tylko o odcięty kawałek języka. Lily żałowała, że nie jest silna, zdrowa, że nie ma w żyłach czerwonej krwi zamiast kawioru, że do jej mózgu nie płynie tlen zamiast syropu klonowego; żałowała, że nie może się zerwać z podłogi i czymś go uderzyć, może tą gaśnicą, która wisi na ścianie półtora metra od niej, uderzyć, a potem uciec i biec przed siebie z przeraźliwym krzykiem.

- On jest uzbrojony i ma ochronę - powiedziała. - Nigdy nie wychodzi sam z domu. Zawsze ma u boku dwóch agentów federalnych. Nigdy go nie dopadniesz. Nigdy. Nie dopuszczą kogoś takiego jak ty na kilometr do mojego brata. Wysłali za tobą list gończy, szukają cię wszędzie. Co teraz zrobisz, Milo? Jak go dopadniesz?

Milo wybuchnął śmiechem i Lily dostrzegła czarną pustkę w jego ustach.

- Lily, uczyłaś się w szkole historii? - spytał, gdy przestał w końcu chichotać. - Słyszałaś kiedyś o carze rosyjskim Aleksandrze II? Historia zamachów na niego to wielka lekcja cierpliwości; lekcja, która uczy, że można zabić każdego, jeśli tylko wytrwa się w swoim zamiarze. Aleksander II to klasyczny przypadek rewolucyjnej determinacji.

Lily milczała, czekając, aż osłabiona krew dotrze do jej mózgu.

- Dlaczego... mówimy... o rosyjskim carze?

- Bo to dzięki niemu narodził się współczesny rewolucjonista, nihilizm, ideały, które okazały się bardziej szczytne od ludzkiego życia, cała ideologia, która była bardziej szlachetna, widoczna i trwała niż zwyczajna ludzkość.

- Czy coś takiego istnieje?

- Otacza cię ze wszystkich stron, rozejrzyj się tylko! - krzyknął Milo. - Nie widziałaś tego? Nadaje kształt wszystkiemu, co napędza ten świat. Pełno jej w starym i nowym świecie. A narodziła się dzięki rosyjskiemu carowi. Teraz nie potrafisz tego zrozumieć, Lily, bo marnujesz życie na malowanie całujących się par w tej twojej jaskini, ale niebawem pojmiesz wszystko.

- Chyba zaczynam już rozumieć - powiedziała Lily, przesuwając się nieznacznie w stronę gaśnicy. Przesunęła nogi o kilka centymetrów, a za nimi całe ciało. Jeszcze kilka centymetrów. I jeszcze. Milo nic nie zauważył. Gaśnica wisała niecałe dwa metry od niej. Będzie musiała przesunąć się jakieś dwanaście razy. Siedziała dokładnie naprzeciwko niego, więc Milo niebawem dostrzeże jej manewr. Musi się na to przygotować. Jak mogła to zrobić? Położyła się na wilgotnej podłodze. On zdawał się nic

439nie zauważać, nie zwracał na nią uwagi. Kiedy znów usiadła, znajdowała się o dwadzieścia centymetrów bliżej gaśnicy.

- W tysiąc osiemset siedemdziesiątym dziewiątym roku pewien nauczyciel próbował zabić cara - powiedział Milo. - Zamach nie powiódł się i nauczyciel zawisnął na szubienicy, podobnie jak szesnastu innych spiskowców. Nauczyciel, Lily! Do tego doszło.

- Nawet nauczyciele nie są bez skazy - odparła.

- Kilka miesięcy później - ciągnął ochryłym głosem Milo - frakcja nihilistycznej grupy o nazwie Wola Ludu postanowiła podjąć dzieło nauczyciela Sołowiowa. Członkowie tej grupy podłożyli nitroglicerynę pod pociąg cara, ale niedobrze to

wszystko zaplanowali i w efekcie wysadzili nie ten pociąg co trzeba. Potem próbowali wysadzić most, przez który miał przejeżdżać car. Ale też im się nie udało.

- Dość niewydarzona grupa terrorystyczna, prawda?
- Nie byli wcale terrorystami, lecz rewolucjonistami! Radykalnymi. W ich gronie znaleźli się naukowcy, inżynierowie, którzy nie szczędzili sił w walce o nowy porządek polityczny.
- Nowy porządek, który miał na celu terroryzować niewinnych ludzi?
- Twój brat wcale nie jest niewinny.
- Jak najbardziej. Co on takiego zrobił?
- Na przykład ukradł wybory.
- Nie ukradł, tylko je wygrał. Niewielką różnicą głosów, to prawda, ale zwycięstwo pozostaje zwycięstwem, nawet tak minimalne.

Milo warknął jak pies.

- Sto dwadzieścia lat temu pewien stolarz pracował w Pałacu Zimowym, blisko cara. Udało mu się przemycić kilka lasek dynamitu i ukryć je w pościeli. W końcu zbudował niewielki szyb pod pałacową salą jadalną. Bomba wybuchła, gdy car miał jeść kolację. Niestety, kolacja się opóźniła i car jeszcze nie przyszedł. W wyniku eksplozji zginęło i odniosło obrażenia sześćdziesiąt siedem osób.

- Straty wśród ludności cywilnej?
- To zupełnie nieistotne. Nikt o nich nie pamięta. Sajak pył. Ale wszyscy pamiętają Sołowiowa, wszyscy pamiętają stolarza. Kiedy schwytano jednego z członków Woli Ludu, powiedział policji, że żadne działania z ich strony nie ocala carowi życia - urwał na chwilę. -1 to właśnie chcę ci powiedzieć, Lily. Nie możesz zrobić nic, by ocalić życie brata. Amy też nie.

Lily znów położyła się na podłodze, ale tym razem musiała. Słuchanie szalonych wywodów Milo, adrenalina, panika pozbawiły ją sił. Co zrobiłby

440

Spencer? - pomyślała. No tak. Spencer miał przy sobie automatyczną broń, jeden z najlepszych pistoletów, jakie kiedykolwiek wyprodukowano. On nie byłby słaby ani chory. Czy to ma teraz zrobić? Szybko wyzdrowieć? Leżąc na podłodze, przesunęła się jeszcze o kilka centymetrów. Milo pochłonięty swoją przemową przesuwał się razem z nią wzdłuż przeciwległej ściany, by mogła go lepiej słyszeć.

- Pierwszego marca tysiąc osiemset osiemdziesiątego pierwszego roku- ciągnął - Aleksander II jechał zamkniętym powozem z jednego pałacu w Sankt Petersburgu do drugiego. Kiedy padł sygnał, członkowie Woli Ludu obrzucili powóz bombami. Ale nie trafili.

- To naprawdę była bardzo kiepska grupa - mruknęła Lily, korzystając z okazji, by przesunąć się jeszcze dalej.

- Kiepska czy nie, bomby wybuchły wśród straży cara, kozaków. Car wysiadł z powozu, by oszacować straty, sprawdzić, jak się czującego ranni żołnierze. Kiedy stał na ulicy, jeden z rewolucjonistów rzucił bombę i tym razem nie chybił. Car zginął na miejscu, a eksplozja była tak potężna, że zabiła też zamachowca.

Lily przestała się przesuwać wzdłuż ściany.

- Tego właśnie chcesz? - spytała. - Czy taką cenę jesteś gotowy zapłacić za swoje przekonania? Jesteś gotowy oddać życie, zabijając mojego brata?

- Za jego życie oddam wszystko. - Milo uderzył głową o ścianę. Lily znalazła się

pod gaśnicą.

- W amerykańskiej polityce nie ma sprawiedliwości - powiedział Milo. - Zauważyłaś? Gdy kongresman zyskuje władzę za pomocą pięćdziesięciu dwóch skradzionych głosów, gdzie w tym jest miejsce na sprawiedliwość?
- Chcesz, żeby więcej ludzi głosowało przeciwko mojemu bratu? To ich przekonaj.
- On sfałszował wynik wyborów!
- Daj spokój. Co cię to może obchodzić? Odkąd to nudny Edward Abrams budzi tak potężne uczucia w uczniach szkoły średniej... - urwała i spojrzała na niego, otwierając ze zdumienia usta.
- Od kiedy jego żona Bernadettę Abrams odbiera sobie życie, bo nie może już tego dłużej znieść.

- O mój Boże -jęknęła Lily. -Ty jesteś...

- Ben Abrams. Bardzo dobrze, Lily Quinn. Miło mi cię poznać.

Lily przestała słuchać. Milo był Benem Abramsem! Amy związała się 441z Benem Abramsem, synem Edwarda Abramsa, przeciwnika Andrew! Przypomniała sobie jego matkę, bo po zwycięstwie odniesionym przez Andrew częścią winy za porażkę Abramsa obarczono właśnie ją. Panią Abrams bardzo niekorzystnie porównywano z panią Quinn. Nie miała tyle wdzięku, klasy, nie była tak atrakcyjna ani tak młoda. Miera zrozumiała to na swój sposób. Doszła do wniosku, że to ona przyczyniła się do zwycięstwa Andrew i stała się jeszcze bardziej nieznośna. Bernadettę Abrams już wcześniej borykała się z depresją i uzależnieniem od pigułek na odchudzanie. Trzy lub cztery miesiące po wyborach przedawkowała leki.

Jej syn musiał to ogromnie przeżyć i wpadł w pułapkę nienawiści, pociągając za sobą Amy.

Milo uśmiechnął się straszliwie.

- Dopadnę go. Z Amy lub bez niej. Jej przekonania nieco się zachwiały, ale powiedziałem jej, że przy odrobinie wytrwałości i cierpliwości Andrew Quinn stanie się drugim Aleksandrem. - Zbladł i wydał z siebie przeciągły jęk bólu. - Och, jaka ona była, gdy wróciliśmy z Phoenix do Nowego Jorku. Bardziej zdeterminowana ode mnie. Usunięcie twojego brata z polityki stało się celem naszego życia. Nadało mu znaczenie, było jego radością i pięknem.

- Planowanie spisku na życie mojego brata napełniło twoje życie radością? -

spytała Lily. - Starożytni Egipcjanie nie byliby z ciebie zadowoleni, Milo. -

Skoncentrowała się teraz wyłącznie na gaśnicy znajdującej o kilka centymetrów od niej. Musiała jednak zerwać się z podłogi, chwycić ją w dłonie, odwrócić się do Milo, może nawet podbiec i uderzyć. Czy nie przeceniała swoich sił? - Chęć zabicia mojego brata, męża, syna, ojca dwójki dzieci napełniła twoje życie pięknem?

- O tak - powiedział Milo. - Ponosi winę za wszystko, co mi się w życiu przydarzyło. Za wszystko.

Ulotny moment jej własnego życia przeleciał obok Lily niczym wróbel. Przeleciał i opadł na ziemię. Usiadła, a potem podniosła się na czworaki. Kiedy Milo nawet nie drgnął, wstała. Ale nie zrobiła ani kroku. Gaśnica wisiała po prawej stronie. Czy jest przymocowana do ściany? Czy będzie miała dość siły, by ją zerwać? Serce, które waliło jak młotem, nie mogło już dłużej znieść napięcia. Kolana zaczęły odmawiać jej posłuszeństwa, ręce zadrżały. Z wargi nadal sączyła się krew. Strach



przed Milo zniknął.

- Żyłeś tylko po to, by zabić mojego brata?

- Całkowite utożsamienie się z morderstwem jest najważniejsze! Bez

442

niego zakrada się apatia, współczucie, zgoda na wszystko. Odrzucamy władzę, bo ona zmusza nas do ważenia słów, pozbawia je znaczenia. Chcemy zmian, potężnych, radykalnych zmian, odrzucamy wszelki kompromis. A ponieważ mamy takie a nie inne przekonania, nasze życie jest im podporządkowane. Aby żyć życiem pozbawionym ograniczeń - powiedział - musimy bez ograniczeń działać.

Lily odwróciła się gwałtownie i zerwała gaśnicę ze ściany. Milo oszołomiony heroiną ruszył się z podłogi, a jego pełne pasji życie zawężono teraz do kałuży w piwnicy. Lily trzymała gaśnicę obiema rękami jak broń, lecz tylko przez krótką chwilę. Gaśnica była bardzo ciężka, zupełnie jakby zrobiono ją z betonu lub z kutego żelaza. Nie mogła jej utrzymać ani chwili dłużej. Spadła na podłogę, a ona razem z nią. Milo nie spuszczał z niej wzroku, wciąż uderzając głową o ścianę, a potem otworzył usta i wybuchnął śmiechem.

74

#### **DZIAŁANIE BEZ OGRANICZEŃ**

Milo nie wstawał, natomiast Lily, leżąc na podłodze obok gaśnicy, czuła, że bez względu na to, co jeszcze się wydarzy, za nic nie może stać się przedmiotem negocjacji pomiędzy bratem a szalonym typem siedzącym naprzeciwko niej. Wiedziała jednak, że nie zdoła podnieść gaśnicy. Uklękła, starając się wyczuć uruchamiający ją mechanizm. Przechyliła ją lekko, tak że kiedy się odwróciła, ciężko dysząc, gumowa rurka znalazła się na wprost Mila, który nadal przyglądał się jej z chłodnym rozbawieniem, zupełnie nieporuszony jej wybrykiem. Lily krzyknęła, pociągnęła za plombę i nacisnęła dźwignię... proszę, niech to nie będzie woda.

I nie była. Gaśnica zawierała chemiczny proszek, który wystrzelił prosto w otwarte usta Mila z odległości półtora metra z oszałamiającą prędkością. Strumień nie powalił go, lecz cisnął nim o ścianę. Głowa Milo z całych sił uderzyła o beton. Jego ciałem wstrząsnęły konwulsje, a potem znieruchomiał. Lily nie zatrzymała się nawet na sekundę, by na niego spojrzeć. Wypuściła gaśnicę z rąk, poderwała się i ruszyła przed siebie. A raczej poczłapała, przechodząc nad nogami Milo. Zakryła oczy i dysząc ciężko, oślepiona łzami, próbowała otwierać po kolei wszystkie drzwi w piwnicy. Wresz-

443cie znalazła te prowadzące przez kotłownię do pralni. Stamtąd wybiegła na deszcz, na ulicę, gdzie stały trzy radiowozy z włączonymi kogutami. Upadła nieprzytomna na mokrajednię tuż przed nimi.

Kiedy odzyskała przytomność, leżała w dobrze jej znanym pokoju z okropnymi zasłonami. Przez okno wpadały jednak do środka promienie słońca. Przy łóżku siedział Spencer, a obok niego stał doktor D., babcia i Gabe McGill. Pościel pachniała wybielaczem i szpitalem, a nie wilgocią i stęchlizną. Próbowała coś powiedzieć, lecz jedyne słowa, jakie padły z jej ust, brzmiały:

- Dlaczego gaśnice są takie ciężkie?

Spencer, który siedział tak blisko niej, że niemal leżał na łóżku, powiedział:

- Tak, trzeba będzie zadbać o to, by ważyły mniej niż dwa kilo. Lily uśmiechnęła

się i zasnęła- niemal w jego ramionach. Pewnej nocy odzyskała przytomność na dłuższą chwilę i Spencer opowiedział jej o tańcu i peyotlu.

- Chyba go zabiłam - powiedziała.
- Mam nadzieję, że to zrobiłaś - odparł.
- Znalazłeś go? - szepnęła.
- Nie.
- Nie znalazłeś? Ale ja go zabiłam.

Chciała go zapytać jeszcze o tyle rzeczy. Chwyciła go za ramię, przyciągnęła do siebie i lekko drwiącym tonem szepnęła:

- Czy to bardzo źle, że odczułam taką malutką radość, kiedy dowiedziałam się, że on odciął sobie...
- Tak, to bardzo źle, że odczuwasz malutką radość - powiedział cicho Spencer.
- Boję się o mojego brata.
- Nic mu nie będzie, Liliput. Przecież mieszka w fortecy. Aleksander II też mieszkał w fortecy, chciała powiedzieć. Nagle znów otworzyła oczy i spojrzała znacznie przytomniej.
- Spence, czy znaleźli już dla mnie dawcę szpiku?
- Jeszcze nie...
- Mój brat? Siostry?
- Nadal szukają...

Lily zasnęła, nie zadając Spencerowi najważniejszego pytania. Teraz, kiedy byli już o całe niebo mądrzejsi i tyle rzeczy zdołali się dowiedzieć,

444

jedno bolesne pytanie nadal pozostawało bez odpowiedzi: Jeśli Milo nic nie wiedział, to gdzie jest Amy?

Marcie, która nadal pachniała batonikami Milky Way (ale niktynajuz nie, musiała rzucić palenie), otwierała okna w jej pokoju i Lily wdychała suche, letnie powietrze.

Joy siadywała przy jej łóżku i robiła na drutach. Joy robi na drutach?

- Joy, ty robisz na drutach?
- Hmm.
- Kim ty jesteś? Madame Defarge? Co robisz?
- Niedługo zrobi się zimno. Ćwiczę na tobie. Przyda ci się sweter. Pewnego ranka Joy wprowadziła do pokoju mężczyznę. Powiedziała, że Lily go zna, lecz ona go nie poznała. Kim był? Starszy pan w świetnie skrojonym i odprasowanym garniturze. Powiedział jej, że to on kupił serię obrazów *Whisky w dłoniach*.

- Ach tak. I co się stało? - spytała Lily. - Kolory wyblakły? Mężczyzna przedstawił się jako David Lakę z Lakę Gallery w Soho.

- Przychodziłem na Ósmą Ulicę przez trzy soboty z rzędu. Pracownik delikatesów opowiedział mi o pani, powiedział, że jest pani chora. Zaryzykowałem, że znajdę panią w szpitalu Mount Sinai. Ale najpierw szukałem w Sloan Kettering. Powiedział jej, że w zeszły poniedziałek sprzedał jej obrazy za siedemdziesiąt osiem tysięcy dolarów.

Gdyby umiała gwizdać, na pewno by to zrobiła.

- I wie pani co? To była osiemnasta oferta. Wreszcie musiałem się zgodzić. Te

ręce otulające szklanekę whisky w pani wykonaniu musiały kogoś głęboko poruszyć. Były tak bardzo osobiste.

Nic nie odpowiedziała, przypominając sobie dziewczynę i mężczyznę, dla których była jedynie nieważnym, pozbawionym wszelkiej osobowości pyłkiem na wietrze. Była tylko środkiem prowadzącym do celu dla Amy, którą tak bardzo kochała. David Lakę złożył jej propozycję - jeśli da mu trzydzieści obrazów, wyłącznie olejnych, zorganizuje jej wystawę w swojej galerii, a zyskami podzieli się po połowie.

Ukryta za jego plecami, Joy kiwała zdecydowanie głową.

Lily siedziała oparta o poduszki i nie wiedziała, co powiedzieć.

- Przestałam malować i schowałam pędzle, proszę pana - odezwała się w końcu.

445- Dlaczego?

- Nie będą mi już potrzebne.

75

## **LISTONOSZ**

Lily słyszy, że do pokoju wchodzi babcia i siada przy łóżku.

Lily nie porusza ustami i podejrzewa, że ma zamknięte oczy. Czuje obecność babci, a w wyobraźni widzi siwe włosy, elastyczne wygodne spodnie, bielutkie adidasy, które jeszcze nigdy nie wyszły z budynku na Brooklynie, mały złoty krzyżyk zawieszony na szyi. Opowiedz mi coś wesołego, babciu, myśli. A babcia, jakby czytała w jej myślach, zaczyna opowieść:

- Lily, pewna kobieta leciała samolotem linii Qantas z Wellington w Nowej Zelandii do Melbourne w Australii. I wiesz, co znalazła na zielonym ogórku w sałatce?

Nie wiem. Co?

- Żywą zabę. Linie Qantas są bardzo niezadowolone z dostawcy sałaty. Są przekonane, że kontrola jakości pozostawia wiele do życzenia.

Gdyby Lily mogła się roześmiać, na pewno by to zrobiła. Chciałaby się dowiedzieć, czy ta kobieta leciała klasą turystyczną czy pierwszą. Babcia przyciska usta do jej czoła.

- Trzymaj się, maleńka, DiAngelo robi wszystko, co może. Na pewno coś wymyśli, zobaczysz. To bardzo dumny człowiek, który nie wie, co to porażka.

Lily słyszy doskonale.

- Lily - mówi babcia - pamiętasz, jak ci opowiadałam o twojej matce ukrytej pod podłogą w Ravensbriick?

Pamiętam, babciu. Ravensbriick - ponad sto kilometrów na północ od Berlina.

Ukryłaś moją matkę pod spódnicą, by nie zauważyli jej niemieccy strażnicy.

Oddawałaś jej całe swoje jedzenie. A kiedy wychodziłaś do pracy, ukrywałaś ją pod deskami podłogi w baraku. Ravensbriick, pierwszy i jedyny obóz kobiecy w nazistowskim systemie obozów, ale byłaś przecież w Niemczech i żyłaś nadzieją wyzwolenia. Mówiono, że nadciągają Amerykanie. I Rosjanie. Pragnęłaś doczekać ich nadejścia. Ukrywałaś więc moją matkę pod podłogą razem z inną dziewczynką. Pewnego wieczoru,

446

gdy wróciłaś do obozu i podniosłaś deski, dostrzegłaś leżącą nieruchomo dziewczynkę i zaczęłaś krzyczeć, ale to nie była Oleńka, lecz czteroletnia dziewczynka, która martwa leżała obok niej. Odetchnęłaś z ulgą, gdy dotarło do

ciebie, że moja matka żyje.

- Lily, to właśnie robi twój lekarz. Ukrywa cię pod deskami.

A jeśli jestem tą drugą dziewczynką? - pomyślała Lily. - Ją też ktoś ukrywał. Coraz częściej pojawiały się pogłoski o rychłym nadejściu Rosjan i Amerykanów. Egzekucje stały się coraz częstsze. Jedyne ślepemu losowi zawdzięczasz, że razem z mamą udało się wam przeżyć, choć mama zachorowała na szkarlatynę i o mało nie umarła. Oddałaś się niemieckiemu strażnikowi, by zdobyć odrobinę rosółu z kurczaka dla mamy. W marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku Rosjanie musieli już być bardzo blisko, bo cały obóz ewakuowano, wysyłając wszystkie kobiety w długą wędrówkę na południe Niemiec. Wysłano je bez butów, jedzenia, bez ciepłych ubrań. Przez cały miesiąc lał deszcz. Niemcy stali przy drodze i obrzucali was kamieniami. Niemcy, którzy „byli bez grzechu”, jak dodawałaś z ironią, opowiadając mi tę historię. Rzucali kamieniami w nadziei, że upadniecie i już się nie podniesiecie.

- Ochraniałam ją swoim ciałem - powiedziała babcia. - Niosłam ją na rękach, bo ją kochałam, bo była moja. Tak jak kocham ciebie, bo też jesteś moja... Liliput, nie mam już nikogo.

Słyszę cię, babciu.

Po policzku Lily spływa łza. Babcia pochyla się i całuje ją w oczy.

- Och, aniołku, więc jednak mnie słyszysz. DiAngelo mówił, że choć jesteś nieprzytomna, wszystko słyszysz, i miał rację. Teraz zacznę go darzyć jeszcze większym szacunkiem.

Babcia z płaczem opowiada Lily jeszcze jedną historię. Nigdy nie słyszała tej opowieści. Babcia opowiada jej o Tomasie. A przynajmniej Lily tak sądzi, lecz nie może być pewna, bo opowieść zaczyna się na Montague Street na Brooklynie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku. Dlaczego aż tyle rzeczy zaczęło się w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku? Dlaczego nie skreśliła tej cyfry na kuponie loterii?

Montague Street, Brooklyn Heights, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty drugi rok. Claudia wpada tam na listonosza - tego, który nie przynosił jej listów z frontu, tego, na którego czekała codziennie przy płocie razem z ciężarną Anią. 447 Claudia wyszła z domu w sobotę rano, żeby kupić owoce. Nagle usłyszała za sobą głos.

- Klavdia? - Nikt nie nazywał jej tak od czasów Skalki.

Listonosz. Zatrzymali się na ulicy i gawędzili. Pamięta ten dzień doskonale, bo październikowy ranek był bardzo ciepły, w powietrzu unosiły się nitki babiego lata. Stali obok kościoła wśród drzew z bajecznie kolorowymi liśćmi. Powietrze pachniało nostalgią.

- Muszę ci coś wyznać, Klavdio - powiedział nagle listonosz. A Claudia nie chciała tego usłyszeć.

*Wiem co czujesz, babciu. Ja też wielu rzeczy wolałabym nigdy nie usłyszeć. O sprawach, które nie chciałabym, żeby były prawdą.*

Listonosz powiedział, że przed wyjazdem na front Tomasz poprosił go, żeby nigdy nie dostarczył telegramu z wiadomością o jego śmierci.

- Kazał mi to obiecać. - Tomasz powiedział mu, że ani jego młoda żona, ani schorowana matka nie przeżyją takiej wiadomości. - Gdyby kiedykolwiek nadszedł telegram z wiadomością o śmierci Tomasa lub jego trzech braci, miałem

przejsć obok waszego domu, a jeśli stałabyś przy płocie, miałem się uśmiechnąć radośnie i o niczym nie mówić. Obiecałem mu to. - Listonosz spojrział na kościół i powiedział: - Zrobiłem to, Klavdio. Wyrzuciłem cztery telegramy, a kiedy przechodziłem obok waszego domu, machałem do was wesoło i uśmiechałem się. Claudia zbladła, a powietrze nagle przestało pachnieć babim latem.

- Nie denerwuj się - powiedział listonosz. - Minęły czterdzieści trzy lata. Zrobiłem to, bo Tomas tak bardzo mnie prosił.

Claudia spytała, czy przeczytał telegramy.

- Tak. We wszystkich było napisane: „Zmarł w wyniku odniesionych ran”.

Dlatego przestała wychodzić z domu. Kto wie, na kogo jeszcze mogła wpaść. Kto jeszcze mógł jej opowiedzieć o straszliwych telegramach niosących wieści o śmierci. Jest za stara na takie niespodzianki, z trudem dźwiga swój dotychczasowy ciężar.

Claudia pochyła się, a z jej ust wydobywa się żałosny jęk. Lily otwiera oczy. Jest podłączona do respiratora. Nie może mówić. Poruszają się tylko jej oczy, szukając na twarzy babci znaku, gestu, czegokolwiek. Są pełne błagania, nadziei, prośby. Claudia przełyka ślinę, unosi rękę, macha do Lily i się uśmiecha.

448

**76**

## **JEDYNA**

DiAngelo nie ustawał, zbierał się na odwagę, czekał na cud, który miał nadejść z rejestru dawców szpiku, lecz wreszcie udał się do swojego niewielkiego gabinetu i wybrał numer matki Lily. Spencer podał mu go bardzo niechętnie, twierdząc, że to nie jest dobry pomysł. Stan Lily pogorszył się jednak na tyle, że transfuzja płytek krwi nie wchodziła już w grę. Jej narządy pozbawione skutecznego oczyszczania funkcjonowały coraz gorzej. Nie pomagała dializa, poziom sodu był coraz wyższy, powodując obrzęki, a krew krążyła coraz słabiej. Lily coraz częściej traciła przytomność, pozostając przez całe dni w śpiączce, z której budziła się z coraz większym trudem. Przez cztery tygodnie szukano dla niej dawcy w Międzynarodowym Rejestrze Dawców Szpiku, lecz nie udało się znaleźć takiego, u którego zgadzałyby się więcej niż tylko cztery z sześciu markerów. DiAngelo potrzebował przynajmniej pięciu.

Nie chciał dzwonić do Allison Quinn, lecz nie miał wyboru. Nadszedł kolejny przełom blastyczny.

Odebrała po kilku dzwonekach. Przedstawił się, wyjaśnił kim jest i od jak dawna leczy jej córkę. Powiedział, jak po ważny jest stan Lily, że próbowali niemal każdej kombinacji leków, by zabić komórki białaczkowe, lecz bez powodzenia. Jak próbowali eksperymentalnych terapii, leczenia witaminą A, alkeranem, a nawet arsenikiem i jak jedynym wyjściem pozostał już tylko przeszczep szpiku od odpowiedniego dawcy. Allison spokojnie wysłuchała całej tej przemowy.

- Proszę pani, na tym właśnie polega cały problem. Dawcy szpiku to to samo, co dawcy krwi. Nie możemy pobrać szpiku od kogokolwiek. Istnieje międzynarodowy rejestr wszystkich możliwych dawców, lecz w tej chwili nie możemy tam znaleźć odpowiedniego dawcy dla Lily...

- Wie pan, nie znam się zbyt dobrze na tym całym medycznym żargonie.

Przeszłam operację wrzodu żołądka, usunięto mi pęcherzyk żółciowy, przez nieuważne pielęgniarki zaszyto mi w ciele gąbkę. Chyba pan o tym nie wie, ale

ostatnio miałam tak poważną infekcję stopy, że musiano mi ją amputować. Amputować, doktorze! Ale nie mam pojęcia o nowotworach ani o szpiku kostnym. Szczerze mówiąc, nigdy nic o tym nie słyszałam. Najlepiej będzie, jak porozmawia pan o tym z moim mężem. On się zna na tym o wiele lepiej, był kiedyś dziennikarzem. Zaraz go poproszę.

449- Nie! Nie chcę rozmawiać z pani mężem. Chcę, by pani wysłuchała do końca tego, co mam do powiedzenia. Proszę pozwolić mi skończyć.

- Dobrze. Ale naprawdę nie rozumiem...

- Próbuję pani powiedzieć, że przebadaliśmy rodzeństwo Lily, które zazwyczaj najlepiej nadaje się na dawcę. Ale tym razem jest inaczej.

Allison milczała. DiAngelo podejrzewał, że choć wiedziała niewiele o „tych nowotworach”, wiedziała więcej, niż w tej chwili chciała powiedzieć, dlaczego wśród rodzeństwa Lily nie można znaleźć odpowiedniego dawcy.

- Nie rozumiem, po co pan do mnie dzwoni - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - Kim pan jest? Nie wiedziałam, że jest aż tak chora, myślałam, że czuje się już lepiej. Niedawno ją widziałam, przyjechała do mnie i czuła się całkiem nieźle. Czy chce pan tutaj rozpętać awanturę?

- Lily wcale nie czuje się lepiej. Nie rozmawiała pani ze swoją... matką, ze swoimi dziećmi? Jej stan bardzo się pogorszył. A ja próbuję ocalić życie pani córki. Szpik rodzeństwa nie nadaje się do przeszczepu. - Zawiesił głos i przełknął głośno ślinę.

- Nawet nie muszę robić badań pani mężowi, by założyć, że jego szpik też nie będzie odpowiedni.

Allison się nie odezwała.

- Jediną osobą, która może tu pomóc, jest pani. Dzwonię, by poprosić, żeby przyjechała pani do Nowego Jorku i pozwoliła pobrać sobie próbkę szpiku. Jeśli wykaże się zgodnością choćby tylko pięciu na sześć markerów, pobierzemy go od pani i podamy Lily.

- Czy pan oszalał? - syknęła Allison.

- Błagam panią. Jest pani naszą ostatnią deską ratunku. Proszę przyjechać i pomóc córce.

- A jeśli moja krew też nie będzie pasować? - szepnęła Allison. - Czy pomyślał pan o tym?

- Czy Lily została adoptowana?

- Nie! Jest moim dzieckiem.

- To proszę przyjechać. Proszę wsiąść do najbliższego samolotu i przylecieć do Nowego Jorku.

- Nie rozumie pan, o co mnie prosi? Nie mogę. Straciłam stopę. Miałam gangrenę i amputowano mi stopę. Jestem teraz inwalidką. Nie słyszał pan? Z trudem poruszam się po własnym domu.

- Niech mąż pani pomoże. Na lotnisku mają wózki inwalidzkie, a Lily zapłaci za wszystko.

- Myślałam, że leży nieprzytomna na oddziale intensywnej opieki. Jak się dowie?

450

DiAngelo potarł w zamyśleniu czoło.

- A ja myślałam, że nie ma pani pojęcia o stanie córki. Ale to nieważne. Proszę mi zaufać, wszystko załatwię. Polecę pani pierwszą klasą, zatrzyma się w pięciogwiazdkowym hotelu, zajmiemy się wszystkim.

- Nie mogę przyjechać. Nie mogę. Muszę się zastanowić.
  - Może się pani zastanawiać w samolocie. Pani córka ma przed sobą kilka dni życia. Potrzebuje pani nie za pięć dni, nie za tydzień, nie jutro, lecz wczoraj. Proszę przyjechać. - DiAngelo urwał, zastanawiając się, co jeszcze może powiedzieć, żeby ją przekonać. - Wiem, że była pani chora. Wiem, jak ciężkie miała pani życie. Była pani w depresji. I podróż jest dla pani wielkim problemem. Ale matka jest jedyną nadzieją dla Lily. Gdyby istniało jakiegokolwiek inne wyjście, na pewno nie zawracałbym pani głowy. Wiem, że ma pani dość kłopotów.
  - A co to ma znaczyć? Nic mi nie jest, miałam tylko niewielki kłopot ze stopą...
  - Oczywiście. Przepraszam.
  - Proszę mi podać swój numer. Oddzwonię za dziesięć minut. Zadzwoń na godzinie. DiAngelo nie ruszył się od biurka.
  - Przyjadę - powiedziała. - Ale pod jednym warunkiem.
  - Proszę go podać. - Obiecałby jej wszystkie pieniądze Lily, gdyby o nie poprosiła.
  - Nie wspomni pan ani słowem o tym, czego, pana zdaniem, dowiedział się pan o mnie. Kobieta, która przywiozła mnie do Ameryki, przeszła już zbyt wiele, by jeden mój wyskok zniszczył całą rodzinę.
  - Nie powiem ani słowa.
  - Szpik po prostu nie pasuje, koniec dyskusji, a ja przyjechałam, żeby pomóc. Mój też może okazać się nieodpowiedni. To proste.
  - Bardzo proste.
- Mówiła tak cicho, że z trudem ją słyszał.
- Do czasu pańskiego telefonu sprzed godziny nie wiedziałam nawet, że Lily nie jest dzieckiem mojego męża. Mogła nim być. To było całkiem możliwe.
  - Tak. Oczywiście. Ma pani czwórkę cudownych dzieci. Powinna być pani dumna.
  - Nie kochają swojej matki, ale jestem z nich dumna. I kocham je.
  - Czas ucieka, proszę pani. Na stanowisku United Airlines będzie czekał na panią i pani męża bilet na lot o ósmej dziś wieczorem. Zarezerwuję też pokój w hotelu Pierre na rogu Sześćdziesiątej Pierwszej Ulicy i Piątej 451 Alei. To doskonały hotel, kilka przecznic od szpitala. Proszę zapytać o mnie w recepcji i proszę bez obaw prosić o wózek.
  - Dobrze już, dobrze. Straciłam tylko stopę, doktorze, nie jestem niedołączna. DiAngelo załatwił wszystko ze Spencerem, który kartą kredytową Lily zapłacił za bilety i pokój w hotelu. Spencer należał jednak do osób, którym nic nie umknie.
  - Myślałem, że to rodzeństwo jest zawsze najlepszym dawcą? Zaskoczony DiAngelo odwrócił na moment wzrok, Spencerowi to wystarczyło.
  - Nie tym razem. Spencer usiadł.
  - Matko Przenajświętsza - szepnęła. Podniósł się z krzesła dopiero po długiej chwili. - Jak się wali, to wszystko - westchnął ciężko. - Może uda się jej przeżyć przeszczep, ale tego na pewno nie przeżyje.
  - Nie wiem, jak pan, detektywie, ale ja jestem zdania, że ludzie są w stanie znieść cholernie dużo.
  - Doktorze, proszę mnie zapewnić, że wszystko, co powiedzieliśmy, pozostanie w tym pokoju.
  - Ma pan moje słowo.
  - Ale się pan szybko złamał. - Spencer się uśmiechnął. - Nie musiałem panu zadać

ani jednego pytania.

- Detektywie o'Malley, mam nadzieję, że po raz ostatni w życiu jestem przesłuchiwany przez zawodowca.
- Pan to nazywa przesłuchaniem? Nikomu ani słowa.
- Proszę się nie martwić. Uścisnęli sobie dłonie.
- Ale matka wie, prawda? - spytał Spencer.
- Sądzi pan, że powinniśmy ją zabić po pobraniu szpiku?
- Pan nie. Aleja nie składałem przysięgi Hipokratesa. Może wsypiemy jej coś do kawy? Co pan powie na arsenik?

Roześmiali się cicho, gdy w pełni dotarła do nich ironia tych słów.

Lily mogłaby namalować taki obraz: Jej ojciec u boku żony na ruchomym chodniku na lotnisku. Allison nie chciała jechać na wózku, stała więc teraz oparta o poręcz. Ojciec położył jej dłoń na plecach. Na drugim końcu

452

chodnika, za schodami i obracającym się pasem z bagażem stała trójka ich dzieci, dwie córki i syn. Czekali na matkę, by zabrać ją do szpitala, gdzie umiera ich siostra.

77

### **LODOWISKO WOOLLMAN**

Lily próbuje wypowiedzieć choć słowo. Doktor poprawia jej na twarzy maskę tlenową. Oddycha z trudem. Co godzinę lekarz powala jej oddychać samodzielnie przez kilka minut, by sprawdzić, jak sobie radzi. Tym razem, zanim znów poczuje na twarzy maskę, chce wypowiedzieć jedno, jedyne słowo. Słowo, które sama chce usłyszeć.

- Spencer... - szepcze w końcu.

On natychmiast jest tuż obok. Siedzi przy jej łóżku. Za każdym razem, gdy ona łapie świszczący oddech, jemu niemal pęka serce, ale siedzi spokojnie. Drżą mu tylko usta.

- Spencer?

- Jestem, Liliput.

- Wiesz, co myślę? O Amy?

- Co?

- Myślę, że wyjechała, żeby uwolnić się od nich obu.

- Tak myślisz? - spytał cicho.

- Wydaje mi się, że miała już dość. I nie wiedziała, jak sobie z tym wszystkim poradzić. Jak to zakończyć. Nie wiedziała, jak ocalić Andrew. I jak uwolnić się od Milo. On przecież się od niej uzależnił, zwłaszcza po tym wszystkim, co się wydarzyło. Amy nie chciała mieć z nim już nic wspólnego. Nie chciała skrzywdzić mojego brata. Myślę, że go kochała. Patrzysz sceptycznie, ale ja naprawdę w to wierzę. I wydaje mi się, że wyjechała, by go ocalić, bo nie widziała innego wyjścia. Zniknęła tak jak Hobbit. Gdzieś na zakolu Missisipi znalazła sobie nową tożsamość, nowe życie bez nich obu. Ale może w tym nowym życiu nadal na niego czeka. Czeka na mojego brata. Poznała go w najgorszych zamiarach, ale nie spodziewała się, że go pokocha. To ostatnia rzecz, jakiej oczekiwała. Może gdzieś tam czeka na niego, żeby mu to powiedzieć.

453 Spencer milczał.

- Co o tym sądzisz? Uścisnął ją delikatnie.



- Może masz rację.
- Pamiętasz Olivera i Jenny? — spytała.
- Tak.
- Kogo ci bardziej żal? Jego, jak siedzi przy lodowisku, czyjej?
- Jej, Harlequin. Tylko jej jest mi naprawdę żal. Ujęła go za rękę.
- A mnie tylko jego - szepnęła.

Patrzył na nią przez chwilę, a potem pochylił się nisko, tak że jego wargi niemal dotykały jej policzka i zaśpiewał lekko ochrypłym głosem: *Tomorrow my love and I / Will sleep neath auburn skies / Somewhere across the border / We '11 leave behind my dear / The pain and sadness we found here / And we 'II drink from the Bravo s muddy waters / Where the sky grows gray and white / We 7/ meet on the other side / There across the border..*<sup>19</sup>

- Bruce jest dobry nie tylko do kochania się? - szepnęła Lily.
- On jest dobry na wszystko - odparł Spencer, przytulając czoło do jej policzka. - Jak ty.

DiAngelo musiał zaordynować transfuzję krwi, by poprawić wyniki Lily, a potem napompować ją lekami, by całkowicie oczyścić szpik.

W szpitalnym pokoju pobrał szpik z biodra uśpionej Allison Quinn, która wykazała się zgodnością pięciu markerów na sześć. Pobrał niemal dwa litry gęstej, zdrowej substancji, pozostawiając Allison słabą i pełną siniaków w miejscu, gdzie igła wielokrotnie wchodziła w ciało. Potem wprowadził szpik do centralnej żyły Lily, nawet jej nie usypiając.

I czekali. Czy organizm odrzuci szpik? Czy go przyjmie? Czy zacznie się regenerować jak rozgwiazda?

Ona jednak słabła coraz bardziej. Przypominająca melasę krew krążyła coraz wolniej, serce biło coraz słabiej, zmuszając się do czterdziestu słabych uderzeń na minutę, by przepchnąć melasę przez jej ciało.

Trzydzieści...

<sup>19</sup> Bruce Springsteen, *Across The Border*. „Jutro razem z ukochaną/ Będziemy spać pod kasztanowym niebem / Gdzieś po drugiej stronie granicy / Zostawimy za sobą, ukochana / Ból i smutek, które znaleźliśmy tutaj / Napijemy się z błotnego nurtu Bravo / Gdzie niebo jest szare i białe / Spotkamy się tam / Po drugiej stronie granicy...

454

Dwadzieścia...

Dziewiętnaście...

Osiemnaście...

Siedemnaście...

Piętnaście...

Dziesięć...

Przy dziesięciu uderzeniach, zdecydowali się na defibrylację.

Dwadzieścia...

Piętnaście...

Zatrzymanie krążenia. Zatrzymanie krążenia.

Defibrylacja.

Siedem...

Sześć...

Jeszcze jedna defibrylacja.

Pięć...

Cztery...

Pięć...

Sześć...

Cztery... jedno uderzenie co piętnaście sekund.

Jedno uderzenie co dwadzieścia sekund.

Jedno uderzenie co trzydzieści sekund.

Jedno uderzenie.

Za mało namalowałam, za mało tańczyłam, za mało kochałam.

Spencer!

Życie jak wykrzyknik zamiast rozpaczy.

Miała wrażenie, że ktoś śpiewa, ktoś, kto siedzi bardzo blisko. Głos był tak znajomy, kochany, tak rozpaczliwie pożądanym. Lily postanowiła, że otworzy oczy, i zobaczyła siedzącą na łóżku matkę, która trzymała ją za rękę. Matka, elegancko ubrana, uczesana, umalowana i trzeźwa. Siedziała z błyszczącymi od łez oczami, lecz wyglądała bardzo pięknie, jak wtedy, gdy była młoda. Uśmiechała się.

- Cii, cii - powiedziała. - Ciii. Liliput, moja maleńka, moja córeńko, mój skarbie.

Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Lily uśmiechnęła się i zamknęła oczy. Usłyszała, jak matka śpiewa piosenkę z dawnych czasów, gdy jeszcze było dobrze, z czasów beztroskiego dzieciństwa.

*...Kiedy się obudzisz, będziesz miała*

*Wszystkie malutkie koniki...*

45578

**DNR**

- Nie możemy jej ustabilizować - powiedział DiAngelo. Powiedział to do rodziców siedzących w poczekalni, choć miał problemy, by spojrzeć na ojca. Bał się, że jego pełne współczucia spojrzenie może go zdradzić. Razem z rodzicami w poczekalni siedziały Anne, babcia i Amanda. A w rogu, jak najdalej od nich, lecz nadal w tym samym pokoju - Spencer. Andrew nie przyszedł. DiAngelo pomyślał, że Spencerowi należy się szczególne uznanie za to, że nie obawiał się pogardy całej rodziny, choć w tej chwili wyglądał tak, jakby nic się dla niego nie liczyło, a już na pewno nie uznanie. Kiedy podeszła do niego Anne, DiAngelo zeszywniał.

- Co się z nią dzieje w tej chwili?

- Mniej więcej co godzinę dochodzi do zatrzymania akcji serca. Tętno zwolniło się do dwudziestu uderzeń na minutę. Ciągłe ją reanimujemy. Podajemy tlen, płyny, antybiotyki. Jej organizm przyjął przeszczep, ale nie możemy zmusić wszystkich narządów do normalnej pracy, do wytwarzania płytek krwi. Co cztery godziny musimy robić transfuzję. Wątroba pracuje bardzo słabo, Lily nie może samodzielnie oddychać, serce też nie bije samodzielnie. Dializy, transfuzje, defibrylacje, tak próbujemy ją ustabilizować.

- Wydaje mi się, że mówimy raczej o destabilizacji - powiedziała Anne.

Niby dlaczego miałyby pani sądzić inaczej, pomyślał DiAngelo.

Matka Lily stała tuż przed nim i słuchała z dłońmi zaciśniętymi w pięści.

Pomyślał, że jest bardzo dzielna. Zauważył, że kiedyś musiała być niezwykle piękna; nadal była, jeśli nie zwracało się uwagi na szkody, jakie sama sobie wyrządziła - przedwcześnie postarzała skóra, podpuchnięte i podbiegłe krwią

oczy, opuchnięta twarz. Pobranie dwóch litrów szpiku bardzo ją osłabiło.

- Co pana zdaniem powinniśmy zrobić, doktorze? - spytała.

- Będziemy ją dalej reanimować. Chciałem tylko przekazać państwu najświeższe informacje.

- Jakie ma szanse? - Allison chwyciła męża za ramię. DiAngelo spojrział na siedzącego w rogu Spencera.

- Niewielkie.

Annę poklepała go łagodnie po ramieniu.

456

- Zrobił pan wszystko, co w pańskiej mocy, doktorze. Naprawdę, nikt nie mógł dla niej zrobić więcej. Od ponad dwóch tygodni pozostaje w śpiączce.

- Tak.

- Nie sądzi pan, że już dość wycierpiała?

- Nie. Nie sądzę. Myślę, że może jeszcze trochę pocierpieć.

Annę westchnęła. Allison zmarszczyła brwi. Claudia przewróciła oczami. Amanda trzymała się od nich z daleka. A George, jak zwykle, trzymał się z daleka od wszystkiego.

- Będę państwa na bieżąco informował o poprawie jej stanu - powiedział DiAngelo.

- Nie będzie żadnej poprawy! Dwa tygodnie w śpiączce! Ona jest już rośliną. Nawet nie wiemy, czy jej mózg jeszcze funkcjonuje.

DiAngelo był gotowy do starcia. A raczej o nim marzył.

- Funkcjonuje. Wczoraj robiliśmy tomografię. Nadal się trzyma.

- Jej serce przestałoby bić, gdybyście zaniechali tych piekielnych elektrowstrząsów.

- Czy chce pani przez to powiedzieć, że chciałaby pani, aby serce siostry przestało bić?

- Chciałabym, żeby wreszcie znalazła spokój, na Boga! Rodzice próbowali ją uspokoić, lecz nie uciszyć.

- Będzie miała dość spokoju, kiedy umrze - odparł DiAngelo.

- Jeśli przestanie pan ją męczyć, znajdzie spokój, prawda?

- Raz jeszcze panią pytam, co chce pani przez to powiedzieć?

- Nie chcę, lecz mówię, że to wszystko trwa już od roku! Od roku! Jej organizm już dawno się poddał, a pan walczy z nieuniknionym. I jest pan jedyną osobą, która na tym korzysta. Jej rodzina od roku jest niemal w żałobie, ona cierpi od miesięcy, tocząc walkę, której nie może wygrać.

DiAngelo przerzucił teczkę z wynikami Lily.

- Bardzo proszę - powiedział, wyjmując formularz. - Tutaj napisano wyraźnie, że pacjentkę należy utrzymywać przy życiu, stosując wszelkie dostępne środki.

Formularz podpisała Lily Quinn, która była przytomna i przy zdrowych zmysłach. Annę zrobiła krok w jego stronę. Wyrwała mu formularz i zanim zdążył zareagować, podała go na kawałeczki.

- Oto co myślę o tym pieprzonym formularzu - powiedziała. - Powinien nam pan

powiedzieć na początku, że Lily nie ma szans. Sporo o tym czytałam, nikt jeszcze nie wygrał z tą chorobą. Przeszczep szpiku to ostatnia

457deska ratunku, a ona zapadła w śpiączkę jeszcze przed przeszczepem. Jej organizm się poddał. Jeśli trzeba będzie, pójdę do sądu, mając poparcie całej

naszej rodziny. Damy jej to, czego potrzebuje.

- Pragniecie jej śmierci?  
- Pragniemy, żeby wreszcie przestała cierpieć! Dlaczego tylko pan wydaje się tego nie rozumieć?

- Już dobrze, Annie - powiedziała Allison. - Uspokój się.

- Mamo, powiedz mu. Jesteś przecież jej matką. Nie ma męża, który mógłby podejmować decyzję. Powiedz mu, że nie chcesz, by sztucznie utrzymywano ją przy życiu. Powiedz mu, że chcesz, by przestała cierpieć. Powiedz mu, mamo.

- Po co przejechałam ponad dziesięć tysięcy kilometrów i oddałam szpik? Żeby teraz odłączyć respirator?

Spencer postanowił w końcu włączyć się do dyskusji.

- Proszę pani, tu nie chodzi o to, by rodzina poczuła się lepiej w swoim cierpieniu. Tu chodzi o Lily. Chciała, by utrzymywano ją przy życiu. I będzie utrzymywana.

- Och, zamknij się, do cholery - rzuciła Annę. - Nikt cię nie pyta o zdanie. Nikt z tobą nie rozmawia. Nie mogę uwierzyć, że masz na tyle tupetu, by być.

- Mam dość tupetu, by znaleźć się w wielu miejscach, w których mnie nie chcą.

- Lily chce, żeby pan tu był - powiedział DiAngelo. - Będzie pan pierwszą osobą, o którą zapyta po przebudzeniu.

- Powinien mieć przynajmniej na tyle przyzwoitości, by czekać gdzie indziej - odezwała się Amanda, dając wszystkim do zrozumienia, co myśli o Spencerze. Claudia opuściła głowę i milczała.

- Ma prawo tu być - rzekł zdecydowanie DiAngelo. -A wy przestańcie się kłócić.

Po co pani tutaj przyszła, pani Ramen? Dlaczego nie wróci pani do domu? Tam na pewno poczuje się pani lepiej.

- Nie ruszę się stąd, dopóki moja siostra nie dostanie tego, na co zasługuje.

- Pani siostra podpisała formularz zalecający reanimację aż do końca. Bardzo proszę, może pani iść do sądu i wydawać pieniądze, by zmusić nas do zaprzestania reanimacji. Zbankrutuje pani znacznie szybciej niż my.

- Oczywiście. Dzięki mojej siostrze zarabiacie miliony.

- Aby utrzymać ją przy życiu.

- Miliony dolarów! - krzyknęła Annę. - Wydajecie jej pieniądze, wie-

458

dząc doskonale, że nie ma żadnych szans. Będzie tu leżała przez dwanaście cholernych lat podłączona do aparatury, a pan będzie grał sobie w golfa, popijał szampana i opłacał z jej pieniędzy rezydencję w Bronxville. Podam cię do sądu, ty draniu, i wygram...

- Annę, nie wygrasz, uspokój się. To twoja siostra, na miłość boską- powiedział George, pochylając się w stronę córki. Spojrzał jednak na DiAngela, jakby błagał go o zakończenie tej kłótni.

Lekarz odwrócił się, by wyjść, lecz zmienił zdanie.

- Proszę pani, właśnie przyszło mi do głowy, że zapomniałem wspomnieć o czymś, co w zaistniałej sytuacji może się okazać niezwykle pomocne. - Spojrzał na Spencera, który stał za rodziną Lily, gwałtownie kręcąc głową. Jednak nic nie było w stanie go powstrzymać. - Pani troska o siostrę jest godna podziwu, jest pani jej tak bliska, że z pewnością wie pani, iż po jej śmierci, gdy serce, które tak bardzo chce pani zatrzymać, przestanie bić, wszystkie pozostałe pieniądze Lily otrzyma detektyw O'Malley.

Cisza, która zapadła w poczekalni, była warta wszystkiego.

- To nie może być prawda - powiedziała Annę bez tchu.

- Nie? Wygląda na to, że pani siostra spisała testament. I wszystko zostawiła detektywowi o'Malleyowi. Zgadza się, detektywie? - spytał obojętnie DiAngelo.

- Hmm - odparł Spencer, kręcąc głową.

- Czyli się zgadza. - DiAngelo zrobił krok w stronę podwójnych drzwi prowadzących na oddział intensywnej opieki medycznej. - Jeśli przestaniemy ją reanimować, wszystko przypadnie człowiekowi, którego tak bardzo pani nienawidzi. Co za ironia, prawda? Ale może warto, skoro ma to ulżyć jej cierpieniom? Życzę dobrego dnia. Porozmawiam z państwem po wieczornym obchodzie.

DiAngelo wyszedł, a Spencer, który nadal nie mógł w to wszystko uwierzyć, wrócił na swoje miejsce w rogu. Jednak po chwili postanowił wyjść na papierosa. To bardzo dobra pora, by zacząć palić. Albo to, albo...

Usłyszał za sobą głos Annę.

Odwrócił się z niechęcią.

Trząśnięcie jej głosem i ręce. Drżała na całym ciele.

- Ty draniu. Nie wystarczyło ci, że zrujnowałeś życie mojemu bratu? Teraz postanowiłeś jeszcze zabrać nam wszystko?

Język tragedii, pomyślał Spencer, gdy Annę zastąpiła mu droga.

459- Myślisz, że uda ci się zatrzymać te pieniądze? Nie jesteście małżeństwem, nie mieszkacie razem, nie masz do nich prawa.

- To prawda - powiedział zmęczonym głosem.

- Resztę życia spędzisz w sądzie - rzuciła Annę. - Będę z tobą walczyć, ty oszuście, dopóki zdołam utrzymać się na nogach. Wydrę ci te pieprzone pieniądze, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu.

Spencer zacisnął zęby i spojrzał na kipiącą nienawiścią twarz Annę.

- Te groźby nie mają sensu. Pani siostra żyje... - Nie wiedział, jakim cudem udało mu się powstrzymać od dodania, jeszcze". Musiał natychmiast wyjść ze szpitala, by znów zacząć spokojnie myśleć. Przeszedł Sześćdziesiątą Szóstą Ulicą do Central Parku i lodowiska. W wilgotny wrześniey dzień siedział wpatrzony w pozbawioną lodu taflę. Było ciepło, więc zdjął marynarkę.

„Lily - modlił się. - W wieku dwudziestu trzech lat straciłem żonę i nienarodzone dziecko i myślałem, że nigdy się nie pozbieram. Pod pewnymi względami może rzeczywiście się nie pozbierałem. Kiedy miałem trzydzieści lat, zakochałem się w dziewczynie, która została zamordowana w wieku zaledwie dwudziestu jeden lat. A teraz ty. Nie mam szczęścia do kobiet. Proszę cię. Nie umieraj i nie zostawiaj mnie".

Siedział tam bardzo długo. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien wrócić do szpitala. Może są jakieś nowe wieści. DiAngelo znał jednak numer jego pagera. Na pewno by zadzwonił.

Rozległ się dźwięk komórki. Odebrał natychmiast.

- o'Malley! - krzyknął Gabe. - Natychmiast przyjdź nad jezioro. Nie uwierzysz, kurwa, co się stało. Znaleźliśmy ją.

Przez chwilę Spencer nie wiedział, o czym Gabe mówi.

- o'Malley, oprzytomniej! Zadzwonił do nas jakiś facet i powiedział, że jego pies znalazł coś, co wygląda na ludzkie kości. Stawiam miesięczną pensję, że to ta

twoja McFadden. Idź tam natychmiast. To niedaleko wejścia od Osiemdziesiątej Siódmej Ulicy, przy ścieżce dla koni.

460

**79**

AMY

Zakopane pod ziemią kości znaleziono w najgęściej porośniętej krzewami części Central Parku, nieopodal ścieżki dla koni. Nie zapuszczali się tam spacerujący z psami właściciele, biegacze ani policjanci. Od kilku dni padało i deszcz wypłukał kości na powierzchnię. Natknął się na nie pies i jego właściciel, kiedy pies pobiegł w gęstwinię, a jego pan ruszył za nim i wśród wilgotnych liści dostrzegł szary kształt. Razem z kośćmi znaleziono kostium do biegania, stanik, adidas i parę kolczyków z brylantami.

Osiem godzin zajęło pracownikom laboratorium zidentyfikowanie znalezionych w parku ludzkich szczątków. Na podstawie dokumentacji dentystycznej stwierdzili ponad wszelką wątpliwość, że są to szczątki Amy McFadden.

Jej matka płakała tak, jakby córka zmarła wczoraj, a nie przed szesnastoma miesiącami.

Bar 57/57 znajdował się nad holem hotelu Four Seasons. Prowadziły do niego marmurowe schody. Bar urządzony był bardzo nowocześnie, z marmurową beżową podłogą i ścianami wyłożonymi marmurem, które ciągnęły się w górę na dwanaście metrów aż po marmurowy sufit holu. Stoliki miały dębowe blaty oparte na chromowanych nogach, a ozdobiły je bukietki z białych róż i lilii. W najdalszym rogu przy wąskim oknie plecami do baru siedział Andrew. Obok niego na stoliku stała pełna szklanka. Naprzeciwko siedziała jego żona. Kiedy podszedł kelner, by spytać, czy podać jej drinka, pokręciła tylko głową i nie odezwała się ani słowem. Oboje z Andrew milczeli od dłuższej chwili. Miera miała na sobie szary gabardynowy kostium, a jej gładko zaczesane włosy nie były ufarbowane. Szukała czegoś w torebce. Sądząc po zachowaniu Andrew, można było dojść do wniosku, że nie zdaje sobie sprawy z obecności żony.

- Jak się miewają dziewczynki? - spytał w końcu.

- Dobrze.

- Miałaś jakieś problemy?

- Nie, wszystko w porządku. On się nie pokaże, Andrew. To menel i narkoman, bez grosza przy duszy. Jakim cudem przyjedzie pociągiem do Port Jefferson?

461- Jakoś mu się uda. Nigdy nie zostawiaj domu bez ochrony. - Spojrzał na agenta, który stał przy barze i nie spuszczał z nich oka.

- Żyjemy pod stałą ochroną. Czasem odnoszę wrażenie, że to pretorianie - powiedziała powoli Miera. - A poza tym, po co miałby tam jechać... - zawiesiła głos - ...skoro ty jesteś tutaj?

Andrew skinął głową.

- Masz rację. Mam nadzieję, że odciągnę go od domu.

- Nie o to chodzi. Nie było cię w domu od miesiąca - powiedziała. - Nie wrócisz już, prawda?

Przez chwilę słychać było tylko brzęk kieliszków i głosy barmanów.

- Nie - odparł.

- Andrew...

- Mi, proszę cię. Proszę. Nie mogę. Nie teraz. Po prostu nie mogę. Podniosła się z

krzesła, jakby skończyła już rozmowę, lecz zaraz usiadła.

Do stolika podszedł kelner.

- Nie! - powiedziała ostro. - Dziękujemy.

Jeszcze nie skończyła z Andrew. Przysunęła się bliżej, by skupił na niej całą uwagę.

- Nie wrócisz? W porządku. Chcesz, żebym zadzwoniła do naszego prawnika? Ma przygotować odpowiednie dokumenty?

- Dobrze - odparł zupełnie tak, jakby zwracał się do kelnera: „Tak, bardzo proszę o oliwkę do martini”.

- Nie mogę uwierzyć, że zrezygnowałeś z Kongresu.

- Tak. No cóż...

Jej niespokojne palce powędrowały do zapięcia torebki, potem do guzików zakietu, do włosów. Andrew siedział do niej bokiem. Ani razu nie odwrócił się w jej stronę.

- Znalezione tę dziewczynę - powiedziała. Milczał.

- Andrew... - zniżyła głos.

- Proszę, nie.

- Muszę cię o to zapytać. Muszę. Z nikim o tym nie rozmawiałam. Kiedy wstanę i wyjdę stąd, wszystko między nami będzie skończone. Nie zapytam cię o nic więcej... - Zmusiła się, by mówić dalej. - Nie chcę już niczego od ciebie, Andrew. Chcę tylko, żebyś mi odpowiedział. Ponad rok temu pewnej piątkowej nocy z jakiegoś powodu nie mogłam spać. Zeszłam na dół, żeby cię znaleźć, i zorientowałam się, że jesteś w swoim gabinecie.

462

Kiedy otworzyłam drzwi, żeby zajrzeć do środka, nie usłyszałeś mnie. Siedziałeś tyłem do drzwi, trochę tak jak teraz. Siedziałeś w fotelu i drżały ci ramiona... płakałeś tak straszliwie. Złękłam się, że coś straszego przydarzyło się komuś z twojej rodziny. Wypowiedziałam twoje imię, ale mnie nie usłyszałeś, a potem nagle... poczułam, że jestem świadkiem czegoś, co nie było przeznaczone dla postronnych oczu. Nie wiem, dlaczego to poczułam, ale tak było. Wyszłam cichutko z gabinetu i zamknęłam drzwi. Pomyślałam, że opowiesz mi o wszystkim następnego dnia, rano lub wieczorem. Ale nigdy nie wspomniałeś o tym ani słowem. - Miera zamilkła. Andrew milczał.

- Chcesz mi teraz o tym opowiedzieć?

- O czym?

- To będzie ostatnia rzecz, jaką zrobisz dla mnie w naszym małżeństwie. - Zacisnęła dłonie na torebce.

- Płakałem z jej powodu, Miero - powiedział Andrew.

- To była noc czternastego maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, prawda? - spytała Miera ledwo słyszalnym głosem. - Ta dziewczyna zaginęła tamtego dnia.

Z tym słowami wstała i wyszła, ślizgając się lekko w wysokich szpilkach na gładkiej marmurowej podłodze. Jeden z agentów wyszedł razem z nią. Dwaj inni zostali z Andrew.

Kilka godzin po wyjściu Miery, tymi samymi schodami wszedł na górę Spencer w swoim nierzucającym się w oczy granatowym garniturze i czarnych butach, w których nie ślizgał się na marmurowej podłodze. Nie miał też torebki, której

zapięciem mógłby się nerwowo bawić. A nawet gdyby ją miał, to nerwowe ruchy nie były w jego zwyczaju. Nie wiedział, dlaczego nie zabrał ze sobą Gabe'a. Nie wiedział, dlaczego chce porozmawiać z Andrew Quinnem w cztery oczy. W kieszeni nosił stale list, który otrzymał przed trzema tygodniami od Elizabeth Monroe: „Wydział Kontroli Wewnętrznej przeprowadził dogłębne i szczegółowe śledztwo w sprawie zarzutów wysuniętych przeciwko Spencerowi Patrickowi O'Malleyowi i poza niejasnymi poszlakami nie znalazł żadnych dowodów na wykorzystywanie odznaki bądź stanowiska ani też na popełnienie żadnego wykroczenia cywilnego bądź zawodowego mogących podtrzymać postawione mu zarzuty. Sprawę niniejszym oddalono”.

463 Jeden z siedzących przy barze agentów federalnych, którzy ochraniali byłego kongresmana, powiedział Spencerowi, że: „Facet siedzi przy stoliku jak kamień przez całe popołudnie - jakby na kogoś czekał”.

- Dzięki. Pójdę z nim porozmawiać.
- Ma pan ochotę na drinka, detektywie?
- Tak, na colę.

Z „drinkiem” w ręce podszedł i usiadł przy stoliku naprzeciwko Andrew, który odwrócił się lekko w jego stronę.

- Zastanawiałem się, kiedy pana zobaczę - powiedział. - Dziwię się, że to tak długo trwało.

Spencer wypił łyk coli i nie powiedział ani słowa. Otulił dłońmi szklanekę. Cola w dłoniach.

- Napije się pan? - spytał.
- Nie, dziękuję. Wypiłem już stanowczo za dużo - odparł Andrew. - Jak się czuje moja siostra?
- Bez zmian.

Andrew westchnął ciężko.

- Zastanawiałem się - zaczął Spencer - nad pewnymi rzeczami. Nad rzeczami, o których rozmawialiśmy, o których wiem, których się domyślam, strzępami informacji, które próbuję złożyć w jakąś całość i nie mogę oprzeć się wrażeniu, że niektórych strzępów jeszcze mi brakuje.

- I do czego to wszystko pana zaprowadziło?
- Pewne rzeczy, które powiedział mi pan jakiś czas temu, pasują do informacji, jakie zdobyłem po naszej ostatniej rozmowie. Na przykład, kiedy spytałem, czy znał pan Amy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku, powiedział pan, że wtedy jej pan nie znał. Teraz słyszę akcent, który wtedy mi umknął. „Nie znałem jej wtedy”, tak pan powiedział - Spencer nie spuszczał wzroku z Andrew. - Zupełnie jakby miał pan świadomość, że ona znała pana.

- Startowałem w wyborach do Kongresu. To jasne, że mnie znała - odparł Andrew.

Spencer odchrząknął.

- Czy dzwonił do pana Bill Bryant? Powiedział panu, że razem z Lily rozmawialiśmy z jego żoną?

- Tak, poinformował mnie o wszystkim. To jeden z powodów, dla których wyprowadziłem się z domu. Od tamtej pory czekałem na pana. Doszedłem do wniosku, że niebawem się spotkamy.

- Pańska siostra źle się czuła. Byłem zajęty.



- Tak.

- Pomyślałem, że zainteresują pana wstępne wyniki badań koronera. Pełne dochodzenie potrwa dziesięć dni, ale chce się pan dowiedzieć, co już wiemy?

- Bardzo proszę - powiedział Andrew pozbawionym emocji głosem.

- Z tyłu jej czaszki koroner znalazł ślad po tępym ciosie, zupełnie jakby upadła na ziemię po gwałtownym uderzeniu o jakiś twardy obiekt, może o drzewo, pod którym została pochowana. Nie znalazł żadnych innych obrażeń. Może została uduszona. Jednak górne kręgi i szyja nie były uszkodzone. Czaszka, poza wgłębieniem na długości siedmiu centymetrów, pozostała nienaruszona. Kości też nie zostały uszkodzone. - Spencer zamilkł, jakby chciał dać Andrew szansę na powiedzenie czegoś, ale gdy spojrział na niego, zrozumiał, że ten raczej się nie odezwie. Ciągnął więc: - Ponieważ nie możemy zbadać ciała i poszukać przyczyn śmierci, koroner podejrzewa, że śmierć mogła nastąpić z kilku różnych powodów. Wie pan, co jest najbardziej niepokojące? Koroner nie wyklucza możliwości, że została ogłuszona, lecz nie zabita i nieprzytomna pogrzebana w wilgotnej ziemi pod dębem. Teraz się już nie dowiemy. Nie wyklucza możliwości, że Amy McFadden została pochowana żywcem.

Andrew wzruszył ramionami, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

- Nie mogła zostać pochowana żywcem - powiedział.

- Nie? - spytał jak zwykle obojętnie Spencer, pijąc kolejny łyk coli.

- Detektywie...

- Kongresmanie...

- Już nie - powiedział Andrew. - Wystarczy panie Quinn. Albo jeszcze lepiej Andrew.

- Andrew - zaczął posłusznie Spencer. - Dlaczego załatwił pan sobie alibi? Radny jest bardzo dobrym przyjacielem. Wszyscy powinniśmy mieć takich przyjaciół. Ale dlaczego potrzebował pan alibi na tych kilka godzin? Spotkał się pan z nią, prawda?

Nie odwracając się w jego stronę, Andrew powiedział:

- Nie została pogrzebana żywcem. Słyszał pan?

- Słyszałem.

- Zadzwoiła do mnie w czwartek trzynastego maja. Nie widzieliśmy się od czterech tygodni. Nawet nie rozmawialiśmy. Zadzwoiła do mnie z prośbą o spotkanie. Ale nie tutaj, jak zawsze, tylko w Central Parku, w lasku obok ścieżki dla koni. Bez niej odchodziłem od zmysłów. Poszedłem do parku jak człowiek, który na nowo odnalazł swoje życie. - Nie patrzył

465na Spencera. - Tak bardzo się ucieszyłem z tego spotkania. Zapytałem, dlaczego chciała się spotkać właśnie tam, nie w naszym hotelu, a ona odparła, że ma mi do powiedzenia rzeczy, które mnie zdenerwują, a nie chce, bym denerwował się publicznie. Wie pan, co na to odparłem? Nie możesz powiedzieć nic, co mnie zdenerwuje, Amy. Tak się cieszę, że do mnie zadzwoniłaś. Jestem taki szczęśliwy, że cię widzę. Nigdy się nie dowiesz, jak bardzo za tobą tęskniłem.

- Właśnie tam, w tamtym lasku Amy powiedziała mi, że nie głosowała na mnie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku. W tamtym lasku opowiedziała mi o sobie i Benjaminie Abramsie, o sobie i Milo. Była w nim od dawna zakochana. Ze mną związała się tylko po to, by pomóc mu mnie zabić. Wie

pan, jak zareagowałem? - Nie czekając na odpowiedź Spencera, ciągnął. - Nie uwierzyłem jej! To jakiś absurd, Amy, powiedziałem. Jeśli to jakiś spisek, żeby utrzymać mnie z dala od ciebie, to nic z niego nie wyjdzie. Ale ona powiedziała, że to nie jest żaden spisek. Miała mi nigdy o tym nie mówić, ale Milo wyszedł właśnie z więzienia i zaczął ją zmuszać do zrobienia czegoś, czego nie mogła już zrobić. Powiedziała, że mówi mi o wszystkim, by mnie ostrzec. Milo powiedział, że nic go nie powstrzyma, dopóki znów mnie nie dopadnie. - Andrew wziął głęboki oddech i zamilkł.

- Wie pan, detektywie, które słowo zwróciło moją uwagę? - powiedział w końcu. - Na tyle, żebym zaczął jej wierzyć? Słowo *znów*. Spytałem: Co miałaś na myśli, mówiąc *znów*?

- Powiedziała mi, że to Milo kilka lat temu strzelał do okien mojego samochodu, o mało nie zabijając mojej żony i córek. Zareagowałem tak ostro, słysząc, że ktoś chciał skrzywdzić moją rodzinę. Amy wiedziała, gdzie będziemy, bo sam jej o tym powiedziałem. Ja powiedziałem jej, a ona Milo. I dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że mówi prawdę.

Spencer nie odezwał się ani słowem, więc Andrew mówił dalej.

- Detektywie, cała moja rodzina była w niebezpieczeństwie. Żyliśmy jak pod mikroskopem. Ile rzeczy jej opowiadałem! O mojej żonie, o dzieciach, o mojej siostrze. Śledzili nas od lat. Krzyknąłem: „Amy, nie wiesz, jak bardzo cię kocham?”. Odparła, że wie. Dlatego właśnie postanowiła mnie ostrzec przed Milo... Zupełnie straciłem rozum. Powiedziałem: „W porządku, rozumiem, że chodziło wam o mnie, ale moja rodzina, moja żona, dzieci, Lily? Czy mieli zostać przypadkowymi ofiarami?”. Wie pan, co na to powiedziała? „Nawet nie ofiarami. Byli tylko narzędziami, które miały nas zaprowadzić do ciebie, Andrew. Matka Bena nie żyje, Milo jest

466

żywym trupem, ale twoja żona, dzieci, Lily nadal żyją”. - Andrew spuścił głowę. - Musiałem ją chwycić. Nie pamiętam już dokładnie. Ale pewnie ją chwyciłem. Zupełnie odebrało mi rozum. - Nie podniósł wzroku. - Chyba rozbiłem jej czaszkę o drzewo. Uderzyłem nią pień, a kiedy osunęła się na ziemię, przykryłem ją liśćmi i odszedłem. Nie pogrzebałem jej, nie sprawdziłem, czy jeszcze oddycha. Po prostu upadła na ziemię, a ja przykryłem ją liśćmi i kamieniami. To wszystko. Umyłem ręce w jeziorze, otrzepałem się z kurzu, oczyściłem buty z liści. Padało od wielu dni, ziemia była wilgotna. Miałem zabłocone buty. Umyłem podeszwy w jeziorze i wróciłem suchym chodnikiem na Pięćdziesiątą Siódmą Ulicę. Siedziałem tu w barze przez cztery godziny. Potem pojechałem do domu. Spencer już dawno wypił całą colę. Jakże marzył o następnej. - Wszystko, co mi powiedziała, wyglądało na jakiś diaboliczny plan. Kiedy ja marzyłem o niej, ona marzyła o zabiciu moich dzieci, o ściągnięciu na mnie cierpienia za coś, z czym nie miałem bezpośredniego związku. Ach tak, chodziło o jakieś ideologiczne bzdury. Weszła w moje życie z piękną, uśmiechniętą twarzą. Ja dla tej twarzy zdradziłem żonę, a ona przez cały czas zdradzała mnie. Powiedziała, że się zmieniła, że zmieniło się jej serce, ale to wszystko legło w gruzach, kiedy dowiedziałem się, że za tą ukochaną twarzą kryła się zdrada i hipokryzja.

Spencer zamówił i wypił jeszcze jedną colę. Palcami wyczuł w kieszeni kajdanki, potem broń, a na koniec wibrujący magnetofon.

Siedział tak długo z Andrew przy stoliku w barze 57/57. Zapadł wieczór. Taśma dawno już się skończyła. W końcu wstał od stolika.

- Dochodzenie zakończy się za dziesięć dni - powiedział. - Z powodu uszkodzenia czaszki koroner uzna to za domniemane zabójstwo. Prawdopodobnie ktoś będzie chciał zadać panu kilka pytań. Na pewno ktoś je zada.

- Nie rozumiem.

- Ja już wychodzę. Pan też powinien już pójść. Andrew spojrzał na Spencera.

- Sprawiedliwości stanie się zadość?

Spencer wyjął z kieszeni magnetofon, wyciągnął taśmę i podał ją Andrew.

- Ale nie dzięki mnie - powiedział. - Ja pana ulaskawiam. Z powodu

Lily. Teraz pan rozumie?

46780

## **DRUGA STRONA**

Dozorca początkowo myślał, że to zdechłe szczury. Przez kilka tygodni w korytarzu unosił się paskudny smród. Wreszcie otworzył stalowe drzwi prowadzące do małego składziku i zrobiło mu się niedobrze, już kiedy biegł korytarzem. Musiał się zatrzymać i zwymiotować, zanim wyszedł na ulicę i zadzwonił na policję. Smród był obrzydliwy, powiedział, zupełnie jak w ciepłej kostnicy pełnej ciał. Policjanci w maskach przeciwgazowych znaleźli jedno rozkładające się ciało. Smród niegodziwości i nihilistycznego zapału był dokładnie taki sam jak ten, który nadal wypełniał mieszkanie Lily. Musiał odzyskać przytomność na wystarczająco długą chwilę, by odczołgać się do składziku, gdzie umarł w ciemnościach, a jego ciało zaczęło odpadać od kości. Nikt nie wiedział, od jak dawna nie żyje. Szczury pożarły resztki tego, co z niego zostało.

Dwa samochody policyjne, trzy ambulansy i samochód straży pożarnej zaparkowały przy Palisades Parkway na północ od mostu George'a Washingtona po drodze do Bear Mountain. Część autostrady zamknięto dla ruchu. Spencer zaparkował swój wóz pod ostrym kątem i razem z Gabe'em ostrożnie ruszyli w dół ostrego zbocza nad brzeg rzeki Hudson. Zatrzymali się jakieś dwadzieścia kroków od wraku, który właśnie wyciągnięto z wody. Podeszli powoli do samochodu, próbując przyzwyczaić wzrok do ciemności, rozpoznać, w jakim stanie jest samochód i kto siedział za kierownicą.

Spencer miał dużo doświadczeń z wrakami po latach spędzonych na patrolowaniu Long Island Expressway w sobotnie wieczory. Stojąc zaledwie dwa metry od samochodu, potrafił nie tylko powiedzieć, w jakim stanie są pasażerowie, ale też jakie obrażenia odnieśli. Gabe, którego doświadczenia ograniczały się do ulic Nowego Jorku, był w tym temacie zupełnie zielony i nie mógł mu pomóc.

Potwierdził to, gwizdząc przeciągle. I dodał: „O, cholera”.

Spencer natychmiast go uciszył. Kiedy znalazł się dziesięć kroków od samochodu, uświadomił sobie, że sytuacja przedstawia się fatalnie. Zobaczył przed sobą wrak niebieskiego sportowego mercedesa 500SL, kabrioletu. Nienawidził kabrioletów. Żałował, że nie może wytłumaczyć praw fizyki każdemu idiotcie, który nocą pędzi po autostradzie kabrioletem z prędkością stu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Pomyślał, że ten kabriolet pę-

468

dził jeszcze szybciej. Sądząc po wyglądzie wraku, kierowca musiał jechać z prędkością co najmniej dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę, zanim

zderzył się z wielką siłą z betonową barierą, potem dachował, obrócił się kilka razy, zatrzymał się na moment na rozsuwanym dachu, a potem spadł ze stromego zbocza do wody. Trudno w nim było teraz rozpoznać pojazd, który miał kiedyś metalowe boki, deskę rozdzielczą i przednią szybę. Choć szyba mogła ochronić kierowcę od wiatru, nie była w stanie ochronić go przed prawami fizyki. Kobiety jeździły przypominającymi czołgi volvo i jeździły nimi wolniej, jakby stałe miały w pamięci dzieci, które zostawiły w domu, nawet kiedy rozkoszny wiatr rozwiewał im nocą włosy.

Spencer i Gabe stali w milczeniu przy wraku, próbując pojąć to, co właśnie oglądają. Nawet niedoświadczony Gabe zauważył coś, co zupełnie nie miało sensu.

- Hej - powiedział. - Tu nie ma kierowcy.
- Cii. Nic nie mów.
- Myślisz, że ktoś nim jechał?
- Gabe! To nie jest samochód zdalnie sterowany. Jasne, że jechał. Samochód był dwuosobowy. I pusty.
- Noto gdzie jest?

Spencer się rozejrzał. Mrok nocy rozjaśniały tylko koguty samochodów policyjnych i reflektory, a wysoko nad ich głowami słychać było szum przejeżdżających aut. Jednak bez względu na wszystko, jedna rzecz nie ulegała wątpliwości - we wraku mercedesa nie było kierowcy.

- Po co mnie tu przywiozłeś? - spytał Gabe. - Dlaczego o północy oglądamy wypadek w New Jersey? Nie mogę nawet uwierzyć, że coś takiego powiedziałem! Dlaczego my? Dlaczego ja i to o północy?
- Dlatego McGill, panie detektywie z Wydziału Zabójstw, że to samochód Andrew Quinna.

Andrew nie znaleziono.

### *PRZESZŁOŚĆ JAKO PROLOG*

- Spencer, widzisz to?
- Widzę, Katie.
- Jej inwestycje idą w górę jak burza. Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Jej fundusz przynosi dochód w wysokości trzydziestu czterech procent rocznie.
- Joy, pójdziemy na lunch?
- Przestań się tak do mnie uśmiechać, Larry, wiem co oznacza ten twój lunch. Nie mogę. Robię na drutach.

Chichot.

- Czytałaś dziś rano gazety? W Etiopii na przyjęciu weselnym wybuchł granat, zabijając pannę młodą i trójkę gości.
- Mamo, proszę cię!
- Co? Goście mają zwyczaj strzelać podczas wesel, by wyrazić swoją wielką radość, lecz znacznie rzadziej używają w tym celu granatów.
- Proszę wybaczyć mojej matce, detektywie O'Malley.
- Nie ma sprawy, pani Quinn, pani opowieści bardzo mnie bawią.
- Jak się pani czuje, pani Quinn?
- Mogłoby być lepiej, doktorze DiAngelo. Cały czas jestem ogromnie zmęczona. I chciałam to panu pokazać. - W ciszy rozlega się odgłos kroków. - Co pan o tym myśli? Ta wysypka jest bardzo dziwna, nie uważa pan?

- Allie, czy mogłabyś przestać obnażać się przed doktorem, kiedy w pokoju jest policja?

- Mamo, detektyw o'Malley widział znacznie gorsze rzeczy. Prawda?

473- O wiele gorsze... i proszę do mnie mówić Spencer.

- Nie, Allie, ja cię zupełnie nie rozumiem. Dlaczego zajmujesz się tym właśnie teraz? To tylko wysypka!

- Och, ty możesz opowiadać wszystkim o pannach młodych z Etiopii, aleja nie mogę pokazać doktorowi prawdziwego problemu? Skoro już tutaj jest, mogę to wykorzystać, prawda, doktorze?

- Oczywiście. Zobaczmy, co to takiego.

Rozlegają się westchnienia, szelest ubrań, potem zapada cisza.

- No i co to jest?

- Obawiam się, że to poważna sprawa.

- Och, nie. Co to jest doktorze?

- Obawiam się... nie ma oczywiście pewności... ale sądzę, że to opryszczka z Bagdadu.

Zapada cisza, a potem rozlega się znajome ciche prychnięcie, które wydobyło się z męskiego gardła.

- Co takiego?

- To maleńka muszka paskowa z Bliskiego Wschodu, która przenosi niebezpieczne pasożyty wywołujące paskudną opryszczkę utrzymującą się przez kilka miesięcy, a nawet lat.

Rozlega się krzyk obrzydzenia.

- Doktorze, o czym pan mówi? Jakie muchy z Bliskiego Wschodu? Jesteśmy w samym środku Nowego Jorku! To tylko niewielkie otarcie, nic więcej, wszystko jest w porządku.

- Larry!

- Tak, Joy?

- Przestań dręczyć tę biedną kobietę, to jest absolutnie nie do przyjęcia. Powiedz jej, że jesteś onkologiem, a nie dermatologiem. Allison, nie słuchaj ani jednego jego słowa, on nie ma pojęcia o niczym poza rakiem. Chce cię tylko zdenerwować.

- Och! - A po chwili: - Uważam, że to jest nie do przyjęcia. Rozlega się wesoły śmiech.

Nikt nie zauważył, kiedy Lily otworzyła oczy. Leżała oparta o poduszki w pokoju szpitalnym z beżowymi ścianami, otoczona swoimi obrazami i białymi liliami. Wyglądało na to, że jest późny ranek. Przed nią był telewizor, po prawej stronie okno z białymi liliami na parapecie. Za nimi widniał kawałek błękitnego nieba. Po jednej stronie siedziały matka z babcią, a po lewej Spencer. Za nim stała Katie, spoglądając mu przez ramię na zestawienia finansowe. Po jego prawej stronie siedziała Joy, nadal robiąc na drutach,

474

tym razem żółty sweter okazał się rozmiarów. Obok niej, bardzo blisko, stał DiAngelo. Lily nie poruszyła się, zamrużyła tylko oczami. Spencer podniósł wzrok znad zestawień i jako pierwszy zauważył, że się obudziła.

- Lily, uważam, że twoja brokerka zasługuje na podwyżkę - powiedział. - Kiedy ty leżałaś, produkując szpik, zarobiła dla ciebie siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Śpiąca królewna się obudziła! - wykrzyknęła matka.
  - Lily, nareszcie! Zawsze mówiliśmy, że uwielbiasz spać, ale tym razem przeszłaś samą siebie - powiedziała babcia.
- Nie mogła nic powiedzieć. W gardle nadal miała rurkę. Podniosła rękę, by ją wyjąć, i natychmiast zaczęła się krztusić.
- Wielkie nieba - powiedziała ochryple. - Jak długo tu leżę? DiAngelo wsunął rurkę z powrotem i poprawił maskę.
  - Od czasu przeszczepu. Osiemnaście dni. Nic nie mów. Możesz wszystko napisać na tablicy.

Lily raz jeszcze zdjęła maskę i wyjęła rurkę.

- Gdzie jest Tati? - ^ spytała, oddychając ciężko.
- Och, znasz swojego ojca - powiedziała Allison. - Nie może usiedzieć spokojnie przez jedną sekundę. Wyszedł na papierosa. Powiedział mi dziś rano: Allison, chodźmy tam na godzinkę, a potem przejdziemy się po Central Parku. Jest niemożliwy.

Lily i matka popatrzyły na siebie. W ich oczach odbijały się wspomnienia z Maui.

- Dobrze, że się obudziłaś. Ominęłyby cię twoje dwudzieste szóste urodziny - powiedziała Allison. - Potrafisz przespać dosłownie wszystko.
- Widziałaś obrazek, który dla ciebie namalowałam? - spytała Lily pomiędzy ciężkimi oddechami. Wskazała płótno przedstawiające jasnowłosą dziewczynkę na kolanach kobiety o brązowych włosach, siedzącą na ławce na wiejskim podwórku.
- Tak - odparła Allison. Milczała przez chwilę. - Ale nie mam pojęcia, kto to taki. Jest zupełnie do mnie niepodobna.

- Lily, wstawaj - powiedziała Joy. - Nie możesz tu leżeć przez cały dzień.

Wynajęliśmy wielką salę w Plaża, żeby uczcić twoje urodziny.

Lily odwróciła głowę i spojrzała badawczo na Joy. Do pokoju weszła Marcie.

- No proszę, wyszłam tylko na parę minut i sreberko się obudziło!
- Tak, sreberko - powiedział Spencer. - Wstawaj. Bo Keanu gra w *Obserwatorze i Sezonie rezerwowych*. Czekają na ciebie dwa filmy.

475 Lily znów wyjęła rurkę.

- Czy możecie nas zostawić samych na minutkę?

Wyszli z pokoju. Spencer położył głowę w zagłębieniu jej ramienia. Pogłaskała go po długich już włosach. Nie chciał, by zobaczyła łzy w jego oczach. Tym razem to ona szepnęła:

- Ciii. - I dodała, oddychając urywanie: - Powiedz mi, czy coś mnie ominęło?
- Nic - odparł, gładząc ją po twarzy. - Wszystko jest dokładnie tak, jak zostawiłaś.

W październiku Lily odłączono od respiratora. Na Święto Dziękczynienia wypisano ją ze szpitala. Nie wróciła jednak do swego mieszkania na rogu Dziewiętej Ulicy i Alei C. Zamieszkała u Spencera do czasu, aż znaleźli zajmujący całe piętro apartament w jednym z budynków w Battery Park City z widokiem na rzekę Hudson. Apartament był wysoki na cztery i pół metra, miał dwie sypialnie, dwie łazienki, mnóstwo szaf i ogromny salon, który doskonale pomieścił wszystkie prace artystki przygotowującej się do swojej pierwszej wystawy.

Mieszczący się na trzydziestym dziewiątym piętrze pokój miał przepiękny widok na wschodzące i zachodzące słońce. Apartament był imponujący i piękny, a na dodatek nie kosztował jedenaście milionów.

- Tylko dlatego, że nie ma stiuków - podsumował Spencer.

Kiedy Lily spytała, co by zrobił, gdyby umarła, przez długą chwilę żartował i krążył wokół tematu. Dopiero kiedy leżeli w łóżku, powiedział:

- Wziąłbym twoje pieniądze, oddałbym jedną czwartą twój ej rodzinie, jedną czwartą Amerykańskiej Fundacji Leczenia Białaczki i zrezygnował z pracy. Przeniósłbym się na Florydę i otworzył agencję detektywistyczną na Key Biscayne. Przez cały czas byłoby mi bardzo ciepło, może nawet zbudowałbym jakąś chatkę w hiszpańskim stylu. W ten sposób mieszkałbym tam, gdzie ty chciałaś mieszkać, w domu, jakiego pragnęłaś. Zasadziłbym dla ciebie mnóstwo palm, wypływałbym dla ciebie w morze i myślał o tobie jako o mojej ostatniej róży.

Spencer pił mniej. Okresy trzeźwości wydłużyły się i raz udało mu się nie pić nawet przez cztery miesiące. Powiedział Lily, że nie może oczekiwać od życia więcej. Ma przy sobie dziewczynę, dzięki której przez cztery miesiące nie trzymał whisky w dłoniach.

- To dlatego, że teraz masz w dłoniach Lily - odparła. - I stale są zajęte.

476

Lily chodziła nadal do Paula, by farbować włosy, choć Spencer utrzymywał, że nie można ufać osobie, która tak często jak Paul zmienia kolor włosów.

Ale to on nadal ją strzygł.

Nie chcąc rozstawać się z Gabe'em, Spencer poprosił Whittakera o przeniesienie do Wydziału Zabójstw. Podczas świętującego to wydarzenie lunchu w barze McCluskeya, Gabe powiedział Lily, że stało się tak tylko dlatego, by Spencer mógł mówić: „Jestem detektyw O'Malley z Wydziału Zabójstw”.

Babcia zdecydowała się wychodzić od czasu do czasu z mieszkania i co czwartek przychodziła do Lily na lunch. Potem szły razem do kina, Lily odprowadzała ją na Brooklyn, skąd zabierał japo pracy Spencer.

Czasami, kiedy światła Manhattanu migotały szczególnie zachęcająco, Spencer parkował samochód przy dokach w Greenpoint i razem z Lily słuchali w radiu piosenek Bruce'a Springsteena.

Annę odeszła z redakcji „KnightRidder” i znalazła nową pracę dziennikarki od spraw finansów u Cantora Fitzgeralda. Miała biuro na sto ósmym piętrze World Trade Center i mówiła, że w pogodne dni widok rozciąga się chyba aż po Atlantic City. Z okna widziała port nowojorski, wyspę Ellis, Statuę Wolności, Most Verazano i Atlantyck. Kazała odwrócić biurko, by co rano, kiedy przychodziła o ósmej, mogła przygotować się do pracy, popijając kawę i wyglądając przez okno. Oświadczyła wszystkim, że zaczęła nowe, lepsze życie. Siostry umawiały się z nią co poniedziałek na lunch. W ten sposób próbowały naprawić nadwątlone siostrzane więzi. Lily zostawiała malowanie, Amanda dzieci z opiekunką i spotykały się w południe, co tydzień w innej restauracji. Annę nigdy nie pozwalały płacić rachunku. „Przynajmniej tyle mogę zrobić”, powiedziała do Lily. Rankiem co drugi wtorek Annę zawoziła Lily do szpitala Mount Sinai na badania krwi. Kiedy Cantor zarzucił jej, że co drugi wtorek przychodzi do pracy o jedenastej - mimo że w te dni zostawała w biurze do dziewiątej wieczorem - Annę powiedziała, że jeśli chce, może ją zwolnić, ale ona nie odpuści: musi jeździć z siostrą do szpitala.

Cantor Fitzgerald nie zwolnił jej.

George i Allison sprzedali apartament na Maui i wrócili na kontynent. Kupili mały domek w Karolinie Południowej, niedaleko Blue Ridge Montains. Domek stał nad jeziorem, gdzie George miał przystań i łódkę, którą od czasu do czasu wypływał i łowił ryby. Założył też ogródek, gdzie uprawiał sto razy więcej warzyw, niż mógł zjeść, wychwalając Amerykę za jej obfitość. Rozdawał wszystkie warzywa sąsiadom, którzy przyjeżdżali na lato.

477 Kupił telewizor i antenę satelitarną. Oglądał transmisje sportowe i filmy, surfował po internecie i gotował dla Allison oraz dla swojego brata i jego żony, którzy mieszkali w pobliżu. Prowadził bardzo intensywne życie. Nie podróżował zbyt często, Allison też nie, gdyż nauczyła się kupować dzin przez internet, a butelkę przywoził jej do domu pracownik UPS.

George'owi bardzo brakuje żony. Ale pomidory latem udają się doskonale. No i może jeszcze łowić ryby.

Lany DiAngelo ożenił się z Joy. Zaadoptowali małą dziewczynkę z Korei Południowej i nazwali ją Lily. Joy przestała pracować jako pielęgniarka i z wielką radością została w domu z córeczką, gotując i oglądając kreskówki Disneya. Jim McFadden odszedł od żony. Jan nie miała wyjścia; musiała się pozbierać i wychowywać bliźniaki. Co sobotę jeździ na cmentarz w Port Jefferson i siada przy płycie nagrobnej z purpurowego marmuru, na której stoją wazony z bzem. To najpiękniej ubrany grób na całym cmentarzu, najbardziej kolorowy, a widać go już z oddalonej ponad kilometr krętej drogi. Purpura i fiolet odcinają się od otaczającej je szarości niczym barwny billboard. *Ukochana córka i przyjaciółka, Amy McFadden, 1975-1999.*

Kiedy Lily rozmawia o Amy, nadal mówi: „Wyjechała”. Albo: „Zaginęła”.

A gdy Lily ma dość sił, by porozmawiać o Andrew, mówi: „Wyjechał”. Albo: „Zaginął”.

Mała plakietka z wykaligrafowanym przez Amy napisem: *Kiedy bezsensowna nienawiść panuje na świecie, gdzie zamieszka odkupienie?*, wisiała na drzwiach pracowni Lily, ostatnia pamiątka po życiu, jakie Amy wiodła na rogu Dziewiątej Ulicy i Alei C. Potem została schowana głęboko w ogromnej szafie w Bartery Park City pod letnimi podkoszulkami. Lily znalazła ją pewnego dnia na początku września 2001 roku i podarowała Annę, której plakietka spodobała się tak bardzo, że powiesiła ją na ścianie swojego biura na sto ósmym piętrze południowej wieży w World Trade Center.

Rankiem jednego z tych pięknych nowojorskich dni było zbyt pięknie, by zostać w domu, nawet dla Lily, która lubiła wracać do łóżka, kiedy Spencer wychodził do pracy. W swoim ukochanym Nowym Jorku zobaczyła nagle poranek rodem z Maui, kiedy wszystko wydaje się nie tylko możliwe, ale i osiągalne, postanowiła więc przejść się ze Spencerem na komisariat, a potem wybrać się może do parku przy Madison Square i naszkicować budynek Flatiron, kiedy światło będzie najbardziej korzystne. Poczekała na niego na ulicy, gdy wszedł do delikatesów, by kupić dla nich kawę. Koniecznie muszą sobie kupić ekspres, który będzie działał.

478

Wyniki badań były ostatnio tak dobre, że DiAngelo wyraził w końcu zgodę, by pojechali na wakacje, i Spencer, który nigdy nigdzie nie wyjeżdżał, po niezbyt długim przekonywaniu zgodził się pojechać. Ale nie na Maui, nie na Cabo San Lucas, nie do Arizony, lecz na Key Biscayne. Dwa tygodnie, sama ze Spencerem!



Mieli wyjechać już za parę dni i spędzić tam jej dwudzieste siódme urodziny. Cichą Albany Street przejechał kabriolet, kierując się w stronę West Side Highway. Lily miała przed sobą całe centrum Manhattanu, od północy na południe. Jakiś mężczyzna rozwieszał plakaty zwiastujące rozpoczęcie wyborów wstępnych Partii Demokratycznej. Jeden z nich powiesił na słupie obok Lily. Serce ścisnęło jej wspomnienie innych plakatów wieszanych na słupach, innego kabrioletu, dawno zaginionych osób.

Na chwilę spuściła głowę, a potem spojrzała w niebo i wzięła głęboki oddech. Dzień był stanowczo zbyt piękny.

Spencer wyszedł z delikatesów i uśmiechnął się do niej, skinieniem ręki prosząc, żeby przeszła na drugą stronę ulicy, zupełnie jakby chciał powiedzieć: „Przecież nie mogę tu czekać cały dzień”. Uśmiechnęła się w odpowiedzi i pomachała do niego, pragnąc jeszcze przez chwilę poczuć na twarzy ciepłe słońce.

Wiedziała, że Spencer, który zawsze potrafił doceniać niewielkie cuda, cieszył się, że Lily była w śpiączce i bliska śmierci, kiedy znaleziono kości

Amy. Dzięki temu mogła ją na zawsze zapamiętać taką, jaką sobie kiedyś wyobrażała i kochała, a niejako prawdziwą osobę, której nigdy nie знаła. A Lily Quinn, która przeżywała teraz każdy dzień z radością dziecka, nadal miała nadzieję, że może jej brat Andrew i jej przyjaciółka Amy odnaleźli się w miejscu, gdzie nie było innych ludzi i polityki, fundacji zbierających pieniądze i mody. Może Amy wyglądała tam na niego, a on odczekał f wystarczająco długo i w końcu sam zaginął. Porzucił swój kabriolet po f niedzielnej mszy i zostawił go w wodach rzeki Hudson, a ona machała do \* niego z drugiego brzegu. Amy zwolniła, on wskoczył do środka i odjechali razem małą wynajętą hondą. Amy, Andrew, Allison, George, Claudia, To-mas, Lily i jej Spencer - odjechali do miejsca, gdzie ich nigdy nie znajdują. Miejsca, gdzie nie ma ślepych zaułków, wymagań, alkoholu, protokołu; do bezpiecznego miejsca, gdzie nie wiedzą co to smutek, monocyty, blastocyt, whisky, wojna. Znajęłam tylko litość i miłosierdzie, a łagodny blask słońca otula to, co zostało z ich niezgłębionych, kruchych ludzkich serc.

#### *PODZIĘKOWANIA*

Najszczerze podziękowania należą się:

Joy Chamberlain za jej niezgłębiony spokój i oddanie sprawie.

Pauli Salacovej, bez której moje ukochane dzieci dołączyłyby do grona ulicznych chuliganów.

Kevinowi - który jest moim aniołem stróżem, mężem, przyjacielem, moim wszystkim.